







13001

PRZEGLĄD
P O L S K I.

Rok XXXIX.

Kwartał III.

(Styczeń, Luty, Marzec).

Ogólnego zbioru tom 155.

(Zeszyty od 463 do 465).

W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“,
1905.

R. 39. III kw

4501. 1905.

II



30.900,-

X-11233
4501 II

3.kw.

39/1905

SPIS RZECZY

zawartych w tomie III rocznika XXXIX.



	Str.
Z epigrammatów greckich. Tłómaczenia wierszem W. Klingera	1
Marcin Bielski i Erazm z Rotterdamu, przez Dr. Ta- deusza Sinkę	10
Z dziejów Stolicy św. za pontyfikatu Piusa VII. — IV. Fenestrelle. V. Kardynał Maury. VI. Kardynał Fesch (dokończenie), przez X. Franciszka Starowiey- skiego	19
Z ostatnich dni Polski i Kurlandyi. Pamiętniki bar. Karola Henryka Heykinga (1752 — 1796) (dokończenie), przez Teresę z Potockich Wodziecką . . . 73,	275
Zygmunt Taszycki. Ustęp z dziejów aryaństwa w Pol- sce. Dramat w 5 aktach, przez Ludwikę Dobrzyńską- Rybicką	189, 426
Z polityki monetarnej, przez Dr. Józefa Milew- skiego	227
Nietzsche i Tolstoj. Dwa przeciwieństwa myśli współ- czesnej —	253
erego Gostomskiego	365
Bezstronnego	365
Wojny ziemskie w państwie rosyjskiem, przez Adolfa Suligowskiego	405
Z dziejów wychowania i nauki w Polsce, przez Dr. Aleksandra Brücknera	467
Sprawy krajowe. XXIV. Po Sejmie. II. Stosunki szkolne, przez Dr. Władysława Leopolda Jawor- skiego. — XXV. Opieka publiczna nad ubogimi w Gali- cyi, przez Dr. Jerzego Michalskiego. — XXVI. Kwe- stya buraków cukrowych, przez Dr. Józefa Milewskie- go i Dr. Stefana Jentysa	105, 297, 477
Kronika literacka	127, 321, 507
J. Kłaczko: Szkice i rozprawy literackie (w tłó- maczeniu St. Tarnowskiego, J. Jabłonowskiego i A. Potockiego). — F. Hoesick: Julian Kłaczko. Rys życia i prac (1825 — 1904). — K. Kolischer: Zarys systemu polityki bankowej. — Milton: Raj Utracony (w przekładzie W. Bartkiewicza).	

E. Heyck: Die Kreuztüge und das Heilige Land. — H. Meissner und J. Luther: Die Erfindung der Buchdruckerkunst. — B. Erdmannsdörfer: Mirabeau. — G. Adler: Richard Wagner. — W. Altmann: Richard Wagner's Briefe nach Zeitfolge und Inhalt.

Z literatury powieściowej. A. Krechowiecki: Mrok. — J. Łada: Sweet Boy. — Dziesięciu autorów: Z jednego strumienia (szesnaście nowell).

K. Chłędowski: Siena. — M. Konopnicka: Szkice. (Bohdan Zaleski, Adam Asnyk, Henryk Sienkiewicz). — F. Konarski, A. Inlender i A. Zipper: Dokładny Słownik języka polskiego i niemieckiego.

H. von Kleist: Briefe an seine Schwester Ulrike (herausgegeben von S. Rahmer). — F. Brunetière: Sur les chemins de la croyance. — L. Gropallo: Autori italiani d'oggi. — J. L. Pagano: Al traves de la Espana literaria.

Z literatury powieściowej. G. d'Annunzio: Le Novelle della Pescara. — G. von Ompteda: Heimat des Herzens. — E. Stilgebauer: Götz Krafft. (II. Im Strom der Welt).

Sprostowanie, przez Dr. A. Brücknera.

A. Kraushar: Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk, 1800 — 1832. Ks. III: Czasy Królestwa Kongresowego. Czterolecie przedostatnie.

A. Langmesser: Conrad Ferdinand Meyer. Sein Leben, seine Werke und sein Nachlass. — A. Rolla: Storia delle idee estetiche in Italia.

Z literatury powieściowej. J. Weyssenhoff: Syn marnotrawny. — J. Lemański: Proza ironiczna. (Bajki, Bajeczki, Przypowiadki dla dzieci, Sielanki). Teatr krakowski, przez Dr. Feliksa Konecznego. — Muzyka w Krakowie, przez Witolda Noskowskiego 166, 358, 521
Przegląd polityczny, przez * * . . . 173, 379, 537
Z powodu mobilizacji rosyjskiej, przez X. X. . . 389
Maksymilian Jackowski. Wspomnienie pośmiertne, przez Maryę Zielewiczównę 549

Z epigrammatów greckich.

Do Hellady.

Matko Hellado! Na zrab marmurowej twej trumny złożywszy
 Skroń skolataną, ach, łkam, syn pogrobowy ja twój,
 Który, choć nigdy ci w twarz, nieśmiertelną urodą błyszczącą,
 Okiem nie spojrzął, lecz wciąż tęskni ku tobie w swych
 [snach,

Który wyciąga swą dłoń, by do piersi przypadłszy twych,
 [matko,

Zdrój życiodawczy z nich ssąc, duchem odrodzić się znów...
 Nigdy mogilny ten chłód nie wystudzi miłości mej: z grobu,
 Gdy się weń wsłucham, wciąż brzmi gędzba helleńskich
 [mi lir,

Gdy zaś wyteżę mój wzrok, przez marmuru szczeliny spo-
 [strzegam

Cicho lejący się blask... Wiem już, co czynić mi, wiem!
 Będę ja łowił ten dźwięk, w obojętne wchłaniany przestwory,
 Wiązał w akkordy, aż pieśń strzeli w niebiosa, by grom —
 Skupiał w promieniu ten blask, na mgławicę rozbity, aż w górze
 Tęczy roztoczy się łuk, pojąc światłością mi wzrok:
 Może na pieśni tej grzmot sarkofagu rozpadnie się wieko,
 Aby odsłonić twych lic boski, przezczysty ów kształt?
 Może podniesiesz się w wyż, o królowo, by skronie uwieńczyć
 Lśniącą koroną, co świat z czoła, niewdzięczny, ci zdarł?

W. Klinger.

I. Erotyki.

CALLIMACHUS ¹⁾.

Chcesz-li ognisko rozniecić, czy w porze północnej kaganek
 Wdzięczny zapalić — tu, tu skieruj, wędrowcze, swój krok:
 W sercu mem znajdziesz zarzewie, gdzie ogień zniennacka za-
 [tłony
 Szerzy pożogę i w krąg ciska płomienie i skry.

ASCLEPIADES ²⁾.

Szczędzisz więc pieszczot mi swych? I dlaczego, dziewczeczko?
 [Wszak w Hades
 Kiedy raz zstąpisz, już tam kochać nie będzie cię nikt.
 Tylko żyjących ten świat zna słodycze miłości: w Erebie
 Będziem, najdroższa, jak garść prochów, jak kości stos gnić.

ANONYMUS ³⁾.

Gdym Arcestrata ujrzała — Hermesem się klnę! nie nazwałam
 Pięknym go w duszy swej — nie: pięknym nie zdawał się on.
 Rzekł — i już ciągnie mię dłoń Nemezydy mej: cała w pło-
 [mieniach
 Stoję, jak gdyby z chmur Zeus zrzucił mi piorun swój w krew.
 Kogoż mam błagać o litość: boginię czy chłopca? Mocniej-
 [szym
 Zda mi się chłopiec od bóstw... Żegnaj, bogini, mi więc!

PHILODEMUS ⁴⁾.

Świeć nam, Seleno, ach świeć, o wędrowna, dwuroga bogini,
 Świeć i przez otwór mych drzwi lej migotliwy swój blask,
 By roziskrzyły się w nim mej Kollizjon kędziory. Kochanków
 Szczęściu — bogini, jak ty, czyżby zazdrościć miał wzrok?
 Wiem, iż kochanki i mój zrozumiały ci zachwyty, Seleno:
 Wszakże Endymjon i w twem sercu zarzewiem raz tkwił.

¹⁾ *Antologia Palatyńska* IX, 15.

²⁾ *Ibidem* V, 85.

³⁾ *Ibidem* XII, 140.

⁴⁾ *Ibidem* V, 123.

ANTIPATER THESSALONICENSIS ¹⁾.

Niebo różowi już świt, ma Chryzillo: oddawna zazdrosną
 Wzywa jutrzeńkę tu kur, wznosząc poranny swój krzyk.
 Marnie przepadaj i giń, o ty ptaku zawistny, co zmuszasz
 Z słodkiej Chryzilli mej ścian wracać w młodzianów czezy
 [tłum.

Starość złamała cię snąć, o Tytonie: małżonkę swą Eos
 Czegoż w poranny sam chłód pędzisz z łóżnicy ty swej?

RUPHINUS ²⁾.

Bóstwa! Skąd wiedzieć jam miał, że Afrodys się kąpie w tym
 [zdroju,

Włosów złocistych swych splot w tył odrzuciwszy od lic?
 Pani, ulituj się mej niewinności i oczu śmiertelnych

Nie spisz się karać, iż kształt boski ujrzały tu twój,
 Przebóg! Poznaję: wszak to Rodokleja, nie Cyprys. Uroda
 Skądże czarowna w niej tak? Cyprys odarłaś z jej kras!

RUPHINUS ³⁾

Gdzież Praxiteles dziś jest? Poliklejta gdzie ręka słynnego,
 Która swą sztuką i w głaz żywy umiała wlać dech?

Włosów Melitty mej woń, jej spojrzenia ów płomień trawiący,
 Szyi liliowej jej biel mocen odtworzyć ach któż?

Gdzie jest ów snycerz, ach, wskaż, gdzie czarodziej ów śmiały?
 [Piękności

Takiej pasowałby chram, jako posągom enych bóstw!

RUPHINUS ⁴⁾.

Szczęśny to dla mnie dziś dzień! Swą Prodykę samotną za-
 [stawszy,

Do ambrozyjskich jej stóp chyląc w pokorze swą skroń,
 „Zlituj! — wołam — i zbaw ginącego z miłości młodzieńca,
 Uciekający precz dech łaską ty swoją mi wróć!“

¹⁾ *Antologia Palatyńska* V, 3.

²⁾ *Ibidem* V, 73.

³⁾ *Ibidem* V, 5.

⁴⁾ *Ibidem* V, 66.

Ledwie dokończył tych słów, zapłakała, by lzy wnet otarłszy,
Miękkim ramieniem mi swem szyję owinać, jak bluszcz.

PAULUS SILENTIARIUS ¹⁾.

Słodkim Laidy mej śmiech, przyjaciele; w łagodnych jej
[oczach

Kiedy zabłysną znów lzy, jeszcze słodsze mi są.

Wczoraj poczęła mi lkać bez przyczyny wyraźnej, na ramię

Główkę złożywszy mi swą, nieutulona w swych łzach,

Usty dotknąłem jej ust — i po wargach złączonych spływały

Cicho gorące jej lzy: płacze perlisty tak zdrój.

Gdym ją zagadnął, co z ócz tyle łez jej wyciska, szepnęła:

„Byś nie porzucił mnie, drzę: krzywoprzysiężcy wszak
[z was“.

II. Epigrammaty na dzieła sztuki.

ANYTE ²⁾.

(Na posąg Afrodyty w świątym gaju nad morzem stojący).

Święte Cyprydy ustronie. Wybrała je sobie bogini,

Aby stąd wzrokiem swym biedz w morza świetlistą hen dal,

Darząc pogodą żeglarzy. Dokoła niej morze półsenne

Szumi i patrzy się wciąż w jasną bogini swej twarz.

PLATO Nr. 27 ³⁾.

(Na posąg Afrodyty z Knidu).

Lekko przez morskie odmęty do Knidu spłynęła Cypryda,

Kiedy raz zdjęła ją chęć ujrzeć w marmurze swój kształt.

Swą podobiznę ujrzawszy w przestronnej wzniesioną świątyni,

Rzekła: „Gdzież naga mię mógł snycerz podpatrzeć ów,
[gdzie?“

Czego nie wolno, nie widział ów mistrz, lecz mu rylec w na-

[tebnieniu

Taką odtworzył cię tu, jakiej zapragnął sam Mars.

¹⁾ *Antologia Palatyńska* V, 260.

²⁾ *Ibidem* IX, 144.

³⁾ *Anth. lyr. (Bergk)*.

PLATO Nr. 28¹⁾.

(Na posąg śpiącego Satyra).

Uśpił Satyra Diodor, nie z srebra go odlał cennego,
Tknięty, wnet ocknie się on. Kruszec ten ciepło ma snu.

III. Napisy ofiarne.

PLATO Nr. 4²⁾.

Tais, co z Grecyi drwiąc całej, z pogardy uśmiechem patrzała
Na wielbicieli pstry tłum oblegających jej próg,
Lustro swe Pafii poświęca, nie mogąc swych wdzięków oglądać
Tak rozkwitłemi, jak wpierw, nie chcąc zwiędłemi, jak dziś.

MNESALCAS³⁾.

W twej oto, Febie, świątyni ofiara Promacha zawisła —
Krzywy bojowy ten luk z pustym kołczanem, bez strzał:
Strzały zaś gorzkie, skrzydlate, w zamęcie bojowym rozsiane,
W piersi najeźdźców już tkwią — zgubny był gościom ten
[dar!

PAULUS SILENTIARIUS⁴⁾.

Złoty wyrwawszy raz włos ze swych bujnych kędziarów, Do-
[ryda
Ręce związała mi nim, mówiąc, że jeńcem mi być.
Z słów tych z początku-m się śmiał, przypuszczając, iż łatwo
[mi będzie
Z miłej Dorydy mej pęt wyrwać na wolność się precz.
Kiedy zaś zbrakło mi sił do stargania ich, jęczeć poczęłem,
Czując schwytanym się w splot sideł tak mocnych, jak stal,
Odtąd na włosku twym tkwią i — trzykrotnie nieszczęsny! —
[gdziekolwiek
Pani pociągnie mię dłoń, muszę, niewolnik, się wlec!

1) *Anth. lyr. (Bergk)*.2) *Ibidem*.3) *Antologia Palatyńska VI, 92*.4) *Ibidem V, 230*.

MELEAGER¹⁾.

To, co ci rzekłem, jej mów. Po raz drugi i trzeci powtórzę
 Wszystko, Dorkado, jej to pomnij, co rzekłem ci. Idź!
 Dłużej nie zwlekaj już, leć. Na chwileczkę — no jeszcze, Dor-
 [kado,
 Wstrzymaj się. Dokąd tak mkniesz, nim-em ci wszystko
 [mógł rzec?
 Dodaj do tego, com wpierw opowiedział, że... w głupstwa
 [brnę dalej...
 Nie mów zupełnie jej nie.... chyba że.... Wszystko już
 [mów!
 Śmiało więc wszystko jej mów!... Ale po co wysłałem cię,
 [Dorkas,
 Skoro wraz z tobą — patrz — sam stoję u milej mej wrót?

MACEDONIUS HYPATUS²⁾.

„Po co dobywasz ten miecz?“ — „Na urodę twą, dziewczę,
 [nie po to,
 Aby żelazem tem kłam zadać płomieniom, co tłą
 W sercu, lecz aby ci tu morderczego Aresa przedstawić,
 Jako pokornie do stóp słodkiej Cyprydy się gnie.
 W mękach tęsknoty ten miecz powiernikiem mi, ani też bra-
 [knie
 Lustra mi kiedy, gdyż w nim widzę odbicie mych lic,
 Dotąd przez wewnętrzny ów żar nie spalonych. Przypomnisz
 [mię kiedy?
 Wiedz, że mi oręż ten sam piersi przeszyje na wskrós.“

ANONYMUS³⁾.

Cudną Irenę sam chór Kupidonów podziwiał, gdy złoty
 Domu Cyprydy ów próg przestępowała raz swą
 Nóżką. Ach, boska od stóp aż do głowy latorośl to — kuta
 Rzekłbyś z marmuru — jej kras brzemię zbyt ciężkiem się zda!
 Zaczął więc psotny ów chór z purpurowej swych łuków ciężkiwy
 Rączki drobnemi do sere chłopców za grotem ślać grot.

¹⁾ *Antologia Palatyńska* V, 182.

²⁾ *Ibidem* V, 238.

³⁾ *Antologia Palatyńska*, *ibidem*.

IV. Napisy grobowe. (Epitafia).

ANONYMUS¹⁾.

(Na grób Platona).

Ciało już w łono tu swe macierzysta przyjęła ziemica,
 Wśród nieśmiertelnych zaś bóstw błogo weseli się duch
 Mędrca Platona. Że być, jako bogi, za życia on zdołał,
 Za to po świata hen kres prawy uwielbia go mąż.

TIMOTHEUS I THUCYDIDES²⁾.

(Na grób Euripidesa).

Pomnik Mnezarcha gdy syn ma w pamięci Hellady, posiadała
 Proch Macedonia, gdzie kres znalazł poeta swych dni.
 Zrodził w Atenach się on — tej Helladzie Hellady. Że pieśnią
 Wielu porywał on swą, wiele też sławi go ust.

ANONYMUS³⁾.

(Na grób Diogenesa).

„Leżąc tak, czyżże to, psie, nieodstępnie grobowiec ochra-
 [niasz?“ —
 „Męża, co psem się też zwał“. — „Cóż za człowieczy znów
 [pies?“
 „Sam Diogenes“. — „Skąd on?“ — „Wszak Synopy jest
 [chlubą“. — „Ten z beczki?“
 „W beczce za życia miał schron, gwiazdy zamieszkał on
 [dziś“.

SIMONIDES⁴⁾.

W walce za miłą ojczyznę gdy sławy wieczystej szukali,
 Mężów uniosła tych śmierć, ciemną osnuwszy ich mgłą.
 Żyją, choć głowy złożyli, bo głos potomności, wynosząc
 Cnotę pod nieba sam strop, z Hadu wyzwala ją pęć.

¹⁾ *Antologia Palatyńska* VII, 62.

²⁾ *Ibidem* VII, 45.

³⁾ *Ibidem* VII, 64.

⁴⁾ *Anth. lyr. (Bergk)* 99 (154).

SIMONIDES ¹).

Jeśli śmierć w boju zaiste najwyższą jest mężnych nagrodą,
 Nam przed wszystkimi tę cześć raczył w udziale dać los,
 Nam, co Hellenów swobody siłami gdy bronim wszystkimi,
 Legliśmy, szczęśni, iż laur nie zestarzeje się nasz.

SIMONIDES ²).

Całej Hellady gdy losy na ostrzu ważyły się miecza,
 Padliśmy, własną swą krwią kraj wybawiając od łyk,
 Posiew zaś żalów gryzących w najeźdźcy pierś szczepiąc
 [dumnego,
 Tak, iż przytomnym mu jest zawsze ów pogrom wśród fal.
 Na Salaminie dziś leżym, gdzie Korynt ojczysty, za czyn nasz
 Świadcząc nam wdzięczność i cześć, pomnik spiżowy ten
 [wzniósł.

LEONIDAS Z TARENTU ³).

(Przedwcześnie zmarłemu ojcu).

Syna w kolebce rzucając, a sam w pełni życia i siły,
 Tyś zgasł, w cichy zstępując ten grób.
 Bogów posiadłeś już dom, gdy synaczka sierotę ziomkowie
 Będą i kochać i strzedz, pomni, kto ojcem mu był.

LEONIDAS Z TARENTU ⁴).

(Dziewczątku).

Zanim dziewiąty zbiegł rok, przekroczyło już dziewczę fatalny
 Hadu ów próg, choć, jak kwiat, rośnie rówieśnic jej tłum.
 Biedna! Stęskniła się snadź za dwudziestomiesięcznym bra-
 [ciszkiem,
 Słodkim chłopaczkiem, co też poznał, jak srogą jest śmierć.
 Godny litości twój ból, Perystero. Ach, czemuż bogowie
 Na śmiertelników mdły ród klęskę za klęską wciąż szlą?

¹) *Anth. lyr. (Bergk)* 100 (153).

²) *Ibidem* 97 (158).

³) *Ibidem* VII, 659.

⁴) *Ibidem* VII, 662.

CALIIMACHUS ¹⁾).

(Żeglarzowi).

Gdyby nie zrodził się był wynalazca żeglugi, Sopolis,
Syn Dioklida, czyż dziś oplakiwanyby był?
Oto igraszka jest fał, gdy, druhowie, miast druha mijamy
Pusty grobowiec, skąd lśnić imię to drogie ma wciąż.

ANYTE ²⁾).

(Kogutowi).

Nigdy już, nigdy, jak popierw, puszystemi trzepocząc skrzy-
[dłami,
Krzykiem nie zbudzisz mię, sam w szary zbudziwszy się
[świt:
Kucharz, podszedłszy cię snem dobroczynnym zdjętego, zdra-
[dziecko
Życia pozbawił, gdy w krtąń ostry zatopił swój szpon.

¹⁾ Ibidem VII, 271.

²⁾ Ibidem VII, 202.

Marcin Bielski i Erazm z Rotterdamu.

Uwagi o naszych zadaniach względem literatury polskiej XVI wieku ogłoszone przed dwudziestu przeszło laty (*Przegląd Polski* 1883, I) przez prof. Kazimierza Morawskiego, nie wiele tylko straciły ze swej aktualności przez wykonanie niektórych części podanego w nich programu. Nie ziściło się bowiem najważniejsze życzenie, by historycy literatury polskiej uwierzyli wreszcie, że bez dokładnej znajomości literatury klasycznej i humanistycznej i bez metody filologicznej o naukowem traktowaniu ówczesnej literatury polskiej mowy być nie może. To też parafraza utworów, przeplatana estetycznymi i moralizatorskimi wynurzeniami, nawet w monografiach wszechwładnie panuje. Stosunek do wzorów humanistycznych i klasycznych albo zupełnie w nich pomijany, albo zbywany ogólnikami, które niby wiele mówią, ale w rzeczywistości nic nie znaczą. Wystarczy wymienić Reya i jego *Żywot człowieka poczciwego* i przypatrzeć się temu, co o tem pisano w ostatnich lat dziesiątkach¹⁾, by w całej pełni potwierdzić słuszność powyższych zdań. Tymczasem jedynie dokładne określenie stosunku polskiego pisarza do źródeł i wzorów może służyć za podstawę do jego charakterystyki i oceny.

W *Żywotach filozofów* Marcina Bielskiego widziano długo oryginalną historję filozofii, opartą na starożytnych auto-

¹⁾ Dopiero najbliższy czas przyniesie prace o źródłach Reya prof. A. Brückerera i dr. T. Sinki.

rach, póki dr. Władysław Wisłocki w rozprawie p. t. *Gwalter Burley i Marcin Bielski*, umieszczonej w VI tomie *Rozpraw Akademii Umiejętności* (Wydz. filol., r. 1878) nie udowodnił, że owa „pierwsza książka polska z pola literatury właściwej“, to tylko tłómaczenie i przeróbka odpowiednich ustępów z książki Gwaltera Burley'a: *De vita et moribus philosophorum*. Jedyną myślą przewodnią Bielskiego było „rozmożenie języka polskiego, którym przedtem dla trudności jego nie wiele pisano“. Dziwna rzecz, że ten sam Wisłocki, wydając w *Bibliotece pisarzy polskich* (r. 1889) trzy satyry Marcina Bielskiego, nie skorzystał z doświadczeń, poczynionych z prozaikiem, i nie okazał się więcej podejrzliwym na oryginalność autora *Sejmu niewieściego*. Prawdopodobnie bystrość jego wzroku zaciemniła powaga historyka Bernarda Kalickiego, który ową satyrę uznał za dość wierne odzwierciedlenie umysłowości Polek z XVI w. i oparł na niej swe wywody *O pomysłach emancypacji kobiet w Polsce XVI i XVII w.* (*Przegląd polski* 1873/4, I). Za Kalickim poszedł R. Ottmann i, wzbogaciwszy materiał satyrą Jana Oleskiego i artykułami kobiecemi, zawartemi w rękopisie Nr. 116 Biblioteki uniwersyteckiej krakowskiej, snuł dalekie wnioski o ruchu feministycznym w Polsce w swoich *Beiträge zur Culturgeschichte der polnischen Frauen etc.* (Kraków 1884). Ostatnie słowo w sprawie oryginalności Marcina Bielskiego wypowiedział prof. A. Brückner, który w swej *Literaturze* (I 145) pisze, co następuje: „Prawdzie ten, nietknięty od humanizmu, pokazał w swoich wierszach, satyrach, allegoryach, jakimi drogami samorodna, domorosła poezya kroczyć mogła bez podpór i ozdóbek humanistycznych, fałszujących styl polski“. Ponieważ dr. Brückner w wielu swoich wydawnictwach, np. w *Fuocyjach polskich z r. 1624*, gruntownie bada stosunek rzeczy polskich do źródeł humanistycznych, możnaby sądzić, że i sąd jego o Bielskim „nietkniętym od humanizmu“ na takich badaniach i ich negatywnym wyniku się opiera. Tymczasem w tym wypadku dr. Brückner poszedł za tradycją historyków literatury polskiej i twierdzenie swoje oparł na takim rozumowaniu: „Nie znam utworów humanistycznych, z którychby Bielski mógł być czerpać — a więc nie czerpał z utworów humanistycznych, był nietknięty od

humanizmu“. Wystarczy przejrzeć jedną z najpopularniejszych w Europie książek humanistycznych: *Familiaria Colloquia* Erazma z Rotterdamu, by innego nabrać przekonania o samorodności poezyi Bielskiego.

Wśród rozmów, poświęconych pannom i mężatkom, poczystne zajmuje miejsce: *Senarulus sive Gynajkosynedrion*. Występuje pięć niewiast: Cornelia, Margareta, Perotta, Julia, Catharina, ale przemawia właściwie tylko Kornelia, która zaprosiła swe przyjaciółki na poufne zebranie, celem przygotowania wielkiego wiecu niewieściego. Cztery inne niewiasty tylko przygodnie wtrącają swe zdanie, przyczem Perotta, wierna swemu błazeńskiemu imieniu, reprezentuje żywioł szyderyczy i opozycyjny. Treść wywodów Kornelii jest taka. Mężowie zbierają się codziennie dla załatwiania wspólnych spraw. Natomiast kobiety nie wychylają się z domu, siedzą przy krosnach i wrzecionie, nie mają żadnej organizacyi: dlatego interesy ich zupełnie zaniedbane, dlatego mężczyźni uważają je za swe zabawki i omal nie odmawiają im nazwy człowieka. Jeżeli tak dalej pójdzie, czeka je zupełna utrata godności. A choćby o godność nie dbały, to przynajmniej na swą całość (*incolumitas*) uważać powinny. A ochrona ta tylko przez wspólne działanie da się osiągnąć. Mają biskupi synody, mnisi kapituły, żołnierze raporty, złodzieje konwentykle, nawet mrówki mają swe zebrania. Ze wszystkich jestestw żyjących tylko kobiety nigdy się razem nie schodzą. W dawnych czasach inaczej bywało. Matka Heliogabala, Augusta, utworzyła dla załatwiania spraw niewieścich osobny senat, z kobiet złożony, a mężczyźni przewalali ten senat senacikiem (*senatulus*), czy to dla wyszydzenia go, czy też dla odróżnienia od senatu męskiego. Ten przykład trzeba wznowić. Wprawdzie św. Paweł zabrania kobiecie przemawiać na zgromadzeniu (*mulier taceat in ecclesia*), ale przez *ecclesia* rozumie zgromadzenie mężczyzn. Na zebraniu kobiecem wolno kobietom przemawiać. Wszak na to natura dała im język obrotniejszy niż mężczyznom, głos donośniejszy, bo wyższy. Jeśli tylko z należną powagą obradować będą, nie nazwą mężczyźni ich zgromadzenia senacikiem, gdy się przekonają, że kobiety więcej uradzić potrafią, niż monarchowie, teologowie i laicy.

I gdyby kobiety ujęły w swe ręce ster spraw ludzkich, znośniejby się ułożyły sto-unki ludzkie.

Aby przyszedł walny wiec w zupełnym mógł się odbyć porządku, proponuje Kornelia, by od obrad wykluczyć panny, nadto te mężatki i wdowy, które przekroczyły już siedmdziesiąty rok życia i te, które trzy razy były zamężne. Prosi też o uchwalenie wniosku, by podczas obrad nie wymieniać imion mężowskich i nie zniesławiać osobistości. Wolno tylko mówić o całym rodzaju męskim. Wszakże godność mężatek od godności ich mężów zależna. A choć ci dają pewne powody do skarg, to trzeba zważyć, że ogółem rzecz biorąc, los kobiet jest znośniejszy od losu mężczyzn. Mężczyźni muszą się uganiać po łąkach i morzach za zarobkiem, nieraz z niebezpieczeństwem życia; muszą w wojnie krew przelewać, gdy kobiety spokojnie siedzą w domu. Prawa surowiej karzą przekroczenia mężczyzn, niż kobiet. A wreszcie od kobiety to zależy, by mąż był po jej woli. Nie mniej ważnym punktem jest ustanowienie porządku, w jakim siedzieć będą uczestnice przyszłego wiecu. Pierwszy więc rząd zajmą szlacheianki, od najstarszej aż do najmłodszej szlachty; drugi należy się mieszcankom i tu te pierwsze zajmą miejsca, które najwięcej mają dzieci; trzeci rząd zapełnią kobiety bezdzietne. Wdowy usiądą obok matron także według ilości dzieci. Nałożnice i nierządnicę się wykluczy.

Głosowanie odbywać się będzie imiennie i ustnie. Która niepytana się odezwie, musi opuścić wiec. Która wygada coś z przebiegu obrad, na tygodniowe skazana będzie milczenie.

Tyle o regulaminie i porządku obrad. Przedmiotem ich będzie kwestya godności kobiecej, a że ta objawia się przede wszystkim w stroju, unormowanie stroju stanowić będzie pierwszy punkt programu. Dziś na tem polu zupełne zamieszanie: nie odróżnisz szlacheianki od mieszczi, panny od mężatki, matrony od gamratki. Co dawniej było odznaką księżnej czy hrabiny, wnet stało się modą wszystkich szlacheianek, za niemi mieszczek. Także ceremonial dworski i szlachecki przejęły niższe warstwy. Liczne mezalianse przyspieszają to pomieszanie się wszystkich stanów. W mocy kobiet

leży ustanowić znowu różnice stanowe i określić strój, ceremonial i sposób życia odpowiedni każdemu stanowi.

Ale i z mężami trzeba się porozumieć co do pewnych spraw. Nie mogą kobiety i nadal pozostać tylko kucharkami i praczkami. Rezygnują wprawdzie z urzędów publicznych i stanowisk wojskowych; ale domagają się, by herb żony nie był umieszczany na lewo od herbu męzowskiego; żądają, by i matka miała udział w postanowieniach o losach dzieci. Może kiedyś uda się zdobyć i to prawo, by kobiety naprzemian z mężczyznami piastowały pewne godności, o ile sprawuje się je w obrębie miast i bez broni.

Nad tym programem mają się kobiety zastanowić w domu, by na zgromadzeniach, które się będą odbywać przez cały szereg dni następnych, mogły powziąć odpowiednie uchwały. Protokół prowadzić będzie cztery stenografki (*notarivae*), a głosu udzielać i odbierać go będą dwie kwestorki (*questoriae*).

Taka jest ta niewinna satyra wielkiego humanisty, skierowana w pierwszym rzędzie przeciw zbytkowi w strojach i życiu mieszczek, w drugim przeciw bezwoocnym i krzykliwym obradom męskim. Nawet kobiety porządniej i skuteczniej obradować potrafią, niż politycy i teologowie. Naturalnie i te wzory nie są wolne od słabostek i śmieszności. O czemżeby innem mogły obradować, jeśli nie o strojach, nie o umieszczaniu swych herbów. Inne ich żądania są bardzo skromne, a myśl o dopuszczeniu kobiet do pewnych godności wypowiedziana tylko nieśmiało i mimochodem. Pewna ironia leży też w tem, jak Kornelia tłómaczy powiedzenia biblijne i świadectwa starożytnych autorów. Ów rzekomy senat kobiecy matki Heliogabala polega na umyślnem czy mimowolnem niezrozumieniu następującej notatki Eliusa Lampridiusa (*Żywot Heliogabala* r. 26): „Wszystkie nierządnicę z cyrku, teatru, ze stadyonu, ze wszystkich placów i łaźni zgromadził Heliogabal w gmachu rządowym i odbył z nimi niby wojskową naradę, nazywając je towarzyszkami broni (*commilitones*) i t. d.“

Erazm bawił się swoim pomysłem, ale go nie wyzywał, nie rozprowadził. Nie starał się nawet o przydzielenie

ról poszczególnym niewiastom, nie zadał sobie trudu, by je bliżej scharakteryzować: nie miał wiele do powiedzenia.

Inaczej Marcin Bielski. Myśl o poprawie Rzeczypospolitej, o zreorganizowaniu urzędów i sądów, stosunków ekonomicznych i politycznych, a przede wszystkim wojskowych i wojennych w Polsce, nie dawała mu spokoju. Głosił on swe kazania na stosunki współczesne i projekty poprawy przez usta pustelnika w *Śnie majowym*; a gdy ludzie milczeli, kamieniom kazał mówić, mianowicie kamiennym baranom w *Rozmowie dwu baranu o jednej głowie*. Ale i to nie pomagało. Więc nieproduktywnym obradom „panów z brodami“ przeciwstawił pełen projektów i reform *Sejm niewieści*. Treścią jego nie żadne zakusy emancypacyjne kobiet polskich XVI w., tylko Egzekucya praw. Ktoby o tem wątpił, niech przeczyta ostatnich trzysta wierszy, w których „matka Ziemia polska uczy białogłowy walczyć“. Wszakże to rymowany wyciąg z tego, co później Bielski ogłosił w *Sprawie rycerskiej* i poparł przykładami z Frontinusa, Vegetiusa i humanistycznych autorów o sztuce wojowania, oblegania miast i t. p. Wyraźnie zaznacza to sam autor, mówiąc (wiersz 1037 n): „Już natenczas córuchny macie dosyć o tem, drugie *Rycerskie sprawy* napiszę wam potem“. Historyk, patrzący z tego stanowiska na *Sejm niewieści*, może wyczytać w tej broszurze politycznej mnóstwo ciekawych przyczynków do Egzekucyi praw. Nas ta główna sprawa na razie nie obchodzi, gdyż mamy się zająć tylko stosunkiem Bielskiego do Erazma z Rotterdamu.

Otóż wspomnieliśmy już, dlaczego Bielski kobietom kazał mówić. Pomysł poufnej narady przed walnym wiecem wziął od Erazma, ale tak go zmienił, że na tej pierwszej naradzie kazał kobietom wybrać dwie delegatki, któreby księżnej, t. j. polskiej Ziemi, prosily o zwołanie sejmu niewieściego i przedłożyły jej artykuły niewieście. Do tego prologu dodał Bielski trzy akty: „Rzecz posłów przed księżną. — Posłowie poselstwo oddawają i odeczytują artykuły. — Matka Ziemia polska uczy białogłowy walczyć“. — Już z tego widać, że zależność Bielskiego od Erazma dotyczy przede wszystkim prologu. Zasadnicza różnica jest ta, że u Bielskiego wszystkie siedm niewiast równe mają rolę — u Erazma

Kornelia przeważnie sama rzecz wiodła. Ale skorzystał Bielski z tego, że Erazmowa Perotta mogła przedstawiać żywioł szyderyczy i opozycyjny i stworzył z niej Konstancję, przeciwną wszelkiej akcyi przeciw mężom. Konstancya zaraz przy pierwszym odezwaniu się (wiersz 81 n) rymuje zdania Kornelii Erazmowej: „Jeśliibyśmy swe męża ganiły, sobiebyśmy sromotę czyniły, bo my z mężów swych uczciwość mamy.... mężowie są naszymi gospodarzami, muszą zawsze w pracy być na sparze, nędzę cierpieć na wojnie, gardłować... A my doma siedzimy, by kwoczki i t. d.“ Kornelia mówi tak: *Statuendum, ne qua nominatim de viro suo loquatur petulantius... Si velimus fateri verum, nostra dignitas pendet a viris: eos si traducimus, quid aliud, quam nos ipsas dehonestamus? Nostra potior est, quam illorum conditio: illi dum quaerunt rem, per omnes terras ac maria volitant, non sine capitis discrimine: illi, si bellum insidat, excitantur buccina, ferrei stant in acie, dum nos domi sedemus tutae etc.*¹⁾ Echo tych wywodów pobrzmiewa i w słowach Eufemii: by „nie płocho ani z gniewem przeciw mężom kroczyć“ (wiersz 163). A reszta jej wywodów o tem, że mężczyźni czynią kobiet „w śmiechy obracają, naszą sprawę i radę za błazeństwo mają; i teraz co czynimy, skoro to usłyszą, wnet jeden do drugiego nowiny rozpiszają. Będą sobie powiadać, z nas biesiady stroić, i to w dworstwo obracać, cóż chcą żony broić“ (wiersz 169 n.), ma źródło w tych słowach Kornelii: *Verum illud oportet nobis omnibus esse curae, ut ea gravitate tractemus hoc negotium, ne rursus viri Senatulum appellent; aut fortasse probrosius aliquod nomen excogitent, ut solent in nos libenter esse dicaces.* Opowiadanie Erazma o niewieścim senacie w Rzymie włożone tu w usta Beaty (wiersz 51 n.): „Dawnom o tem słyszała, w kronikach pisano, iż niewieście pogłowie w radę wybierano, i same cesarzowe z nimi tam siadały, wspólnej rzeczy i prawa pilnie przestrzegały“. Więcej o tym senacie opowiada Ludomila (wiersz 55 n.), nie dodaje jednak, że prze-

¹⁾ Podane powyżej dokładne streszczenie rozmowy Erazmowej uwalnia nas od konieczności podawania polskiego przekładu łacińskich cytat.

wodniczyła mu — matka cesarza i że tylko niewieście sprawy na nim roztrząsano. Uwaga o senatulusie (wiersz 70) ta sama, co u Erazma. Ta Ludomiła więcej Erazmowych zdań przytacza. Kiedy mówi (wiersz 221 n): „Przeto Bóg dał języki, abyśmy mówiły, przeto głowę z rozumem, abyśmy radziły. Z tej mierze nas stanowi, jak mężę sposobił, swemi wielkimi dary nas dobrze ozdobił... Mają księża swe sejmy, mniszki kapituły, i złodziej na swobodzie jest w swej rzeczy czuły; tylko my same żony z swego urodzenia nie mamy społecznego ku radzie schodzenia. Starajmyż się o tę rzecz, cośmy przedsięwzięły, jeśli tak zaniechamy, pewnieśmy zginęły“, to powtarza za Kornelią: *In quem usum natura dedit nobis et linguas non minus expeditas quem sunt viro-rum... Habent episcopi suas synodos, habent monachorum greges sua conciliabula, habent milites suas stationes, habent fures sua conventicula... Solae omnium animantium mulieres nunquam coimus... Quod si, qua coepimus pergamus, divinate vos ipsae, quo tandem res sit evasura...* Krytyka narad męskich (wiersze 10 n, 70 n, 119 n) także za Erazmem powtórzona, choć tu Bielski już polskie przed oczyma ma stosunki. Nie mniej wspólne im są narzekania na położenie kobiet: „Chocia oni nas zową białogłowy, prządki; ku większemu zelzeniu kobietami: zową“ (wiersz 6 n). „Nam każą doma siedzieć, praść kądziel a motać“ (wiersz 109). „Nastatek nas mają za praczki, kucharki“ (wiersz 287) por.: *Nos colo telaeque assidentes... vix hominis vocabulo dignentur (sc. viri). Qui nos summovent ab omni dignitate, ac tantum non pro lotricibus et cocis habent.*

Jeśli Bielskiego Potencyana opowiada „o znacznych białogłowach, co o nich czytała“ (wiersze 129 — 154), to już nie z Erazma czerpie, ale z Boccaccia: *De mulieribus claris*. Natomiast wniosek Katarzyny, „by osobno siedziały panny, wdowy, panie“ (wiersz 344), jest tylko modyfikacją wniosku Kornelii, a artykuł XI (o strojach) (wiersz 525 n) streszcza wywody Erazma. Z niego też wzięte są nadzieje co do przyszłości: „Dobrze wszyscy obaczą, że lepszy rząd będzie, gdy żona na mężowem miejscu w radzie siedzie. Por.: *Si nobis essent traditae rerum habenae, aliquanto, ni fallor, tolerabilius haberent res humanae.*

Po tem zestawieniu utworów każdy przyznać musi, że pomysł do *Sejmu niewieściego* i wiele motywów wziął Bielski od Erazma z Rotterdamu. Nie był więc nietknięty przez humanizm, jak twierdzi prof. A. Brückner. Przeciwnie, był humanistą, czytał oprócz Erazma także Boccaccia: *De mulieribus claris*, a bliższy rozbiór *Sprawy rycerskiej* wykaże znajomość nie tylko starożytnych, ale i humanistycznych taktyków. A chociaż *Żywoty filozofów* tłómaczone z Burley'a łączą go z wiekami średnimi, choć dla *komedyi Justyna i Konstancyej* nie trudneby było średniowieczne wyszukiwać źródło, to zapominać nie należy, że humaniści na całym Zachodzie nigdy z średniowiecznych źródeł czerpać nie przestali. Jak Burley wiele korzystał ze *Speculum* Wincentego de Beauvais, tak z Burleya czerpią humaniści przez cały wiek XV i XVI.

Lubili oni piorunować na barbarzyństwo średniowiecznych poprzedników, ale cichaczem wypisywali z nich całe strony. Dość wspomnieć o *Doctrinale* Aleksandra de Villa Dei, na którego i nasz Grzegorz z Sanoka rzucał gromy potępienia. Reichling w wydaniu *Doctrinale* (Berlin 1893) wykazał, że jeszcze w XVI w. okradali je humanistyczni gramatycy. Nic więc nie przeszkadzało, by i polski humanista także z średniowiecznych czerpał źródła.

Ale i drugi przesąd powinno usunąć poznanie wzoru Bielskiego i tendencyi jego politycznej broszury. Za objaw jakiegoś ruchu feministycznego w Polsce XVI w. uchodzić ona nie może, skoro treścią są wywody o poprawie Rzeczypospolitej, pisane pod adresem mężczyzn, tylko przez usta kobiece wypowiedziane, jak kiedyindziej przez usta kamiennych baranów. A może to poznanie doprowadzi i do uznania, że artykuły niewieście kodeksu krakowskiego Nr. 116 są także tylko — mistyfikacją i satyrą, a raczej utopią na temat: „gdyby kobiety dopuszczono do głosu, czegoby one żądały“?

Dr. Tadeusz Sinko.

Z dziejów Stolicy św. za pontyfikatu Piusa VII¹⁾.

(Dokończenie).

IV.

Fenestrelle.

Po wyjeździe Piusa VII z Fontainebleau w dniu 26 stycznia, oficer żandarmeryi zakomunikował szesnastu kardynałom tamże przebywającym, że mają oni wyjeżdżać w czterech następnych dniach, po czterech każdego dnia, że każdemu z nich towarzyszyć będzie oficer żandarmeryi, który im oznajmi, jakie któremu z nich miejsce pobytu wyznaczono. I rzeczywiście 27 stycznia zaczął się wyjazd kardynałów. Byli oni ściśle od siebie rozdzieleni. Jechali drogą tą samą, którą przejeżdżał poprzednio Papież — wszyscy pod ścisłym policyi dozorem. Oprócz ponoszenia kosztów podróży, musieli opłacać także i towarzyszącego im żandarma²⁾.

Pomiędzy tymi purpuratami znajdował się także i ten, który razem z Piusem VII wywieziony został z Kwirynału w dniu 6 lipca 1809 r., zastępujący wówczas sekretarza stanu, kardynał Pacca. Zbyt znaczącym był w owych czasach ten Kościół dostojnik, zbyt dziejowe jest jego imię, ażebyśmy i o jego

¹⁾ Por. zeszyty z września i z listopada 1904 r.

²⁾ Supl. *Aktów Stolicy św.* Tom VI.

mężeńskich losach więcej szczegółowo wspomnieć tutaj nie mieli.

Wiemy już, że po owej pamiętnej nocy w Certosie, wśród której i Paccę i Papieża tak niespodziewanie przebudzono, został on od Papieża oddzielonym. Przez Bolonię i Modenę odstawiono go do Alessandryi, gdzie przybył był jego bratanek i kilka osób z jego otoczenia. Nadzór nad więzionym kardynałem był jak najściślejszym, nawet dla słuchania Mszy św. w niedzielę nie wolno mu było udać się do kościoła, a mieszkać musiał przez sześć dni w Albergo della Città. W tym hotelu, opowiada on ¹⁾, znajdowały się na ścianach pokoju znaki masonskie i miały się w nim odbywać częste zebrania wolnomularzy, z czego wnosić można, iż właściciel hotelu był członkiem sekty i że miał stosunki z francuskim generałem. Także i niezadługo potem w Grenoble, gdzie Pacea przebywał w tym samym czasie co i Papież, ale gdzie nie dozwolono mu mieszkać z nim pod jednym dachem, opowiada, iż zebrania wolnomularskie odbywały się w domu, w którym mieszkał i to tak, że gdy w jedną niedzielę zebrało się w jego pokojach dużo osób dla słuchania Mszy św., przez niego odprawianej, nad temi samemi pokojami przyjmowano nowego członka łoży i nawet słyszano przemowę t. zw. *vénérable*, który, jak mu się zdaje, był jakimś ex-zakonikiem. Słyszano także i piosnki podczas uczty śpiewane, których treści zrozumieć jednak nie można było.

Szczególnem było to przeznaczanie dostojnikowi kościelnemu kwatery w pobliżu miejsca zebrań potężnej sekty Kościołowi wrogiej, a niedopuszczanie, tak do Papieża, jak i do niego, księży, którzy z zastępu licznie cisnących się do Głowy Kościoła wyjętymi byli.

Wzmianka o księżach przypomnieć nakazuje, jakimi były stosunki ówczesnego duchowieństwa we Francyi. Rewolucyi wstrząśnienia, cywilna kleru konstytucya, konkordat i wynikłe z niego kościelnej hierarchii uregulowanie, wśród kleru francuskiego wielkie wywołały rozdziały. Pacea dzieli księży francuskich z owych lat na cztery kategorye. Pierwszą byli ci, którzy duchem *jansenizmu* przesiąknięci i na

¹⁾ *Pamiętniki kardynała Pacea.*

głos Rzymu zawsze głusi, przysięgę na konstytucję złożyli, a następnie, pomimo potępienia jej przez Piusa VI i pomimo konkordatu z r. 1801, cofnąć jej nie chcieli. Druga składała się z tych, którzy wykonali rzeczoną przysięgę i, pomimo orzeczeń papieskich, jej nie odwołali, ale w r. 1801 albo w skutek żalu za ten zły postępek, albo dla otrzymania stanowisk kościelnych, poddali się konkordatowi. Trzecią stanowili t. zw. *purysci*, t. j. księża, którzy w czasie Rewolucyi zachowali się bardzo przykładnie, albowiem przysięgi na konstytucję złożyć nie chcieli i w dniach prześladowania żyli w ukryciu, niosąc wiernym pociechy religijne w sposób tajemny, ale, po zawarciu konkordatu, po części w skutek fałszywego, może nieco ciasnego sposobu widzenia rzeczy, a w znacznej części także dlatego, iż nie ufali ludziom na czele rządu stojącym i poczytując konkordat za groźbami i gwałtami wyłudzony na Papieżu, którego z powodu tych stosunków za zupełnie wolnego nie uważali, za ważny i obowiązujący uznać go nie chcieli. Jakkolwiek błędem było to zdanie, z powodu zamieszania pojęć, jakie w tych czasach burzliwych panowało, na wytlómaczenie ono jednak zasługuje, aż do chwili, w której niektórzy z biskupów, zwłaszcza z pomiędzy będących na emigracyi, na wezwanie Stolicy Apostolskiej zrzeczenia się swoich dyccezyj odmówili, co pewien rodzaj schizmy kościelnej zrodziło. Podobnie jak w pierwszych Kościoła wiekach Donatyści¹⁾, tak i *purysci* francuscy popadli w rodzaj fanatyzmu i obłądzenia, siebie samych głosząc za jedyne prawowiernych katolików, w przeciwieństwie do Papieża i reszty Kościoła, zdaniem ich, w błąd popadłych! Szczęściem, że sekty tej dni istnienia nie były długimi. Do czwartej klasy wreszcie należeli ci, którzy i w r. 1791 głosu Papieża usłuchali i w r. 1801 konkordatowi bez wahania się poddali.

Z powodu tych rozdziałów, nie wszyscy duchowni francuscy za godnie sprawujących kapłańskie obowiązki uważani być mogli, i dlatego, gdy niezadługo po przybyciu do Grenoble kardynał zażądał spowiednika, który, pomimo wzmiankowanego zakazu niezbliżania się księży i do Papieża i do niego,

¹⁾ Sekta powstała w IV wieku, po prześladowaniach za Dioklecjana — odznaczała się nadzwyczajnym rygoryzmem.

po przełamaniu różnych trudności raz jeden mógł się u niego stawić, zanim przystąpił do spowiedzi, zadawać mu musiał liczne pytania co do jego przeszłości i obecnego sposobu myślenia, a to głównie dlatego, ażeby wśród ludności złego wrażenia, ewentualnie nawet i zgorzenia nie wywoływać spowiedzią, odbytą przed kapłanem władzy kościelnej w rzeczach zasadniczych nie zupełnie uległym.

Że i wśród świeckich, oczywiście nie bez wpływu kleru, dużo zamętu w pojęciach wtedy istniało, dowodem jest opisana przez kardynała wizyta, którą zrobiła mu jedna zakonnica w towarzystwie sędziwej pani, za świętą uchodzącej. Opierając się na mniemanej konkordatu nielegalności, obydwie za legalnego pasterza dyecezyi Grenoble nie uznawały na podstawie konkordatu zamianowanego biskupa Simon, a stąd także i proboszcza przez niego ustanowionego. Ponieważ chciały one usłyszeć zdanie kardynała w tej mierze i zasięgnąć jego rady, tłómaczył on im najdokładniej powody, które Papieża do zawarcia konkordatu skłoniły, oraz prawomocność tego układu. Ale zdaje się, że te wywody na ową świętą wpływu nie wywarły, gdyż na wszystko tym samym odpowiadała frazesem: *Le Saint Père a été toujours dans les fers* („Ojciec święty był zawsze w łańcuchach“) w skutek czego, jak kardynał przypuszcza, to jej zdanie u obydwóch przeważało!

W czasie owego pobytu w Grenoble, jak zwykle w takich razach bywa, mnóstwo rozmaitych wieści, coraz to nowszych, rozchodziło się co do przeznaczenia Papieża i kardynała Pacca. Oczywiście, że wszystkie z jak najlepszego źródła pochodzić miały i nibyto świadczyły o dobrych intencjach cesarskiego rządu. Jak się sprawdziły odnośnie do Papieża, wiemy już dobrze — wszak jego pobyt w Grenoble był tylko stacją na drodze do Savony. Pacca, pomimo chodzących wieści, iż będzie Papieżowi towarzyszył, został zawiadomiony, że ma być gotowym do podróży do Piemontu i że wyjazd niebawem, t. j. w kilka godzin po otrzymaniu tej wiadomości nastąpi. Ze sposobu, w jaki mu to oznajmił oficer, który go strzegł, jak i z widocznych podróży zarządzeń, o celu tejże bardzo niepomyślnie sądzić można było. A zwłaszcza upoważniały do nich słowa Napoleona do paryskiego kardyna-

nała legata Caprara, wyrzeczone w czasie, gdy rząd francuski zajął był Państwo Kościelne. Groził on wówczas rozstrzelaniem każdemu, któryby rękę przyłożył do publikacji jakiegokolwiek bądź aktu protestu, albo potępienia aneksyi. Wiemy zaś dobrze, iż kardynał Pacca, jako sprawujący w owym czasie obowiązki sekretarza stanu, najwięcej brał udziału w ogłoszeniu *bulli* ekskomunikacji i wszelkich protestów. Teraz zaś, gdy mu oznajmiono bliski wyjazd, usłyszał wzmiankę o podburzaniach z jego strony (*instigations*) przeciwko rządowi, tem więcej znaczącą, że wiadomem było, iż z powodu *bulli* ekskomunikacyjnej kardynał Mattei został uwięzionym i że jeden z ministrów rządu cesarskiego w Rzymie chciał i tego kardynała i niejakiego doktora Marchetti, w tę sprawę wmięszanego, na jak największe męki skazać!

Z widokami więc na najbliższą przyszłość niewesołemi nastąpił wyjazd z Grenoble w nocy 4 sierpnia — dokąd, kardynał wówczas nie wiedział. Dopiero gdy na jednej z najbliższych stacyj towarzyszący mu oficer otrzymał plikę papierów, dowiedział się, że jedzie do twierdzy Fenestrelle. Nazwisko to, powiada on, było we Włoszech tem samem, czem dla Polaków Syberya: przejmowało każdego strachem. Ale tę wiadomość o swoim przeznaczeniu przyjął ze spokojem, który zadziwił oficera. Na to jego zdziwienie odpowiedział, że od chwili objęcia stanowiska ministra Stolicy św. na los taki był przygotowanym.

Opis pobytu we Fenestrelle od 6 sierpnia 1809 r. do 5 lutego 1813 r., a więc półczwarta roku trwającego, świadczy najwymowniej, czem był ówczesny rząd cesarski, na *liberalnych* zasadach oparty, z wielkiego *prawa człowieka* głoszącego przewrotu wyszły, a który bardzo wielu wybitnych ludzi na znoszenie tak ciężkiego więzienia skazywał, jedynie tylko za wierność religijnym i politycznym zasadom wyznawaną. Wedle pamiętnika kardynała, w chwili, gdy on do twierdzy przybył, więzienia tejsze pełnemi były księży po największej części włoskich, wyższe, albo niższe w hierarchii stanowiska zajmujących, a obok nich nie mało było ludzi świeckich, Rzymian i Włochów, Papieżowi i innym prawowitym książętom półwyspu wiernych, także i kilku potomków starych, wiel-

kich hiszpańskich rodów, którzy w chwili uzurpacji napoleońskiej prawowitego króla odstąpić nie chcieli!

Twierdza, o której mowa, nie była w tych stronach jedyną. Kilka innych wieńczyło szczyty Alp tamtejszych. Ale, po przyłączeniu Piemontu do napoleońskiej Francji, inne zostały zburzone. Jeżeli Fenestrelle temu samemu nie uległa losowi, to tylko dlatego, że jeden z generałów francuskich, któremu poleconem było zburzenie jej, gdy dla spełnienia tego rozkazu przybył, zauważył, że może się ona rządowi bardzo dobrze przydać, jako więzienie stanowe, a gdy uwagi jego w raporcie do władz naczelnych za słuszne uznano, forteca ta, w której dawny rząd piemoncki zbrodniarzy na galery skazanych zamykał, stała się więzieniem wielu osobistości wybitnych.

Łatwo sobie wyobrazić, jaką była atmosfera klimatyczna, twierdzą otaczająca. Prawie przez cały rok, bo nawet i w letnich miesiącach, śnieg leżał na owych skalistych szczytach, w skutek gęstej mgły bardzo często zupełnie niewidzialnych, a niesłychane wichry obijały się ustawicznie o ściany i okna, wywołując ciągły łoskot trzeszczących na dachach belek i gontów.

Więzionemu kardynałowi pozwolono wprowadzić urządzić sobie celę więzienną kosztem własnym, ale sprzęty, których mu na jego żądanie dostarczono, najmniej wybrednych wymagań zaspokoić nie mogły. Zdaje się, że i wikt miał własny, ale różnorodne szczegóły jego opowiadania świadczą, że obchodzono się z nim bardzo niedelikatnie. Kaźń jego na najwyższym punkcie fortecy się znajdowała, pomimo to widoku żadnego z niej nie było, albowiem okna na skały i na mury forteczne wychodziły, a dołem płynęły cuchnące nieczystości. Względności rodzajem było to, iż kaźń ta była naprzeciwko kaplicy więziennej i że pozwolono mu odprawić Mszę św. Ale żądaniu jego, aby mógł mieć spowiednika, odmówiono, niby dlatego, iż styczność z ludźmi była mu wzbronioną. Z tego też powodu z pozwolenia odprawiania Mszy nie korzystał. Gdy w tej samotności zupełnej i przy braku zajęcia, zażądał książek do czytania, przyniesiono mu dzieła Voltaire'a. Dopiero po jakimś czasie, w skutek przedstawień i próśb, dostarczono mu Biblię i inne dzieła religijnej tre-

ści. Także i z wychodzeniem na przechadzkę wielkie były trudności. Jeden z oficerów wziął na siebie wyprowadzanie go na spacer zewnątrz fortecy, ale to trwać długo nie mogło, albowiem, z powodu wyższego zarządzenia, dozwoleńmi zostały przechadzki tylko wewnątrz twierdzy, na bardzo ograniczonym miejscu!

Jako bardzo wyraźny dowód losów i kolei ludzkich zmienności, przytacza Pacca, że Napoleon, który jego i tylu innych ludzi wybitnych na ciężkie skazał przejścia, jako więzień na wyspie św. Heleny nie mógł się ze swoim położeniem oswoić. Z tego powodu wierny ex-cesarza na wygnaniu towarzysz, hr. Montholon, pisał w r. 1816 do pana Hudson Love, gubernatora wyspy, długi list, w którym przedstawienia i gorzkie wymówki mu robił. „Skarżył się — pisze kardynał — że zbyt ścięśnioną była przestrzeń, na której wolno było cesarzowi przechadzać się i jeździć konno ze swoim otoczeniem (jakkolwiek rozciągała się na kilka mil); upomniał się ostro, że na rozkaz rządu brytańskiego wzbronionem było przesyłanie i odbieranie listów, które cesarz pisał i odbierał, nawet od własnej rodziny, jeżeli jedne i drugie nie były pierwaj widziane i czytane przez ministrów angielskich i przez urzędników na Św. Helenie. Twierdził on, że takie rozporządzenie byłoby potępione nawet przez rząd Barbaresków (*regenza Barbaresca*) w Algierze. Ostatecznie skarżył się, iż nie wolno było Napoleonowi abonować żadnego dziennika francuskiego, dodając, że taki zakaz abonowania książek drukowanych bywa wydawanym jedynie tylko w więzieniach inkwizycyi (*Cette défense n'est faite que dans les cachots de l'Inquisition*). Tak pisał w r. 1816 hr. Montholon, ale powinien był się spostrzedz, że takie surowe rozporządzenia, które byłyby były niedozwoleńmi w Algierze i które byłyby wykonywane tylko w więzieniach inkwizycyi, zostały wydane przez Napoleona przeciwko niejednej wybitnej osobistości różnych narodów, i stąd to, co jemu się obecnie przydarzyło, musiało być uważane za nowy dowód kierownictwa spraw ludzkich przez Opatrzność Boską, która tak często prawem odwetu jeszcze na tej ziemi winnym karę wymierza...”

W skutek ścisłego zakazu przypuszczania kogokolwiek-bądź do kardynała-więźnia, nawet i jego bratanek msgr. Tyberyusz Pacca, gdy przybył do Fenestrelle, nie wiedzieć dla czego tamże osadzony, otrzymał od komendanta fortecy jedynie tylko pozwolenie przywitania się ze stryjem, a zresztą widywanie się z nim zostało mu wzbronionem. Ale, pomimo tego odcięcia zupełnego od świata, wspomina kardynał, że już w r. 1809 panie francuskie, zajmujące się losem więzionych kardynałów, nie zapomniały i o nim i że, za pośrednictwem jakiegoś pana, ofiarowały mu zapomogę pieniężną, której dlatego, iż środków utrzymania wóczas mu nie brakowało, nie przyjął. Opowiada także, że zachowanie się jego kolegów kardynałów, przy sposobności godów weselnych Napoleona z arcyksiężniczką, doszło do jego wiadomości i jakie wrażenie na nim wywarło. A więc, albo zarządzenia, w zasadzie bardzo ostre, nie zawsze ściśle były wykonywane, albo przemyślność ludzka, nawet wśród tych niedostępnych skał, najczujniejsze organa sprężystych władz napoleońskich oszukiwać zdołała!

Odnosnie do już wzmiankowanej sprawy spowiednika, po długich staraniach otrzymał Paccę takowego w dniu 2 czerwca 1810 r., a więc blisko w dziesięć miesięcy po przybyciu do twierdzy. Nazajutrz, t. j. 3 czerwca, po wielu miesiącach po raz pierwszy zbliżył się do ołtarza. Tymczasem pod koniec r. 1809, przed świętami Bożego Narodzenia, pragnąc w te dni uroczyste przyjąć, chociażby raz jeden, Św. Sakramenta, a jako biskup, mając prawo spowiadania się u każdego księdza, bez względu na to, czy przysłużyła mu jurysdykcya w odnośnej dyecezyi, przez służącego swojego (którego używanie było mu dozwolonem) poprosić kazał jednego z więzionych w fortecy kapłanów, ażeby w jaki zręczny sposób, bez zwrócenia uwagi żołnierza na straży stojącego, dostał się w tym celu do jego kaźni. I rzeczywiście udało się oszukać czujność straży, albowiem boso i, jak opisuje kardynał, na czterech nogach, wśliznął się do niego w nocy, w wigilię Bożego Narodzenia, jeden z rzeczonych księży. Sposób, w jaki się to stało, miał być tak zabawnym, że tylko wielkość i świętość aktu od śmiechu go powstrzymała. Że nazajutrz

nie odprawił Mszy św. w kaplicy, co, jak wiemy, było mu od początku dozwolonem, albo że przynajmniej nie przyjął Komunii św. z rąk jednego z kapłanów, których, wszystkich razem, miało tam być dziewiętnastu, powodem tego była prawdopodobnie obawa, ażeby stąd na którego z tych współwięźniów nie padło podejrzenie, iż go wypowiadał, a tem samem czynu niedozwolonego się dopuścił. Ażeby jednak w tych dniach świątecznych pociechy przyjęcia Ciała Pańskiego nie być pozbawionym, urządził się w sposób dosyć szczególny, który, jak się zdaje, tylko w tak wyjątkowem położeniu mógł uchodzić za dozwolony. Mianowicie postarał się o to, ażeby w kielichu, który z powodu, iż przybory mszalne kaplicy więziennej były bardzo ubogie i w złym stanie, pożyczal on w dni świąteczne razem z innemi przybarami księżom celebrującym, znajdował się zakonsekrowany komunikant, gdy mu tenże kielich zwrócono. Ponieważ jednak dopiero nazajutrz miał go spożyć, chodziło o to, ażeby w sposób odpowiedni i z należytem uszanowaniem był on przechowanym; dlatego kielich między dwiema zapalonymi świecami postawił, ale że w tejże samej izbie sypiał i jadł, zmuszony był, pomimo uszanowania dla *Sanctissimum*, wszelkie przygotowania do nocnego spoczynku w niej odbywać, a gdy spożywał obiad i wieczerzę, służący przy podawaniu potraw, w konieczności ciągłego przed kielichem przechodzenia, ustawicznie przyklękał.

Z bezwzględną surowością początkowo wykonywany zakaz widywania kogokolwiek bądź, po niejakiem czasie przestał być równie ściśle przestrzegany. Coraz więc lepiej wiedział Pacca co się w twierdzy działo i jaey więźniowie do niej przybywali. Pewnego dnia przywieziono do niej potomka jednego z najwybitniejszych rzymskich rodów, który po dziśdzień, wśród patrycyatu Wiecznego Miasta, Papieżowi wiernego, jest jednym z pierwszych. Był to margrabia Naro Patrizzi. Podczas gdy znaczna panów rzymskich liczba przeszła była do obozu najezdzczy, a ks. Borghese, jako szwagier cesarza, stojąc na czele rządu w Turynie, rozkazy co do sposobu obchodzenia się z więźniami do Fenestrelle przesyłał, Patrizzi przeciwnie, całem swojem życiem składał dowody przywiązania do Kościoła

i wielkich cnót chrześcijańskich i dlatego nowemu rządowi stanowczo odmówił oddania swoich synów do rządowych zakładów wychowawczych francuskich, w których ich wiara i obyczajność na wielkie niebezpieczeństwa mogły być narażone. To spowodowało osadzenie go w więzieniu w Civittà Vecchia, potem w Fenestrelle, a ostatecznie w Château d'If pod Marsylią!

Ale w tej administracji cesarskiej, gdy rozchodziło się o prześladowanie wyznających zasady rządowi niemiłe tak nadzwyczajnie sprężystej, to, co przestrzegania porządku i usuwania nadużyć dotyczyło na modłę ściśle biurokracycznych rządów tylko formalnie załatwiano. I tak, do fortecy przybywali raz do roku członkowie cesarskiej rady stanu, dla przekonania się przez przesłuchanie więźniów, czy obchodzenie się z nimi jest prawidłowe. Ponieważ jednak przesłuchanie to odbywało się w obecności komendanta, było więc tylko czechem i pozornem zadosyćczynieniem wymogom przepisów, bez rzeczywistej, skutecznej doniosłości. Dla kardynała Pacea wszelkie tego rodzaju przesłuchania nie mogły jak tylko być bardzo dokuczliwemi, zwłaszcza ze względu na godność księcia Kościola, któremu jedną tylko jurysdykcyę sądu Stolicy św. wolno jest uznawać. Z tego powodu, gdy do składania zeznań wzywany był, bardzo wyraźnie się zastrzegł, że uważa je za czysto prywatne, odmawiając zawsze podpisu na protokółach.

Pomimo tych i innych przykrości, zdaje się jednak, że dni w więzieniu spędzone najgorszego wspomnienia mu nie pozostawiły, prawdopodobnie głównie dlatego, iż miał przeświadczenie, że obowiązek spełnił i że los, który go spotkał, dla świętej, dobrej sprawy znosił. Gdy pierwotna surowość obchodzenia się z nim ustała, wolno mu było mieć książki jakie chciał, na czytaniu więc dużo mu czasu schodziło. Mógł także używać przechadzki, a w miesiącach letnich kilka godzin codziennie na świeżem powietrzu przesiadywał. W niedzielę wieczorem wszyscy więźniowie, a nawet i komendant twierdzy z żoną, brali udział w uroczystej benedykcyi przez kardynała w kaplicy udzielanej; nadto kilka godzin mógł codziennie spędzać z towarzyszami niedoli, których rozmowa i towarzystwo były mu najmiłszymi. Dużo więc było z czasem spokoju

i dużo swobody w tem życiu wolności pozbawionem. Dziwić się jednak nie można, że za tą ostatnią Pacca wzdychał, że powrót do życia czynnego był jego i innych więźniów pragnieniem. Spodziewano się, że to ostatnie się ziści, gdy rozeszła się wiadomość, że cesarz spodziewa się potomka, i z niecierpliwością nadsluchiowano, kiedy też działa twierdzy spełnienie się tej nadziei oznajmia. Wreszcie 21 marca 1811 r. huk armat przyjsie na świat *króla rzymskiego* rozgłosił — ale nie więcej. Dopiero w styczniu 1813 r., gdy do Fenestrelle doszły słuchy o wiadomej nam już wizycie cesarstwa u Papieża w Fontainebleau, kardynał zaczął na pewne, nie bez obaw, przeczuwać, iż porozumienie jakieś między Piusem VII a rządem cesarskim nastąpi i że chwila jego wyzwolenia jest niedaleką.

Nie pomylił się. Wiadomość o znanym nam już *konkordacie* z 25 stycznia nadeszła niebawem, a w skutek niej, w dniu 30 tego samego miesiąca oznajmiono kardynałowi, że wolno mu wyjechać. Ówczesne przygotowania do podróży dużo czasu zajmowały, zwłaszcza, że potrzeba było mieć paszport — dlatego dopiero po pięciu dniach, t. j. 5 lutego, opuścił Pacca Fenestrelle, udając się do Fontainebleau, dokąd, jak wiemy, także i inni kardynałowie *czarni* przybyli.

Przyjazd kardynała Pacca do Fontainebleau przypadł na chwilę, w której Pius VII najwięcej odczuwać zaczął fatalne podpisanie *konkordatu* z 25 stycznia. Wiemy już, jak bardzo martwiła go ta chwilowa słabość i w jaki sposób odwołanym został ten podstępnie wymuszony układ. Ale w chwili, gdy Pacca zetknął się po raz pierwszy z Papieżem, nie jeszcze obmyślanem nie było, albowiem kardynałowie *czarni* dopiero zjeżdżać się zaczęli. W pierwszej rozmowie, którą miał on z Papieżem, ten ostatni, przy opowiadaniu szczegółów nie-szczęsnego zdarzenia poprzedzających, usprawiedliwić i zmniejszyć własną winę starał się tem, że, pomimo nacisku ze strony otaczających go, rządowo usposobionych kardynałów i biskupów, zdołał on odrzucić cztery artykuły, które, oprócz tych, które podpisał, jeszcze mu podsuwano, a mianowicie: 1) iż Papież i następcy jego, przed objęciem pontyfikatu, winni obiecać, że nie nie rozporządzą i nie wykonają, coby było przeciw-

nem czterem wiadomym artykułom gallikańskim; 2) że Papież i jego następcy w przyszłości mianować będą tylko jedną trzecią część św. kollegium, a że drugie dwie części wyjdą z nominacyi katolickich monarchów; 3) że Papież przez ogłoszenie *breve* potępi zachowanie się kardynałów, którzy nie wzięli udziału w godach weselnych cesarza z arcyksiężniczką Maryą Ludwiką i którym cesarz gotów jest wrócić swoją łaskę pod warunkiem, że przyjmą to papieskie *breve* — wreszcie, 4) że od tej amnestyi wykluczeni być mają kardynałowie Di Pietro i Pacea, którym nigdy nie miało być przywróconem prawo zbliżenia się do osoby Papieża.

Zauważyć tu trzeba, że z tych czterech punktów, pierwszy, jako dotyczący owych artykułów gallikańskich przez papieża potępionych, ze względów ściśle dogmatycznych na żaden sposób przyjętym być nie mógł. Obok tego praktycznie najważniejszym, bo w skutkach najdonioślejszem, byłoby było przyjęcie artykułu drugiego, albowiem, zważywszy, iż do cesarstwa przez Napoleona stworzonego należały albo w bezpośredniej zależności do niego stały, oprócz Francyi, całe Włochy, Belgia, Hollandya, nadreńskie okolice Niemiec i Hiszpania, większość kollegium kardynalskiego, a stąd i wybór Papieża, byłyby od każdorazowego cesarza zależnemi.

Pomimo, iż uzyskanie podpisania także i tych punktów nie udało się cesarzowi, z dzieła podstępnie dokonanego zdaje się iż był zadowolonym. Kardynałów *czarnych*, po powrocie z wygnania do Paryża przybywających dla przedstawienia mu się, przyjmował łaskawie. Gdy Pacea przed nim stanął, zarzucił mu, że on to był autorem *bulli* ekskomunikacyjnej, a gdy tenże, sądząc, iż odpowiedź nie byłaby właściwą, milcząco się zachował, powiedział, że *teraz przeszłość całą zapomnieć należy*; było to odwołanie się do artykułu X konkordatu, w którym, jak już wiadomo, daną była amnestya. O ile i jak *przeszłość* zapomnianą rzeczywiście została, poprzednie opowiadanie wyjaśniło.

Podpisanie układu z 25 stycznia, jeżeli było zdarzeniem w dziejach Kościoła a jeszcze więcej w dziejach pontyfikatu Piusa VII smutnem, to z drugiej strony dało nową sposobność katolickiej opinii we Francyi do bardzo silnego zazna-

czenia, jak dalece przywiązanie do Kościoła już w owym czasie było tamże potężnem. Pod wrażeniem oburzenia wiadomością o podpisaniu konkordatu wywołanego, osoby, które dlatego, że Piusa VII za świętego uważały, wizerunek jego miały dotychczas nad łóżkiem zawieszony, zrzuciły go, a przygnębienie było powszechne aż do chwili ogłoszenia protestu i odwołania nieszczęśliwie podpisanego aktu. Oznaki czci, spotykające Papieża wszędzie na drodze po wyjeździe z Fontainebleau, były wynikiem zwrotu opinii po tem odwołaniu.

Takie same gorącości katolickiego ducha objawy, które i kardynała Pacca wszędzie, po drodze z Fenestrelle, a także i w Paryżu spotykały, były dla niego niespodzianką, miłą po innych objawach, które z niedawnych czasów, gdy był nuncyuszem w Portugalii, a poprzednio w Kolonii, bardzo mu przykre wspomnienia zostawiły. Zwłaszcza w tem ostatniem miesiące miał sposobność stykania się z licznymi zastępami uszłych przed Rewolucyą a sprawie królewskiej bardzo oddanych francuskich rodzin, które, pomimo to, ówczesnemi filozoficznemi zasadami i duchem niewiary do najwyższego stopnia owiane były. I nie tylko mężczyzn, ale także i niewiast o takim usposobieniu naliczyć można było niemało. Jaskrawym tego zjawiska przykładem miało być nabożeństwo żałobne dla uczczenia pamięci królowej Maryi Antoniny, zaraz po jej tragicznej śmierci przez owych wychodźców w Kolonii urządzone. Gdy kaznodzieja w wymownych słowach zaznaczył, że jednym z powodów Rewolucyi była bezbożna, przez mieniących się filozofami głoszona nauka, z grona pań i panów francuskich wyszedł szmer zaprzeczenia. a gdy rzekł, że Marya Antonina była ofiarą ówczesnej filozofii, odezwał się z tego grona głos: *Ce n'est pas vrai* („To nie prawda“). Wobec dalszych strasznych orgij Rewolucyi, zaślepienie długo trwać nie mogło. Reakcyja w usposobieniu wyższych klas narodu stawała się coraz silniejszą. W epoce Terroru w niejednem mieszkaniu prywatnem, podobnie jak niegdyś w rzymskich katakumbach, w sposób tajemny, przed okiem policyi pokryjому, święte sprawowano tajemnice. Od tej reakcyi pierwszych dni, rozwój życia religijnego w tegoczesnej Francyi wprawdzie nie zawsze równem tempem, równie szybko i równie pomyślnie, ale bądź co bądź postępował ciągle naprzód.

Że prześladowania zupełnie nie ustały, że za dni naszych odezwały się z nową siłą, to dzieło ducha Rewolucyi, który w owych czasach osłabiony, chciałby dziś znowu na wszystkich polach bezwzględnie i stale panować!

W sposobach, jakimi Pan Bóg dokonuje swoje dzieła, jakimi prowadzi ludzkość i karze złe na tym świecie, dla słabego rozumu ludzkiego prawie wszystko jest niezrozumiałe. Reakcyja od złego czasami powoli postępuje, ale częstokroć zdarzają się wypadki nadzwyczajnie szybkiego zwrotu, nadzwyczajnie szybkiego obalenia tego, co ludzka ręka jedynie tylko ludzkimi środkami wzniosła. Jakże prędko runęło i znikło to, co Napoleon na niejednym polu był zdziałał! I tak opowiada Pacca, że w Paryżu nie zaniechał oglądania licznych rzymskich zabytków z Wiecznego Miasta przemocą wywiezionych, które, obok Papieża, obok kardynałów, miały zdobić i oświetniać stolicę nowego cesarstwa. Któż mógł wówczas przypuszczać, powiada on, że nie dalej, jak za trzy lata, miał znowu widzieć te same zabytki w muzeum Pio Clementino w Rzymie!

Szczegóły pobytu Papieża i jego otoczenia w pełnym odwiecznych tradycyji zamku Fontainebleau ciekawemi są tak dlatego, iż osobistości wybitnych, pierwszorzędne wówczas zajmujących stanowisko dotyczą, jak i dlatego, że w tym czasie niewoli dojrzały postanowienia w poprzednio tu już wzmiankowane co do sposobu zachowania się wobec postępków cesarza, a także i inne zamiary dla dobra Kościoła bardzo zbawienne, które w późniejszych czasach urzeczywistnionemi zostały.

Wszyscy, w zamku zamieszkali, jako goście cesarza kosztem jego utrzymywani byli. Papież miał swój osobny stół i jadł zupełnie sam u siebie. Dla kardynałów, biskupów i innych duchownych były dwa stoły, o różnych godzinach zastawiane: o godzinie 1 $\frac{1}{2}$ -ej dla wikaryuszów generalnych francuskich biskupów i dla sekretarzy kardynałów, a o 5-iej dla kardynałów i biskupów francuskich. Niektórzy z pomiędzy kardynałów, mianowicie Pacca, Consalvi, Di Pietro, woleli ucześnieć na wcześniejszy obiad, do którego zasiadał także wspomniany nieraz pułkownik żandarmeryi La-

gorse, dawny kleryk „Zgromadzenia braci szkół chrześcijańskich“ (*de la doctrine Chrétienne*), który, podobnie jak wielu innych jemu podobnych, w dniach Rewolucyi zrzucił suknię duchowną i przerzucając się na stronę przewrotu, wstąpił do wojska. Odznaczać się on miał usposobieniem niereligijnem i niechęcią do duchownych, zwłaszcza tych, którzy przed Napoleonem bić czołem nie chcieli!

Oczywiście, że obecność takiej osobistości, jak i stykanie się ciągle z wieloma innymi z pomiędzy księży i biskupów francuskich w pałacu mieszkających, a może nawet i z niektórymi z kardynałów niedawno jeszcze t. zw. *czzerwonych*, nadzwyczajnie wielką ostrożność w słowach nakazywały. I smutno powiedzieć, że zdaje się, iż w tym świecie duchownym, otoczenie Papieża stanowiącym, nietylko obawiać się można było szpiegostwa, ale nadto, że i zewnętrzne zachowanie się niektórych duchownych, zwłaszcza z pomiędzy francuskich biskupów, nie miało zdradzać ducha Głowie Kościoła zbyt przychylnego. Gdy ci prałaci udawali się do Papieża — opowiada Pacca — nieraz słyszeć można było, jak do siebie z ironią mówili: „Teraz idziemy słuchać anegdotek z Tivoli, Imoli i Ceseny“. Tak rzeczywiście miało bywać, iż Papież często opowiadał rozmaite zdarzenia z czasów, gdy był biskupem w Tivoli, następnie w Imoli, albo z ojczystego swojego miasta Ceseny. Pod wielu ciężkich przejść wpływem i wiedząc, że ostrożność jest konieczną, dla unikania innych rozmów o rzeczach więcej aktualnych, może zbyt często do tych samych opowiadań powracał. Ale usposobienie owych prałatów przyczyniało się bardzo do tego, iż ważniejszych spraw kościelnych w ich obecności nie poruszał.

Przeciwnie z zaufanymi, jak Pacca, niejedna bardzo doniosła sprawa omówioną została. I tak, zdaje się, że już wówczas postanowiono przywrócenie Towarzystwa Jezusowego, co rzeczywiście stało się niebawem po powrocie Piusa VII do Rzymu, a kardynał Pacca był odnośnej *bulli* papieskiej wykonawcą. Ciekawe światło na stosunki i usposobienie, pod koniec XVIII wieku panujące, rzuca ustęp pamiętników Pecci sprawy tej dotyczący. Opowiada autor, że Pius VII, jako kleryk zakonu Benedyktynów, miał profesorów wykładających teologię t. zw. *antyjezuicką*, w której zdania i sy-

stem teologii przez Jezuitów wykładanej zbijano, a że on (Pacca) od pierwszej młodości wychowany był w uczuciach nienawiści i wstrętu do Zakonu Jezuitów, że podsuwano mu umyślnie dzieła Zakon w najgorszym świetle przedstawiające. I dodaje: „Któżby był mógł kiedykolwiek przewidzieć, że mnich benedyktyński, zostawszy Papieżem i zaledwie po wyjściu ze strasznego prześladowania, wbrew tylu sektom Towarzystwa Jezusowemu nieprzejednanie wrogim, przywróci je na całym świecie i że ja będę wówczas jego ministrem, któremu powierzy on wdzięczną i zaszczytną misję wykonania jego rozkazów!“ Pacca pamiętał czasy Klementa XIV i dlatego był w stanie porównać różnicę wrażenia, jakie wywarło na lud rzymski ogłoszone w dniu 17 sierpnia 1773 r. *breve* „*Dominus et Redemptor*“, którem ten Papież Zakon Jezuitów znosił. Wówczas — powiada — malowało się na twarzach zdziwienie i smutek. Przeciwnie w dniu 7 sierpnia 1814 r., gdy Pius VII z Kwirynału udał się do Kościoła *al Gesù*, gdzie ogłoszoną została *bull*a przywracająca Zakon, niesłychanej radości objawy dały się wszędzie widzieć i Papieża powrót do Kwirynału był iście tryumfalnym.

Ten ustęp o Jezuitach umieścił autor w pamiętniku, jak sam przyznaje, dlatego, ażeby naprawić to, co kiedykolwiek w młodych latach, pod wpływem uprzedzenia do Zakonu, mógł przeciwko niemu powiedzieć.

Gdy, w skutek rozporządzenia cesarskiego, nastąpił wyjazd kardynałów z Fontainebleau, Pacca zawiadomionym został, że przeznaczono mu na miejsce pobytu miasteczko Uzès w Langwedocyi (*Languedoc*). Do miejscowości tej, w pobliżu Nîmes położonej, podróż w owych czasach trwała dni piętnaście.

Dowodów zapалу dla sprawy Kościoła, uznania i uszanowania dla jego sług, którzy najwyższe wierności dowody i Kościołowi i Stolicy św. złożyli, opisywać nie będziemy. Było ich nie mało i po drodze i w samej tej mieścinie sześć tysięcy mieszkańców wówczas liczącej, z pośród których jedna trzecia część była kalwińska, katolikom bardzo niesprzyjająca. Pomimo to, kalwini także przyłączali się do owych oznak wielkiego uszanowania dla księcia Kościoła. Siedm-

dziesiąt dni spędził Pacea w tem ustroniu. Nazywa je najszczęśliwszemi w całym swoim życiu, z powodu gościnnego i bardzo sympatycznego przyjęcia, którego wszędzie doznawał, a może jeszcze więcej z powodu wielkiej swobody, jaką po owych ciężkich dniach w Fontainebleau sprawiać mu musiał brak wszelkich spraw na głowie.

W różnych miastach okolic najbliższych przebywali niektórzy inni z pomiędzy purpuratów najwybitniejszych. Tym sposobem kler francuski w bliższą wszedł styczność z kuryi rzymskiej dostojnikami, co ze względu na tego kleru usposobienie bardzo szczęśliwie oddziało, tak na owe wzmiankowane rozdwojenie opinii co do konkordatu, jak i odnośnie do zakorzenionych zasad t. zw. *gallikańskich*, których potęga w bardzo znacznej części tkwiła w rozpowszechnionych od dawna uprzedzeniach przeciwko osobistościom do składu rządu Stolicy św. należącym. Kardynał Pacea bardzo otwarcie przyznaje, że dworowi rzymskiemu po za granicami Włoch, a szczególnie we Francyi, w ostatnich lat dziesiątkach bardzo zaszkodziły dwóch ostatnich papieży podróże, Piusa VI do Wiednia w r. 1782 i Piusa VII do Paryża na koronację w r. 1804, a to z powodu nieszczęśliwego wyboru osobistości do otoczenia ich w czasie podróży należących. Niedostateczna języka francuskiego znajomość, brak biegłości w rokowaniu spraw, co do których w czasie tych podróży toczyły się układy, nader niekorzystne wywarły wrażenie na obcych dworach. Zwłaszcza Napoleon, pod wpływem tego złego wrażenia, miał rząd papieski bardzo sobie lekceważyć, co do późniejszego zajęcia Rzymu i Państwa Kościelnego po części się przyczyniło.

W latach, do których pamiętniki się odnoszą, *gallikanizm* już nie był tem, czem był pod koniec XVII i XVIII wieku. Duch jansenizmu, który go był owładnął, doprowadził wówczas Kościół francuski, przewagi Rzymu tak strasznie się obawiający, do zależności od rządu królewskiego, jakiej chyba większej albo nawet i równej nie było w krajach, w których prześladowanie Kościoła było albo jest otwartem i oficjalnem. Trybunały wydawały wyroki orzeczeniom kuryj biskupich nieraz wręcz przeciwne, tak, iż zdawało się, że duchowni przymuszeni byli do sprawiania kościelnych po-

grzebów ludziom wyklętym! A biskupów wieluż więcej przebywało na dworze, aniżeli w swoich stolicach! Niejeden z nich ciągnął dochody z olbrzymich, nieraz po kilka równocześnie posiadanych beneficjów i rządowi był zupełnie oddanym. Napoleon — któremu Pacca, pomimo losu od niego doznanego, pod wieloma względami wielkie zasługi dla społecznego, a nawet i religijnego dobra Francyi przyznaje — wpłynął na to, może głównie z politycznych pobudek, że po konkordacie z r. 1801 biskupi w stolicach swoich stale przebywali — co aż do dni naszych dotrwało, a wśród niższego duchowieństwa zwrot od *gallikanizmu* przedewszystkiem pomiędzy proboszczami przeważać zaczął. Zetknięcie się wielu z nich z osobistościami w kuryi najznacześniejszemi przyczyniło się nie mało do utorowania drogi ku ustaleniu się w całym francuskim Kościele ściśle rzymskiego ducha.

Gdy w drugiej połowie kwietnia r. 1814 rozeszła się wszędzie wieść o abdykacyi Napoleona i okrzyki *Vive le roi!* na wszystkie strony się odzywały, nie było już dla kardynałów żadnej przeszkody do puszczenia się w drogę ku Rzymowi. Łatwo zaś zrozumieć, iż zależało bardzo na tem, ażeby św. kolegium jak najprędzej z Papieżem się połączyło, albowiem w chwili powrotu do swojej stolicy i ponownego objęcia rządów, więcej aniżeli kiedykolwiekbądź potrzebną mu była rada i pomce jego doradców i współpracowników.

Pomiędzy ostatnimi szczegółami owych dni wygnania, niektóre są objawami, dowodzącemi, że natura ludzka wszędzie i zawsze ta sama, że powodzenie chwilowe jest tem, co najwięcej się podoba, co ludzi zawsze przyciąga. I tak zdawało się, że dawnej monarchii powrót reakcyę wszędzie sprowadzi, a stąd, że Avignon zwróconym będzie Papieżowi. Dlatego do kardynała Pacca, jako wówczas pierwszego ministra papieskiego, przybywały różne osobistości, ażeby już zawczasu polecać się jego łaskom i względom dla otrzymania stanowisk w rządzie, który wśród ludności dobre pozostawił wspomnienie. Ale, pomimo zasad reakcyjnych, których rząd królewski był *ex officio* przedstawicielem, odnośnie do tego co bez żadnej trudności mógł zatrzymać wolał wygodnej trzymać się zasady: *Ce qui est mal pris, est bien gardé, za-*

sady, której francusecy wychodźcy nawet w smutnych dniach wygnania podobno się nie zapierali, i dlatego to już wówczas nadzieje dawnych poddanych papieskich z Avignonu nie miały widoków na urzeczywistnienie.

Po drodze widział kardynał, z jakim zapalem witano nowy rząd. Orły i flagi cesarskie, popiersia i wizerunki Napoleona bywały zrzucane, tłuczone i darte w tych samych miejscowościach, w których powracający za kilka miesięcy wygnaniec z Elby był równie gorąco przyjmowany!

Jak dalece zacofanemi były w owych latach środki komunikacyjne, dowodzi opis przejazdu przez t. zw. Colle di Tenda, przez który prowadziła droga z Nizy do właściwych Włoch. Przez najwyższe szczyty przejazd dla powozów był niedostępny. Kardynał Pacca i dalszą część podróży odbywający z nim kardynał della Somaglia, niesieni tamże byli w lektykach, powozy zaś rozbierano i kawałkami na grzbietach jucznych zwierząt (*di bestie*, pisze autor, co prawdopodobnie znaczy mułów, albo osłów) przewożono aż do miejsc, w których napowrót złożone, do dalszej jazdy służyć mogły.

Połączenie kardynała ¹⁾ z Papieżem nastąpiło w Siniaglia. Odtąd należał on do jego orszaku, a w dniu 24 maja razem z kardynałem Mattei, św. kolegium dziekanem, znajdował się w tejsze samej karecie, w której Pius VII swój tryumfalny wjazd do Rzymu odbywał.

Ale, po streszczeniu powyższem tego, co w tych pamiętnych latach Papieża i dwóch najwybitniejszych jego doradców i towarzyszków dni niedoli spotykało, dla rozpatrzenia się lepszego w tej dziejów papiestwa poważnej epoce wypada koniecznie kilka jeszcze podać szczegółów o innym purpuracie, który olbrzymim talentem bardzo wielu sobie współczesnych przerósł i dlatego już w bardzo młodym wieku imię nader rozgłośne sobie zjednał, ale że charakterem i cnót kapłańskich stałością innym nie dorównał, z prostej drogi obo-

¹⁾ Kardynał Pacca dożył r. 1844. Umarł w 88 roku życia. Kreowany był kardynałem przez Piusa VII w r. 1801, nosił więc purpurę przez lat czterdzieści trzy. W Conclave 1823 r. miał otrzymać znaczną ilość głosów.

wiązków kapłana, biskupa i kardynała chwilowo zboczył, zachowując się przez długi czas wobec Stolicy św. (jeżeli wolno takiego użyć porównania) w sposób nieco podobny do tego, jak w naszym kraju w ostatnich lat dziesiątkach dobrze znany kapłan-polityk, prawa kościelne w właściwy sobie sposób tłómaczyć umiejący. Ponieważ zaś jego stanowisko o wiele było wyższe od stanowiska tego ostatniego, dlatego w epoce, w której żył, w najżywotniejsze kościelno-polityczne sprawy wmięszany, przykład dawał o wiele gorszy i w dziejach Kościoła mało zaszczytną pozostawił kartę.

V.

Kardynał Maury.

W r. 1765 na drodze prowadzącej z Prowancyi do Paryża przez Burgundję, w powoźni, który w owym czasie był prawdopodobnie jedynym środkiem komunikacyjnym dla nieposiadających własnych powozów i koni, spotkało się przypadkowo trzech młodzieńców udających się do stolicy, dla szukania w niej losu i przyszłości. Znaną jest z tradycyi rozmowa, która się pomiędzy nimi zawiązała odnośnie do ich zamiarów i nadziei, a rzecz szczególna, że te ostatnie zupełnie się sprawdziły. Pierwszy z nich miał powiedzieć: „Ja chcę być członkiem Akademii Umiejętności i lekarzem królewskim“. Był to Portal, późniejszy lekarz nadworny. Drugi: „Ja będę adwokatem generalnym“. Był to Treilhard, który z adwokata został później członkiem Zgromadzenia Narodowego. Nie przewidywał on w owej chwili, że wmięszany do wielkiej Rewolucyi, będzie jednym ze sprawców śmierci własnego króla. Trzeci nosił suknię duchowną i zapowiedział, że będzie „kaznodzieją królewskim i jednym z czterdziestu Akademii francuskiej“. Był to Jan Sifrein Maury, syn szewca z Valreas w hrabstwie Venaissin. Urodził się w r. 1746. Jak zeszyły jego pierwsze lata, jakie koleje przechodził aż do chwili, gdy zaczął być głośnym, dla nieprzedłużania tego opowiadania tych dosyć jednostajnych szczegółów biograficznych podawać nie będziemy. Wspomnieć tylko wypada, że od lat najmłodszych zadziwiającą odznaczał się pamięcią.

W Paryżu bardzo prędko umiał wejść w styczność z osobistościami wpływowemi i zwrócić na siebie uwagę. Jedną z pierwszych jego prac, już z r. 1766, jest panegiryk pośmiertny Stanisława Leszczyńskiego. Kilka jego kazań, a zwłaszcza jedno w r. 1772, ogłoszone w kaplicy Luwru wobec zgromadzonej Akademii francuskiej i wszystkiego, co ówczesna Francya miała najwybitniejszego, olbrzymie zrobiły wrażenie. Odtąd karyera jego była zapewnioną, albowiem, na wezwanie kardynała de La Roche-Aymon, do którego attrybucyj rozdawanie beneficyów duchownych należało, na kaznodzieję królewskiego powołanym został¹⁾. Jako taki przez lat kilkanaście dawał się słyszeć z kazalnicy Wersalu i Paryża. Zdaje się, że tylko niektóre z jego kazań ówczesnych są znane. Ale jakimi były, wnosić można z uwagi Ludwika XVI o jednym z nich. Gdy X. Maury skończył tę duzo rzeczy z ekonomii politycznej, filozofii, administracyi i innych nauk zawierającą mowę, powiedział król: *C'est dommage! Si l'Abbé Maury nous avait parlé un peu de religion, il nous aurait parlé de tout.* („Szkoda! Gdyby X. Maury był nam powiedział coś o religii, byłby nam mówił o wszystkim“). A więc nie były to prawdopodobnie wzory ściśle kościelnej wymowy, ale raczej przeczuwać w nich było można późniejszego, nad wszelki wyraz świetnego obrońcę monarchicznych zasad w Zgromadzeniu Narodowem. Mniemanie to potwierdza szczęśliwie zachowany wyjątek jednego z tych kazań w r. 1778 ogłoszonego, w którym znajduje się nadzwyczajnie śmiała, do króla zwrócona apostrofa, wzywająca go do czuwania nad wszystkim co dobroczynności publicznej dotyczy i która zdania nadzwyczajnie głębokie o zadaniach i obowiązkach monarchy zawiera. Żał nam, że dla braku miejsca dać go poznać czytelnikowi nie możemy, a z tego samego powodu także tylko nawiasem wspomnimy o innym X. Maury kazaniu i o dziwnym sądzie, który o nim wydał książkę de Nivernais w Akademii francuskiej, do której Maury wszedł w r. 1785. Kazanie to było na cześć św. Wincentego à Paulo. Sławiąc nowego akademika, powiedział

¹⁾ Główne szczegóły czerpane z dzieła Poujoulat: *Le Cardinal Maury* (1859).

o nim rzeczony mowca, że „działał on dla św. Wincentego więcej, aniżeli nawet jego kanonizacya zdziałać zdołała“. Słowa te, przesadne na pozór, usposobienia społeczeństwa ówczesnego są do pewnego stopnia trafnym wyrazem. Dla przesiąkniętych filozofią umysłów kanonizacya rzymska mniej znaczyła, aniżeli świetny panegiryk rozgłośnego mowcy. Ten ostatni dopiero był, jak się zdaje, powodem, że naród, z którego wyszedł wielki sługa Boży, zwrócił na niego uwagę.

Czyż wobec tego dziwić się można, że w kilka lat później, bo począwszy od r. 1789, wygłaszane przez X. Maury mowy w Stanach Generalnych, jakkolwiek świetne i nader potężne wrażenie wywołujące, rewolucyjnym prawom przeszkodzić nie zdołały? Maury zasiadł w rzeczonych Stanach jako przedstawiciel kleru jednego z okręgów, w którym przysługiwało mu prawo wyboru z tytułu posiadania w nim jednego ze znacznych beneficjów. W Zgromadzeniu zajął od razu miejsce pierwszorzędne, jako główny i najniebezpieczniejszy przeciwnik Mirabeau. Opowiada jeden ze współczesnych, że gdy toczyć się miały obrady nad sprawą zniesienia dóbr kościelnych, zapaleni sprawy tej instygatorowie sto tysięcy skudów dać mu chcieli za milenienie. Maury nie przyjął. Stanął do walki. Odezwania się jego, jędrne i siły pełne, a do najwyższego stopnia przekonujące, bo na prawdzie oczywistej oparte, a podobno zwykle improwizowane, takie robiły wrażenie, iż tylko przez wpłynięcie na obalamuconą już wówczas opinię użyciem sofizmu, że własność Kościoła jest własnością narodową, zabór tejże został uchwalonym.

Pomimo starania się o jak największą zwięzłość, dla obznajomienia czytelnika z miarą wartości tych mów, przytoczyć niektóre ich ustępy za konieczne uważamy:

„Mais pourquoi désespérons-nous assez lâchement de l'Etat pour croire que nous ne pouvons plus le sauver que par la confiscation des biens du clergé? Une ancienne nation que l'on invitait à être injuste envers ses ennemis, répondit avec un sentiment noble qui n'était au fond qu'un calcul sage, que rien n'est utile que ce qui est juste. Et nous, Messieurs, qui représentons la plus loyale des nations, nous nous abaissons à cette morale retrécie, qui mesure le droit sur l'in-

têret! Eh! par quel aveuglement ose-t-on nous proposer ici de sauver l'Etat, en changeant seulement de victimes?... Pour enrichir des spéculateurs avides, vous nous enléveriez des biens qui, n'étant point héréditaires, sont le patrimoine successif et commun de toutes les familles, des biens que nous voulons conserver pour vos propres enfants, des biens dont les descendants de tous nos concitoyens sont les héritiers présomptifs, et dont les cinq-sixièmes seront toujours nécessairement affectés à la classe des communes? Ces biens, que nous possédons, nous ont été garantis par toutes les lois du royaume, et la loi sacrée du dépôt nous oblige de les transmettre fidèlement à nos successeurs¹⁾.

„La propriété est une et sacrée pour nous comme pour vous! Nos propriétés garantissent les vôtres. Nous sommes attaqués aujourd'hui; mais, ne vous y trompez pas, si nous sommes dépouillés, vous le serez à votre tour: on vous opposera votre propre immoralité, et la première calamité en matière de finances, atteindra vos héritages²⁾).

1) „Dlaczegoż mamy o państwie rozpaczać w sposób tak podły, by przypuszczać, że nie możemy uratować go inaczej, jak tylko przez zabór majątku duchowieństwa? Jeden z dawnych narodów, który namawiano do popełnienia niesprawiedliwości względem nieprzyjaciół, odpowiedział w sposób szlachetności pełen, który właściwie był tylko mądrym wyrachowaniem, że pożytecznem jest tylko to, co jest sprawiedliwe. A my, panowie, którzy przedstawiamy naród najbardziej lojalny, my mamy się zniżyć do tej moralności ciasnej, mierzącej prawo zyskiem! I przez jakież zaśłupienie odważono się tutaj do wezwania nas, ażebyśmy ratowali państwo, zmieniając tylko kozła ofiarnego? Dla wzbogacenia cheiwych spekulantów, macie nam zabrać dobra, które nie będąc dziedzicznymi, są ojcowizną, dla wszystkich rodzin przystępną i wspólną, dobra, które zachować chcemy dla waszych własnych dzieci, dobra, których potomkowie wszystkich naszych współobywateli, są domniemanymi dziedzicami i z których pięć szóstych będzie zawsze w ręku warstwy najniższej? Te dobra, przez nas posiadane, zostały nam poręczone przez wszystkie prawa królestwa, a święte prawo powiernictwa zobowiązuje nas do przekazania ich naszym dziedzicom“.

2) „Własność jest jedną i świętą dla nas, jak dla was Nasze własności chronią wasze. My jesteśmy zaczepieni dzi-

„Il (le peuple) aura sur Vous tons les droits, que Vous exercerez sur nous; il dira aussi qu'il est la nation, qu'on ne prescrit pas contre lui“¹⁾.

„Quand les Jésuites furent supprimés, on exaltait par tout leur opulence. A peine leurs biens furent-ils entre les mains des séquestres, qu'ils devinrent insuffisans pour payer la pension indécemment modique qui leur avait été promise. Les propriétés de cette société célèbre ont disparu sans aucun profit pour l'Etat“²⁾.

„Vous voulez être libres! Eh bien, souvenez-vous donc que, sans propriété, il n'y a plus de liberté; car la liberté n'est autre chose que la première des propriétés sociales, la propriété de soi“³⁾.

„Dites-moi, quelles sont les propriétés antérieures aux conventions sociales? Est-ce le droit du premier occupant? Eh bien le clergé Vous oppose ce droit: pouvez-vous lui enlever des biens qu'il possédait avant que Vous existassiez?“⁴⁾.

„La nation n'a d'autre droit que celui du plus fort: les hostilités de la force seraient-elles donc des décrets de la loi?... Malheur à une nation où les propriétaires n'auraient

siaj; ale nie lądźcie się, jeżeli my będziemy obrabowani, i na was kolej przyjdzie: wasza niemoralność będzie wam wyrzucaną i pierwsza klęska finansowa dotknie wasze majątki“.

- 1) „On (lud) będzie miał nad wami wszystkie prawa, które wykonywać będziecie nad nami; on także powie, że jest narodem, że przedawnienia niema przeciwko niemu“.
- 2) „Gdy Jezuitci zostali zniesieni, mówiono wszędy o ich bogactwach. Zaledwie dobra ich znalazły się pod sekwestrem, okazały się niedostatecznymi do opłacenia pensyi nieprzy stojnie skromnej, która była im obiecana. Własność tego sławnego Zakonu znikła bez żadnej korzyści dla państwa“.
- 3) „Chcecie być wolnymi! A więc pamiętajcie, że bez własności nie ma wolności, albowiem wolność nie jest czem innym, jak pierwszą własnością społeczną, własnością siebie samego“.
- 4) „Proszę mi powiedzieć jaka jest własność, dawniejsza od układów społecznych? Czyż nie jest nią prawo tego, który pierwszy zajął? A więc duchowienstwo może się wam z tego prawa wykazać. Czy możecie odebrać mu własność, którą posiadał, zanim się wy istnieli?“

que ces patentes antérieures à la loi pour défendre leurs propriétés! En trois syllogismes on les envahirait. L'auteur *d'Emile* pour donner une définition de la propriété à son élève, a cité la loi: personne n'aurait cultivé la terre s'il n'eût été sûr de recueillir. La propriété est le rapport des choses et des personnes; elle est un premier rempart pour le travail; au delà tout est chimérique. Interrogez l'homme du peuple, lui que la philosophie devrait interroger plus souvent; il répondra que personne ne peut chasser l'homme qui est dans sa maison, et le cultivateur qui laboure son champ. Nous possédions la plupart de nos biens avant Clovis, et il serait peut-être facile de prouver qu'alors le clergé était beaucoup plus riche qu'il ne l'est aujourd'hui. Depuis ce temps, nos propriétés ont été, comme les vôtres, sous la sauvegarde de la loi... Le clergé, dit-on, ne peut acquérir, ni aliéner; lui a-t-on disputé sa propriété lorsqu'il a payé la rançon de François I, payé les dettes de Charles IX? Ne nous aura-t-il été permis de posséder quatorze cents ans que pour nous déposséder en un seul jour? Si cela était, il ne faudrait pas dire que nous sortons des forêts de la Germanie; mais il faudrait répondre aux auteurs de ces doctrines antisociales, qu'ils veulent nous y ramener¹⁾.

1) Naród nie ma innego prawa, jak tylko prawo moniejszego: ale czyż walki siły mogą być wyrokami prawnymi? Biada narodowi, u którego właściciele nie mieliby jak tylko te dowody, od prawa dawniejsze, dla obrony swej własności! Trzema syllogizmami byliby zniszczeni. Autor *Emila*, ażeby swojemu uczniowi dać określenie własności, opiera ją na tem, że niktby nie był uprawiał ziemi, gdyby nie był pewnym zbioru. Posiadaliśmy większą część naszych dóbr przed Klodwikiem i byłoby może łatwem dowieść, że wówczas kler był o wiele bogatszym, aniżeli dzisiaj. Od tego czasu nasze własności, podobnie jak wasze, były pod opieką prawa... Mówi się, że kler nie może ani nabywać, ani pozbywać; czyż mu zaprzeczano jego własności, gdy pokrył okup Franciszka I długi Karola IX? Czyż wolno nam było posiadać przez tysiąc czterysta lat, ażeby nas wydziedziczyć w jednym dniu? Jeżeli tak było, to nie możnaby powiedzieć, iż wyszliśmy z lasów germańskich, ale należałoby odpowiedzieć tych antyspołecznych zasad twórcom, że chcą, ażebyśmy do tych lasów powrócili“.

„Le talent de régénérer ne sera-t-il que l'art malheureux de détruire? Vous l'avez dit Vous-mêmes avec amertume: *Vous êtes environnés de ruines*, et vous voulez augmenter les décombres qui couvrent le sol où Vous deviez bâtir?“¹⁾

„Le plus terrible despotisme est celui qui porte le masque de la liberté“²⁾.

O wiele jeszcze silniejsze i świetniejsze są ustępy z przemówień X. Maury ogłoszonych podczas dyskusyi nad wszechwładzą ludu (*la souveraineté du peuple*). I tak:

„C'est de ce répertoire de paradoxes qu'un esprit de vertige et de révolte s'est répandu depuis trente ans sur toute la France. Vous, messieurs, qui devriez être, au milieu du délire universel de ces vingt-six millions de rois en idée, les régulateurs de l'opinion publique; Vous, qui devriez multiplier les signaux de ralliement autour d'un trône qui chancelle, et dont la chute momentanée écraserait l'Etat, vous avez au contraire proclamé sans examen la souveraineté du peuple, dans ce code antisocial, où une frauduleuse anarchie nous présente sans cesse l'homme de la nature à la place de l'homme de la société, où tous les principes de la révolte sont consacrés comme les premières bases de la constitution française, où le peuple, proclamé roi naturel, domine entièrement son roi constitutionnel, où la souveraineté populaire prononce la déchéance de tous les rois — enfin dans cette théorie scandaleuse de l'insurrection que Vous avez publiée comme un manifeste contre tous les gouvernements, sous le titre déguisé de „*Déclaration des droits de l'homme*“... On dirait qu'il suffit de l'énoncer (la souveraineté populaire) comme un axiome politique sur lequel nous sommes tous d'accord, et que la cause entièrement désespérée des rois, ou plutôt de la société tout entière, ne peut plus avoir ici pour défenseurs que des idiots ou des esclaves. Eh bien, messieurs, je suis l'un

1) „Zdolność odradzania czyż ma być tylko nieszczęśliwą sztuką niszczenia? Powiedzieliście sami z goryczą, że jesteście otoczeni ruinami i chcecie powiększać rozwaliny kryjące grunt, na którym mieliście budować“.

2) „Najstraszniejszy despotyzm jest ten, który nosi maskę wolności“.

de ces idiots, l'un de ces esclaves, qui n'admettent pas la souveraineté du peuple¹⁾.

„Comment l'autorité souveraine des rois résisterait-elle aux invasions des sophismes, tandis que les droits les plus incontestables et les plus saints, les droits paternels, les droits de Dieu lui-même, sont compromis toutes les fois qu'on les discute publiquement? Une fatale expérience a dû vous apprendre que toutes ces subtiles analyses de l'esprit ne tendent qu'à relâcher le noeud social et qu'elles affaiblissent nécessairement le ressort de la morale en rendant tout problématique avec des syllogismes²⁾).

1) „Z tego to słownika paradoksów rozlał się od lat trzydziestu duch zamieszania i buntu po całej Francji. Wy, panowie, którzy pośród ogólnego oszołomienia tych dwudziestu sześciu milionów, uważających siebie za królów, powinniście być opinii publicznej kierownikami, wy, którzy powinniście mnożyć hasła skupienia się około chwycenia się tronu, którego chwilowy upadek zniszczyłby państwo, wy przeciwnie, bez jej zbadania ogłosiliście wszechwładzę ludu w tym kodeksie antyspołecznym, w którym zdradliwa anarchia stawia nam bez przestanku człowieka natury w miejsce człowieka społecznego, w którym wszystkie zasady buntu uświęcono jako pierwsze podstawy konstytucyi francuskiej, w którym lud, ogłoszony królem naturalnym, uznany jest za pana swojego króla konstytucyjnego, w którym wszechwładza ludu głosi upadek wszystkich królów, wreszcie w tej skandalicznej teorii buntu, którąście ogłosili jako manifest przeciwko wszystkim rządcom, pod zwodniczym tytułem *Deklaracyi praw człowieka*... Zdawałoby się, iż wystarczy powiedzieć, że wszechwładza ludu jest zasadą polityczną, co do której jesteśmy wszyscy w zgodzie i że zupełnie stracona sprawa królów, albo raczej całego społeczeństwa, nie może mieć tutaj innych obrońców, jak tylko idiotów, albo niewolników. Otóż moi panowie, ja jestem jednym z tych idiotów, jednym z tych niewolników, którzy nie uznają wszechwładzy ludu“.

2) „Jakżeż powaga króla ma się oprzeć przemocy sofizmów, kiedy prawa najwięcej niezaprzeczone i najświętsze, prawa rodzicielskie, nawet prawa Boże, tracą, gdy się o nich rozprawia publicznie? Fatalne doświadczenie nauczyło was prawdopodobnie, że wszystkie te subtelne oceny rozumu zmierzają tylko do osłabienia wspólczesnej jedności i że podkopują zasady moralne przez syllogizmy, wszystko w wątpliwość podając“.

„Que pouvez-vous proposer dans cette marche évidemment républicaine, si ce n'est de placer des pierres d'attente très-saillantes du côté de l'espace vide que le roi occupe encore provisoirement dans votre constitution, pour appeler et élever bientôt, sur les ruines du trône, un gouvernement entièrement populaire, qui n'aura besoin que de changer de nom pour être une monstrueuse démocratie!... Cette forme de gouvernement, reconnue généralement comme la plus mauvaise de toutes, principalement dans un grand Etat, donne une si énorme puissance à tous les vices, elle est accompagné de tant de lenteurs et de tant de désordres, elle est tellement incompatible avec l'esprit de suite, l'activité et le secret, qu'il faut qu'elle anéantisse nécessairement et promptement un grand empire, ou qu'elle s'anéantisse elle-même, en le précipitant, comme elle l'a toujours, fait dans le despotisme... Vous ne réussirez donc pas, suivant votre nouvelle expression, à *démonarchiser* la France pour longtemps par tous vos complots démocratiques. Mais cette expérience passagère d'anarchie serait pour elle un grand désastre de plus et une nouvelle preuve de calamités à travers lesquelles nous serions obligés de passer, pour revenir, de révolution en révolution, à l'ombre de ce même trône dont le torrent des opinions philosophiques nous éloigne, et vers lequel la nécessité, l'intérêt commun, le besoin du repos, nous ramèneront tôt ou tard“¹⁾.

¹⁾ „Cóż możecie postawić, jeżeli nie wytyczne znaki na tej przestrzeni pustej, którą król jeszcze tymczasowo zapełnia w waszej konstytucyi, ażeby wkrótce na zwaliskach tronu postawić rząd zupełnie ludowy, który będzie tylko potrzebował zmiany nazwiska, ażeby stać się potworną demokracją!... Ta forma rządu, powszechnie za najgorszą ze wszystkich uznana, zwłaszcza w wielkim państwie, daje tak olbrzymią przewagę wszelkiemu złemu, taka powolność i nieakuratność z niej wynika, tak dalece nie umie zachować właściwej miary, czynności i tajemnicy, że musi koniecznie i w krótkim czasie zniszczyć wielkie państwo, albo zniszczyć siebie samą, przeradzając się, jak to zawsze bywało, w despotyzm. A więc nie uda wam się, wedle waszego nowego wyrażenia, *xdemonarchizować* Francję przez wasze spiski demokratyczne. Ale ta próba przejściowa anarchii byłaby dla niej jedną nową klęską więcej i jednym nowem nieszczęściem, przez które musielibyśmy

„En genre de gouvernement, la nature n'a laissé d'opinion à la France, qu'entre la monarchie et l'anarchie“¹⁾.

„C'est par une pure et chimérique fiction que l'on prétend exprimer la volonté de tout un peuple dans un pouvoir représentatif; le peuple n'exprime que son vœu dans le choix de ses députés et nullement sa volonté dans des délibérations qu'il ne peut ni prévoir ni régler. De quelque manière que l'on procède à la rédaction du code politique, soit que la force le règle, soit que des députés le discutent, il est évident, que le peuple se soumettra toujours sur parole à la constitution qu'on voudra lui donner“²⁾.

„Admettre, du moins dans un grand empire de vingt-six millions d'individus (car c'est toujours à cette considération qu'il faut revenir), admettre dans un pareil Etat le principe de la souveraineté du peuple, c'est renouveler, en genre de gouvernement, le monstrueux système de Spinoza, qui attribuait une portion de la divinité à chaque élément de la nature, comme on défère ici une portion de la souveraineté à chaque membre du corps social. En spéculation métaphysique, ce paradoxe aboutit à l'athéisme, et en droit public, il conduit rapidement un grand Etat au terme, où Vous êtes arrivés, messieurs, à l'anarchie“³⁾.

przejsię, ażeby z rewolucyi do rewolucyi przechodząc, powrócić pod osłonę tego tronu, od którego powódz filozoficznych zasad nas oddała i do którego konieczności, interes wspólny i potrzeba spokoju wcześniej lub później nas zwróca“.

- 1) „Pod względem formy rządu, natura nie dała Francyi wyboru innego, jak tylko między monarchią a anarchią“.
- 2) „Jestto czysta uluda sądzić, że się wyraża wolę całego narodu w rządzie reprezentacyjnym: naród wyraża tylko swoje życzenie przez wybór deputowanych, a nie wolę swoją w rozprawach, których nie może ani przewidzieć, ani niemi kierować. Jakimkolwiekby sposobem dochodzi się do stworzenia kodeksu politycznego, czy to że siła go stworzy, albo posłowie będą nad nim rozprawiali, oczywiście jest, że naród zawsze na słowo podda się ustawodawstwu, które będzie mu danem“.
- 3) „W wielkiem państwie o dwudziestu sześciu milionach mieszkańców uznać zasadę wszechwładzy ludu, jest to, pod względem rodzaju rządu, odnowić potworny system Spi-

„Hélas, il (le peuple) n'est encore parmi nous que spectateur de la révolution, mais il en sentira bientôt tout le poids. Il va être mis en action, et ce ne sera qu'aux dépens de son bonheur et de son repos qu'il servira votre ambition et vos vengeances. Il éprouvera, ce peuple égaré, que sa propre autorité est un fléau pour lui, que lui seul peut se faire tous les maux aux-quels il se dévoue, et qu'il lui serait infiniment moins funeste d'être opprimé que d'être puissant. Il se traînera ainsi de crimes en malheurs et de malheurs en crimes, dirai-je, durant un règne ou durant un rêve si convulsif et si court, jusqu'à ce que, épuisé par son délire, ses désastres et ses forfaits, dégoûté d'illusion et las de toute-puissance, il trouve enfin un asile dans le despotisme, en tendant ses défaillantes mains aux fers d'un maître absolu qui daigne le délivrer de ses propres fureurs. Oh, vous qui parlez encore de bonheur aux nations, en prostituant ainsi à la multitude la suprême puissance, ouvrez les yeux: voilà le tableau en action de la souveraineté du peuple! Tel sera, tel est déjà le règne de ce peuple français que nous avons vu si tranquille et si grand sous l'empire accoutumé de ses rois“¹⁾.

nozy, który część bóstwa przypisywał każdemu żywiłowi materyi, tak jak się przypisuje tutaj część wszechwładzy każdemu członkowi społeczeństwa. W metafizyce ten paradoks prowadzi do ateizmu, a w prawie publicznem prowadzi szybkim krokiem wielkie państwo do tego, do czego wy panowie doszliście, do anarchii“.

- ¹⁾ Lud u nas jest dotychczas tylko widzem rewolucyi, ale wkrótce poczuje cały jej ciężar. Gdy będzie powołanym do czynu, jedynie tylko ze stratą własnego szczęścia i spokoju, będzie służył waszej ambicyi i waszej zemście. Ten lud obalamucony poczuje, że własna jego powaga jest klęską dla niego, że on sam może sobie wyrządzić wszystko złe, któremu się oddał i że byłoby dla niego bez porównania mniej szkodliwym być w ucisku, jak mieć siłę. Będzie się tarzał od zbrodni do nieszczęścia i od nieszczęścia do zbrodni podczas panowania pełnego konwulsyi, a krótkiego jak sen, aż kiedy, wyczerpany swoim obłudem, nieszczęściami i nadużyciami, zbrzydzone mrzonkami i zmęczony wszechpotęgą, znajdzie nareszcie schronienie w despotyzmie, wyciągając słabe ręce do łańcuchów absolutnego władcy, który raczy go uwolnić od własnych jego szaleństw. Wy, którzy mówicie jeszcze narodom

Gdyby nie brak miejsca, podalibyśmy ustępy i z innych mów X. Maury, a zwłaszcza z tych, które w dyskusyi nad *konstytucją cywilną kleru* wypowiedział, dowodząc niekompetencyi Zgromadzenia w sprawach kościelnych. Wprawdzie, zdaje się, iż całkowite, zupełnie dokładne wydanie tych pierwszorzędnego znaczenia płodów wymowy nie ukazało się dotąd i że wyjątki, w późniejszym wydaniu dzieł umieszczone, spisane zostały z pamięci, niektóre zaraz po ich wygłoszeniu, niektóre w wiele lat później, co budzić może po części podejrzenie, że owe zdania, do najwyższego stopnia jasne i przesywająco jędrne, z wnioskami nieraz bardzo daleko idącymi i wyniki zdarzeń uderzająco prawdziwie określającymi, że one dopiero wskutek smutnych zdarzeń następnych brzmią w ten sposób. Gdyby nawet tu i owdzie tak było, to wielkie imię, które X. Maury był sobie zjednał zaraz po pierwszych wystąpieniach, i cześć, którą mu okazywano wszędzie w sferach duchownych i monarchicznych, co, obok biografu, stwierdza także literatura współczesna i olbrzymia nienawiść obozu przeciwnego, dostatecznie świadczą o pierwszorzędnej ich znakomitości.

Jednym z dowodów owego wrażenia, jakie jego wystąpienia zrobiły, było stanowisko, które ów syn szewca z Valréas, w suknię kapłańską przybrany, na dworze „króla arcychrześcijańskiego“ sobie zdobył. Świadczy o tem list Ludwika XVI na dwa lata przed męczeńskim jego zgonem do ówczesnego X. Maury pisany. *Vous excitez mon admiration* („budzisz mój podziw“) pisze król, zaklinając go, ażeby nie wystawiał się na niebezpieczeństwa zewsząd mu grożące i czyniąc go uważnym na oszczerstwa zwracające się przeciwko niemu.

Także i papież Pius VI przez sekretarza stanu kardynała Zelada wyraża podziwienie, które ma dla niego: „Je-

o szczęściu, poniewierając w ten sposób najwyższą władzę w oczach motłochu, otwórzcie oczy: to jest rzeczywisty obraz wszechwładzy ludu! Takiem będzie, takim już jest panowanie tego ludu francuskiego, który widzieliśmy tak spokojnym i tak wielkim pod panowaniem królów, do którego przywykł“.

steś ponad wszelką pochwałę, masz prawo bezwzględne do poważania całej Europy. Papieża pali chęć widzenia cię“, pisze rzeczony kardynał. Wezwaniu temu posłuszny, Maury udał się do Rzymu, gdzie przez bawiące tamże ciotki Ludwika XVI, księżniczki Wiktoryę i Adelaidę, wszedł odrazu w stosunki ze wszystkim, co Wieczne Miasto miało najwybitniejszego. W r. 1792 Pius VI zamianował go tytularnym arcybiskupem Nizy, dając do zrozumienia, że przeznacza mu purpurę. Ta ostatnia dostała mu się we dwa lata potem. Prosił o nią dla niego hr. Prowancyi (Ludwik XVIII). Poprowadziła ją ambasada na sejm frankfurcki, na którym rzymskich cesarzy korona na skroniach cesarza Franciszka spoczęła. I cesarz i król pruski tego wysłannika Papieża w sposób wyjątkowo odznaczający przyjęli, dziękując Piusowi VI za to, iż przez wysłanie takiego posła dał dowód „udziału, który bierze w sprawie wszystkich panujących“. Jeździł także w missyi do Drezna. Ale jego zachowanie, jak się zdaje, nie dosyć spokojne, świadczyło, że na dyplomatę nie był stworzonym.

Po śmierci kardynała Garampi (tego samego, który za Stanisława Augusta był nuncyuszem w Polsce) otrzymał biskupstwo Montefiascone i Corneto i, już będąc kardynałem, osiadł w tej swojej stolicy biskupiej w pobliżu Viterbo. Miejscowość ta, liczbą mieszkańców i rozciągłością bardzo nieznaczna, na wzgórzu położona, z wspaniałym na okoliczną dolinę widokiem, dla umysłu kontemplacyjnego byłaby odpowiednią, ale Maury miał usposobienie zanadto czynne, jemu potrzeba było i ruchu i zajęcia pośród ludzi. I zdaje się, że cztery lata w tem ustroniu spędzone nie zupełnie dobrze na kierunek umysłu jego oddziaływały, że w tym czasie późniejszych jego zbroczeń poczęły się zarody!

W r. 1798, po zajęciu Rzymu przez wojska francuskiej republiki, położenie kardynała - biskupa Montefiascone stało się bardzo niebezpiecznem. Francuscy wychodźcy do jego siedziby często zaglądali, a kleru francuskiego dosyć liczne grono go otaczało. Dlatego był solą w oku wykonawcom woli Dyrektoryatu, którzy zajęli całą jego własność w obrębie dycezyi, a on sam, tylko na kilka godzin, przed dragonami dla uwiezienia go przybywającymi uszedł. Poseł

cesarza Pawła we Florencyi, gdzie kardynał Maury się schronił, ofiarował mu, w imieniu władcy Wszechrosyi, schronienie w tem państwie. Gdy się dowiedział o tem Ludwik XVIII, wezwał go listownie, ażeby z gościnności cara nie korzystał, gdyż nie czas jeszcze dla niego iść na spoczynek, że wiek i zły stan zdrowia Papieża wróżą w czasie niedalekim zebranie się *conclave* i że winien czuwać nad wyborem jego następcy. Zdawać się może, iż życzeniem wygnanego monarchy było, ażeby Maury zasiadł na Stolicy św. Zgodnie z tem wezwaniem, nie przyjął on gościnności w Rosyi, ale, z powodu pościgów wysłanników Rewolucyi, zmuszony do uciekania z Toskanii, w przebraniu lokaja kuryera gabinetowego dostał się do Wenecyi, gdzie, już wiemy, jak wpłynął na wybór Piusa VII.

Po skończonem *conclave*, a przed wyjazdem nowego Papieża z Wenecyi, kardynał Maury miał zaszczyt przedstawienia mu kilku książąt francuskiego domu, w liczbie których znajdował się ks. d'Engbien, późniejsza ofiara samowoli Pierwszego Konsula. W tymże czasie także otrzymał on po nowny nader pochlebny list od Ludwika XVIII z nominacją na posła tego monarchy przy Papieżu. Był obecnym przy uroczystym wjeździe Piusa VII do Rzymu w dniu 3 lipca 1800 r. Potem powrócił do Montefiascone, tylko czasem przybywając do Wiecznego Miasta, gdzie miał bardzo znaczące wpływy i bywał częstym pośrednikiem między francuskimi biskupami a Stolicą św.

Ale, po zawarciu konkordatu w r. 1801, wpływ Bonapartego na dwór rzymski wzrósł bardzo znacznie. Zażądał on, ażeby kardynał Maury w Rzymie się nie pokazywał, a Stolica św., przy której uwierzytelnionym był teraz poseł Rzeczypospolitej, nie mogła się z tem żądaniem nie liczyć. Odtąd poseł Ludwika XVIII nie przedstawiał już więcej tego wówczas tytularnego króla na dworze papieskim. Z drugiej strony także i w zachowaniu się kardynała nastąpiła zmiana. Jego korespondencya z głową Bourbonów domu ustalała prawie zupełnie, a zbliżała się szybkim krokiem chwila stanowcza: on, który niedawno jeszcze wspaniałą napisał list do jednego z wybitnych francuskich biskupów, a w nim z siłą

i jasnością niezwykłą doniosłość i korzyści opozycji przeciwko uchwałom Konstytuanty tłumaczy, opowiadając, że gdy mowy swoje wygłaszał, niczego innego, jak tylko śmierci się spodziewał, miał z drogi dotychczasowej zejść i bardzo szybko do obozu przeciwnego przystąpić.

Gdy zbliża się Boże Narodzenie i Nowy Rok, stosownie do oddawna przyjętego zwyczaju, kardynałowie przesyłają monarchom listy z życzeniami. Po zawarciu konkordatu i zawiązaniu normalnych stosunków dyplomatycznych między Stolicą św. a republiką francuską, także i do Pierwszego Konsula zaczęto z życzeniami pisywać. Maury aż do r. 1803 nie szedł śladem kolegów i wśród tych nowych stosunków, czując się zakłopotanym, napisał do Ludwika XVIII, by mu wytłumaczyć położenia trudność. Odpowiedź otrzymana była krótką, dla stanowiska członka św. kolegium wobec polityki, którą Stolica św. prowadzić musiała, wyrozumiałości pełną. Ale gdy w r. 1803 Papież nowe cesarstwo uznał i kardynałów o tem zawiadomił, Maury napisał w sierpniu tegoż roku list do Napoleona, w którym, odwołując się do swoich usług monarchii niegdyś oddawanych, powiada, że zawsze był i jest monarchistą i że dlatego dziedziczość tronu w domu cesarskim z radością wita, sławiąc zwycięstwa, rząd i politykę nowego władcy, jak niemniej i to, co dla Kościoła zdziałał! List taki nie mógł nie zrobić olbrzymiego wrażenia. Został zaraz umieszczony w *Monitorze*, a Napoleon przyjął go nadzwyczajnie łaskawie, zapewniając kardynała o szczególniejszem swoim poważaniu.

Pomimo wezwań do Paryża, po rzeczonym liście kilkakrotnie się powtarzających, kardynał-biskup Montefiascone w dyecezyi swojej stale przebywał. Dopiero po koronacji Napoleona na króla Włoch w Medyolanie, w skutek zaproszenia do Genuy, stawił się tamże i zetknął po raz pierwszy z cesarzem w dniu 4 lipca 1805 r. Wrażenie, które wielki bohater na nim zrobił, było olbrzymie. Pod osobliwego uroku jego wpływem udał się do Paryża, za którym może tęsknił w małym i smutnym Montefiascone.

W stolicy nowego cesarstwa, do której w maju 1806 r. przybył, wszędzie zwracał na siebie uwagę. Lud z ciekawo-

ścią mu się przyglądał i otaczał jego karetę. Uzyskał stanowisko kardynała korony francuskiej i jałmużnika Hieronima Bonapartego, a ponieważ dawne swoje miejsce w Akademii francuskiej, w skutek jej przeobrażenia, był stracił, wybrany został do nowo utworzonej. Ale wstępna jego mowa, przy uroczystości przyjęcia, nie stała na równi z dawnymi, miała być nadętą i nieprzyjemną.

Gdy po wywiezieniu Papieża do Savony i przybyciu kardynałów do Paryża stosunek tych ostatnich do rządu cesarskiego, w dniach zaślubin cesarza, stanowczo się zaznaczył, Maury należał do t. zw. *czerwonych* i we wszystkich przyjęciach brał udział.

Te dotychczasowe zboczenia w zachowaniu się były natury więcej politycznej. W ślad za nimi bardzo prędko poszły inne.

Gdy w czerwcu 1808 r. zakończył był życie dotychczasowy arcybiskup paryski, kardynał de Belloy, Napoleon następcą jego zamianował kardynała Fescha. Wedle powszechnie znanych zasad kanonicznego prawa, biskup jurysdykeji w dyecezyi wykonywać nie może, jak długo Stolica św. *bulli* instytucyjnej nie nadeszła. Ale w czasach owych zamięszanie pojęć było tak wielkie, a duch gallikańskich tradycji we francuskim klerze tak silny, że mimo wyraźnego zakazu papieskiego, ażeby nominaci rządowi aż do nadejścia *bulli* władzy biskupiej nie sprawowali, kapituły katedralne, w jarych zasiadało dużo dobrego ducha kapłanów, jak w kapitule paryskiej kanonik d'Astros (późniejszy kardynał-arcybiskup Tuluzy), który, jak zaraz zobaczymy, za posłuszeństwo Papieżowi w owych czasach wtrąconym został do więzienia, one nominatom rządu, zaraz po ogłoszeniu nominacyi, na podstawie jakichś gallikańskich tradycji, władzę wikaryusza kapitularnego powierzały, a tem samem do sprawowania rządów dyecezyalnych *sede vacante* upoważniały. Odnośnie do kardynała Fescha, kapituła kościoła *Nôtre Dame* nie inaczej postąpiła. Ale on, pomimo, że był wujem cesarza i że nominację przyjął, a nawet uroczysty ingres do katedry paryskiej zrobił, pamiętając dobrze o tem, iż zawsze jeszcze jest arcybiskupem lyońskim i że bez Papieża stolicy tej opuścić i innej objąć *de jure* nie może, do zarządu paryskiej dyecezyi się nie mięszał, a gdy cesarski

siostrzeniec robił mu z tego powodu wymówki i nalegał na niego sposobem sobie właściwym, odrzekł: *Potius mori*, co Napoleon dowcipnie umiał nakreślić: *Plutôt Maury, eh! bien Vous l'aurez* ¹⁾ („Raczej Maury, dobrze, będziecie go mieli“), poczem tego ostatniego zaraz wezwał do siebie i natychmiast (bez używanego w takich razach stroju kościelnego) kazał mu złożyć przysięgę na arcybiskupa. Działo się to w październiku 1810 r.

Kardynał Maury, nie pamiętny na to, że wówczas był zawsze jeszcze biskupem Montefiascone i Corneto i że nie tylko jako kapłana i biskupa, ale co więcej jako kardynała łączyły go ze Stolicą św. węzły bardzo ściśle, nie miał w tym wypadku sumienia równie czy jasnego, czy delikatnego, jak Fesch. Tradycyjną nominację kapituły na wikaryusza kapitularnego nie tylko przyjął, ale i zarząd paryskiej diecezji objął, zapowiadając, że sam wszystkie akta podpisywać będzie. Napoleon, który przez t. zw. *Articles organiques* chciał prerogatywy kapituł katedralnych obalić, gdy się spostrzegł, że przy obsadzaniu biskupstw ułatwiać mu one mogą obchodzenie się bez Papieża, co było jego marzeniem, chętnie się zgodził na to wykonywanie jurysdykcyi na podstawie władzy przez kapitułę udzielonej.

Wiemy już z poprzedniego opowiadania, jak zachował się Pius VII w Savonie odnośnie do biskupów kanonicznie nieinstytuowanych, a którzy, na mocy jurysdykcyi wikaryuszów kapitularnych, rządy diecezjalne sprawowali, w szczególności zaś odnośnie do kardynała Maury. Ten ostatni, w odpowiedzi na list, w którym o instytucję prosił, otrzymał *breve* z 5 listopada 1810 r., którem postępowanie jego, z powodu, iż będąc biskupem innej diecezji, w sposób niedozwolony władzę biskupią objął, potępionem zostało. Ale on, niby z powodu, że *breve* nie zostało mu *oficyalnie* doręczone i że nie nosiło pieczęci *rybaka* ²⁾, nie zważał na takowe.

Gdy po tak wyraźnym akcie Głowy Kościoła nie było wątpliwości żadnej co do nielegalnego wykonywania władzy

¹⁾ Lyonnet: *Le Cardinal Fesch*, t. II.

²⁾ Pierścień *rybaka* został do Paryża zabrany w czasie gwałtów na Papieżu dokonanych. Rząd Bourbonów bezzwłocznie po objęciu władzy go zwrócił.

arcybiskupiej przez kardynała Maury, a wzmiankowany kanonik d'Astros, ze względu na dobro dusz, postarał się o to, by wierni o tem wiedzieli, nastąpiło jego uwięzienie w sposób dosyć szczególny, bo u wyjścia z Tuileryj po audyencji noworocznej 1811 r., na której on, chociaż najwięcej przeciwko pozorom legalności władzy kardynała pracował, razem z całą kapitułą pod jego przewodnictwem się stawił! Takie różnorodne sprzeczności były w owych czasach na porządku dziennym. I d'Astros powiększył liczbę ówczesnych więźniów duchownych w Vincennes.

Pomimo, iż zachowanie się kardynała Maury, zarząd dycezyi nadal sprawującego, było gorszącem, od chwili, gdy w paryskim pałacu arcybiskupim zamieszkał, w sposobie życia i zachowania się starał się o dawanie jak najlepszego przykładu. Bywania częstego w oficjalnych sferach, na obiadach, na jakie dotychczas prawie codziennie uczęszczał w kołach towarzyskich, w których dowcip jego świetny, ale podobno nie zawsze zbyt wykwintny, miał powodzenie, zaniechał, w rozdawaniu jałmużn był hojnym, wieczór odbywała się u niego modlitwa wspólna, a gdy cesarz dwa razy żądał, ażeby i tytułu arcybiskupa paryskiego używał, stanowczo odmówił, uzasadniając odmowę tem, że uznawanie się za *rzeczywistego* arcybiskupa, jurysdykeyi by go pozbawiło, którą teraz (jako wikaryusz kapitularny) wykonywać może.

Nadto chciał Maury przypomnieć się jako mowca. Dla tego na Wielki Piątek 1811 r. zapowiedział kazanie w katedrze *Notre Dame* o Męce Pańskiej. Cały Paryż był ciekawy słyszenia tego mowcy, którego niegdyś Mirabeau się obawiał i który całej Europy podziwienie budził. Olbrzymia świątynia do tego stopnia przepelnioną była, że żona ambasadora austriackiego, księżna Schwarzenberg, nie mogąc w kościele najbliższego miejsca dostać, postępując krok w krok za kardynałem do kazalnicy zmierzającym, usiadła na schodkach obok mowcy, co wśród publiczności wywołać miało objawy niezadowolnienia. Ale i mowa sama się nie podobała. Maury w purpurze, i pod względem daru wymowy nie był tym samym, który taki niegdyś budził podziw. W kazaniu były wprawdzie ustępy wspaniałe, ale dawna pamięć go opuściła, dlatego nie prze-

mawiał, ale czytał, co ogólne wywołało zdziwienie, nadto czytać zdaje się nie umiał, stąd rozczarowanie było wielkie.

W położeniu dziwnem, w którym znajdował się ten człowiek do zrozumienia trudny, zajmował się on z gorliwością obowiązkami pasterskimi, do których, jak wiemy, uprawnionym nie był. Ogłaszał rok rocznie bardzo piękne listy pasterskie, pod względem tłumaczenia zasad dogmatycznych i obowiązków życia chrześcijańskiego najlepszym duchem tętnące. Diecezyję wizytował, a widząc, że duchowni, podobnie jak za dni prześladowania, ciągle jeszcze ubrań świeckich używają, wydał okólnik, w którym obowiązek noszenia sukni długiej nakazał. Zwyczaj ten odtąd przyjął się do tego stopnia, że nawet na dworze księcia w strojach ściśle kościelnych bywali. Widząc, że lud w owym czasie o prawdach wiary mało co wiedział, streścił w kilkunastu punktach przez siebie spisanych główne zasady nauki Kościoła, które kaznodzieje mieli odczytywać wiernym i które różnemi sposobami miały dochodzić do wiadomości ludu.

Ale, obok tego, gdy w r. 1813 Pius VII nieszczęsny podpisał akt, który jako *konkordat* nieprawnie ogłoszono, Maury zarządził *Te Deum*, a w liście pasterskim mówił o nim jako o zdarzeniu wielkiem i pomyślnem. Gdy potem Papież wydał wiadomy akt, którym *konkordat* za nieważny ogłosił, Maury pospieszył do Fontainebleau i w rozmowie z Papieżem tak się uniósł, że Ojciec św. wziął go za rękę i z pokoju wyprowadził. W ogólności Pius VII zachowywał się względem niego bardzo zimno, przy sposobności wizyt, które on mu oddawał w czasie pobytu w Fontainebleau, a gdy w r. 1814 zjawił się jako jeden z wysłanników cesarza dla rozpoczęcia nowych układów, przyjętym nie został.

W rzeszonym roku 1814 położenie kardynała Maury było bardzo trudnem. Gdy już oczywiście szczęście wojenne przestało Napoleonowi sprzyjać, wydał on odezwę, wzywającą zdolnych do broni do spieszenia jak najliczniej na pole walki. Wiara jego w gwiazdę Napoleona tak była silną, że do ostatniej chwili upadek jego za niemożliwy uważał. Po wejściu wojsk sprzymierzonych do Paryża i po abdykacji cesarza, gdy kapituła metropolitalna akt uznania nowego rządu podpisała, on go także podpisał i nibyto znowu sprzyjał Ludwikowi XVIII.

Ale kapituła uchwaliła także i odebranie mu władzy wikaryusza kapitularnego. Maury, do żywego tem dotknięty, nie miał co dalej robić w Paryżu. Opuszczony przez wszystkich, udał się w podróż do Włoch, do swojej tamtejszej dyecezyi. Nim jednak tamże dojechał, w Radicofani, gdzie niegdyś (już należąc do obozu Napoleona) jako biskup pobliskiego Montefiascone witał Piusa VII, udającego się na koronację do Paryża, doszła go wiadomość o *breve* papieskiem, którem administracya tej dyecezyi została mu odebrana.

Nie mając teraz biskupiej siedziby, udać się musiał do Rzymu. Tam wstęp do Papieża i na wszelkie zebrania kardynałów został mu wzbronionym. Czy podczas *Stu dni* wszedł w porozumienie z Muratem, gdy tenże, zwróciwszy się znowu do Napoleona, zagrażał bezpieczeństwu Państwa Kościelnego, i czy *Giunta*, rządząca wówczas w Rzymie w zastępstwie Papieża, oprócz tego, że w najwyższym stopniu był on solą w oku tryumfującemu wówczas wszędzie legitymizmowi, miała jakie słuszne powody do uwięzienia go — zdaje się, że dotychczas zupełnie dobrze wyjaśnionem nie jest. W Zamku św. Anioła, gdzie go osadzono i jakoby dla ironii dano mu kaźnię, którą zajmował był Cagliostro, spędził miesięcy trzy i dni czternaście. Los, który go spotkał, wywołał wszędzie wielkie wrażenie. Dawały się podobno słyszeć głosy, dlaczego tak samo nie postąpiono z Feschem, który po powrocie Napoleona z Elby pospieszył do Francyi i jawnie stanął po stronie siostrzeńca. Ale Fesch nie był nigdy odstępca, a w czasie *Stu dni*, chociaż pospieszył do Paryża i należał do rodziny Bonapartów, od wszelkiego udziału w polityce stanowczo się usunął; dlatego żywiołom w owych latach przemożnym nie chodziło odnośnie do niego o wykonanie przykładowej kary, na którą, sądzono, że zasłużył Maury.

Po powrocie Papieża z Genuy i ostatecznem ustaleniu się stosunków w Rzymie, za wstawieniem się kardynała Consalvi, który od pamiętnych dni weneckiego *conclave* żywił zawsze uczucia wdzięczności dla kardynała Maury, został on uwolnionym. Wówczas Pius VII przyjął go łaskawie i położenie jego, jako kardynała w kuryi rezydującego, zostało uregulowane. Mieszkał też odtąd stale w Rzymie, oddany modlitwie i dobrym uczynom, aż do śmierci, która nastąpiła w r. 1817.

Że w tych ostatnich życia jego latach imię jego, dawniej tak sławne, powagi już żadnej nie miało, było to wynikiem bardzo zrozumiałym roli, którą odegrał. Na list, który po Restauracji napisał do Ludwika XVIII, zdaje się, że odpowiedzi nie odebrał, a gdy Akademia francuska przez tegoż króla zreformowaną została, on jeden razem z tymi jej członkami, którzy za śmiercią Ludwika XVI byli głosowali, został z niej wykluczonym. W skutek ambasady francuskiej w Rzymie potężnego wpływu, nawet bywanie u kardynała Maury nie było dobrze widzianem, i dlatego życia jego koniec przeżył w samotności zeszedł.

Gdy p. Artaud de Montor, osobistość w owym czasie w świecie dyplomatycznym bardzo znana, pisał historię rządów Piusa VII, miał mu tenże jednego razu powiedzieć: „Wiemy, że piszesz historię naszego panowania, ale miej pobłażliwość dla kardynała Maury, bo jeżeli on zblądził, to i my nie jesteśmy bez winy“. Słowa świadczące jak najlepiej o wielkiem i szlachetnem sercu wielkiego Papieża, który, jeżeli chwilami słabym się okazywał, to powodem tego bywało zmęczenie fizyczne, a głównie obawa czegoś dla losów Kościoła jeszcze gorszego. Ale Maury dlaczego się przerzucił, i to w wieku późnym, gdyż już miał lat sześćdziesiąt? Co wywołało w nim zaślepienie, idące do tego stopnia, że mimo wyraźnego zakazu Papieża, rządził nielegalnie przez blisko lat cztery archidiecezją paryską? Wszak, pomimo stosunków bliższych z filozofami ówczesnymi i pomimo, że w życiu jego była chwila, w której zdaje się, iż świat zanadto go przyciągnął, nigdy ebrześcianinem być nie przestał i nigdy zasad kościelnych stanowczo się nie zaparł. Zdaje się, że powodem zbytniego zbliżenia się do filozofów i zbytniej uległości dla prądów świata był brak dostatecznego duchowego i ascetycznego wykształcenia i wyrobienia, w ówczesnym klerze może niezbyt rzadki. On to sprawił także, że wielkość człowieka, ówczesnym światem trzęsącego, zanadto go olśniła i że w trwałość jego dzieł zanadto wierzył, tak samo, jak i własne powodzenie jedynie tylko w zdolnościach, w tem co poklask daje, a nie w bezwzględnej wierności zasadom i w zacności charakteru upatrywał. Polityczne zmiany i przewroty są zwykle charakterów miarą; Maury przez jego brak

zaszkodził najwięcej sobie samemu, splamił swoje dobre imię, zniszczył sławę wielkimi zdolnościami zdobytą. Że z dziejami Stolicy św. w owych latach nazwisko jego ściśle się łączy, szczegóły powyższe podać było, zdaniem naszym, potrzebne.

VI.

Kardynał Fesch.

Przy tych uwag charakterystyce kardynała Consalviego w drugim rozdziale, o kardynale Feschu, Pierwszego Konsula, a następnie cesarza przy Stolicy św. ambasadorze, wyraziliśmy się w sposób, który przy następnem, bliższem badaniu życia i stanowiska jego szczegółów nasunął nam pewne skrupuły, iż sąd pobieżnie o tym Kościoła dostojniku przez nas wyrzeczony, jeżeli nie zanadto surowym, to w każdym razie może nie dosyć był oględnym.

Że Fesch, jako ambasador, nie zawsze miał takt na dyplomatę odpowiedni, powiada nie tylko Consalvi, ale także i Fescha główny biograf¹⁾, który o nim obszernie dzieło, rodzaj panegiryku napisał. Ale ten taktu dyplomatycznego mały zasób o charakterze jego nie rozstrzyga. Dla bliższego osądzenia go pod tym względem, inne życia jego szczegóły przejrzyć nam jeszcze wypada.

Że w czasie Rewolucyi i pierwszych Bonapartego wypraw był on komisarzem, rodzajem liweranta armii i że tem przez lat sześć sprzeniewierzył się stanu kapłańskiego godności, to prawda. Ale uwzględnić tu należy stosunki ówczesne, zupełnie wyjątkowe, a nadto i przypomnieć, że w owych latach burzliwych duchowny niejedną kościelną suknię zrzucił na to, ażeby jej więcej nie przywdziać, że niejedną i rodzajem stanu życia później wybranego i obyczajami bardzo ze psutemi świętym zobowiązaniom się sprzeniewierzył. Między winnymi, Fesch był może najmniej winnym, bo chociaż

¹⁾ Lyonnet: *Le Cardinal Fesch*, 1840. To dzieło jest głównem źródłem szczegółów biograficznych.

w owych czarnych dniach terroryzmu rewolucyjnego, gdy kapłani musieli się ukrywać, a święte obrzędy tylko tajemnie sprawowano, heroiczni zaś słudzy ołtarza, obowiązkom powołania zawsze wierni, wystawiali życie swoje na los najcięższy i podobnie jak wyznawcy i męczennicy epoki katakumb krew swoją za wiarę wylać zawsze byli gotowi, on do liczby tych bohaterów zaliczonym być nie może — to przecież w tej epoce życia najsmutniejszej o charakterze kapłańskim całkowicie nie zapomniał, bo brewiarz miał zawsze odmawiać i życie nieskalane prowadzić. Gdy jednak najczarniejsze chmury i loskoty burzy rewolucyjnej minęły, z chwilowego tego odstępstwa od wierności obowiązkom na zupełnie pewną i dobrą drogę się zwrócił i odtąd, pozostając na niej stale i niewzruszenie aż do ostatniej życia godziny, był bardzo często sprawie Kościoła nadzwyczaj pożytecznym przez wpływy, które miał u cesarskiego siostrzeńca, a których, ile razy było potrzeba i ile razy mógł, nigdy nie zaniedbał jak najlepiej spożytkować.

Fesch, nie pozbawiony zdolności, nie miał talentów zupełnie osobliwych, przez jakie Maury z najniższego w społeczeństwie położenia stanął od razu na świeczniku i pozyskał rozgłos. Jego wywyższenia głównym powodem było pokrewieństwo z rodziną Bonapartów. Gdy ta ostatnia do dostojeństw najwyższych doszła, na niego także najwyższe zaszczyty i godności spaść miały, ale dobrze świadczy o jego charakterze, że godności nie szukał, przeciwnie bronił się od nich. I tak, gdy po zawarciu konkordatu z r. 1801, rozchodziło się o obsadzenie nader ważnego stanowiska arcybiskupa Lyonu, Bonaparte, wówczas jeszcze Pierwszy Konsul, chciał, ażeby na tej prymasów Gallii stolicy zasiadł jego wuj. Ale ten, od niedawna dopiero na drogę kapłańskich obowiązków zwrócony, za godnego infuły się nie uważał. Odmówił więc i przez dłuższy czas stanowczo odmawiał, a uległ i przyjął dopiero w skutek usilnych Stolicy św. nalegań. Później spadały na niego inne dostojeństwa; w rok po arcybiskupstwie otrzymał purpurę, następnie był wielkim jałmużnikiem cesarskiego dworu, i przez lat kilka (jak już wiemy) ambasadorem w Rzymie.

Gdy dla objęcia tego ostatniego stanowiska udawał się do Rzymu, ażeby nie spotkać się z kardynałem Maury, Ludwika XVIII ambasadorem, w Montefiascone wówczas rezydującym, zboczył znacznie z drogi, przez Anconę i Loretto ku Wiecznemu Miastu zdążając. Któż byłby wówczas przewidział, że i ów poseł arcychrześcijańskiego króla wkrótce także w obozie cesarskim się znajdzie! Jego wielka giętkość była chwilowo na rękę Napoleonowi, dlatego przyjął jego usługi, ale zdaje się, iż ani wielkiego poważania dla niego nie miał, ani ze zdaniem jego nie bardzo się liczył. Przeciwnie było odnośnie do Fescha, który, jeżeli w rzeczach politycznych, zwłaszcza w czasie rzymskiej ambasady, z pewnym uporem przy wymaganiach cesarza obstawał, to, w tem, co Kościoła i sumienia dotyczyło, znał tylko jedną drogę, drogę prawdy i Kościoła praw. W chwili, w której Napoleon, pod wpływem rozdrażnienia na Papieża i tych z pomiędzy duchownych, którzy wszystkim jego zachceniom nie ulegli, o schizmie myślał, że do niej nie przyszło, głównie jest Fescha zasługą. Był więc opatrnościowym człowiekiem. W latach więzienia Papieża, kardynałów, biskupów i tylu innych Kościoła sług, zimno i zdaleka zachowywał się względem cesarskiego siostrzeńca. Nie zerwał z nim zupełnie, bo to było trudne, nawet niebezpieczne, ale przy zetknięciach, gdy było możliwem, nie oszczędzał mu ostrych prawd i wyrzutów, przepowiadając smutne wyniki prześladowania Papieża i ofiarując siebie przedewszystkiem na męczennika za sprawę Kościoła.

Można Feschowi zarzucić, że wprowadzie chwilowo i tylko formalnie, ale bądź co bądź nie ściśle kanonicznie arcybiskupstwo paryskie był przyjął, dalej, że pobłogosławił małżeństwo cesarza z Maryą Ludwiką, chociaż on to był, który w swoim czasie był mu dał ślub z Józefiną. Można mu zarzucić także i ów list do Papieża w Savonie pisany, wspomniany przez nas we właściwem miejscu, który tchnął duchem zbyt wielkiej usłużności dla rządu. Może jeszcze i co innego w tym rodzaju by się znalazło, ale uwzględnić trzeba konieczność czasu i okoliczności, uwzględnić ów straszny nacisk potentata, nie żartującego, gdy mu się kto sprzeciwił, zważyć wreszcie, że nawet sam świątobliwy Pius VII, jak sam się z po-

korą przyznał, chwilowo tej przemocy uległ, że w obawie większego złego podpisał to czego podpisać nie był powinien, a mimo tych chwil słabości, wielkie i czcigłote otoczone w dziejach Kościoła pozostawił imię.

Odnosnie do stosunków rodzinnych Fescha i jego pokrewieństwa z Napoleonem, powszechnie jest wiadomem, że był on bratem przyrodnim jego matki, ale może nie wszyscy wiedzą, że ojciec jego pochodził z Bazylei i że był z urodzenia protestantem. Służąc w pułku Szwajcarów, na żołdzie Francji wówczas będących, przybył do Korsyki, gdzie, zakochawszy się we wdowie Ramolino, ażeby ją poślubić, przeszedł na łono katolickiego Kościoła. Z tego małżeństwa pochodziło dwoje dzieci: córka, która wydana za kupca Bürkli z Bazylei ¹⁾, powróciła do ojczyznanego miasta, i syn Józef, który, poświęciwszy się stanowi duchownemu, uzyskał, na przedstawienie prowincjonalnych stanów korsykańskich, jedno z miejsc przez króla rozdawanych w seminarjum duchownem w Aix, gdzie nauki odbył z wielkim powodzeniem. Miał on wówczas pewien wpływ na wychowanie religijne syna przyrodniej siostry, Letycyi Ramolino, żony Karola Bonapartego, tego samego, który był późniejszym cesarzem Napoleonem. Przechowywała się korespondencya ich z czasu, gdy Napoleon miał przystąpić do pierwszej komunii.

W Aix kolegował Fesch z Ksawerym Isoard, późniejszym kardynałem, potomkiem jednego z wielkich rodów francuskich. W skutek tego wszedł w stosunki zażyłości z tą rodziną, a matka jego współucznią młodym Feschem troskliwie się opiekowała. Od tego czasu między wierną białą chorągwią Bourbonów rodziną Isoard a Rewolucyi oddanymi Bonapartami zawiązały się stosunki przyjaźni, która, pomimo różności politycznych obozów i pomimo długoletnich strasznych wstrząśnień, stałą pozostała. Gdy w r. 1793, po reakcyi, która na Korsyce, pod wodzą Paolego przeciwko Rewolucyi francuskiej się wszczęła, rodzina Bonapartów, jako uważana za wierną zasadom przez konwent głoszonem, uciekać musiała do Marsylii, zaczęła się wielka Napoleona ka

¹⁾ Wetzer u. Weltes: *Kirchenlexikon*, art. *Kardinal Fesch*.

ryera, gdyż niezadługo potem miała miejsce sławna Tulonu obrona, która była sławy jego początkiem. Przechodząc wówczas przez Aix, nie zaniedbał odwiedzin w domu hrabiny Isoard. Były to czasy najstraszniejszej Kościoła francuskiego doli. Msza św. odprawiała się pokryjomu w domach prywatnych. U Isoardów zgromadzało się pewne grono osób na nabożeństwo, które odprawiało się właśnie, gdy młody oficer, jako przyjaciel domu, pobrzękując ostrogami i szablą, zjawił się wśród modlących. Pani domu, pełna powagi matrona, wezwała go do nieprzeszkadzania odprawiającej się Mszy św., do czego się zastosował, biorąc udział w zabronionem pobożnem zebraniu. Być może, że te i inne tym podobne z młodości jego zdarzenia wpłynęły po części na późniejszy jego zwrot ku Kościołowi.

Razem z Bonapartami do brzegów Francji przybył i Fesch, który, jak już wiemy, miejsce swoje w kapitule archikatedry Ajaccio, z powodu zniesienia tejże kapituły przez Rewolucję, utracił. Dalsze jego życia koleje aż do ambasady rzymskiej są nam już znane. Że w tej ostatniej na wielkie napotykał trudności, które po części z usposobienia jego i z polityki napoleońskiej wynikały, także już wiemy; przyznać jednak trzeba, że położenie utrudniał mu cesarz przez zarządzenia, których powodów zrozumieć doprawdy nie łatwo. I tak, zaraz na początku jego poselstwa, pierwszym ambasady sekretarzem zamianowany został wice-hrabia de Châteaubriand, już wówczas sławny autor *Génie du Christianisme*, którego, jako znakomitość pierwszorzędną, Napoleon do siebie przyciągnął. Powołaniem go do swojej służby chciał, w owej chwili religijnej reakcji, dać poznać, jak dalece ceni zasługi wielkiego pisarza, ale nieprzeznaczenie mu wyższego samoistnego stanowiska, dla niego jedynie odpowiedniego, daje do myślenia, że nie musiał mieć zupełnego zaufania do tego syna rodu tradycyjnie z dawną dynastją związanego. Postawienie obok siebie, w stosunku wzajemnej zależności, dwóch ludzi takich, jak Châteaubriand i Fesch, z których ostatni, wprawdzie bez głośnego osobistego imienia, ale, wskutek wysokiego swojego stanowiska kościelnego i jako głowa poselstwa, musiał koniecznie być pierwszym, nie mogło jak tylko do nieporozumień doprowadzić. Te rzeczywiście bardzo prędko powstały,

nie przyczyniając się do ułatwiania i łagodzenia już i skądinąd złych stosunków Fescha z kardynałem sekretarzem stanu Consalvim. Napoleon, gdy się o tem dowiedział, ostro i z oburzeniem wyrażał się o sekretarzu ambasady, ale ostatecznie wielki autor *Geniuszu chrześcijaństwa*, a przyszły ambasador Ludwika XVIII, dostał inne przeznaczenie.

Kardynał Fesch, gdy z poselstwa rzymskiego odwołanym został, powrócił do swojej dyecezyi, którą i w Rzymie nie przestał się zajmować, otrzymując z Lyonu bardzo dokładne i szczegółowe sprawozdania. Stwarzał, albo wznawiał w niej bardzo dużo instytucyj kościelnych, wychowawczych i dobroczynnych. Gdy, jako wielki jałmużnik i jako książę cesarskiego domu, przebywać musiał często i długo w Paryżu, czas jego tamże spędzany dla dyecezyi i w ogólności dla Kościoła straconym nie był. Napoleon, po upadku, powiedział o Feschu: „Gdybym go był słuchał, byłbym państwo Kapucynami i Jezuitami zaludnił“.

Po upadku Napoleona, kardynał Fesch nie pragnął niczego innego, jak tylko, ażeby zdaleka od polityki resztę dni swoich w dyecezyi sobie powierzonej spokojnie pędził. Ludwik XVIII byłby się chętnie na to zgodził. Szkoda, że wpływy w rządzie królewskim górujące czego innego się domagały. Z obawy, ażeby koło jego osoby stronnictwo *imperialistów* się nie skupiało, pobyt we Francyi został mu wzbronionym. Jako kardynał, musiał więc w stolicy chrześcijaństwa szukać schronienia. Pius VII, pamiętny jego zachowania prawowiernego w okolicznościach różnorodnych, tak w czasie własnego więzienia w Savonie, jak i podczas narodowego soboru w Paryżu, gdzie przysięgę na rotę Piusa IV złożył pierwszy, i później w Fontainebleau, gdy, co do *konkordatu* z r. 1813 wielkie okazywał niezadowolnienie, przybycie jego na stały pobyt bardzo chętnie widział, a gdy Papież w dniu 24 maja 1814 r. tryumfalny swój powrót do Rzymu odbywał, kardynał Fesch, w liczbie ośmiu już wówczas tamże obecnych purpuratów, witał go w kościele św. Piotra. Zamieszkał w Rzymie w pałacu Falconieri na Via Giulia, t. j. w tym samym, w jakim w r. 1878, bezpośrednio przed *con-*

clave, z którego wyszedł jako Leon XIII, mieszkał kardynał Joachim Pecci ¹⁾).

Usunięty zupełnie od świata, oddany dobrym uczynkom, pamiętny swojej dyecezyi, którą z powodu stosunków politycznych zajmować się właściwie już nie mógł, wuj Napoleona, niedawno jeszcze tak wpływowy, nieraz potężny, teraz znaczenia zupełnie pozbawiony, znosił swój los w sposób przykładowy, zdając się całkowicie na Opatrzności wolę.

Gdy żądano od niego, ażeby Ludwikowi XVIII przesłał etykietą przepisany list noworoczny, umiał zachować w jego stylizacyi miarę i godność położeniu jego odpowiednią, ale na dworze paryskim list się nie spodobał i pozostał bez odpowiedzi.

W czasie *Stu dni*, gdy wiadomość o ponownem opanowaniu władzy przez Napoleona do Rzymu doszła, kardynał Fesch, chwilowo zapomniany, zaczął znowu być przedmiotem hołdów i zalecań, tak, jak to bywa zwykle z tymi, którzy albo potęgę i panowanie dzierżą, albo do dzierżących je są zbliżonymi. Ale on trzeźwo umiał patrzeć i o ponownem siostrzeńca powodzeniu wątpił.

Gdy Pius VII udał się do Genuy, Fesch z powodów, których tłómaczyć nie potrzeba, nie należał do liczby kardynałów wezwanych do udania się za Papieżem. W stosunku do Murata, kuszącego się o opanowanie Państwa Kościelnego, jak i wobec *Giunty* rządu w Rzymie sprawującej, zachował się wzorowo; tej ostatniej dał nawet zbawienne rady, czem zaskarbił sobie wdzięczność Papieża, który mu ją okazywał, gdy ponownie powrócił.

Pragnąc wrócić do swojej dyecezyi, przemyślał nad sposobami dostania się do Francyi. Były pod tym względem wielkie trudności, bo drogi lądowe zalane były wojskami sprzymierzonych, do których zbliżyć się dla niego było niebezpiecznem. Dlatego udał się do Neapolu i z siostrą panią

¹⁾ Uchodzi w Rzymie za rzecz prawie pewną, że Leon XIII, jako Papież, tylko raz jeden opuścił Watykan, t. j. że późnym wieczorem dnia, w którym wybrany został Papieżem, udał się do pałacu Falconieri dla zabrania swoich papierów.

Letycyą próbował morskiej podróży. Wiatry niepomysłne okręt zwróciły i kardynał zmuszony był czekać w Neapolu, gdzie siostrzenica jego, królowa Karolina rządy sprawowała, jako rejentka, w zastępstwie nieszczęśliwego Joachima, który zmuszony do cofnięcia się z górnych Włoch, w awanturnicznych wyprawach szczęścia szukając, w wiadomy, tragiczny sposób karierę i życie zakończył. W tym to czasie doszło Fescha pismo Napoleona, którem ponownie mianował go ambasadorem przy Stolicy św. To nie powstrzymało go od ponownej podróży do Francji wraz z matką Napoleona i innymi rodziny Bonapartów członkami. Tym razem niebo lepiej sprzyjało i statek do Francji brzegów przybił. Kardynał, który, oprócz spraw duchownych swojej dyecezyi, miał do uregulowania także i swoje sprawy pieniężne, gdyż, w czasie Bonapartów świetności, dużo wydawał, a rachunki wielkie i liczne zalegały, udał się do Paryża. W uroczystości t. zw. *Champ-de-mai* udziału brać nie chciał, dlatego Mszę św. celebrował tam arcybiskup z Tours; również, razem z innymi członkami domu Bonapartów, do Izby parów powołany, ani razu w niej nie zasiadł.

Po ciężkim dla Napoleona i jego rodziny dniu Waterloo, kardynał Fesch ponownie żądał od Ludwika XVIII pozwolenia przebywania w Lyonie, ale prośba ta ponownie odrzuconą została, a tylko, z wielkim pośpiechem i z wielkiej uprzejmości oznakami, paszporty mu doręczono, ażeby jak najprędzej granice Francji opuścił. Zmuszony powrócić do Wiecznego Miasta, udał się tamże ponownie wraz z przyrodnią siostrą. Ta ostatnia zamieszkała w dobrze dzisiaj znanym pałacu Bonaparte na rogu Corso i Piazza di Venezia, naprzeciwko austryackiej ambasady. Żyła w nim aż do r. 1837 w otoczeniu licznych rodu tego członków. Kardynał powrócił do wzmiankowanego Falconierich pałacu, gdzie znajdowała się bogata jego galerya obrazów, w różnych czasach, zdaje się, że jeszcze w latach, gdy jako komisarz armii, Bonapartemu we włoskich wojnach towarzyszył, skupowanych.

Chociaż daleko od Lyonu przebywał i wstęp do granic Francji był mu wzbronionym, prawowitym pasterzem dye-

cezyi swojej być nie przestał. Ale że wykonywanie jurysdykcyi, nawet zdaleka i listownie, rządowi Bourbonów było solą w oku, niezliczonemi były usiłowania, ażeby zrzeczenie się jego uzyskać. Ambasadorowie de Blacas i de Laval-Montmorency materyalnie najkorzystniejsze czynić mu mieli propozycye, ażeby cel pożądany osiągnąć. Jako symonią trącające, odrzucał takie żądania. Ponieważ jednak ta stanowczość Stolicę św. w położenie wobec rządu francuskiego trudne stawiała, także i z jej strony ustępstwa od niego domagać się poczęto. Daremnemi jednak były wszelkie Consalvięgo i Piusa VII starania. Leon XII, gdy objął rządy, miał raz zjawić się u niego osobiście *incognito* w ubraniu kardynańskim i w miejsce Lyonu chcąc mu oddać jedno z suburbikarnych biskupstw, używał wszelkich, przekonać go najbardziej zdolnych argumentów, w sposobie najuprzejmiejszym. Gdy temi nic nie osiągnął, władzy Papieża rozciągłość mu przedstawiał, przypominając, że jako Głowa Kościoła może zrzeczenia się biskupstwa od niego stanowczo wymagać. Odpowiedź Fescha była zawsze ta sama, że ustąpi, ale tylko po procesie kanonicznym! Uporna jego stałość doprowadziła do tego, że pomimo, iż on był *de jure* arcybiskupem, Stolica św., w porozumieniu z francuskim rządem, zamianowała administratora apostolskiego, który i *de jure* i *de facto* władzę biskupią w Lyonie wykonywał.

W osamotnieniu, w którym aż do śmierci, t. j. do dnia 13 maja 1839 r. żył, spędzał kardynał Fesch codziennie długie godziny razem ze swoją rodziną, a osobliwie z siostrą panią Letycją. Jej, jako matce wielkiego, wówczas nieszczęśliwego bohatera, bardzo smutno i tęskno schodziły lata starości, zwłaszcza, że z powodu zesłabionego wzroku czytać zupełnie nie mogła. W brata kardynała towarzystwie, nie tylko o dawnych świątecznych czasach rozmawiano, ale także pomagał on siostrze w modlitwach i duchownych ćwiczeniach.

I obojga zajmowała przedewszystkiem jedna, najważniejsza sprawa: los więźnia na Św. Helenie. Dowodem pięknym, jak dalece i matce i wujowi dobro jego duszy leżało na sercu, jest list pani Letycyi do kardynała Consalvi. Jako

wspaniały okaz stylu i uczuć tej, która olbrzymia na świat wydała, w całości przytoczyć go tu warto:

„Je veux et je dois remercier Votre Eminence pour tout ce qu'elle a fait en notre faveur depuis que l'exil pèse sur mes enfants et sur moi. Mon frère, le Cardinal Fesch, ne m'a point laissé ignorer de quelle généreuse façon vous aviez accueilli la demande de mon grand et malheureux proscrit de Sainte-Hélène. Le Cardinal m'a dit qu'à la prière si juste et si chrétienne de l'Empereur, vous vous étiez empressé d'intervenir auprès du gouvernement Anglais et de chercher des prêtres dignes et capables. Je suis vraiment la mère de toutes les douleurs, et la seule consolation qui me soit donnée, c'est de savoir que le très-saint Père oublie le passé pour ne se souvenir que de l'affection qu'il témoigne à tons les miens“.

„Mes fils Lucien et Louis, qui s'honorent de Votre inaltérable amitié, ont été bien sensibles à tout ce que le Pape et Votre Eminence ont fait à notre insu pour préserver notre tranquillité menacée par les puissances. Nous ne trouvons d'appui et d'asile que dans le gouvernement pontifical, et notre reconnaissance est aussi grande que le bienfait. Je prie Votre Eminence d'en déposer l'hommage aux pieds du Saint Pontife Pie VII. Je parle au nom de toute ma famille de proscrits, et surtout au nom de celui, qui meurt à petit feu sur un rocher désert. Sa Sainteté et Votre Eminence sont les seuls en Europe qui s'efforcent d'adoucir ses maux et qui voudraient en abrégier le terme. Je Vous remercie tous deux avec mon coeur de mère, et je reste toujours de Votre Eminence, la très-dévouée et très-reconnaissante“

Madame“¹⁾.

27 mai 1818²⁾.

1) Ten list podpisany jest w ten sposób, gdyż zdaje się, że matka Napoleona zwykle tak się podpisywała. Znajduje się on w zbiorze listów do kardynała Consalvi, razem z jego pamiętnikami wydanych.

2) „Pragnę i powinnam podziękować Waszej Eminencyi za wszystko dla nas zdziałane od czasu, gdy wygnanie ciąży na moich dzieciach i na mnie. Mój brat kardynał Fesch nie zaniedbał podać do mojej wiadomości, w jaki szla-

Rzeczywiście udało się uzyskać pozwolenie na wysłanie dwóch kapłanów na Św. Helenę, XX. Bonavita i Vignali. Pierwszy wiekowy, z powodu złego stanu zdrowia wyspę opuścić musiał, drugi pozostał aż do ostatnich chwil życia Napoleona. Śmierć jego miała być przykładną. Wedle zeznań hr. de Montholon, tego dnia niedoli bohatera najwierniejszego towarzysza, po otrzymaniu Olejów św., wyraził z tego powodu zadowolenie, życząc mu, ażeby i on także umierał pociechami religii wzmocniony. Miał mu wyznać, że zawsze był wierzącym i że jak długo był u władzy, nie praktykował dlatego, że mu się było zawróciło w głowie. To ostatnie wyznanie zgadza się bardzo dobrze z innem z panowania dni świetnych. Gdy raz trzymał w ręku stary rzymski pierścień z wizerunkiem Augusta, odczytał wyryty na nim napis: *Pontifex maximus* ¹⁾ i zauważył z żywością: „August miał władzę, której ja nie mam“ i dlatego o Pa-

chetny sposób przyjętą została prośba mojego wielkiego i nieszczęśliwego wygnańca ze św. Heleny. Mówił mi kardynał, że na tak słuszną i chrześcijańską prośbę cesarza, Wasza Eminencya pospieszyłeś się pośredniczyć u rządu angielskiego i poszukiwać księży godnych i uzdolnionych. Ja zaiste jestem matką wszystkich boleści, a jedyna pociecha, która mi jest dana, jest to, iż widzę, że Ojciec św. zapomina o przeszłości i że tylko pamięta o dawaniu dowodów uczucia wszystkim moim“.

„Moi synowie Lucyan i Ludwik, którzy mają zaszczyt cieszyć się niezmienną przyjaźnią Waszej Eminencyi, bardzo byli wzruszeni tem wszystkim, co i Papież i Wasza Eminencya uczynili bez naszej wiedzy, ażeby zabezpieczyć nasz spokój przez rządy zagrożony. Znajdujemy opiekę i schronienie jedynie tylko u rządu papieskiego, a nasza wdzięczność dorównuje wielkości dobrodziejstwa. Proszę Waszą Eminencyę złożyć te wyrazy u stóp Jego Świątobliwości Papieża Piusa VII. Przedewszystkiem w imieniu całej mojej rodziny wygnańców, a przedewszystkiem w imieniu tego, który powoli gaśnie na skalistej pustyni. W Europie jedynie Jego Świątobliwość i Wasza Eminencya usiłują osłonić jego boleści i chcieliby skrócić ich trwanie. Dziękuję Wam obydwom z mojego macierzyńskiego serca i pozostaję zawsze Waszej Eminencyi wielce oddana i wielce wdzięczna“.

1) Poujoulat: *Le Cardinal Maury*.

piezu mawiał: „Ten ksiądz mi zawadza“ (*Ce prêtre me gêne*). Czy temi słowami nie najlepiej wskazane źródło i tajemniczy powód prześladowania Kościoła za dni pierwszego francuskiego cesarstwa?

Zanim zakończymy to opowiadanie, wypada nam koniecz- nie jedną uwagę zrobić odnośnie do wzmiankowanych aktów, które Pius VII w Savonie i w Fontainebleau podpisał wbrew Kościoła dobru — może się tu bowiem czytelnikowi, z teolo- gią mniej obznajomionemu, nasunąć pewna wątpliwość co do nauki o papieskiej nieomyłności.

Otóż, pod tym względem zauważyć koniecznie trzeba, że ustępstwa Piusa VII, ani dogmatu, ani zasad moralności nie dotyczyły, że także nie odnosiły się do Kościoła całego, że rozchodziło się tylko o uregulowanie kościelnych stosunków w jednym państwie i to głównie co do obsadzania stolic biskupich, a takie sprawy w rozmaitych czasach rozmaicie bywały załatwiane, i że Głowy Kościoła nieomyłność do nich się nie odnosi.

Co do samego losu Papieża i kardynałów powtórzę wypada uwagę kardynała Pacca w pamiętnikach wyrażoną, że, wobec opinii, jaka w XVIII wieku w ówczesnych filozo- ficznych głowach o rzymskim dworze istniała i wobec ogól- nego wiary upadku w sferach wyższych, uwięzienie Papieża, dowody jego i wielu sług Kościoła świętym obowiązkiem wierności, przyczyniły się nie mało do zmiany wyobrażeń o Stolicy św. i stąd także do reakcyi, jaka w ciągu XIX wieku w kierunku odzycia i spotęgowania zasad wiary bardzo sil- nie się objawiła, a dzisiaj coraz więcej naprzód postępuje. I Opatrzności mądrość widocznie w tem się przebija, że ów no- woczesny Cezar, który przed otwartem prześladowaniem Ko- ściola się nie wzdrygnął, że on to właśnie, dlatego tylko, iż iskra wiary, w latach dziecinnych rozdmuchana, nie była w nim zu- pełnie wygasła, Rewolucyi ateizm przełamał i Kościół powołał do legalnego istnienia! Warunki tego istnienia dalekiemi są od tego, czego Kościół żądać ma prawo, bo wolności zupełnej mu nie zapewniają, ale, bądź co bądź, może on wśród nich nie- tylko powołanie swoje spełniać, ale także na ogół społeczeń-

stwa wywierać stopień wpływu, z którym dni naszych prześladowcy liczyć się koniecznie muszą, jako ze zaporą bieg wolny ich zakus na byt Kościoła częstokroć tamującą.

A gdy tak już zamknięte opowiadanie nasze o zdarzeniach różnorodnych z dziejów Stolicy św. za pontyfikatu Piusa VII, na mało dotąd wyzyskanych źródłach oparte, niech nam wolno będzie dodatkowo podać jeszcze szczególnie jeden, bardzo ciekawy, nietylko, jako osobliwy objaw owej epoki w najróżnorodniejsze fakta bogatej, ale dla wszystkich czasów i krajów ważny i dla naszych stosunków wcale nie obojętny.

Napoleon, którego umysł czynny wszystko ogarniał i wszystkim się zajmował, nie zapomniał i o żydach. Prawdopodobnie dlatego, ażeby obudzić w nich obywatelskie i patriotyczne uczucia, zwołał on w październiku 1806 r. t. zw. *Sanhedryn*¹⁾, który miał o sprawach żydowskich obradować. Na jednym z posiedzeń tego zgromadzenia, w ciągu zimy 1807 r. odbytem, Izaak Samuel Avigdor, departamentu Alp nadmorskich (*Alpes maritimes*) deputowany, wygłosił długą mowę, w której liczne dobrodziejstwa przez Papieży i przez kler katolicki żydom, w długim wieków szeregu, wyświadczone, wyliczył, a którą to mowę zgromadzenie oklaskami przyjęło i do protokołu zapisało, poczem następująca zapadła uchwała:

„Les députés de l'Empire de France et du royaume d'Italie au synode hébraïque, décrété le 30 Mars dernier, pénétrés de gratitude pour les bienfaits successifs du Clergé Chrétien, dans les siècles passés, en faveur des Israélites des divers Etats de l'Europe“;

„Pleins de reconnaissance pour l'accueil que divers Pontifes (Papes) et plusieurs autres ecclésiastiques ont fait en différents temps aux Israélites de divers pays, alors que la barbarie, les préjugés et l'ignorance réunis persécutaient et expulsaient les Juifs du sein des sociétés“;

¹⁾ Crétineau-Joly: *L'Église Romaine en face de la Révolution*. Tom I, rozdz. II.

„Arrêtent que l'expression de ces sentiments sera consignée dans le procès verbal de ce jour, pour qu'elle demeure à jamais comme un témoignage authentique de la gratitude des Israélites de cette assemblée pour les bienfaits que les générations qui les ont précédés ont reçus des ecclesiastiques de divers pays de l'Europe“;

„Arrêtent, en outre, que copie de ces sentiments sera envoyée à Son Excellence le Ministre des cultes“¹⁾.

Czy wiedzą o tej uchwale niektóre z dzienników, przeciwno katolickiego kleru ostro i głośno występujące?

1) „Deputowani Cesarstwa francuskiego i Królestwa włoskiego na Synod hebrajski, zwołany dekretem z 30 ubiegłego marca, przejęci wdzięcznością za ciągłe dobrodziejstwa kleru chrześcijańskiego w wiekach ubiegłych względem Izraelitów w rozmaitych państwach Europy“;

„Pełni wdzięczności za przyjęcie, którego od rozmaitych papieży i od niektórych innych duchownych doznali Izraelici w różnych czasach i w różnych krajach, wówczas, gdy barbarzyństwo, przesady i nieuctwo razem wzięte prześladowały i wypędzały żydów z łona społeczeństw“;

„Postanawiają, że wyraz tych uczuć będzie umieszczony w protokóle dzisiejszym, ażeby pozostał na zawsze świadectwem autentycznym wdzięczności Izraelitów tego zgromadzenia za dobrodziejstwa, które pokolenia ich poprzedzające doznały od duchownych rozmaitych krajów Europy“;

„Postanawiają nadto, że odpis tych uczuć przesłany będzie Jego Excellencyi Ministrowi wyznań“.

X. *Franciszek Starowieyski.*

Z ostatnich dni Polski i Kurlandyi.

Pamiętniki bar. Karola Henryka Heykinga

1752 — 1796.

(Ciąg dalszy).

III

Przy konfederacyi cieszyńskiej.

W podróży z Drezna do Raciborza miał Heyking sposobność poznania bliżej Miączyńskiego i przekonania się, że jego poczciwość zaprawiona dozą próżności miała źródło w słabości charakteru, dochodzącej do zupełnego braku własnych zasad i własnych przekonań. Gdy np. gwoli panującej modzie jął wyśmiewać fanatyzm księży i ich naukę, dziwiąc się, iż Heyking, o którym twierdzono, że ma „umysł filozoficzny“ dotąd „udaje“, iż w cośkolwiek wierzy — dość wystarczyło przedłożyć mu kilka stron Jana Jakóba Rousseau, by go do dawnych wierzeń nawrócić. „Polakom — wogóle — dodaje autor — brak logiki i siły woli. Są intelligentni, mówią różnemi językami, wysławiają się łatwo i m gą się kilku dobrymi autorami pochwalić, ale ich mowy sejmowe nie wytrzymują krytyki. Brak im gruntowności, głębszej myśli i związku“.

W Raciborzu podróżni rozłączyli się. Miączyński udał się wprost do Cieszyna, a Heyking najętą bryczką podążył do księżny Franciszki Krasińskiej. Oto, co sam mówi o tej wizycie:

„Przybywszy około 6-ej zrana, udałem się zrazu do starego jenerała L., który tu sprawował funkcyę ochmistrza

dworu. Przyjął mnie z otwartemi rękami, znalazł mnie bowiem dzieckiem w Warszawie i był zaprzyjaźniony z moim ojcem. Napomknąłem mu o mojej misyi, nie wchodząc w szczegóły, zacząłem obiecać zameldować mu do księżny, skoro tylko wstanie; tymczasem zjedliśmy śniadanie, a że miałem co najmniej 24 godzin w K... pozostać, kazał mi przyrzucić mieszkanie. Około 8-ej zameldowano mnie. Pragnąłem bardzo ujrzeć księżnę, o której słyszałem, że piękną dorównywała p. Potockiej a rozumem przewyższa wielu. Księżna, wyglądająca niecierpliwie na swoje listy, kazała mnie wprowadzić do swej gotowalni. Przyznaję, że stanąłem olśniony i że wychodząc byłem bardziej zajęty osobą jej, niż konfederacją, której obraz była mi skreśliła z subtelnością i przenikliwością właściwą intelligentnym kobietom, gdy ich ambicya i szczęście od losu jakiego przedsięwzięcia zawisły. Po godzinie rozmowy, księżna rzekła: „Będziemy razem jeść obiad a potem napiszę listy. Że jednak mam memu stryjowi, biskupowi, donieść o różnych szczegółach, przeto nie będziesz pan mógł wyjechać aż jutro po południu“. Usłuchałem z radością milego rozkazu. Zażądała odemnie kopii cyfry umówionej z jej mężem, aby mógł w danym razie użyć jej pisząc do mnie, pragnęła też odbierać wiadomości tak o moim osobistem powodzeniu w sztabie konfederacyi, jak i o ogólnym biegu spraw, a zwłaszcza sprawy kurlandzkiej. Wierzyła tak silnie w spełnienie naszych pragnień, iż z pełną ufnością patrzyła w przyszłość. Wszystko jednak co mówiła o niezgodzie między konfederatami budziło we mnie obawy, które jej objawilem z młodzieńczą żywością. Słuchała mnie z uprzejmą uwagą, a potem rzekła: „Zapatrywania pańskie nie są pocieszające. Jakże można w pańskim wieku tak czarno na wszystko patrzeć?“ — „Życie moje — odparłem — niejednem już było dotknięte nieszczęściem, więc nie dziwnego, iż mi się rzeczy przedstawiają w ponurych barwach. Raczy jednak W. K. Wysokość zauważyć, iż wnioski moje wyciągam tylko z wiadomości, udzielonych mi łaskawie przez W. Kr. Wysokość, również jak z historyi Polski i innych narodów. Zresztą pragnąłbym się mylić i przyjmuję z zapalem wroźby o losach dobrej sprawy, wypowiedziane przez najpiękniejszą

księżnę tego świata“. Księżna podała mi rękę, którą ze czcią ucałowałem i rzekła: „Odwagi, wszystko pójdzie dobrze, a gdy życzenia nasze się spełnią, możesz pan liczyć na wdzięczną pamięć moją i księcia, dla którego rodzina pańska tyle poniosła ofiar“. W czasie obiadu i wieszery, w których brali udział dwaj szlączy panowie z sąsiedztwa, dysputowali wielce z generałem L. o Siedmioletniej Wojnie. Dwa dni mego pobytu minęły zbyt prędko. Odebrawszy depesze, wyjechałem, oczarowany księżną“.

Przybywszy do Cieszyna, wysiadłem u p. Miączyńskiego; musiałem jednak z powodu szczupłości jego mieszkania wynająć osobno nędzną izdebkę, za którą zażądał 6 dukatów miesięcznie. „Można ztąd obliczyć, wiele kosztowały całkowite mieszkania wodzów konfederacyi i jakie sumy zostawili w mieście. Cieszyn zawdzięcza swój obecny (1799) dostatni wygląd długiemu pobytowi rozrzutnych Polaków i dobrze przez własny rząd płatnych Francuzów“. Miączyński oznajmił mi, że mnie czeka dość życzliwe przyjęcie, a prawdopodobnie, dzięki mej znajomości języków, posada sekretarza do zagranicznych korespondencyj o 50 dukatach pensyi. Pospieszaliśmy tedy z oddawaniem wizyt, zaczynając od Paca. Był to człowiek podobający się od pierwszego wejrzenia. Postawę miał poważną, wykwintne obejście, wymowę łatwą a przedewszystkiem miarę, cechującą wybitne umysły. Byłem nim zachwycony. Pochwalił misyę, daną mi przez księcia Karola i przyrzekł przedstawić ją tajnemu komitetowi. Tymczasem zaś kazał mi dom swój za własny uważać. Następnie złożyliśmy karty u różnych marszałków i radców, a w końcu zaszliśmy do marszałka kor. Krasieńskiego. Tu zastaliśmy mnóstwo panów, którzy według starego zwyczaju bawili się butelką i wydawali się już być winem podochoceni. Marszałek zabrał mnie do swego gabinetu, gdzie, przeczytawszy listy księcia i księżnej, wyraził uprzejme, lecz niepolityczne życzenie, bym odrazu wystąpił jawnie w roli delegata kurlandzkiego przy konfederacyi. Na moje przedłożenia wszakże od zdania swego odstąpił i wróciwszy do sali przedstawił mnie zgromadzonym tylko jako dworzanina księcia Karola, wspominając o poniesionych przez ojca mego ofiarach. Otoczono mnie z wielką przychylnością, ja wszakże umknąłem

czemprędzej z obawy przed krążącym wciąż winem węgierskim. Ztąd udaliśmy się do brata marszałka Krasińskiego, biskupa kamienieckiego. Ten zajęty był właśnie dyktowaniem listu jakiemuś francuskiemu *abbé*, przyczem przechadzał się poważnie wzdłuż obszernej sali. Jego wyniosła i wspaniała postać, cienkie, wyrazem inteligencji rozświetlone rysy, oraz obejście uprzejme a pełne godności, budziły zaufanie i sympatyę. Przeczytawszy listy, pochwalił przezorność zatajenia planów książęcych, poczem zapytał, jakie kroki wydają mi się chwilowo właściwe? „Zamierzam — odpowiedziałem — kierować się całkowicie według działań wysokiej Generalicyi, byleby mi było dozwolonem wciąż w *centrum* rzeczy przebywać“. Hr. Miączyński wtrącił zdanie, iż byłoby dobrze zamianować mnie przy departamencie spraw zewnętrznych sekretarzem od korespondencyj francuzkich i niemieckich, na co biskup odparł po chwili namysłu: „Myśl dobra; ja sam byłbym w tem interesowanym“ (biskup korespondował bezpośrednio z Francją, gdzie hr. Wielhorski sprawował funkcje posła polskiego). „Przewiduję wszakże trudności, które postaramy się usunąć. Nieprawda — baron nie jest katolikiem?“ — „Nie. W Kurlandyi religią panującą jest luteranizm“. — „No, to będziemy usiłowali ułożyć to w komitecie. Możesz pan na mnie liczyć“. Zapytał potem o bratanek, a ja, widząc, że obecność Miączyńskiego jest mu niedogodną, skróciłem naszą wizytę, prosząc o pozwolenie złożenia mu jeszcze kiedy mego uszanowania. Naznaczył mi 6-ą wieczór nazajutrz i oznajmił, że ma się odbyć posiedzenie, więc radzi, abym wpierym odwiedził generalnego sekretarza konfederacyi Bohusza, iżby tenże nie sprzeciwiał się memu wstąpieniu do departamentu Spraw zagranicznych. U Bohusza byliśmy już, przechodząc złożyli kartę, przyrzekłem jednak biskupowi pójść jeszcze nazajutrz rano“.

„Dość już tego na dzisiaj — mniemał Miączyński. Mamy bal i kolację u Maryana Potockiego. Jestem przyjacielem domu i mogę cię bez ceremonii wprowadzić“. „Zastaliśmy tam mnóstwo osób, a między niemi ze 20 dam polskich i kilka szląskich. Uderzyła mnie różnorodność strojów. Byli tam Polacy o podgolonych głowach, starannie upudrowani Francuzi, sztywni oficerowie pruscy, pompatyczni Austriacy, niezgra-

bni Szlązacy i wojskowi wszelkiej barwy, szukający szczęścia przy konfederacyi. W oczekiwaniu wawrzynów i wieńców dębowych obrońcy ojczyzny umieli tymczasem się bawić“.

„Nazajutrz rano byliśmy u generalnego sekretarza, Bohusza. Jego strój polski, ogolona głowa i duże wąsy dały mi słabe wyobrażenie o jego zapatrywaniach (*sic!*). Większość polskiej szlachty była już zamieniła dawny ubiór na ogólnie-europejski. Przyjął nas bardzo chłodno i sztywnie; twarz jego wszakże rozjaśniła się nieco po odczytaniu listów księżny królewiczowej. Oświadczył, iż nie wątpi, że i skonfederowane Stany zastosują się do życzeń księcia i jego małżonki, ale że przytem będzie trzeba wziąć w rachubę zasady powzięte co do dyssydentów“. „Zdaje mi się — odparłem — iż ogół dyssydentów polskich i litewskich należy odróżnić od dyssydenckiej szlachty księstwa, żyjącego na innych prawach i przywilejach, gwarantowanych od czasów Zygmunta Augusta aż po dzień dzisiejszy“. — „Ależ szlachta kurlandzka przystąpiła do sejmu konfederacyjnego z r. 1768“. — „A czyż i znaczna część Polski doń nie należała? W Kurlandyi, podobnie jak w Polsce, istnieją dwa stronnictwa: jedno trzymające się księcia Karola i niechające żadnych nowości, i drugie, które uznało Bierena i poddając się woli silniejszego, słucha rozkazów Rosyi“. — Rozmowa nasza trwała jeszcze, gdy Bohuszowi przyniesiono plikę papierów. Oddaliśmy się, wraz jednak poproszono Miączyńskiego, aby powrócił. Po niejakiem kwadransie wyszedł z gabinetu z miną wielce zadowoloną, mówiąc: „Idźmy do generała Vioménil — wszystko pójdzie dobrze“. Po drodze zwierzył mi się pod sekretem, jako Bohusz przyznał, że się przeciw memu wstąpieniu do departamentu już utworzyła intryga pod pozorem niemożliwości przyjęcia przysięgi heretyckiej lub skłonienia mnie do zastosowania się do katolickiej roty. Bohusz wszakże zaproponował ułożenie piśmiennej formułki, którą miałem się tylko zobowiązać ogólnikowo do zachowania wiary wobec skonfederowanych Stanów i tajemnicy w powierzanych mi sprawach. „Jak widzisz — dodał Miączyński — Bohusz jest ci przychylny, a to bardzo ważne“.

„Generał Vioménil imponował rycerskością swojej postawy i całej osobistości. Urok wykwintnej jego postaci pod-

nosiła jeszcze zasłużona w Korsyce wstęga orderu św. Ludwika. Spokojny, przezorny, skromny i uprzejmy, umiał każdego wysłuchać z czcią lub pobłażaniem, podczas gdy Dumouriez, dumny, uparty i gwałtowny, nigdy nie znosił dyskusyi. Ztąd też był Vioménil od Polaków poważany wiele i kochany. Obecnie powiedział hr. Miączyńskiemu różne piękne wyrazy o jego patriotyzmie i męztwie; ze mną zaś mówił o księciu z uszanowaniem, jakie według niego było mu powinnem. Podnosił bliskie pokrewieństwo księcia z królem francuskim i jego osobiste zalety: „Ważnem jest — mówił — nie skompromitować księcia przedwezesnem działaniem, to też uważam za szczęście dla Starszyny konfederackiej, iż pan się zechcesz podjąć francuskiej i niemieckiej korespondencyi, która się z każdym dniem stanie obszerniejszą. Tem więcej mi o to chodzi, że nasze komunikacye powinny być dokładne i pewne. Nie omieszkam popierać pańskiej sprawy, za której wynik śmiem ręczyć“. — Wyszliśmy, obaj zachwyceni generałem. Miączyński pośpieszył na sesję generalną, złożoną z kilku biskupów, obu marszałków generalnych, w. hetmana Ogińskiego, wielkich regimentarzy, wszystkich marszałków i deputatów z województw Korony i Litwy. Na tem posiedzeniu miała między innemi być postawioną kwestya mego przyjęcia do departamentu. Tymczasem poszedłem do domu, aby napisać pierwszy oficjalny raport do księcia i pierwszy list do księżnej“.

Na sesyi, jak było przewidzianem, sprawa wyznania Heykinga wznieciła dużo gadania. Rozstrzygnął ją hetman Pac, oświadczając, że skoro tylko do cywilnej służby jest wstęp dyssydentom wzbroniony, przeto kandydatowi do departamentu należy nadać rangę wojskową. Na poczekaniu więc zamianował go swym adjutantem, co się równało szarży podpułkownika, z 15 dukatami pensyi, do czego z kasy francuskiej przyływało jeszcze 30 duk. za prace piśmienne. Heyking stał się tedy istotnie sekretarzem hetmana lit., który jednak nietylko go używał, co biskup Krasieński. Ten godzinami całemi dyktował mu swoje depesze, gubiąc się w zawilości zdań tak, że po napelnieniu kilku arkuszy nie wiedział już sam, co chciał początkowo powiedzieć. Upomniany zaś mówił, że ta niejasność jest właśnie zaletą, stanowiącą

cechę stylu dyplomatycznego. Wręcz innemi za to były polskie pisma Bohusza: jasne, jędrne, dokładne, pełne godności i ognia — aż miło było tłómaczyć je na francuskie.

Zapoznawszy się nieco bliżej ze stanem rzeczy, wysłał Heyking nowe sprawozdanie do Drezna. Kraków był już naówczas odbity przez garstkę walecznych, Częstochowa i Bobrek opierały się Moskałom, służąc równocześnie za magazyny wojenne. Tworzono pod kierunkiem Vioménila 4 legiony, mieszając komendę tak, iż albo oficer Francuz miał adjutanta Polaka lub Polak adjutanta Francuza. Razem wynosić miały 16.000 ludzi, stanowiąc główny korpus regularnej armii, obok którego pospolite ruszenie szlacheckie służyć miało za straż przednią i tylną, oraz na obsadzenie flank. Nad jazdą przełożonymi byli Puławski i Miączyński. Aliści Sapięha, obrany regimentarzem na Litwie, zaczął się spierać z hetmanem w. Ogińskim o główne dowództwo nad nieistniejącą jeszcze armią litewską, i trzeba było całego taktu Vioménila, by załagodzić stosunki. Śmiały i czynny duch francuski zaradzał wszelkim potrzebom. Opatrzono twierdze w armaty, sprowadzono broń dla 10.000 piechoty i to zwalczając niezliczone trudności, pomimo bowiem, że płacono wszystko gotówką i często na wagę złota, umieli agenci rosyjsey stawiać na każdym kroku zapory... Gabinet wiedeński przez cały czas trwania konfederacyi, odgrywał rolę dwuznaczną. Podczas gdy austriackie departamenty zdały się uznawać konfederacyę, tytułując Paca i Krasińskiego „wielkimi marszałkami“ teje — poseł austriacki w Warszawie nie przedstawiał wyrażać się o konfederatach z największą pogardą.

Sprawa konfederacyi atoli nabierała coraz więcej wagi, a wzrastające rozgoryczenie przeciw królowi i Rosyi zdały się ogólny wybuch w Rzpltej zwiastować. „Wtedy — pisze autor — chwila wydała mi się stosowną do wydania memoriału, naglącego skonfederowane Stany do odnowienia protestu przeciw Bierenowi, ogłoszenia go uzurpatorem i formalnego uznania niezbitych praw królewicza Karola, a zarazem do rozkazania marszałkom litewskim, by usiłowali pojmać osobiście Bierena i tegoż syna i by osądzić ich według praw. Dawny podkomorzy księcia Karola, Kossakowski, był już poprzednio zamierzył porwać Bierena z pośrodką

jego rezydenci; tajemnica jednak została zdradzoną i plan spełził na niczem“. Tajemnica planu porwania króla Stanisława Augusta, lepiej została zachowaną — zauważa zaraz potem, i opowiedziawszy ów smutny epizod w formie ogólnie znanej, równie jak i zobopólne obu partyi oskarżenia: jednej o umyślne inscenizowanie komedyi zamachu, a drugiej o królobójcze zamiary dowiedzione piśmiennym rozkazem Puławskiego, znalezionym na Kossakowskim — dodaje słusznie, iż owo usiłowanie porwania, samem wrażeniem, jakie u dworów zagranicznych wywarło, przyspieszyło pierwszy rozbiór Rzpltej: mianowicie ułatwiło Maryi Teresie decyzję na czyn, który dotąd odpychała z niechęcią.

„Byłem naówczas — pisze dalej — ogromnie zapracowany. Wodzowie konfederacyi, a zwłaszcza hetman Pac, zajmowali mnie nieustannie. Miałem przytem sposobność zbliżenia się do hr. Paca i nabrania doń wzrastającego z każdym dniem szacunku. Był to człowiek zapominający własnych korzyści wobec potrzeb ojezyny. Za pośrednictwem Wielhorskiego uprosił był w imieniu konfederacyi Jana Jakóba Rousseau o nakreślenie projektu reformy dla konstytucyi polskiej; jakkolwiek można sądzić całość tego projektu, należy przyznać, iż zawiera wielkie prawdy, dużo bystrości i głębokości myśli“...

„Pragnąc usunąć wszelkie wątpliwości co do intencji konfederacyi barskiej, umysłono wyprawić posłów do Wiednia i do Konstantynopola. Do Wiedniaznaczony był biskup kamieniecki Krasieński, a do Konstantynopola ks. Radziwiłł, który pomimo swego nieuctwa wydał się najspodobniejszym, z powodu wielkiej fortuny, ułatwiającej mu świetne występowanie wśród Turków“. Heyking, łudząc się pomocą Porty i powodzeniem konfederatów, mniemał już blizkiem przywrócenie królewicza na kurlandzki tron i napisał doń z prośbą o pełnomocnictwo na wszelki przypadek. W odpowiedzi odebrał za pośrednictwem księżnej rozkaz towarzyszenia biskupowi do Wiednia. Zaczęły się tedy przygotowania, spisywanie dniem i nocą instrukcyj, cyfr i przeróżnych aktów oficjalnych, gdy naraz grom padający z Wiednia zdruzgotał całe nadzieje.

„Dnia 16 czerwca wszystkie Stany konfederacyi obu narodów zgromadzone były w komplecie na posiedzenie, w celu uradzenia instrukcyi dla wyznaczonych do zagranicy posłów, oraz zatwierdzenia różnych kontraktów na broń i amunicyę. Sesya trwała jeszcze, gdy do izby, gdzie siedziałem wraz z innymi adjutantami i urzędnikami poszczególnych departamentów, wprowadzono oficera austriackiego zdobnego w klucz szambelański. Wyszedszy naprzeciw niemu, zapytałem z kim mam honor mówić i czego żąda. „Major Graf Marschal — odpowiedział — posłany przez jenerała Grafa Alton, by panów marszałków generalnych zawiadomić o rozkazach świeżo otrzymanych od naszej Najjaśniejszej Monarchini“. — „Panowie marszałkowie prezydują w tej chwili ogólne posiedzenie; jeżeli jednak pańskie wieści nie cierpią zwłoki, mogę im kazać zameldować“. — „Istotnie są bardzo ważne — jestem zmuszony natychmiast wypełnić dane mi zlecenie“. Pan W. podjął się zameldowania, co gdy uczynionem zostało, marszałkowie, nie mogąc odejść sami, odroczyli posiedzenie do 4-ej popołudniu. Członkowie Koła rozeszli się spokojnie, w mniemaniu, iż chodzi o jakieś wykroczenie którejs z partyi konfederatów na austriackiej granicy. Hetmani Pac, Ogiński i obaj Krasińscy wyszli pospołu. Zoczywszy majora Marschala, hr. Pac poprosił go do gabinetu. Wyszli po 20 minutach i Pac natychmiast wysłał oficera do jenerała Vioménila z prośbą o spieszne przybycie. Mimo spokoju, na jaki się silił, znać było na twarzy hetmana wielkie wzruszenie. Biskup był blady i bardzo przybity, zbliżył się do mnie i szepnął: „Wszystko stracone. Nie mów nikomu i przyjdź do mnie o 4ej. Nie będę na posiedzeniu — nie mam odwagi“. — Wzruszenie ogarniało wszystkich. Zwołano całą starszyznę do mieszkania Paca, gdzie po przybyciu Vioménila odbyło się przy zamkniętych drzwiach całogodzinne posiedzenie. Słowa biskupa zmiażdżyły mnie: nie mam słów do opisanego mego stanu. Im więcej wzięłem się był w myśl jazdy do Wiednia lub Konstantynopola, im więcej włożyłem w nią nadziei szczęścia, ambicyi i uciechy, tem więcej przerażało mnie nagle zdruzgotanie wszystkich moich widoków. Żeby to jeszcze można było wyjść, zaczerpnąć trochę powietrza — ale nie! trzeba było siedzieć, czekając na rozkazy.

Było nas tak z dziesięciu uwięzionych w tej nieszczęsnej izbie, dręczonych tą samą myślą i nie śmiących jej głośno wyrazić“.

„Nareszcie konferencya skończyła się, a mnie wysłano do biskupa z uwiadomieniem o uchwale Generalicyi: „Dwór wiedeński — rzekł hetman Pac — rozkazuje nam w przeciągu 14 dni opuścić Cieszyn, z żądaniem natychmiastowego rozpuszczenia naszych hufców. Jako łaskę, pozwalają nam przebywać jeszcze czas jakiś na Morawach lub Węgrzech. Obraliśmy węgierskie miasteczko Sillein, gdzie będziemy wyczekiwać, ażali się francuskiemu posłowi nie uda losu naszego złagodzić. Jutro wyjedziesz W. pan z X. biskupem do Wiednia. Idź, nakłoń go do wyjazdu i pakuj swoje rzeczy“.

„Poszedłem do prałata i zastałem go w łóżku. „Widzisz — rzekł — w jakim jestem stanie“ (miał istotnie trochę gorączki). „Nie podobna mi jutro wyjechać — niech posła kogo innego. Zboińskiemu już od dawna chce się do Wiednia, niech się teraz z tą przyjemną misją wybierze“.

Chciałem zaraz biedz z odpowiedzią biskupa, ale mnie zmusił do pozostania na obiad. Było nas czterech przy stoliku, przysuniętym do łóżka. Nie mogłem jeść; spragniony byłem tylko świeżego powietrza, to też zaraz po obiedzie wybiegłem jak waryat na miasto. Gwałtowny ruch uspokoił mnie nieco. Za miastem, zdała od gościńca, siadłem na dużym kamieniu i pogrążyłem się w myślach.

„Okropny los tylu uczciwych ludzi, padających ofiarą swego patriotyzmu, dotykał mnie żywo; sam widok mego położenia był dręczący. Wrócić do Drezna do dawnej posady było upokarzającym. Ogiński, pozbawiony dochodów z dóbr i z urzędu, nie był w stanie nadal płacić mi pensyi. Za pomocą królewiczów Karola i Ksawerego, oraz generała Vioménil, byłbym wprawdzie mógł wstąpić do służby francuskiej, ale tylko jako kapitan *à la suite*, co nie odpowiadało moim środkom, ani zdolnościom skierowanym raczej ku dyplomacyi. Im więcej myślałem, tem przyszłość zdała mi się ciemniejszą, bez możliwego wyjścia. Aż naraz zbudził mnie głos dzwonu z sąsiedniego kościoła i zwrócił ku innym sferom. Wspomniałem na koniec wszelkiego cierpienia, lzy puściły mi się z oczu, serce podniosło do Boga. Wstałem

pokrzepiony na duchu. Dwie godziny były minęły, odkąd opuściłem biskupa. Wróciłem jak najspieszniej do miasta, aby mój obowiązek wypełnić“.

„Gdym przybył, posiedzenie trwało jeszcze i przeciągnęło się do północy. Wtedy wszyscy rozeszli się, jedni mocno strapieni, drudzy zupełnie upadając na duchu. Hr. Pac przechodząc uściśnął mi rękę i rzekł: „O szóstej zrana będę W. pana potrzebował“. Oznajmiłem mu decyzję biskupa. „Spodziewałem się tego — odparł. — No, to Zboińskiego się pośle“.

Najspokojniejszym wydawał się Miaczyński. Wyszliśmy razem do jego mieszkania, gdzie mi powiedział co uchwalono i dodał: „Jestem zupełnie zdecydowany. Pozostanę przy boku marszałków i będę robił co postanowią, aż los nami rozporządzi inaczej. Ty zaś, mój drogi, pozostań ze mną — będziemy dzielić wspólne radości i biedy“. Podziękowałem mu za przyjaźń, nie wiążąc się jednak stanowczo. W każdym razie, skoro konfederacya jeszcze istniała, musiałem czekać, co hetman Pac rozkaże. Gdym rankiem wszedł do niego o oznaczonej godzinie, odłożył pióro i posadziwszy mnie przy sobie jał mówić, odsłaniając otwarcie zamiary, poczęte w jego czystej i patryotycznej duszy: „Zwaleni niepojętem połączeniem się trzech mocarstw, których dziedzinna rywalizacya była nam rękojmnią bezpieczeństwa, musimy uleść przemocy. Ale konfederaci postanowili nie zrywać świętej spójni, która ich dotąd wiązała. Wystarczy, by reprezentacya narodowa ograniczyła się chwilowo do szczupłej liczby członków. Zadaniem jej teraz, jak poprzednio, będzie zwalczanie wrogów. Będą wyglądać pierwszej korzystnej sposobności, by napowrót zwołać wszystkich innych członków, którzy tymczasem pozostając w ojczyźnie, zachowają dla konfederacyi swoje osoby, uczucia i mienie. Starajmy się ocalić tych pocziwych ludzi. Napisz więc W. pan proszę, na jaknajmniejszej kartce do p. de Choisy, upowazniając go do zawarcia honorowej kapitulacyi, poddając Zamek krakowski. Młody szlacheic polski ofiarował się ponieść z narażeniem życia ten list, do którego generał Vioménil kilka słów jeszcze dołoży“.

„Zabrałem się zaraz do roboty, a gdy hetman układ listu pochwalił, przepisałem go bardzo drobnem pismem, obaj marszałkowie przyłożyli podpisy, poczem kazali odnieść do Vioménila. Podobny rozkaz posłano wszystkim dowódcom korpusów. Komendant Częstochowy wydał twierdzę nie Rosyanom, lecz Austryakom, chcąc tem zjednać Austryę, od której nasz osobisty los zależał. Baron Vioménil, w porozumieniu ze starszyzną konfederacką, wypowiedział wszystkie kontrakty liwerunkowe, przyczem wiele z rąk wypuścił gogotówki na kubany, to znów na innego rodzaju odszkodowania. Wszyscy Polacy wspomagali się wzajemnie z istic braterską miłością. Widziałem wówczas wiele czynów szlachetnych, które należałoby poszczególnie podnieść, na cześć tego sympatycznego narodu, godnego szczęśliwszej doli. — Uchwała o odłożeniu konfederacyi została podpisana, poczem wszystko rozeszło się. Obaj marszałkowie generalni, biskup Krasieński, hetman Ogiński, sekretarz generalny Bohusz oraz 12 marszałków i radców konfederacyi, udali się do Czaczy a następnie do Sillein na Węgrzech. Jenerał Vioménil i wszyscy inni oficerowie francuscy, pożegnali się z nami bardzo serdecznie. Przed wyjazdem hr. Pac wręczył mi w imieniu konfederacyi 100 dukatów tytułem gratyfikacyi, przyczem wyraził mi w pochlebnych słowach uznanie całej Generalicyi i własną serdeczną przychylność. Postanowiłem starszyźnie konfederackiej towarzyszyć do Węgier bez wszelkiego wynagrodzenia“.

„Księżtwnu obojgu doniosłem o wszystkim. Księżna desperowała, iż biskup nie udał się do Wiednia, w istocie jednak był zbyt chorym na ciele i duszy, aby pojechać, a zwłaszcza, by tam działać skutecznie. Francuski ambasador w Wiedniu, ks. de Rohan, nie wiedział absolutnie o tem, co się przeciw nam gotowało przed jego oczami; spostrzegł się dopiero, gdy już cios w nas uderzył. Wówczas zapewnił potajemnie poszczególnych wodzów konfederacyi o protekcyi swego dworu, tak, jakoby każdy z nich miał własną korzyść, a nie publiczne dobro jedynie na oku. W czerwcu opuściliśmy nareszcie Cieszyn, ku wielkiemu, śmiem twierdzić, żalowi mieszkańców, którzy nam przy odjeździe objawiali swoją przychylność w tysięczny sposób. Nigdy odtąd nie przeje-

chałem przez to brudne, źle zbudowane miasteczko bez głębokiego wzruszenia, wywołanego wspomnieniem doznanych tu wrażeń“.

Pobył na Węgrzech, urozmaicony zaledwie paru wizytami w gościnnym węgierskim domu, był ogółem nudny i smutny. Nareszcie nadeszły listy z Wiednia, doradzające konfederatom opuszczenie zupełne terytorium austriackiego a natomiast zbliżenie się do Francyi, mianowicie udanie się do Bawaryi, dokąd miał przybyć Wielhorski z objaśnieniem stanowiska, zajętego przez dwór francuski wobec wypadków. Postanowiono więc tajemnie, pojedynczo i różnemi drogami udać się do Landshut. Tylko Ogiński poprosił o pozwolenie jechania do Wiednia, co też otrzymał. Hetman Pac ruszył wprost do Landshutu, podobnie jak Miączyński, który chciał zabrać ze sobą Heykinga. Ten jednak wolał naprzód odwieźć księżną królewiczową, a potem samego księcia. Księżną zastał chorą „zapewne wskutek bolesnych zajęć ostatnich czasów. Szczęśliwa jednak siłą swych złudzeń, już była na gruzach konfederacyi zbudowała nowy plan zyskania odszkodowań dla męża. W jej mniemaniu trzy rozbiorowe mocarstwa, tak znaczne terytoryalne zdobywszy korzyści, nie mogły pod naciskiem Francyi i Porty odmówić królewiczowi pewnego wynagrodzenia za niesłusznie zagrabione mu księstwa. Marzenie to zbyt ją radowało, abym miał je przedwcześnie rozprószyć“.

Po tygodniu, spędzonym u księżnej, Heyking wyjechał do Drezna, gdzie ksiązę Karol przyjął go przychylnie, ale jako człowieka, nie należącego już do jego dworu. Natomiast dawny znajomy, ks. Maciej Radziwiłł, spotkawszy go przypadkiem na moście, zabrał prawie przemocą ze sobą do Karlsbadu, zkąd dopiero wróciwszy do Drezna, Heyking udał się do Landshut, wioząc listy królewicza do siostry jego, elektorowej bawarskiej, do brata elektora trewirskiego, do wodzów konfederacyi i do Wielhorskiego. Z tym ostatnim miał Heyking układać się o sprawy księcia. W Landshucie dużo było Polaków, korzystających z taniaści życia, by tu wyczekiwać na obrót okoliczności. Zaraz po przyjeździe atoli list Miączyńskiego wezwał Heykinga „dla ważnych spraw“ do Monachium. Tu wysiadłszy w hotelu, gdzie

Miączyński mieszkał ze starostą Brz., został przyjęty z otwartymi rękami i natychmiast wtajemniczony w plan osadzenia Landgrafa Hesskiego (*Hessen-Kassel*) na polskim tronie, którego przyjęcia elektor saski odmawiał, a gdzie już naród nie chciał dłużej znosić Poniatowskiego. Projekt ten wyjawionym został pod sekretem Miączyńskiemu przez niejakiego *abbé*, zwącego się Grafem Bollo. Był on rodem z Genuy i używanym przez tę Rzeczpospolitą do niejednej tajnej intrygi. Jemu też przypadło uregulowanie pożyczki 100.000 duk., jaką król polski w Genuy zaciągał, ale po kilkomiesięcznym pobycie w Warszawie zmuszonym był się oddalić pod brzydkim zarzutem chęci otrucia człowieka, który mu w sprawie miłosnej zawadzał. Następnie włóczył się po Niemczech, a w końcu uczepił się landgrafa ze swym śmiesznym planem. Miączyński zaklinał Heykinga, by się podjął korespondencyi w tej sprawie, co też on uczynił, tak jednak, by zachęcając Włocha nie skompromitować się ani jednym słówkiem. Równocześnie przedstawiony przez francuzkiego posła Folarida u bawarskiego dworu, gdzie mu listy królewicza, równie jak obecność elektorowej-matki (ks saskiej) najzyczliwsze zgotowały przyjęcie, rozkoszował się pobylem w Monachium, zachwycał *Orfeuszem* Glucka, cudnie przez Guadagni'ego śpiewanym.

„Tymczasem Polakom naszym nie było pilno się łączyć. Dobrze im było tam, gdzie siedzieli i nie myśleli się ruszać. Hetman Ogiński pozostawał wciąż w Wiedniu. Hr. Bollo, który się był w swoim planie zawikłał, prosił Miączyńskiego, by mu dalszą marszrutę nakreślił, z czego ten wykręcił się, mówiąc, że nie zna warunków, jakie Landgraf chce przyznać narodowi, i że samemu hr. Bollo przynależy opracować szczegóły projektu. Wtedy Bollo zaprosił Miączyńskiego w imieniu Landgrafa na tegoż dwór, ale Miączyński poprosił o zwłokę pod pozorem, iż nie może opuścić Monachium przed zapowiedzianym zjazdem posłów od konfederacyi, mających o dalszym jej losie stanąć. Takim był koniec korespondencyi, której przedmiotem był tron, a wynikiem koszta pocztowe: *Parturiunt montes — nascitur ridiculus mus*“.

Heyking w nieszczęściu swoim mógł się jeszcze niejedną szczęśliwą okolicznością pocieszyć, *polnisches Glück*, jak mówią Niemcy. W chwili, gdy mu brakło podpory konfederatów barskich, znalazła się służba u jednego z książąt saskich, arcybiskupa i kurfürsta Trewiru. Ten poznał go w czasie odwiedzin u swej siostry w Monachium, i wraz zabrał ze sobą w charakterze szambelana. Był to jedyny z synów Augusta III urodzony w Polsce, bardzo przywiązany do Polski i wszystkiego, co z nią miało łączność. Heyking opisuje go jako przystojnego mężczyznę, o wspaniałej postawie, wzorowych obyczajach i wielkiej regularności w zajęciach. Dobrze mu tam było, choć mimo swej luterskiej wiary zmuszonym był podczas solennych nabożeństw podawać biskupowi wodę do mycia rąk przy Mszy św. Nie mówi, jak długo w Trewirze przebywał — i wogóle ma odrazę do dat, co miejscami utrudnia połapanie się czytelnika między faktami historycznymi, a wydarzeniami jego biografii. Dość, że pewnego dnia otrzymał od Miączyńskiego list z oznajmieniem, iż Pac wzywa wszystkich konfederatów do Scbaffhuzy dla ostatecznego rozwiązania ich z danej przysięgi. Pożegnał tedy kurfürsta, zatrzymując swój klucz szambelański i spotkawszy się w Monachium z Miączyńskim, podążył wraz z nim do Szwajcaryi. Tu jeszcze Paca nie było, ale zjeżdżający się licznie Polacy wzbudzali podejrzliwość władzy, patrzącej niechętnie „na taką gromadę katolików“; niebawem też otrzymali rozkaz, wyniesienia się do katolickiego kantonu, zaczem cały zjazd przeniósł się do miasteczka Rhyneck. Konfederacya została ostatecznie rozwiązana, gdy jednak spisano manifest, który miał być rozesłany po świecie, żadna drukarnia nie chciała podjąć się druku i trzeba było, aby Heyking powiódł go do najbliższej loży rytuału angielskiego, gdzie mu go jakiś „brat“ mason wydrukował za połowę ceny; uczynność swą zaś tłumaczył faktem, iż Heyking był masonem, Niemcem i protestantem! Podpisując manifest, Pac palił za sobą mosty; już zresztą opuszczając kraj, gotów był na wszystko i dla tego posiadłości swoje braciom odstąpił. Ogińskiego pozycya była lepszą; Miączyńskiemu zaś radził Pac, aby spróbował wrócić do kraju, a jeśli pobyt tam okaże się niemożliwym, aby wstąpił do wojska francu-

skiego, gdzie mu Vioménil obiecywał poparcie. Tak się też stać miało w przyszłości: Miączyński, przyjęty do armii francuskiej w randze jenerała, miał po ucieczce Dumourieza żywot swój pod gilotyną zakończyć. Tymczasem jednak wyjechał ku Polsce z Heykingiem, ten zaś żegnał się z największym żalem z Pacem, który, myśląc o wszystkich, dał mu różne polecające pisma do kraju. Ogiński dołożył swoje i wyruszyli. W Monachium przyszło im dość wesoło czekać sześć tygodni na pieniądze i paszporty; w Wiedniu zatrzymali się jeszcze dłużej. Tu Heyking zapoznał się bliżej z siostrzeńcem hetmana Ogińskiego, Wielhorskim; młodzian ten przy stojny, wesoły i bardzo zdolny, miał od Łoży paryskiej pismo do wiedeńskiej Łoży „trzech orłów“, Heyking znów od szwajcarskiej do Łoży „uwieńczonej nadziei“. Mieli więc dostęp do obu i korzystali zeń skwapliwie.

Na jednym z posiedzeń zastali niezwykłego gościa, otaczanego największym respektem. Był pono rodem z Flandry, nosił francuskie, widocznie przybrane nazwisko i jeździł po całych Niemczech, głosząc dziwne swe przepowiednie. Mówił tonem proroka, tonąc w hyperbolach i górnolotnych, niby natchnionych frazesach; głosił, że „niezadługo prawdziwa światłość rozprószy ciemności, że *przed końcem wieku blask słońca powarzy lilie*, że tenże blask zmusi Starca z Góry (*le Vieux de la Montagne*) do zejścia z wyżyn na powszednie niziny, z których go tylko wydalila pycha“, poczem nastąpił nowy szereg symboliczno-alechemistycznych elukubracyj, w końcu zaś zapewnienie, iż „naówczas Prawda, *Równość i Wolność*, zapanują w dzierzawach dobrego pastusza, a ten już jest obrany, namaszczoney i przez wybranych uznany“... Heyking z zaciekawieniem opowiada o wróżbach i o wróżbicie, który u wielu wzbudzał entuzjazm. Gdy się nazajutrz rano chciał z nim bliżej zapoznać, już go w Wiedniu nie było. Dziś niepodobna nie widzieć w nim agenta przysposabiającego grunt pod wielką Rewolucyę francuską.

Miączyńskiemu podobało się w Wiedniu, a raczej nie pilno było do kraju, bo tak stąd, jak z Berna, musiał go Heyking z wielkim trudem w dalszą drogę wyciągać. W Krakowie czekał na b. marszałka list od matki, wzywającej go na wieś w Lubelskie; przyjaciele zatem rozstali się.

IV.

W służbie wojskowej polskiej i rosyjskiej.

Heyking podążył wprost do Warszawy. Stał tu nie bez wzruszenia; po pięciu latach nieobecności nie zastał ojca ni brata. Rodzina d'A. wszakże pozostała i przygarnęła go jakoby własne dziecko. Na horyzoncie politycznym dużo się było zmieniło: w miejsce brutalnie gwałtownego Repnina i nie mniej brutalnego Salderna, nowy ambasador, Inflantezyk Stackelberg, uprawiał z powodzeniem krętą politykę. Ujmował króla uprzejmością i popieraniem na sejmach spraw, mogących mu ulżyć w materialnych troskach, magnatów ucztami, gładkiem obejściem i hołdowaniem wdziękom dam, szlachtę zaś obietnicami ugruntowania za pomocą nowej konstytucyi starych form republikańskich, a wszystkich razem głoszeniem, iż Polska pomimo rozbioru jest jeszcze pełnem chwały mocarstwem.

Pouczony przez pułkownika d'A., Heyking wiedział już, kto jest panem położenia w Warszawie; gdy więc poseł saski bez względu na godność trewirskiego szambelana nie chciał go przedstawić u dworu jako noszącego mundur konfederacki, młody człowiek odpowiedział wręcz, że jeżeli tak, to uzyska prezentacyę wprost przez ambasadora. Wkrótce też nadarzyła mu się sposobność. Ogiński dał mu być pismo polecające do siostrzenicy swej Radziwiłłowej, którą Stackelberg wyróżniał osobliwemi względami.

„Księżna — pisze autor — przyjęła mnie z uprzejmością i wdziękiem“.

„Przeczytawszy list, zapytała: „W czem mogę W. panu usłużyć?“ — „Pragnąłbym zapoznać się z ambasadorem rosyjskim, a że obawiam się, iż jest przeciw mnie uprzedzony, iżem był u konfederatów, śmiem księżnę prosić o słówko za mną“. — „Nie łatwiejszego, jak z nim się zapoznać“ rzekła księżna, śmiejąc się. — „Oto p. ambasador“. — Ujrzałem jegomościa w stroju porannym, z włosami zawiniętymi i spiętymi grzebieniem, zajętego próbowaniem dużego angielskiego kordelasa. Gdy się zbliżył do księżny, przedstawiła mnie, dodając: „Nieprawda, ambasadorze, iż pan nie masz za złe baronowi, że towarzyszył do Cieszyna memu wujowi?“ —

„W baronie — odpowiedział — widzę tylko rodzaj współziomka, boć przecie my Inflantczycy jesteśmy poniekąd z Kurlandczykami pokrewni“.

„Uprzejmość ta ośmieliła mnie. Rozmowa trwała jeszcze przeszło pół godziny, a nakoniec ambasador rzekł: „Jutro jest u mnie wieczór. Miło mi będzie widzieć pana i przedstawić go baronowej Stackelberg“.

„Bardzo zadowolony z tego początku, udałem się do księcia Adama Czartoryskiego, a nie zastawszy go, poszedłem po obiedzie do hetmanowej Ogińskiej. Z miną lodowatą, od której sam drętwiałem, przeczytała list męża, poczem zamruczała: „Mój mąż raczejby wrócił i zaprzestał tych wszystkich zbrojeń, które go zgubią!“ „Pan hetman niczego więcej nie pragnie — odparłem żywo. — Czekaj tylko na odpowiedź JKMei, aby powrócić do kraju“. — „Król — rzekła — już mu oddawna dał znać co myśli: chce o wszystkim zapomnieć — tylko ambasador rosyjski nie dostał jeszcze od dworu swego odpowiedzi w tej sprawie“. — „Jutro wieczorem będę się z ambasadorem widział i jeżeli JW. pani pozwoli pomówię z nim, by go przekonać o szczyrych intencjach p. hetmana“. — „Jutro będzie jadł obiad u mnie, przyjdź W. pan także. Łatwiej będzie z nim pogadać, niż wśród przeszło stu osób“. — Przyjąłem chętnie zaproszenie. Hetmanowa miała nieprzyjemne rysy, wyraz oczu twardy, brzydkie usta i szorstki głos: na pierwsze wejście zdała się wprost odrażającą. Była to przecie najlepsza w świecie kobieta, dobroczynna, życzliwa, ludzka, pobożna i uczuciowa. Przedstawiła mnie biskupowi Poniatowskiemu, bratu króla i kilku obecnym damom. Biskup wypytywał z wielkim zajęciem o hetmana lit. i zdał się pochwalać sposób, w jaki usiłowałem go bronić. Skorzystałem ze sposobności, by prosić księcia o wstawienie się za mną do króla: „W. pan żadnego wstawiennictwa nie potrzebujesz — odrzekł — JK. Mość jest o wiele zbyt sprawiedliwym, by W. panu poczytać za winę, żeś poszedł za swoim wodzem. Wodzowie są odpowiedzialni — podwładni winni tylko słuchać. Zresztą, gdy mi się nadarzy sposobność, chętnie z JK. Mością o W. panu pomówię“.

„Nazajutrz znalazłem się wcześniej zrana u ks. Adama, uprzedzonego o mojej wizycie przez swoją ciotkę Ogińską.

Otaczał go tłum oficerów wszelkiej narodowości i rangi. Wziął mnie na bok i rzekł: „JW. hetmanowa mówiła mi o W. panu i pokazała list męża. Ogiński niech tylko wraca — rękę własną osobą za przyjęcie. A co do W. pana, czy mogę być w czem usłużnym?“ — „Wasza książęca Mość uszczęśliwiłbyś mnie niepomiernie, przedstawiając mnie księciu wojewodzie ruskiemu, dla którego żywię najgłębszą cześć“. Z widocznem ukontentowaniem uściskał mnie i rzekł: „Dopiero 9 ta; bądź W. pan łaskaw przyjść o 11-ej a zaprowadzę cię do mego ojca“.

„Skorzystałem z wolnej chwili dla oddania kilku biletów, poczem o umówionej godzinie wróciłem. Książę kazał mi wsiąść do swego powozu i po drodze jał wypytywać o biskupa Krasieńskiego i Paca. Miałem odwagę tylko pochwalnie o nich się wyrażać, a choć książę Adam zdał się ganić ich czynności i zapatrywania, przecież, jak się później dowiedziałem, zachowanie się moje wzbudziło jego szacunek. Nestor polski przyjął mnie z godnością i łaskawością: „Przychodź W. pan do mnie czy to na obiad, czy wieczorem — zawsze mi będzie miło cię przyjąć“.

„Moja siostra ks. Lubomirska także tu mieszka — rzekł ks. Adam wychodząc. — Chodźmy do niej“. I wszedł pierwszy, a po chwili wprowadzono mnie do wykwintnego buduaru. Nie można być miłszą, niż księżna kiedy chce, a dziś raczyła chcieć. Następnie ks. Adam poprowadził mnie do swego szwagra, marszałka w. kor. Lubomirskiego i do kilku innych osób, poczem żegnając się zapytał, przez kogo zamyslał dać się przedstawić królowi? — „Przez W. Ks. Mość — odparłem — jeżeli łaska. Roszczę sobie do niej podwójne prawo — jako należący do wojska litewskiego i jako przydzielony do osoby jednego z blizkich krewnych W. Ks. Mości“. — „Z całego serca. Jutro pomówię z królem i dam W. panu znać o jego woli“.

„Przy obiedzie u hetmanowej Ogińskiej, gdzie się znajdowała i księżna Radziwiłłowa, ambasador był bardzo ożywiony. Po obiedzie mówił zemną o powrocie hetmana, wypytywał o różne szczegóły konfederacyi i zdał się zadowolonym ze zręczności, z jaką zdołałem jemu, posłowi rosyjskiemu, odpowiadać w tak delikatnej materyi. Wieczorem

udałem się wcześniej do jego salonów, gdzie przedstawił mnie swej żonie i całemu ciału dyplomatycznemu. Wśród tłumu odnalazłem z przyjemnością dawnych znajomych, jak Brzostowski, Ustrzycki i t. d. Nadto zauważyłem snującą się jakąś figurę chudą o wystającej brodzie i dość pospolitej powierzchowności. Powiedziano mi, że to p. Vic agent ks. Kurlandzkiego. Dałem mu pokój i zbliżyłem się do p. Manteuffla, delegowanego kurlandzkiego rycerstwa. Po przywitaniu jał mi pocziwiec bardzo obszernie opowiadać o swych dyplomatycznych sporach z p. Vic, a nazajutrz pokazał mi memoryały, spisane w imieniu księcia i szlachty. Zawstydzilem się dla moich, widząc ich śmieszno lichą redakcyę. Były dziełem niejakiego p. Dörpera, małego notaryusza, wyrosłego na personata, odkąd Manteuffel przywiózł go do Warszawy jako sekretarza delegacyi kurlandzkiej. Dzięki protekeyi w przedpokojach dworskich i poparciu masonów rytuału niemieckiego, poczynających odgrywać rolę w Mitawie i Warszawie, dzięki śmiałości, z jaką stawiał się jako wielki człowiek, oraz wpływowej pozycyi nadanej mu przez pocziwego Manteuffla, umiał był utorować sobie kręte drogi, któremi pozyskał wysoką opinię u króla i poparcie ambasady rosyjskiej. Wszystko to odbywało się kosztem powagi Manteuffla i interesów szlachty, która sprawki te 90.000 talarów opłacić musiała. Pomimo swojej śmieszności kłótnie między Vic'em a Manteufflem rozżarzyły we mnie patryotyzm, który, acz przytłumiony, nie był nigdy wygasł do reszty.

„Począłem szukać sposobu zbliżenia szlachty kurlandzkiej do polskiej i w ogóle większego oparcia księstwa na zwierzchniczej potędze Rzpltej. Że zaś obecnie w Warszawie trudniono się gorliwie wzmacnianiem wojsk obu narodów, przysłała mi myśl utworzenia kurlandzkiego pułku: król miał gwardyę koronną i gwardyę litewską, czemużby nie miał mieć i gwardyi kurlandzkiej? Obmyśliwszy na wszystkie strony projekt, mogący być pożytecznym tak Kurlandyi jak Polsce, spisałem wszystkie potrzebne punkta i otrzymawszy aprobatę pana d'A., poniosłem do księcia Adama. Ten zaś uściskał mnie i obiecał rzecz przedstawić królowi, kazał mi przyjść o 10 ej nazajutrz, by mnie poprowadzić do dworu“.

Gdy następnego dnia po przedstawieniu, ucałowałem rękę królewską, Naj. Pan rzekł do mnie swym czarującym głosem: „Miło mi znów ujrzeć W. pana. Widziałem cię, pamiętam, bardzo jeszcze młodziutkim“. Skończywszy zaś z innymi, zwrócił się raz jeszcze do mnie, mówiąc: „Czytałem wczoraj wieczorem pański memoriał, czyni W. panu zaszczyt pod wszelkimi względami“. Skłoniłem się, a król wyszedł, pomówiwszy jeszcze chwilę z księciem Adamem. Ten zaś rzekł do mnie: „JK. Mość każe W. panu przyjść jutro o 5-ej po południu do jego gabinetu, aby umówić szczegółowo urzeczywistnienie pańskiego projektu“.

„O naznaczonej godzinie byłem u króla. „Projekt W. pana — rzekł — skoro delegowany kurlandzki jest chory, poleciłem pieczy sekretarza delegacyi, który się ma postarać o jego wykonanie“...

Na nieszczęście owo oddanie projektu w opiekę krętego Dörpera, było dla całej sprawy wyrokiem śmierci. Napróżno Heyking przedstawiał delikatnie królowi, iż sekretarz delegacyi nie pojmie rzeczy dokładnie, iż najlepiej wykonać zdoła ją tylko on sam, twórca projektu — wszystko już było daremne. Dörper nietylko planowi kark skręcił w Warszawie, ale podał go drukiem do publicznej wiadomości w Kurlandyi, jako zamach na kieszenie i dobro rycerstwa, uknuty na szkodę księstwa a korzyść Polski. Fałsz był widoczny, niemniej przeto zaszkodził ogromnie młodzieńcowi w jego kraju wśród ludzi, którzy, zajęci w bardzo ciasnym kółku spraw i pojęć, zachowywali zazwyczaj przez długie lata ślady dozuanych wrażeń, a których sama ta szczupłość widnokręgu usposabiała na każdym kroku do podejrzliwości: „Za tem coś się kryje“, mówiono zwykle o każdej propozycyi, przeciw której nie umiano znaleźć argumentu.

Przybycie Ogińskiego przerwało smutne myśli Heykinga, zmuszając go do pełnienia służby adjutanckiej przy osobie hetmana. Służba to była arcymiła, ułatwiona jeszcze wielką dobrocią szefa, który go u siebie ugościł i żywił, dając mu przytem sposobność do uczestniczenia we wszystkich przyjęciach jego domu, bardziej uczęszczanego i świetniejszego, niż kiedykolwiek. Szarża adjutanta została przez komisję wojskową zatwierdzona, wraz z przynależną gażą.

Heyking wtedy przeżył spokojne dni, poświęcone służbie, zabawom i literaturze. „Francuska literatura — pisze — panowała naówczas w Polsce i śmiem powiedzieć, że wyższe towarzystwo warszawskie mówiło czystszą francuszczyzną, niż wielu Francuzów z prowincyi“. Przytacza przytem bardziej czytywane dzieła, jako to *Eloges* przez Thomas'a, dziwnie wstawione i naśladowane przez wszystkich: „Hr. Moriczek (*sic*) napisał *Pochwałę Kazimierza W.*, która dzięki nowości formy w polskim języku wielkie zyskała uznanie. Wielhorski chwalił po francusku Zygmunta Augusta i usiłował wślawić Jana Sobieskiego. Warszawa przedstawiała bardzo różnobarwny widok, dzięki mnogości francuskich oficerów, przybyłych do formującego się pułku biskupa Massalskiego. Książę ten spędził był większą część życia swego we Francyi i miał dla niej osobliwe umiłowanie; to też gdy jał za pomocą synowca wystawiać nowy regiment, powołał na szefa onegoż niejakiego p. Rullecourt. Ten zaś głosząc, że staje na czele legionu, przyciągnął za sobą mnóstwo innych Francuzów, tytułujących się oczywiście grafami, markizami, a co najmniej *chevalier*“. Heyking dzięki swej szarzy miał ustawicznie styczność z tym ruchliwym tłumem, a zarazem niejedną sposobność łagodzenia zachodzących sprzeczek. „Nie łatwiejszego — pisze — jak uspokoić Francuza. Dość mu jest wytłómaczyć, że nie był obrażonym, a gdy się tem jego miłość własną ugłaszcze, to już wszystko dobrze“.

Po pewnym czasie hetman zabrał go z sobą do Słonimia. „Ogiński żył na Litwie jak panujący książę, otoczony nietylko liczną świtą wojskowej szlachty, ale i większością magnatów, krewnych i przyjaciół Ogińskich i Czartoryskich. Żona jego pogodzona z nim, przepędziła też niejaki czas w Słonimiu. Liczna, wyborna, przez Włocha prowadzona kapela dawała częste koncerty; opera polska zaś, prawdziwie dobra, zachwycała całą Litwę. Po przedstawieniach zazwyczaj odbywały się bale, bardzo ożywione i świetne“. Heyking wszakże wśród tylu przyjemności tęsknił za Warszawą i skorzystawszy z pierwszej lepszej sposobności uzyskał urlop. W drodze jednak zaziębił się dzięki niezwykłym upałom; przyjechał chory, tak, iż tylko staraniami Dr. O'Conora zawdzięczył, iż pozostał przy życiu. Ledwie wyzdrowiał,

przyszło nowe niebezpieczeństwo. Odnalazł, pierwszy raz po jej ślubie, piękną Ludwikę R. a zarazem całą dawną miłość i tortury zazdrości. Uciekając przed nimi wyjechał do Kurlandyi, gdzie zresztą ułożenie spraw majątkowych wymagało jego obecności.

Mitawa, dokąd przybył około św. Jana, pełna była przyjezdnych i drożyzna taka, że ledwie za dwa dukaty można było wynająć izdebkę. Pałac królewski wydał mu się podupadłym; przedpokoje, dokąd go wprowadził baron Grothhus, pełne były mundurów wszelkiej narodowości, z dawna bowiem było zwyczajem, że Kurlandczycy w armiach całego świata służyli. Opis księcia Piotra Bierena zapewne stronniczy: wydał mu się sżywnym, niezgrabnym a ceremonialnym, upierającym się przy swojej francuzczyźnie najgorszego gatunku. Przyjął go jako obcego szambelana i zakończył audyencyę tem, że skoro ambasador rosyjski nim się interesuje, będzie się starał uprzyjemnić mu pobyt w Mitawie. Gdy Heyking wyszedł z gabinetu, wszystkie oczy były ku niemu zwrócone, podejrzowano go bowiem o jakąś tajemniczą misyę. Rad był więc odnaleść paru dawnych znajomych, a między nimi jenerała Vietinghoffa, który po długiej służbie w armii francuskiej był obecnie ożeniony z Polką i jako jenerał-lejtnant dowodził 1-szą dywizyą wojska litewskiego. Syn jego pierwszej żony, Witten, był podobnie jak Heyking wychowany u Teatynów w Warszawie, a teraz służył we Francyi. Podczas rozmowy roztwarły się podwoje i za marszałkiem dworu wszedł solennie książę ze swą drugą żoną¹⁾, księżną Jussupow, dawną damą dworu rosyjską. Szli na obiad i Heyking niespodziewanie został zaproszony do stołu. W czasie jedzenia Bieren sypał conceptami, według Heykinga bardzo płaskimi, ale pobudzającemi dworaków do służbistego śmiechu. Z tych niejeden (bardzo uszczypliwy), zwrócony był przeciw księżnej, której mąż widocznie nie cierpiał.

W Mitawie Heyking widział się z matką, która dla odzyskania swego posagu przyłączyła się była do masowego

¹⁾ Pierwsza była księżniczką Waldeck.

procesu przeciw rządowi. Heyking począł też w sprawie ojcowskiego majątku zbierać papiery, niemógł jednak działać na razie, niemając jeszcze pełnomocnictwa brata. Niemniej przeto, przygotowania te zaniepokoiły księcia, to też gdy Heyking musiał wyjechać gwoli kończącego się urlopu, posłał mu 300 dukatów, niby w prezencie, ale równocześnie z przygotowanym kwitem, mocą którego byłby mógł odeprzeć wszelkie dalsze pretensye Heykinga, gdyby ten, poznavszy się na sztuce, nie był kwitu odrzucił i napisał prostego podziękowania.

Ten pobyt w ojezyźnie zaznaczył zwrot w życiu młodzieńca. Tu bowiem powziął on zamiar przejścia z wojskowej służby polskiej w dyplomatyczną służbę rosyjską: jemu i wielu innym Kurlandczykom karyera Keyserlinga przewróciła była w głowie. W Warszawie tedy jął na gwałt uczyć się po rosyjsku, a otrzymawszy od Stackelberga list do Potemkina, od króla zaś uwolnienie z rangą pułkownika i list do Panina, stanął niebawem w Petersburgu. Pierwsze wrażenie było wyborne; Katarzyna olśniła go, dzielny Rumiancow ujął dobroćliwością i wychwalaniem bohaterów jego rodziny, zaczynając od Heykinga, który był się wysadził w powietrze wraz z zamkiem Kamieńca, w chwili kiedy tenże miał być Turkom oddany ¹⁾). Potemkin przyjął go równie przyjaźnie. Oświadczył jednak, iż w Rosyi droga do służby cywilnej wiedzie przez służbę wojskową, zaczem na poczekaniu wyrobił mu w kirasyerach carowej szarżę majora — bez pensyi. Czekać na coś lepszego, Heyking począł się bawić, obracając się w najwyższych kołach stolicy, kędy przebywała też rozwiedziona już z mężem księżna kurlandzka, mająca wkrótce być zastąpioną przez córkę generała Medema.

Petersburg jednak nie zastępował Warszawy i wkrótce nowy major uprosił Panina, by go jako kuryera do Stackelberga wyprawił. W przejeździe przez Mitawę poszedł w mundurze rosyjskim przedstawić się księciu i nie zrozumiał, dlaczego mędrszy od niego Piotr Bieren, odwrócił mu się plecami, na co Heyking odpowiedział impertynencyą. Pobyt

¹⁾ Ten sam, którego Sienkiewicz w *Panu Wołodyjowskim* Ketlingiem nazywa.

w Warszawie, gdzie go Stackelberg tak u dworu, jak w świecie w nowym charakterze przedstawiał, przerwany został listem od brata, zrzekającego się wszelkich pretensyj do rodzinnego spadku. Teraz już mógł rozpocząć proces; wprawdzie jednak wystosował do ks. Kurlandzkiego list z propozycją ugody. Gdy zaś niezbyt grzeczną otrzymał odmowę, posłał list drugi, tym razem wręcz zuchwały, przypominając Bierelowi, że księstwa ani kupił ani zdobył, że ojciec jego ciężko się mozolił, zanim zyskał uznanie kurlandzkiego szlactwa, więc i on nie ma prawa jako despota do szlachty kurlandzkiej przemawiać; kończył groźbą pozwania go przed sądy relacyjne w Warszawie. List ten mógł ciężko przyplącić, Bieren bowiem odesłał go do Petersburga z żądaniem zadosyćuczynienia od dworu imperatorowej. Heykinga też za powrotem tamże powitał Repnin bardzo gwałtowną sceną, wyrzucając mu, iż uchybił listownie respektu swemu księciu. Heyking odparł hardo, że do króla polskiego weale nie pisał, a ten jest przecież jego przyrodnym panem, imperatorowa zaś o tyle, że ma honor jej służyć, gdy zaś Repnin, nieukojonny wymówką, tem żywiej domagał się zadosyćuczynienia i począł grozić, Heyking chciał mu oddać szpadę, ale pomiarkował się, że właściwie księżę Repnin niema nie do rozkazywania i udał się z całą sprawą do Repninowego wroga, Potemkina. Ten kazał sobie kopię listu odczytać, poczem rzekł: „Pan zda się, nie kochasz księcia?“ „Za cóż miałbym go kochać? — odparł Heyking. — Toż on mego dziada obdarł z dostojenstwa i z mienia, był przyczyną powolnej śmierci mego ojca i młodość moją zaprawił goryczą!“ Potemkin słuchał go z widocznym zajęciem i kazał z całej sprawy spisać sobie memoryał. Podczas gdy Heyking był zajęty redakcją, dostał przez Panina od carowej rozkaz stanowczy przeproszenia Bierena na piśmie; rad nie rad wystosował list, tak jednak dwuznaczny, iż każdy mógł zeń wyczytać co mu się podobało. Ważniejszym zdał mu się memoryał, z którym, ledwie był gotów, poszedł do Potemkina. Tu przychylniejsze jeszcze, niż wprzód, przyjęcie ośmieliło go całkowicie. „Czyż nie moglibyśmy — wybuchnął — mieć porządniejszego księcia? Czemuż Imperatorowa nie dozwala nam wolnego obioru? Toż Bieren już najmniej dziesięć razy

złamał warunki swojego lenna“! — „Daj mi dowody choćby jednego takiego uchybienia!“ zawołał skwapliwie Potemkin — i młody człowiek przyrzekł nowy w tym celu memoriał. Potemkin nie był jeszcze dotąd wyrzekł się dawnych aspiracji do księstwa kurlandzkiego. Plan jego obecny polegał na tem, aby wpływem Imperatorowej wymusić na Rzpltej utworzenie osobnego księstwa Piltyńskiego i nadanie mu *in spe* inwestytury kurlandzkiej. Heyking, wchodząc w ten zamiar, miał podwójny cel: pozbycia się Bierena, a tymczasem wykupienia w coraz to większe łaski faworyta carowej. Młody był jednak i nieprzezorny. Nie pojął, iż głaszcząc księcia powinien był zarazem ugłaskać szefa jego kancelaryi, pułkownika T. Zraził go sobie nawet lekceważeniem i tylko się oburzył, gdy mu młody hr. Pahlen opowiadał, iż chcąc regiment kirassyerski otrzymać, darował był temuż szefowi serwis srebrny za 2.000 duk. poczem w tydzień pułk uzyskał.

Tymczasem kurlandzka sprawa zależała od warszawskiego sejmu, a ten chylił się już ku końcowi, gdy Potemkin pewnego dnia oświadczył Heykingowi, że go tegoż wieczora jako kuryera do Warszawy wysyła. „Jeśli w wiadomym interesie — odrzekł tenże — to już zapóźno. Nim zajadę, sejm będzie zamknięty“. „Spiesz się — być może, iż jeszcze dojedziesz, a w takim razie Stackelberg ma rozkaz przedłużyć sejm“. — Heyking spieszył, lecz jak przewidział przybył po niewczasie, przyczem miał sposobność przekonania się, że Katarzynie bardzo mało chodziło o plany Potemkina.

Jemu osobiście wszakże samo wtajemniczenie w takowe dodało powagi w oczach Stackelberga, który niebawem wyprawiał go do Berlina z misją, jakiej cel niestety pamiętnik zamileza. Piszze tylko o wrażeniu, jakie na nim zrobił sędziwy Fryderyk II, o uprzejmości książąt, o swych odwiedzinach u znakomitości miejscowych, wśród których na pierwszym miejscu cytuje „nowożytnego Platona“, Mojżesza Mendelsohna, przyszłego posła Lucchesiniego i uroczą literatkę panią de Mombard. Stropił go wszakże doszły do Łoży berlińskiej anonim, ostrzegający, że się tylko za majora rosyjskiego udaje; posądził o to hr. P. w Warszawie, a choć ten

się wyparł, wyzwiał go za powrotem i strzelał się z nim na Woli wobec kilkuset widzów, nawet senatorów, jak Potocki, Czapski i t. p, poczem udał się do swego pułku, konsystującego na Litwie. Ale nie na długo, bo wnet za sześciomiesięcznym urlopem zjechał znów do Warszawy. Zawarty w tych czasach pokój cieszyński, a zarazem pokój z Turkami, wzbudziły w nim nadzieję zamiany służby wojskowej na dyplomatyczną i to przy ambasadzie w Warszawie. W Petersburgu atoli gwiazda jego była pobladła, Potemkin miał jemu i Stackelbergowi za złe nieudanie się planów, u Ostermanna oskarżono go o pijaństwo... Przyszło mu tedy walczyć równocześnie z uprzedzeniami i z brakiem pieniędzy, pomimo czego nie przestał po salonach uczęszczać.

„Był to czas — pisze — w którym słynny hr. Cagliostro przybył z Mitawy, gdzie był wszystkie głowy zawrócił. Miał do mnie gorąco polecający list od p. von den Howen i ten natychmiast mi wręczył. Widząc, że złe po francusku mówi, odpowiedziałem po włosku, ale i w tej mowie zauważyłem, że się wyraża jak człowiek z gminu. Poprosił mnie, bym odwiedził jego małżonkę, którą zwał Wielką mistrzynią *de l'Ordre de l'Adoption*. Po drodze chlubił się, że była z domu księżną della Croce, dodając mnóstwo przechwałek, godnych błazna wędrowniej trupy. Żona jego wyglądała niemłodo; jej zaczerwienione oczy nosiły ślady łez, a obejście i mowa wykwintniejsze nieco niż u męża, przypominały baletniczkę zmuszoną do tańca. On zaś krzychał głosem opętańca: „Uściskaj tego słynnego brata! On należy do naszego Zakonu“! Po chwili zaś rzekł: „Przybyłem oglądać wielką Katarzynę i rozszerzyć wielkie światło Wschodu. Wśród piramid Egiptu wyrosły, przejąłem tajniki okultystycznej wiedzy i jestem wodzem książąt R. . C...¹⁾. Oto oznaki mej władzy!“ To mówiąc, powstał, wskazując na turban czerwony w gwiazdę ozdobny. Obejrzałem ją bliżej; była to po prostu gwiazda orderu św. Stanisława, od której odjęto cyfrę królewską, zastępując ją różą czerwoną. Zwróciłem na to uwagę Cagli-

¹⁾ Bez wątpienia *Rose-Croix*, o czem świadczy i róża, umieszczona pod gwiazdą. Ośmieszanie powyższe Cagliostrea przez autora wydaje się nieco wymuszonym i podejrzanem.

ostra, zaczem zmieszany jał tłómaczyć, że mu jego gwiazdę w drodze skradziono, a że tę dał mu Brat H. Wnet jednak odzyskał rezon i rzucając przedemnie kartkę pokrytą hieroglifami, zapytał: „A to pan znasz?“ — Podobne hieroglify widziałem był u różnych alchemistów, jak Bernhardi, Detour, Schlich, Putz i t. p. — odrzekłem tedy spokojnie: „Tego nie przeczytam, ale jutro podejmuję się przynieść panu dziesięć kartek z hieroglifami, których znów pan nie odczytasz“. Cagliostro obraził się: „Przebaczam panu jego nieświadomość — odparł wyniosłe — gdyż mimo twoich stopni masonskich, jesteś jeszcze w Związku dziecięcim“. „Ale gdybym chciał — zawrzeszczał — tobyś zadrżał!“ — „To chyba mi pan sprowadzisz atak febry?“ — „Czemże jest febra dla hr. Cagliostro, który rozkazuje duchom! Czy przyjaciel pański von den Howen nie doniósł panu o mojej potędze?“ — „Ani słowa“. — „No, to wiedz teraz“...

„Dalszy ciąg przerwał posłaniec Prezydenta hiszpańskiego, wzywającego Cagliostra, aby jako Hiszpan przed nim się stawil“.

„Głos zamarł mu na ustach. Po chwili uspokoiwszy się, rzekł zupełnie powszednim tonem: „Cóż on może chcieć ode mnie, ten jakiś rezydent? Nie mam z nim nic wspólnego — puszczę go w trąbę“. (Wyrażenie włoskie było pono dla swej ordynarności niemożliwe do powtórzenia). — „Tego nie radzę — rzekłem — mógłby panu nasłać na kark policyę“. — Cagliostro przyrzekł pójść, a tymczasem że dochodziła 1-sza godzina, zaprosił mnie na obiad. Przyjąłem, chcąc dalej tego mizernego szarlatana studyować. Poznałem np., że nie ma pojęcia o chemii ani alchemii. „Czemże jest chemia — mówił — dla znającego alchemię? lub czemże alchemia dla tego, co duchami włada?“.

„Co do mnie mam złoto — tu potrzęsnał dukatami w kieszeni — mam dyamenty — i pokazał dość lichy brylantowy pierścionek — ale wszystkiem tem gardzę, a szczęście moje zasadzam na władzy, jaką mam nad duchami“. — Nie mogłem wstrzymać się od uśmiechu. „Pańska 'nieufność nie gniewa mnie — rzekł — nie jesteś pierwszym hardym umysłem, którego zmiażdżyłem. Kogo chcesz ujrzeć z umarłych krewnych?“ — „Mego stryja, ale pod warunkiem, że mi

wolno będzie strzelić z pistoletu w stronę, gdzie się duch ukaże. Duchowi to przecież zaszkodzić nie może“. — „Nie! jesteś pan potworem! nigdy ci nic nie pokażę. Nie jesteś godnym!“ — i jak szalony wybiegł do sąsiedniego pokoju“.

„Żona jego drżała przed jego gniewem; po chwili jednak powrócił z rozweseloną twarzą. „*E bravo! L'ho saggiato... e vedo che lei e un bravo cavaliere... tanto meglio*“... Wyglądał mną uradowany i rzekł: „Czas nauczyć cię, czem jest hr. Cagliostro i jego potęga“. O duchach jednak już więcej nie mówił. Nazajutrz poszedł do hiszpańskiego rezydenta, p. Normandez, który go traktował jako awanturnika i zakazał mu mienić się hiszpańskim grafem i pułkownikiem. Cagliostro jednak zdołał pozyskać sobie hr. Melissino i wielu innych, aż w końcu został zdemaskowany i otrzymał rozkaz opuszczenia Petersburga, co już stało się po moim wyjeździe. Ten zaś nastąpił nagle, gdyż Potemkin wysłał mnie z dnia na dzień do Warszawy z obietnicą udzielenia mi za powrotem życzonej posady...“

„W przejeździe przez Mitawę, wręczyła mi matka 150 dukatów od pana B. z prośbą o uzyskanie mu tytułu tajnego radcy (sic!) królewskiego, a od pana K. 100 duk. za polski klucz szambelański. Pan J. R. zaś obiecał mi ich 500 za poparcie w Warszawie jego procesu o 60.000 talarów. Dwie pierwsze sprawy załatwiłem bez trudności u króla i byłbym mógł pewien czas w Warszawie przepędzić, gdyby nie moje zamiłowanie do wolnomularstwa“. (Tu wydawca tłómaczy się z podania następujących szczegółów, jako dających pogląd na społeczeństwo warszawskie). „Przyjąłem do Łoży hr. Potockiego, uwalniając go od zwykłych obrzędów i w obecności trzech innych Braci wtajemniczając go do 4-go stopnia, od którego miał już według reguł postępować aż do 7-go. Tym sposobem postawiłem go na czele wszystkich masonów Litwy i Korony, co sprawiło ich przyrost tak znaczny, iż król, zazdrosny o wszelki wpływ poboczny, mocno się zaniepokoił. Założyłem też wówczas i Łożę dam, poczem znów liczba adherentów wzmożła się do tego stopnia, że trzeba było Łożę podzielić na trzy, według języków: na francuską, niemiecką i polską. Jako emblemat, wybrałem dzieje Hypaty z odpowiednią odznaką i niezwy-

kłemi ceremoniami, równającemi się z obrzędem przy 3 im stopniu. Do tych ceremonij dołączyłem muzykę, ale ukrytą tak, iż kapela nie mogła nic widzieć i według znaków dawanych dzwonkiem wykonywała przepisane melodye“.

„Księżna Jeneralowa Czartoryska, księżna Radziwiłłowa, krajeżyna Potocka, marszałkowa Potocka wielkiego umysłu i serca pani, jej siostra pani Stanisławowa, pani Tyszkiewiczowa, siostrzenica królewska, jednym słowem, damy pierwszego rzędu i wybitnych wdzięków, tworzyły tę Łożę, która nie była czem innem, jak związkim przyjaźni i zbornym towarzyskim punktem. W republikach jednak wszystko obraca się w intrygi i stronnictwa; wkrótce też utworzyły się w naszych Łożach dwie partye, a na czele jednej z nich stanął potajemnie Szwajcar, Glayre. Był wtedy sekretarzem króla i korzystając z tegoż słabości, wmówił weń, że Ignacy Potocki posługuje się masoneryą, by sobie zdobyć potężne stronnictwo“.

„Król, bardzo wrażliwy, uwierzył ślepo tej bajce, a wtedy Glayré ofiarował się wstąpić sam do Łoży, by tajemnicę wybadać. Udał się z tem do samego Potockiego, a ten, wyższy nad wszelkie podejrzenie, przyrzekł go wprowadzić, a nawet na prośbę Glayre'a, aby mu oszczędzić przykrości pierwszych prób, wyrobił u mnie, że będzie mógł odrazu w randze mistrza wystąpić. Otrzymał pierwsze stopnie, ale wnet pożałowaliśmy naszej uprzejmości, gdyż siał niezgodę i nieufność wśród Braci, a choć się krył za kulisami, nie trudno było go śledzić. Kłótnie te znudziły mnie, a że otrzymałem od p. G. R. owe 500 duk. za wygraną sprawę, umyśliłem je wydać na podróż do Spa i Hollandyi“.

Trudno nie zastanowić się nad powyższym ustępem, odsłaniającym pod formą pobieżną użycie przez sektę do swoich celów polskiej opozycyi, a nawzajem posługiwanie się przez opozycyę siłą masońską. Że ta ostatnia była mniej niewinna, niż długo myślano i niż myśleli sami naiwniejsi adeptci, świadczy choćby wybór dla Łoży żeńskiej emblematu Hypaty, znaczącego wyraźnie walkę z Kościołem. Ale wracajmy do Heykinga.

Podróż jego, bardzo przyjemna, gdyby nie kilkakrotne przerwy spowodowane chorobą, trwała parę miesięcy, po-

czem Heyking powrócił do Warszawy, a z Warszawy do regimentu, skąd w czerwcu następnego roku śmierć matki ściągnęła go do Mitawy. Tu został dość długo, aby mieszając się w spór między rycerstwem a księciem, przechylić szalę na korzyść rycerstwa, co mu zjednało popularność i kredytywę na przedstawiciela szlachty kurlandzkiej na sejmie polskim, acz bez oficjalnego tytułu „delegata“, nie możliwego wobec jego szarży rosyjskiego majora. W akcie też dano mu tylko tytuł szambelana J. K. Mci. Czynność ta wymagała nowego pobytu w Warszawie, zaczęł szef jego, Engelhardt, dał mu pozorne polecenie zakupna koni pułkowych, pod którego osłoną mógł w czasie sejmu czuwać nad sprawami współziomków. Równocześnie też wykonał swą groźbę pozwania księcia Bierena przed sądy relacyjne. Na te musiał jednak czekać do następnej jesieni, i doczekawszy się doznać zawodu, a to z rozmaitych przyczyn. Naprzód podniecił był przeciw sobie tak w ambasadzie, jak i u dworu, różne podrzędne a wpływowe czynniki, nie biorąc na ich zjednanie sumy, jaką rycerstwo składało corocznie w tym celu swemu delegatowi; powtóre przeoczył fakt, że Stanisław August był gorącym poplecznikiem Piotra Bierena, który, stojąc mniej więcej w tym samym stosunku, co on, do potęgi rosyjskiej, czepiał się go jako lennodawcy a przeto naturalnej podpory. Dla Heykinga skutek był smutny; w stanowczej chwili niemal opuszczony przez Stackelberga, otrzymał wyrok redukujący jego pretensję 14.000 duk. na 2.000, czem się tak zgrzył, iż postanowił wszystko porzucić i uciec do Francji.

Już się był nawet z pewnym kupcem o wikt i mieszkanie w Paryżu urządził, gdy naraz dostał rozkaz, stawienia się do regimentu w Kijowie. Potemkin naówczas wybierał się na Krym, więc Heyking, przypuszczając, że będzie wojna, dość skwapliwie posłuchał. Tymczasem wojny nie było i skończyło się na forsownym wśród strasznych upałów r. 1783 marszu do Niemirowa, co zdaniem ogólnem było szykaną zięcia Repninowego, Wolkońskiego, wobec dowódcy regimentu Engelhardta, siostrzeńca Potemkina. Heyking zyskał na całej imprezie zarażenie się ciężką febrą, panującą wśród wojska. Był tak chory, że go znów ode-

słano do kochanej Warszawy. W grudniu dopiero 1784 r. przyszedł na tyle do sił, że mógł pojechać do Petersburga, gdzie w miejsce oczekiwanej posady znalazł sposobność do ożenienia się z córką zmarłego jenerała de la Font. Ogólnie sądzono, że jej matka, stojąca na czele cesarskiego instytutu dla panien, posiada grube pieniądze, Heyking jednak choć się broni od interesowności, doznał pod tym względem zawodu. Ślub odbył się bardzo spieszenie i cicho, a że pana młodego znów febra chwyciła, nowe małżeństwo wyjechało co tchu do Warszawy, gdzie, według niego, samo powietrze leczyło. Stąd też posłał dymisyę ze swojej służby rosyjskiej.

Teresa z Potockich Wodzicka.

(Dokończenie nastąpi).

Sprawy krajowe.

XXIV.

P o S e j m i e.

II.

Stosunki szkolne.

Ubiegła sesja sejmowa przyniosła w dziedzinie ustawodawstwa szkolnego nabytki, ważne nie tylko dla rozwoju samej szkoły, ale i dla rozwoju stosunków narodowościowych w naszym kraju. Ta ostatnia cecha ustaw szkolnych, które przysły do skutku w ostatniej sesji, charakteryzuje dobitnie tło, na którym odbywała się praca Sejmu w tym kierunku. Ustawy o Radzie Szkolnej krajowej i o języku wykładowym w szkołach średnich, rozwiązywały *implicite* w pewnych granicach wzajemne stosunki dwóch narodów, mieszkających w naszym kraju, sięgały przeto swoją doniosłością po za dziedzinę administracji szkolnej i po za dziedzinę pedagogii. Jasną jest rzeczą, że mogły przyjść do skutku tylko dlatego, że wytworzył się i został wprowadzony w czyn pewien program współżycia obydwóch narodów. W tem tkwi najdonioślejsza może zdobycz ostatniej sesji.

Pamiętamy, w jakich warunkach odbywała się sesja sejmowa w r. 1903 — i jak się zakończyła. Demonstracje studentów ruskich na Uniwersytecie lwowskim wytworzyły

atmosferę, wśród której nikt nie mógł myśleć o przyznaniu Rusinom gimnazjum ruskiego w Stanisławowie. W ślad za tem poszło złożenie mandatów przez posłów ruskich. W dopiero co ubiegłej sesji sejmowej ławy posłów ruskich zostały znowu zajęte — z jednym wyjątkiem — przez tych samych posłów; na uchwalenie zaś gimnazjum ruskiego w Stanisławowie wpłynęło z jednej strony poważne zachowanie się reprezentacji ruskiej, z drugiej zaś wyjaśniona opinia społeczeństwa polskiego o programie polsko-ruskim.

Stanowisko reprezentacji ruskiej jest, obiektywnie rzecz biorąc, bardzo trudne. Za sobą niema ona masy politycznie dojrzałej. Nieliczna stosunkowo intelligencya ruska odbija w sobie w miniaturze wszystkie te prądy polityczne i społeczne, które nurtują w ogóle w każdym dzisiejszem społeczeństwie. Jest rzeczą więcej przypadku, bo jest wypływem chwilowej nadwyżki energii pewnych jednostek, który z tych prądów weźmie w danej chwili górę i który z nich wyszle do ciał ustawodawczych swoją reprezentację. Dowód, że tak jest, choćby w tem, że reprezentacya Rusinów w Radzie państwa nie temi samemi idzie drogami, któremi postępuje reprezentacya ruska sejmowa. Dowód dalszy widzieć należy w agitacji, którą w chwili, gdy to piszemy (grudzień), prowadzą dzienniki ruskie przeciwko przewodniczącemu Klubu ruskiego w Sejmie. agitacji, zrozumiałej tylko wówczas, jeżeli ton polityce nadaje nie społeczeństwo i tkwiąca w niem opinia, ale jednostki, kierowane, jak to częśc samej ruskiej prasy przyznaje, względami, z polityką niemającemi nie wspólnego.

W tym stanie rzeczy Rusini byli i będą tylekroć w pomysłnem położeniu, ilekroć zbieg okoliczności pozwoli im mieć w legislatywie reprezentację poważną i mającą własne zdanie, a więc nie ulegającą jakimkolwiek opiniom, narzucanym im przez nieodpowiedzialnych tych opinij twórców. Fakt ten zaszedł do pewnego stopnia w ukończonej sesji sejmowej. Jemu to przedewszystkiem zawdzięczają Rusini dodatnie załatwienie kwestyj, których rozwiązania się domagali, przymioty bowiem, o których mowa, a których przywódcom ruskim w terażniejszym Sejmie odmówić nie można, sprawily, że zrozumieli, iż rząd centralny, odsyłając sprawy

ruskie do Sejmu, czynił to szczerze i stanowczo, że przeto spełnienia postulatów narodowych oczekiwać mogą tylko na terenie Sejmu.

Trwałości tego stanu w sejmowej reprezentacji ruskiej nie można przesądzać. Byłoby jednak obopólnie pożądanem, aby się ugruntował. Nie może być rzeczą wątpliwą, że reprezentacja ruska w Sejmie, konsekwentna, poważna, a przeprowadzająca życzenia swego społeczeństwa, wpływałaby niezwykle dodatnio tak na swój naród, jak i na tych w społeczeństwie polskim, którzy nie chcą wierzyć, aby Rusini byli zdolni do spokojnego, na równych prawach opartego współżycia. Własnemu narodowi dałaby taka reprezentacja pewien pierwiastek stałości w poglądach politycznych i społecznych, konieczny dla normalnego rozwoju. Dzisiaj tego pierwiastka nie widać. Bez realnych rezultatów niema polityki, może być tylko dyskusja o polityce. Stronnictwo ruskie przeto, zdobywające takie rezultaty, musi się stać z natury rzeczą jądrem politycznym własnego społeczeństwa. Dookoła niego mogą powstawać różne stronnictwa, dyskutujące o polityce; politycznym jednak stronnictwem będzie tylko ono, bo ono tylko coś da, coś przyniesie swojemu narodowi.

Taki stan zastaliśmy w ostatniej sesji sejmowej po stronie ruskiej. Po stronie polskiej zaś stwierdzić można było w kwestyi polsko-ruskiej zwycięstwo: po pierwsze pewnego programu, a powtóre programu politycznego. Rozdzielamy te dwa momenty; w opinii polskiej bowiem dojrzał przedewszystkiem pogląd, że sprawy polsko-ruskiej nie załatwi się z okazji jakiejś szkoły lub teatru, ale że pod jej rozwiązanie należy położyć trwale fundamenty, powtóre zaś zrozumiano, że taki program jest niemożliwym, jeżeli buduje się go nie na podstawie kryteriów politycznych, ale uczuciowych

Nie wchodząc w to, co w ostatniej sesji wywołało ten stan po stronie polskiej, zaznaczyć należy tylko, że tutaj teren był zawsze dla takiego programu przygotowany i że na zwłokę wpływali głównie sami Rusini ostrością walki, którą prowadzili. W ostatniej sesji jednak stwierdzić można było, że głosy pytające się: „Dokąd zajdziemy, czyniąc Rusinom

raz w raz ustępstwa“, zamilkły. Stało się to dlatego, że zdobyto przekonanie, iż mamy prawo i obowiązek uczynić wszystko, aby ludność polską, mieszkającą w pośród Rusinów, tak uświadomić narodowo, a ekonomicznie tak wzmocnić, aby ją uchronić od pochłonięcia przez Rusinów, że jednak nie możemy tamować rozwoju ruskiego narodu.

Ze stanowiska naszego w tym kraju nie możemy nie uronić i dlatego pozycyę naszą musimy wszechstronnie obwarować, ale byłoby politycznie nierozumnem, gdybyśmy programem naszym uczynili nie ten cel naszego własnego wzmocnienia, ale stawianie przeszkód rozwojowi narodu ruskiego. Rozumni Rusini nie wierzą też z pewnością w głębi duszy w zaborną tendycyę ustawy o włościach rentowych, a wobec bezprzykładnej — w dzisiejszych czasach namiętnych narodowych walk — bezstronności, jaką Sejm okazał w ustawie o Radzie Szkolnej krajowej i w ustawie o językach w szkołach średnich, musieli wprost zamilknąć.

Zdobyta w ten sposób podstawa polityczna, ujawniona na zewnątrz w chwili, gdy większość Sejmu zdecydowała się na przyznanie Rusinom gimnazjum ruskiego w Stanisławowie, umożliwiła dokonanie ważnych kodyfikacyj, zrozumiałą bowiem jest rzeczą, że warunkiem powodzenia ustaw, dotyczących dwóch narodów, musiała być zgoda obydwóch. Mówimy „zgoda“, nie mówimy zaś o układach i porozumieniach, bo ich nie było i być nie mogło. Sejm galicyjski uchwalał zawsze środki na zaspokojenie kulturalnych ruskich potrzeb wedle przekonania, czy i o ile te potrzeby były rzeczywiste, a środki odpowiadały im, ale nie uchwalał ich, jako ceny z jakiegoś układu. Sejm zajmował i zajmuje w tym kierunku jedynie właściwe stanowisko, bo stanowisko prawne, gwarantujące obydwom narodom równość warunków rozwoju, a stara się tylko o to, aby ustawie odpowiadały fakty. Stąd też kryteriami w sprawach ruskich były zawsze tylko: potrzeba i zdolność środka do zaspokojenia jej, a nie inne względy. Ilustracyą tego stanowiska było odroczenie sprawy gimnazjum ruskiego w zeszłym roku, gdy przychylenie się do tego żądania wydać się wówczas mogło wywołaniem przez presyę. Gdy w tegorocznym Sejmie z przyczyn zaznaczonych zapanowało inne usposobienie, za-

rysował się odrazu plan prac sejmowych. Przed uchwaleniem gimnazjum ruskiego w Stanisławowie przysły na porządek dzienny ustawa o Radzie Szkolnej krajowej i ustawa o języku w szkołach średnich. Trzecią wreszcie doniosłą sprawą szkolną, załatwioną przez ostatni Sejm, była ustawa o stosunkach prawnych nauczycieli. Na czem polega znaczenie tych trzech ustaw?

‡ Najważniejszą bezsprzecznie zdobyczą ubiegłej sesyi sejmowej jest ustawa o Radzie Szkolnej krajowej. Dla zrozumienia jej przypomnieć wypada zasadnicze jej postanowienia.

Według uchwalonej przez Sejm ustawy, Rada Szkolna krajowa jest najwyższą władzą nadzorczą i wykonawczą w kraju w sprawach:

- 1) szkół i zakładów wychowawczych, podlegających Radom szkolnym okręgowym;
- 2) seminariów nauczycielskich i należących do nich szkół ćwiczeń;
- 3) szkół średnich i wszystkich w zakres ich wchodzących zakładów prywatnych i specjalnych;
- 4) szkół handlowych i przemysłowych.

Radzie Szkolnej krajowej podlegają wszystkie władze, urzędy i organa, o ile w kraju do załatwiania spraw, należących do jej zakresu działania, lub do współdziałania w ich załatwianiu są powołane, oraz wszystkie wyżej wymienione zakłady naukowe i wychowawcze; ona zaś sama podlega bezpośrednio Ministerstwu wyznań i oświecenia.

W sprawach podległych jej szkół i personalu będzie Rada Szkolna krajowa instancją pierwszą, względnie wyższą, o ile władze jej podwładne w kraju do rozstrzygania tych spraw w niższej instancji są powołane.

Rada Szkolna krajowa składać się ma:

- 1) z przewodniczącego, którym jest namiestnik kraju, albo wiceprezydent Rady Szkolnej krajowej, albo, gdy ten funkcyi swojej pełnić nie może, zastępca wyznaczony przez namiestnika;
- 2) z referentów spraw szkolnych, administracyjnych i ekonomicznych;
- 3) z inspektorów szkolnych krajowych;

4) z trzech delegatów Wydziału Krajowego, z których jeden musi być Rusinem, a którzy posiadać mają bierne prawo wyboru do Sejmu krajowego;

5) z trzech duchownych religii katolickiej, a mianowicie jednego obrządku łacińskiego, drugiego obrządku greckiego, trzeciego obrządku ormiańskiego, z jednego duchownego wyznania ewangelickiego i jednego reprezentanta wyznania izraelskiego;

6) z sześciu zawodowych znawców szkolnictwa, z których trzech ma być powołanych z grona nauczycieli szkół wyższych, jeden z grona nauczycieli szkół średnich, jeden ze szkół ludowych, względnie seminariów nauczycielskich, jeden ze szkół handlowych lub szkół przemysłowych; dwóch z tych sześciu członków musi być Rusinów;

7) dwóch delegatów miast, z których jednego wybiera Rada m. Lwowa, drugiego Rada m. Krakowa; delegaci ci posiadać mają bierne prawo wyboru do Rady gminnej i nie mogą być nauczycielami, podlegającymi Radzie Szkolnej krajowej.

Członków Rady Szkolnej krajowej, wymienionych pod ustępem 5 i 6, mianuje Cesarz, a to wymienionych w ustępie 5 na wniosek ministra wyznań i oświecenia, oparty na propozycji Wydziału Krajowego, przedłożonej przez namiestnika. W sprawie wniosku o nominację duchownych wyznania katolickiego i ewangelickiego namiestnik porozumiewa się z ordynarytami metropolitalnymi i z krajową władzą zwierzchniczą wyznania ewangelickiego. Członkowie Rady, wymienieni w ustępach 4, 5, 6, 7 urzędują przez lat trzy, poezem ponownie mogą być wybrani, względnie mianowani. Członkom, wymienionym w ustępach 4 — 7, przyzna Sejm odpowiednie wynagrodzenie z funduszków krajowych.

Rada Szkolna krajowa na posiedzeniach pełnych i na posiedzeniach sekeyi załatwia kollegialnie sprawy, w których ma powziąć decyzję, albo zdanie swoje i wnioski przedłożyć Ministerstwu wyznań i oświaty. Sekeyj, które w zakresie swego działania samoistnie stanowią, jest trzy: pierwsza dla spraw szkół ludowych i seminariów nauczycielskich, druga dla spraw szkół średnich, trzecia dla spraw szkół handlowych i przemysłowych. — Rozdział czynności pomie-

dzy posiedzenia pełne i sekcyjne określa regulamin wewnętrzny Rady Szkolnej krajowej, zachowując przytem zasadę, że sprawy ogólnej natury zastrzeżone być mają pełnej Radzie, ale i te przygotowane przez obrady i wnioski właściwych sekcij.

Ustawa o Radzie Szkolnej krajowej wejść ma w życie w trzy miesiące po jej ogłoszeniu, a z tą chwilą gasną mandaty członków, powołanych do Rady na mocy statutu obowiązującego.

Z powyższego zestawienia, obejmującego wszystkie przepisy nowej ustawy, z wyjątkiem tych, które zawierają postanowienie o rekursie od decyzji Rady Szkolnej krajowej i postanowienia o sposobie obradowania tak całej Rady, jak i sekcij, widać przedewszystkiem, że ustawa nie dotyczy zupełnie kompetencji Rady Szkolnej krajowej, nie dotyczy w tem znaczeniu, że dotychczasowej kompetencji w niczem nie zmniejsza, że owszem umacnia ją i utrwała, że przytem jednak nie przesądza przyszłości i nie zamyka wrót przed usiłowaniami, któreby w danej chwili zostały podjęte, aby tę kompetencję rozszerzyć.

Po tem stwierdzeniu staje się jasnem, że ustawa normuje dwie strony: daje Radzie Szkolnej krajowej stałą i pewną organizację, a powtórę wprowadza w jej urządzenia pewne zmiany, podyktowane dotychczasowem doświadczeniem i niezmiernym wzrostem szkół i agend szkolnych. Już zmiany tego drugiego rodzaju, do których należy podział i organizacja sekcij, byłyby wielkim postępem, w porównaniu jednak z pierwszą zdobyczą, to jest z uzyskaniem ustawy dla organizacyi Rady Szkolnej krajowej, są one rzeczą podrzędną. Aby to zrozumieć, należy przypomnieć dotychczasowy stan prawny.

Organizacja Rad szkolnych krajowych we wszystkich innych krajach koronnych opiera się na ustawach krajowych, wydanych w ramach ustawy państwowej z dn. 25 maja 1868 r. W jednej tylko Galicyi organizacja ta czyli statut opiera się dotychczas na wcześniejszem od tej ustawy państwowej postanowieniu cesarskiem z dn. 25 czerwca 1867 r., a zatem na rozporządzeniu. — Statut ten ustawy państwowe, a w szczególności ustawa z dnia 25 maja 1868 roku oraz ustawa

z dn. 14 maja 1869 r., pozostawiły wprawdzie nienaruszonym, ale przez to nie nadały mu mocy i znaczenia ustawy i w sprawie tej nie przyznały Sejmowi galicyjskiemu kompetencji ustawodawczej szerszej, niż sejmom innych krajów koronnych. Do wydania osobnej ustawy o Radzie Szkolnej krajowej nie przyszło; statut jej pozostał rozporządzeniem, które w różnych swoich postanowieniach zmieniane było z biegiem czasu, nietylko drogą ustaw krajowych, lecz także drogą postanowień cesarskich i rozporządzeń miuisteryalnych. Z ustaw tych wymienić należy przedewszystkiem ustawy krajowe o szkołach ludowych i ustawę krajową o szkołach realnych, z rozporządzeń postanowienie cesarskie z dn. 23 października 1875 r. (którem odjęto Radzie nominację dyrektorów i profesorów szkół średnich) i rozporządzenie ministeryalne z dn. 9 stycznia 1895 r. (które rozszerzyło jej zakres działania na szkoły handlowe i przemysłowe).

Z przedstawienia tego wynika, że tak, jak w sprawach kompetencji Rady szkolnej krajowej możliwem jest jej rozszerzenie, ale też i zmniejszenie w drodze rozporządzenia, tak samo i co do organizacji zachodzić może obawa, iż rozporządzenie mogłoby ją zmienić. Czy taka zmiana wyszłaby na naszą korzyść, czy na naszą szkodę, tego przewidzieć nie można, przezorność polityczna jednak nakazywała, aby raz na zawsze wykluczyć możność takich zmian w drodze rozporządzenia, a więc zmian, które nie od nas samych, nie od naszego Sejmu zależą. Stać się to mogło tylko w ten sposób, że organizację Rady Szkolnej krajowej ujęło się w formę ustawy krajowej. Skutek jest ten, że obecnie jakakolwiek zmiana tej organizacji może być przeprowadzoną także tylko w drodze ustawy krajowej, uchwalonej przez nasz Sejm, że przeto wykluczoną jest możność zmiany w drodze rozporządzenia rządu centralnego, do którego stosunek naszej reprezentacji i na który wpływ tej naszej reprezentacji uledez przecieź może zmianie na naszą szkodę, a na korzyść żywiołów, naszej narodowej kulturze nieprzyjaznych.

Na tem polega pierwszorzędna doniosłość ustawy o Radzie Szkolnej krajowej. Wszystkie konsekwencye tego stanowiska powinny odrazu stać się jasnemi. W tem położeniu,

w jakim obecnie uchwalaliśmy ustawę, udział poszczególnych czynników w Radzie Szkolnej krajowej od nas tylko samych zależał. Oczywiście jest rzeczą, że, gdyby organizacja Rady Szkolnej krajowej polegała i nadal tylko na rozporządzeniu, nie my decydowalibyśmy o zmianach w tym kierunku.

Łatwo obecnie ocenić, jakie trudności kondyfikacyjne i polityczne nastęrczało przeprowadzenie tej ustawy. Ten jeden rezultat ubiegłej sesji uczynić musi w historii kraju tak tę sesję, jak i zasługę twórcy ustawy, posła prof. Bobrzyńskiego, pamiętnymi.

Powiedzieliśmy, że udział poszczególnych czynników w Radzie Szkolnej krajowej od nas samych zależał. Odnosi się to do przyznania Rusinom kilku miejsc w Radzie Szkolnej krajowej, ale nie odnosi się do duchownych, względnie reprezentantów wyznań i religii, bo ich przyjęcie do składu Rady Szkolnej było nakazanem ustawą państwową z dnia 25 maja r. 1868. W tej kwestyi przeto Sejm, jeżeli chciał przeprowadzić ustawę przez sankcyę, to nie miał w ogóle możności powzięcia jakiegokolwiek uchwały. Nie podniesiono też w czasie wypraw nad ustawą głosu w tym kierunku, a późniejsze oświadczenie jednego z ksiąząt Kościoła miało znaczenie duszpasterskie.

Przyznając Rusinom trzy miejsca, obligatoryjne, ustawą zabezpieczone, Sejm galicyjski w sposób, w dzisiejszych czasach walk i namiętności wprost uderzający, okazał, jak pojmuje współżycie dwóch narodów i jak *kwestyę* narodową w kraju rozwiązuje. Aby ocenić doniosłość tego faktu i aby zrozumieć, jakiej politycznej dojrzałości, powagi i spokoju zdobył sobie przez to nasz Sejm świadectwo, wystarczy przypomnieć, że Rusinom przyznał Sejm ten udział w Radzie Szkolnej krajowej — sam, dobrowolnie, bez tych walk i burz, przez które inne kraje i sejmy w podobnych chwilach przechodzą.

Dla dalszego rozwoju stosunków narodowościowych w naszym kraju, obok ustawy o Radzie Szkolnej krajowej, drugą reformą, niezmiernie doniosłą, jest ustawa, zmienia-

jąca w jednym punkcie dotychczasowe przepisy o języku wykładowym w szkołach ludowych i średnich, zawarte w ustawie krajowej z dn. 22 czerwca 1867 r. (l. 13, Dz. ust. kraj.)

Dotychczas obowiązująca ustawa o języku wykładowym w szkołach ludowych i średnich postanawiała, że w szkołach średnich z językiem wykładowym polskim język ruski, a w szkołach średnich z językiem wykładowym ruskim język polski ma być przedmiotem nauki względnie obowiązującej, to jest zależnej od woli rodziców. Postanowienie to pozostaje nadal w mocy. Zmiana polega na tem, że w poszczególnych szkołach średnich z językiem wykładowym polskim nauka języka ruskiego, a w poszczególnych szkołach średnich z językiem wykładowym ruskim nauka języka polskiego może się stać przedmiotem obowiązkowej nauki, a więc niezależnie od woli rodziców. W konkretnych przypadkach zmianę tę zaprowadzi minister oświaty na wniosek Rady Szkolnej krajowej.

Od chwili wejścia w życie nowej ustawy będziemy mieli przeto pod względem językowym dwa rodzaje szkół: w jednych szkołach średnich będą oba języki przedmiotem nauki obowiązkowej, we wszystkich innych zaś szkołach średnich przedmiotem nauki obowiązkowej będzie tylko jeden język, natomiast drugi będzie przedmiotem względnie obowiązkowym, to jest nauka tego drugiego języka zależną będzie od woli rodziców.

Aby zrozumieć znaczenie nowej ustawy, należy poznać premisy, z których Sejm wychodził, uchwalając zmianę, i zbadać jej skutki.

Założeniem, z którego wychodzono przy uchwalaniu ustawy, było uznanie nie tylko potrzeby, ale wprost konieczności znajomości drugiego języka krajowego. Komisya szkolna, przedstawiając wniosek hr. Wojciecha Dzieduszyckiego Sejmowi do uchwalenia, podnosiła przede wszystkim momenty kulturalne. Stwierdzała, że „znajomość dokładna języka ruskiego pogłębia u Polaka znajomość własnego języka, czyni dostępnymi dla niego luźne a cenne źródła do historii polskiej, a Rusin, nie umiejący po polsku, zamyka przed sobą drogę, wiodącą do poznania oświaty i literatury

narodu, z którym mieszka pospołu. Tak Polak, jak Rusin, skazują się na różne praktyczne niedogodności, jeśli nie znają blisko powinowatego języka, mówionego przez miliony mieszkańców swego kraju. Prawdziwe zrozumienie dawniejszych i współczesnych dziejów wspólnej ziemi bywa dopiero możliwem dla tego, który zarówno polskim jak ruskim językiem włada, a tylko przy wzajemnej języka pokrewnego znajomości, możliwem jest takie Polaków i Rusinów porozumienie, które przeszkodzi dalszemu rozognieniu waśni narodowej, umożliwi także w przyszłości wspólne pożyte"dwóch narodów, mających już od tylu wieków wspólne dzieje".

Łatwą jest rzeczą wysnuć konsekwencye tego stanowiska. Ludność, należąca do dwóch narodów, a mieszkająca w jednym kraju pospołu, a nie w pewnych odgraniczonych okręgach, musi się wzajemnie rozumieć, jeżeli ma żyć nadal wspólnie na równych prawach. Ostra walka w Czechach o język jest nietylko walką o ideały, ale i o chleb. Sejm galicyjski, umożliwiając władanie obydwoma językami, usuwa odrazu, w zarodku, podstawy walki narodowościowej o takim charakterze, jaki ona przybiera gdzieindziej, a stwarza warunki zgodnego współżycia, bo członkom obydwóch narodów otwiera wszędzie drogę na równych prawach.

Dotychczasowy stan rzeczy, polegający, jak już wiemy, na tem, że nauka drugiego języka była względnie obowiązującą, nie prowadził, mimo usiłowań władz szkolnych, do dostatecznych rezultatów. Nie wszyscy rodzice uznają potrzebę znajomości drugiego języka, a często, jakkolwiek ją uznają, idą raczej za głosem słabości i pobłażliwości dla dzieci, niż za głosem rozsądku. Aby ten stan zmienić, aby znajomość obydwóch języków rozszerzyć, należało przynajmniej w części szkół średnich uczynić naukę drugiego języka bezwzględnie obowiązującą. Stąd wypłynęła zmiana ustawy z r. 1867.

Konsekwencyą stanowiska, które Sejm zajął w sprawie nauki języków, byłoby zrównanie pod tym względem *wszystkich* szkół średnich. Na drogę tę nie wszedł jednak Sejm obecnie, między innymi także z powodu braku odpowiedniej ilości potrzebnych sił nauczycielskich. — Ustawa, o której mowa, przysłała do skutku za zgodą reprezentan-

tów obydwóch narodów. Wszyscy wykształceni Rusini znają język polski; obecnie idzie o to. aby przekonanie, że i u Polaków znajomość języka ruskiego jest potrzebną, przeniknęło także i nasze społeczeństwo.

Trzecią wreszcie kodyfikacją Sejmu na polu szkolnictwa jest ustawa, obejmująca całokształt stosunków prawnych nauczycieli, owoc pracy również posła prof. Bobrzyńskiego. Pragnęlibyśmy w głównych przynajmniej rysach przedstawić postęp, który ta ustawa przynosi, i te niezaprzeczone dobrodziejstwa, które świat nauczycielski nauczy się cenić, gdy je pozna. Aby zdobyć podstawę do udowodnienia tego postępu i tych korzyści nowej ustawy, należy przedewszystkiem zestawić różnice między nią a dotychczas obowiązującymi.

Aby sprawiedliwie ocenić ustawę, należy zrozumieć, że Sejm nie mógł jej uchwalać pod hasłem polepszenia plac nauczycieli. Rok obecny — mówi trafnie Komisya szkolna — w którym Sejm stanął przed deficytem budżetowym i na jego pokrycie podwyższył dodatki do 5%, rok, w którym następne budżety kraju przedstawiają się w czarnem świetle, nie jest chwilą, w której możnaby myśleć na seryo o dalszem polepszeniu bytu u ogółu nauczycieli, jakkolwiekby na to zasługiwali. Mimo tego jednak bez nowych wydatków nie mogło się obejść. Ogółem wzrost wydatków przyjęto na kwotę przeszło 40.000 kor. rocznie, z których przeszło trzecia część ma tę naturę, iż z roku na rok prawie się podwaja. Kto zna np. wysokość emerytur, pensyj wdowich i sierocińskich, w wymiarze dotychczasowych ustaw, ten uzna ten krok naprzód, zrobiony w nowej ustawie. Dla kogo jednak, w niepojętem zaślepieniu agitacyi, „każda poprawa plac jest raczej ich zmniejszeniem“ (*Szkolnictwo*, nr. 35), ten nie tylko nabytków nowej ustawy nie uzna, ale nadto sprawia, iż w nieuprzedzonym w ogóle rodzi się myśl, iż w agitacyi tej nie o samych nauczycieli idzie i o polepszenie ich bytu, lecz widocznie o zupełnie co innego. Nic tak nie szkodzi nauczycielstwu i zasłużonej życzliwości społeczeństwa dla

niego, jak tego rodzaju obrona jego interesów, ignorująca fakty, logikę i prawdę.

Jasną jest rzeczą, że we wszystkich postanowieniach ustawy, normującej stosunki prawne stanu nauczycielskiego, decydującym musi być interes szkoły, we wszystkich jednak tych kwestyach, w których bez szkody dla interesu szkoły spełnić można życzenia nauczycielstwa, ustawa kierować się winna interesem tego ostatniego. Nowa ustawa odpowiada tej zasadzie i wprowadzając cały szereg zmian, podyktowanych wadliwym dotychczasowym stanem, w interesie wyłącznie szkoły, usuwa zarazem wiele dotychczasowych ostrości, powodujących skargi nauczycielstwa, lub też wprost reformuje na ich korzyść niejedną instytucję. Wychodząc z tego punktu widzenia, zestawmy naprzód wprowadzone przez nową ustawę zmiany tej ostatniej kategorii, a więc zmiany, wywołane potrzebami nauczycielstwa.

Rozpoczynając od przedstawienia tych postanowień nowej ustawy, które odnoszą się do materialnego bytu nauczycieli, i pomijając drobniejsze zmiany, jak przyznanie dyrektorom szkół wydziałowych 5-cio i 6-cio klasowych dodatku za kierownictwo i jak przyznanie nauczycielom tymczasowym gmin wiejskich rządzących się ustawą z dn. 3 lipca 1896 r. dodatku na mieszkanie, podnosimy, że najnowsza reforma objęła kwestye: dodatków pięcioletnich, kosztów przeniesienia i kwestyę emerytur i pensyj.

Pierwsza z tych kwestyj uregulowaną została w kierunku, dla nauczycieli korzystnym z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, ponieważ nowa ustawa ograniczyła następstwa kar dyscyplinarnych, które dotychczas pociągały za sobą potrącenie trzech do pięciu lat ze służby policzalnej do dodatku, gdy tymczasem wedle nowej ustawy tylko ten rok będzie potrącony, względnie tylko te lata, w których służba wedle wyroku dyscyplinarnego była naganną. Druga korzyść polega na tem, że nauczycielom przyznano zamiast pięciu sześć dodatków, co już na r. 1905 spowoduje wzrost wydatków o 10.000 kor., a z każdym następnym rokiem potrzebować będzie coraz to wyższego pokrycia.

Gruntownej rewizji poddana została kwestya przeniesienia nauczycieli, a w związku z nią i sprawa zwrotu ko-

sztów, które takie przenoszenie spowodować musi. Co do samego przenoszenia, to nowa ustawa zawiera dwa postanowienia, które powinny spotkać się z ogólnem zadowoleniem u nauczycielstwa. Uchyła przedewszystkiem przenoszenie stałego nauczyciela z miejsca na miejsce, tak stale, jak tymczasowo, *na jego własną prośbę*, a powtóre pozostawia Radzie Szkolnej krajowej, jeżeli pominiemy drogę dyscyplinarną, możność przenoszenia tylko ze względów służbowych. Zakaz przenoszenia na własną prośbę usuwa możność protekcyi, powinien więc zatamować skargi nauczycieli w tym kierunku. Gdy zaś przenoszenie ze względów służbowych zostało ograniczonem do koniecznej potrzeby, przeto nowa ustawa będzie w stanie zapobiedz częstej zmianie nauczycieli na posadach i usunie powód do uzasadnionych żalów nauczycielstwa. W związku z całą tą kwestyą zmieniła ustawa zasadniczo system obliczania kosztów przenoszenia w sposób dla nauczycieli również korzystny. Dotychczasowa ustawa czyniła je zależnemi od zbadania i przyznania władzy w każdym danym przypadku, co jednak, jak praktyka okazała, nie da się przeprowadzić. Koszta te stanowią, oprócz wydatków na jazdę i oprócz strawnego, dających się obliczyć, także koszta przewozu mebli i innego dobytku, narzędzi i ziemiopłodów, tudzież (często) koszta wyszukania i urządzenia nowego mieszkania. Obliczenie kosztów tego ostatniego rodzaju dawało powód do ostrych skarg ze strony nauczycieli. Sprawę tę reguluje przeto nowa ustawa w ten sposób, że wszystkie koszta oprócz kosztów przejazdu zamienia na ryczałt stopniowy, z góry nauczycielowi wiadomy, a więc dający mu możność zastosowania się stosownie do tego w swoich wydatkach. Tę samą zasadę ryczałtu przyjęto przy kosztach przeniesienia nauczycieli tymczasowych, którym w ogóle te koszta dopiero nowa ustawa nakazuje zwracać.

Trzecia grupa przepisów, reformujących obecny stan w kierunku polepszenia bytu materialnego nauczycieli, to przepisy, normujące sprawy emerytur, odprawy i pensyi.

W pierwszej z tych spraw zmiany polegają na następujących trzech postanowieniach: *a)* na ustaleniu praktyki, że do emerytury liczą się lata służby nie tylko od egzaminu kwalifikacyjnego, lecz już od egzaminu dojrzałości; *b)* na

przyznaniu do emerytury lat tak zw. praktyki, jeżeli praktykant prowadził klasę; c) na określeniu minimum emerytury, jaką nauczyciel po dziesięciu latach służby dostanie, jeżeli jest niezdolnym do zarobkowania, tudzież na przyznaniu minimum emerytury tym emerytom, którym ją wymierzono w niższej kwocie wedle dawnych ustaw. Spokojny rozbiór tych zmian wywołać musi przekonanie, że ustawa daje pod względem czasu wymaganej służby tak wielkie korzyści nauczycielom, jakich nie daje żadna ustawa w Austrii. Wynika to z tego, że gdziekolwiek służba liczy się dopiero od egzaminu kwalifikacyjnego, wynika dalej z postanowienia, że już po 35, a nawet 30 latach, nauczyciel niezdolny do pracy, może uzyskać pełną emeryturę. Oznaczenie minimum emerytury za 10 lat służby w razie niezdolności do zarobkowania na kor. 500 jest również wielką korzyścią dla nauczycieli, gdyż dotychczas tylko niewielka liczba nauczycieli najwyższych kategorii otrzymywała kwotę kor. 500 rocznie. Obecne podwyższenie wynosi 6, 16, 25, a przy płacach kor. 800 nawet 37%, ponad dotychczasową normę.

Nowa ustawa przyznaje dalej wdowie pensję wdowią minimalną w kwocie 400 kor.; (dotychczas takiego minimum nie było); przyznaje dzieciom po nauczycielu dodatek na wychowanie wyższy; podwyższa wymiar pensji sierocińskich; podwyższa pensję wdowią na kor. 240 rocznie tym wdowom, które przed wejściem w życie ustawy otrzymały pensją wdowią niższą od tych kor. 240, podwyższając zarazem tym wdowom także i dodatek na wychowanie dzieci do maximum kor. 240; wreszcie przyznaje sierotom, które pobierają pensję sierocińską, pensję tę wedle nowej normy. Wszystko to są oczywiście korzyści i wobec dotychczasowego stanu niezaprzeczone polepszenie. W finansowych warunkach, w których kraj znajduje się obecnie, Sejm nie mógł iść ani krok dalej, a już ta suma, która została uchwalona, rodziła wątpliwości, uzasadnione tem, że przyszłość finansowa kraju jest zupełnie niepewną. Nauczyciele, wierzący agitacyi, nie widzą, gdzie mają najszczerzych przyjaciół i obrońców. Nie przeczuwają ich niestety w szeregach tych, którzy naprawdę troszczą się o ich dolę i nieraz cały swój

wpływ kładą na szalę, aby wyjednać dla nich ulgę, polepszenie, poprawę, nabytek.

Żal też i głębokie ubolewanie ogarniają świadka tych zabiegów, trudów, energii i zapału, gdy się czyta lub słyszy, jak nauczyciele darzą swem zaufaniem najpospolitszych frazesowiczów, stawiających wnioski i żądania z całą świadomością, że one są niemożliwe, a stawiających je tylko dla popularności, tylko dlatego, aby mogli powiedzieć, że „oni chcieli, ale *Sejm* nie chciał“.

Z innych postanowień nowej ustawy, przynoszących nauczycielom udogodnienia, korzyści, podniesienie ich stanowiska, najważniejszą jest reforma postępowania dyscyplinarnego. Przyznaje ona nauczycielowi możliwość stawienia się osobistego i ustnej obrony przed Radą szkolną okręgową, orzekającą o jego winie. Zasady, przyjęte przez nową ustawę, dają nauczycielowi wszelką swobodę obrony i są rękojmią sprawiedliwości. Już ta jedna reforma powinna uczynić ustawę dla nauczycielstwa cenną i uczyni ją też z pewnością, nie tylko u wszystkich żywiołów rozważniejszych, co jest naturalnem, ale i u tych, którzy przesadną krytyką i pesymizmem grzeszą tylko dlatego, że sprawy nie znają. Ci ostatni muszą jednak naturalnie ustawę poznać naprawdę i z autentycznego tekstu, a nie z tendencyjnych artykułów dziennikarskich. Nie będzie też może nieuzasadnionem życzenie, aby Rada Szkolna krajowa zaraz po sankcyonowaniu ustawy ogłosiła ją drukiem wraz ze zestawieniem zmian i ich umotywowaniem i aby ją rozpowszechniła w kołach nauczycielskich. Będzie to najskuteczniejszy środek położenia tamy agitacji, korzystającej z tego, że dotychczas nauczycielstwo o nowej ustawie poinformowane jest tylko z czasopism i to czasopism pewnego gatunku.

W związku z reformą postępowania dyscyplinarnego wymienić należy i drugą reformę, dla nauczycielstwa korzystną, bo łagodzącą system kar. Kara dyscyplinarna pociąga dotychczas za sobą dwa następstwa, zaostrzające ją: 1^o (odracza dodatek pięcioletni o 3 do 5 lat, 2^o) wyklucza posunięcie na wyższy stopień płacy na trzy lata. Nowa ustawa opuszcza, jak już wiemy, pierwsze następstwo kary dyscyplinarnej, nakazując potrącenie tylko tego roku, względnie

tych lat, w których służba wedle wyroku dyscyplinarnego była naganną, zatrzymje zaś tylko drugie następstwo. Korzyść, płynąca z opuszczenia pierwszego skutku kary, jest widoczną, ale i drugie postanowienie jest dla nauczyciela korzystnem, bo w braku takiego postanowienia Rada Szkolna mogłaby się wahać z posunięciem nauczyciela, karanego dyscyplinarnie, także i po trzech latach.

Nie bez znaczenia są postanowienia o ogłaszaniu konkursów na opróżnione posady. Nowy system daje nauczycielom przegląd wszystkich posad i pozwala im wybrać najdogodniejsze dla siebie. Korzyść też dla nauczycielstwa ma na oku postanowienie, że Rada Szkolna krajowa może cofnąć propozycję Rady okręgowej, jeżeli w niej pominięto kandydatów, zasługujących stanowczo na uwzględnienie, postanowienie bowiem takie zapobiega faworyzowaniu na lepsze posady gorszych kompetentów miejscowych, z krzywdą wybitnych kompetentów zamiejscowych.

Nowa ustawa wprowadza jeszcze dwie ważne reformy, chroniące dwa bardzo doniosłe postulaty szkoły. Jedna z nich — to zapewnienie Radzie Szkolnej krajowej wpływu na mianowanie nauczycieli tymczasowych, zapewnienie, konieczne ze względu na powagę władzy i karność nauczycieli. Druga uderza w tę stronę naszego szkolnictwa, która jest najsporniejszą, a dla przyszłości szkoły decydującą, w kwestyą „kobiety w szkole“. Pierwsza reforma okazała się konieczną dlatego, ponieważ wobec braku sił nauczycielskich pomiędzy Radami rozwija się konkurencya o młodych nauczycieli, która szkodzi nieraz powadze władzy i karności nauczycieli. Potrzeba też zapobiegać zbyt częstym wędrówkom nauczycieli z pod jednej Rady szkolnej okręgowej pod drugą, potrzeba zasilać nauczycielami powiaty górskie, w których szkoły najwięcej stoją pustkami. Dlatego umieszczono w nowej ustawie zasadę, że Rada szkolna okręgowa przy nominacyi nauczycieli tymczasowych trzymać się powinna rozporządzeń Rady Szkolnej krajowej, zasadę, wynikającą zresztą z hierarchicznego tych władz podporządkowania. Dlatego przeniesienie się nauczyciela tymczasowego z jednego okręgu w drugi uczyniono zależnem od zezwolenia Rady Szkolnej krajowej. Wykonanie tego postanowienia

może nastąpić w ten sposób, że Rada Szkolna udzieli nauczycielom generalne pozwolenie przenoszenia się do powiatów, w których wiele szkół jest nieczynnych, a udzielanie indywidualnych pozwoleń zastrzeże tylko, o ile idzie o przeniesienie się do tych powiatów, które najwięcej mają nauczycieli.

Długą dyskusję wywołała druga z reform, o których mówimy, reforma dotycząca nauczycielek-mężatek. Dyskusya ta jest ze wszystkich kwestyj, omawianych z dziedziny szkolnictwa najwięcej znaną, zaznaczamy więc tylko, że z trzech sposobów, które nasuwały się do rozwiązania tej sprawy (nauczycielka, idąc za męża, zrzeka się posady, koszta zastępstwa nauczycielki, mężatki potrąca się z jej płacy, nauczycielki mężatki uiszczają pewne opłaty), komisya wybrała, a Sejm uchwalil sposób, polegający na tem, że wszystkie nauczycielki zamężne składają stale 10%^{0/100} swojej rocznej płacy, jako opłatę, z której pokrywane będą koszta zastępstw, zarządzonych na czas ich choroby i urlopu. Ze wszystkich proponowanych sposobów wyjścia z tej kwestyi, przyjęty przez Sejm jest *w naszyvh warunkach* z pewnością najracjonalniejszy, inne pytanie jednak, czy wprowadzenie tej reformy w obecnej chwili jest odpowiedniem i czy chwila podwyższenia plac nauczycielskich w ogóle nie byłaby stosowniejszą. Stwierdzić jednak można już obecnie, że interesowani, to jest nauczycielstwo, uważają ją za sprawiedliwą, gdy zaś reforma nie dotyczy nauczycielek, które w chwili w chwili wejścia w życie ustawy już były zamężne, sprawa cała nie wywołała żadnej krytyki.

Staraliśmy się przedstawić dokonaną w ubiegłej sesyi reformę norm, urządzających stosunki prawne nauczycieli, z jednego tylko punktu widzenia, z punktu widzenia korzyści i udogodnień, które odniesie z niej nauczycielstwo. Nie potrzebujemy powtarzać, że nie mogą one nigdzie i nigdy przekraczać granic, które każdej reformie w dziedzinie szkolnictwa zakresła interes szkoły. Ale też właśnie przy ocenianiu ustawodawstwa szkolnego trzeba zrozumieć, że te granice muszą być przestrzegane, jeżeli nauczyciele mają być dla szkoły, a nie szkoła dla nauczycieli. W tym ruchu, który od pewnego czasu ogarnął nauczycielstwo, zapomina

się o tych granicach, świadomie lub nieświadomie, i to jest tego ruchu stroną najsłabszą. Mówimy to ze stanowiska interesu nauczycielstwa. Osądzając ten prąd, dążący do wywalczenia nauczycielom najkorzystniejszych warunków egzystencji, pod względem materyalnym i socyalnym, wychodzić należy z dwóch premis. Pierwszą jest przekonanie, że społeczeństwo nie mogłoby pozostać obojętnem, gdyby szkoła przejść miała w ręce ludzi, zawodowo choćby bardzo wysoko stojących, ale od szkoły odrywanych jakąkolwiek agitacją. Drugą premisą jest uznanie prawa nauczycielstwa do dopominania się polepszenia bytu w drodze legalnej, ale zarazem najgłębsze przekonanie, że radykalne żądania nigdy i nigdzie nie doprowadziły do trwałego sukcesu, że przeciwnie utrudniają i odwołują wszelką reformę, bo uniemożliwiają porozumienie, bo mogą wywołać przekonanie, że tam, gdzie nie, co leży w granicach możliwości, nie jest w stanie zadowolnić interesowanych, nie warto też chyba cokolwiek robić. Jasną jest rzeczą, że rozszerzenie takiego przekonania mieściło w sobie największe dla sprawy nauczycielstwa niebezpieczeństwo. Jeżeli tedy jakokolwiek akcyja nauczycieli ma im przynieść pozytywne rezultaty, to musi być w treści swej i formie umiarkowaną, musi się liczyć z położeniem finansowem kraju i z interesem szkoły. Z najwyższem ubolewaniem należy stwierdzić, że dzisiaj tak nie jest. Nauczyciele nie powinni przeceniać siły ruchu, w którą ich pragną rzucić, nawoływanie ich przeto do przestrzegania w ich żądaniach owych dwóch granic płynąć może tylko ze szczerą dla nich życzliwością. Wyświadczyłyby im prawdziwą przysługę ten, ktoby mowę, wypowiedzianą w ubiegłej sesyi przez jednego z ich pseudoobrońców, wydrukował i ze spokojem, bez żadnego uprzedzenia zaanalizował. Przekonaliby się wówczas sami, jak ich tacy obrońcy ludzą, jakiemi ich karmią frazesami, jaką im gorycz wpajają i jak to wszystko robią jedynie dla zyskania taniego poklasku. Na ludzi sumiennych mowy takie wywołują tylko jedno wrażenie. Jest niem oburzenie.

W granicach tego sprawozdania nie podobna już ocenić wszystkich powyższych ustaw z punktu widzenia rozwoju

naszego szkolnictwa i naszej pracy kulturalnej. Należałoby bodaj w krótkich rysach zaznaczyć historyczne punkty, przez które ten rozwój przechodził, ale i na taki pobieżny szkic w sprawozdaniu o jednej sesji sejmowej nie ma miejsca. Nie mogę jednak powstrzymać się od wypowiedzenia rezultatu mojego zastanawiania się nad ostatnią, konstytucyjną dobą historii naszego kraju.

Po uzyskaniu autonomii, otwarło się przed społeczeństwem polskim w Galicyi olbrzymie pole pracy. Szło z jednej strony o usunięcie wiekowych zaniedbań, które niszczyły nasz kraj, z drugiej zaś strony o pokonanie niezmiernie wielkich trudności, jakie się przy tej pracy nasuwały, a które pływały z geograficznego położenia kraju i ze sto sunku publiczno-prawnego. Ten ostatni sprawia, że kraj nasz, nie chroniony wobec innych części monarchii, stojących wyżej, stał się przedmiotem ich wyzysku. Kto te trudności i te warunki pracy uwzględni, dojsć musi do przekonania, że względnie posunęliśmy się bardzo daleko i że dobytkiem tej epoki możemy się poszczycić.

Jeżeli jednak bezwzględna przykładać będziemy miarę do rezultatów naszej pracy, to uderzyć nas musi nierównomierność wyników. W dziedzinie ustawodawstwa gminnego i administracyjnego mieliśmy znakomite, wybiegające daleko naprzód projekty, ale na czyn, na dokonanie reformy nie mogliśmy się zdobyć. Sprawy agrarne dopiero w ostatnich kilku latach rokują postęp, a ustawa o włościach rentowych jest jego inauguracją. Poważne rezultaty zdobyto natomiast w dziedzinie kredytu (kasy Reiffeisena, Bank krajowy), na polu komunikacji (drogi i koleje) i w szkolnictwie. Dzisiaj, po uchwaleniu trzech ustaw, o których mówiliśmy wyżej, ocenić możemy już w całej pełni ten wielki gmach, jakim jest nasza szkoła. W tej dziedzinie przedewszystkiem zdobyliśmy się na całość organizacji, przeprowadzonej z planem, systematycznie, sięgającej w szczegóły, wykończonej i postawionej od gruntu dobrze i pewnie. Historyk odkryje w tem dziele jasną, konsekwentną i świadomą celu myśl niepospolitego człowieka, który rozwojowi szkoły poświęcił swe najpiękniejsze lata, a który dzieło to uwieńczył dwie-

ma, koronującemi je ustawami, o Radzie Szkolnej krajowej i o stosunkach prawnych nauczycieli.

Pojmując w ten sposób rozwój naszego szkolnictwa, tylko złej woli lub ignorancyi czynilibyśmy ustępstwo, gdybyśmy mieli dodawać, że zmiany, reformy, krytyka są i tutaj konieczne i że muszą nastąpić, jeżeli instytucya ma w ogóle pozostać żywotną. Kierunek tych zmian wskazuje do pewnego stopnia dyskusya, którą Sejm corocznie przeprowadza nad sprawozdaniem Rady Szkolnej krajowej. Relacya o uchwalonych ustawach zajęła nam za wiele miejsca, abyśmy mogli wyzyskać tę dyskusyę we wszystkich jej szczegółach. Na dwie jednak rzeczy należy z naciskiem zwrócić uwagę.

Ogólnym był głos, że nauka religii udzielaną bywa w niedostatecznej mierze, że istnieją nie dziesiątki już, ale niestety setki szkół, w których nauka religii jest tylko pozorem. Wyrazem zrozumienia tego głębokiego niedostatku był wniosek hr. Stanisława Stadnickiego, domagający się obmyślenia sposobów podwyższenia plac katechetów, jako środka podniesienia nauki religii. Sejm uchwalił odnośne wezwanie Wydziału Krajowego do badań w tym kierunku. Jeżeli jednak mamy spodziewać się powszechnego, a skutecznego dźwignięcia nauki religii w naszych szkołach na ten stopień, który ta nauka powinna zająć w naszym publicznym kształceniu, to zmiany w tym kierunku oczekiwać musimy przede wszystkim od ordynaryatów. Nie moją rzeczą jest wskazywać tutaj drogi, któremi reforma powinna pójść, ale, sądząc ze skutków, mogę stwierdzić, że reformy domaga się w tej dziedzinie wszystko. Nie tylko bowiem rozwiązać należy pytanie, w jaki sposób każdej szkole zapewnić regularną, systematyczną naukę religii, ale i rozstrzygnąć pytanie, czy dotychczasowy sposób nauczania jest odpowiedni. Od odpowiedzi zależeć będzie ewentualna rewizya całego planu, metody i książek, służących za podstawę nauczania we wszystkich kategoriach naszych szkół. Dyskusya, która w tym względzie toczyła się w Sejmie, jest dowodem, że oczy ogółu są zwrócone na tę sprawę, że ją pojęto poważnie, ale też że właśnie dla tej powagi ujęcia jej odpowiedź nie może długo dać na siebie czekać.

Druga kwestya, którą piszący te słowa, jako sprawozdawca szkół ludowych w Sejmie poruszył, jest i dla szkolnictwa i dla finansów naszego kraju pierwszorzędnej wagi. Faktem jest, że Sejm staje zdumiony wobec zwiększającego się z roku na rok budżetu szkolnego. Faktem też jest, że ten wzrost odbywa się mechanicznie, na podstawie ustaw obowiązujących i tylko w wykonaniu tych ustaw. Raz puszczony w ruch wielki strumień oświaty, rozlewającej się na cały kraj, nie jest już w rękach Sejmu. Sejm nie posiada obecnie regulatora, mogącego ten ruch stosować do tych wszystkich innych warunków, do których każdy dział administracyi stosować się musi, w szczególności do ilości i jakości ludzi, którzy tu działają, i do środków finansowych. Ten mechaniczny — jeżeli na sprawę patrzeć będziemy z tego punktu widzenia — rozwój naszego szkolnictwa tłómaczy wiele zjawisk, skądinąd niezrozumiałych, jak np. kwestyę niekwalifikowanych nauczycieli, kwestyę przewagi kobiet w szkole i t. d.

Proste porównanie cyfr budżetu szkolnego w ciągu lat wykazuje, jak ten wydatek rośnie i co nas czeka w przyszłości. Jest przeto koniecznem, aby Sejm miał wpływ na te sprawy, aby mógł na nie położyć rękę i tam, gdzie to jest możliwe, zastosować wzrost do środków finansowych. Władza szkolna powinna przeto Sejmowi przedkładać odpowiedni materiał, mogący posłużyć do ocenienia odnośnych stosunków. W szczególności znanym być powinien i poddany krytyce program zakładania nowych szkół, względnie rozszerzania istniejących, ale program konkretny z roku na rok, a nie obracający się w ogólnej zasadzie, choćby zupełnie trafnej. Inaczej, w obecnym stanie rzeczy, gdy jeszcze poważna liczba szkół jest do założenia, dotychczasowe tempo postawić może kraj wobec tak wysokich wydatków i takiego ich wzrostu, że im nie będzie mógł podolać.

Dr. Władysław Leopold Jaworski.

Kronika literacka.

— Julian Klaczko: *Szkice i rozprawy literackie*. Z upoważnienia autora tłómaczyli St. Tarnowski, J. Jabłonowski i Ant. Potocki. Z przedmową Stanisława Tarnowskiego. (Warszawa, wydawnictwo F. Hoesicka, 1904). — Ferdinand Hoesiek: *Julian Klaczko*. Rys życia i prac (1825 — 1904). Z portretem Juliana Klaczki. (Kraków, skład główny w Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej, 1904). — Na międzynarodowych wystawach sztuki, w starym i nowym świecie, nasi malarze otrzymują złote medale i inne wysokie odznaczenia. W dziedzinie umiejętności ścisłych, tam, gdzie chodzi o radium lub skroplenie powietrza, nasi uczeni zdobywają sobie uznanie. W sferze literatury pięknej nasi powieściopisarze w przekładach i przeróbkach zyskują głośną sławę. W salach koncertowych, na scenach operowych, nasi grajkowie i śpiewacy budzą powszechny podziw... Tylko na polu krytyki artystycznej i literackiej nie mamy obecnie ani jednego pisarza, którego głosu słuchałaby Europa, którego sąd uznawałaby zagranica cała. Mamy garstkę ludzi, piszących w obcych językach o polskich rzeczach, o polskich książkach, czy dziełach sztuki, lub o tych samych przedmiotach obcej cywilizacji. Społeczeństwo winno im wdzięczność, oni sami mogą mieć poczucie spełniania ważnego obowiązku. Lecz i społeczeństwo i oni sami niewątpliwie wiedzą dobrze, że to są pracownicy skromni, działający w dość ciasnym zakresie, bez poklasku u tłumów, nawet bez większej, wyjątkowej powagi u wybranych. Szat rozdzierać z rozpacz z tego powodu znowu nie potrzeba, bo ostatecznie nie ten czynnik stanowi o kulturalnej żywotności naszego czy innego narodu. Lecz nie żałować, że tak jest, chyba nie można, bo w każdym razie tacy ludzie społeczeństwu pożytku przysparzają. Żałować należy może tem bardziej, że właśnie w obecnej dobie nasza sztuka, nasza poezya, rwąca się do wieńca wszechświatowej sławy, osiągnęłaby go tem niechybniej, gdyby miała za sobą życzliwe poparcie uznawanej przez ogół cywilizowanego świata

krytyki i publicystyki. Żałować się musi wreszcie i z tej przyczyny, że ludzkość dzisiejsza, mimo orgii nacjonalizmu w innych dziedzinach, w sferze umysłowej ma międzynarodowe pola popisu, wszechświatowe konkursy, na które każdy naród winien przysyłać swych przedstawicieli, bo „nieobecni zawsze nie mają racji“.

Żałować nam trzeźba, ale może i innemu poddać się uczuciu. My, wyobraźciecie młodej generacji, ledwo od wczoraj na niwie narodu i społeczeństwa pracujący, lubimy, jak ów Wagner, famulus Fausta, chętnie się, żeśmy *so herrlich weit gebracht*. Zapewne, że nieraz mamy słuszość: gdybyśmy istotnie w wielu sprawach nie byli dalej doszli, niż nasi poprzednicy, to byłoby to dowodem, iż cofnęliśmy się, tak jak posunięcie się naprzód nie zawsze jeszcze jest z postępem równoznaczne. Lecz często w tych przechwałkach jest fałsz, często sprawiedliwość każe powiedzieć, że nie lepsi, ale gorsi od dawniejszej jesteśmy generacji. Tak jest n. p. w danej, zresztą, jak jeszcze raz powtarzamy, nie najważniejszej sprawie. Nie mamy wśród siebie żadnego krytyka, przez Europę uznawanego. Na to zwykliśmy odpowiadać starszym: „A wy, czy wyście takiego mieli?“ Oczywiście o ile chodzi o tak wielkich krytyków, jak Lessing, bracia Schległowie, Sainte-Beuve lub Taine, a nawet o tak tylko głośnego, jak Brandes, to i w przeszłości Polska nim się wykazać nie może. Jeśli jednak tylko trochę niżej zejdziemy, to już dwóch przynajmniej wymienić potrafimy, dwa można podać wypadki, kiedy Polak jako krytyk z europejskiej trybuny do Europy przemawiał. Raz było to, gdy genialny poeta, bardzo znakomity krytyk, Adam Mickiewicz, 22 grudnia 1840 r. wstąpił na katedrę paryskiego *Collège de France*, by tu wykładać *Cours de littérature slave*. Co z tego posiewu wyrosło i że wyrosło nie to i nie tyle, co i ile mogło, o tem wiemy wszyscy. Drugi raz przemówiła do Europy nasza krytyka artystyczna i literacka w tym samym Paryżu głosem Juliana Klaczki. Nie mówimy w całym niniejszem sprawozdaniu o Klaczce, jako działaczu na polu polskiego piśmiennictwa: pod tym względem Trzebaby chyba powtórzycie słowa prof. St. Tarnowskiego — w przedmowie do pierwszej z wymienionych w nagłówku książek — że jest to „umysł najświetniejszy, jaki był w literaturze polskiej drugiej połowy XIX wieku“. Nas zajmuje w tej chwili Klaczko, jako jedyny po Mickiewiczu aż do dni dzisiejszych krytyk polski, słuchany przez zagranicę. W tem jego drugie znaczenie, od tamtego inne, może nie mniejsze. Prawda, do nielicznego grona geniuszów krytyki, jak Lessing, on nie należy, nie dał światu jakiejś wielkiej idei, którą żyły współczesne mu i potomne pokolenia. Osobiście mamy i to przekonanie, że publicysta ograniczył sławę krytyka. Tłómaczymy się wyraźniej: nikt nie odmówi publicystycznym, politycznym pracom Klaczki świetności, może na-

wet i większego od literackich znaczenia, że nie powiemy: pożytku, każdy Klaczkę, obok Dunajewskiego i Koźmiana, wymieni jako najwybitniejszych naszych, znowu Europie, znanych pisarzy politycznych. Również nie można utrzymywać, jakoby polityczna publicystyka w zasadzie krytyce literackiej i artystycznej szkodziła: wszak Brandesowi sławy literackiej nie broni publicystyka. Tak — tylko Brandes nie jest Polakiem, nade wszystko nie jest Polakiem z epoki koło r. 1863, z czasu największej depressyi imienia polskiego. Klaczkę, właśnie dlatego, że polskości nigdy się nie zaparł, właśnie dlatego, że dla Europy, lecz z polskiej duszy publicystyczne prace pisał, musiał tem utrudnić sobie działalność literacką. Że jednak mimo to miał uznanie, że do dziś dnia zna go i wysoko ceni zagraniczny świat naukowy, że n. p. ktokolwiek kiedykolwiek pisać będzie o Dantem, jego *Causeries Florentines* nie pominie, a studyując Odrodzenie, uczyć się będzie i rozkoszować jego *Juliuszem II* — to już skutek jego nadzwyczajnie wybitnych zdolności.

Tych parę myśli i uwag powstało pod wpływem czytania dwóch książek, na czele wymienionych. O pracy p. Ferdynanda Hoesięka obszerniej nie mówimy, szanując tradycję naszego pisma, która nie dopuszcza w niem sprawozdań z rzeczy, poprzednio w niem samem ogłoszonych. Słówek tylko o tem, czego w *Przeglądzie* nie było. Więć o dedykacji dzieła prof. Stanisławowi Tarnowskiemu przez „przywiązanego ucznia“ i o reprodukcji pięknego portretu Klaczki, malowanego w r. 1881 przez hr. A. Mniszcha w Paryżu, a będącego własnością hr. Aleksandrowej Branickiej. Z drugiej książki, podającej w polskim przekładzie Klaczki *Szkice i rozprawy literackie*, które wszystkie były nam podstawa do wysnucia powyższych spostrzeżeń, wyodrębnimy dwie. Zostawiamy na uboczu pamiętną wszystkim uczestnikom publicznego posiedzenia Akademii Umiejętności w Krakowie w r. 1895, drukowaną zaraz potem w naszym piśmie rozprawę o *Świętym Franciszku z Assyżu i gotycyzmie włoskim*; nie zatrzymujemy się także przy ogłoszonym w r. 1854 w *Revue Contemporaine* studyum o *Dantem wobec krytyki nowoczesnej*, przełożonym teraz przez p. Antoniego Potockiego, a godnie poprzedzającym nieocenione *Wieczory florenckie*; aczkolwiek z żalem milczymy o dalszych dwóch rozprawach: *Ateny a Odrodzenie* (oryginał drukowany w *Revue de Paris* 1855 r., teraz przełożony przez p. Potockiego) i *Celtowie i Germanie* (z *Revue Contemporaine* z r. 1855, przetłumaczył tenże p. Potocki); odrywamy się od bardzo ciekawej, ze skuteczną ironią pisanej polemiki p. t. *Ponowna edycja niewydanej powieści* (z *Revue de Paris* r. 1855, przekład p. Potockiego), a nawet od jeszcze bliżej nas obchodzącym studyum *Półwysep krymski w poezyi* (przekład tego samego tłumacza, z *Revue Contemporaine* z r. 1855) — o tych wszystkich pracach bowiem dłużej i obszerniej pisać niepodobna w krótkim sprawo-

zdaniu, chcąc zaś scharakteryzować je i streścić zwięźle a jasno, trzeba by powtórzyć to, co o nich w Przedmowie prof. Tarnowski pisze. Dwie jednak rozprawy dla siebie zachowaliśmy, by uzupełniły i umocniły wypowiedziany na początku sąd o Klaczee. Mamy tu na myśli drukowane naprzód w *Revue de Paris* z r. 1855, a teraz przez p. Potockiego przełożone krótkie studjum o *Henryku Heinem* i obszerniejsze o *Poezji polskiej w XIX wieku i Poezji Beximiennym*, w przekładzie p. Józefa Jabłonowskiego, z paryskiej *La Revue des Deux Mondes* z r. 1862. Wyodrębnienie tych dwóch studyów tłómaczy się tem, że są one wzorami dwóch dróg, któremi szła działalność Klacзки jako krytyka literackiego: pisanie w obcym języku o swoich i obcych rzeczach. I na tych dwóch przykładach oprzyjmy sąd, co warta dzisiaj literacka krytyka Klacзки. Gdy chodziło dawniej o rozprawę o *Beximiennym Poezie*, podziwiano się ją głównie dzięki wypowiedzianemu tak spostrzeżeniu, że twórczość Krasińskiego szła zwiężającami się kołami od najszerszych zakresów i przedmiotów do szczegółowych. Dzisiaj, gdy się wie, iż pomysł *Irydyonu* zrodził się w głowie poety przed pomysłem *Nieboskiej Komedji*, przeciwnicy Klacзки, a bardziej jeszcze przeciwni jego zwolennikom, podnoszą okrzyk tryumfu, że w gruzach tej tezy pogrzebana jest na zawsze wartość całej rozprawy. Czy tak? Przedewszystkiem znajomość piśmiennictwa świata przeczy zapatrywaniu, jakoby o bezwzględnej wartości dzieła krytycznego rozstrzygał walor jego tezy, szczegółowej czy choćby nawet zasadniczej. Kto dzisiaj podziela całkowicie n. p. podstawową myśl i wiele drobniejszych dedukcyj *Laokoona* Lessinga lub jego *Hamburskiej Dramaturgii*? Mało kto, może nikt. A kto jednak mimo to te dzieła czyta, na nich się uczy, z nich nieraz czerpie? Prawie każdy, bez ograniczenia: każdy. A tak jest z rozprawą Klacзки o Krasińskim: upadła zasadnicza jej teza (której przeprowadzenie zawsze będzie podziwiane co najmniej jako najświetniejszy w naszej krytyce przykład tworzenia tezy), ale stoi niewzruszona reszta charakterystyki poety i poezji, stoi wspaniała obraz zwiężku poezji i poety z życiem Polski i ludzkości, stoi piękność stylu i wytrawność metody — a to chyba dosyć, dość na to, by każdy miłośnik literatury, tem bardziej każdy jej badacz do niej i dzisiaj i później wracał. Druga zaś rozprawa o Heinem nabiera w oczach sprawozdawcy szczególniejszego znaczenia dlatego właśnie, że jest o Heinem pisana. Bo studia o Heinem są naszym zdaniem bardzo dokładnym probierzem zdolności krytyka, który o nim pisze. Naprzód: kto potrafi dać obraz tej tak niesłychanie złożonej indywidualności, ten zrobił arcydzieło krytycznej i analizy i syntezy razem. Powtóre zaś: jak łatwo przy ostatecznej ocenie poety popaść bądź w szkodliwe ignorowanie idei moralności jako takiej, bądź w niepotrzebne moralizowanie. A Klaczko i tego arcydzieła dokonał

i szczęśliwie a z godnością pomiędzy Scyllą a Charybdą przepłynął. A pisał przecież tylko niemal okolicznościowo i dla Francuzów jedynie, i z konieczności krótko wreszcie. Jakiem byłoby to studjum, gdyby był miał swobodę ruchów!

Autor Przedmowy z żalem wspomina, jak mało zważano na Klaczkę w Polsce, gdy te pisma — zwłaszcza polityczne i publicystyczne — pisał, a cieszy się, że — w znacznej części dzięki p. Ferdynandowi Hoesickowi — dzisiaj widocznym jest zwrot do Klaczki. Żal podzielamy, dc uznania z całej duszy się przyłączamy. Ale pozwolimy sobie dodać, że zajęcie się Klaczką świadczy chlubnie nie o samym tylko p. Hoesicku, że jest objawem nie jednostkowym tylko, lecz o szerszem znaczeniu. Nasz wiek, nasze pokolenie strąca z piedestału niejedne zasiedziałe na nim posągi, zapewne nieraz niesprawiedliwie, nieraz szkodliwie. Ale słusznie możemy się chlubić, że kierowani zmysłem historycznym i spokojną bezstronnością, my niejednej zasłudze nieuznawanej przez współczesnych dopiero sprawiedliwość wymierzamy, przeprowadzając rewizję jej istotnego znaczenia. Bo jeśli już raz marnemu Famulusowi uczyniliśmy ten zaszczyt, że przez jego usta — na krótką zaiste tylko na szczęście chwilę! — przemówiło dzisiejsze pokolenie, to tylko dlatego, iż tuż przed owemi chełpliwymi przechwałkami jest mędrsze, szlachetniejsze przyznanie:

....Es ist ein gross Ergötzen,

Zu schauen, wie vor uns ein weiser Mann gedacht.

Dr. J. Flach.

— Dr. Karol Kolischer: *Zarys systemu polityki bankowej*. (Lwów, 1904, str. 327). — Wzrost polskiej literatury ekonomicznej w ostatnich kilku latach jest widocznym, nie objawia się jednak równomiernie we wszystkich działach naszej nauki, przeciwnie ogranicza się niemal wyłącznie do prac o gospodarstwie rolnem. Z tem większem zadowoleniem zapisać należy pojawienie się poważnego dzieła urzędnika krakowskiej filii Banku hipotecznego, Dr. Karola Kolischer'a, o problemach w literaturze naszej dotąd bardzo mało uwzględnianych. Coraz to żywszy współdział praktyków, niezobowiązanych swem stanowiskiem do pisania książek, we wzbogacaniu naszej literatury ekonomicznej — a Dr. Kolischer, który już przed kilku laty ogłosił pracę o organizacyi kredytu w Galicyi, nie jest pod tym względem odosobnionym wyjątkiem; jest oczywistym przejawem znacznego pogłębienia się w społeczeństwie zrozumienia dla doniosłości pracy naukowej.

„Polityka bankowa obejmuje wszystkie czyny i urzędzenia państwa lub związków podrzędniejszych (zwierzchnicza polityka bankowa państwowa, kraju, gminy) i samego kierownictwa

banku (samorządna polityka bankowa), które za pomocą stosownej organizacyi i stosownej działalności środowisk kredytowych, pośrednio rozwój kultury materialnej, zawsze w odniesieniu się do dalekiego ideału cywilizacyjnego popierają“ (str. 4).

Dawniejsze określenia polityki ekonomicznej i jej poddziałów, n. p. bankowej, które wysuwały na pierwszy plan stosunek władz publicznych do życia gospodarczego, okazały się nie-raz, jak słusznie podnosi Dr. Kolischer, zbyt ciasne, albowiem wykluczały badanie zjawisk, które trudno było pomieścić w ogólnej części ekonomii, bez rozrywania ich naturalnej łączności z przedmiotami, omawianymi w polityce ekonomicznej. Dawniejsze określenia miały jednak nieocenioną zaletę jasności i ścisłości; definicya Dr. Kolischera właściwie niczego nie wyklucza z zakresu polityki bankowej, która w ten sposób staje się niemal identyczną z nauką o bankach. Pierwsza część pracy („Zwierzchnicza polityka bankowa“) odpowiada dotychczasowemu ciaśniejszemu pojęciu, z powodu rozszerzenia definicyi przybywa część druga o „Samorządnej polityce bankowej“. Główna trudność polega oczywiście na ujęciu pojęcia „samorządnej polityki bankowej“. Autor ma na myśli „działalność banków, zmierzającą do osiągnięcia ich społecznych celów“, polegających na pośredniczeniu w obrocie kapitałami pieniężnymi „dla osiągnięcia wyższego stopnia kultury materialnej i duchowej“ (str. 197). Obojętną jest rzeczą, czy ta działalność jest świadomą. Chodzi jednak o to, jak w danym konkretnym przypadku odgadnąć, czy bank „zmierza do osiągnięcia wyższego stopnia kultury materialnej i duchowej“, a na to nie znajdujemy odpowiedzi w książce Dr. Kolischera — tem samem odgraniczenie pojęcia samorządnej polityki bankowej pozostaje jeszcze zagadnieniem do rozwiązania.

Sposób ugrupowania materiału wymaga także pewnych zastrzeżeń. Byłoby może lepiej, gdyby autor był zaczął od samorządnej polityki bankowej, albowiem w tej drugiej części spotykamy się z charakterystyką ogólną banków i z rozbiorem zakresu działania, właściwego ich różnym typom. Tkwi pewna anomalia w tem, że definicya banku znajduje się dopiero w części drugiej (na str. 197), podczas gdy w pierwszej jest wyczerpująco mowa o stosunku państwa do banków; prawdopodobnie uniknęłoby się w ten sposób kilkakrotnego wracania do tego samego tematu dzieje organizacyi bankowej są omawiane w rozdziale II i IV części pierwszej, a prócz tego kilkakrotnie w części drugiej.

Dr. Kolischer rozróżnia banki kredytowe, emisyjne, banki stanu średniego i handlowe; każdy z tych czterech typów ma sobie właściwą samorządną politykę bankową, którą autor kolejno rozważa i ocenia. Nomenklatura nie wydaje nam się zupełnie trafną; ocena banków hipotecznych w rozdziale „Polityka ban-

ków kredytowych“ może dać powód do nieporozumień z powodu zbyt obszernego tytułu. Dr. Kolischer w następnych rozdziałach zastanawia się nad szeregiem instytucyj bankowych, dla których racją bytu jest także pośredniczenie w udzielaniu kredytu — mamy tu do czynienia ze znamieniem, wspólnym wszystkim współczesnym bankom. Przez banki handlowe rozumie autor biletowe, puszczające w obieg banknoty, które jego zdaniem służą przede wszystkim potrzebom stanu kupieckiego.

Zgodnie z duchem czasu, Dr. Kolischer kładzie nacisk na społeczne zadania banków, których istnienia, jego zdaniem, nie wyczerpuje „zarabianie na dywidendę“. Nawet w wypadkach, w których zarząd banku jest świadomym tylko egoistycznego celu osiągnięcia możliwie największego zysku, oddaje nieraz ważne usługi społeczne. Słusznie podnosi autor, że racjonalna polityka bankowa, która ma dobrze spełniać swoje posłannictwo społeczne, musi doznać poparcia ze strony całego stanu kupieckiego. Dr. Kolischer wyraża nadzieję, że tego poparcia nie zabraknie bankom. „Przeświadczenie o zupełnej zależności swego powodzenia od zdrowego gospodarstwa społecznego czyni kupca sprzymierzeńcem wszelkiej działalności, zmierzającej do podniesienia dobrobytu coraz to większej ilości członków społeczeństwa“ (str. 326). Społeczny cel banków biletowych określa autor jako przeciwdziałanie i zapobieganie wybuchom przesilenia, a jeśli okaże się nieuniknionem uśmierzenie ujemnych następstw przesilenia. Mówiąc o bankach hipotecznych miejskich, podnosi Dr. Kolischer ich obowiązek przeciwdziałania nadmiernej spekulacji budowlanej.

W rozdziale o bankach emisyjnych znajdujemy szereg bardzo trafnych uwag o uprzemysłowieniu Galicyi i o roli banków w rozwiązaniu tego problemu. Autor wykazuje, jak ważne znaczenie dla rozwoju naszego życia gospodarczego miałyby powstanie szeregu większych zakładów przemysłowych; w szczególności podnosi Dr. Kolischer, że także i pomyślny rozwój rolnictwa zależy w znacznej mierze od ożywienia ruchu przemysłowego, które przysporzy rolnictwu konsumentów i ułatwi społeczeństwu wytworzenie nowych kapitałów, niezbędnych do przemiany gospodarstwa rolnego w bardziej intensywne. Dążenia do uprzemysłowienia Galicyi nie mogą znaleźć należytego oparcia i podstawy kredytowej w Banku krajowym, który ma liczne inne zadania do spełnienia, to też niesłuszne są zarzuty podnoszone z tego tytułu przeciwko zarządowi Banku krajowego. Potrzeba wytworzyć osobny bank przemysłowy; często obecnie podnoszony postulat zakupna znacznej części akcji przyszłego banku przemysłowego przez kraj, uważa autor za nieuzasadniony: „To pole pracy społecznej najwłaściwiej wyłącznej inicjatywie prywatnej pozostawić należy“ (str. 245) Odrębne znamiona polityki banków stanu średniego (towarzystw zaliczkowych, kas

Raiffeisena, włoskich banków ludowych i t. d.), skłoniły Dr. Kolischera do uczynienia ich działalnościami przedmiotem osobnego rozbioru, w którym podnosi jako ich główne społeczne zadanie: utrzymanie stanu rzemieślniczego i chłopskiego.

Te same dążenia socyalne ożywiają także część pierwszą pracy „O zwierzchniczej polityce bankowej“, poświęconą przeważnie zbadaniu stosunku państwa i związków samorządu do banków biletowych. Dawniej widziało wielu gwarancję najkorzystniejszych wyników w wolnym współzawodnictwie banków biletowych, były to czasy przewagi doktryn liberalizmu ekonomicznego, które Dr. Kolischer stanowczo odrzuca. Dziś przeważa monopol centralnego banku biletowego, nadzorowanego przez państwo i zapewniającego państwu współudział w zyskach, w zamian za wyłączny przywilej puszczania w obieg banknotów. Stan ten charakteryzuje autor jako „syntezę prywatno-gospodarczej idei wolnego współzawodnictwa i społecznej opieki państwa“ (str. 291), pojmując go jako stan przejściowy do dalszego uspołecznienia nie tylko banków biletowych, ale całej organizacji kredytowej. Ewentualność ta nie budzi obaw, albowiem „przesąd, że państwo nie jest zdolne do prowadzenia przedsiębiorstw bankowych i przemysłowych, należy bezpowrotnie do przeszłości“ (str. 189). Gdyby zasada ta była prawdziwą bez ograniczenia, nieuzasadnionymi byłyby uwagi autora o potrzebie oparcia Banku krajowego w Galicji na inicjatywie prywatnej. Państwo, względnie związki samorządu (kraj, powiat, gmina), mogą prowadzić z dobrym skutkiem tylko pewne kategorie przedsiębiorstw bankowych i przemysłowych, przede wszystkim te, do których kierownictwa wystarcza z konieczności nieco ociężały mechanizm administracyjny władz publicznych, wykluczający spekulację i ryzyko, a zatem także i szybki rozwój życia gospodarczego, twórczość w nowych dziedzinach bytu ekonomicznego; to też silne dążności do uspołecznienia organizacji kredytowej nie są objawem ze wszech miar dodatnim. Dr. Kolischer kładzie nacisk na coraz to czynniejszy udział związków samorządu, krajów i miast w normowaniu polityki bankowej, która dawniej była wyłączną troską władz państwowych.

Wywody swoje opiera autor na bogatym materiale faktycznym i na sumiennem wyzyskaniu literatury, natomiast mało korzysta ze swego długoletniego praktycznego doświadczenia w zawodzie bankowym. Książka zawiera wiele cennych informacji, zwłaszcza do dziejów banków biletowych. Obawiamy się, że niestety nie znajdzie tylu przyjaciół i czytelników, na ilu zasługuje. Ażeby zapewnić poczytność książeczki ekonomicznej, trzeba znać nie tylko zasady nauki o gospodarstwie społecznym, ale trzeba dbać także o formę pisarską. Dr. Kolischer rozporządza pierwszym z tych dwóch warunków w stosunkowo wysokim stopniu — niestety umniejszył wartość swej książki zaniedba-

niami w sposobie przedstawienia rzeczy. Nie zadawalnia się istniejącym materiałem językowym, tworzy szereg nowych słów, aczkolwiek wiadomo, jak niebezpieczne są próby tego rodzaju. Wyrażenia „kredytność“ (str. 281), „system borgowy“ (str. 279), „fikya Rechstaatu“ (str. 198), „pracodzielny“ (str. 205), są zbędne, dadzą się zastąpić słowami powszechnie używanymi w sposób zupełnie zadowolniający, bez szkody dla jasnego zobrazowania pojęć, o które chodzi. Niejednokrotnie orzeczenia znajdujące się na samym końcu. Wadliwa budowa zdań utrudnia miejscami nawet zrozumienie ich treści — korzystanie z książki utrudnia nie dość staranna korekta, brak indeksu, względnie bardziej szczegółowego spisu treści. A szkoda! Byłoby ze wszech miar pożądanem, gdyby właściciele, kierownicy, urzędnicy, klienci banków zwracali więcej uwagi na ich społeczne zadania i obowiązki. Dzieło Dr. Kolischera zawiera właśnie w tym kierunku dużo cennych uwag, pobudzających do myślenia.

Dr. Adam Krzyżanowski.

— Milton: *Raj Utracony*. W przekładzie Władysława Bartkiewicza. (Warszawa, druk Laskauera, 1902, 8-o, str. 423). — Dawno należało się dać wiadomość o tym przekładzie, bo już dwa lata przeszło, jak on wyszedł. Szukało się chętnych, i biegłych, powołanych do sądzenia — szukało się na darmo. Trzeba więc zrobić co można, bo lepsze coś, jak nie zgoła, i lepiej późno, jak nigdy.

Kiedy zobaczyliśmy tę książkę po jej wydaniu, doznaliśmy zdziwienia, prawie strachu. Takie wrażenie, jak żeby zjawilo się jakieś widmo, jak żeby raptem stanął upiór z tamtego świata? Milton? Milton w naszych czasach? Milton, za panowania Ibsenów i Maeterlinków, Tołstojów i Hauptmannów? Co za anomalia, co za anachronizm! Jak on śmie się pokazywać ten stary poeta, pogrzebany i zapomniany; i co za dziwak, co za oryginał, co za szalony wstecznik w niezgodzie z duchem czasu ten tłumacz, który w początkach XX wieku jeszcze wierzy w Milтона, podziwia Milтона, traci czas i siły na tłumaczenie *Raju Utraconego!*

Doprawdy Milton dzisiaj, to jakiś głos czy duch z innego świata. Z radością, nieledwie z rozrzewnieniem, ujrzelśmy tego wielkiego nieboszczyka, z jego potęgą, taką zdrową i czerstwą, z jego powagą surową a majestatyczną, z jego pobożnością gorącą, z jego wyobraźnią, jakiej równych nie wiele było na świecie. Co ty tu robisz między nami, ty silny między wątłymi, ty zdrowy między schorzałymi, ty prosty między wykrzywionymi? Czy myślisz, że kto o ciebie zapyta, że kto na ciebie spojrzy? Jeżeli, to na to chyba, by się pogardliwie śmiać z twoich pomysłów i z twojej formy. Sukcesu się nie spodziewaj. Okrzyczą cię za starego pedanta, którego czuć jeszcze i klasycyzmem i teologią, a twórczości i natchnienia, poezyi, od-

mówią ci, bo nie masz nerwów i nie na nie chcesz działać. Ale dobrze, że jesteś. Twoje zjawienie dowodzi — nie samo jedno dzięki Bogu! — że trwa cześć i zamilowanie tych, co są na miarę Fidyasza, choć miara nowomodnych krawców popłaca. Tego zaś odważnego człowieka, co się nie bał Milтона tłómaczyć, chciałoby się uściskać jak przyjaciela, za to naprzód, że wielkie rzeczy czei i kocha, a potem za to, że je polskiej literaturze przyswaja. Dotąd nie miała ona *Raju utraconego*. Przybylski tłómaczył go po swojemu, tak dziwacznie i potwornie, że ten przekład liczyć się nie może, lepiej, żeby go wcale nie było. Dmochowski nie-źle, ale kawałkami tylko, wyjątkami.

Zdaje nam się, że Milton nie mógł nigdy, i nie może, być poetą bardzo rozpowszechnionym, bardzo lubionym. Niektóre umysły, i bardzo wysokie (Macaulay), wielbią i kochają go do fanatyzmu; dla ogółu, nawet współczesnych, a cóż dopiero dzisiejszych, trudno, żeby był powabnym. Sama treść, nauczająca, zbliżona nieraz do kazania, albo do wykładu, może wydać się surową i oschłą czytelnikowi, szukającemu w poezyi przede-wszystkiem rozczulenia, albo rozmarzenia. Forma, widocznie na Wergiliuszu oparta, od niego pochodząca, może wydać się i jednostajną i zużytą. Oprócz tego, ma Milton to, co możnaby nazwać naiwnością erudycyi, a co w jego wieku było i zwyczajem i zaletą. Co chwila reminiscencye mitologiczne, często (w porównaniach) geografia albo astronomia z różnemi swojemi wiadomościami i szczegółami. Wszystko to prawda, i wszystko może nie jednego zrazić do starego poety, albo nawet ostudzić w nim zapał, obudzony ustępami wyjątkowej piękności. Tylko, takich ustępów jest wiele, i mają taki charakter wielkości i potęgi w wyobraźni i w słowie, że stawiają *Raj utracony* bardzo wysoko między wielkimi dziełami ludzkiego ducha.

Jak tłómacz polski. p. W. Bartkiewicz, oddał ten charakter, tę wielkość, ten majestat, tę niezrównaną potęgę nienawiści w Szatanie?

Tłómaczy on wierszem jedenastozgłoskowym, najbliższym dziesięciozgłoskowego wiersza oryginału; ten wydał mu się niewłaściwym z powodu jambów, do których język polski trudno się nagina Wiersz nierymowy. Różnica języka sprawia, że tłómacz nie mógł się zamknąć w liczbie wierszy oryginału, przekracza ją; i dobrze robi, bo lepiej nie krępować się liczbą wierszy, a nie zadawać gwałtu językowi i robić go niezrozumiałym lub dziwacznym. Wierność, ścisłość, jest; kto porówna tekst polski z angielskim, przekona się o tem łatwo. Za błąd — natchniony dobrem uczuciem, ale niepotrzebny — uważamy to, że autor nie tłómaczy tych ustępów, w których Milton napada namiętnie na Kościół katolicki. Każdy wie, że on był zaciętym purytaninem; katolik nie przejdzie na jego wiarę, choćby te ustępy przeczytał, a kto nie katolik, tego już Milton gorzej nie

odstręczy i nie zepsuje. Język i wiersz polski poprawny, dobry, styl miejscami trochę miękki, trochę zwrotami i wyrażeniami zbliżony do prozy. Ogółem jednak czyta się dobrze, i wrażenie robi. Wszystko razem wzięwszy zatem, przekład jest dobry, spełnia wszystkie warunki i obowiązki dobrego przekładu. Czy jest na równi z oryginałem? Nie. Naprzód, przekłady takie są niezmiernie rzadkie; a potem styl Milтона ma jędrność i moc taką, że mało który z wielkich nawet poetów równa się z nim pod tym względem. Z naszych poetów polskich, gdyby Krasieński był tłómaczył dwie pierwsze pieśni *Raju*, to rada piekielna w *Pandemonium* byłaby wyszła tak, jak w oryginale; gdyby Słowacki był tłómaczył niektóre ranki lub wieczory w *Raju*, byłby może dał im pewien koloryt romantyczny, jakiego w oryginale nie mają, ale byłby z nich zrobił coś rozkosznego. Nasz tłómacz nie ma namiętnych groźnych akkordów Krasieńskiego, ani cudnych dźwięków Słowackiego, ale co bez ich szczególnych darów zrobić można, to zrobił. Dwie pierwsze pieśni w jego przekładzie przejmują strachem. Pierwsza rozmowa Szatana z Belzebubem, oprzytomnienie wszystkich zgromionych wojsk piekielnych, różne rodzaje i stopnie ich nienawiści i ich męczarni w naradzie — spotkanie Szatana z Grzechem i Śmiercią, przestwory Chaosu, przez które on wydostaje się z Otchłani, to wszystko nie wygląda tak wspaniale, jak w tekście oryginalnym, ale wygląda dobrze.

Nieszczęściem poematu jest ten początek, tak wspaniały że po nim ciąg dalszy wydaje się blejszym. Piękności są wielkie, są w dalszych pieśniach długie ustępy tym pierwszym prawie równe; ale już nie robią tego wrażenia siły kolosalnej. Krytycy angielscy zachowują się chłodno, zwłaszcza względem pieśni trzeciej. Mówią, że Ojciec Przedwieczny ma bardzo dobry wykład o wolnej woli i łasce, ale taki, na który mógłby się zdobyć człowiek. Ten sąd wydaje nam się za surowym, ale nie niesłusznym. Pomysł był najśmielszy, na jaki zerwał się kiedykolwiek poeta. Bóg w przedwiedzy swojej widzi, że człowiek zgrzeszy i że sprawiedliwość każe go zgubić, jeżeli ktoś niewinny nie zechce za niego się poświęcić i uczynić zadość. Wszystkie chóry anielskie milczą. Ofiaruje się Syn Boży: zostanie człowiekiem i umrze na krzyżu. Wierzymy bardzo, że ta scena, ta rozmowa między Ojcem a Synem, przechodzi możność wszelkiej wyobraźni ludzkiej, choćby najpotężniejszej — ale też fakt jest, że Milton, który za Szatana mówił jak żaden inny, za Boga w równie wielki sposób nie przemówił. Widzimy w tej scenie majestat, mądrość, miłość, wszystko, co po ludzku mówiąc być w niej powinno — ale nie w tym stopniu wielkości i mocy, jaki jest w „nieśmiertelnej nienawiści i żądzy zemsty“ Szatana.

W dalszych pieśniach rozpacz i tęsknota Szatana, kiedy spostrzega ziemię i Raj, zakończone nowym wybuchem wściekłości, podstęp, którym oszukuje Uriela, ranny pacierz Adama i Ewy — i piękne bardzo i szczęśliwie przełożone. Najlepiej może to znowu, co należy do najcelniejszych piękności poematu, ten wieczór, który schodzi na rozmowie między Archaniołem Rafałem, zesłanym z nieba, żeby człowieka ostrzegł o niebezpieczeństwie, a Adamem. Adam pyta, co to był bunt Aniołów, jak się odbył, i jak odbyło się stworzenie świata. Archanioł opowiada. To opowiadanie, zwłaszcza walka Aniołów wiernych ze zbuntowanymi, ich wzajemne wyzywania się, jak się kłóci Szatan i Belial z Michałem i Abdiem, to prawie nie ustępuje dwom pierwszym pieśniom. Szczegół ciekawy, to ta machina wojenna, która w walce wyprowadzają złe duchy: wieża, nabita i rozsadzona wszystkimi gazami, wszystkimi pierwiastkami ciał, które krążą w chaosie, machina pękająca, jakżeby przecucie bomb dynamitowych. Prześliczny także dalszy ciąg tej rozmowy Adama z Archaniołem, w którym Adam opowiada swój stan, swoje wrażenia, kiedy uczuł, że jest, że żyje, że myśli. Ochota jest wielka, żeby zamiast własnego głośnego świadectwa, dać czytelnikom wyobrażenie o przekładzie z jego ustępów. Niestety Milton, choć bardzo treściwy i zwięzły, pisze długimi okresami, długimi ustępami. Tego u niego niema nigdy, żeby jakiś obraz, jakaś scena, jakaś rozmowa, zamknęła się w kilku wierszach: jeżeli nie kilkadziesiąt, co jest najczęstsze, to w każdym razie kilkanaście. Z tej całości wyrwać część, nie zdaloby się na nie, bo bez związku nie dałaby wyobrażenia o scenie, obrazie, czy przemowie. W całej długości zaś przytoczyć kilka — a na dobrą sprawę trzeba kilkanaście ustępów — nie możemy z powodu miejsca.

Czego szkoda, to, że tłómacz nie podał na wstępie cokolwiek obszerniejszej wiadomości o Miltonie, o jego życiu, o innych dziełach. Wiadomość taka może nie byłaby zbyt cenną. Przy angielskich wydaniach znajduje się ją często, a tam zapewne mniej potrzebna, jak u nas.

W tych kilku słowach dzielimy się z czytelnikiem wrażeniem, jakie nam ten przekład zostawił. Wrażenie jest sympatyczne, jak po rzeczy poważnej, w pięknej myśli poczętej i dobrze wykonanej. Czytelnik, choćby uprzedzony najbardziej na korzyść tłómacza, nie powie, żeby jego tłómaczenie było bez zarzutu; najbardziej uprzedzony przeciw tłómaczowi, nie może powiedzieć, żeby ono podlegało wielu i ciężkim zarzutom. Jeden i drugi musi przyznać, że przez nie zapełniła się jedna luka, i to znaczna, w literaturze polskiej, bo ona dotąd nie miała na prawdę *Raju utraconego*, czyli nie miała dzieła istotnie wielkiego jednego z istotnie wielkich poetów.

St. Tarnowski.

— „Monographien zur Weltgeschichte“. XII. *Die Kreuzzüge und das Heilige Land*, von Ed. Heyck. (Velhagen Klasing und Bielefeld und Leipzig, str. 173). Autorowie „Monografij historycznych“, znanych już dobrze *Przeglądowi*, postępują eklektycznie, wybierając, bez najmniejszego względu na chronologię, tu i owdzie osobistości lub momenta historyczne. Być może. iż w końcu utworzy się z tego całość; tymczasem jednak wolałoby się widzieć w opracowaniach pewną konsekwencyę, zamiast odcieranych obrazów. Mieliśmy już Medyceuszów, Angielską Elżbietę, Bismarcka, Wallensteina, Anabaptystów, Aleksandra W., Faraonów i t. d.; obecnie główny wydawca, prof. E. Heyck, podjął się sam historyi *Wojen krzyżowych*, nie łatwych do zamknięcia w 173 stronach, przerywanych licznymi rycinami. Zadanie było tem trudniejsze, iż ze względu na cel należało zachować ton popularny i wedle możności lekki. Była trudność i z rycinami, gdyż z opisanych czasów pozostały tylko niezgrabne rysunki, ciekawe dla znawców, ale dla szerszej publiczności niezrozumiałe lub śmieszne. Obok nich tedy, ratując sytuacyę, umieszczono obrazy miejscowości zamków i miast Ziemi Świętej. Prof. Heyck dokonał istnej sztuki: opowiadanie jego, zrazu suche i wyraźnie nudne, ożywia się wnet i w równym tempie toczy się do końca, gdzie aż nazbyt przyspiesza biegu, urywając na św. Ludwiku to, co poświęcił Bohemundom, Tankredom i t. p. Wojny Krzyżowe uważa za niemal najważniejszy ruch w dziejach świata chrześcijańskiego, one bowiem, jego zdaniem, wyrwały świeckiego człowieka z askezy a przez to samo z pod wyłącznych rządów teokracji, wytworzyły w nim poczucie osobistej siły a zarazem i samopoczucie poszczególnych narodów, złączonych dotąd sztucznym węzłem państwa i Kościoła rzymskiego. One wypielegnowały rycerstwo, rozszerzyły zakres pojęć przez styczność z innemi ludami, z inną potężną wiarą i obyczajem, przerzuciły wyobraźnię poetów z cyklu Artusa i Karola W. na tajemnicze baśnie Wschodu i rycerskiej legendy bohaterów krzyżowych. Ale nie na tem koniec. Krucjaty były ziarnem, z którego powstały w Europie „obyczaj dworski, bogactwo i emancypacya miast, wzmoczenie się na Zachodzie stanu mieszczańskiego, laicyzacya wszelkich ludzi świeckich, ocknienie narodów i państw i podniesienie przeciw kierownictwu papieży, wielkie przewroty duchowe Odrodzenia i humanizmu: ruchy kacerskie i spory soborów, Reformacya, szukanie i odkrycie nowych dróg handlowych, wciągnięcie nieznanych dotąd krajów do ogólnego widnokregu“. Oto — dodaje autor — najogólniejsze tylko i najbardziej wytyczne skutki Wojen Krzyżowych.

Doprawdy ochota bierze zapytać, czy i Wojnę Trzydziestoletnią i Rewolucyę francuską i Kultur-Kampf pruski nawiązać należy do krucyat? Wyzwolenie społeczeństwa świeckiego z „askezy“ i kucie przez samych papieży broni, która się przeciw ich wła-

dzy obrócić miała — parękróć wyłożone są w ciągu dzieła. Warto również przyjąć do wiadomości to, czegośmy nie wiedzieli po dziś dzień t. j., że: *Die deutschen Kaiser waren es gewesen die seit Otto dem Grossen immer von Neuem das in Kleinlichkeit und Schmutz versinkende Papsttum emporgezogen und es mit der Höhe seiner Aufgaben zu erfüllen sich bemüht hatten...* Że zaś zdaniu temu postawa Sylwestra II wobec Ottona III dziwnie jakoś stawała w sprzeczności, więc załatwiono się ignorując Sylwestra a Ottona zbywając paru pogardliwemi słowami. Dziwna rzecz jednak, że założenie to nie krzywi całości opowiadania; autor umieszcza je jakby na uspokojenie swego niemieckiego sumienia, poczem wszędzie niemal bezstronnie opisuje wielkie prądy pchające ludy chrześcijańskie ku Ziemi Świętej, wielką również i piękną postać Urbana II, potem zapał religijny, ustępujący zwolna przed pobudkami świeckimi: chciwością zdobyczy, przygód, sławy i złota. Był czas — pisze — gdy udział w Wojnie Krzyżowej stał się modą; rycerz nie był skończonym rycerzem, jeśli choć części kampanii w Palestynie nie odbył. Według niego też głównym bohaterem pierwszej krucjaty był Bohemund, a nie Godfryd, który nie dorastając mu w polityce i sztuce wojennej, zawdzięcza swą aureolę głównie swej wzniosłości duchowej, czystości enoty, która go wywyższyła nad wszystkich. Tankred, to bohater z ballady, awanturniczy, dzielny, ale niezdolny do wielkich zamysłów, znakomity na podwładnego, ale nie na wodza; Rajmund, słaby, zmienny, wiktający wciąż siebie i drugich, zawsze ambitny i chciwy, a dający się na każdym kroku wyzyskać i podejść. Rola cesarzy greckich przedstawiona sprawiedliwie: ich wielce uzasadniony strach przed wojskami Zachodu. równie często niebezpiecznemi im samym, jak Muzułmanom; sposoby mniej lub więcej ucziwe pozbywania się nieproszonych a kosztownych gości, wreszcie wmięszanie tychże w wewnętrzne stosunki państwa i wynikię ztąd powstanie samozwańczego Łacińskiego Cesarstwa w Konstantynopolu. Wogóle w opowiadaniu osobistości, pomimo streszczenia formy, występują bardzo plastycznie; wśród zobopólnych walk i przewrotów pomiędzy chrześcijańskimi państewkami Syryi i Palestyny uderza wybitna działalność kobiet a raczej intrygi ich i ambicya, zbrojąca niejedną przeciw synowi lub bratu i ułatwiająca przechodzenie z jednego związku małżeńskiego w drugi, trzeci i czwarty. A wszędzie właśnie, współzawodnictwa, zawiści, głuszące w zawiązku najpiękniejsze zamiary lub niszczące wyniki krwawych i znojnych tryumfów. Dziś — powiada przy końcu autor — starczyłoby jednej noty złączonych mocarstw europejskich, aby Jerozolimę dla chrześcijan odzyskać. Podobna nota jednak nie ukaże się nigdy, ani jej możliwość dyplomaci przypuścić mogą, a to dla prostej przyczyny, że

chrześcian Europy tak dziś, jak w czasach krucyat, od silnego działania wstrzymuje niezgoda.

Jeśli jest prawdą, że Wojny Krzyżowe wzbudziły samo-poczucie narodów, to kreślenie ich dziejów podnieca bardziej jeszcze patryotyzm niemiecki autora. Ryszard Lwie Serce, osadarty z wszelkiej poezyi, odsiaduje, według niego, dobrze zasłużoną karę; przytem zabawia się nie źle w wygodnym więzieniu, pod którego okna ani się śni Blondelowi przychodzić. Fryderyk II za to jest ofiarą politycznej stronnicości, odziewającej się w pozory religii, a oburzenie na jego działalność na Wschodzie wzniecone głównie przez syryjskich baronów, patrzących niechętnie na nowego władcę z rodu Hohenstaufów. Jestto geniusz zapoznany, bo wyprzedził swój wiek, wznosząc się ponad wszelkie zapory poszczególnych zasad i wierzeń!!!

Trudno było nie zwrócić uwagi czytelników na te zbroczenia, tem niebezpieczniejsze dla zdrowego sądu, iż mniej jas-krawo niż tu występują w książce, gdzie roztapiają się w bar-wieniu, pod których rysami ujętej całości obrazu. Należy zaś jeszcze poskarżyć się, iż promienna postać św. Ludwika występuje za błąd, poczem, skończywszy z zarzutami, pozostają już same pochwały tak co do struktury dzieła, jak i co do jasności w opowiadaniu i świeżości lokalnego kolorytu w opisach.

T. W.

— *Die Erfindung der Buchdruckerkunst.* Zum fünfhundertsten Geburtstage Johann Gutenberg von Oberbibliothekar Dr. Heinrich Meissner und Dr. Johannes Luther. (1900, str. 113). — Nie podobna nie zainteresować się genezą największego wynalazku, na jaki dotąd stać było umysł człowieczy. Nie potrzeba rozwoździć się nad ogromem jego działania i skutków ani porównywać go z wynalazkiem prochu. „Ołów użyty do druku silniej działa, niż ołów kartaczy“ — mówił wkrótce po jego rozpowszechnieniu jeden z wielbicieli tej nowej sztuki. Była istotnie nowa, ale jak wszelka sztuka, jak sam proch, którego wynalezienie poszło w przysłowie jako miara rozumu — nie powstała od razu. Korzenie jej sięgają przedhistorycznych czasów; Gutenbergowi jednak było dopiero danem uszczknąć zeń owoc i podać do użytku ludzkości. Za pierwszego wynalazcę druku mianym był zrazu... Saturn, pocziwy stary Kronos, który o tyle tylko mógł tu być czynnym, o ile „czas“ przynosi i unosi z sobą rzeczy i ludzi. Podanie wszakże musiało być rozpowszechnione szeroko, skoro dwaj uczeni XVI wieku, Gilbert Cognatus i Konrad Peutinger uznali za godne swojej sławy polemizować z niem w długich rozprawach; dosyć zaś spojrzeć w czarne i dziwnie bystre oczy Peutingera, patrzące z niezwykle wykwintnej a intelligentnej twarzy, by wiedzieć, że się nie zniży do walki z ładającą błahostką. Kronos zatem ustąpił ze wstydem, a na jego miejsce wystąpił jako pretendent biblijny Hiob, wprowadzony

przez dr. Daniela Cramera z Szczecina. Ten opierał się na wyrażeniem przez Hioba życzeniu, aby słowa jego były żelaznem dłutem wyrte w ołowiu! Widać ztąd, iż dr. Cramer nie wiedział, że Hiob mógł zupełnie potocznie wypowiedzieć to zdanie, tak Fenicyanie bowiem, jak Hebrajczycy a następnie Grecy z homerycznych czasów ryli swe pisma stalowemi dłućmi na ołowiu, kamieniu i drzewie, co jednak żadnej styczności nie miało z drukiem. Inaczej rzecz się ma ze stemplem albo sygnetem. Tych w najdawniejszych czasach używano w Babilonie, wyrzynając na nich wklęsły znak lub monogram, który na miękką masę przybity występował wypukło. Zrazu, zda się, podobny sygnet był przedmiotem zbyt kownym, i dopiero z czasem użyto go do pieczętowania listów i do uwierzytelniania aktów. Od podobnych pieczęci — według autora — przeszli ludzie do bicia monety, co przypisywanem już bywa Fejdonowi królowi z Argos w VIII wieku przed Chr. Wtedy podobiznę lub znak monarchy za pomocą młotka wybijano żelaznym stemplem na skórze lub miękkim metalu. Babilończycy posunęli się o jeden krok dalej. Przy ogromnem zapotrzebowaniu materyału budowlanego a mianowicie cegieł, wszczęła się przy wyrabianiu tychże konkurencya, której główni fabrykanci usiłowali zapobiedz, wybijając na swoich wyrobach własny stempel. Był on zazwyczaj drewniany z wyrzniętymi wypukło klinowemi literami, ustawionemi na odwrot. Z czasem poczęto znaczyć w ten sposób nie tylko cegły, ale gliniane tabliczki, naczynia i wałki, wybijając już całe wyrazy, zdania i modlitwy, wyrzeźbione poprzednio na drewnianym stemple. Takowe stemple i odbicia, znalezione w wykopaliskach babilońskich, przechowują się dziś po muzeach. Z Assyryi przeszła ta sztuka do Grecyi i Rzymu, gdzie w podobny sposób znaczone nie tylko naczynia, ale bochenki chleba, było i niewolników, używając przytem farby do uwydatnienia liter.

Oprócz zafarbowanych odbić stemplowych, znano w Grecyi przed Aleksandrem W. pożyczoną zapewne z Indyj sztukę drukowania tkanin. Naprzód tkaniny te malowano ręcznie, wkrótce jednak zaczęto wyrzynać arabeski na drzewie i zapuściwszy je farbą, na materyi odciskać. Z wyrobów tych nie pozostało szczątków, wiadomo wszakże, iż za Ptolemeuszów istniały wielkie fabryki drukowanych barwnie tkanin. Rzymianie znali już osobne litery, wycinane z drzewa lub kości słoniowej. Czy ich prototyp wzięli od Etrusków — jest rzeczą wątpliwą; hipoteza, przypisująca tym ostatnim wynalazek druku, powstała ze znalezionego na kamieniu napisu, wyciśniętego o ile sądzić można ruchomemi literami, a nie wyrzniętym na tabliczce napisem. W Rzymie luźne litery służyły ku zabawie dziatwy, która za ich pomocą uczyła się czytać. Kwintylian kazał później w tym celu dla uczniów swoich wyrzynać deszczułki, na których ślepi

nawet mogli się uczyć pisać. Na tym punkcie zatrzymało się społeczeństwo rzymskie, nie odczuwając potrzeby posunięcia dalej wynalazku.

W Chinach sztuka drukowania za pomocą stempli i wyrzynanych deszczulek wykształciła się niezależnie od wszelkich zachodnich wpływów. Autor kładzie znak zapytania przed datami wielkiej starożytności, oraz przed krociowemi cyframi, na jakie liczą drukowane sztuki płótna i jedwabiu, użyte przy porzeczbie pewnej cesarzowej lub liczbę 40000 drukowanych książek, mających stanowić w r. 980 po Chr. bibliotekę cesarza Tai-Tsong. Uznaje wszakże, według najnowszych badań, iż w X wieku druk zapomocą tablic drewnianych znanym był w Chinach. Wcześniej jeszcze używano czerwono zabarwionego stempla do znaczenia banknotów; Chinom bowiem zawdzięczamy wygodę papierowych pieniędzy; później użyto druku do wyrabiania kart do grania — również chińskiego wymysłu. Chińczycy jednak są zbyt konserwatywnym narodem, aby się módz od niego spodziewać postępu. Być też może, iż żywotność ich pod ciężką ręką tatarską zamarła i skamieniała tak, iż cały ich wysiłek starczył zaledwie, aby uzyskanego dorobku nie stracić... Dość, że od X w. po dziś dzień nie zmienili metody druku: na podwójną tabliczkę drewnianą wielkości zazwyczaj 8-o przykleja się dwie strony, wypisane starannie, według których wycina się tablicę; następnie zapuszcza się ją zapomocą twardej szczotki czarną i dość gęstą cieczą, poczem układa się nań czysty papier, po którym znów przesuwają się inną szczotką miększą i dłuższą. Że zaś papier jest bardzo cienki, tak, że druk po drugiej stronie przegląda, więc drukuje się tylko jedną podwójną stronę, którą się składa, zlepiając brzegi tak, iż czyni wrażenie zwykłej stronicy, takiej, jak w naszych książkach. Robotnik, wyrzynający tablicę, może co najwyżej 100 wyrazów wyciąć dziennie, za to praca jego jest trwałą, każda tablica bowiem może służyć do 16000 egzemplarzy druku a czasem i daleko więcej. O drukach arabskich autor nie wspomina, podaje wszakże podobiznę stronicy Koranu, wydrukowanej w X wieku tym samym zapewne sposobem, co w Chinach. Czy od nich, czy wprost z Chin sztuka ta przyszła do Europy? We Włoszech wprawdzie ustalilo się podanie, iż Marco Polo przywiózł, wracając z Chin, pierwsze książki drukowane nieruchomemi czcionkami, że Pamfilo Castaldi książki te oglądał i że chcąc je naśladować, sporządził z drzewa i z metalu pewną ilość czcionków ruchomych i w r. 1426 kilka stronnic niemi wydrukował. Włosi, zazdrośni o swoją sławę, wzniesli Castaldiemu posąg, który prof. Meissner radby obalić, gdyż protestuje nietylko przeciw rzekomemu wynalazcy ale i nawet przeciw importowi z Chin, stawiając natomiast śmiałą hipotezę cywilizacyjnego wpływu mongolskiego. Że sztuka wojenna ludów Zachodu ogromnie wiele Tatarom zawdzięcza, jest

rzeczą wiadomą, że również i mordercze najazdy przyczyniły się do rozszerzenia stosunków Europy z dalekim Wschodem za pośrednictwem missyonarzy, kupców a wreszcie i brańców, to także pewnem, ale chyba dotąd nikomu nie przyszło na myśl mówić o „cywilizacyjnym wpływie Mongołów“, tych Mongołów, którzy wstrzymali rozwój cywilizacji chińskiej a olbrzymie obszary wschodu Europy o parę wieków cofnęli wstecz.

Pierwsze druki w Europie, a raczej stereotypowe odbicia rysunków i pisma, uważane były raczej za wyrób rzemieślniczy, niż artystyczny. Wyrabiano tak dla większej szybkości i zbytu karty do grania, obrazki pobożne szasem opatrzone modlitwą, a wreszcie króciutkie broszury, które zwano listami (breve). Była to po większej części tandeta, roznoszona przez wędrownych przekupniów, musiała jednak tworzyć znaczne źródło dochodu, skoro rząd Rzeczypospolitej Weneckiej dekretem z r. 1441 zabronił surowo importu z za granicy podobnych wyrobów, tamującego zbyt wyrobów miejscowych. Prof. Meissner, nie wiedząc dobrze, jak sobie z tak wymownym dokumentem poradzić, a nie chcąc przyznać Wenecyanom tak wczesnych postępów w sztuce drukarskiej, pociesza się przypuszczeniem, że dokument pochodzi z r. 1491 a nie z r. 1441... Równie surowym okazuje się dla rytownictwa, które, pomimo iż grawirowanie na metalu znanem już było oddawna, weszło przeciw w użycie w Niemczech dopiero w połowie XV wieku. Powiada przytem, iż jest obojętnem, czy to złotnik florencki Maso Finiguerra w r. 1450, czy mistrz Dürera, strassburski złotnik Marcin Schön był wynalazcą sztuki. Tu zachodzi pewna sprzeczność między ilustracyami a tekstem, gdyż obok powyższego datowania rytownictwa od środka XV w. podaną jest duża podobizna ryciny na pergaminie, przedstawiającej bardzo ozdobny kawał architektury kościelnej a pochodzącej z XII w. Z metalu odbijano rysunki na przeróżne, szczegółowo w książce opisane sposoby, które jednak wszystkie z wolna ustępowały przed drukiem zapomocą wyrzynanych drewnianych płyt. Ulrich z Ulm w r. 1398 pierwszy jest wymieniony, jako pracujący nad wyrzynaniem podobnych płyt; po nim idzie szereg nazwisk i dat z początku XV w. W najstarszym z przywilejów udzielonym gildzie św. Łukasza w Antwerpii w r. 1440 wymienieni są malarze, rzeźbiarze (*Bildschmitzer*), fabrykanci szkła, ilustratorowie i drukarze; gilda św. Jana w Bruges obejmowała wszelkiego rodzaju pisarzy, nauczycieli szkolnych, księgarzy, drukarzy, ilustratorów, introligatorów i wyrabiających obrazki. Drukarze mienili swą pracę sztuką, a nie rzemiosłem, pragnęli być uważani na równi z pisarzami. Z czasem wyroby ich stały się coraz to liczniejsze i lepsze dzięki wydoskonaleniu przyrządów, mianowicie nożów do wycinania liter, oraz zastąpieniu pergaminu i papieru z bawełny gładkim a giętkim papierem lnianym. Od nich wszakże tj. od druku nieruchomymi drewnianymi czcion-

kami do nowożytnego sposobu drukowania czcionkami pojedynczymi był skok olbrzymi, od którego zawisła cała przyszłość sztuki. Ów skok, owo dopełnienie wynalazku, było genialnem dziełem Gutenberga.

Niesumiennie jest może kończyć sprawozdanie nasze tam, gdzie autor istotnie opowiadanie zaczyna. Postać Gutenberga wszakże tak jest znaną, jego dzieje tak uporczywie powtarzane przez książki dziecinne i podręczniki szkolne, że niema chyba powodu kreślić ich tutaj. W monografii prof. Meissnera postać mogunckiego junkra, wygnanego przez rewolucję mieszczańską, rysuje się wyraźnie; czytelnik sympatyzuje z jego pracą, z jego nieszczęściem i wytrwałością, przyczem uśmiecha się nad szowinizmem, z jakim autor odpędza wszelkich współzawodników, których różne kraje, nie licząc wymienionych już Włoch, usiłowały ozdobić ukradzioną mu chwałą. Późniejszy rozwój sztuki drukarskiej skreślony bardzo pobieżnie: chciałoby się mniej czytać o fachowych szczegółach, mniej o niewiele znanym drukarzu Pfisterze, a więcej o wielkim drukarsko-księgarskim zakładzie Kobergerów, więcej o Manuzziach, Plantinach, Moretusach, Elzewirach i t. p. Co prawda, byłaby to historia sztuki drukarskiej, a nie historia jej wynalezienia. Widzieliśmy z niej, jak długo nieraz ludzkość pracuje, jak żdźbło po żdźbło przynosi dla utworzenia stosu i musi czekać, aż iskra z nieba niespodzianie w nim roznieci płomień, którego blask do końca świata przyswiecać będzie ludzkości.

T. IV.

— *Mirabeau*, von Professor Dr. B. Erdmannsdörfer. Mit 4 Kunstbeilagen und 95 Abbildungen. (Bielefeld und Leipzig Velhagen u. Klasing. 1900). — Jeżeli gdzie, to przy tej książce będzie szkoda, jeżeli czytelnicy zapomną o tekście, zapatrzeni w piękne a ciekawe ryciny. Ze wszystkich monografii, tego cyklu, życiorys słynnego trybuna jest jeśli nie najciekawszym, bo w innych jest więcej wiedzy — to przynajmniej najlepiej skreślonym. Prof. Erdmannsdörfer może styl swój przyrównać do stylu Grimma w cudnem dziele o Michale Aniole. Pod ich piórem język niemiecki staje się przejrzystym i lekkim, zdania przedstawiają się mierzyć na kilometry, opowiadanie zajmujące jest i żywe. Przy obecnym temacie był skrupuły, którego Dr. Erdmannsdörfer ominął szczęśliwie: nie utonął w odmętach Rewolucyi francuskiej, ale zeń bohatera swego wydobył, zostawiając dokoła niego tyle tylko wypadków, wiele było potrzeba dla dokładnego objęcia przedmiotu. A przedmiot obszerny, choć życie było krótkie, gdyż „40 lat poprzedzające jego wstęp na publiczną arenę przepełnione były więcej, niż długi żywot dziesięciu przeciętnych ludzi. Odtąd żył już tylko dwa lata, w tym krótkim czasie jednak imię jego zaważyło na dziejach świata.“ „Było to życie, namiętności pełne od początku do końca, złożone z najjaskrawszych przeciwieństw, pełne najwyższych myśli i celów,

a zeszecone brudem najpodlejszych błędów i najbardziej poniżających kolei; życie pełne miłości i nienawiści, wstępu i podziwu, pogrzebień i tryumfu, sławy i hańby — tak w złem jednak, jak w dobrem, nacechowane piętnem wielkości.“

Podobna charakterystyka przypadłaby niejednej osobistości w historii, nie mniej przeto należy w tym wypadku na nią się zgodzić. Autor tłumaczy wiele jej rysów południową krwią prowansalską, ową mieszaniną materiałów palnych, z której wychodzą kolejno typy rycerzy, trubadurów, trybunów i Tartarinów. Rodzina de Mirabeau, nie pochodząca z Florencyi, jak czasem mniemano, znaną była w Prowancyi od XIV w., ale do, piero za Ludwika XIV przyszła do znaczenia i margrabskiego tytułu. Wyznawcy teoryi atawizmu mogliby ją przytaczać na poparcie swych twierdzeń. Z ojca na syna powtarza się usposobienie burzliwe, nieokiełznane, obok niezaprzeconych zdolności, powtarzają się również rodzinne dramaty, niezgoda w stadłach, awantury, procesy, rozwody. Wielki mąż rodu, Antoni, nie postąpił w randze wojskowej, bo przedstawiony „królowi-słońcu“ powiedział mu w twarz grubiaństwo. Była przytem wciąż sprzecznosc między wzniosłością myśli, a niecnotą czynów, podniecona jeszcze tradycyjalnym złym wyborem żon. Dom, w którym się urodził Gabryel Mirabeau, był istnem piekłem: matka płocha, zła, przegrywająca w karty niewielki majątek, ojciec, margrabia Wiktor, wielce uzdolniony ale również płochy i bardziej jeszcze gwałtowny. Dzieci chowały się wśród nieustających waśni, stając kolejno za jedną stroną lub drugą, widziały, jak ojciec wyjednałszy list pieczętny (*lettre de cachet*) na żonę kazał ją na czas jakiś osadzić w więzieniu. Rzeczy pogorszyły się jeszcze w skutek sukcesyi, spadłej na margrabinę po matce; wtedy poczęły się skandale, kłamstwa i wodzenia po sądach, którym dopiero w r. 1789 zgon męża położył koniec. Ona sama miała 1794 r. umrzeć w więzieniu, zostawiając 1.000.000 długów. To był chleb powszedni, wewnętrzna istota życia. Dla potomności została tylko sława literacka Wiktora de Mirabeau. Pisał rzekomo dla oderwania myśli od trosk, ale w istocie miał w sobie to, co autor zwie *den Teufel der Scribomanie*, a obok tego demona gwałtowny nawal myśli i produktywnosc szaloną. Zaczął przez wiersze, komedye i dramaty, o tych jednak nie zostało pamięci. Za to pisma polityczne, zrazu anonimowo wydane, wywołały wiele rozgłosu. Z początku były to, jak w *Testament politique* i *Mémoire sur l'utilité des Etats provinciaux*, napaści na centralizację rządu, doprowadzoną w tych czasach do ostateczności, napaści, które, acz pisane w duchu nie rewolucyjnym, ale starofeudalnym, nie mniej przeto podkopywały tron. Sprawił niemi wrażenie tak silne, iż Marya Teresa kazała się wywiadywać o nazwisko autora; przypuszczano, że jest nim Montesquieu. Prawdziwą jednak sławę zyskało mu dopiero pismo: *L'Ami*

des hommes, o ciężkim stylu, ale namiętnie wyrażonych teoryach. Tu również walczył przeciw centralizacyi i czynszownictwu. radził bogactwo kraju oprzeć na rolnictwie, a nie na spekulacyach pieniężnych, żądał, aby szlachta z dworackiej stała się ziemiańską i patryarchalną, żądał opieki i miłości dla ludu wiejskiego, wołał na króla, aby się stał *un roi pasteur*. Tym razem zaciekawienie czytelników zmieniło się w podziw, jeden tylko Quesnay, ojciec nauki ekonomii politycznej, znalazł dzieło bladym. nie dość gorącym dla ludu, nie dość bałwochwalczem dla roli. Wiktor Mirabeau poddał się pokornie jego zdaniu i wkrótce stał się najgorliwszym z jego adeptów. Wkrótce potem wydał *La théorie de l'impôt*, paszkwil przeciw instytucyi t. zw. *fermiers généraux*. to jest przeciw wydzierżawianiu podatku finansistom z zawodu, którzy wprawdzie płacili wiernie za wszystkich należności rządowe, ale też potem kraj wyciskali bez miary. Ośmiodniowa więzienna kara za ten śmiały utwór otoczyła autora aureolą męczeńską. Fizyokratyzm — tak zwano teorię Quesnay'a — stanął u steru rządów w osobie Turgota, po dwóch latach jednak musiał ustąpić; na rolę obronną z jednej strony spychał go Rousseau, z drugiej Encyklopedyści. Pomiędzy tymi dwoma pozostało stronnictwo monarchiczno-ludowe, którego patryarchą był margrabia de Mirabeau. Ostatnie jego dzieło: *Le devoir*, zwalczające nowe materyalistyczne prądy, dziwnie mu siało się wydać, wychodząc z pod jego pióra. Wówczas atoli więcej było podobnych sprzeczności: Ludwik XVIII, czy też Filip Orleański mówił, że Rousseau „miał pióro królewskie a duszę lckajską“ *La plume d'un prince et l'âme d'un valet*, o Wiktorze Mirabeau prof. Erdmannsdörfer pisze, iż była to *eine simpatisch-antipatische Natur*.

Starszy synek jego otruł się, wypijając atrament z ojcowskiego kalamarza; młodszy Gabryel Honoré nie otruł się, ale upoił ojcowskimi pismami. Urodził się w 1749 r. z krzywą nogą, z dwoma zębami i olbrzymią głową; resztki urody, jakie mogły być w rysach, miała niebawem zeszpecić ospa. Istne „dyabelskie szczenię“, jak mówił ojciec, zmuszony wnet do walczenia z nieokiełznaną naturą chłopca, podobną do jego własnej natury, bo nieznośną a pociągającą zarazem, w tem zaś różną, że u Gabryela wszystko było spotęgowane, większe. Niestychanie zdolny, uczył się, bo mu nauka szła łatwo, w złem jednak wyrastał gnieździe i napomnienia kapłana, któremu go w opiekę oddano, gdy z nim w domu nie podobna było wytrzymać, nie wywarły żadnego wrażenia. Podczas służby wojskowej szalał tak strasznie, że mu ojciec kazał nosić nazwisko jednej ze swoich wiosek, aby rodzinnego oszczędzić. Zdalo się, że go uspokoi małżeństwo i być może, iżby tak było, gdyby Gabryel znalazł był szczęście domowe. Ale snąc nad związkami w tym domu ciężyło jakieś przekleństwo, a zresztą i sam Mirabeau

był tu winien. W rok po jego ożenieniu się z Emilią de Margnane w całej Prowancyi poczęto gadać o jego rozrzutności i gwałtownem obejściu, o jej nieprawidłowem życiu. Gdy skandal i długi wzrosły nad miarę, stary margrabia, ratując syna przed wierzycielami, otrzymał „list pieczętny“, skazujący go na więzienie. Prof. Erdmannsdörfer na rachunek tych „listów pieczętnych“ powtarza zużyte a niesłuszne skargi na ówczesny wymiar sprawiedliwości. Widać, iż nie zna nowej literatury powstałej około Bastylli i odkrytych jej aktów tajemnych. Powiada n. p., że zamykano ludzi bez sądu: to prawda, ale ich zamykano po dochodzeniu winy, poczem dopełnienie śledztwa i sąd odbywały się swoim trybem, jeżeli chodziło o ukaranie, a nie o uratowanie, o poprawienie winnego. Oslawione *lettres de cachet* mogły czasem ulegać nadużyciu, ale w wielkiej większości wypadków były opatrnością rodzin, pragnących ocalić przyszłość jednego ze swych członków, oszczędzając mu publicznego procesu karnego, albo też, jeśli już honor jego był bezpowrotnie skalany — oszczędzić własną cześć, grzebiąc go na czas jakiś a winę jego na zawsze w cieniu absolutnego milczenia. Dział spraw politycznych skąpy jest w papierach Bastylli stosunkowo do działu spraw rodzinnych, które wszystkie za Ludwika XIV i Regenta a często i później przechodziły przez ręce królewskie. Marszałek nadworny, *le ministre de la Maison du Roi*, mający moc podpisywania dekretów, strzegł pilnie, aby zawiść lub chęć skarzających nie wprowadzały w błąd sprawiedliwości, zniżał się przytem do szczegółów, podejmował starania, o których dziś ani by sobie dał gadać nowożytny sędzia; toż nieraz sprawa ubogiego szewca, krawca lub szklarza całemi tygodniami zajmowała uwagę ministra, równie dbałego o honor tych biedaków, jak o cześć margrabiów i książąt. „List pieczętny“ nie pociągał za sobą hańby dla aresztowanego, był to zatem często używany przez rodziców sposób doprowadzenia do porządku dzieci, z którymi inaczej nie mogli sobie dać rady, wola rodziców zaś była prawie zawsze szanowaną przez władzę. Użył jej też, jak widzieliśmy stary margrabia względem rozhukanego syna. Gabryel siedział zamknięty w zamku If, następnie w twierdzy Joux, tu i tam zrazu traktowny z względną surowością, ani zbliżoną wszakże do ścisłości więzień dzisiejszych. Toż w Bastylli więźniowie urządzali sobie biblioteki, hodowali koty lub ptaki, grymasili nieprzyzwoicie w jedzeniu i ubraniu, płaconem z królewskiego skarbu, a w Vincennes, najszorstszym ze wszystkich więzień ówczesnych zarządcy udawali, że nie widzą, iż niektórzy z uwieczonych. noce całe spędzali w Paryżu. Trzeba to wiedzieć, aby zrozumieć, że Mirabeau zamknięty w Joux mógł bywać częstym gościem u margrabiego de Monnier i odwzięczyć się za przyjęcie, uciekając do Amsterdamu z jego żoną, obładowaną pieniędzmi i kosztownościami małżonka. Było

to pono jedyne szczere i głębokie, acz grzeszne uczucie przyszęłego trybuna. Pani de Mounier zabrała była z domu co jej pod ręce wpadło i z tego dobrowolni wygnańcy żyli czas jakiś; gdy zaś pieniędzy nie stało, Mirabeau wziął się do pióra. Kolejno ukazały się *Essai sur le despotisme*, wierne jeszcze odbicie teoryj ojca, potem szereg broszur, coraz to bardziej skrajnych, przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy. We Francyi tymczasem skazano go zaocznie na śmierć a margrabinę na więzienie w klasztorze; gdy jednak rząd hollenderski w skutek zabiegów ojca oddał go władzom francuskim, poszedł nie pod miecz, ale pod klucz do Vincennes. Ztąd, pomimo ścisłej rzekomo straży, zdołał wydać parę paszkwilów, rozechwytych w Paryżu: *Les lettres de cachet, Prisons d'Etat* i mnóstwo listów, przechodzących lub nie przez cenzurę więzienną. Najwięcej ich było do margrabin, przypominających ton *Nowej Heloizy*; romans toczył się dalej z zamknięcia i oddalenia, ale żył już tylko siłą wyobraźni i zgasł przy pierwszym zetknięciu z rzeczywistością. Mirabeau siedział trzy i pół lat w Vincennes, aż w r. 1780 ojciec, potrzebując go do procesu przeciw jego matce, wydobył go z więzienia. Zaczęły się okłamywania między ojcem a synem, ojcem a matką, synem i tegoż małżonką. Mirabeau, uzyskawszy skasowanie swej kondemnaty, stanął prawnie po stronie ojca przeciw matce, poczem gdy ta sprawę wygrała, przeniósł się ku niej. Żona tymczasem, nie chcąc już o nim wiedzieć, wytoczyła proces rozwodowy, używając jako obrońcy prawnego znanego z wymowy adwokata Portalis, późniejszego twórcy *Kodeksu Napoleońskiego*. Mirabeau sam sprawy swej bronił i wtedy to po raz pierwszy wyszły na jaw jego szalone bogactwa wymowy. Proces ten stał się rozgłośnym skandalem, bo ludzie zjeżdżali się, by słyszeć mowców zapasy. Mirabeau sprawę przegrał, z ojcem poróżnił się na dobre, a z walki wyszedł osławionym i — sławnym. Nie mógł się już pokazać we własnym świecie, więc pojechał do Anglii, gdzie również nie wzbudził sympatii. Gniewny przeto na tych, co go odrzucili, puścił w obieg satyrę o instytucyi szlacheetwa. Wróciwszy do Paryża w r. 1785, zdał się nieco uspokojonym, przynajmniej trafił na kierunek, w którym mógł sobie i krajowi oddać usługi, choć i tu krytyka cudzego działania na pierwszym stała miejscu. Rozprawa *Le Comptoir d'escompte* tak wielki zyskała rozgłos, iż minister Calonne zbliżył się do autora i jął pióra jego używać. Mirabeau pisał dalej, walcząc z nadużyciami, z lichwą i spekulacją giełdową. W krótkim czasie doszedł do ogromnej znajomości spraw pieniężnych i finansowego świata, przyczem ujrzał się otoczonym pokusami korzystania z nowej wiedzy i stosunków dla siebie, i dziwnem jest wobec jego braku skrupułów, że ani chwili, mimo pustej kieszeni, nie uległ pokusie. Całą jego ambicyą było otrzywać posadę rządową, a że mu jej nie dano, czuł się pokrzyw-

dzonym, uważał jednak, aby nie zerwać z ministrem. W następnym roku (1786) podążył do Berlina, „by sobie oszczędzić wyrzutów sumienia, że nie poznał takiego człowieka, jak Fryderyk II.“ Tu poseł francuski znać go nie chciał, ale król przyjął go dobrze, za królem zaś ks. Henryk, (ten sam, co jeździł do Katarzyny II rozbiór Polski ułożyć) i wszystko, co było znacznym rozumem lub stanowiskiem. Uczęszczał zwłaszcza do otwartych, wówczas salonów żydowskich, a mianowicie do pięknej Henryetty Herz. Wtedy przyjaciele jego w Paryżu otrzymali dlań od Calonne'a posadę tajnego agenta przy dworze berlińskim. Takich od 200 lat wszystkie używały dwory; we Francyi zwano ich „uczciwymi szpiegami“ — *les espions honnêtes*. Płaca była niska, ale był to wstęp do kariery. Mirabeau okazał się zręcznym w wywiadywaniu się i zdawaniu sprawy swemu rządowi. Gdy Fryderyk II umarł, dziwił się chłodowi ludności, który w końcu wytłómaczył sobie przesytem: *On en était fatigué jusqu'à la haine*, dodawał. Głównym owocem tego pobytu był plan reformy rządu w Prusiech, podany przezeń Fryderykowi Wilhelmowi II, oraz dzieło: *La monarchie prussienne sous Frédéric II*, napisane na wspólnie ze Niemcem, Francuzem, Mauvillon. Po roku Mirabeau wrócił do ojczyzny, bo mu dolegały długi. W Paryżu rzucił się znów do pióra, raz wraz wydając broszury, karzące namiętnie każde nadużycie, każdy błąd z osobna i wszystkie, pospół. Wyraz „konstytucya“ ukazywał się coraz częściej na jego kartach, bo też był w dzisiejszem słowa znaczeniu streszczeniem jego programu. Widział zbliżającą się rewolucyę, jako siłę konieczną i nieuniknioną, chciał, aby pokierowano ruchem ku celowi marzeń ojca i jego własnych, to jest zachowaniu starej monarchii, opartej nie już na stanach i radzie ministrów, ale na zgromadzeniu parlamentarnem i na ludzie, bez różnicy klas, bez przywilejów, bez pośrednich warstw między najniższym z obywateli a tronem. To była essencya jego myśli, wyrażanych z takim zapałem to po stronie korony, to ludu, iż obie partye mogły go uważać za swego. Czytano je więc skwapliwie i autor niepostrzeżenie stawał się potęgą. Dokoła wypadki wikłyły się coraz bardziej, aż wreszcie wszelka nadzieja ratunku zawisła na zebraniu Stanów Generalnych, zwołanych na 5 maja 1789 r. Mirabeau czuł, że „dzień jego świta“. Pragnął do rządu się zbliżyć, ale na nieszczęście pomiędzy jego politycznym geniuszem a ludźmi stała jego brudna przeszłość i jego teraźniejszość, nowemi wciąż skandalami kalana. Minister spraw zagranicznych, Montmorin, programu wprawdzie nie odrzucił, ale go lekcewał; Necker, „cnotliwa mierność“, nie chciał rąk zwać zbliżeniem się do jawnogrzeszniaka. Nie było mowy o poparciu przez rząd kandydatury jego na Zgromadzenie. Mirabeau wszakże nie dał za wygrane; ale dla pozyskania mandatu potrzebował pieniędzy, a że mu ich ojciec odmawiał, odważył się za

pobudką pani Le Jay, jednej z następczyń margrabiny de Monnier, ogłosić drukiem depesze, które jako tajny agent wysyłał był z Berlina do ministerjum. Był to czyn haniebnym, odsłaniający tajemnice stanu, kompromitujące rząd francuski wobec Prus. Stosunki już były takie, iż autora, zasłoniętego przejrzystym anonimem, nie śmiano ukarać inaczej, jak spaleniem ręką kata pewnej liczby egzemplarzy książki. Nie dziw wszakże, iż gdy Mirabeau postawił swą kandydaturę z „większej własności“, szlachta odwróciła się odeń z pogardą. Wtedy zwrócił się do klas niższych, do ludu i mieszczaństwa Prowancyi i został przyjęty z zapalem, gdyż rozgoryczonych podatkami i głodem poił nadziejami wszelkiego dobra i wszelkiej wolności. Wpływ jego wzrastał tak szybko, iż gdy w tych czasach wybuchły rozruchy w Aix i w Marsyllii, starezyło jego wymowy, aby je ukoić.

Wstęp do życia publicznego stanowi erę w życiu Gabryela de Mirabeau. Nie było to nawrócenie, ale odtąd jego umysł począł górować nad charakterem, a zapal czynu zepchnął na drugi plan niższe namiętności. Na zebraniach Stanów Generalnych on jeden stanął ze świadomością celu, jeden z wytkniętym planem działania. Stanął zatem odosobniony, a to odosobnienie przetrwało cały niemal czas jego karyery i było jednym z głównych bezsilności jego powodów. Religii nie miał, zasad moralności nie znał, zasady polityczne za to posiadał zupełnie wyrobione i od tych nie odstąpił ani na chwilę. Co prawda, ognisty temperament jego nie wytrzymał nieraz pokusy porwania ludu swoją wymową; prof. Erdmannsdörfer mówi, iż tkwił w nim demagog, walczący ustawicznie z dojrzałym mężem stanu. W końcu jednak ten ostatni zawsze odnosił zwycięstwo. Mirabeau szedł z Rewolucją, bo uważał utrzymanie starego ustroju za rzecz szkodliwą i niemożliwą, ale pracował z całych sił, aby ruch powstrzymać w granicach swego ideału nowożytniej konstytucyjnej monarchii. Brak tu miejsca na podanie nawet w streszczeniu jego politycznego życia, zbyt ono związane z dziejami przewrotu, a dzieje to obszerne i długie. Dość powiedzieć, że czy się bratał z Jakobinami, czy usiłował zbliżyć do rządu, celem jego osobistym było zawsze wstąpienie do tego rządu w roli ministra: objęcie z poręki króla steru spraw krajowych. Do tego przyjść nie miało z powodu nietylko nieufności, którą wzbudzał jego prywatny charakter i rola koryfeusza, odgrywana przezeń wśród rewolucjonistów, ale też z powodu antypatyj, istniejącej między nim a Neckerem. Mirabeau miał przyjaciela od serca i kieszeni, hr. de la Marck; ten wspierał go pieniężnie, aby zadłużonemu dać możność oderwania myśli od trosk materialnych do pracy publicznej. Był też, a raczej starał się być jego pośrednikiem u dworu, ale napróżno — nawet audyencyi nie mógł otrzymać od Maryi Antoniny, która odpowiedziała, iż ma nadzieję, że jeszcze nie spadła tak nisko. Sława jego tym-

czasem rosła. Gdy Zgromadzenie Narodowe — ów rząd obok rządu — jęło nad konstytucyą pracować, Mirabeau, choć w skład komisji nie wchodził, wniósł się namiętnie w rozprawy, wypowiadał jedną mowę po drugiej swem porywającym słowem i pięknym głosem, mieniącym się od grzmiących tonów zapału do słodczy srebrzystych dźwięków. Wraz też obok wielkiego podziwu począł mieć wrogów, a co najmniej przeciwników, w party ludowej; taka zaś była o nim ogólna opinia, że gdy po strasznych scenach wersalskich, po upokorzeniu korony przed ulicznym motłochem i wymordowaniu gwardyi królewskiej, podniosły się głosy, oskarżające księcia Orleańskiego o spiskowanie przeciw królowi, Mirabeau został w oskarżeniu ujęty. Czy słusznie — powiedzieć trudno. Wkrótce potem rozpoczął na Zgromadzeniu kampanię przeciw gabinetowi Neckera, zawsze w nadziei zastąpienia go w urzędzie i pomimo cudów wymowy odniósł zupełną porażkę: Jakobini i dwór bali się go zarówno. Trzeba przyznać, że nie sama wtedy miotała nim ambicja; okropną musi być męczarnią widzieć monarchię, która się uratować pragnie, wlokącą się z jednego błędu w drugi, widzieć ministra, popularnego wprawdzie, ale nie umiejącego popularności wyzyskać, równocześnie czując w sobie samym lub lądząc się, że się posiada wzgardzone sposoby ratunku. Szturm był daremny, Mirabeau wszakże nie przestał działać, budząc zarazem podziw, niechęć i trwogę. W tych to czasach, jakby na pociechę, przyszło do skutku upragnione przezeń zbliżenie do dworu. Poseł cesarski, Mercy i hr. de la Marck, zwalczywszy wreszcie opór królowej, doprowadzili do tajemnego układu mocą, którego Mirabeau, nie ustępując ze swego politycznego stanowiska wśród Jakobinów, miał zostać skrytym doradcą dworu, jego anonimowym obrońcą, w zamian za grubą pensję z królewskiej skatuli. Umowa stanęła i nie została zerwaną do śmierci; nie wiele jednak pomogła. Mirabeau stał równie samotnym, jak wprzódy, nie utworzywszy po za sobą żadnego stronnictwa, walczący z jednej strony z Rewolucyą, wywracającą wraz z tronem cały ład społeczny, a z drugiej z nienastającą nieufnością tych, których miał być podporą, z ich działaniem pokątnem, sprzecznem z jego radami i własną ich korzyścią. Piastował, jak mówi autor, *ein Vertrauens Posten ohne Vertrauen...* Próżnemi tedy były jego usiłowania, aby parę królewską sprowadzoną prawie poniewoli do Paryża, skłonić do jawnego a rezolutnego opuszczenia stolicy, do osiedlenia się w Fontainebleau lub innym miejscu środkowej Francyi, gdzie pod chwilową eskortą gwardyi narodowej, któraby się nieznacznie na wierną straż wojska liniowego zmieniło; próżną rada utworzenia ministerjum z wnięszaniem kilku Jakobinów, którzy zdaniem jego otrzeźwieliby wnet, gdyby stanęli u władzy. Nie mniej płonniemi były chwilowe tryumfy, odnoszone przy dyskusyi nad prerogatywą królewską w sprawie

pokoju i wojny, nad brutalnym, według niego, rozdarcie prowincyi przez zaprowadzenie podziału Francyi na departamenty, lub wreszcie nad skasowaniem szlachestwa, co Mirabeau uważał za niepotrzebne drażnienie, skoro już przywileje szlachty znikną. Po upadku Neckera, do którego przyczynił się, występując ostro w obronie assygnatów, przeciw którym był również ostro poprzednio powstawał, został przez ministra Montmorin wciągnięty — zawsze tajemnie — do prawnej wspólności w rządzie. Wtedy to podał mu znakomite memorandum, zawierające obraz położenia i plan działania, plan organizacyi rządu i kraju. Projekt to obszerny, ostrożny i cichy, w braku siły oparty na zręczności, na pozyskaniu namową i złotem stronnictwa w parlamencie, rzuceniu na całą Francję sieci tajnej policyi, zdobywaniu różnemi środkami popularności przez królewską rodzinę. Zgromadzenie Narodowe miało być poprowadzone na drogę coraz to zuchwalszych kroków, coraz bardziej nieroztropnych i antypatycznych krajowi, tak, aby zdyskredytowane samo przez się upadło, a naród wśród klęsk anarchii jedynie w królewskiej władzy obaczył ratunek. Plan godnym był Macchiavella, a zarazem niesłychanie śmiałym. Wszelako Montmorin rozpoczął od razu urzęczywistnienie kilku jego punktów, mianowicie organizację policyi i partyi w Zgromadzeniu. Mirabeau pozostał „ministrem *in partibus*“, jako *spiritus movens* działania. Do jego roli nadal należało zyskanie mass, zdobycie w ruchu partyi górującej nad wszystkimi; czynność jego zatem stała się bardziej gorączkową, niż wprzód, przyjmował wszelki hołd, wszelką nominację, choćby szefa batalionu gwardyi narodowej, byle móż działać na ludzi, byle mieć nadzór nad zgubnem na każdym kroku działaniem Lafayette'a. Ten fałszywy bohater rycerskiego romansu, bardzo szpetnie z opowiadania wychodzi; to, co było połowicznością u płomiennego Mirabeau, wydaje się u niego dwulicowością na chłodno. Mirabeau dawał się w czynie unosić po za program swej woli. Tak n.p. gdy po rozpoczęciu akeyi ogólnej z ministrem Montmorin został po raz pierwszy wybrany prezydentem Zgromadzenia Narodowego zapomniał nagle o zdradzieckiej swej roli i czynił co mógł, aby podnieść i czynić użytecznym parlament, który podkopywać zamierzał. Były to wszakże ostatnie jego wysiłki. Liczył zaledwie lat 42, ale organizm jego był wyczerpany szalem namiętności, które go według słów pani de Staël splotły jak wąż Laokoona, zużyty nadmiarem pracy fizycznej i umysłowej. „Zanim poznałem p. Mirabeau — mówił Dupont — nie miałem pojęcia, wiele zdziałać można w przeciągu 24 godzin“. Zdrowie jego zresztą zawsze było słabem, hr. de la Marek nie widział go ani razu zdrowym; przychodził na obrady z gorączką, wychodził na trybunę z czołem przewiązanem, ze skronią jeszcze od pijawek krwawiącą. W pięć dni przed zgonem wywaleczył na sesyi ustawę

górnicyą, ważną dla przyjaciela: „Twoja sprawa wygrana — rzekł mu, wracając — ale ja umieram“.

Umarł w istocie 2 kwietnia 1791 r. w chwili, gdy jego rodzina i świat arystokratyczny zwracały się napowrót ku niemu, gdy stał u szczytu swojego wpływu w Zgromadzeniu Narodowym i jednego miał tylko nieprzejednanego wroga — Marat'a. Konanie długie było, a co gorzej śmieszne, bo teatralne. O Panu Bogu oczywiście mowy nie było, gdyż Mirabeau był jawnym i czynnym wrogiem Kościoła, a z domu, jak wiemy, nie wyniósł ziarna nauki matczynej, aby choć w ostatnich godzinach życia rozkwitło. Natomiast udrapował się w całą pompę fałszywego klassycyzmu, małpując epikurejski zgon bohaterów Tacyta, przyjmował deputacje i hołdy. Wysłańcy króla spotkali się u jego łoża z posłami jakobińskiego klubu, a było to symboliczne spotkanie, gdyż ten umierający stanowił jedyne acz słabe ogniwo, łączące ich dotąd pozornie. Nakoniec opium i maligna położyły koniec przedśmiertnej komedii. Pogrzeb odbył się wspaniale, poczem zwłoki złożono do Panteonu, zkąd jednak miano je wkrótce wyrzucić gwoli zasadzie, że „nie masz wielkiego męża bez cnoty“. Usunięto je, aby w ich miejsce złożyć krwawe szczątki Marat'a.

Że Mirabeau z całą swą inteligencyą nie był zdolnym wypadków powstrzymać — nikt chyba dzisiaj nie wątpi. Przyszł za późno, a jeszcze później na nim się poznano i to poznano po części tylko i zawierzono nieszczerze. Przyczyną zaś tego była właśnie ta prawda, którą obłudnie nad jego grobem wyrzekły zbrodnicze usta: grzechy prywatne wielkiego trybuna zaciężyły jak góra Atlasa nad jego życiem publicznem; odjęły mu siłę moralną, konieczną do działania na ludzi: *Es ist der Fluch der bösen That.* T. II.

— *Richard Wagner. Vorlesungen, gehalten an der Universität zu Wien, von Guido Adler.* (Leipzig, Druck und Verlag von Breitkopf & Härtel, 1904). — *Richard Wagners Briefe nach Zeitfolge und Inhalt.* Ein Beitrag zur Lebensgeschichte des Meisters, von Dr. Wilhelm Altmann. (Leipzig, Verlag von Breitkopf & Härtel, 1905). — Z tak obfitej literatury o Ryszardzie Wagnerze, najlepiej znane w Niemczech i za granicą są obszerne dzieła Glasenappa i Chamberlaina. Dlatego mówiąc o nowej książce o tym przedmiocie, najodpowiedniej jest powiedzieć, czem ona się od tamtych dawniejszych różni. Otóż praca p. Gwidona Adlera różni się od nich zasadniczo. Glasenapp naprzód jest przedewszystkiem biografem, i to tak sumiennym, że, zwłaszcza wobec nowych wydań jego monografii w sześciu księgach, powtórzenie tego przedsięwzięcia z innej strony *a priori* musi być na niepowodzenie skazanem. To też p. Adler życiorys mistrza podaje tylko na drugim, może nawet na jeszcze dalszym planie; charakterystycznym tego dowodem

jest fakt, że n. p. daty urodzenia Wagnera w samym tekście wyczytać nie można, aż dopiero w kończącej tom tablicy chronologicznej. Chamberlain znowu określił sobie podwójne zadanie: po pierwsze pojmuje on Wagnera nie tylko jako artystę, lecz i jako filozofa, moralistę, polityka, w ogóle jako reformatora całej ludzkości, zwiastuna nowej ewangelii; powtóre zaś pisze rzecz z zasadniczego stanowiska bezgranicznego dla miłośnika uwielbienia, które miejscami wydaje owoce, pociągające i porywające nawet chłodniejszego czytelnika, gdzieindziej jednak budzi niesmak nawet w entuzjastycznym. P. Adler w obu punktach od Chamberlaina jest odmiennym, co więcej nawet — nie wymieniając zresztą jego nazwiska — przeciwko niemu to ironicznie, to polemicznie występuje, mając prawie zawsze jego na myśli tam, gdzie walczy z tak nazwanymi przez siebie „wagnerytami“. P. Adler wyraźnie zastrzega się na początku, że mówić będzie o Wagnerze „jako o artyście w ogólności, o myślicielu i poecie, o poecie-kompozytorze, o dramatyku albo — powiedzmy poprostu — o kompozytorze oper, a nie o regeneratorze, o reformatorze, o twórcy religii, o filozofie, o polityku“. W tem zastrzeżeniu jest już zawarte stanowisko autora wobec bałwochwalstwa Chamberlaina i innych. Kto mówi o Wagnerze poprostu jako o „kompozytorze oper“, kto chce się poważnie zajmować tylko Wagnerem-artystą, nie Wagnerem-regeneratorem, ten zaprawdę „wagnerytą“ że już użyjemy wyrażenia mającego odróżnić tych ludzi od dawniejszych, dla sztuki wyłącznie się zapalających „wagneryanów“ — wagnerytą ten nie jest. Autor niniejszej książki sądzi zupełnie słusznie, że „dzisiaj walka o sztukę Wagnera już się zakończyła; ona zwyciężyła. Naszem zadaniem jest mówić nie za nią, a tem mniej przeciw niej, lecz o niej“. I o niej też p. Adler istotnie mówi w dalszym ciągu, spokojnie i przedmiotowo, jak przystało nauczycielowi akademickiemu, trochę chłodno, jak to już widocznie z jego osobistego temperamentu wynika.

Naturalnie w pierwszym rzędzie z naciskiem podnosi w kilku ustępach związek Wagnera z przeszłością, pokazując, że i ten wielki mistrz nie był jakimś oderwanem od dawniejszych i współczesnych dziejów sztuki zjawiskiem. „Wagner stoi jako kompozytor oper w ramach renesansowej epoki kultury i sztuki. Zasadnicze dążenia występujące w Wagnerze są mniej lub więcej identyczne z dążeniami założycieli tej epoki cywilizacji w ogólności, a przedstawicieli Renesansu w chwili rozkwitu w muzykalnym dramacie w szczególności. Choćby się przeciw temu nie wiem jak burzyło: faktów się nie obali“. I zaraz po tem „kacerskiem“ zdaniu, idą istotnie popierające je dowody. Nie dosyć na tem: w następnym wykładzie czytamy równie nieprawomyślnie słowa. „Sztuka Wagnera od chwili, gdy on doszedł do świadomości swej istoty, od okresu, kiedy — jak sam mówi —

tworzył z własnego wewnętrznego poglądu (to jest od *Latającego Hollendra*), stoi na gruncie romantyzmu“. I znowu idą szczegółowe argumenty. A obie tezy spojone powołaniem się na przykłady, jak romantycy w muzyce przyłączają się do klasycznych kompozytorów. Tak Wagnera sztuka rodzi się z muzyki Beethovena. „W rzeczywistości jego muzyczny dramat jest organicznym rozwinięciem romantycznej opery, zapłodnionem przez muzykę Beethovena“. Tu i wszędzie p. Adler mówi o „operach“ Wagnera, zwracając uwagę, że artysta sam określał swój ideał, jako „dzieło sztuki przyszłości“ (*Kunstwerk der Zukunft*), zależnym jest językowo od Feuerbacha, który napisał *Zasady filozofii przyszłości*, podczas gdy jego brat wydał *Religię przyszłości i Kościół przyszłości*. Poszczególne swe utwory Wagner, jak wiadomo, rozmaicie nazywał, protestując raz przeciw terminowi „dramat muzyczny“. „Cóżby był dopiero powiedział przeciwko używanemu teraz niejednokrotnie, przez wagnerytów przyjętemu wyrażeniu *Worttondrama*?“ — pyta autor, wyraźnie Chamberlaina zaczepiając. Poczem wyłuszcza swe krytyczne zapatrywania na istotę tego „dzieła sztuki przyszłości“; nie tylko odkrywa jego dawność, bo już za czasów Odrodzenia pojawiają się podobne dążenia, lecz sceptycznie patrzy na jego wartość, sądząc, że takie zesumowanie wszystkich sztuk odbywa się kosztem zmniejszonej siły i czystości każdej z poszczególnych sztuk. Tem samym chłodnym uczuciem owiane są zapatrywania autora na inne szczegóły twórczości i programu Wagnera: o zakryciu orkiestry n. p. sądzi, że ma ono i ujemne strony, bo świadomość tego, że się jest w teatrze, posiada pewien urok; w każdym razie „błędem byłoby chcieć uzależniać zupełną zdolność wywołania wrażenia oper Wagnera od takich warunków“. Ale nawet sławny *Festspielhaus* w Bayreuth nie budzi w nim zachwytu, przynajmniej nie wydaje mu się koniecznością: „Sztuka Wagnera stoi ponad Bayreuthem. Wagner należy dzisiaj do całego świata“. Oczywiście wobec tego nie może być autor zwolennikiem, przynajmniej nie jest obrońcą monopolu Bayreuthu, odnośnie do *Parsifala*, twierdząc, że tu działa przecież nie *genius loci*, ale *genius operis*.

Szczegółowy rozbiór dzieł Wagnera z osobna jest obszerny i zajmujący; nie mając prawa sądzić o muzycznej stronie tych wywodów, stwierdzamy tylko, że ta część zadania u p. Adlera traktowana jest dokładniej i szerzej, niż przeciętnie u innych. Na cele twórczości Wagnera stawia autor *Tristana i Isolde* jako klasyczny jego dramat muzyczny; *Parsifala* widocznie chłodnym swym rozumem w całej jego mistycznej głębokości pojąć nie zdołał, kiedy wygłasza o nim zdania, gniewające już nie tylko zachłannych „wagnerytów“. Nie mamy kompetencji do osądzenia, czy trafnem jest zestawienie tego ostatniego dzieła Wagnera z Franciszka Liszta *Legendą o świętej Elżbiecie*, lecz pogład, iż

„możnaby krótko określić *Parsifala*, jako żywe obrazy w towarzystwie muzyki i tekstu“, jest już nie spokojnym sądem, ani nawet objawem sceptycyzmu, ale chyba dowodem, że umysł p. Adlera, bystry w jednym kierunku, pewnych dziedzin ducha wprost pojąć nie może. Uderzyło nas także zupełne niemal milczenie autora o Nietzsche i jego dramatycznym stosunku do Wagnera: samotnik z Sils-Maria wspomniany jest coś trzy czy cztery razy tylko ubocznie i urywkowo i na tem koniec.

Jeśli książka p. Gwidona Adlera w każdym razie jest zajmującą lekturą, chociaż czasem niezadawalniającą, czasem gniewającą, to druga z wypisanych w nagłówku niniejszego sprawozdania, praca p. Dr. Wilhelma Altmanna, nie jest przeznaczoną do czytania, lecz ma i może oddać doniosłe usługi każdemu, kto badając samodzielnie życie mistrza, chce szybko i łatwo dowiedzieć się, jaką drogą dotrze do pożądanego rezultatu lub co się znajduje na drodze, którą iść zamierza. Listy Wagnera nie są nigdzie razem zebrane, ale rozprószone to po książkach, to po czasopismach, to wreszcie nie ogłoszone drukiem kryją się w prywatnych archiwach. P. Altmann postanowił, jak się wyraża w Przedmowie, dać to, czem dla historyków są rejestra dokumentów, t. j. chronologiczny spis wszystkich znanych mu listów Wagnera, z krótkim podaniem ich rzeczowej treści, oraz miejsca, gdzie były drukowane lub gdzie się w rękopisie znajdują. Jest tych listów niemało, bo przeszło trzy tysiące, na przestrzeni lat więcej niż pięćdziesięciu (ostatni pisany na trzy dni przed śmiercią), adresatów tu może paręset (kilkadziesiąt listów adresowanych nie wiadomo do kogo), między nimi i Matylda Wesendonk, której korespondencya z Wagnerem dopiero w r. 1904 została ogłoszona. Listów samych to suche wyciągi oczywiście nie zastąpią, lecz poszukiwaczom ich lub badaczom życia Wagnera ułatwią ogromnie pracę.

Dr. J. Flach.

Z literatury powieściowej.

— Adam Krechowiecki: *Mrok*. Powieść na tle historycznym XVII wieku. Z cyklu: *O tron*. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1905). — Już w r. 1797 Schiller spostrzegł, że jego *Wallenstein* ogromnie wzbiera. Wtedy serdeczny druh, Gottfried Körner, poradził mu, by zamiast jednej sztuki, napisał ich „cykl“. I tak powstała rzecz wielka rozmiarami i znaczeniem, błędnie jednak „trylogią“ nazwana. W starożytnej trylogii bowiem trzy utwory tworzyły wprawdzie wyższą jedność, należały ściśle do siebie, każda z nich jednak po za tem była zamkniętą w sobie, dla siebie i z siebie istniejącą całością. A tak nie jest ani z Schillera *Wallensteinem*, ani — z p. Adama

Krechowieckiego *O tron*. Wielki poeta przez wzgląd na teatr nie mógł przyznać, że pisze właściwie dramat w dziesięciu aktach z prologiem; wybitny powieściopisarz przez wzgląd na niecierpliwych czytelników nie chce przyznać, że pisze romans w czterech tomach, lecz mówi o cyklu i o poszczególnych jego ogniwach. Gniewać się za to ustępstwo wobec czytelników, nielubiących długich wielotomowych powieści, oczywiście nie można, trzeba jednak pamiętać, że dzisiejszy *Mrok* jest tylko dalszym tomem romansu: *O tron* — nie wiemy, czy i ostatnim. Pamiętać o tem winien i czytelnik i krytyk. Pierwszy, chcąc zrozumieć istotnie *Mrok*, musi przeczytać poprzednio dawniejsze tomy — co będzie dla niego zadaniem niezbyt trudnem, bo tamte książki, jak to we właściwym czasie wykazaliśmy, są i zajmujące i piękne — krytyk zaś z tego jedynie punktu patrząc na rzecz, oceni ją sprawiedliwie, zwłaszcza o ile chodzi o charakterystykę osób w poprzednich tomach już występujących i już wyraziście narysowanych. To też z miejsca musimy odeprzeć zarzuty, zrobione autorowi i powieści przez p. W. Gomulickiego w *Kraju* (nr. 46 z r. 1904). Krytyk gani „niejednolitość i mglistość głównej postaci utworu, Kazimierza Łyszczynskiego“, który za szerze nie niewiary został śmiercią ukarany. P. Gomulicki wyjaśnia tę wadę dwiema pobudkami, któremi p. Krechowiecki, jego zdaniem, się kierował. Raz mówi, że „autor z pobudek patryotycznych (według mnie fałszywie patryotycznych) chciał za wszelką cenę zmyć plamę z historyi swego narodu“ (plamę „intrygi klerykałno-politycznej“, której ofiarą padł Łyszczynski). To znowu utrzymuje, że autor „poświęcił prawdę gwoli napisania powieści, która byłaby i efektowna, i prawomyślna, i — nie obrażała nikogo, zwłaszcza możnych tego świata“. Po pierwsze: jak te dwie pobudki: godziwą i niegodziwą, pogodzić z sobą? Po wtóre: w r. 1904 pisać, że ktoś w powieści prawdę poświęcił, by nie „obrazić możnych tego świata“ — to doprawdy śmieszny anachronizm! To uchodziło n. p. w epoce swarów Emigracji paryskiej, lecz dzisiaj? Dogadzanie „możnym tego świata“ — i powieść: gdzie Rzym a gdzie Krym? Po trzecie i co najważniejsza: Łyszczynski nie w *Mroku* po raz pierwszy występuje, pojawia się przecież i w poprzednich tomach, z nich jest znany, powinien być znanym, a wtedy zaiste nie wyda się nikomu ani „niejednolitym“, ani „mglistym“. Przeciwnie, on jest od początku do końca „jednolity“, od początku do końca „jasny“. Prawda, nie stworzył go p. Krechowiecki na miarę Fidyasza, nie zrobił z niego ani Hussa, ani Lutra, ani Giordana Bruna, ani nawet Uriela Acosty, zrobił go od nich mniejszym. Zrobił go takim, po części niewątpliwie w skutek swego artystycznego temperamentu, w takich razach dość chłodnego i prawie sceptycznego. Lecz w tym wypadku temperament p. Krechowieckiego znakomicie godzi się z historycznemi i artystycznemi wymogami.

Można wraz z p. Gomulickim oburzać się na „intrygę klerykalno-polityczną“, której ofiarą padł Łyszczyński, ale i wtedy tej ofierze trzeba odmówić wielkości bohaterskiej: gdyby ją bowiem był w rzeczywistości miał, niewątpliwie nie byłby skończył w XVII wieku w Polsce na rusztowaniu, a nawet gdyby i tak było, byłby przedtem wznicił przynajmniej szalony huragan, straszliwy pożar, bo tak zawsze giną wielcy bohaterowie złego czy dobrego. Z artystycznych zaś względów niemniej należało — gdyby nawet historyczny Łyszczyński był większym — uczynić go chwiejniejszym, słabszym, co bynajmniej nie jest równoznacznem z mglistością i niejednolitością. Łyszczyński nawet taki na tle XVII wieku jest u nas niezwykle zjawiskiem, jaskrawszy byłby może historycznie prawdziwym, artystycznie nieprawdopodobnym¹⁾.

Dwoma drogami idzie akcja powieści. Jedna prowadzi przez dramatyczne koleje losów Kazimierza Łyszczyńskiego, który na początku tego tomu pielęgnuje chorą fizycznie, umysłowo zupełnie umarłą żonę Halszkę. By ją ratować, udaje się do sławnego żyda Betsala. Tu tkwi początek ostatecznej katastrofy: żyd chorej nie uzdrawia, natomiast mota sieciami zdrady Kazimierza, gniewny na niego za to, że Łyszczyński od wiary odwodzi nie tylko chrześcian, ale i młodzież izraelską. Wokoło nieszczęśliwego człowieka zacieśnia się koło intrygi, prześladowania i pomsty; jedna tylko Rachel, córka Betsala, wybrana przez niego, by powtórzyła straszną misję Judyty wobec Holofernesa, budzi w nim wprawdzie ognie trawiącej go zmysłowości, lecz i sama pokochawszy go, pragnie go ocalić. Ta część opowiadania biegnie żywo, z siłą i dramatycznością. Niestety jednak w chwili, gdy wszystko zdaje się zmierzać do tragicznego rozwiązania, przerywa ten wątek druga sprawa, w tytule *O tron* tak znacząco podkreślona. W samym fakcie istnienia dwóch akcji, nie ma błędu: dramat tego nie dopuszcza, powieść bardzo lekko znosi. Również — jeszcze raz powołujemy się na sprawozdanie o dawniejszym tomie p. t. *Sława* — działalność przeciwnego Janowi III stronnictwa, rozgrywająca się na gruncie berlińskiego pałacu elektorskiego, jest jedną z najcelniejszych kart powieści, ma zajmującą charakterystykę i nieskrzywioną narodowemi uprzedzeniami prawdę. Ale mimo to żal, że autor nie potrafił w tym punkcie obu akcji tak uporządkować, by sobie wzajemnie nie przeszkadzały, i Łyszczyńskiemu, zmierzającemu prosto do stosu kacerskiego, kazał przedtem odbyć wycieczkę dy-

¹⁾ Już po wydrukowaniu niniejszego sprawozdania pojawiła się w nr 50 *Kraju* replika p. Krechowickiego, który odpowiadając p. Gomulickiemu, powołuje się — jak i w naszej recenzji — na poprzednie tomy swej powieści, oraz udowadnia, że historyczny Łyszczyński zgodnym jest z jego kreacją. (P. a.)

plomatyeczna do Berlina. Raz jednak zgodziwszy się na to, patrzy się na dalszy rozwój wypadków z zajęciem, szczególnie na ukształtowanie się zasadniczego zagadnienia: czy margrabina Ludwika Karolina, córka ks. Bogusława Radziwiłła, wdowa po elektorowiczu Ludwiku, poślubi królewicza Jakóba i Sobieskiego zbliży temsamem do upragnionego stworzenia dynastji, czy też odda rękę Karolowi Filipowi, ks. Neuburskiemu, niwecząc plany Jana III i gotując mu upokorzenie. Intrygi obustronne przedstawione żywo, a jednak zawsze znać, że autor nici z rąk nie gubi. Tylko broniąc Łyszczyńskiego przed zarzutem niejednolitości i mglistości, musimy zganić rysunek Ludwika Karoliny. Oto ta dziecinna, serdeczna, szczebiocąca Luka, której autor raz po raz nawet „dziewiczość“ zapewne tylko w przenośnym znaczeniu przypisuje, nagle przeobraża się w skrytą, chytrą, bezwzględną intrygantkę. Przeskok zbyt gwałtowny i nie tłómaczy go nawet namiętne pragnienie korony polskiej, zrazu przez królewicza Jakóba, potem przez ks. Karola. Po tem wykojeniu akcja idzie dalej połączonemi harmonjnie drogami. Partya królewska pokonana, król sam w rosnącym „mroku“ coraz smutniejszy, Łyszczyński, porzucony przez nadużywających go do politycznych celów protektorów, pojmany, osądzony na śmierć, odwołuje swe bezbożne zdania i nauki, ginie od toporu kata, poczem ciało na stosie spalone jest i z armaty na wschód, w stronę tatarskich siedzib wystrzelone. Rachel nawraca się na wiarę katolicką.

Jak poprzednie tomy *O tron*, tak i ten, budząc w umysłach wszystkich czytelników dużo zajęcia i wrażenia, wśród grona głębiej patrzących budzi i szacunek dla autora. Bo jeśli utwory p. Krehowieckiego nie wolne są tu i ówdzie od skaz, to wolne są zawsze od jednej wady, która tyle innych powieści czyni nie złemi już, ale wprost szkodliwemi. Oto nie są one nigdy niskie, nigdy pospolite, zawsze mają godność i dostojność kultury i smaku artystycznego. To ich wysoka wartość, tem wyższa, gdy ją zestawimy z pospolitością, gminnością wielu daleko popularniejszych.

Ale załatwiwszy się z książką napisaną i wydrukowaną, powiemy w końcu o książce napisanej, lecz nie wydrukowanej, raczej nie wydrukowanej jeszcze w książkowym kształcie. Chętnie pisząc o p. Krehowieckim, jako powieściopisarzu, chciałbym móżdż pisać i o p. Krehowieckim, jako krytyku teatralnym. Te krytyki są już napisane i wydrukowane, w rocznikach *Gazety lwowskiej*, niechaj je tylko autor, wzorem francuskich i niemieckich pisarzy, w obszernym wyborze złączy. Nie zawsze się godzę na ich sądy, a gdyśmy obaj przez pewien czas w jednym mieście w różnych dziennikach byli teatralnymi sprawozdawcami, te różnice występowały jawnie, nawet czasem jaszkrawo. Niemniej jednak sądzę, że taka książka powinna się,

i to wnet, ukazać. Autora, szerszej publiczności dotąd jedynie jako powieściopisarza, pokaże z innej, niemniej poznania godnej strony, literaturze dostarczy książki zajmującej, rozumnie i szlachetnie napisanej, dobrej. Oddając więc *Mrok* z życzliwą oceną z rąk autora w ręce czytelników, proszę autora w ich imieniu o *Krytyki teatralne*.

Dr. J. Flach.

— Jan Łada: *Sweet Boy*. Trzy nowelle. (Lwów, Towarzystwo wydawnicze, 1904). — Rzadko ogłaszający swe utwory p. Jan Łada (jak powszechnie wiadomo: pseudonim), należy do nowellistów, których się jednak najchętniej czyta. Poniekąd dlatego właśnie, że tak nie często można go czytać. Lecz te słowa wymagają zaraz objaśnienia, by, miasto określenia indywidualności p. Łady, nie stały się przyczyną nieporozumienia. Chciałoby się go często czytać, lecz z drugiej wie się, że gdyby tak było istotnie, autor straciłby niejedną cechę, która go wśród polskich nowellistów tak zaszczytnie wyróżnia. Dyletantom go nazwać nie można, bo naprzód twórczość belletrystyczna nie ma techniki w tem znaczeniu, jak ją mają n. p. malarstwo, rzeźba lub muzyka, więc i o dyletantyzmie, jako negacyi tej techniki, mówić nie można; powtóre, nie chcielibyśmy do nazwiska p. Łady przyczepić terminu „dyletant“, bo w tem pojęciu tkwi zawsze bądź co bądź pewien ujemny sąd. Dyletantom p. Łada nie jest, ale nowellistą, w którym w pierwszym rzędzie widzi się, ceni, prawie kocha człowieka, a potem dopiero szanuje pisarza. Człowiek to szlachetny, serdeczny, prawdziwie polski, a mimo to bardzo europejski, jakiś świeży i ani pyłem przydrożnym, ani błotem ulicznym nie zbrukany: oto indywidualność, przeglądająca poprzez nowelle p. Łady, pociągająca nas ku sobie. Pisarz dopiero na dalszym planie stoi, chociaż widocznie ma zdolność rzetelną, kiedy tamtego, tak miłego człowieka, tak wyraźnie potrafi odtworzyć. Czasem może potknąć się o jakąś naiwność, o jakieś niedomaganie kunsztu pisarskiego, w ogólności jednak harmonia pomiędzy człowiekiem a pisarzem jest doskonała. Przechodzi ona jedną ciężką, ogniową zaiste próbę. Oto p. Łada ma bardzo silnie rozwinięty zmysł moralności, opartej nie na rozumowych tylko, lecz na szczerze i głęboko religijnych podstawach. Człowieka to naturalnie tem droższym czyni, lecz czy pisarzowi nie zaszkodzi, czy nie robi z niego nudnego moralizatora, gwałcącego zasady sztuki, która amoralną być nie może, ale i moralizatorską także nie? Obawy są, bo wypadków podobnych jest w literaturze bez liku. Autor znanego naszym czytelnikom, bo kiedyś przed laty w tem piśmie drukowanego opowiadania *O duszę*, tych wypadków ani o jeden nie zwiększa. Jest moralny, nie moralizatorski, nawet nie tendencyjny.

Takim jest i w trzech nowellach, od pierwszej nazwanych *Sweet Boy*. Chociaż ta pierwsza może najmniej jest dobrą z ca-

łej trójki. Ludzka treść w niej zajmująca, lecz znana od bardzo dawna i niejednokrotnie w powieści aż do przesyty opracowywana: mieszane małżeństwo, mąż protestant, żona katolicka, syn jedyny wychowany w wierze matki, lecz gdy ojciec chce go do swego wyznania zaciągnąć, matka ucieka z dzieckiem, które pod wpływem tej tragedii jest słabe, cierpi, aż bardzo poetycznie umiera. Dekoracya tej fabuły nie przyczynia się do ożywienia i pogłębienia jej, właśnie dlatego, że jest taka wspała: ojciec, książę Odon Cottbus-Wolframstal, matka córka hr. Suffolk, syn na tę tragedię skazany od czasu, gdy po śmierci stryja ojciec zostaje głową rodziny, od wieków protestanckiej. Do tego jeszcze obce środowisko cofa całe opowiadanie w jakąś obojętną dalekość — słowem rzecz nie zła, ale nie zasługująca na to, by od niej nazywał się cały tom, zawierający w sobie dwa bardzo dobre opowiadania. — Jest bowiem na drugim miejscu *Pan z Rychlic*. „Wiejska fotografia z Galicyi“ z trzema wybornie postawionemi i taksamo przeprowadzonemi postaciami. Ex-właściciel Rychlic, Seweryn Groński, szlachcic-artysta, typowa postać polska, bardzo piękna, bardzo szlachetna i bardzo niezdarne; to też traci wieś, jest w nędzy, na stare lata musi być grajkiem u obecnego żydowskiego właściciela majątku, a zniechęcał się, przy początkach pomieszania zmysłów, jest pajacem tego towarzystwa. Sam „pan z Rychlic“ Magenfish, jako człowiek jego przeciwieństwo, jako artystyczna kreacya jemu równy, aczkolwiek nie oryginalny. W pośrodku smętne postać córki Grońskiego, guwernantki u Magenfishów, odczuwającej tę tragedię losu i poniżenie. Te trzy osoby wplecione w opowieść skromną, szczupłą, może do żywego obrazu raczej, niż do akcji podobniejszą, ale zajmującą i barwną. Wszystko zaś owiane atmosferą złożoną z dwóch czynników, zawsze u p. Łady w przedniej jakości a charakterystycznym zmieszaniu spotykanej: humor, wesoły i swobodny, i smutek, rzewny i głęboki. — Ostatnia nowella estetycznie pośrednie pomiędzy obiema poprzedniemi zajmuje miejsce. Jest to opowieść o Bolku, synu bardzo dobrej szlachcianki i mieszczkańskiego doktora; chłopak, wczesnie ojca pozbawiony, jest zdolny i przystojny, niestety ma fałszywą ambicyę odgrywania roli panicyzka. Udaje go w szkołach, na większą skalę w Wiedniu na uniwersytecie, a że pieniądze biednej wdowy na to nie starczą, Bolek pada ofiarą łatwej w dużym mieście pokusy i sposobności: jest kochankiem kokoty Miry Hęls, pozwała, by jego długi płacił jakiś Veilchenduft; matka przyjeżdża do stolicy, wyrwa go z tego bagna, sprowadza do Krakowa; lecz wnet dostawszy trochę pieniędzy, chłopak wraca do Wiednia, do dawnego życia, spada coraz niżej, aż nieszcześliwa matka spotyka go jako „Alfonsa“ ostatniej ulicznicy... Smutna opowieść włożona w usta biedaczki, która jadąc z autorem do Wiednia, zwierza się z bólem nad synem i przeklina Wiedeń,

to „miasto niegodziwe, pełne trucizny i kału“, tego „Molocha, wciąż głodnego ofiar nowych“. Stąd pochodzi tytuł *Moloch. Szkice z natury*. Trąci to przesadą, bo jeśli która europejska milio- nowa stolica, to pewnie Wiedeń najmniej godzien napiętnowania mianem „Sodomy i Gomory, Molocha“. Czuje to zresztą sam autor i przytoczywszy opowiadanie matki, tragedję jej syna „przypisuje raczej innemu Molochowi, Molochowi egoizmu i go- rączki użycia“.

Dr. J. Flach.

— *Z jednego strumienia*. Szesnaście nowel przez Dziesię- ciu autorów. (Warszawa, 1905, skład główny w Księgarni E. Wende i Sp.). — W Przedmowie p. Eliza Orzeszkowa pięknie wyłuszcza, jako rozmaitemi strumieniami płynie życie ludzkie, a jednym z nich płynie życie ludu żydowskiego, którego obrazem jest tych „szesnaście nowel przez dziesięciu autorów“. Sama myśl zebrania najwybitniejszych opowiadań żydowskich w naszej współczesnej literaturze wydaje nam się szczęśliwą i pożyteczną, a że jest bądź co bądź nową u nas, stąd na tem gorętsze za- sługuje uznanie. Zaraz trzeba jednak dodać, że myśl ta jedno- stronnie jedynie została w niniejszym tomie przeprowadzoną.

„Ludność żydowska, krom nieznacznej mniejszości, zamie- szkiwała dolinę, bujnie zarosłą chwastami upośledzenia i nędzy“, utrzymuje p. Orzeszkowa, i tem tłómaczy się jej zdaniem fakt, że na to środowisko „spłynął wzrok, a razem ze wzrokiem spły- nęły współczucie serdeczne i natchnienie artystyczne tych, któ- rzy są społeczeństwa swego okiem, sercem i natchnieniem“; tak było u nas od dawna i — zawsze powtarzamy jeszcze słowa czcigodnej autorki, „piśmiennictwo polskie może być słusznie dumnem z dawności i bogactwa tej ze swoich tradycyj, która je zaprawiała czczią dla sprawiedliwości i współczuciem dla cier- pienią“. Nie chcemy bynajmniej przeczyć słuszności ostatnich słów p. Orzeszkowej, lecz pewną wątpliwość budzi początek ni- niejszego cytatu. To prawda, że w ludzie żydowskim jest wiele „upośledzenia i nędzy“, niemniej jednak nie proletaryat tylko może uchodzić za przedstawiciela tego ludu: nie zapuszczając się w gąszcza współczesnej polityki, musi się przecież przyznać, że procentowo Żydzi mają bardzo wiele t. zw. inteligencyi i za- możnych. A więc książka, która Żydów przedstawia wyłącznie jako „upośledzonych i nędzarzów“ — a tak to czyni *Z jednego strumienia* — jest pod względem rzeczowym jednostronną, po- nieważ zaś niewątpliwie jest jednostronną świadomie i umyślnie, więc jest nietylko tendencyjną, ale i fałszywie tendencyjną. Ta jednostronność pociąga jednak za sobą i artystyczne skutki, zapewne przez wydawców niezamierzone i dla nich może nawet niepożądane. Oto jedna nowella za drugą opowiada o tem „upo- śledzeniu“ i tej „nędzy“, jedna za drugą pokazuje wychudłe, wybla- dłe, zmizerowane postaci, które tylko cicho wzdychać i biernie cier- pieć potrafią, bo nawet do głośnej skargi, nie mówiąc o śmia-

łym uporze, nie są zdolne: tak jest zwłaszcza w pierwszych ośmiu nowelkach. Nie pytamy, czy rzeczowo jest w tem prawda, lecz estetycznie jest to nużąco jednostajne. Współczucie nasze ci biedacy mają jako ludzie żywi, z ciała i krwi, ale nasz umysł, nasze uczucie estetyczne znużone jest tą szarżyzną bez końca, tą bierną rezygnacją bez końca, temi minorowemi tonami bez końca. Boimy się, czy ten i ów czytelnik dużej książki w polowie nie przerwie czytać.

Wspomniana jednostronność sięga dalej jeszcze, w dalszych dwóch kierunkach. P. Orzeszkowa w owej ciepło napisanej Przedmowie tak na początku charakteryzuje „strumień“ życia ludu żydowskiego: „Słyszę wołania: Ten strumień jest mętny. Nie przeczę. Jest on mętnym, ponieważ jest ludzkim. Nic z tego, co jest ludzkim, nie jest doskonale czystem... Wszystkie strumienie życia ludzkiego, wielkie i małe, szumne i ciche, te na górach, i te na dolinach, toczą w sobie męty. To jedna prawda... Ale obok niej istnieje prawda druga... Jeżeli żaden strumień życia ludzkiego nie płynie czystym kryształem, to żaden również nie toczy na swych falach samych tylko mętów. W każdym fale kryształowe pobłyskują ziarnkiem złota, odbiciem lazuru niebieskiego, perłą, lub nad perłę drogocenniejszą lżą“. W teorii wygląda to bardzo sprawiedliwie, mądrze i pięknie, w praktyce, w książce *Z jednego strumienia* — szczególnie znowu w tych pierwszych ośmiu nowelkach — „ziarnka złota, lazur niebieski, perły, lży“ są wyłącznie po stronie żydowskiej, po chrześcijańskiej zaś wyłącznie „męty“. To chyba znowu jednostronność, tym razem podobno już druga. Ale może to przypadek tylko? może dlatego się tak stało, że polska literatura nie ma innych nowell żydowskich, pisanych z uwzględnieniem i odwrotnej strony medalu? Nie przemawiamy za zięjącami nienawiścią i zazwyczaj estetycznie bardzo marnemi paszkwilami i pamfletami antisemickimi, właśnie dlatego, że zrodziła je złość i brak talentu; ale nawet wśród literatury prawdziwej, nie gorszej od tej, która znalazła łaskę w oczach wydawców, jest dość opowiadań, mogących być dopełnieniem obrazu ludu żydowskiego: może u tego samego Klemensa Junoszy, który tu figuruje jako autor *Łaciarza* i *Cudu na kirkucie*, są takie przyczynki do obrazu ludu żydowskiego w naszej literaturze dzisiejszej. Że tego rodzaju utwory zasadniczo pominięto, w tem widzimy trzecią i ostatnią na szczęście jednostronność tego tomu.

Streszczamy się: *Z jednego strumienia* nie daje poetyckiego całokształtu życia ludu żydowskiego w Polsce, nie — nie daje także przeglądu sądów i pojęć polskiej nowellistyki o ludzie żydowskim, tylko z rzeczową i artystyczną jednostronnością daje nowelle, osnute na współczuciu dla „upośledzenia i nędzy“ ludu żydowskiego u nas. Z tem jednak zastrzeżeniem, książka, czytana z przerwami i powoli, jest ciekawą. Podział i ugrupowa-

nie tych opowiadań na trzy części, wraz z Zakończeniem, jest dość dowolny, a mało uzasadniony. Osobnej oceny każdej po kolei nowelli nie można i nie potrzeba od sprawozdawcy żądać. Naprzód dlatego, że książka zapewne nie artystycznym, ale społeczno-religijnym pobudkom żywot zawdzięcza i nie artystyczne, ale ogólno-ludzkie ma wywołać wrażenia. Powtórę zaś są tu przeważnie opowiadania dawniejsze, znane już powszechnie. Oto całkowity spis ich według alfabetycznego porządku nazwisk autorów: p. Feliks Brodowski dał *Dziecię Symchy* i *Strącone liście*, p. Wanda Dalecka *Nowego Abrahama*, p. Gustaw Daniłowski *Nad urwiskiem*, p. Wiktor Gomulicki *Chałat*, zmarłego Klemensa Junoszę przypominają wspomniane już dwa opowiadania, p. Maryę Konopnicką *Mendel Gdański* i *Jakten*, p. Elizę Orzeszkową aż cztery nowelle: *Daj kwiatek*, *Gedali*, *Silny Samson* i *Ogniwa*, p. Aleksander Świętochowski jest w tym spisie jako autor *Chawy Rubina*, a p. Adama Szymańskiego bardzo znany *Srul z Lubartowa* i p. Kazimierza Zdziechowskiego *Perła* zamykają ten długi poczet. Wydawcy powinni byli wszędzie, gdzie przedrukowywali rzecz dawniejszą, podać rok pierwotnego ogłoszenia, oraz tytuł książki, z której daną nowellę wzięli. Korzyść z tego byłaby ta, że książka byłaby obrazem nie jednej przelotnej może chwili, ale występowałyby wyraźnie jako wynik trwalszego nastroju. A należało tak postąpić i dlatego, by ten i ów czytelnik nie sądził błędnie, że mu się tu daje rzeczy świeżo napisane, lub też spostrzegłszy omyłkę, nie obwiniał wydawców o zamiar wprowadzenia go w błąd. Zagraniczne wydawnictwa tego rodzaju, o ile są poważne, zawsze tak postępują. Po za tem wydanie jest staranne i piękne. Okładka, również inicjały i zakończenia poszczególnych nowell są drukowane wedle rysunków p. Jana Bukowskiego.

Dr. J. Flach.

TEATR KRAKOWSKI.

Zrobiliśmy się — gościnni i to dla tych samych, których się niedawno wyzbyliśmy. Po występach gościnnych p. Moriskiej nastąpiły trwające całe trzy tygodnie popisy p. Kamińskiego, i dały wypoczynek od „premier“, znużonemu i przeciążonemu gronu; ze względu na istotną potrzebę jakiegoś wypoczynku wybaczymy tedy, że niejedno przedstawienie sprawiało wrażenie teatru amatorskiego i zajmijmy się tylko samym p. Kamińskim. Był u nas przed siedmiu kwartałami, w marcu 1903 r. i wtenczas okazało się, że na trzechletnim pobycie we Lwowie nie stracił, ale też nie zyskał, pozostawszy takim samym; teraz jednak, po niewidzeniu się o połowę krótszem, wszyscy stwierdzili, że gra odmiennie, stara się być innym, oczywiście jeszcze lepszym, niż dotychczas. To rzecz ważna, a dobrowrollable. Artysta, uznawany jednomyślnie przez krytykę całej Polski za znakomitość, nie chce spoczywać na zdobytych już laurach, nie uważa kariery swej za skończoną, lecz sam o sobie sądzi, że mógłby się jeszcze kształcić i pragnie tego. Ambitny jest, a nie zarozumiały, skoro uznaje, że jeszcze nie grywał najlepiej, lecz dopiero spodziewa się dojść do zenitu; cieszymy się więc z tego i z gorącym oklaskiem życzymy jak najlepszego powodzenia w dalszych postępach. Odmiennosc gry zwróciła odrazu powszechną uwagę, a rodzaj prób artysty określono też trafnie, że stara się pogłębić charakterystykę postaci należytą wewnętrzną interpretacją roli, nie chcąc poprzestać na tem, żeby być największym wirtuozem do zewnętrznej strony ról. Chodzi więc o życzenia, wyrażone w kwietniowym zeszycie *Przeglądu Polskiego* z r. 1903. Co do rezultatu pracy p. Kamińskiego, zdania były podzielone; niektórzy mówili, że wolą go takim, jakim był dawniej i że niektóre role grał tym razem gorzej, a zatem wstąpił na drogę dla siebie niewdzięczną. O tem zawczasie jednak mówić. Za krótko jeszcze próbuje artysta swych sił na nowy sposób! Gdy minie bodaj połowa

tej ilości lat, której trzeba było, żeby z p. Kamińskiego zrobił się mistrz plastyki scenicznej, wtedy zobaczymy (nie wątpić) nie tylko wielkiego aktora, ale też znakomitego interpretatora artystycznego. Powodzenie zależy od dwóch rzeczy: od ilości pracy i od jej metody. O pierwsze łatwo u p. Kamińskiego, bo grywać tak starannie może tylko ktoś nader pracowity, nie szcędzący żadnych trudów przy studyowaniu roli. O drugie zaś łatwo w ogóle, metoda bowiem jest w tym wypadku nader prostą: nie o sobie myśleć, lecz o autorze, a czytając w ogóle dużo, wczytywać się w pewne rzeczy bez ustanku; dążyć poprostu do znawstwa literackiego, poznawać wszechstronnie zdania cudze o tekstach, żeby dojść do własnego. Przybyło już bądź co bądź „duszy“ rolom p. Kamińskiego, a zawczasie byłoby żądać, żeby i pod tym względem wszystko było już doskonałe; pomyłki są zaś przy pierwszych próbach rzeczą naturalną, a wiadomo, że ten tylko dochodzi do celu, kto się nimi nie zraża.

Nowości nie przyniosły nam te gościnne występy żadnej. *Intratna posada* (Jusow), *Śnieg* (Kazimierz), *Dom otwarty* (Fujarkiewicz), *Bogaty wujaszek* (Waldhof), *Pan Damazy* (Bajdalski), *Jan Gabryel Borkman* (tytułowa rola), *Pan dyrektor* (de la Mare), *Faust* (Mefisto), *Damy i huzary* (Kapelan), *Walka motyli* (Kessler) — oto repertuar dziesięciu ról p. Kamińskiego, repertuar Krakowianom już znany i po większej części sam artysta występował też w nim dawniej na naszej scenie. Najciekawsze były dwie role, najslabiej grana w *Damazach i huzarach* i najlepiej wykonana Borkmana. We fredrowskiej komedyi nie można się z p. Kamińskim zgodzić niemal w niczem, ani nawet co do zewnętrznej strony roli. Jakto, ten słabowity człowieczek, ciągle jakby wystraszony i starający się zająć sobą jak najmniej miejsca, miałby być kapelanem wojskowym? Niczego w nim nie było ani księżowskiego, ani wojskowego. Artysta widocznie z mylnego wychodził założenia, a raz sobie tę postać wyobraziwszy, poprzestał już na tem i nie nastreczył już sam sobie sposobności, żeby się na błędzie poznać; sposobność zaś taka na tem polega, że powziąwszy pewien pomysł, przypuszcza się, że jest złym i szuka się w tekście argumentów najpierw przeciw niemu, a nie za nim. Rola Kapelana nie należy też jeszcze do nowego stadyum rozwoju tego nadzwyczajnego talentu. Stadyum to znać było na Jusowie, Kesslerze, trochę także na Bajdalskim; nie sposób tu jednak wchodzić w te szczegóły i wykazywać, w którym miejscu role te grane były lepiej, a w którym słabiej, niż niegdyś. Chwilowo odnosiło się jednak jeszcze inne wrażenie, a mianowicie, że nie wszystkie zmiany w rolach artysty były celowo wykombinowane; zdaje się, że nie brakło też przypadkowych, pochodzących poprostu stąd, że artysta długo już tej roli nie grał, a na powtórzenie jej mniej miał czasu. Czasem zaś (zwłaszcza przy Kesslerze) budziło się

nawet podejrzenie, że artysta, widząc słabą grę otoczenia, niecierpliwi się i przez to robi niejedno, czego by może nie robił, gdyby ogólny poziom wieczoru był wyższy — poprostu powie-
dział, że gra mniej dokładnie. Należy tedy być bardzo ostrożnym, nim się tę, czy ową zmianę w grze zaliczy do takich, które miałyby oznaczać pewien zwrot w studiach artysty.

Jeżeli o ten zwrot chodzi, najlepiej trzymać się roli najnowszej: Borkmana. Charakterystyka zewnętrzna obfitowała w taką mnogość środków scenicznych, że nie można było wyjść z podziwu, istne arcydzieło sztuki scenicznej! Pokazał nam też artysta tę sztukę, którą podziwialiśmy u p. Leszczyńskiego: uformowanie całej głowy. Cała postać Jana Gabriela była typem jednolitym; chód, gesty, spojrzenia, wszystko oryginalne, a zespolone wybornie. Na nie nie zdałby się szczegółowy opis; tylko fotografia może dać wyobrażenie o tym prawdziwym *utworze* aktorskiej sztuki. Zmodulował też p. Kamiński głos, nadawszy mu ton głębszy i pełniejszy, niż zazwyczaj, a dokazał w tem niepośledniej rzeczy, zwalczwszy niekorzystne pod tym względem warunki przyrodzone; dostarczył dowodu, jak wiele można osiągnąć własną zapobiegliwością, skoro da się przełamać takie nawet trudności, które wydają się niepokonalnymi. W wewnętrznej interpretacji roli wyzyskane było każde słówko tekstu, gra niesłychanie staranna, ale co do samego pojmowania roli można mieć wątpliwości. Borkman p. Kamińskiego wydawał się maniakiem, człowiekiem, na którego ciężkie przejścia losu sprowadziły chorobę umysłową i który postradałszy zmysły, w obłądnie naraża się na śmierć samobójczą na mrozie. Reprodukował artysta tylko realistyczną stronę utworu Ibsena, nie uwydatniwszy allegoryi (czyli „symbolu“) tragedyi. Grał tak, jak Borkmana pojęto w Warszawie, gdy go tam wprowadzano na deski, nie troszcząc się o to, co jest pomiędzy wierszami tekstu. Zatrzymał się artysta w połowie drogi i to jest znamiennej cechą dzisiejszego stadyum talentu p. Kamińskiego. Nie może też być inaczej, bo nie było jeszcze czasu na zdobycie tej nowej dziedziny, której podbój dopiero rozpoczął. Gdyby się p. Kamińskiemu udało dojść pod względem wewnętrznej interpretacji do tej samej doskonałości, jaką posiada w zakresie techniki zewnętrznej, któżby się z nim mógł równać? Byłby najlepszym aktorem nie tylko może polskim...

W braku nowości scenicznych zeszedł grudzień wyłącznie na obserwacyi samychże artystów dramatycznych, z czego nie wiele było pociechy. Nowe obsady nie wychodzą, niestety, na korzyść sztuki. Wyjątkiem była rola Zuzanny w *Świecie nudów*, którą po p. Morskiej otrzymała p. Jutkiewiczowa i wyszła z niej obronną ręką; gdyby więcej było czasu na studia i więcej prób, byłoby za pewne jeszcze lepiej.

Mieliśmy też dwa debiuty. W *Tęczy* Krzywoszewskiego okazała się p. Izabella Kozłowska dobrym materyalem scenicznym, ale p. Julia Elsner we francuskiej jednoaktówce Bertona: *Cieżka próba*, przedstawiała typowy okaz amatorki.

Na świąteczny tydzień i „sadek“ dano dzieciom *Królowę Tatr*, widowisko fantastyczne w 5 obrazach a 8 odsłonach, ze śpiewami i tańcami, p. A. Walewskiego; ładnie to wyglądało, ale *Jasełka*, dawniej stale o tej porze wystawiane, były stosowniejsze. Do krytyki literackiej *Królowa Tatr* pretensyi sobie nie rości.

Dopiero na ostatni dzień grudnia zapowiedziano nowość, a mianowicie oryginalną komedię p. Włodzimierza Perzyńskiego: *Lekkomysłna siostra*; sprawozdanie musi już być odłożone do następnego zeszytu.

Dr. Feliks Koneczny.

Muzyka w Krakowie.

Koncert śpiewaczki, p. Maryi Niessen-Stone, starczy za nowy dowód, iż publiczność krakowska, jak każda polska, śpiew od-czuwa i chociaż nie miała sposobności obcowania stałego z wielkimi śpiewakami i dlatego nie uświadamia sobie może swego sądu, to jednak sąd ten jest trafny, acz prawie wyłącznie instynktowny. Pani Niessen-Stone, pozwolimy sobie twierdzić kategorycznie, głosu obecnie nie posiada i wątpić należy, czy posiadała go kiedykolwiek, gdyż jest damą w sile wieku i w normalnych warunkach powinna śpiewać obecnie lepiej, niż kiedykolwiek. Pod względem emisji głosu jest to wszakże naturalistka, której każdy ton wychodzi tak, jak mu się podoba, albo też, co najczęściej bywa, nie wychodzi weale. Stały przydech na każdym tonie świadczy, iż o poważnych, celowych studiach nigdy nie było mowy. Co najwyżej jakiś lichy niemiecki nauczyciel próbował swej „metody“ na tym materyale, a może jaka „sława“ włoska, za odpowiednią zapłatą, daremnie z nim się mocowała. Instrument jako taki znajduje się w stanie nader smutnym.

W obec tego nie może być mowy o ekspresyi. Ton nie posiada zdolności zabarwiania się, stosownie do affektu, jaki ma wyrażać. Słowa również brzmią niejasno. Słowem, nawet przy najszczerzej pobłażliwości nie było możliwem dopatrzeć się w tych dyletanckich produkeyach jakiejkolwiek wartości. Każda pieśń, czy Schuberta, czy Wagnera uderzała tą samą, zmęczoną fizyognomią. Mieliśmy jeszcze jeden przykład, że bez należytego postawienia głosu, produkeya nosi zawsze cechy połowiczności i bezsilnego — wysiłku. Pani Niessen-Stone śpiewa muzykalnie, to prawda, ale jeszczeby tego właśnie brakowało, aby była niemuzyczną! Ta właściwość, o ile nie posuwa się do szcze-

gólniej widocznego talentu muzycznego, jak n. p. u p. Kochańskiej, nie zasługuje nawet na wzmiankę, tak jak nikt nie ocenia rękopisu powieści według tego, czy autor pisze ortograficznie. Chyba, że innych znamion nie posiada jego talent literacki.

Najsmutniej wypadł w takich warunkach *Król Olch* Schuberta. W Niemczech rzadko kiedy pojawiają się na estradzie śpiewacy z tą właśnie pieśnią. Arcydzieło to stało się rodzajem „oślego mostu“ dla uczniów śpiewu, którzy na niem wykazują, czego się nauczyli pod względem ekspresyi. Nie sądzimy, aby który z nich zaśpiewał *Króla Olch* gorzej od p. Niessen-Stone. Bardzo przykro jest słuchać sztuczek tam, gdzie artysta musi oddać się bez zastrzeżeń i *seinem Mann stellen*, jak mówi Niemiec, w całym słowa znaczeniu. Wszelka połowiczność, oszczędzanie się i oczekiwanie na efekt, chybia celu w tej wulkanicznej kompozycji. Cóż dopiero gdy refleksya, sama w sobie niezła, łamie się w wykonaniu z materiałem, niezdolnym do żadnego wyrazu. Pani Stone śpiewa głos *Króla Olch* umyślnie martwo, głosem suchym, przypominającym jak gdyby „szmer wiatru po zeschniętych liściach“. Efekt dobry, choć ograny. Niestety, celu chybia zupełnie, gdyż głos pani Niessen-Stone w ogóle i zawsze posiada taką barwę, gdy zatem przyjdą słowa dziecka, albo ojca, brak kontrastu i efekt chybiony. To też oklaski były nad wyraz skąpe.

Koncert był ogółem nie bardzo udany, gdyż i sympatyczna pianistka, p. Ładówna, miała widocznie zły dzień, zamazywała i zlewała ze sobą frazesa, grała tonem dość suchym, w czem zresztą ponosi swoją winę fortepian. Gdyby właściciel firmy Boesendorfera był na krakowskich koncertach, niezawodnie kazalby usunąć z estrady ten przykry instrument, który nie zachęci w niczem odbiorców wiedeńskiego fabrykanta, raczej ich odstraszy.

O wiele szczęśliwiej powiódł się koncert z udziałem p. Aleksandra Bandrowskiego. Wprawdzie artysta uważa się sam już za emeryta i deski sceniczne odwiedza tylko przygodnie, to jednak głosowo nie podupadł już tak bardzo od ostatnich krakowskich występów, a zapalem i darem przedstawiania się zawsze z najlepszej strony wywiera jeszcze zawsze miłe wrażenie. Trudnoby dodać coś więcej do oceny artyzmu p. Bandrowskiego po tem, co pisaliśmy na tem miejscu po jego dawniejszych występach, można przeto ograniczyć się do stwierdzenia, iż publiczność pamięta podniosłe chwile, jakie przynosiły jej aktorsko-śpiewackie kreacje operowe p. Bandrowskiego i oklaskami odplaca mu za duży zasób uczucia i ekspresyi, drgającej w jego pieśniach, mimo że oporny materiał nie predestynował nigdy artystę na śpiewaka pieśni. W koncercie brała udział także orkiestra amatorsko-wojskowa pod przezorną dyrekcją

p. Barabasza, oraz mile słuchany, jak zawsze, chór Towarzystwa muzycznego.

Szczytem sezonu, jak dotychczas, był doroczny koncert Willy Burmestra. Znakomity artysta posiada w Krakowie stałych wielbicieli, którzy wyczekują od początku sezonu na jego koncert, pewni, że wrażenia będą wysokie i szlachetne. Zawód nie spotka ich nigdy. Mogłoby się zdawać, iż Burmester z roku na rok pogłębia i wyszlachetnia ton, a dochodzi do jeszcze większego mistrzostwa we frazowaniu. Przytem, aczkolwiek rozumie starych mistrzów, jak może nikt drugi na świecie, wie, że obcowanie z nimi będzie tem miłszem, po przebywaniu dla kontrastu w świecie współczesnym, naprzykład w miłym salonie, wśród wytwornych i dowcipnych ludzi tegoczesnych. Taką przerwą między Bachem, Chopinem — świetnie przełożonym na skrzypce przez samego Burmestra — a upudrowanemi menuetami Haendla i Mozarta, była fantazyja na motywach z *Fausta* Wieniawskiego.

Fantazyja z opery bywa zwykle rzeczą równie przykrą, jak płytką i nieartystyczną. Takie wiązanki melodyj, oderwanych od słowa, z którem powinny tworzyć całość, dają wrażenie czegoś bardzo pospolitego. Jednym z nielicznych wyjątków jest, naszym zdaniem, fantazyja na tematy z *Fausta*, odegrana przez Burmestra i to właśnie *tak* odegrana. Wieniawski nie trzyma się niewolniczo motywów Gounoda, lecz po kolei parafrazuje je i snuje dalej, zawsze z miłym uśmiechem i elegancją światowca, otoczonego przez damy, którym rzuca sceptyczne uwagi na temat aforyzmów z ostatniej premiery. Burmester umie zachować tę felietonową płytkość i elegancję, a w dodatku wydobywa muzyczne kształty i wartości tak błyskotliwie, że „fantazyi“ słucha się z prawdziwą rozkoszą. Gdyby traktował balladę o *Złotym cielcu*, lub pierwsze skargi Fausta z teatralnym demonizmem i dramatyczną ekspresją, wrażenie byłoby może przykre. Że jednak nie sili się na wywoływanie duchów opery, lecz poprostu wykonuje muzykę, jako taką, bez względu na reminiscencye, przeto słuchamy jego konceptów o *Fauście* z prawdziwą przyjemnością.

Nie trzeba dodawać, że Bach i Mozart święcili najwyższe tryumfy. To, co się zwie „stylem“, można zastosować tu przy ocenie bez obawy, aby się powiedziało komunał. Znakomitego artystę witano owacyjnie i nie chciano z nim się rozstawać.

Towarzyszył na fortepianie p. W. Klasen, prawdopodobnie świeżo ukończony konserwatorzysta, młodzieniec sympatyczny jako wykonawca, lecz, niestety, sięgający także po laury kompozytorskie sztywną i niewprawną ręką.

Z repertuaru, jaki przedstawił, zwrócił uwagę — choć nie z muzycznego punktu widzenia — sekstet z *Lucyi*, przyrządzony przez Leszetyckiego. Paganini wtłoczył to arcydzieło w cztery

struny skrzypiec; Leszetycki postanowił to, co śpiewa sześć gardeł i gra cała orkiestra, odegrać *jedną* ręką na fortepianie, i, z punktu widzenia wirtuoza, dopiął najwyższego celu; nikt nie słucha przepysznych dźwięków sekstetu, lecz patrzy przede wszystkim na zwieszoną bezwładnie prawe ramię pianisty i zadaje sobie pytanie: jak on to może wygrać *jedną* ręką?

Inna rzecz, iż p. Klasen jest pianistą sympatycznym i może być traktowany seryo, co o fortepianistach, towarzyszących skrzypkom, nie zawsze można powiedzieć.

Witold Noskowski.

Przegląd polityczny.

Kraków, 31 grudnia.

Cesarz Mikołaj II wydał ukaz, zapowiadający reformy w Rosyi. Rzecz nowa, niesłychana, niedawno jeszcze nie do uwierzenia, ale fakt. Ukaz jest, podpisany, ogłoszony. Jakie jest jego znaczenie, jakie będzie wykonanie, to rzecz inna; ale zawsze jest on znakiem i dowodem, że w Rosyi coś się zmienia, coś się przełamuje, i że to musi być dość silne, skoro cesarz nie może udawać, że nie widzi, lecz owszem uznaje — choćby niechętnie albo pozornie — potrzebę zmian ważnych i wielkich w zarządzie państwa.

Co się dzieje w Rosyi? Co się w niej stanie? Oto pytanie, górujące dziś nad wszystkim. Konspiracyjne, rewolucyjne plany i działania powtarzały się tam nieraz, od Aleksandra I do Aleksandra III. Ale żeby z łona tego społeczeństwa dobywały się na wierzech żądania zmian w rządzie, nie w formie spisku jak za Dekabrystów, nie w formie dynamitowej bomby jak w naszych czasach, tylko w jawnych stanowczych i statecznych krokach ciała, urzędownie uznanych a złożonych z najpoważniejszych ludzi tego kraju, tego nie było jeszcze nigdy i to niedawno jeszcze byłoby się wydało niepodobieństwem.

A jednak stało się, jest. Reprezentanci Ziemstw obrażają w Petersburgu, pod boki cesarza i ministra, nie urzędownie, ale z wiedzą i cichem przyzwoleniem ministra i cesarza, i podają memoryał z zasadniczymi punktami swoich żądań. Izba adwokacka robi to samo. *Duma* (Rada miej-

ska) moskiewska występuje z otwartem żądaniem systemu reprezentacyjnego, konstytucyjnego. To nie mrzonki i nienawiści anarchistów i nihilistów, to oświecona, patriotyczna część narodu, świadoma, czego chce, umiarkowana w swoich żądaniach, ale silna i stateczna.

Co sprowadziło tę zmianę, ten nagły i niespodziewany objaw zbiorowej, narodowej i politycznej opinii? Niewątpliwie wojna: patriotyzm i rozum, uczucie i zastanowienie, zarówno wstrząśnięte i oburzone przedsięwzięciem kolosalnym a podjętem źle, bez przygotowania, prowadzonym (jak dotąd) bez powodzenia, z ogromem ofiar (jak dotąd) bezskutecznych.

Każdy musi zrozumieć i każdy musi z uszanowaniem uznać ten popęd rosyjskiego patriotyzmu. On mówi do systemu rządowego: „Patrz, coś zrobił, patrz, do czegoś nas doprowadził“. Cel tej wojny, może wielki, ale w tej chwili nie konieczny, a dla ogółu do zrozumienia bardzo trudny. Nie można żądać od muzyka na wsi, od mieszczanina w gubernialnym mieście, żeby się zapalał do panowania w Mandżuryi, [żeby rozumiał posiadanie morskich wybrzeży jako dopełnienie i koronę posiadania Azji północnej. A jeżeli nawet cel był spieszenie potrzebnym, czekanie niebezpiecznym, to w każdym razie tyle zawsze ociągać i zwlekać można było, ile potrzeba, żeby się do wojny przysposobić, żeby sobie zapewnić zwycięstwo. Rząd zaś dał się w tę wojnę wciągnąć lekkomyślnie, nieopatrznie, tak jak niegdyś Napoleon III w wojnę pruską. Nie znał nawet sił ani swoich, ani nieprzyjaciela, i nie wiedział, w jakim stanie ma armię i flotę — jedną i drugą naraził na klęskę, flotę na zaturę. A dla czego flota w złym stanie? dla czego statki stare i w wielkiej części niezdolne do bitwy? dla czego wojsko źle zaopatrzone? dla czego komunikacje tak trudne? Przecież to wszystko miało być, przecież na to wszystko były miliony i miliony: gdzież się podziały? co się z niemi stało? Kradzieże — dawna chroniczna choroba Rosyi — wyszły na jaw w całej swojej sromotnej okazałości: kradzieże od góry do dołu, od najniższych do najwyższych szczebli urzędniczej i wojskowej hierarchii. I dlatego to te miliony tonęły w kieszeniach wielkich i małych figur, dlatego okręty złe, dlatego

koleje złe, dlatego żywności, odzieży, amunicyi nie dosyć, dlatego od dziesięciu miesięcy Rosya musi widzieć i znosić jak ją Japonia bije. Poświęcenie, heroizm nieszczęśliwego prostego żołnierza, oficera, lekarza, generała — obrona Portu Arthura, istotnie wspinała wytrwalością i walecznością, za to nie czynią zadość. One ratują honor narodu i wojska, ale nie zmniejszają odpowiedzialności i winy rządu. Jeżeli zaś wojna skończy się zwycięstwem — jak każdy Rosyanin myśli i spodziewa się — to i wtedy jeszcze dotychczasowe nieszczęścia tej wojny i jej dalsze skutki, polityczne i ekonomiczne, spadną na odpowiedzialność dotychczasowych rządów, będą ich winą.

Prosta rzecz, że to społeczeństwo pyta: „Jakoście nami rządźli? coście z Rosyi zrobili“? — i że mówi: „Zdajcie rachunek! Dalej tak być nie może“.

Mają słuszość, mają prawo tak mówić, ale co z tego będzie? To, co się stało dotąd, to są oznaki, dowody, że Rosya przebywa wewnątrznej kryzys, coś się w niej dzieje i przygotowuje. Jakiś przełom: może początek nowego historycznego okresu.

Jak się skończy? jakim torem pójdzie? Te pierwsze dreszcze wielkiej zmiany, te memoriały Ziemstw, rad miejskich, czy to nie jest podobne do francuskich *cahiers*? Za owemi kajetami poszły Stany Generalne, a za niemi Zgromadzenie Narodowe, i tak dalej. Co przyjdzie w Rosyi? Bez pretensyi do odgadywania przyszłości, to można przypuszczać, że poczęty prąd wstrzymać się nie da. Może być na pewien czas stłumionym, choćby zduszonym — w takim razie przycichnie i schowa się pod ziemię; ale wybuchnie na nowo, i z nową siłą. To społeczeństwo już dziś chce rządzić się samo przez się, mieć wpływ na rząd i kontrolę nad nim chce, i tej woli już się nie pozbędzie, nie zapomni.

Rząd, cesarz, stoi pomiędzy tym prądem z dołu, a całą maszą odziedziczonych wiekowych tradycyj, przyzwyczajęń, pojęć, interesów. Jego położenie jest bardzo trudne, i nie dziw, że chce coś zrobić, a nie wie, co, jak, w jakiej mierze. Książę Mirski rozumie konieczność zmian, ale chce stopniowych; obawia się nagłych i wszystko obejmujących. Cesarz zdaje się myśleć jak on, tylko więcej od niego chwije się

i waha. Pod nimi, w społeczeństwie, dążenia i nadzieje wszelkiego rodzaju, od najbardziej umiarkowanych do najbardziej radykalnych; koło nich wpływy, intrygi i namietności urzędnicze a po części dworskie, otaczają ich wspomnieniami rosyjskiej potęgi, na samowładztwie opartej, i groźbami nie wiadomej przyszłości. Nie można się dziwić, że się wahają, że im brak pewności siebie i śmiałości, zwłaszcza cesarzowi, który może się widzieć między trucizną a bombą: bombą, jeżeli będzie opierał się zmianom, trucizną, gdyby je chciał wprowadzić. Ale ta niepewność i wahanie, choć naturalne i zrozumiałe, są niebezpieczne także. Kto ustępować myśli, albo musi, ten niech ustępuje prędko, i na pozór łatwo: im prędzej i łatwiej, tem mniej będzie musiał ustąpić. Chwiać się, zapędzać się, a potem cofać, zrobić jeden krok naprzód, a potem dwa w tył, to było zawsze postępowaniem niezręcznym i szkodliwym. Narady reprezentantów Ziemstw — z wiedzą rządu — obrady rad miejskich, to był krok naprzód, to była dana temu społeczeństwu nadzieja, jeżeli nie obietnica, że rząd jakieś zmiany przypuszcza i że je przygotowuje. Ostra nagana dana *Dumie* moskiewskiej, oświadczenie cesarza, że chce synowi zostawić taką władzę, jaką sam wziął po ojcu, surowsze postępowanie z dziennikami, to są kroki w tył. Nie może być inaczej, tylko, że to społeczeństwo, w którym rząd na przemian nadzieje budzi i tłumi, raz prawie zachęca do wyjawienia życzeń a drugi raz zamyka usta, musi wejść w stan niepokoju, nerwowego rozdrażnienia — coraz mniejszego zaufania do rządu. Taki stan zaś dotąd zawsze w skutkach okazywał się szkodliwym — czasem niebezpiecznym.

Wielu mniema, że prawdziwa (ukryta) myśl stronników samowładztwa, jest następująca: zwlekać, liberalne zapędy wstrzymywać, nie bardzo gwałtownie, ale stanowczo, aż do końca wojny; po wojnie stłumić je energicznie, a to zrobiwszy, przyznać ulgi i korzyści ubogim masom ludności — ale przyznać je z inicjatywy i z pełnej władzy cesarza, nie przypuszczając nikogo zgola do prawa głosu, do prawa inicjatywy i kontroli. W ten sposób samowładztwo byłoby zachowane i ubezpieczone na długo, bo wzmocnione w podstawie, w masach ludności. *Czerń* i *car*, *car* i *czern*, a zre-

sztań nic: to rozwiązanie kwestyi wewnętrznej, to siła Rosyi, i jej istota jaką była, i jaką zawsze zostać powinna. (Pomiędzy carem a czernią naturalnie czynownictwo, biurokracya wszelkich stopni i dochodów). Czy ten ideał, czy program jest prawdziwym? W każdym razie jest podobnym do Rosyi jaką była, jaką znało się dotąd.

Pomiędzy te różne opinie i usposobienia padł ukaz, zapowiadający nie zmianę formy rządu, ale zmiany w sposobie rządzenia. Jak będzie przyjętym w Rosyi i jakie zrobi wrażenie na tych różnych opiniach i prądach? Ukaz ma cechę niepewności, chwiejności. Obejmuje wiele, szeroko — ale połowicznie, warunkowo. Widocznie nie jest dziełem woli, która wie czego chce, a chce śmiało i stanowczo. Z góry, odrazu, oświadcza cesarz, że samowładnym zostaje: „Zasadnicze ustawy państwa są niewzruszone, a ich strzeżenie ma być niezmiennem“. Stanowisko jasne i łatwe do pojęcia. Ale zaraz potem dodaje, że chce wprowadzać w życie zmiany potrzebne i konieczne, choćby to pociągało za sobą „ważne nowości w ustawodawstwie“.

Najjaśniej, najwyraźniej, bez zastrzeżeń i wahań, postawione są dwie sprawy, dwie kwestye natury społecznej. Cesarz chce — i już rozporządził badania i dochodzenia w tym przedmiocie — żeby stan najliczniejszy, stan włościański był zabezpieczony w swojej doli, ustawami, których wypracowanie jest w toku. Oprócz tego nakazuje cesarz robić starania „o państwowe ubezpieczenie robotników“. Bierze więc cesarz w rękę kwestyę społeczną i jej postulata; przez to chce położyć tamę rewolucyi, utrzymać państwo w równowadze, umocnić i utwierdzić swoją władzę. Srodek praktyczny, to zniesienie odrębności stanu włościańskiego, i ubezpieczenie robotników. To jest coś rzeczywistego, uchwytneho, określonego. Czy wystarczy umysłom wzburzonym i utrzymywanym w ciągłym oczekiwaniu i pożądaniu przez różne wpływy? Cesarz musiał sobie to pytanie zadawać, i musiał na nie znaleźć odpowiedź, skoro tak swoje postanowienie sformułował.

Ogólną nazwą „o uregulowaniu życia publicznego w państwie“, obejmuje ukaz kwestyj kilka, wszystkie wielkiej wagi. Na pierwszym miejscu stoi *ochrona ustaw*. „Władze i insty-

tucyje lokalne mają uważać za swój pierwszy obowiązek, ściśle przestrzeganie ustaw, które są dla wszystkich równe. Niespełnienie tego obowiązku pociąga za sobą ustawową odpowiedzialność“. Zdaje się, że to cios wymierzony w biurokracyę, groźba nad nią zawieszona. Jeżeli tak, to bardzo dobrze. Tylko, że ustawy były zawsze, i obowiązek przestrzegania ustaw był zawsze — w teoryi, na papierze; a w praktyce były bezprawia, akty gwałtu i samowoli. Czy nakazana „ochrona ustaw“ zaradzi na to, czy też, jak było dotąd, ustawy zostaną na papierze, a ich wykonanie pójdzie swoją drogą, drogą, która je omija i udaremnia?

„Miejscowym i miejskim urządzeniom przyznajemy możliwie rozszerzony udział w administracyi różnych gałęzi dobra publicznego — z powołaniem zastępców wszystkich warstw interesowanych w sprawach miejscowych“ (Ziemstwa obwodowe, gubernialne, i zapowiedziane jakieś organa administracyi miejscowej). Słowo *możliwe* jest elastyczne, da się różnie tłómaczyć i różnie skurczać: niemniej ten punkt zawiera coś realnego, praktycznego. „Ustawy wyjątkowe mają być przejrane. Ich stosowanie połączone jest ze znacznem rozszerzeniem kompetencyi władz. Należy się starać o możliwe ograniczenie obszarów, na których te ustawy wyjątkowe mają być stosowane, i o to, by prawa osób prywatnych tylko w tych wypadkach były niemi ograniczone, kiedy wymaga tego bezpieczeństwo państwa“. To zwrócone przeciw karom, zesłaniom, więzieniom, nakładanym prostym administracyjnym porządkiem. Znowu bardzo pięknie. Tylko, kto będzie sądził i orzekał o tem, jak ma się rozciągać obszar podległy ustawom wyjątkowym, albo jaki człowiek czy wypadek zagraża bezpieczeństwu państwa? Od tego zależy, czy zmiana będzie rzeczywistą i korzystną, czy też zostanie słuszną i piękną na papierze, ale w praktyce wszystko zostanie *beim Alten*.

Odwołuje się cesarz do swojego manifestu z 11 marca 1903 r., i nazywa *tolerancyę w sprawach wyznaniowych* swoim *serdecznem* życzeniem. Nie wątpimy, że życzenie szczere, pragniemy gorąco jego rzetelnego urzeczywistnienia. Ustawę o wyznaniach nieprawosławnych poddał już cesarz rewizyi?

Oby nikt jego dobrej woli w wykonaniu nie wykrzywił, nie podszedł, nie zepsuł!

Poleca dalej cesarz rewizyę tych rozporządzeń, które ograniczają „prawa obcych i tubylców na pewnych obszarach“. Te ograniczenia to zapewne prawo posiadania i nabywania ziemi, prawo dziedziczenia i t. d. Z tych ograniczeń te jedynie mogą być zachowane, „które dla interesów państwa i przyszłości rosyjskiego narodu rzeczywiście są potrzebne“. Znowu rzecz wielkiej wagi — i znowu niepewność. Kto będzie stanował i rozsądzał? Niektórzy myślą, że konieczność finansowego położenia nakaże znieść wszystkie ograniczenia dla Żydów, ale że dla Polaków one zostaną. Spodziewajmy się, że rzecz nie tak była rozumianą i nie tak będzie wykonaną.

„Zniesione mają być *zbyteczne* ograniczenia prasy, żeby mogła spełnić swoje zadanie i być zwiastunką dążeń do prawdziwego dobra Rosyi“. Życzymy szczerze, żeby ten cel był rzeczywiście osiągnięty, żeby prasa mogła być czynnikiem w dążeniu do prawdziwego dobra społeczeństwa. Ale na to nie dosyć zdjąć z niej *zbyteczne* ograniczenia. Przykład wszystkich społeczeństw europejskich uczy, że przyznając prasie potrzebną i słuszną wolność, trzeba ją zabezpieczyć od bezkarności, która psuje i ją i społeczeństwo.

O narodowościach nie-rosyjskich w państwie, ich prawach i stosunkach, ani słowa.

Komitet ministrów — rozkazuje w końcu cesarz — ma niezwłocznie obmyśleć środki urzeczywistnienia tych zamiarów i ma uchwały swoje przedłożyć cesarzowi w jak najkrótszym czasie.

Oczywista jest intencya wyjścia, wyprowadzenia Rosyi z zamętu — jest krokn a drodze do zmian i reform. Jest utrzymanie zasady i formy samowładztwa, ale jest i przyznanie, że ono niekoniecznie dobrze rządziło. Takie przyznanie jest bardzo znaczące, jest zawsze faktem, ewenementem. Czy będzie faktem skutecznym, obfitym w dobre następstwa, czy jego dalszym ciągiem będzie rzeczywiste i roztropne urzeczywistnienie zamiarów, czy tylko jakieś pozory, dla uspokojenia umysłów, *ut aliquid fecisse videatur*? To niewiadome — a od tego zależy dalszy obrót wewnętrznej sprawy rosyjskiej. Rzetelny i wykonany program reform, może mieścić w sobie

wiele trudności, wiele niebezpieczeństw. Ale program pozorny, udany, a niewykonany, byłby może niebezpieczniejszym. Malowane dekoracye reform, jak dla Katarzyny II. osady i miasta na stepach, na długo nie zdołałyby złudzić tego społeczeństwa; a domaganie się rzeczywistości, po rozczarowaniu, mogłoby być silniejszym, groźniejszym, jak jest teraz.

Jakie wrażenie wywołał ten ukaz w Rosyi? W przeciągu paru dni nie mogło się to jeszcze wyraźnie pokazać. Niektóre wskazówki pozwalają jednak przypuszczać, że sprawił rozczarowanie. Ci, którzy się domagali i zaczęli spodziewać jakiegoś udziału w rządzie, jakiejś nad nim kontroli, musieli doznać zawodu. Jak się ten zawód objawi? *Duma* w Moskwie dostała upomnienie z góry za to, że żądała za wiele — ale dostała zaraz z dołu adresy z wyrazem wdzięczności i zaufania. Na bankietach odzywały się mowy silnie opozycyjne. Czy się to uspokoi, czy się roznamiętni?

A teraz to, co nas obchodzi. Jakiegokolwiek będzie to, co stanie się w Rosyi, rzecz jasna i niechybna, że będzie musiało odbić się na Polsce. Czy ten przełom, jaki się w Rosyi począł, pójdzie dalej równem tempem, czy się przerwie a później powróci na nowo, czy doprowadzi do pewnego samorządu tylko, czy do systemu parlamentarnego, czy do jakiej rewolucyi — to pewna, że Polska Rosyi podległa skutki jego w każdym razie uczuje. Czy będą lepsze, czy gorsze, nie możemy ani w to wnikać, ani ich odwrócić, ani niemi kierować. Wisi nad nami jakaś przyszłość niewiadoma, jakaś zmiana ważna; a my, czując to i wiedząc, czekamy na nią z zawiązanymi oczyma, nie możemy przewidzieć, jaka ona będzie, ze związanymi rękoma, bo nie możemy ani jej odepchnąć, ani jej przyspieszyć, ani jej zwrócić w jakiś kierunek dla nas pomyślny. Ta niemożność wpływania na swój los jest jedną ze stron najboleśniejszych naszego położenia, a nie pierwszy raz się zjawia. Do tego jeszcze ten wzgląd, ta prawda niezaprzeczona i także wiele razy stwierdzona, że choć jest niemożność kierowania swoim losem, to nie ustaje, zostaje: odpowiedzialność za swój los. Nie możemy sprawić tego, co mielibyśmy za dobre — ale możemy zawsze zrobić coś, coby nam wyszło na złe.

Co zrobimy w tej rosyjskiej kryzys? jaki jest nasz stosunek, stosunek Polski do niej? Jakie są, lub powinny być, nasze względem niej uczucia i nasze postępowanie?

Mogą być rozmaite. Socjalizm i anarchizm różnego stopnia i rodzaju, udrapowany polskim patriotyzmem, oświadcza, że łączy się ze wszystkimi opozycyjnymi elementami i ruchami w Rosyi. Przyświadcza mu, sprzymierza się z nim komitet centralny Ligi Narodowej. Co o tej polityce myślimy, to powiedzieliśmy już wiele razy; nie widzimy zaś dziś, żeby jej przybyło sił do zwyciężenia Rosyi, ani warunków korzystnych dla sprawy polskiej. Ale oprócz tej opinii, z którą teraz rozprawiać się nie będziemy, mogą być i są inne, które pytają, co robić, jak się zachować, jeżeli w Rosyi przyjdzie do jakich zmian, jeżeli będzie jakiś samorząd powiatowy i gubernialny? jeżeli jakieś ciała doradcze tylko? A jeżeli konstytucya, parlament? To wszystko jest możliwe, to wszystko da się przpuścić, a więc...

A więc, przedewszystkiem, nie tracić zimnej krwi, nie mieć nerwów, ani unosić się nadziejami. Myśleć rozważnie o tych różnych możliwych ewentualnościach, zastanawiać się: nie występować, nie wrywać się.

Naprzód, jak oni się urządzą — jeżeli się urządzać będą — to jest ich sprawa wewnętrzna, do której mięszać się nie mamy ani prawa, ani sposobu; gdybyśmy mięszać się chcieli, odpowiedzianoby nam zaraz ze wszystkich stron: „Nie wam do tego, nikt się was o zdanie nie pyta, o radę nie prosi“. Potem, nie można żadnego postanowienia powziąć, tem bardziej z żadnem występować, dopóki się nie wie, co się tam stanie, w jakim przedmiocie i zakresie postanowienia powziąć wypadnie. Zastanawiać się: tak — postanawiać: nie. Dalej tem się dobrze przejąć i o tem nie zapominać, że gdyby miały się poczynać zmiany w Rosyi, to nikt tam (tem bardziej nikt u nas) nie wie i przewidzieć nie może, w jakim duchu i kierunku one będą poczęte, i kto je będzie wprowadzał w życie. To wiemy, że w Rosyi jest opinij i odcieni opinij wiele; które w owej stanowczej chwili będą u władzy, będą na górze? Tu znak zapytania. To zaś wiemy dobrze, że wszystkie te różne opinie, różne nawet pod względem stosunku Rosyi do Polski, w jednym punkcie są zgodne, to jest, że politycznej

odrębności polskiej wszystkie, jak są, nie przypuszczają, uważają ją za naruszenie istoty rosyjskiego państwa. Jedni uznają i przypuszczają odrębną narodowość polską i jej prawa, drudzy nie — ale jedni i drudzy nie przypuszczają osobnej organizacji, osobnego zarządu Polski pod berłem rosyjskiem.

Wiemy dalej, że jeżeli są w Rosyi ludzie, grupy ludzi, uznające prawo Polaków do języka (w szkole i urzędzie), to wielka część tego narodu wychowana jest od lat czterdziestu w uczuciach, pojęciach, tradycjach Katkowa i Milutyna, Aleksandra III i Pobiedonoscewa, czyli w fanatycznej nienawiści Polski i fanatycznym ubóstwieniu rosyjskiej wyłączności. W razie zmian i reform, który z tych dwóch odłamów opinii okazałby się silniejszym, który miałby w Rosyi więcej wyznawców i zwolenników? Bardzo być może, że ten ostatni — że wprowadziliby różne zmiany i reformy u siebie, a u nas zostawiliby wszystko jak jest.

Do takiego zaś obrotu rzeczy pechać będą całą siłą wpływy różne, a potężne: o tem także zapominać nam się nie godzi. Jeden wpływ, to ten fanatyzm tylko co wspomniany. Drugi, to namiętność i interes tych czynowników, od najwyższych do najniższych, których racya bytu, korzyść, egzystencya, kieszeń wreszcie, opiera się na ucisku i prześladowaniu Polaków. Trzeci zaś wpływ, to Prusy, które wysiłą zawsze wszystkie swoje sztuki, wszystkie wpływy dyplomatyczne i rodzinne w Petersburgu, wszystkie agentury niby rewolucyjne w Warszawie, żeby nie dopuścić do jakiegoś uspokojenia umysłów, do jakiegoś choćby najdalszego i najślabszego *modus vivendi* między Rosyą a Polską.

To dość powodów, żeby na te zmiany — możliwe, a nie przeczymy że pożądane — patrzeć się chłodno, wiele się po nich nie spodziewać, na nich nie budować. A gdyby — co nam nie wydaje się prawdopodobnem — gdyby miało przyjść do konstytucyi i parlamentu w Rosyi, to i w tem widzielibyśmy więcej powodu do niedowierzania, niż do nadziei. Niektórzy mówią: „Wolność słowa, wyznań, możność wszystkich oskarżeń, interpellacyi, protestacyi“. — Prawda: tylko doświadczenie uczy, że te wszystkie prawa w teoryi, w praktyce nie zdają się na nic, że parlamenty bywają tak samo despotyczne, tak samo niesprawiedliwe i niegodziwe, jak gabinety,

że parlamentarne większości uchwalają wszystko, co im każą ministrowie, i niema bezprawia, któremuby na komendę nie dały formy prawa. A jaką byłaby większość rosyjskiego parlamentu w Petersburgu? jaką byłaby względem Polaków? Mogłaby być taką, jak jest niemiecka w Berlinie.

Dla nas pytanie to nader ważne, jak ten wzbierający prąd rosyjski wyobraża sobie stosunek Rosyi do Polski? Widzimy, że ton dzienników jest inny, nie tak nienawistny, jak bywał — czasem technący czemś naksztalt sympatyi. Lekko tego nie ważymy; ale mamy dość doświadczenia na to, by wiedzieć, że dziennikarskie artykuły to są słowa, że dzienniki zmieniają swoje opinie, i że jeżeli nigdzie i nigdy łatwo i zbyttnio wierzyć i ufać nie należy, to względem Rosyan w stosunku do Polski ostrożność i niedowierzanie są jeszcze potrzebniejsze, niż zwykle. O ich usposobieniach więc wiemy mało, a pewnego nie; jak zaś wyobrażają sobie, w razie zmiany, stosunek do Polski i jej stanowiska, jej prawa, na to mamy jedną wskazówkę — ale ta wskazówka daje poznać myśl niektórych tylko i nielicznych ludzi. Że to ludzie poważni, nawet znaczący, nie mamy prawa ani powodu wątpić; czy szczerzy i w dobrej wierze, nie mamy powodu podejrywać. Niektórzy uczestnicy zjazdu Ziemstw w Petersburgu w rozmowach z Polakami oświadcza li się za najzupełniejszą wolnością religijną, za wolnością osobistą, za prawami języka w szkole na wszystkich stopniach wychowania, w urzędach i w administracyi (w stosunkach z ludnością, nie z wyższemi władzami). To w granicach Królestwa Polskiego. Dalej przypuszczaliby samorząd powiatowy i gubernialny, i jakąś do spraw administracyjnych najwyższą instytucyę krajową, bez władzy prawodawczej, w której zasiadaliby reprezentanci Ziemstw i rad miejskich.

Tego wszystkiego nie ważymy lekko; przyznajemy, że w porównaniu z tem, co jest dziś, byłoby to wiele. Nasuwa nam się tylko przypomnienie ksiąg Sybillijskich, rok 1815, Wielopolski. Nie mogło wtedy nie stać się, nie może dziś odstać się to, co się stało. Ale to, co w dzisiejszych okolicznościach, w porównaniu ze stanem obecnym, wydaje się lepszem, to jest opinia — powiedzmy nawet że przekonanie, albo program polityczny — pewnej liczby ludzi. Czy w razie

zmian w Rosyi oni byliby w rządzie? a gdyby nawet w nim byli, czy mogliby wykonać, urzeczywistnić to, co dziś jest ich myślą, nie wątpimy, że szczerą? Jak się ukształtuje w Rosyi pojęcie stosunku do Polski, tego nie wiemy my, nie wiemy i oni.

Jesteśmy więc w niepewności, z której wyjść nie od nas zależy, którą musimy znosić. Jedno, co od nas zależy, na co w najgorszym razie wpływać możemy, to: nie zaszkodzić sobie, nie pogorszyć położenia. Na to zaś potrzeba: nie unosić się ani nadziejami, ani niechęciami; mieć zimną krew, nie mieć nerwów; nikomu się nie rzucać na szyję (a tem mniej do nóg), nikogo nie obrażać i nie drażnić; myśleć dużo, mówić jak najmniej; zastanawiać się, a nie postanawiać; pamiętać, że im większe osłabienie Rosyi, tem większa jej na długo zależność od Prus, a ich panowanie nad Europą. Te względy mieć na oku i w sumieniu, bo w ich zachowaniu nasz interes, nasza przyszłość na czas długi. Tem się przejąć i czekać. Rosya przebywa kryzys. Jaką okaże się po wojnie? Lepszą czy gorszą? To jedno można przypuszczać, że nie zostanie taką, jaką była dotąd. Dla niej samej, i dla nas skoro od niej zależymy, życzyć należy, żeby wyszła lepszą. Ale my na to wpłynąć nie mamy sposobu. Ztem zaś, nieroztropnem zachowaniem się, moglibyśmy sprawić ten skutek, że to, co w niej najgorsze, stałoby się na nowo najsilniejszym. Tego mamy się strzedz. Dotąd, dzięki Bogu, postawa Królestwa, postawa Warszawy jest budująca i imponująca spokojem, zimną krwią, posiadaniem siebie. Oby tak było dalej! Socyalistyczne partie wyzyskują nieszczęście rezerwistów branych do wojska i ich rodzin i wywołują rozruchy w Radomiu, Łodzi, Częstochowie, Zawierciu. Powtarzają przy tem jakieś polskie hasła i pieśni, żeby łatwiej za sobą ludzi pociągnąć. Żałujemy najszczerzej tych, co się oszukać i wciągnąć dają, ale to wiemy dobrze, że ich przywódcom o Polskę i jej sprawy nie chodzi. Ci, co o niej myślą, co ją miłują, znoszą swój los spokojnie, poważnie i poważnie. Czy ostatni ukaz sprowadzi jakie zmiany i ulgi? To nie jest niemożliwe, to, owszem, co do niektórych punktów przynajmniej, choć pewnem nie jest, możliwem jest. Chodzi o to, żeby stało się pewnem. Nam, Polsce i jej sprawie, za-

leży na tem – czynownikom, Prusakom i socyalistom zależy na tem, żeby było niemożliwem. Nasze zachowanie się może szaleć przeważać na jedną, naszą, albo na drugą stronę, na ich stronę, korzyść i radość. Wybór i jego dalsze skutki, na naszej odpowiedzialności.

Wobec tych zajść w Rosyi, zajmującej prawie $\frac{1}{6}$ część świata, nikły lub mały zajścia w innych państwach, przede wszystkim w tej zawsze niezmienionej Austrii. I tutaj przygotowywała się z końcem roku zmiana stosunków wewnętrznych, która jednak, zupełnie odmiennie od Rosyi, nie odnosiła się do zasad rządzenia, ale do osób, stojących na czele rządów. Prezydent ministrów, p. Koerber, podał się do dymisyi. W Austrii ogranicza się każda zmiana polityczna do zmiany osób; w gruncie rzeczy pozostaje wszystko tak, jak było, tylko osoby się zmieniają. Jest to w każdym razie dowodem niezdrowych stosunków, że ciągle się toczy walka o posady ministeryalne; raz ten, raz inny kandydat dochodzi do celu, który jakiś czas, według wyrażenia hr. Taaffego *fortwurstellt*, aż do swojego zwykłego końca. Można przyczyny tego w najrozmaitszych szukać stosunkach, ale ostatecznie musi się dojść do przekonania, że główną przeszkodą utrwalenia się stosunków stanowią Niemcy austriacy, ich teoria o niezmienionym narodowym stanie posiadania. Jak długo Niemcy austriacy wymagać będą od każdego rządu, ażeby on chronił ten ich stan posiadania, ażeby on nie przedsiębrał żadnego kroku, któryby Słowianom dał jakkolwiek bądź możliwość rozwoju narodowego, tak długo nie będzie spokoju w Austrii. Wszak trudno postawić jako aksyomat, że każda nowa szkoła słowiańska ukróca prawa Niemców, wszak trudno zakazać Słowianom, ażeby się nie mnożyli, ażeby ich dzieci nie podrastały, ażeby tu nie pobierały nauki w języku ojczystym. Jest to nonsensem żądać od rządu austriackiego, ażeby ten miał zawsze i wszędzie za główny cel rozwój narodowy Niemców bez względu na rozwój narodowy Słowian. Rząd austriacki musi być bezstronny, stać ponad interesami narodowości, których rozwój zależy nie od poparcia z góry, ale od własnej siły i własnej pracy. W tej walce o egzystencję narodową zwycięży silniejszy organizm, a nie silniejszy polityk.

P. Koerber upada skutkiem intryg Niemców, zaślepionych w tej maksymie o stanie posiadania. Ministerstwo p. Koerbera popełniło niemało błędów, ale to ministerstwo uważało się zawsze i wszędzie w pierwszej linii za reprezentanta Niemców, którzy zawsze obalają tych, którzy na ich działali korzyść. To postępowanie Niemców jest w stanie wzbudzić podejrzenie, jak gdyby chodziło Niemcom o utrzymanie niepokoju w Austrii, o przeszkodzenie każdemu uporządkowaniu polityki wewnętrznej w Austrii. Jeżeli w tem postępowaniu Niemców niema systemu, to jest ono chyba szaleństwem.

Jak długo ministerstwo p. Koerbera miało do czynienia tylko z opozycją lub nawet obstrukcją Czechów, tak długo trzymało się u władzy; w chwili, w której Niemcy stanęli w opozycji, ministerstwo upadło.

P. Koerberowi musi się oddać sprawiedliwość, że był urzędnikiem nadzwyczaj pracowitym, który pojmował swoje zadanie z wyższego stanowiska. Za wiele było za jego rządów reklamy, za wiele pozy, za wiele względów na to, co powie prasa o tym lub owym kroku — ale było dużo pracy i dużo cierpliwości. Słabą stroną p. Koerbera było to, że chciał on być gwałtem mężem historycznym, olśniewającym społeczeństwo w teraźniejszości, a pozostawiającym ślady w historii przyszłości. Stąd pochodziło nie mało kroków powierzchownych, nie gruntownie obmyślonych, a obrachowanych tylko na błysk chwilowy. P. Koerber za wiele rzeczy obejmował, za wiele na swoje siły liczył. *Qui trop embrasse, mal étreint*. Słabą stroną p. Koerbera była także jego liberalna wiedeńskość, jego przejęcie się ideami i prądami sfer liberalnych naddunajskich, sfer wyższej biurokracji austriackiej, wyższych sfer finansowych i prasowych wiedeńskich. W p. Koerberze skoncentrowały się dwa typy: raz typ urzędnika nowoczesnego austriackiego, wyszłego z Theresianum, który czuje w sobie zdolność do każdej pracy i do rozwiązania każdego zadania, bez względu na to, czy pierwaj temi sprawami się zajmował — powtóre typ dziennikarza wiedeńskiego, przejętego pewnemi formułkami nowoczesnego socjalizmu i starego liberalizmu.

P. Koerberowi było też brak znajomości potrzeb poszczególnych krajów, które trudno się dają załatwić na modłę ogólnych formułek biurokratycznych wiedeńskich.

Pomimo to wszystko wyznać potrzeba, że w szeregu prezydentów ministrów austriackich zajmie p. Koerber stanowisko niepoślednie: nietylko skutkiem politycznych wyników swojej działalności, jak z powodów czysto ludzkich, jako człowiek, który według swoich sił, a nawet ponad swoje siły, dążył do osiągnięcia wyższych celów, i w tej walce okazał wiele inteligencji, wiele zręczności, wiele znajomości ludzi, a przede wszystkim wiele pracy.

Cóż dalej nastąpi? O ile sądzić można, ustąpienie p. Koerbera o tyle naprawi stosunki, że Czesi będą mogli na jakiś czas *zaprzestać* obstrukcyi, skoro odnieśli rzeczywisty tryumf przez obalenie p. Koerbera, Niemcy zaś nie będą mogli *rozpocząć* obstrukcyi, skoro to oni właściwie przyczynili się do tego obalenia, glosując w komisji budżetowej przeciwko p. Koerberowi i wyrażając mu w szeregu rezolucyj swoją nieufność. Ustąpienia p. Koerbera powinnyby więc właściwie zadowolić i Czechów i Niemców. O ile jednak znamy Niemców austriackich, jesteśmy przekonani, że sam fakt, iż Czesi uważać będą ustąpienie p. Koerbera za rodzaj tryumfu, wystarczy do zaniepokojenia Niemców; jesteśmy przekonani, że Niemcy austracy niezadługo rozpoczną walkę przeciwko jakemukolwiek bądź następcy p. Koerbera. Zanim jednak wrócą na dawne tory — na te *Kriegspfade*, po których zawsze chodzą, minie jakiś przeciąg czasu. Przez ten czas panować będzie spokój i może się uda choć chwilowo uzyskać regularne funkcyonowanie maszyny państwowej. Że zaś w Austrii o nic innego nie chodzi, jak o choćby chwilowe zawieszenie broni, więc można być chwilowo zadowolonym. Jeden z ambasadorów, nieznający dokładnie języka francuskiego, przetłumaczył raz niemieckie wyrażenie: *Von Fall zu Fall* przez *De chute en chute*. To lapsus da się zastosować do Austrii. Polityka austriacka toczy się rzeczywiście *de chute en chute*, od upadku jednego ministerstwa do upadku drugiego. Ministrowie w Austrii oddają zwykle najlepszą usługę państwu w chwili ustąpienia. Im większy pozostawiają chaos, tem łatwiej gromadzą się stronnictwa dla chwilowego zapro-

wadzenia porządku i przeprowadzenia tego, co się tutaj nazywa *Staatsnothwendigkeiten*. Tak maszyna państwowa austriacka funkcjonuje: *de chute en chute*.

Jeżeli w Austrii szukano wyjścia z trudnego położenia zapomocą zmiany gabinetu, to na Węgrzech szukano go zapomocą zmiany parlamentu. Nowe wybory rozpisane zostały na 4 stycznia. Tak po Nowym Roku waleczyć będzie w Austrii nowy rząd ze starym parlamentem, na Węgrzech stary rząd z nowym parlamentem. Ale oprócz tego waleczy tam duch publiczny, patryotyzm, dobro i przyszłość Węgier, z prywatą demagogicznego magnata, podobnego do tych wszystkich, którzy wicherzyli w naszej Rzeczypospolitej (hr. Apponyi) — z prywatą ludzi próżnych, którzy chcą ministra obalić, żeby się na jego miejsce wydrapać (Andrassy, Banffy) — z zaślepieniem i głupstwem partyi (Kossutha), która się uważa za najbardziej i najlepiej węgierską, a gdyby mogła wykonać co zamysła, sprowadziłoby zgubę Węgier. Walka frazesu przeciw interesowi, komedyi patryotyzmu przeciw jego prawdzie. Walka obrzydliwa w swojej istocie, a chyba jeszcze obrzydlawsza w swoich środkach, wstydliwych jako kłamstw a i wykręty, dzikich jako burdy i niszczenie. Tyle zrobili, że dziś porządny Węgier musi się wstydzić za swój Sejm. Porządni ludzie z po za Węgier tym ludziom i partyom zwycięstwa przy nowych wyborach życzyć nie mogą.

W chwili, kiedy ten przegląd miesięcznych wypadków wychodzi z pod prasy, zaszedł fakt, który musi wpłynąć na dalszy tok wojny, może na losy Rosyi. Port Arthur się poddał; bronił się heroicznie, rozpaczliwie do ostatka, ale nie mógł już dłużej i poddał się. Co dalej? Jakie będzie wrażenie w Rosyi? Jakie postanowienia rządu? Spada to w chwili, kiedy w Petersburgu wahadło poszło znowu w stronę przeczenia, oporu, odmowy reform: książe Mirski miał się podać do dymisyi. Ta zmiana mogła rozjątrzyć opinię — a klęska nie podeprze stanowiska i powagi dzisiejszego rządu. Z czem się odezwie, jak się zachowa społeczeństwo? czego zażąda?

W Austrii ster rządu objął bar. Gautsch. Życzymy jemu i państwu, żeby zdołał przywrócić zburzony porządek.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego“.

Weltstadtseelen. Novelletten von Friedrich Perzyński.
(Albert Langen, München, 1904, 8-o, str. 159).

Vera. Jedna dla wielu. Z pamiętnika młodej dziewczyny.
Tłómaczyła z oryginału Stefania Maybaumcwa. (Łódź,
1903, Rychliński i Wegner, 8 o, str. 72).

Stefan Górski (Michał Nałęcz): *Łódź współczesna.*
Obrazki i szkice publicystyczne. (Łódź, Rychliński i Wegner,
1904, 8-o, str. 177 i IV).

Gudda Behrend: *Pamiętnik grzesznicy.* Tłómaczył Jan
Błeszyński. (Łódź, Rychliński i Wegner, 1904, 8-o, str. 111).

Spinozas Briefwechsel. Verdeutsch und mit Einleitung und
Anmerkungen versehen von J. Stern. (Leipzig, Ph. Reclam
jun., 8-o, str. 295).

„*Die Bibel in Fetzen*“. Von W. R. Washington Sul-
livan. Autorisierte Übersetzung aus dem Englischen von He-
lene Riesz. (Wien, Leipzig, Budapest, 1904, Moderner Ver-
lag, 8-o, str. 78 i 2 nl.).

Stanisław Koźmian: *Rzeczy teatralne.* (Kraków, 1904,
Księgarnia Fabiana Himmelblaua, 8-o, str. XXIII i 411).

Carl Spitteler: *Olympischer Frühling.* Epos. III. *Die
hohe Zeit.* (Verlegt bei Eugen Diederichs, Leipzig, 1903, 8-o,
str. 143).

Kazimierz Gliński: *Boruta.* Powieść z lat dawnych.
(Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1904, 8-o, str. 555).

Freiherr von Schlicht: *Die Fahnenkompanie und
andere Militärhumoresken.* (Albert Langen, München, 1904, 8-o,
str. 158).

Z jednego strumienia. Szesnaście nowel przez Dziesięciu
autorów. (Warszawa, 1905, skład główny w Księgarni E.
Wende i Sp., 8-o, str. XVI i 420).

Richard Wagner. Vorlesungen gehalten an der Universität
zu Wien von Guido Adler. (Leipzig, Druck und Verlag von
Breitkopf & Härtel, 1904, 8-o, str. XI i 372).

Richard Wagners Briefe nach Zeitfolge und Inhalt. Ein Beitrag zur Lebensgeschichte des Meisters. Von Dr. Wilhelm Altmann. (Leipzig, Druck und Verlag von Breitkopf & Härtel, 1905, 8-o, str. VIII i 560).

Caput Nili. Eine empfindsame Reise zu den Quellen des Nils. Von Richard Kandt. Mit 12 Lichtdrucktafeln und einer Karte. Zweite Auflage. (Berlin, 1904, Dietrich Reimer (Ernst Vohsen), 8-o, str. XII i 538).

Jan Augustynowicz: *W pryzmacie.* (Warszawa, 1905, nakład Księgarni G. Centnerszvera i Sp., 8-o, str. 143).

Stanislaw Brzozowski: *O Stefanie Żeromskim.* Studium. (Nakład G. Centnerszvera i Sp., Warszawa, 1905, 8-o, str. 112).

Erzieher zu deutscher Bildung. Erster Band. Joh. Gottfr. Herder: *Ideen.* Zusammengestellt von Friedrich von der Leyen. Mit Porträt (8-o, str. XX i 230). Zweiter Band. Friedrich Schlegel: *Fragmente.* Ausgewählt und herausgegeben von Friedrich von der Leyen. Mit Porträt (8-o, str. 180). (Verlegt bei Eugen Diederichs, Leipzig und Jena, 1904).

Friedrich Schüller und die Frauen. Von Dr. Adolph Kohut. (Oldenburg und Leipzig, 1905, Schulze, 8-o, str. VII i 311).

Goethes „Faust“. Eine Einführung von Berthold Litzmann. (Egon Fleischel & Co., Berlin, 1904, 8-o, str. VIII i 400).

Heimat des Herzens. Roman von Georg Freiherrn von Ompteda. (Egon Fleischel & Co., Berlin, 8-o, str. 438).

Otto Ernst: *Asmus Sempers Jugendland.* Der Roman einer Kindheit. 1. bis. 5. Tausend. (Leipzig, 1905, Verlag von L. Staackmann, 8-o, str. 358).

Adam Krechowicki: *Mrok.* Powieść na tle historycznym XVII w. z cyklu *O tron.* (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1905, 8-o, str. 355).

Die Prinzessin von Banalien. Ein Märchen von Marie von Ebner-Eschenbach. (Berlin, Concordia Deutsche Verlags-Anstalt, 8-o, str. 81).

Max Schmid: *Kunstgeschichte des XIX Jahrhunderts.* Erster Band. Mit 262 Abbildungen im Text und 10 Farbendrucktafeln. (Leipzig, Verlag von E. A. Seeman, 1904, 8-o, str. 358).

Berühmte Kunststätten. Nr. 26. Ludwig Volkmann: *Padua* (8-o, str. 138). Nr. 27. Agnes Gosche: *Mailand* (8-o, str. 222). Nr. 28. Otto Gerland: *Hildesheim und Goslar* (8-o, str. 124). (Leipzig, Verlag von E. A. Seemann, 1904).

Agot Gjems-Selmer: *Nad dalekim cichym fjordem.* Powieść dla młodzieży. Przełożyła Janina Mortkowiczowa. Okładkę rysował W. Szwarc. (G. Centnerszwer i Sp., 1904, 8-o, str. 152).

Teodor Jeske-Choiński: *O mitrę gospodarską*. Powieść historyczna z XVI stulecia. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolfa. Kraków, Gebethner i Sp, 1904, str. 381).

Marya Konopnicka: *Poezycje*. W nowym układzie. V. *Z mojej księgi*. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolfa. Kraków, G. Gebethner i Sp., 1903, str. 221).

Marya Rodziewiczówna: *Macierz*. Powieść. (Warszawa, druk synów S. Niemiry, 1903, str. 278).

„Przegląd Filozoficzny”.

Pismo, rozporządzające współpracownictwem wszystkich wybitniejszych pracowników naszych na polu filozofii, stawia sobie za zadanie: dawać wyraz oryginalnej polskiej myśli filozoficznej i odzwierciedlać ruch filozoficzny za granicą.

Rocznie { w Warszawie rub. 4.
 { z przesyłką pocztową. . . „ 5.

Nowi prenumeratorowie, którzy nadeślą całoroczną prenumeratę na r. 1905, mają prawo do otrzymania **BEZPŁATNIE** już w październiku r. b.

Rocznika „Przeglądu Filozoficznego“ z roku 1904.

Rocznik ten, między innymi, zawiera dwa zeszyty, specjalnie poświęcone Spencerowi i Kantowi.

Tego ustępstwa w roku przyszłym Redakcyja już zrobić nie będzie mogła, gdyż liczba roczników pisma zostanie ograniczona.

Koszta przesyłki rocznika wynoszą rub. 1.

Cena kompletu, t. j. siedmiu roczników *Przeglądu Filozoficznego* — rub. 28, z przesyłką pocztową rub. 33; dla nowych prenumeratorów z przesyłką rub. 28.

W roku 1905-ym nastąpi rozstrzygnięcie konkursu „Przeglądu Filozoficznego“ (nagroda 1000 rub.) i rozpocznie się druk odznaczonych rozpraw.

Redaktor i Wydawca **Dr. Władysław Weryho.**

Adres redakcyi: Warszawa, Mokotowska 47.

ZYGMUNT TASZYCKI.

Ustęp z dziejów aryaństwa w Polsce.

Dramat w 5 aktach.

OSOBY:

PIOTR GEMBICKI, od r. 1642 biskup krakowski, przedtem kanclerz w. kór.

DOROTA z BŁOŃSKICH 1-o voto TASZYCKA, 2-o voto GOSŁAWSKA.

ZYGMUNT TASZYCKI, jej syn.

HIPOLIT CZERMIŃSKI, starosta sandecki, dworzanin króla Władysława IV, siostrzeniec Gembickiego.

HANNA

ZOFIA BIERECKA } jego siostry.

KRZYSZTOF LUBIENIECKI, teolog i starszy zboru w Luławicach, dawniej pastor w Lublinie i Rakowie.

HALSZKA, jego córka.

STANISŁAW BRZESKI, powinowaty i wychowanek Lubienieckiego.

JERZY SZLICHTYNG, poseł i sędzia wschowski, skazany za bluźniercze książki na sejmie r. 1647 na infamię, śmierć i konfiskatę dóbr.

SAMUEL PRZYPKOWSKI } profesorowie aryańskiej szkoły

BENEDYKT WISZOWATY } luławickiej.

KAZIMIERZ SZAFRANIEC } starsi uczniowie szkoły luławickiej,

JAN KUCYATA

JAROSZ STRZAŁA } krewni Taszyckich.

ADAM MISIEWSKI, dworzanin Gembickiego, przyjaciel Hipolita.

JAKÓB DEMBIŃSKI, powinowaty Taszyckich.

KRZYSZTOF z ROBKOWA WYSZKOWSKI, podczaszy bielski.

LENART BUCZYŃSKI.

HEJK ŁAPKA, pisarz grodzki sandecki.

CHRZCZON KAZIMIERSKI }
 BERNAT TRYKACZ } chiliaści, t. j. Aryanie skrajni, przestrze-
 gający wstrzeźliwości od miecza
 i urzędu i żądający wspólności dóbr.

ROCH WANDRON, żydotrójeżak, t. j. Aryanin, uważający prawo moj-
 żeszowe za obowiązujące.

GRZEGORZ MINOWSKI.

TOMASZ PIELSZA.

MIKOŁAJ WIKTOR.

KOSTKA NAPIERSKI } hersztowie opryszków i naczelnicy ruchu
 STYMBERK DĄBROWA } chłopskiego na Podgórzu.

EWKA

BASIA } panny respektowe Doroty Gosławskiej.

TERESKA }

ZŁOŚNICKA, ich ochmistrzyni.

SZCZYGIELSKA, klucznica.

KUBUŚ, jej syn, pacholik.

MATEUSZ, kredencarz.

Szlachta aryńska i katolicka płci obojga. — Chiliaści — Młodzież
 szkoły luławickiej — Kapela. — Opryszki. — Służba.

*Rzecz dzieje się w Luławicach na Podgórzu, majątności Ta-
 szyckich, w r. 1648, w czasie bezkrólewia po śmierci Władys-
 ława IV. — Między trzecim a czwartym aktem upływa kilka
 miesięcy czasu.*

AKT PIERWSZY.

(Dziedziniec przed zbozem w Luclawicach. Brama główna na oścież otwarta. Trochę wyżej, po tej samej stronie budynek szkolny i drukarnia. Front zupełnie bez okien. Nad wejściem popiersie Socyna. Po drugiej stronie dziedzińca kilka starych lip. Pod jedną z nich ławeczka. Dalej gęste krzewy. W głębi szeroka droga, prowadząca do dworu. Widać w dali góry i brzeg Dunajca).

SCENA I.

(Kubuś stoi na ławeczce pod lipą, tnie gałązki, które rzuca za siebie; pogwizduje i nuci na przemiany).

Kubuś. Zasiał wałkoń koprem rolę
A sam poszedł na swawolę.
Koper mu się nie urodził,
Będzie wałkoń bosy chodził!
Hu! ha!

Tańczy baba, kiehy kula,
Jak jej zagrać, dobrze hula;
Jak jej wsypać w gębę pieprzu,
Baba lata po powietrzu!
Hu! ha!

Moje dziewczę, daj mi gęby,
Nie będą cię boleć zęby;
Dała gęby po trzy razy,
Zęby bolą coraz barzej!
Hu! ha!

(Za sceną wołanie: Kubuś! Kubuś!)

Kubuś. Rety! matula! *(biegnie i chowa się w krzaki).*

SCENA II.

Szczygielska (*wchodzi zdyszana*). Kubuś! Kubuś! A to nie-poń! Zbiegałam cały dwór i ogród i nie ma go nigdzie. (*składa ręce w trąbkę przy ustach i woła*): Kubuś! Kuba! Odezwij się!

(*Kubuś dusi się od śmiechu i skacze z radości*).

Szczygielska (*siadając na ławeczce*). A tom się zmęczyła! Aż mnie coś drze po nogach, a serce jakby zegar kuran-towy głośno puka (*chłodzi się fartuchem*). Panno Naj-świętsza! gdzie się też ten zatracony chłopak mógł po-dziać! Żeby aby do rzeki nie wpadł.

(*Kubuś skrada się cicho z tyłu i zakrywa jej oczy rękoma*).

Szczygielska. Wszelki duch! (*chwytą Kubusia za ręce i od-wraca się*). Ty wisusie! Tak to szanujesz matkę? A masz ty serce ganiać mnie starą w takie gorąco, jak ogar za-jąca? Poczekaj, powiem ja Mateuszowi, to ci tak skórę wypierze winnikiem, że z ruski miesiąc popamiętasz.

Kubuś (*pokornie*). Nie gniewajcie się, matusiu. Pan Mateusz posłał mnie po gałązki, co to niemi mają gości z much oganiać przy obiedzie — i tak mi się jakoś daleko za-szło. Dalibóg drugi raz nie będę, jeno nie skarżcie.

Szczygielska. Jak mi teraz zaraz nie wrócisz do domu, do roboty, to Święty Boże nie pomoże, naskarzę.

Kubuś. Już pójdę, pójdę.

(*Zbiera pęk gałęzi leżących na ziemi*).

Szczygielska. Takem się zgoniła, że muszę tutaj krzynę od-począć. Tymczasem idź, ino nie baraszkuj po drodze. A powiedz tam Mateuszowi, że te pięć obrusów, co mają iść na stół, już leżą w jadalnej. Niech się nie pomyli przy nakładaniu. Ten najgrubszy na wierzch, a ten naj-cieńszy, hollenderski, haftowany, na sam spód pod wety. Spamiętasz?

Kubuś. Spamiętam, matusiu... (*idzie parę kroków*).

Szczygielska (*woła*). Kubuś! Kubuś! (*Kubuś wraca*). A po-wiedz tam Zubkowi, żeby kapłony kubebami i karde-monami nadział, niech zaś broń Boże bijanki bezemnie robić nie zaczyna, bo ze wszystkim zepsuje.

Kubuś (*pogardliwie do siebie*). A to ci dopiero ładajaki smoligarnek! (*głośno*) Dobrze, matusiu! (*idzie*).

Szczygielska (*woła*). Kubuś! Kubuś! (*Kubuś wraca*). A powiedz tam Nastce, niech nie zapomni sera do talamurów utrzyć... bo...

Kubuś (*przerywa*). La Boga, matusiu, nie kaźcie mi nie więcej powiadać, bo nijak nie spamiętam (*liczy na palcach*). Mateusz — to jeden, Zubek — to dwa, Nastka — to trzy... (*do siebie*). Ej, muszę zmiatać, bo mnie matusia gotowi niewiedzieć ile razy nawracać (*wybiega*).

(*Szczygielska rozsiada się wygodnie na ławce, a usypiając, kiwa w tę i ową stronę*).

Zofia (*za sceną*). Panie bracie, choć trochę popatrzym.

Hipolit (*za sceną*). Co ci się zachciewa!

Hanna (*za sceną*). Cóż was dziś opadło? No! już chodźmy, bo mi spokoju nie dacie.

SCENA III.

Hipolit, Hanna, Zofia

(*wchodzą z lewej strony. Hanna i Zofia z pękami kwiatów polnych w ręku. Wszyscy podchodzą do zboru i zaglądają do wnętrza. Hipolit odwraca się, spluwając*).

Hipolit. Tfy! i to ma być przybytek boży? Karczma, stajnia, ale nie świątynia.

(*Przyglądają się dalej. Szczygielska obudzona, przeciera oczy i spostrzega Hannę, Zofię i Hipolita*).

Szczygielska (*do siebie*). Toć to chyba panna Hanna Czermińska z swoją panią siostrą. A to pewno sam pan starosta. Muszę ich przecie powitać.

(*Podchodzi do Hanny i Zofi i wita się*).

Hanna. Jak się masz, Szczygielsiu?

Hipolit (*do sióstr*). Kto to?

Hanna. Klucz...

Szczygielska (*wpada jej w słowo*). Klucznicza Ichmość Państwa Taszyckich jestem. Do usług Waszej Miłości...

Hipolit (*z oburzeniem do sióstr*). A wy skąd z heretyczką w konfidencyi?

Szczygielska (*recytuje jednym tchem*). Katolizka jestem, jak Bóg przykazał. Lekarka ze mnie, nie chwaliwszy się, na całą okolicę pierwsza. U chorych mnie Ich Miłościę poznały, gdzie same też leki nosiły.

Hipolit. Kołowrot, nie język, u tej białogłowy!

Hanna. Zkąd się tutaj bierzesz, Szczygielsiu?

Szczygielska. Sen mnie zmorzył tu pod lipą od wielkiego zmęczenia. Już mi nogi służyć nie chcą, taka krętanina od samego rana. Roboty wyżej głowy. Wszystko od pośpiechu z ręki leci.

Zofia. Zkądże tyle roboty się wzięło? czy goście macie?

Szczygielska. To Wasze Miłościę nie nie wiedzą? Nasz pan Zygmunt wrócił ośmnaście niedziel temu od Włochów z nauk i podróżowania i nasza pani zdaje dziś na niego całe Luclawice. Odtąd będzie już rządzić nie jej Miłość, ale pan Zygmunt. Nazjeżdżało się goście huk. Same heretyki! tfy! (*spluwa z pogardą*). Żeby ja tak nie kochała naszej pani i panicza, jako to, żem go od małenkości wypiastrowała, a z panią jako wyprawna do Luclawic przysła, tobym wołała głód mrzeć, jak heretyckie jadło jeść i heretyckiego dobra strzedz.

Zofia (*śmiejąc się*). Jakoś na tem heretyckiem jadle nie źle wam się dzieje, moja miła Szczygielsiu, boście rumiani, jak pączek w maśle.

Szczygielska. To wszystko od smętkości i zmartwienia. Jak patrzę na te heretyckie praktyki, to mi się owo coś we wątrobie zatyka i taką grubość wszędy w ciele sprawia. Takie czasem we mnie zgorzenie wielkie, że bywa i żółć, a gorycz wielka, z przeproszeniem Waszych Miłości, gębą wychodzi.

(*Hipolit, Hanna i Zofia śmieją się*).

Hipolit. A jakże tam Imci Pani Szczygielska leczy to swoje zgorzenie?

Szczygielska. Leki różne są, proszę Waszej Miłości. Jest bzowy korzeń, co jak się skrobie na dół, to złe dołem idzie, a jak do góry, to górą. (*Hipolit, Hanna i Zofia śmieją się*). Jest macierzanka i rumianek i bzowy kwiat i lipowy. Czasem tego, czasem owego użyję, a zawsze

skutecznie. Ale już najskuteczniejszy lek: modlitwa. Mam ja w łubie dobrze ukryty obrazek Przenajświętszej Czystochowskiej. Dobywam go wnet, jak mi heretyckie bluźnierstwa żółé przewracają i modlę się a modlę.

Hanna. Może też i wymodlisz nawrócenie tych biednych dusz w błędnictwie ginących.

Szczygielska. Ach, pannuńciu, życie bym za to dała. Ale gdzie tam! Ten dyabeł Socyn, to czysty Antykryst. Tak opłatał nieboszczyka pierwszego męża naszej pani i panią samą, że jego naukę uważali za najlepszą. Żeby Wasze Miłości wiedziały, co to za sądny dzień był, gdy ten oto kościół (*pokazuje na zbór*) zamykali przed Panem naszym, Jezu Chrystem. Ksiądz proboszcz musiał uciekać tak, jak stał, ino tyle, że Hostyę św. wynieść zdążył...

Hipolit, Hanna, Zofia (*razem*). Bezeczeństwo!

Szczygielska. Jęły potem te szelmy aryańskie wyrzucać z kościoła: cyboryum, obrazy, ornaty, mszały. Z tego wszystkiego ułożył Socyn wielki stos; a tu w tem miejscu (*pokazuje na środek dziedzińca*) jak ogień podrzucili i płomienie jęły lizać, a potem obejmować te wszystkie świętości, to myślałam, że mi serce pęknie; a oni wszetecznicy śpiewali pieśni od wielkiej uciechy. A lud to kijmi spędzali i kazali heretyckie pieśni śpiewać i do zboru na nabożeństwo chodzić!

Hipolit. Tak to bracia szlachta nadużywają swej władzy nad prostaczkami! Gorze Rzeczypospolitej, gdzie takowe gwałty bezkarnie uchodzą!

Szczygielska. Chrzest dzieciątek te bezecniki „świńską łaźnią“ zowią... A jak tam nowe jakie dusze dyabeł opęta i tu na „krzest“ przyjadą, to, z przeproszeniem Waszych Miłości, wszystko naguśkie, jak pasternaki do Dunajca drałuje. Tamże ich dopiero minister trzy razy we wodzie nurza wyżej czubów. To niby potem mają już być krześcijanami.

Hipolit. Obrzydłe nurki! Dwójczaki wszeteczne!

Zofia (*z oburzeniem*). Jak ty możesz mieszkać w Luclawicach?

Szczygielska. Tać chciałam uciekać, ale nasza pani ani mó-

wieć o tem nie dają. Szczygielsiu — powiada — już ty sobie bądź papistką, a zostań przy mnie, bom do ciebie nawykła. Więc ostałam. Potem niańczyłam Zygmuśia i już mi nijak było odchodzić. Alem w wierze do trwała i Kubuś też w Matkę Boską wierzy i w Tróję Przenajświętszą.

Hanna. Tam w zborze jest podobno grób i pomnik Socyna?

Szczygielska. Jest, jest, panienko. Wykonterfektować go nasza pani kazała, kieby żywego. A dziś to mój Zygmuś ma tam przy tym jego konterfekcie przysięgać, że nigdy swej heretyckiej wiary nie porzuci i będzie jej strzegł, jak oka w głowie, a zboru i szkoły, co to ją tu przed dziesięciu laty z Rakowa przenieśli, nigdy katolikom nie odda.

Hipolit. Szelma!

(Hanna, która ostatnich słów Szczygielskiej słuchała z coraz większym niepokojem, odwraca się i zakrywa twarz rękoma).

Zofia *(obejmuje ją, na stronie).* Hanno, baczenie miej a pilnuj się, by wszystko zbyt prędko na jaw nie wyszło. Czemu to zmieszanie? Alboż się nowych dowiadujesz rzeczy?

Hipolit. Hanno, co tobie? Także to bardzo do serca sobie bierzesz te szelmowskie aryańskie praktyki?

Hanna *(usiłuje pokryć wzruszenie).* Żal mi, gdy słyszę, że zacne dusze na zgubę wieczną lecą. *(z wybuchem)* Ale co dobre jest, nie zginie! Taszycki, choć złoży przysięgę, uratowan być może, gdy się Bogu spodoba.

Hipolit *(żartobliwie).* Jako prorokini stawasz, panno siostrzo!

Szczygielska *(patrząca z uwielbieniem na Hannę, budzi się nagle z zachwyty).* Rety! słońce już tak wysoko, a ja tu stoję — i nie mogę się napatrzeć panny Hanny!... Za pozwoleniem Waszych Miłości, muszę coprędzej iść do mojej roboty. Już i tak chyba za późno będzie na bijankę. Zrobię tortele z ryżu, arkas albo rosiatę.

(Żegna się i odchodzi prędko).

SCENA IV.

Hipolit. Niesłychane rzeczy opowiadała ta kobieta. Że też Pan Bóg pozwala sobie tak znieważać.

Zofia. Gdybym mogła, własnymi rękoma podłożyłabym ogień pod ten zbór przeklęty.

Hanna. Ja, gdybym mogła, wprowadziłabym tu napowrót Zbawiciela...

Hipolit (*z oburzeniem*). Wprowadzać Sanctissimum w te mury, świadki sprosności aryańskich! Na oborę obrócić ich zbór, na chlew!...

SCENA V.

Ciz i Misiewski (*wchodzi z lewej*).

Misiewski (*wesoło*). Witajcie mi, państwo mili!

Hipolit, Hanna, Zofia (*razem*). Misiewski! (*witają się*).

Hipolit. Zkąd Bóg prowadzi? Jakżeś nas tu utrafił?

Misiewski. Sprawę u Lebieńskich od X. Biskupa poleconą mam. Z drogim was dojrzał, więc konia pachołkowi zostawiwszy, powitać skoczyłem. Dziś wieczór noclegiem u was stanę.

Hipolit. Tak i tuszę, że progów mych nie ominiesz.

Zofia. Wzczasu zasłużonego a krótkiego pan brat zażywa, miło mu więc będzie wesołym dyskursem z umiłowanym przyjacielem się zabawić.

Hanna. I czarne myśli rozegnać.

Misiewski (*do Hipolita*). Kiedy wróciłeś?

Hipolit. Wczora, ciało króla nieboszczyka do Warszawy odprowadziwszy.

Misiewski. Tak-ci panisko zmarło!

Hipolit. Żegnał nas rzeczą bardzo żalowaną, wszystkich do srogiego płaczu przywiódłszy (*ociera oczy*).

Misiewski. Serdeczny pan był. Acz schorzały, serce zdrowe a cheiwe na dobro Rzeczypolitej zawsze miał.

(*Hipolit smutnie kiwa głową*).

Misiewski. Co tam! Próżne żalowanie! Jużci go nie nie wskrzesi! (*do Hanny*) Do waćpanny od X. Biskupa skrypt mam, nie wiem jeno, czy godzi się tutaj odawać?

Hanna. Dajno Waćpan, nie mieszkając, czy tu, czy doma, pisanie X. Biskupa zawsze z powiną przyjmę rewe-rencyą.

(Misiewski podaje pismo. Hanna i Zofia siadają na ławeczce i czytają razem).

Misiewski *(do Hipolita, który stoi pogrążony w smutnej zadumie).* Już nie tęsknij sobie, panie bracie. Smętliwy a frasobliwy zawsze szczęścia podlejszego zażywa. A tu nam wszystkim dowcipu bystrego trza, bo na Rzeczpospolitą ciężkie terminy idą.

Hipolit. Mają bracia szlachta, czego chcieli. Lekkoroby są, co piwa nawarzyli, które cała Rzeczpospolita pić musi. Nie byłoż to lepiej na turecką wojnę pozwolić, jak Król Jegomość proponował? Byłby Chmielnicki furię na Turków obrócił, a tak na Rzeczpospolitą jad puszcza.

Misiewski. Już się stało. Wszakże nie damy się chłopstwu. Chorągiew X. biskup Gembicki wystawił swoim sumptem przednią.

Hipolit. Wiem, wiem!

Misiewski. Chłop w chłopu jako lwi! Napierskiego najpierw z Podgórze wykurzym, a potem Chmielowe wojsko jako ptaki rozgonim, hetmanów odbijem. Ho! ho!

Hipolit. Dajże to Boże! Tak sobie myślę, czy te klęski, co na Rzeczpospolitą spadają, karaniem nie są za owe heretyckie, a osobliwie aryańskie zgorszenia, które ona w swem lonie cierpi.

Misiewski. Kto tam wiedzieć może.

Hipolit. X. Biskup moc ma. Niechby te plugawe gniazda wszeteczństwa aryańskiego wygniótl. Ot to naprzykład *(wskazuje na zbór).*

Misiewski. Imaginuj sobie Waszmość, że X. Biskup najlepszej otuchy jest, nawrócenia Taszyckiego wyczekując.

Hipolit. Nie może być! Taż to z dziada i ojca heretyk. Dya-błu duszę zapisał, na wiarę naszą plwając, a gniew boży na Rzeczpospolitą ściągając...

Misiewski. Tacy oni wszyscy.

Hipolit *(z zapalem).* Chrystusowi panowie szlachta wiarę łamają, jakoć ją królowi a obowiązkom swym dotrzymać mogą?... A już Aryanie najobrzydliwsi w sobie. Co

my świętem mianujemy, oni mają w pogardzeniu. Syna Bożego mniejszym od Boga Ojca być mienia, stworzeniem go czynią!

Misiewski (z *oburzeniem*). Świzdrygały!

Hipolit (z *naciskiem*). Duchowi św. wszelkiego respektu od mawiają!

Misiewski. Horrendum!

Hipolit (z *uniesieniem*). Z tradycyj i apostołskich nauk nagrają się. Ponoś i za umarłych się nie modlą, mniemając, że dusza z ciałem umiera, jakoby u bydłęcia.

Misiewski. Zęborwoty sprosne!

Hipolit (z *uniesieniem*). Wszeteczności to są, mówię Waści, i tak trzymam, że oni to Rzeczpospolitą na zgubę wiodą, wiarę Chrystusową lżąc Nie ma dla nich pardonu.

Misiewski. X. Biskup zarazby Waści milczeć kazał.

Hipolit. On by i dyabłu absolucję dał, gdyby się lucyferskiemu sercu pardonu zacheiało!

Misiewski. Tak znów nie! Ale nie sierz się Waść, jeno posłuchaj, jak się to dziwnie przytrafiło z Taszyckim.

Hipolit. Już słucham (*siadając*).

Misiewski. Taszycki ów, z Włoch wracając, w Krakowie się zatrzymał u Dembińskich, co to od Walentego, kasztelana krakowskiego i Taszyckiej idą. Tamże zachorował jakoś dziwnie, jakoby wizye miewając i w wielkiej opressyi dusznej zdawał się być. Dembińscy, jak wiecie, katolicy prawi, posłali coprędzej po Biskupa naszego, tuszając sobie, że święty pasterz na oną chorobę duszną lepsze remedium znajdzie, jak aryańskie ministry. Poszedł Biskup, przed Taszyckim prostym kapłanem się farbując. Zastał go w smętku pogrążonym i niepokojach srogich. Co tam za dyskursa mieli, nie wiemy, jenośmy z tego, co X. Biskup tu i ówdzie nadrzekał, wykalkulowali, że Taszycki mniema, jakoby uciski one brakiem gorliwości w wypełnianiu obowiązków aryańskiej wiary powodowane były. Wszelakoć tak nie jest. Dusza jego ku prawdzie się rwie ogniście; onej zaś w herezyi nie znajdując, pokoju zażyć nie może. X. Biskup mniema, że takowe walki duszne, a wątpliwości, zwiastunami nawrócenia bywają.

Hipolit (*wzruszając ramionami*). Taszyckiemu do nawrócenia, jak mnie do aryaństwa! Widzisz ten zbór bracie? Za parę godzin przysięgać tam będzie Taszycki, że nigdy aryaństwa nie porzuci. Takie jego nawrócenie!

Misiewski. Nie może być! Sfrasuje się Biskup. On wszelkie światowości we wzgardzie ma, o dusze ludzkie jeno dbając i ich szczęśliwość wieczną.

Hipolit. Wiem ci ja to.

Misiewski. Powiadam Waści, że gdy go ten szelma Ossoliński przez nogę przedzierzgnął, pieczęci kanclerskiej zba wiwszy, jako, że jemu samemu kanclerstwo a wszechwładztwo pachniało, tośmy wszyscy lamentowali, a X. Biskup nie! Zaś niech jeno doniosą, że jaka nowa dusza w sieci heretyckie wpadła, to my nie, a X. Biskup lamentuje srodze.

Hipolit. Już to wszystka Afryka i Europa męża nadeń fortunniejszego i godniejszego nigdy nie miała!

Misiewski. Po trzykroć prawda! Do wszelkich spraw doweip wypolerowany ma. Ludzkość, bieglność, hojność, skłonność u niego wielka, a nijakiej przy tem chępliwości, jeno uniżenie a pokora. Prawdziwie sługa Chrystusa on jest!

(*Hanna i Zofia podchodzą*).

Hanna. O X. Biskupie Waszmość mówisz?

Misiewski. Właśnie!

Hanna. Zaiste mąż to święty.

Misiewski. Opowiem ja jeszcze Waćpaństwu nie jedno o nim dziś wieczorem. Teraz spieszyć muszę, bom się i tak na gawędzie zapóźnił. Ostańcie z Bogiem.

Hipolit. Odprowadzim cię do konia, czas i nam do domu.

(*Odchodzi z Misiewskim. Hanna chce iść za nimi, Zofia ją zatrzymuje*).

SCENA VI.

Zofia i Hanna.

Zofia. Hanno, pan brat aryańskimi sprośnościami rozgniewan. Myślą położenia końca onym zgorszeniom ugła-

skany, snadniej ku twemu proszeniu ucho nakłoni. Powiedz mu teraz.

Hanna. Strach mnie przejmuję.

Zofia. Raz powiedzieć musisz, tu nikt nas nie usłyszy. Serca nabierz!

Hanna. Dusza we mnie zamiera! Ach później!

Zofia. Nie, chwila sposobna jest. Teraz!

Hanna. O Boże! Daj mi śmiałości.

SCENA VII.

Też i Hipolit.

Hipolit. Myślałem, że za mną idziecie. Czegóż się ociągacie? W domu godne przyjęcie dla gościa nagotować trza. Chodźmy; jużeście się chyba dosyć tego zboru przekłętogo napatrzały?

Hanna. Ciągłeś jeszcze na Aryan w sercu swem rozsierzdzon, bracie?

Hipolit. Alboż tak łącno serce za despekta, Bogu czynione, złości swej zapomnieć mocne jest?

Hanna. A gdyby w mocy twej było despektom swym koniec położyć? Położyłbyś?

Hipolit. Co za pytanie! Położyłbym! i boleść mnie rozpiera, zem temu nie silen.

Hanna. Będziesz silen, gdy zechcesz.

Hipolit. Dowcipu zbyłaś, czy co? że pleciesz, jak w gorącej febrze?

Hanna. Dowcip swój cały mam i teraz słuchaj coć powiem: Zygmunt Taszycki o moją rękę prośbę wniósł...

(Hipolit cofa się i patrzy ze zdumieniem na Hannę. Długa chwila milczenia).

Hanna. Hipolicie, czy słyszałeś? Zygmunt Taszycki o rękę moją prosił.

(Hipolit milczy ciągle, wpatrując się w siostrę).

Hanna *(błagalnie).* Hipolicie, odezwij się, ja się ciebie boję.

Hipolit *(wstrząsa się jakby ze snu zbudzony i pociera ręką czoło).* Ja śnię... To być nie może!... Zygmunt Taszycki... heretyk!... Moja siostra... Nie może być!...

(*do Hanny groźnie*) Jam źle słyszał! Powtórz, coś mówiła!

(*Hanna milczy*).

Hipolit (*groźnie*). Powtórz!

Hanna (*wolno i stanowczo*). Zygmunt Taszycki w związek małżeński ze mną wstąpić chce.

Hipolit (*z wściekłością*). Niech cię piekło pożre! Niech cgień, co spalił Sodomę, spadnie na ciebie i na niego! (*przyskakując do Hanny*) Tobie, tobie swaty śmie ślać Zygmunt Taszycki, heretyk z ojca i dziada, papież Aryanów, ich protektor główny — tobie, co prymasów i biskupów masz w rodzie! I tyś przyjęła jego swadźbę? tyś mu pozwoliła domówić? tyś słuchała jego wyznań! Ty... ty... ścierko!

Hanna (*z godnością*). Nie lżyj, Hipolicie, nie zasłużyłam na to!

Hipolit (*w najwyższem uniesieniu*). Zasłużyłaś — na więcej! Wieczna hańba tobie! Wołałbym na marach cię widzieć, w tatarskiego murzy haremie, jak w afektach do heretyka. (*chwytając się za głowę*) Jezu! Jezu! To być nie może! Moja siostra! To być nie może! (*do Zofii*) I ty, ty — po coś ty tu była? Ja na służbie Rzeczypospolitej zdrowie marnuję, a ty nawet czei domu ustrzedz nie potrafisz! (*do Hanny*) Gadaj zaraz, gdzieście się poznali?

Hanna (*dumnie*). Wszystko jedno gdzie. Sąsiadem jest, gościem przybył.

Hipolit (*szyderczo*). Piękne goście — gachy!

Hanna (*dumnie*). Nieprawda! Nie gachem był, ale gościem najmiłszym.

Hipolit. I ty go kochasz?

Hanna (*śmiało patrząc w oczy bratu*). Kocham go... (*Hipolit chce przerwać*) Nie przerywaj mi, Hipolicie, wysłuchaj do końca. Kocham go. Pokochałam od razu, nie wiem jak i czemu. Dusza moja jak gołąb do gniazda ulata ku niemu. Ile razy go widzę, jestem szczęśliwa, o! jak szczęśliwa! Spokojnie mi przy nim i błogo, i świat cały wydaje mi się taki cudny! I zdaje się duszy mojej, że wszystkie smutki, wszystkie troski, co jak węże czarne, pełzają po drodze życia, kásając znie-

nacka a zjadliwie, gdy on jest przy mnie, uciekają i kryją się daleko, głęboko, spłoszone jego głosem kochanym, jego wzrokiem, w którym się z dobrocią animusz rycerski łączy.

Hipolit. Niech dyabli porwą taki heretycki animusz.

Hanna. A właśnie że heretykiem jest, kocham go jeszcze więcej. Kocham jego duszę i chcę ją uratować i... uratuję!

Hipolit (*śmieje się szyderczo*). Ha! ha! ha! Apostoł w spódnicy! Osobliwe subiektum. Ale udały mi się siostry! Jedną małż z domu wygnał, bo podejrzenie miał, że mu blekotu do jądła sypie; drugą w herezyę dyabeł wciąga, a ona na zalecanki jego, jak na lep idzie. Ha! ha! ha! Sławą się okryje ród. Jelita Czermińskich. Ha! ha! ha!

Zofia (*z oburzeniem*). Jak śmiesz mnie tak krzywdzić! Wiesz najlepiej, że pozory są przeciw mnie, alem niewinna! Niegodnie lżysz (*odchodzi, płacząc*).

SCENA VIII.

Hipolit. Hanna.

Hipolit (*do Hanny pogardliwie*). Teraz ty się rozplaczesz i odejdziesz, a potem swoje zrobisz. Takie wy wszystkie.

Hanna (*stanowczo*). Nie rozplacę się, nie odejdę. Swoje zrobię, ale z twojem przyzwoleniem.

Hipolit. Z mojem?... nigdy! Ale wiem, potrafisz się obejść bez pozwolenia. Czyś mi się pytała, gdyś słowo Taszyckiemu dawała?

Hanna. Jeszczem słowa nie dała.

Hipolit. O Boże! Dzięki ci! Więc hańba moja nie jest jeszcze dopełniona. (*porywa Hannę za rękę*) Słuchaj! Więc powiedz temu przekłętnikowi, że nie—po trzykroć nie! Powiesz, że krew Gembickich, krew Czermińskich, wiernych synów Kościoła, nigdy się z jego heretyką krwią nie zmiesza, nigdy, rozumiesz? Jeśli on nie zrozumie, to mu odprawę tak na jego aryańskim łbie zakarbuję, że nie łatwo zapomni!

Hanna. Nie zakarbujesz! Zaś słowo „nigdy“ srogie jest. Nie używaj go, bo co będzie, gdy myśl zmienisz?

Hipolit (*stanowczo*). Nigdy — póki ja żyję, nigdy!

Hanna (*wyciąga z zanadru i podaje mu pismo*). Czytaj!

Hipolit (*biorąc*). Od biskupa Gembickiego... (*rozwija i czyta cicho — potem głośno*). „Bóg nad Taszyckim miłosierdzie okazuje, ku tobie go, Hanno, prowadząc. Nie odpychaj! Bądź mu przewodnikiem na drodze zbawienia, jak anioł Tobiaszowi w drodze dalekiej przewodnikiem i opiekunem był...“ (*kończy czytać po cichu, ze zdumieniem*) Gembicki! Gembicki tak radzi! (*do Hanny*) Hanno, i ty się nie boisz iść w paszczę szatana?

Hanna. Bóg mi doda siły!

Hipolit. Dziewczyno, zachwiejesz się, upadniesz!

Hanna. Zwycięzę!

Hipolit. Zwycięzysz? Gdy mocniejsi, jak ty, padali. (*z boleścią*) Żadnym się jadem dusza tak prędko nie zabije, jako złą fałszywą wiarą, fałszywym słowem Bożem. A wszakże Aryanie miasto pszenicy, słowa Bożego kółkol podsiewają! Oni miasto prawdziwego Boga, Boga innego podrzucają. Jakże tu dusza zginąć niema, gdy się ich chyłością ułowi?

Hanna. Bóg ze mną będzie. Wników uniknę! Zerwę szatańskie sidła.

Hipolit. Zerwiesz szatańskie sidła? gdy za chwilę Taszycki przysięgać będzie na wieczny z szatanem sojusz?

Hanna. Bramy piekielne i szatańskie traktaty potrafi skruszyć wola Boża.

Hipolit. Któż ty jesteś, by cię Bóg na rycerza swego promował? I czyż na to jest niewiasta, aby walczyła, a jeszcze z mężem, który opiekunem a panem jej być ma? Nie amazones z ciebie żadna. Każda inna do walki, ale nie ty!... Gdy zaczniesz miłować, dla umiłowanego duszę stracisz.

Hanna. Nie! nie stracę! Miłuję Zygmunta całą duszą, ale prawo Boże miłuję więcej. Potrafię mu się oprzeć! Potrafię mu błędnicstwo obrzydzić.

Hipolit. Tak ci powiedział X. Piotr!

Hanna. Dusza moja i X. Piotr!

Hipolit. Piotr! Piotr! Jak on może takowe rzeczy doradzać! Posyła baranka na stos ofiarny! Hanno, zlituj się nad

sobą! Nie ufaj sobie! Gdzie tobie walczyć, nawracać, kiedy ty kochasz. Kochasz, jak niewiasta, nie jak zakonna dziewica, dla Boga jeno żyjąca. Ty się ludzisz i Biskup się ludzi. On widzi w tobie bohaterkę, apostoła, a ty pod płaszczykiem dobra wiary kryjesz swoją namiętność! Zgubisz siebie! Zygmunta! nas!

Hanna. O, Hipolicie, ja wiem, żeś słaba, ale ja tak miłuję. Czyż po to Bóg miłość gorącą wlał mi w serce, aby ona złe owoce wydała? O nie! Z dobrego nigdy nie złego wynikać nie może. Bóg mi w ręce daje Zygmunta, dusza jego za piękna, by ginąć miała na wieki, a ja miłuję go za bardzo, bym mu nieszczęście przynieść mogła. (*klęka*) Hipolicie, błagam cię, nie łam mego szczęścia, szczęścia dwojga ludzi. Nie zagradzaj drogi zbawienia zbłąkanemu. Tobie tego robić nie wolno!

Hipolit. Ale wolno mi wątpić w twoje siły i w twoją stałość. Chcesz iść między lwy ryczące i myślisz jako Daniel drugi wyjść z lwiej jamy bezkarnie. To szaleństwo! Czemże ty jesteś?

Hanna. Niezem — gdy sama! Potęgą — gdy z Bogiem.

Hipolit. Straszna pycha!

Hanna. Bóg widzi, nie przez upór, nie przez pychę to mówię, jedno głosu jakiegoś tajemniczego siuchając, co szepece do ucha: „Idź, idź, ratuj zbłąkane“.

Hipolit. A gdybyś go nie kochała, czy szłabyś między heretyki?

(*Hanna waha się i milczy*).

Hipolit. Milczysz! Niewiasto, nie o duszę Taszyckiego ci chodzi. Rozkoszy chcesz i dlatego zginiesz!

Hanna. O Boże! Jeśli w mojem pragnieniu jest coś nieczystego, to zmiążdż mnie lub wyrwij grzech z duszy mojej...

(*Kryje twarz w dłoń. Chwila milczenia*).

Hanna (*uroczyście*). A choćbym go nie kochała, tak, jak go kocham, a on tak mnie kochał, jak kocha, poszłabym za nim między heretyki, aby duszę jego wiecznej zgubie wziąć... Tak mi Boże dopomóż.

(*Chwila milczenia*).

Hipolit. Niech się spełni! Oby Bóg zlitował się nad twą dobrą wolą. (*bierze Hannę w objęcia*) Więc idź, dzieweczyno, kiedy to ma być dla chwały Pana Naszego Jezusa Chrystusa i dla dobra Kościoła. Idź i niech cię Bóg ma w swej piece!

(*Daje się słyszeć z daleka chóralny śpiew kościelny. Na szerokiej drodze, wiodącej od dworu, ukazuje się procesjonalny pochód*).

Hipolit. Prędko, Hanno, może zdążymy wymknąć się, nim dojdą tutaj.

Hanna. Nie, za późno. Lepiej schowajmy się za drzewa. Przejdą zaraz, wtedy pójdziemy.

(*Kryją się za lipy*).

SCENA IX.

(*Pochód Aryanów wchodzi na dziedziniec. Naprzód idą parami chłopcy szkoły luławickiej, śpiewając hymn*):

Śpiewajmy na chwałę Panu,
Któremu służy nasz zbór;
Niech śpiewa na chwałę Panu
Z dziełek złożony nasz chór.

(*Melodya poważna, dowolna. — Za nimi: Przytkowski, Wiszowaty, Szlichtyng i Lubieniecki w togach i biretach. Potem Dorota Gośtawska, sturuszka 70-cio letnia, przygarbiona, podpira się kijem. Obok Zygmunt Taszycki, pogrążony w smutnej zadumie. Za nimi Halszka Lubieniecka i fraucymer. Dalej Chiliaści z Chrzczonem Kazimierskim na czele, wszyscy w szarej ubogiej odzieży z torbami przez plecy i z drewnianymi mieczykami przy boku. Zamyka orszak kilkudziesięciu szlachty aryańskiej. Pochód wchodzi w drzwi kościoła, śpiewając ciągle. Dorota, przechodząc przez środek dziedzińca, potyka się i upada. Zygmunt i Halszka podnoszą ją*).

Dorota. To nic, moje dzieci, to nic, idźmy.

Zygmunt (*troskliwie*). Nie ponieśliście jakiego obrażenia, pani matko? (*sposztrzega nagle Hannę i patrzy na nią z twarzą rozpromienioną i pełną zachwyty*).

Dorota. Nic, nic, idźmy!

Zygmunt (*patrząc ciągle w stronę Hanny*). Może lepiej usiąść na chwilę tam, pod lipą.

Dorota (*szorstko*). Nie. Spieszno mi usłyszeć twą przysięgę. Wahający i niepewny jesteś. Gdy słowa wyrzeczysz, które cię na zawsze z wiarą twych przodków zwiążą, spokoju dopiero zażyję.

Zygmunt (*przesuwając ręką po czole, smętnie*). Słuszność wazsa, pani matko. Zamięszanie w rozumie mam, jakoby wszelkie uczucie wiary zagasło w duszy. Niechże mi w tych ciemnościach obowiązek przysięgi dotrzymania pochodnią będzie. (*do siebie, patrząc znów ku Hannie*) A zaś gdy jeszcze w sercu płomień miłości płonie, przy onych dwóch światłach chyba drogę prawą znajdę.

(*Dorota patrzy uważnie na Zygmunta, zwraca się ku stronie, w którą on spogląda i spostrzega Hannę*).

Dorota (*niespokojnie*). Za czem się oglądasz? Co to za dziewczyna?

Zygmunt (*z zapalem*). Najcudniejsza z wszystkich niewiast na ziemi. Anioł w ludzkim ciele, Hanna Czermińska.

Dorota (*pogardliwie*). Ta papistka! Chodźmy! (*bierze syna za rękę. Zygmunt ogląda się jeszcze raz ku Hannie. Wszyscy wchodzą do kościoła*).

Hanna (*wznosząc ręce do góry*). O Boże! na przysięgę jego zamknij uszy, nie zapisuj!...

SCENA X.

(*Wnętrze luławickiego zboru. Mury bez wszelkich ozdób, brak nawet krzyża. Widać puste ramy obrazów, wnęki niegdyś ołtarzy bocznych. Zamiast wielkiego ołtarza, prosty z białego drzewa stół, na nim pulpity. Na pulpicie otwarte Pismo św. Za stołem modlitewnym kamień grobowy i popiersie Socyna. Po dwu stronach ołtarza proste ławy drewniane. Po prawej siedzą Dorota, obok Zygmunt, za nimi reszta kobiet. Po lewej ministrowie. Przed stołem, w półkole uszykowani, chłopcy szkolni. W pośrodku Krzysztof Lubieniecki, Strzała, Szafraniec i Kucyata. W kościele, na pro-*

stych kamiennych ławach, reszta zgromadzenia. W pierwszych rzędach Chiliaści. — Chłopcy kończą śpiew przy spuszczonej kurtynie. — Zastłona się podnosi. — Lubieniecki wstaje i podchodzi do stołu modlitewnego. W tej samej chwili podnosi się Chrzczon Kazimierski, wznosząc oczy i ręce ku niebu).

Chrzczon (z patosem). Duch niebiański napelnia mnie światłością. Bracia! słuchajcie!

Bernat Trykacz (ciągnąc go za połę surduta). Cicho Waś bądź, teraz nie pora...

Chrzczon (z namaszczeniem). Nie kładź, bracie, zapory bystrej rzece niebiańskiego natchnienia.

Bernat Trykacz. Schowaj twoje natchnienie w kabzę, kiedyć mówię. Dziś nie zwyczajne nabożeństwo, abyś plótł trzy po trzy.

Chrzczon. Bezbożniki, gwałcie wolność ministerstwa.

Bernat Trykacz (ciągnie go za połę). Koszałki, opalki, milczże Waś i słuchaj!

Szlichtyng. Bracia, uciszcie się!

(Chiliaści ciągną Chrzczona, który siada mrucząc).

Lubieniecki (zwracając się do zgromadzenia). Najmilsi bracia! Jako są gwiazdy, które wśród innych ciał niebieskich specyjalnem światłem świecą, takoc i na świetlistym zodyaku naszego aryańskiego firmamentu wspanialej lśnią nad inne, konstellacye zacnych, godnych a naszej czystej a mądrej wierze przychylnych i miłościwych Błońskich, Tászyckich i Gosławskich! Wszeteczne praktyki papistów, ich machinacye i prześladowania, nie nie zdołało wzruszyć statecznej wytrwałości owych dzielnych wyznawców. Jako niewinne jagnię wilcy krwi chciwi ścigają, tak ścigali naszego mistrza Socyna papieżnicy. I ono jagnię niewinne gdzież znalazło spokojną i bezpieczną owczarnię? Tu w Luclawicach! — Jako niedźwiedź mrukliwy plastr miodu słodki a ziołmi pachnący zwęszy i wnet ul wytropiwszy, po zdobycz sięga, tak papieżnicy, gorzej niedźwiedzia, rozpędzili ul rojny naszej szkoły rakowskiej, skąd jak miód słodki, płynął zród mądrości na młodzież naszą. Gdzież znalazł on rój rozpierzchnięty, brzękliwych pszczołek, mło-

dzieży naszej, przytułek?... Tu, w Luclawicach!... Ojcami byli mu małżonkowie tej oto świątobliwej białogłowy. (*pokazuje na Dorotę*) Matką była im taż, oby-
czajów ozdobnych matrona honesta, Dorota, którą tu widzicie, która, jak Judyt mądra i śmiała, po śmierci małżonków broniła naszej wiary, zboru i szkoły. Dziś wiekiem i trudami sterana, oddaje dobra swe ziemskie w ręce syna, tego oto Zygmunta; oddaje zarazem i opiekę nad nami.

(*Zwracając się do Zygmunta*).

Zygmuncie, bierzesz-li to jarzmo na siebie? Będziesz-li, jak twoi rodzice, choćby krwią, choćby życiem, choćby mieniem, bronić zboru, szkoły, wiary?

Zygmunt (*postępując naprzód*). Będę!

Lubieniecki. Oprzesz się li wszelkim przekupstwom i prośbom, i niewieściej pieszczocie, i blaskowi dostojęństwa, i grozie prześladowania, aby utrzymać wiarę?

Zygmunt. Oprę się!

Lubieniecki. Więc przysięgnij!

Zygmunt. Przysięgnę, wedle woli waszej.

Lubieniecki. Jam stary i niedługo mi już życia na świecie. Nie ja więc sam przysięgę od ciebie wezmę. Niech odbierają i młodzi, którzy razem z tobą żywota gościńcem biec będą. Oni niech na straży twej przysięgi stoją.

(*Zwraca się ku młodzieży*).

Niech wystąpi delegacya.

(*Występuje Stanisław Brzeski, Strzała, Szafraniec, Kucyata i kilku starszych uczniów*).

Lubieniecki (*do Zygmunta*). Na ręce onej delegacyi i na ręce moje, jako superintendenta mniejszego zboru, przysięgaj

Zygmunt (*podnosząc rękę do góry, a drugą kładąc na Piśmie św., powtarza za Lubienieckim*). Na ono Pismo św., które jest słowem Bożem i na cześć moją przysięgam, że zginę raczej, niż się zaprę mojej wiary, niż dopuszczę zabrać jej przybytki, niż opiekę nad nią i straż zaniecham — tak mi Boże dopomóż.

Wszyscy obecni. Amen.

Dorota (*wstając i podnosząc rękę do góry*). A ja przysięgam, że czuwać będę, byś przysięgi nie złamał; czuwać będę choćby z za grobu. A jeśli się zachwiejesz, jeśli przyrzeczenia złamiesz, biada ci! Z grobu wstanę i przypomnę przysięgę. Amen.

AKT DRUGI.

(*Komnata we dworze luławickim, ciemno wybita. Na lewo jedne, na prawo dwoje drzwi. Pod ścianami gdańskie szafy. W jednym rogu zegar kurantowy. Krzesła i ławy dębowe, skórą wybite. Na środku stół pokryty makatą i dwa głębokie poręczowe krzesła. Na stole porozrzucone przybory do szycia i księgi. Na ścianach portrety. Dwa okna otwarte wychodzą na ogród. Niedaleko okna siedzą: Halszka, Ewka, Basia i Tereska. Wszystkie cztery nad krosnami. Przy nich Złośnicka, rozparta wygodnie w krzesle, zwija jedwab*).

SCENA I.

Złośnicka. Halszka. Lubieniecka. Ewka. Basia. Tereska.

Tereska (*do Złośnickiej*). A o tem weselu w Krakowie, co to nam Jejmość opowiedzieć przyrzekła, usłyszymy dzisiaj?

Halszka. O jakim weselu?

Tereska. O jakimś paradnem, na którem też był dziadus pani Złośnickiej, jak miał 19 lat.

Basia. Toć dopiero dawno temu?

Złośnicka. Ano! Zaś chodził dziadus na onem weselu cały w hatlasie, bo był pokojowcem Dulskiej, kasztelanowej chełmskiej, rodzonej siostrzenicy hetmana Zamoyskiego, któremu król także gody sprawował, dając mu swą siostrzenicę Gryzeldę w święty stan małżeński.

Tereska (*rozciekawionu*). I takie cudne było ono wesele?

Złośnicka. Ale!... Nim się jeszcze dziadusiowi na dzieciństwo obróciło, jak jął powiadać, wcale się wierzyć nie chciało, żeby ludzie takowe cuda czynić potrafili.

Dziewczęta (*razem*). Jakże to było? Niech Waćpani powiada.

Złośnicka. Wywodziły naprzód panięta, kwoli uczczeniu takowej uroczystości gonitwy osobliwe różne, w których też niejeden życia zbył.

Halszka. Mój Boże, biedni!

Tereska. Co tam biedni! Alboż to nie rycerska rzecz. (*Do Złośnickiej*). Prędko, powiadaj Waćpani dalej!

Złośnicka. One turnieje, to był dopiero początek. A największe dziwności, jak się poczty różne zaczęły ukazować. Więc na ten przykład wyjechał Wolski, starosta krzepicki z kamienicy „pod Baranami“. Miał ośmiu trębaczy, ochędożnie ubranych po murzyńsku — cali złotem umalowani. Potem szedł elefant, właśnie uczyniony — zwierz ogromny...

Ewka. Jak wół?

Złośnicka (*z przejęciem*). Jak trzy razy wół!

Dziewczęta (*zdumione*). Nie może być!

Złośnicka. Kiedy mówię Waćpanom. Kły to mu wystawały większe, jak u dzikiej świni, a miasto ryja miał długi fąfel, jak indor, ino grubszy. To się nazywa trąba.

Basia. Ależ musiał być strach ludziom takowego potwora!

Halszka. Jakże, kiedy on był udany. Prawdziwego może być strach, ale one w murzyńskich krajach żywią, do nas nie przychodząc.

Tereska (*ucieszona*). A to dobrze! (*Do Złośnickiej*). No i co dalej?

Złośnicka. Wiódł potem Zebrzydowski Mikołaj, stężycki starosta, swoje sztuki. Był Tempus, kosztownie w altembasie ubrany...

Basia. Tempus, co to?

Halszka. Tak Grekowie nazywali czas.

Złośnicka. Właśnie! Ale już najucieszniesze widowisko wystroił Jan i Piotr, panowie Myszkowscy. To wyszli, dziaduś powiedział, wielorybowie dwa, potwory długie a czarne, co w głębi mórz żywią, a z oczu i z gąb woda im przyskała pachnąca na ludzkie. I ciągnęły muskę morską. A w onej musle, w złotogłów brunatny odziana, jechała niewiasta Wenus.

Halszka. Wiem, wiem, to bogini piękności. Pewno na ten

znak jechała, iż piszą poetowie, że poszła z morskiej piany.

Złońska. Właśnie.

Tereska (*cicho do Ewki*). Ona mówi właśnie, a jako żywo nie nie wie.

Ewka. Cicho bądź!

Szczygielska (*staje we drzwiach, na lewo*). Pani Złońska, niech Jejmość prędko idzie. Chmury ciągną, a cała szatnia na dworze. Trzeba kazać wnosić. Broń Boże deszczu!

Złońska (*zrywa się*). Idę, idę. Siedźcie tu Waćpanny przy stojnie, a nie figlujcie. Zaraz wracam.

(*Odchodzi ze Szczygielską*).

SCENA II.

Halszka, Tereska, Ewka, Basia (*szyją pilnie przez chwilę*).

Tereska (*nuci półgłosem*):

Janieczku z Tęczyna,
Z czarnemi oczyma,
Dyćbym ja za tobą
W ten Dunaj skoczyła;
W ten Dunaj skoczyła,
Wisłę przepłynęła,
Gdybym ja wiedziała,
Żebym twoją była.

Ewka (*zartobliwie*). Śpiewaj „Kazinku“, to będzie prawda.

Tereska (*udaje, że nie słyszy i przechyla się ku Halszce*).

Jakże tam twój czaprak postąpił?

Halszka. Nie bardzo, taka żmudna robota.

Basia. Żmudna, bo żmudna, ale śliczna. Jest misternie wyszyte to „Strzemię“ Taszyckich.

Ewka. Pewnie się pan Zygmunt ucieszy!

Tereska. Ale co pan Jarosz, to sfrasuje się srodze, że nie dla niego twoje rączki pracowały. Powiedzno Halszko, do którego ci bardziej serduszko bije, do pana Zygmunta, czy do pana Jarosza?

Halszka (*schylając się nad robotą, by ukryć twarz*). Nie myślę nad tem.

Tereska (*namyśla się*). Mnie się widzi, że ci pan Zygmunt milszy. Choć znów pan Jarosz gorętszym do ciebie afektem płonie. Żebyś ty wiedziała, jak on na ciebie patrzy! Gdy oczy przewróci, to mu jeno białka widać, a znów czasem jakby ogień od jego źrenic na ciebie szedł.

Halszka. At pleciesz!

Tereska. Zaś pan Zygmunt dworniej przemawia. Jak on ci też za ów czaprak podziękuje, Halszko? Ciekawość!...

Halszka. Przecież on wcale nie będzie wiedział, że ja go robiłam. To pani Dorota da od siebie.

Tereska. Ale, bo to prawda! Pan Zygmunt dobrze wie, że pani Dorota ma słabe oczy, słabe ręce i słabe nogi — ot tak... (*naśladuje niepewny chód Doroty*).

Halszka. Wstydz się, Teresko, prześmiewać Jej Miłość. Siadaj zaraz do roboty.

Tereska. Ale ja nie prześmiewam, ja tylko pokazuję. Otóż pan Zygmunt zaraz się dorozumie, że to nie pani Dorota czaprak robiła i zaraz się spyta (*naśladuje głos mężki*): „A któremuż to z wdzięcznych kwiateczków, co rosną w wirydarzu fraucymeru mej matki, pielęgnowane troskliwą ręką Imci pani Złońskiej, mam do zawdzięczenia on piękny czaprak?“ A ja zaraz odpowiem: „Temu—oto—temu, co zawsze skromny, za nami wszystkiemi się chowa“... Pokażę na ciebie, Halszko. A wtedy pan Zygmunt...

Halszka (*błagalnie*). Teresko! (*do siebie*) O pocóż, pocóż budzić nadzieje, które może płonnemi się okażą.

(*Chwila milczenia, wszystkie szyją*).

Tereska. Masz tobie, nitkę zerwałam, igłę zламаłam! (*Wybiega na środek komnaty*). Nie mam czem szyć i muszę zaprzestać roboty. A to mi się udało!

Ewka i Basia (*razem, podając jej igły*). Masz tu, masz igłę!

Tereska. Wszystkie wasze igły nic nie warte! Zażyję sobie wczasu i wesołości! (*Biegnie do Halszki i obejmuje ją za szyję*). Halszko! Dla Boga! Oczy sobie wypatrzysz.

Przestańże roboty na chwilę, posłuchaj, jak ci pan Zygmunt podziękuje.

Halszka (*uwalniając się*). Nie dręcz mnie, Teresko, proszę cię na wszystkie. Nie chcę słuchać twych niewczesnych żartów.

Basia. Teresko, jesteś uprzykrzona.

Tereska. To ty jesteś uprzykrzona! (*Do Halszki*). Ja cię wcale nie dręcę, ja ci tylko chcę powiedzieć to, co będzie, żebyś się zanadto nie zdziwiła. Ale kiedy nie chcesz słuchać, to nie, to sobie rymami pogadam, jak ja to lubię.

(*Bierze się pod bok, patrzy na Halszkę z pod oka i deklamuje*):

Panią Zygmontową Halszka wkrótce będzie,
Do krosien już z nami czasem tylko siędzie.

(*Halszka zasłania uszy rękoma, Basia się śmieje*).

Ewka (*zrywa się i odpowiada Teresie*):

Tereska zazdrości, bo dałaby wiele,
By z gładkim Kaźmierzem też miała wesele.

(*Halszka i Basia śmieją się*).

Tereska (*rozniewana*). Co tobie do tego!

Ewka (*skrobie jej marchewkę*). A widzisz! A miło ci? Daj spokój Halszce.

Tereska (*wykręca się na pięcie, staje przed Ewką i mówi z przekąsem*):

Ej, zawsze mędruje Ewunia kochana,
A oczkiem świdruje w stronę pana Jana,
Na nie się nie przyda układne zerkanie;
Nie dla niej jest Jasio i jego kochanie.

Ewka (*placziwie*). No, szkaradna!

Tereska (*nastłuchuje i biegnie ku oknu*). Ewko, Ewko, chodź prędko, Kaźmierz i Jan idą.

Ewka (*biegnąc za nią*). Gdzie? gdzie?

(*Wychylają się obie. Basia i Halszka wzruszają ramionami i pracują pilnie*).

Kaźmierz Szafraniec (*pod oknem*). Dzień dobry Waćpannom.

Tereska. A, dzień dobry! Skądże to dzisiaj Waćpanowie wolności zażywają, miasto w szkole siedzieć?

Jan Kucyata. Wiszowaty w drukarni zajęty, rekreacją nam dał, która w szczęśliwą godzinę przypadła, bośmy cudne liczka panny Ewy i panny Teresy oglądać mogli (*przechodzą*).

Ewka (*do Tereski*). Słyszałaś, jak foremnie mówił?

Jarosz Strzała (*za oknem*). Panno Tereso, a jest tam panna Halszka z Waćpanami w komnacie?

Tereska. Jest, jest (*do Halszki*). Pójdźno do okna, Halszko!

Halszka. Ani myślę.

Tereska (*wychylona oknem*). Halszka ma pilną robotę.

Jarosz. Ofiarujże jej Waćpanna odemnie tę wiązankę kwiatów, sam w wirydarzu zrywałem.

(*Tereska odbiera kwiaty, Jarosz przechodzi*).

Basia. Teresko, Ewko, słyszę kroki, ktoś idzie...

(*Tereska i Ewka odskakują od okna i biegną do krosien*).

Tereska rzuca pęk kwiatów na kolana Halszki, która ciska je daleko od siebie, ruchem pełnym gniewu).

SCENA III.

Też i Kubuś.

Kubuś (*z rękami w tyle, w których trzyma dwie równianki, kłania się z przesadą*). Pannie Teresie i pannie Ewie każą się Imci pan Szafraniec i Imci pan Kucyata bardzo nisko kłaniać (*kłania się*) i każą powiedzieć, że Waćpanny są piękne, jak... jak... (*skrobie się w głowę*). Dalipan, zabaczyłem! Aha, wiem! Że Waćpanny są piękne, jak bieguny. (*Dziewczęta śmieją się*). Czy tam jak bigunie, czy boginie. I proszą, aby Waćpanny przyjęły te oto ziela, niby jako przypominek strzelistych affektów. (*Oddaje dziewczętom równianki*). Już nie wiem, czy to białe, czy to czerwone dla panny Teresy, ale to wszystko jedno!

Tereska. Wszystko jedno, wszystko jedno! Podziękuj, Kubusiu, bardzo pięknie panu Kazimierzowi...

Ewka (*trąca ją*). Cicho bądź, to ja! (*Do Kubusia*). Kubusiu, podziękuj bardzo pięknie panu Janowi...

Kubuś (*udaje głupiego*). Niby jak mam podziękować?

Tereska. Ukłoń się naprzód pięknie...

Kubuś. Niby jak?

Tereska (*dyla, pokazując*). Tak...

Kubuś (*potrząsa głową*). Ej, co ja tam będę nogami skrobał? Powiem, że Waćpanny dziękują pięknie kawalerom i posyłają im... ot tak! (*pokazuje całusa od ust*).

Tereska i Ewka (*razem*). Nie, nie, nie waż się!

Kubuś. To dwa całusy — od każdej jednego (*ucieka*).

Tereska i Ewka (*biegną za nim, przewracając krosna. Obie wołają*). Kubuś! Stój! Kubuś!

(*Ewka chwytła się za głowę, Tereska załamuje ręce*).

Tereska. Uciekł! Miły Boże, jak on takich głupstw nagada, co to będzie?

Ewka (*z gniewem*). To wszystko twoja wina!

Tereska. Patrzajcie ją. Leciała do okna, jak mucha do miodu, a teraz moja wina!

Halszka (*razem z Basią, zbierając porozrzucane roboty*). Zaprzestańcież zwady! Lepiejbyście nam pomogły ustawić krosna.

SCENA IV.

Też i Dorota Gostawska.

Dorota. Co się tu dzieje?

(*Dziewczęta stoją zawstydzone*).

Dorota (*surowo*). Żywo, zbierajcie wszystko. Czemu jesteście same? Gdzie Złośnicka?

Halszka. Jejmość wyszła do szatni.

Dorota. A wy przez ten czas dom do góry nogami przewracacie.

Halszka (*całuje jej rękę*). Niech się Wasza Miłość nie gniewa. Więcej tego nie będzie.

Tereska, Ewka, Basia (*całując ją w rękę*). Nie, już więcej tego nie będzie.

Dorota. No dobrze, już dobrze.

Kubuś (*staje w drzwiach*). Pan Lubieniecki czeka.

Dorota. Prosić tutaj.

SCENA V.

Też i Lubieniecki (*z książkami w ręku. Kłania się głęboko Dorocie. Dziewczęta kończą porządkować*).

Halszka (*całując ojca w rękę*). Dzień dobry, panie ojcze.

Lubieniecki. Dzień dobry, dziewczeczko, Bóg z tobą.

(*Dziewczęta wychodzą*).

SCENA VI.

Dorota. Lubieniecki.

Dorota (*siadając przy stole i wskazując krzesło Lubienieckiemu*). Siadajcie, bracie Krzysztofie. Cóż tam za nową strawę duchowną przynieśliście dzisiaj? Widzę księgi w waszem ręku.

Lubieniecki (*podaje jej książkę*).

Dorota (*ogląda*). Zacznie wydrukowane. A i Faustus wykonterfektowan jakoby żyw.

Lubieniecki. Słyszała Wasza Miłość, jakie to kazania okrutne a krwiożercze Gembicki, godząc na naszą zgubę, w Krakowie miewa?

Dorota. Powiadał mi brat Samuel. Chce nas spławić we krwi!

Lubieniecki. Głębokości szatańskie ten ptak wylęga! Teraz wszakże, prócz słów zjadliwych mówienia, kazał wydrukować wstrętliwe na Chrystyan *Ecclesiae minoris* paszkwily: „Wędzidło na sprosne błędy a bluźnierstwa nowych Aryanów“ Podoskiego i „Pogrom dyabła aryańskiego“ Cichowiusza.

Dorota. Wszetecznik! Mameluk! Smok bałwochwalczy!

Lubieniecki. Słuszne a godziwe jest oburzenie Waszej Miłości. Toć i ja byłem cale medł, gdy mi o tem doniesiono. A folgę dając żarkości krwi, nawet jałem się pióra — i ot... (*podaje książkę*).

Dorota (*czyta tytuł*). „Wierze przypomnienie dla wszystkich gorliwych Chrystyan aryańskich, aby się nie dali uwieść sakramentarskiej truciznie dusznej“. Jakoż wdzięczny nadpis! Będzie ta książka ku pocieszeniu a ozdobie i smakowi dusz, słowu bożemu wiernych.

Lubieniecki. Spero—iż bez pożytku nie przejdzie, i że on na-

pad bezbożny, bezczelny i wszeteczeński pogromion będzie.

Dorota. Amen! Ciężkie-bo terminy przysły na wierną gromadę. Gdzie okiem zajrzeć, wszędy lutry, kalwiny, papieżniki, jako jadowici węże napadają na nas...

Lubieniecki. Duch silen wyszedł z nas. Urzędów teraz Aryanom się chce, miecza, nie zaś pokory chrystyańskiej i przykładowego żywota. Owo i Zygmunt nasz, com go w rygorze a surowości chował i w pogardzie dóbr świata, do szabli się wziął. Niby to, żeby przeciw Napierskiemu broń mieć!

Dorota. Słuszne zgorzenie wasze. I jam go za to gromiła. Alić to młode a krewkie i z pradziadów do korda miłość ma. Strach mnie za włosy zdiera czasem, żeby, jako teraz do miecza przystał, powoli i innych sakramentarskich w siebie nie wciągnął kłamliwości. Pocom ja na te podróże włoskie pozwolenie dawała! Z katolikami tam może przyjaźnie pozawierał, co go w bałamutnie wewłoką. Nie taki gorliwy mi się zda. Jakiś niespokojny, wzruszony. Czasem zamyślony i smętny, czasem nad miarę wesół. To obojętny na wszystko, to o drobiazg gniewliwy. Czasem cale z szyderstwem o religii się naszej wyraża, to znów żarliwie się modli, a księgi wertuje...

Lubieniecki. Ostrzegałem was, pani Doroto. Niesłuchaliście! Co się złego stać miało, to się stało. Wszelako nadzieję żywię, że obawy wasze płonne są. Przysięgę dał, że w „Zborze mniejszym“ trwać będzie, a luclawickiej oweczarni strzedz. Przysięga i parol szlachecki, to nie figiel żaden. Zygmunt w wierze chowan, pilnie uczon, Aryanin dobry jest! Alboż nie wie, że Luclawice, to jedyna teraz twierdza „Zboru mniejszego“? On nad Luclawicami pan i pan a papież swego wyznania. Chciałby-li kark zginać pod jarzmo pierwszego lepszego biskupa?... Tak i myślę, że Zygmunt godnych siebie i wiary swej kompanów poszukiwał, a sprośności babilońskie precz ze swego serca wymiatywał.

Dorota. Pocieszylście mnie, bracie Krzysztofie. Ileż ja wam winna jestem!

Lubieniecki. To chyba ja Waszej Miłości.

(Dorota podnosi nagle ręce do serca, osuwa się na poręcz fotelu z oczyma zamkniętymi, chwytając powietrze i dysząc ciężko).

Lubieniecki *(zrywa się i biegnie ku niej).* Wody! Służby!

(Dorota daje znak przeczący, atak powoli przechodzi).

Dorota *(słabym głosem).* Już mi lepiej, nie bójcie się. Miewam czasem takie słabości.

Lubieniecki *(zafrasowany).* Ależ to źle! Bardzo źle! Wasza Miłość medyka poradzić się winna.

Dorota. Szczygielska radzi.

Lubieniecki. At, habskie leki dyabła warte. I często Waszą Miłość takie mdłości opadają?

Dorota. Teraz coraz częściej. Od dwu niedziel niema dnia, żeby mi coś serca nie ściągnęło, — jak obręczą, a krew wszystka tętni i huczy w żyłach, jakoby miała zerwać pochwy i wypłynąć.

Lubieniecki. Trzeba Zygmuntowi powiedzieć i w te pędy medykusa dostawić.

Dorota. Na śmierć niema lekarstwa, a to pewno śmierć idzie. Wszakci to już człek siódmy krzyżyk na barkach dźwiga. Nie straszno mi myśleć o zgonu godzinie, bom rycerska córa i kościstej babuli śmiało zajrzę w oczy. Boli mnie jeno, że wnuków już kołysać nie będę. Żeby choć wesele syna oczy moje oglądać mogły.

Lubieniecki. Rzeknijcie mu słówko, pani Doroto, pewnie nie będzie od tego.

Dorota. Żebyście tak chcieli, panie Krzysztofie, za trzy niedziele mielibyśmy weselisko huczne. Dajcie Zygmuntowi waszą Halszkę.

Lubieniecki *(zdumiony).* Halszkę? Żartujecie, pani Doroto!

Dorota *(ze smutkiem).* Nie chcecie?

Lubieniecki *(żywo).* Ależ, cóż znowu, nie miałbym chcieć!... Los to dla mojej dziewczyny, a i dla mnie zaszczyt nie lada.

Dorota *(ściskając go za rękę).* Bóg wam zapłać, bracie Krzysztofie.

Lubieniecki *(całuje jej rękę).* To mnie dziękować należy. Ale

młodych zapytać trzeba, bo tu przecież o nich głównie chodzi.

Dorota. O nich jestem spokojna. Halszka, widzę to dawno, wdzięcznem okiem spogląda na mego syna. A co Zygmunt, to wśród mych dziewcząt zawsze prym jej dawa.

Lubieniecki (*zacierając ręce*). Przedziw! Toć ani się spodziewę, jak dziadkiem zostanę.

Dorota (*wesoło*). Sprawimy weselisko, że aż w górach muzykę usłyszą. (*Wstaje rażno*). Aż mi siły wróciły z uciechy. Radość to mieć takie ciche, słodkie, posłuszne a rozumne dziewczę, jak Halszka, za synowę! A nabożne to, a gospodarne, a pracowite!

SCENA VII.

Ciz i Zygmunt.

Zygmunt (*w paradnym stroju, podchodzi do matki i wita ją serdecznie*). Dzień dobry, pani matko!

Dorota. Dzień dobry, panie synu. Cóż to od rana tak huczno a strojno?

Zygmunt (*kłaniając się z uszanowaniem Lubienieckiemu*). Rad jestem i szczęśliw, toć i szaty paradne przywdziałem, aby uciecha moja widoczną była.

Dorota. Snać przecucie masz, jak fortunnie ułożyły się twoje losy. (*Uroczyście*). Uściśnij za kolana pana Lubienieckiego i podziękuj mu, że ci córkę swą nadobną i obyczajów ozdobnych dziewczę w święty stan małżeński dać raczy, za mojem wstawiennictwem.

Lubieniecki (*otwierając ramiona*). Jako syna cię miłowałem, Zygmuncie, i wielcem ucieszon, że mi cię teraz na prawdę synem nazwać się godzi.

(*Zygmunt stoi nieporuszony, patrząc ze zdumieniem to na matkę, to na Lubienieckiego*).

Dorota (*do Lubienieckiego*). Szczęście mowę mu odjęło. (*Do Zygmunta*). Nuże synu, dziękuj.

Zygmunt. Pani matko! Ojczy Krzysztofie! Ja... ja... aczkolwiek... zaiste...

Lubieniecki (*biorąc go w objęcia*). Co tam długie madrygały. Daj pyska i basta!

Zygmunt (*uwalniając się z objęć Lubienieckiego*). Darujcie mi ale... ale... ja...

Dorota (*ostro*). Zyguncie, przyjdźże do siebie! Nie myślałam, że szczęście do tego stopnia prezenę ci skruszy. Jak żak stoisz!

Zygmunt (*stara się mówić spokojnie*). Nie chciałbym wam afrontu robić, matko, i wam, ojeze Krzysztofie, ale... ja wcale nie mam intencji prosić o rękę panny Halszki.

Lubieniecki (*zwraca się do Doroty*). Pani Doroto!

Dorota (*z gniewem do syna*). Co, co ty mówisz?

Zygmunt (*chłodno i stanowczo*). Jakom rzekł, tak jest. O rękę panny Halszki prosić nie mogę, bowiem serce me wolne nie jest. (*Waha się chwilę, potem z determinacją*). Oświadczyłem moje affekta pannie Hannie Czermińskiej, wczoraj otrzymałem odpowiedź przychylną. Żenię się z nią i to wam matko, i wam, ojeze Krzysztofie, przyszedłem oznajmić.

Dorota (*gwałtownie*). Nie ożenisz się, powiadam ci, boć zezwolenia nie dam. Słuchać musisz matki rozkazania, a nie usłuchasz... przekl...

Lubieniecki (*przerywa*). Spokojnie, pani Doroto, spokojnie. Zygmunt straszy, krotchwile wyprawuje.

Zygmunt. Nie!

Dorota (*zaciskając pięści*). Zmogę cię. Haniebnego związku z papistką zawrzeć nie dam, choćbyś się jak wąż wił u stóp moich!

Lubieniecki (*niecierpliwie*). Upraszam was, pani Doroto, gniew hamujcie, kiedyć mówię. (*Do Zygmunta*). Zyguncie, zastanów się, co czynisz?

Zygmunt. Zastanowiłem się.

Lubieniecki. Czermińscy zażarci papiści, siostrzany Gembickiego.

Zygmunt. Wiem.

Dorota (*hamując gniew, głucho*). Ja na to nie pozwolę nigdy, nigdy!

Lubieniecki (*chodzi wielkimi krokami, szarpiąc wąsy*).

Zygmunt (*spokojnie*). Nie unście się matko, jam już nie dziecko; rozeznanie własne i wolę mam. Wiem, com wam powinien i szacunku a posłuszeństwa synowskiego nie

zbędę nigdy... Ale Hannę kocham nad życie własne. Bez niej żywot srogą męką mi jest. Chcesz-że mi go zatruć matko?

Dorota. Ty mnie żywot trujesz, nie ja tobie. Mnie zabić chcesz, Halszce spokój odebrałeś, niegodnie bałamucać. Nie tak czynić zwykł młodzian serca wielkiego, o honor swój dbały.

Zygmunt. Jako żywo, panny Halszki nie bałamuciłem. Żem do niej zagadał, robotę pochwalił, to nie bałamućstwo. Znam ją od maleńkości. Ojciec jej ojcem ducha mego był; siostrę miłą w niej widziałem, a jako takiej affekt a serdeczność okazałem. Żalim co więcej kiedy poznać dał? Żali to przestępstwo jakie?... Wasza wina, pani matko, jeśliście mowę serca zakochanego w braterskiej rycerskości upatrywali. A możecie Halszce już co mówili?

Dorota. Nie.

Zygmunt. Chwałaż Bogu! Niebożátko przelekleby się, bo pewno nijakiej skłonności ku mnie nie odczuwa.

Dorota. Ona cię kocha!

Lubieniecki. Po co mówicie?

Zygmunt. Nie może być i tego jej do głowy nie kładźcie. (*Do Lubienieckiego*). Ojciez Lubieniecki, jako tu żywo stoję, na waszą córkę zawsze, jako na siostrę najmilszą patrzałem i siostrą będzie mi zawsze. Ale swego szczęścia wydrzeć sobie nie pozwolę. Żali już nie dosyć ofiar nałożyliście na mnie? Inni w moim wieku, rycerskiego stanu młodzieńce, już od dawna kroniki chwalebne ostrzem szabli piszą, ku sławie Rzpltej i własnej. A czasu pokoju w urzędziech wysokich, koło dobra matki ojczyzny pracują. A ja, którego dziady i pradziady miecza z ręki nie wypuszczali, przy drewnianym mieczyku chadzał! Ledwiem się od miesiąca szabli doprosił. Jako jaźwiec w jamie siedzę, od spraw publicznych i honorów odsądzon! To wszystko, jak mówicie, dla wiary naszej. I jeszcze wam mało? I jeszcze teraz, gdy serce mi się porwało, gdy pustkę żywota, w chamskiej leniwości a głupiej bezczynności spędzanego, umiłowana niewiasta zapełnić mi chce, mam

szcześciu wrota zamknąć, że innej wiary jest? Nigdy! Żali wy wiecie, że ja od mego we włoskiej krainie bywania pół życiem tylko żyję? Do wszelkich życia spraw wstrętliwość a niechęć ogarnia mnie, każda chwila wiekiem się zdaje, tak jedna za drugą leniwie płynie. Gdy rano świta, chciałbym już, by noc zapuściła swe ciemne kurtyny, a gdy noc zajdzie, jużbym chciał widzieć następnego dnia różane zorze. Wszystko, co czynię, niemile mi jest, rzucam to, alić drugie, co przedsiębiorę, równie nuży. Czarne myśli oblegają ze wszech stron, niepokój w kości się wżera. Nigdzie odpoczynku, nigdzie odetchnienia, jedno przy Hannie mojej! I rzucać ją mam? Nie! nigdy, przenigdy!

Lubieniecki (*z boleścią*). Gorze mi, co słyszeć muszę!

Dorota (*łamiąc ręce*). On pastwą szatańskich pokus jest! On złamie przysięgę. Odstępcą się stanie. On w wieczną zgubę padnie.

Zygmunt. Nie padnę. Przysięgi dotrzymam.

Lubieniecki. Nieprawda. Zachwiejesz się. Samson mocny był, a uległ podstępowi niewieściemu.

Zygmunt. Hanna moja, nie Dalila. Przykładów było dosyć, że Chrystyanie papistki za żony sobie brali, a żadnego szwanku na wierze nie ponieśli. Tęczyńska Katarzyna cóż zdziałała, że sakramentarstwa twardo się trzymała, choć Łaska była, *de domo*, wielkiego Jana siostra a żartatego kalwina żona? A Radziwiłł Czarny? Wszak katoliczkę wziął, a przymusił, że słowo Boże czyste przyjęła. Tak ci może i z moją Hanną będzie; a gdy prawdę naszej wiary ujrzy, dzielny jej wyznawcą się stanie...

Dorota (*wznosząc ręce do góry*). O śmierci! pójdź, zawrzyj oczy moje, aby na upadek rodu mego nie patrzyły!... Zmroź serce! Niech bić przestanie, zanim rozszarpie je ból straszny nad hańbą krwi, co z krwi mej wyszła! (*Do Zygmunta*). Zyguncie, błagam cię, nie wpuszczaj katolicki w dom twój. Za nią Gembicki stoi. Miej litość nad swoją duszą, nademną, nad nami wszystkimi. Nie gub nas.

(*Osuwa się na kolana*).

Zygmunt (*podnosząc Dorotę*). Matko kochana, co czynicie? Czemuż tak zbytńio do serca to wszystko sobie bierzecie? Żali wątpicie o mnie, którym jest uczniem wielkiego mistrza Lubienieckiego? Omamić się nie dam nikomu. Namów i przekonywań Gembickiego się nie boję, a Hannę mieć muszę!

Dorota (*gwałtownie*). A ja ci powtarzam: choćby aniołem była, papistki i Czermińskiej nie chcę na synowę. Tobie brać jej za żonę nie pozwolę nigdy, nigdy!

Zygmunt. Być nie może, byście macierzyńskiego serca ku mnie nie mieli i wstręty niepotrzebne czynili!

Dorota (*z zaciętością*). Czynić będę, póki żyć będę. Nienawidzę tej Czermińskiej. Wkradła się do twego serca, jak złodziej do cudzej komory, może czarami; a pewniej ofiarą czci własnej. Czarownica jest! ladaco!

Zygmunt (*z gniewem*). Milcz matko! Tak mówić zakazuję.

Dorota (*w uniesieniu*). Zakazujesz? Zakazujesz? Od kiedy to synowie matkom zakazy dają? Mówić będę, póki żyć będę, że chyba cnotę a cześć swą poświęciła, aby cię tak usidlić.

Zygmunt (*w uniesieniu*). Milcz, matko, bo kłamstwem usta plamisz!

Dorota (*w najwyższem uniesieniu*). Papistkę mi tu wprowadzać będzie! Potomstwo z nią płodzić, aby na papistów wyszło, a na kościół prawy plwało! Niedoczekanie wasze! Póki ja żyję, nie pozwolę nigdy! nigdy! Chcesz wyrodkiem być, Bogu czynioną przysięgę łamać, zakaz matki ważyć lekko; to idź! idź! zawieraj śluby niegodne! Ale wtedy znać cię nie chcę! O żebranym chlebie precz pójdę z domu twego! Z przekleństwem na ustach tulać się będę. Bóg wysłucha przekleństwa matki!

(*Chwila milczenia*).

Zygmunt. To wasze ostatnie słowo, pani matko?

Dorota. Ostatnie!

Zygmunt (*wolno i poważnie*). Przekleństwa na moją głowę ściągnąć nie chcę; wiecie to dobrze; a z domu matkę wyżenać synowskiemu sercu nie łącno! Pograżyc mnie

w desperacyę chcecie, żywota zbawić, niech się dzieje wedle woli waszej. Porzucę Hannę, jeśli nad naszym stadłem przekleństwo zawisnąć ma! Ale i was porzucę! Więcej mnie dom ten nie ujrzy! Pójdę na kresy, gdzie bój a śmierć i złożę kości moje gdzieś na stepie w usługach Rzeczypospolitej, lepszej matki, jak rodzona. Zaś że to nie próżna groźba, parol szlachecki stawiam. Żegnajcie mi, jadę zaraz. *(Zwraca się ku drzwiom).*

Dorota. Jedź! Wołę cię widzieć na marach, jak odstępca!...

(Odwraca się, Zygmunt idzie ku drzwiom).

Lubieniecki *(biegnie za nim).* Zyguncie, stój!

Zygmunt. Małoście mnie nakatowali, czy jeszcze dręczyć chcecie? Puśćcie mnie!

Lubieniecki *(trzymając go, do Doroty).* Pani Doroto, już zmieknijcie.

Dorota *(łamiąc ręce).* Ja matka nieszczęsna! Nie mogę.

(Zygmunt wyrывa się Lubienieckiemu i chce iść. Lubieniecki zastępuje mu drogę).

Lubieniecki *(błagalnie).* Zyguncie! Pani Doroto! Tak być nie może. Żle się stało, ale naprawić trzeba. Może też owa Hanna przystanie do nas, apostołować się nie ośmieli! Życia zbywać dla niewiasty nie godzi się. *(Do Doroty).* Zygmunt się uparł i swego nie odstąpi!

Zygmunt. Nie odstąpię, jak mi Bóg miły!

Lubieniecki. Nie męzka to rzecz ustępować, pani Doroto! Serce matki miękkie jest. Ustąpcie, kiedy innej rady niema. Zygmunt odjeżdżać nie może.

(Chwila milczenia).

Dorota *(załamując ręce).* Tegom się doczekać musiała! *(Walczy ze sobą przez chwilę, potem zwraca się do syna).*

Dorota *(szorstko).* Pójdź tu Waś.

(Zygmunt podchodzi).

Dorota *(uroczyście).* Więc żeń się z nią, kiedy ci ona milsza nad wiarę, nad matkę, nad życie! Żeń się z nią! Nie przeklnę już ani ciebie, ani jej, ani dzieci waszych. Żeń się i bądź szczęśliwy! *(Zygmunt rzuca się matce do nóg).* Bądź szczęśliwy! Ale bądź wierny twemu wy-

znaniu! (*Groźnie*). Jeśli się zachwiejesz, jeśli odpadniesz, choćby trup mój już robactwo stoczyło ze szczętem, z grobu powstanę i przyjdę do ciebie i chodzić za tobą będę i szeptać do ucha będę dniem i nocą: „Odszczepięcze podły giń! Przepadnij!“ — I zginiesz!

Ludwika Dobrzyńska-Rybicka.

(Dokończenie nastąpi).

Z polityki monetarnej.

Przed 13 laty uchwalono w Austrii przejście do waluty złotej ułomnej, zwanej koronową — przed dwoma niepełna laty wniósł rząd przedłożenie o podjęciu wypłat gotówką, przeciwko czemu zabrałem głos wtedy w *Przeglądzie Polskim*. Krok ten nie jest dotąd uczynionym, lecz należy do programu przyszłości. Wbrew nadziejom motywów rządowych z r. 1903, dał miniony rok niekorzystny bilans handlowy, dyskonto berlińskiego Banku Rzeszy podniosło się na 5^o/_o. Fakta powyższe wzbudzać muszą wszędzie, zwłaszcza u nas, wątpliwości i obawy. Ztąd też kwestya monetarna nie schodzi z porządku dziennego ani świata, ani monarchii i dlatego pomieszczam tu poniższe ogólne uwagi.

Trudności zaspokojenia wszystkich swych potrzeb bezpośrednio wytworami własnej produkcji, wywołane tak różną urodzajnością i bogactwem mineralnem ziemi, jak różnym uzdolnieniem ludzi do różnych prac, doprowadziły do społecznego podziału pracy, powstania różnych gospodarczych zawodów. Ograniczywszy zakres swej produkcji, zostawszy więc rolnikiem lub rękodzielnikiem, trzeba było potrzebne a niewytworzone w własnem gospodarstwie wytwory uzyskać w drodze zamiany od innych gospodarstw. Trudności bezpośrednio surowej zamiany, aby jeden właśnie to i tyle miał na zbyciu, co drugi potrzebuje i właśnie tego potrzebował, co drugi ofiaruje, uczyniły pożądanem używanie pewnych dóbr o zaletach trwałości, podzielności, ogólnego użycia, jako pośredników zamiany. Futra, skóry, muszle, perły, bydło, kruszce, spełniały tę funkcję, aż stopniowo funkcya ta co-

raz więcej przypadła szlachetnym kruszcom, złotu i srebru. Prócz zalet trwałości, podzielności, jednolitości, posiadały one i zaletę względnie stałej, stalszej, niż u przeważnej liczby innych dóbr, wartości. Stała ich wartość opiera się na fałdzie, że złoto i srebro nie ulegają istotnej konsumpcji — pomijając względnie nieznaczną stratę z ścierania — wydobyte ich ilości gromadzą się w stały zapas, wobec którego coroczny nowy przybytek jest stopniowo coraz mniejszego znaczenia; stosunek zaopatrzenia w kruszce nie zmienia się gwałtownie z roku na rok, jak to nastąpić może n. p. przy zbożu, i ztąd ich wartość jest względnie stałą, a zachwiać ją mogą też nie tyle zmiany w produkcji kruszców, jak raczej zmiany w popycie za nimi, zwłaszcza zmiany w monetarnym popycie przez znaczne rozszerzenie lub ograniczenie tego popytu.

Środek zamiany, wchodzący coraz powszechniej w użycie, staje się powoli i powszechnym miernikiem wartości. Zamieniając n. p. kamienicę za wieś, i dziś szacuje się jej, mierzy ich wartość pieniądzem — obecnym pośrednikiem zamiany — chociażby go się wcale efektywnie przy danej transakcji nie użyło.

Ponieważ wartość kruszców zależy od ich czystości i wagi, przeto już w fazie używania ich za pośrednika zamiany pożądanem było, aby publiczna władza, posiadająca zaufanie publiczne, poświadczala zawartość, t. j. wagę i czystość poszczególnych obiegających sztuk kruszcu. Z pierwotnego poświadczenia przez władzę rozwija się stopniowo bicie pieniędzy wyłącznie przez władzę publiczną, oraz uposażenie ich w walutę, t. j. siłę zwalniania od zobowiązań. I tak powstaje pieniądz właściwy, uposażony we wszystkie funkcje, jako instytucja państwowa, a wzrastające trwale znaczenie pieniądza nadaje wielką doniosłość polityce monetarnej, t. j. ogółowi zasad co do najlepszego urządzenia stosunków monetarnych.

W miarę rozwoju społecznego podziału pracy, wzrasta praktyczne znaczenie pieniądza. Im więcej produkuje się dla targu, na sprzedaż, tem więcej zależy byt i dobrobyt gospodarstw od sumy pieniędzy, jaką się na targu za swe wytwory otrzyma. Stosunki życiowe prowadzą do tego, że każde gospodarstwo ma szereg pozycji po stronie wydatków,

dochodów, lub po obu stronach, stale w pieniądzu oznaczonych (czynsze najmu, place); przedewszystkiem rozwój kredytu publicznego i hipotecznego wytwarza takie stale w sumie pieniądze na długi okres oznaczone zobowiązania lub uprawnienia, a to wszystko wpływa na podniesienie znaczenia pieniądza i jego stałej wartości, powiększa ich wpływ na byt coraz liczniejszych gospodarstw.

Każde zachwianie wartości pieniądza jest połączone z szkodliwemi skutkami, podkopuje dobrobyt całych szeregów ludzi. Gdy pieniądz traci na wartości, gdy zmniejsza się jego siła nabywcza, to nastaje ulga ciężaru dla dłużników, zyskują wyższe ceny i robią dobre interesa przedsiębiorcy i samoistni wytwórcy, ale cierpią na tem wszyscy, których dochody są stale w pieniądzu oznaczone, a więc wierzyciele, urzędnicy, robotnicy. Dochód ich pozostaje niezmieniony, wydatki wzrastają natychmiast, co jest dla nich i stratą i krzywdą. Produkcya otrzymuje bodziec sztuczny, lecz nie trwały, który nadzieją wzrosłych i wzrastających zysków gotów do nadmiernego rozwoju produkcji, następnie do przesilenia prowadzić. Odmiennie a gorsze jeszcze skutki wywołuje drożenie pieniądza, wzrost jego siły nabywczej, ogólna niżka cen. Zyskują stale dotowani, ale cierpi cała produkcya, producenci nie mogą otrzymać spodziewanej i rentującej ceny, zwracają się do ograniczenia produkcji lub do niżki plac robotników, a jedno i drugie niża sumę zarobku warstw robotniczych; zadłużone przedsiębiorstwa popadają w bankructwa, życie gospodarcze słabnie, objawia się stagnacya, przychodzi do likwidacyi społecznej w kierunku, pogarszającym położenie pracy i właścicieli ziemi, podnoszącym zamożność i znaczenie przedewszystkiem wielkiego pieniężnego kapitału. Ceny drobnego handlu okazują wielką odporność przeciwko tendencyi niżkowej, ztąd podrożenie pieniądza nie przyniesie korzyści drobnym konsumentom, mała tylko część społeczeństwa odnosi ztąd korzyść niezasłużoną, i to wielki kapitał pieniężny.

Ztąd też naczelnym wymogiem dobrej organizacyi monetarnej jest stała wartość pieniądza, tej miary zobowiązań, a kwestya monetarna polega na rozważeniu, na jakiej drodze cel ten najskuteczniej można osiągnąć. Stała wartość pic-

niądza jest pożądaną i ważną zarówno w krajowych, jak międzynarodowych stosunkach. Różnice naturalnego wyposażenia i gospodarczego rozwoju różnych krajów uczyniły obrót międzynarodowy podobnie koniecznym i pożytecznym, chociaż nie w tym stopniu, jak okazał się koniecznym i pożytecznym społeczny podział pracy. Dawniej trudność komunikacyj powstrzymywała rozwój międzynarodowego obrotu; w miarę ulepszenia komunikacyj obrót ten mógł powiększać się i powiększył się istotnie w sposób bardzo wielki. Każda nowa kolej rozszerza rynek zbytu dla wielkiej eksportowej produkcji, wprowadza nowe produkty, produkty kraju wzdłuż nowej kolei, na targ świata. Dziś też handel zagraniczny wszystkich państw przedstawia sumy bardzo wielkie, a ekonomiczne i finansowe powody czynią go dla wielu krajów koniecznym.

Obrót zagraniczny powstał i rozwinął się jako obrót towarów. Stopniowo zaczął pojawiać się i rozwinął się ogromnie w ciągu XIX wieku także obrót kapitałów pieniężnych, t. j. zaciąganie zagranicznych pożyczek. Obrót towarów czy kapitałów pieniężnych wytwarza zobowiązania, przyczem różność waluty państw wywołać może trudności i straty, obrót utrudnić. Waluta taniejąca działa jak premia na eksport własnych, jak wzrastające cło na dowóz cudzych towarów, przeciwnie drożejąca waluta działa jak premia na import cudzych, jak cło wywozowe na eksport własnych towarów. Jako przykład weźmy stosunki anglo-indyjskie. Indyjska rupia miała niegdyś znaczenie dwóch szillingów, funt szterlingów był równy 10 rupiom. Po zachwianiu stosunku wartościowego złota do srebra, rupia traciła na znaczeniu; importer angielski do Indyj musiał tam żądać, chcąc za daną jednostkę towaru otrzymać funt szterlingów — zwrot swych kosztów — więcej niż 10 rupij, stopniowo musiał podnosić cenę na 11, 12, 13, a to podnoszenie ceny utrudniało odbyt, zmniejszało transakcje; przeciwnie eksporter indyjski, otrzymując w Londynie dawną cenę w zlocie, otrzymywał więcej rupij niż dawniej, miał zysk dodatkowy, premię eksportową, uzdalniającą go do podwyższenia produkcji, eksportu, nawet do zniżki ceny w drożejącej walucie; biorąc bowiem 11 czy 12 rupij zamiast dawnych 10, mógł mimo to żądać w Londynie

za swój towar mniej, niż 1 funt szt w zlocie, mniej, niż dawniej. Przy długach zagranicznych, zaciągniętych w walucie zagranicznej, wzrasta znów w razie jej podrożenia ciężar zobowiązań, więcej niż dawniej trzeba ofiarowywać na procent i spłatę kapitału. Ztąd też obok zagadnienia stałej wartości pieniądza na wewnątrz kraju, występuje coraz categoryczniej w miarę rozrostu międzynarodowego obrotu drugie zagadnienie dla polityki monetarnej, a mianowicie zapewnienie stałości krajowej waluty wobec walut krajów, z którymi się ma najżywsze handlowe i kredytowe stosunki. I mrzonką jest naiwną a zgubną postulat „samodzielności“ monetarnej, bo ta nie istnieje; mogłoby ją mieć tylko państwo zupełnie odcięte od wszelkiego obrotu z resztą świata, ale takiego państwa niema. Mając stosunki obrotowe z innymi krajami, troszczyć się o to trzeba, aby pieniądz krajowy ani nie drożał, ani nie taniał w stosunku do walut postronnych. Zachwianie to wartości między krajową a zagraniczną walutą może nastąpić tak skutkiem zarządzeń jednego lub drugiego państwa, jak skutkiem wpływu nawet innych, od rozstrzygnięć danych państw niezależnych czynników. Zagadnieniem praktycznej polityki jest uchylenie wszystkiego, co by przez własną akcyę mogło się stać elementem chwiejności, zyskanie rękojmi, że decyzye państw postronnych gwałtownie nie zachwieją stosunkami wzajemnej wartości walut. Na podstawie tych rozważań powstały też idee unifikacyi monetarnej cywilizowanego świata lub przynajmniej międzynarodowych traktatów monetarnych, poręczających przynajmniej na pewien czas niepodejmowanie kroków, zdolnych wstrząsnąć wzajemną wartością walut. Tego zabezpieczenia nie da nigdy „samodzielne“ monetarne ustawodawstwo, które dotychczas zwyciężyło w świecie.

Jak w innych dziedzinach gospodarczych, tak i w dziedzinie monetarnej pierwotna organizacya była ściśle lokalną. Poszczególne miasta, terytorya, państwa miały swą monetę, każda zwierzchność publiczna urzędzała swą monetę autonomicznie. Jedyną wspólnością było, że podstawą systemu monetarnego było srebro, obok czego wybijano i złote monety,

ale te obiegały podług zmiennej taryfy. Z jednostki wagi srebra wybijano różną ilość jednostek monety, dawano im różną czystość, przyczem fałszywa chęć uważania mennicy za *regale*, mające dawać dochody dla skarbu, prowadziła w różnych państwach do jawnego lub tajnego pogarszania monety, zostawiania dawnej nazwy, pomimo zmniejszonej wagi i zawartości pieniądza. Wynikająca ztąd niepewność stosunków gospodarczych i kredytowych doprowadzała też często do umów na monety złote, mniej ulegające pogorszeniu, bądź też do zawierania umów na wagę srebra, nie na ilość sztuk monety. Tak n. p. bank hamburski stworzył idealną walutę *Marc banco*, licząc 60 na funt srebra, i w tej idealnej walucie jedynie, t. j. podług wagi srebra, przyjmował depozyta i prowadził rachunki. Jaskrawym dowodem niedostatków ustroju monetarnego jest fakt, że kwestya monetarna już od XIV wieku począwszy staje się przedmiotem rozpraw naukowych w licznych krajach, a więc rychlej a zarazem powszechniej i trwalej, niż jakakolwiek inna kwestya ekonomiczna.

Znaczne zmiany zawartości i wartości monety, oraz zmiany taryfy dla złota, niewycyfywanie z obiegu sztuk starych, oberżniętych, niedostateczna technika mincarska, brak ścisłego rozróżniania monety obiegowej a zdawkowej, wytwarzały anarchię monetarną i same wytwarzały przyczyny dalszego pogarszania się obiegu monetarnego. Gdy bowiem w obiegu pojawiły się nowe, gorzej wybite sztuki wobec dawnych lepszych, albo na odwrót, gdy, chcąc zapobiedz postępującej deprecyacji monety, puszczano nowe o pełnej ustawowej zawartości kruszcu, to pomimo wszystkich zakazów eksportu czy przetapiania monety, lepsze sztuki ginęły z obiegu, stwierdzało się t. zw. *prawo Greshama*, że zła moneta zwycięża i wypędza dobrą. Różnice znów w taryfowaniu złota wywoływały migrację kruszcu w myśl wiadomego pewnika, że każdy wytwór szuka najkorzystniejszego targu. Gdy złoto taryfowano za nisko, to ono uciekało z kraju — gdy je taryfowano za wysoko, to uciekały dobre monety srebrne. Za korzystna dla złota taryfa Anglii doprowadziła ją w XVIII wieku do utraty dobrej srebrnej monety, tak, że w drugiej połowie XIX wieku przy wypłacie wyższych sum przyjmowano

pozostałe w obiegu stare, starte srebrne monety tylko na wagę. A widząc ucieczkę jednego kruszcu, zmieniano nieraz taryfę na jego korzyść celem ułatwienia przybycia tego kruszcu, te różnice zaś i zmiany taryf złota do srebra, ustanawiane „samodzielnie“ przez każde państwo czy państewko dla siebie, powiększały nieporządki monetarne.

Podstawowym błędem była lokalna organizacya w dziedzinie, która z natury rzeczy ma powszechnie a nie lokalne znaczenie. Tanie wytwory nie znoszą kosztów dalekiego transportu, ztąd może u nich pojawiać się lokalna różnica ceny; złoto i srebro natomiast na podstawie swej wielkiej wartości mogą ponieść koszta i dalszego przewozu, ztąd lokalnie za niskie przyznanie znaczenia nie da się utrzymać, kruszec pójdzie tam, gdzie ma najwyższe znaczenie.

W XIX wieku wyrobiły się dopiero odmienne od dawniejszych ustawy i stosunki monetarne. W r. 1803 zaprowadza Francya *podwójną walutę*, ustanawia, że z kłgr. menniczego srebra bić będzie 200 fr., z kłgr. menniczego złota 3.100 fr., czyli zaprowadza stosunek wartości złota do srebra 1:15½, przyznając obu kruszcom, względnie obiegowym monetom z nich bitym, pełną siłę zwalniania od zobowiązań, otwierając równocześnie mennice dla bicia na rachunek prywatny. Również Stany Zjednoczone miały podwójną walutę, lecz z innym niż Francya stosunkiem (1:15·98). W r. 1816 zaprowadza Anglia *walutę złotą*, a 1835 r. Indye Wschodnie, 1847 r. Hollandya *walutę srebrną*. Inne państwa przeważnie miały jeszcze dawną organizacyę monetarną z przeważającym obiegiem i znaczeniem srebra, wobec którego było i złoto w obiegu, mając przyznany sobie t. zw. kurs kasowy, t. j. cenę, podług której przyjmowały złote sztuki kasy państwowe.

Wytworzyły się przeto trzy różne typy waluty kruszcowej. Ale pomimo różnic ustawodawstwa monetarnego poszczególnych państw, przedstawiało ustawodawstwo świata całego bimetalizm, bo choć były kraje złotej i kraje srebrnej waluty, to jednak w świecie państw najważniejszych było i złoto i srebro materiałem obiegowej monety.

Wstrząśnienie wielkie stosunków monetarnych zaszło po r. 1850. Wzrastająca od r. 1830 produkcya złota rosyjska, następnie zaś odkrycie niezmiernych pokładów złota

w Kalifornii i Australii, które w dziesięcioleciu 1850 — 1860 dały przeciętną produkcję roczną 200.000 kłgr., podczas gdy w latach 1800 — 1840 roczna produkcja osiągała zaledwie 16 000 kłgr., wywołały wrażenie, że świat zasypany będzie złotem. Poważni pisarze przewidywali znaczną niżkę wartości złota, a projekt Austrii 1854 r. przejścia do waluty złotej, odrzuciły państwa Rzeszy niemieckiej, z obawy deprecjacji złota — owszem zawarty 1857 r. traktat monetarny wiedeński oparł walutę Rzeszy wyłącznie na srebrze, odmawiając złotu nawet kursu kasowego. Występujący równocześnie olbrzymi eksport srebra do Indyj, przynoszący znacznie coroczną nową produkcję srebra świata całego, zabierający wprost masy srebra z obiegu monetarnego Europy, powiększał obawy o zachwianie stosunku wartościowego kruszców i sprowadził istotnie pewne podrożenie srebra. Ale dzięki podwójnej walucie Francji, która przyjmując miliardy złota do swej mennicy, mogła oddać znaczne ilości srebra, zachwianie wartościowego stosunku kruszców nie dosięgło 3%, i to tylko zupełnie przejściowo w r. 1859.

Gdy fakta wykazały nieuzasadnienie obaw o deprecjację złota, zapanowała w miejsce niedawnego projektu demonetyzacji złota idea rozszerzenia złotej waluty w Europie. Już r. 1865 przy zawieraniu Unii Łacińskiej, zaprowadzającej równą walutę, system monetarny i poręczającej wzajemny kurs kasowy monetom państw Unii, a mianowicie Francji, Belgii, Szwajcaryi, Włoch, wystąpiono z projektem złotej waluty dla tej Unii, czemu jednak stanowczo sprzeciwiła się Francja, pomimo że gwałtowny eksport srebrnych monet na Wschód zmusił ją do niżki zawartości srebra we wszystkich srebrnych monetach, prócz pięciofrankówce, z 0.900 na 0.835 i do odebrania im charakteru monety obiegowej. Zwołana w dwa lata później międzynarodowa konferencja monetarna, radząc nad unifikacją monetarną świata, oświadczyła się, z jedynym wyjątkiem Hollandyi, za powszechną walutą złotą, proponując zarazem złotą pięciofrankówkę lub jej *multipla* na przyszłą międzynarodową monetę świata, któraby wszędzie miała walutę lub przynajmniej kurs kasowy. Uchwały te nie weszły jednak w życie.

Po wojnie francusko-niemieckiej 1870 – 1871 r. rozpoczyna się zupełny przewrót stosunków monetarnych. Cesarstwo niemieckie, powstała w 1872 r. Unia Skandynawska (Dania, Szwecya, Norwegia), oraz w 1873 r. Stany Zjednoczone, uchwalają przejście do złotej waluty. Państwom Unii Łacińskiej groziło, że Niemcy zechcą swe zdemonetyzowane srebro w jej mennicach przerobić na pięcio-frankówki i jako takie puścić w obieg, zasypać ją srebrem a ściągnąć znaczne ilości złota. Polityczne i ekonomiczne powody skłoniły Francję, następnie całą Unię, do ograniczenia, niebawem do zupełnego zamknięcia mennic dla bicia srebra na rachunek prywatny. Wobec tego uchwała 1875 r. Hollandya przejście od czystej srebrnej do waluty podwójnej, nominalnej tylko, bo od razu zamyka mennice dla srebra; 1876 r. zamyka Rosya, 1878 r. Austria także mennicę dla prywatnego bicia srebra. Powszechnie wystąpiła proskrypcya srebra, ustawy państw na dały złotu monopol powszechnego służenia na materiał monetarny. Fakta te nie pozostały i nie mogły pozostać bez wpływu na wartość i wzajemny stosunek złota do srebra. Złoto poczęło drożeć, srebro tracić na wartości, stosunek, utrzymany praktycznie przez 70 lat, 1:15½, przestał panować, począł chwiać się ku dołowi, zeszedł na 1:18. Równocześnie zaszły i zmiany w produkcji kruszców, produkcya złota poczęła cofać się, srebro wzrastać znacznie – i tą zmianą produkcji usiłowano nieraz niesłusznie zachwianie stosunku wytłómaczyć, przeocząc najpierw, że również dawniej zachodziły zmiany w stosunku produkcji kruszców, a nie miały takiego wpływu na stosunek wartościowy, przeocząc dalej, że rozszerzenie waluty złotej to ogromny wzrost popytu i to wzrost przymusowy popytu na złoto, zamknięcie mennic dla srebra to zmniejszenie użyteczności srebra, a tak więc ten ustawami podyktowany wzrost popytu na złoto musiał podnieść wartość złota, jak i zadekretowana zniżka popytu na srebro, zdyskwalifikowanie go monetarne, musiało zniżyć wartość srebra wywołać.

Liczenie napotykanego twierdzenia, że nie ustawy, lecz popyt i podaż decydują o wartości kruszców, przeocza, że właśnie ustawa decyduje o monetarnym popycie, podnosi go, ogranicza lub wyklucza i przez to ma wpływ na wartość.

Zachwianie dawnego wartościowego stosunku kruszców i zmiana ich wartości, wywołały poważne gospodarcze wstrząśnienie i straty znaczne. Występująca równocześnie w krajach złotej i tak zwanej ułomnej waluty (t. j. z pozostawieniem srebrnych monet obiegowych obok złota, a z zamknięciem mennic dla srebra), ogólna zniżka cen, była wywołaną po części przyczynami leżącymi po stronie towarów (nadprodukcya, wzrost konkurencyi), po części zaś przyczynami walutowymi. Wpływ zmian walutowych na zniżkę cen stwierdza ogólność tej zniżki, jak zarazem fakt, że kraje srebrnej waluty mogły, utrzymując dawną swą cenę w srebrze, zadawalniać się w miarę rozchodzenia się stosunku między srebrem a złotem coraz niższą ceną w złocie. A wobec prób tłómaczenia depressyi cen wszystkim innem, tylko nie walutą, postawił sławny angielski minister finansów Goschen słuszne pytanie, czy i jak mógł ten nowy kolosalny wzrost popytu na złoto bez wpływu na wartość złota pozostać, nie wywołać jego podrożenia.

Wystąpiło też podwójne zachwianie wartości pieniądza: wewnątrz kraju i w stosunku do państw innej waluty. Obrót między krajami złotej a srebrnej waluty utracił stale *pari dewiz*, jakie wytwarzała i poręczała dawniej podwójna waluta Francyi (gdzie po wiadomych kosztach można było i złoto i srebro na pieniądz francuski przemienić), przybrał przez to cechę aleatoryczną, liczne wykazał zachwiania i wywoływał straty.

Realne niekorzyści i straty, oraz obawa wzrostu tych strat na przyszłość, skłoniły Stany Zjednoczone r. 1878 do ponownego zaprowadzenia waluty podwójnej, jednak bez wolnego bicia srebra, lecz tylko z obowiązkiem skarbu bicia co miesiąc 2—4 milionów dolarów srebrnych, oraz do zwołania drugiej międzynarodowej konferencyi monetarnej do Paryża. Konferencya ta, wzbogacona świeżemi doświadczeniami, inne zupełnie zajęła stanowisko, niż konferencya z r. 1867; pierwsza proklamowała powszechną złotą walutę — ta była potępieniem propagandy za złotą walutą, uznała, że interes świata wymaga, aby oba kruszce, złoto i srebro, spełniały funkcje monetarne w świecie. W pojęciu jednak, jak to ma być przeprowadzonym, różnice wystąpiły znaczne, konferencya po-

dzieliła się na dwa obozy, monometalistów i bimetalistów; monometaliści negowali możność waluty podwójnej, uznawali za konieczny podział świata na dwie grupy walutowe, rezerwując złotą walutę dla krajów najwyżej rozwiniętych, wskazując wszystkie inne na walutę srebrną; bimetalisci konstатовali, że bez waluty podwójnej jest niemożliwym utrzymanie obu kruszców w pełnym monetarnym użyciu, bo trudności obrotu, wynikające z różnicy waluty i braku stałego *pari*, skłaniać będą kraje waluty srebrnej jeden za drugim do przyjmowania waluty złotej, doprowadzając do potępienia przez konferencyę wyłącznego zapanowania waluty złotej.

Także trzecia konferencya międzynarodowa monetarna, zwołana przez Francję i Stany Zjednoczone w r. 1881 do Paryża, nie przyniosła praktycznych rezultatów, również i czwarta, zwołana r. 1892 do Brukselli. Na trzeciej konferencyi wystąpiono z pozytywnym projektem stworzenia międzynarodowej unii bimetalicznej, szereg państw oświadczył gotowość wstąpienia do niej pod warunkiem przystąpienia także Anglii i Niemiec; dwa te państwa oświadczały gotowość popierania Unii bimetalicznej, ale wstąpić do niej nie chciały, i tak projekt Unii spełzł na niczem. W Brukselli znów 1892 r. rozważano przedewszystkiem, czy i jakich możnaby użyć środków celem zmniejszenia użycia złota. Szereg przedłożonych projektów palliatywnych nie uzyskał uznania, jedynie ogólnie uznano, że niepożądanem jest wybijanie sztuk złotych na kwoty poniżej 20 fr.; nad projektem Unii bimetalicznej nie radzono już wobec braku praktycznych widoków jej przeprowadzenia, a cała konferencya miała teoretycznie tylko jeden doniosły rezultat, a mianowicie, że po za bimetalizmem nikt wskazać nie umie środka skutecznego, aby grożącemu ewentualnie drożeniu pieniądza skutkiem nadmiaru i gwałtownego wzrastania popytu za złotem przez coraz dalsze rozszerzanie się złotej waluty, skutecznie zapobiedz. Zagadnienia tego nie rozwiązano dotąd; chwilowo ryzyko to nie przemieniło się jeszcze w klęskę, dzięki nadzwyczajnej wydajności produkcji złota w ostatnich latach; był to szczęśliwy przypadek, ale polityka nie może opierać się trwale na nadziei szczęśliwych przypadków — stąd też za-

gadnienie i niebezpieczeństwo powyższe istnieje i nadal dla polityki monetarnej.

Wobec braku międzynarodowego rozwiązania problemu monetarnego, przystąpił szereg państw do uregulowania swej waluty na własną rękę, mianowicie Austro-Węgry, Rosya, Indye.

Austro-Węgry i Rosya znajdowały się walutowo w podobnym położeniu. Waluta papierowa, jaką oba te państwa miały już długie dziesiątki lat, przedstawia zawsze cały szereg wielkich ekonomicznych niekorzyści i niebezpieczeństw; wartość jej niema materyjalnej podstawy, zależy od kredytu państwa, na który zarówno gospodarze, jak finansowe i polityczne stosunki mają wpływ, oraz od liczby pieniądza papierowego, stąd też jest narażoną na wielką chwiejność wartości zarówno w wewnętrznych stosunkach, jak w zagranicznym obrocie. Podstawą waluty papierowej obu tych państw było niegdyś srebro; z chwilą zamknięcia mennic dla srebra, oderwano papierową walutę zupełnie od jej metalicznej podstawy, wartość jej była i nadal chwiejną, ale nie zależała od chwiejnej wartości srebra. Międzynarodowe zdemonetyzowanie srebra czyniło niemożliwym, przynajmniej dla Austrii, prosty powrót do metalicznej waluty na podstawie srebra; byłoby to bowiem gwałtownie obniżyło wartość guldena, a nie byłoby zapewniło ani stałej wartości waluty, ani stałego *pari* z krajami, z któremi Austryę łączyły najważniejsze handlowe i kredytowe stosunki. W r. 1892 uchwały też Austro-Węgry przejście do t. zw. waluty koronowej (ułamnej złotej, z pozostawieniem srebrnych guldenów jako monety obiegowej), przyczem kwestyę relacyi, t. j. kwestyę, ile złota dać należy za guldena papierowego, rozstrzygnięto na podstawie przeciętnego kursu ostatnich lat. Z 1 kłgr. menniczego złota biją 2.952 koron. Srebrne monety koronowe są monetą zdawkową.

Z podobnych powodów i Rosya przeszła do waluty złotej ustawami z lat 1897 i 1899. Twierdzono nieraz dawniej (Nasse), że ani Austrya, ani Rosya, nie mogą przejść do złotej waluty, i tem twierdzeniem broniono złotej waluty państw już ją posiadających, uważając za nierealne niebezpieczeństwo rozszerzania się złotego monometalizmu; twierdzono później,

że Rosya, ze względu na ogrom swych interesów azyatyckich, efektywną srebrną walutę zaprowadzić powinna, ale przestrogi te i rady wynikały głównie z obawy, że przejście Rosyi do złotej waluty gotowo skutkiem ogromnego wzrostu popytu na złoto znacznie je podrożyć, co by się zgubnie odbiło przedewszystkiem na gospodarzem życiu państw już z dawna złotą walutę mających. Autorowie tych przestróg przeocza!i, że wobec faktycznego rozwoju stosunków monetarnych świata, jedynie przejście do złotej waluty mogło Rosyi sta!e *pari* z najważniejszymi gospodarczo państwami zapewnić. Rosya przeszła do czystej złotej waluty, relację (1 rubel złoty = 1'5 rubel pap.) oparła na kursie ostatnich kilku lat; srebrne pieniądze są tylko monetą zdawkową, bilety kredytowe są od r. 1897 wymienne na złoto.

Indye miały od r. 1835 czystą walutę srebrną. Ogrom ich interesów handlowych i finansowych z Anglią doznał przykrego wstrząśnienia skutkiem chwiejnej i coraz więcej zniżającej się ceny srebra. Eksporter angielski musiał żądać w Indjach coraz wyższej ceny w rupiach, chcąc swą dawną cenę w zlocie otrzymać, a to drożenie jego artykułów narażało go na częściową utratę eksportu tak skutkiem zniżki odbytu, jak skutkiem ryzyka skutecznej lokalnej konkurencyi fabryk powstających w Indjach. Ztąd też jedno z centr angielskiego eksportu do Indyj, Manchester, stał się gniazdem angielskiej akcyi i ligi bimetalicznej. Z drugiej strony popadł rząd Indyj w trudności niebywale. Z dawnych czasów z tytułu pożyczek, pensyj, emerytur, miał do płacenia w Anglii sumę rocznie około 15 milionów funtów; niegdyś potrzebował na to 150 milionów rupij; stopniowo ciężar ten wzrastał; w miarę relatywnego drożenia złota, trzeba było płacić 161, 180, 200, 220 milionów, strata roczna na kursie przenosiła i 80 milionów rupij, co tak wysokością swą, jak niepewnością, wielki nieporządek w finanse Indyj wprowadziło. To też rząd Indyj popierał międzynarodowe usiłowania uregulowania kwestyi monetarnej na podstawie bimetalizmu, a widząc ich bezskuteczność, przystąpił w porozumieniu z rządem Anglii r. 1893 do zamknięcia mennic dla wolnego bicia srebra, chcąc ograniczeniem ilości rupij pewną zwyczaj i stałość ich wartości, niezależność od chwiejnej ceny

srebra uzyskać. Osiągnąwszy to po kilku latach, otworzył r. 1899 mennice dla złota, przeszedł do złotej waluty.

Obok tych trzech wielkich państw, podjęły usiłowania wprowadzenia wyplat złotem Włochy, oraz wprowadzenia złotej waluty Rumunia, Japonia, Chili; Niemcy od r. 1900 zaczęły usuwać resztę srebrnych talarów, chcąc przejść do czystej waluty złotej, i w Stanach Zjednoczonych po licznych zmianach zarządzeń, skierowanych do powiększenia użycia i znaczenia srebra (*Blandbill* r. 1878 zaprowadzający obligatoryczne bicie srebrnych dolarów, *Shermanbill* żądający stałych zakupów srebra przez skarż — oba już zniesione), uregulowanie waluty na podstawie samego złota staje się prawdopodobnem.

Nie utrzymał się przeto projekt podziału świata na dwie waluty, nie utrzymało się pełne monetarne użycie obu kruszców w szeregu wielkich państw, złota waluta rozszerzyła się ogromnie, wbrew przestrogom trzeźwych zwolenników złota u siebie, złoto stało się monopolicznym materiałem monetarnym głównych państw świata.

A jeżeli mimo to nie przyszło do znacznego przesilenia, drożenia złota i walki o złoto, to z jednej strony mamy to do zawdzięczenia kolosalnemu rozwojowi produkcji złota¹⁾,

¹⁾ W XIX wieku wyniosła przeciętna roczna produkcja:

Lata	Złota	Srebra
1801 — 1810	17.778 klgr.	894.150 klgr.
1811 — 1820	11.445 "	540.000 "
1821 — 1830	14.216 "	460.000 "
1831 — 1840	20.289 "	596.000 "
1841 — 1850	54.759 "	780.000 "
1851 — 1860	201.786 "	895.000 "
1861 — 1870	190.024 "	1,220.000 "
1871 — 1875	173.000 "	1,969.000 "
1876 — 1880	172.414 "	2,450.000 "
1881 — 1885	152.909 "	2,778.000 "
1886 — 1890	167.000 "	3,463.800 "
1891 — 1895	245.000 "	4,917.000 "
1896 — 1900	390.000 "	5,316.000 "
1901 — —	396.288 "	5,444.000 "
1902 — —	450.000 "	— "

Obecna produkcja złota wynosi przeszło 40 razy tyle, co tegoż produkcja w ciągu lat 1811 — 1820, najniższa

której trwałości w tym rozmiarze ani poręczyć, ani spodziewać się nie można, z drugiej zaś strony faktowi, że od 30 lat przeszło nie było w Europie żadnej wielkiej międzynarodowej wojny.

z zeszłego wieku; wzrost srebra jest tylko 10-ciokrotny; złoto nie straciło na wartości pomimo tego olbrzymiego wzrostu produkcji, przeto i sam znacznie mniejszy wzrost produkcji srebra nie mógł zniżyć jego wartości wywołać, na którym to twierdzeniu opierano kampanię przeciw srebru po latach 1870.

Przemysłowe użycie wyniosło:

Rok	Złota	Srebra
1893	75.456 klgr.	662.588 klgr.
1894	78.519 "	802.230 "
1895	88.142 "	995.863 "
1896	89.154 "	928.301 "
1897	88.784 "	972.945 "
1898	97.804 "	1,089.351 "
1899	109.327 "	1,275.037 "
1900	112.696 "	1,277.146 "
1901	119.271 "	1,370.685 "

u złota dochodzi do 30⁰/₀ produkcji, u srebra do 25⁰/₀; pozostająca na monetarne użycie suma złota czyni 950 milionów fr., srebra podług dawnej ceny (222 fr. z klgr. czystego — stosunek 1:15¹/₂) 900 milionów fr. — podług obecnej nie wiele powyżej 400 milionów fr.

Monetarne użycie, t. j. nowe bicie monet, zużyło (podług sprawozdań amerykańskiego dyrektora mennicy):

Rok	Złota	Srebra
1892	259.509 klgr.	3,741.240 klgr.
1893	349.707 "	3,318.694 "
1894	342.937 "	2,720.715 "
1895	347.701 "	3,052.166 "
1896	294.757 "	3,838.012 "
1897	658.611 "	4,036.480 "
1898	595.003 "	3,591.260 "
1899	701.325 "	3,998.878 "
1900	534.049 "	4,258.328 "
1901	373.290 "	3,341.767 "

Bicie monet złotych przewyższało prócz w r. 1896 i r. 1900 równoczesną produkcję złota; stwierdza to najlepiej, jak wielką jest potrzeba wzrostu ilości pieniądza pomimo wszystkich ułatwień wypłat, jak trudnem byłoby położenie złotego monometalizmu w razie zniżki produkcji złota.

Produkcya złota jest bardzo wielką, ale ona ma starczyć nie tylko na potrzeby monetarne, lecz i na potrzeby przemysłowe, dalej część jej ginie praktycznie z chwilą odpływu na Wschód. Przemysłowy popyt szacowano już r. 1894 na przeszło 300 milionów marek rocznie, t. j. 107.500 klgr., a popyt ten wzrasta w miarę rozszerzania się złotej waluty, w miarę im więcej złota nabiera wyłącznego znaczenia kruszcu szlachetnego; dawniej i srebrne wyroby miały to znaczenie wyrobów zbytkownych, obecnie coraz wyłączenie tylko złoto służy luksusowym potrzebom i ztąd oceniając stosunki zaopatrzania świata w złoto, o wielkości i wzrastaniu popytu przemysłowego należy pamiętać, jak również o tem, że srebrne wyroby znajdowały się w ręku bardzo szerokich warstw, ztąd część ich powracała do mennicy w razie podrożenia srebra; złote wyroby znajdują się przeważnie w ręku warstw bardzo zamożnych, mniej narażonych jako całość na zachwianie dobrobytu, ztąd i mniej skłonnych i zmuszonych do sprzedaży swych naczyń, celem zyskania gotówki. Ilościowo i jakościowo jest też popyt przemysłowy za złotem bardzo silny.

Odpływ złota na Wschód, do krajów azyatyckich, gdzie praktycznie ginie dla świata kulturalnego, służąc w znacznej jeszcze mierze prostej tezauryzacji, był dawniej małego znaczenia w porównaniu do odpływu srebra; zaprowadzenie złotej waluty w Rosyi, Indjach, Japonii, grozi, że stwierdzając powszechne deklasowanie srebra, skieruje zabiegi tezauryzacji na gromadzenie złota, podniesie znacznie sumę tego odpływu.

Popyt monetarny wreszcie wzrósł i wzrasta kolosalnie, i tak długo trwać będzie. Potrzeby te monetarne złota należy rozdzielić na kilka pozycji, a mianowicie: 1) zastąpienie startych i zgubionych sztuk, 2) powiększenie zasobu monety, konieczne w miarę wzrostu ludności i interesów, 3) uzupełnienie wyposażenia w złota państw, które jeszcze uchwalonej już efektywnej złotej waluty nie przeprowadziły, 4) dostarczenie złota dla państw przyjmujących złotą walutę (po Indjach i Japonii mogą o to pokusić się Chiny!), 5) wreszcie może się okazać koniecznem wycofanie srebrnej obiegowej monety. Zasób monetarny świata oceniono na 36 miliardów marek, w tem 20 miliardów złotem, 4 zdawkowej monety,

12 miliardów srebrnej obiegowej monety, której wartość realna obecnie zaledwie przynosi 30% wartości nominalnej. Dalsza niżka tej wartości uczyni niemożliwym jej utrzymanie, a już dziś stan ten przedstawia niebezpieczeństwo wielkie fałszerstwa i ryzyko zachwiania stosunków walutowych w razie znaczniejszych wstrząśnień. Także srebrna moneta zdawkowa jest stanowczo za mało wartościową. Stan ten wykazuje przede wszystkim fałszywość twierdzenia, że złota waluta jest od srebra niezależną, bo ona zawsze potrzebuje dużo srebrnej monety pomocniczej i znaczna niżka wartości srebra może ztąd mieć dla złotej waluty zgubne następstwa — stwierdza dalej, że 30-letnia faza przechodzenia świata do waluty złotej nie doprowadziła jeszcze bynajmniej do należytego uregulowania stosunków. Dalsza niżka srebra może kolosalnie podnieść popyt za złotem i jego zadanie, bo po wycofaniu srebrnej monety obiegowej musiałoby złoto samo spełniać funkcje, jakie dziś na wpół ze srebrem spełnia, co by podnosząc znaczenie złota, podnosiło i jego wartość, prowadziło do zgubnej drożyzny pieniądza. Pamiętać trzeba, że drożyzna pieniądza to ogólna niżka cen, wzrost ciężaru wszystkich długów, wszystkich stałych zobowiązań, wszystkich podatków. I żadne surrogaty nie zdołałyby powstrzymać wielkiego przesilenia, grożącego w razie, gdyby 33% obiegowej monety — srebrnej — trzeba było z obiegu wycofać. Niebezpieczeństwo to bardzo jest realnem, bynajmniej nie urojonem. Każde państwo reguluje obecnie ustawy swe walutowe na własną rękę, pomimo że kwestya monetarna jest *par excellence* sprawą międzynarodową; każde wielkie państwo samo może zachwiać stosunkami monetarnymi całego świata (naprzykład gdyby Francya wycofała swe pięcio-frankówki, to podrożałaby złoto w całym świecie), żadne państwo samo nie zdoła wstrząśnieniu waluty swej skutkiem działania państw innych przeszkodzić. To też ważnem zadaniem polityki monetarnej pozostaje osiągnięcie międzynarodowego uregulowania kwestyi monetarnej, bo toby ograniczało ryzyko z gwałtownej a nieopatrznej akcji jakiego państwa płynące. Pieniądz jest instytucją obrotu, nie tylko krajowego, lecz i międzynarodowego, i jako taki domaga się międzynarodowego układu, podobnie jak międzynarodowy ruch

kolei, czy obrót towarów. Międzynarodowe porozumienie jedynie zdołałoby też powstrzymać dalszą deprecyację srebra, która jest wprost groźną dla złotej waluty, a powiększając zadanie i wartość złota, może do walki o złoto i groźnego przesilenia prowadzić. — Nie tak doniosłem i piekącem, lecz nie mniej ważnem byłoby i stworzenie, w myśl projektu pierwszej międzynarodowej konferencji monetarnej sztuki, monety uposażonej w walutę czy kurs kasowy we wszystkich państwach należących do danej unii. Ułatwiłoby to znacznie wypłaty międzynarodowe, ograniczyło chwiejność kursu weksli zagranicznych, byłoby rzeczywistym postępem.

Złota waluta zapanowała obecnie w świecie; dzięki nadzwyczajnej produkcji złota nie przyszło do ostrej walki o złoto, jaka poczęła silnie występować między r. 1873 — 1890, gdy wzrastał popyt monetarny za złotem, a obniżyła się znacznie jego produkcya; wtedy też przyszło przez drożenie złota do zniżki cen poniżej poziomu lat 1845 — 1850, wywołując przesilenie i wielkie obawy o przyszłość. Kolosalny wzrost produkcji złota usunął to chwilowo. Ale dobrane uregulowaniami nie są stosunki monetarne. Sama chwiejność dyskonta wielu banków i nerwowe śledzenie odpływu złota świadczy o braku pewności; szereg państw ma walutę ułomną, kilka nie podjęło jeszcze wypłat w gotówce, wszystkie mają monetę srebrną bardzo podwartościową, ztąd też słusznymi są obawy co do dalszego rozwoju stosunków monetarnych. Zniżka produkcji złota, dalsza zniżka wartości srebra, którą postęp dalszy demonetyzacyi może spowodować, wreszcie jakie większe zawikłanie międzynarodowe, mogą tu groźne wywołać wstrząśnienie. Stan obecny przeto nie może być uznanym za zadowolniający, owszem reformy doniosłe okażą się tu konieczne. Pozorny chwilowy spokój nie jest rozwiązaniem zagadnienia. Im więcej rozszerza się panowanie złotej waluty — a już sama kolonizacya Afryki powiększa jej teren — im więcej wzrastają interesa, ludność, kredyt, tem więcej potrzeba regularnego wzrostu zasobu monetarnego; obniżenie się produkcji złota mogłoby tu groźne zachwianie wywołać, powodować walkę o złoto, tenby je posiadał, ktoby więcej dał za nie, walka prowadziłaby do zgubnej zniżki cen, drożyzny złota, a dalsze drożenie złota unie-

możliwością wreszcie utrzymanie srebra jako obiegowej monety, co by ogromną lukę w zapasach monetarnych świata wywołało, grożąc bezprzykładnem przesileniem. I wtedy ratunkiem mogłoby być tylko międzynarodowe ponowne powołanie i srebra do pełnej służby monetarnej, jak to było przez wieki aż do r. 1873.

Wypłaty międzynarodowe stanowiły od dawna przedmiot poważnej troski rządów i czynników, które starały się o gospodarczy rozwój kraju, mianowicie żywą była obawa, aby nie stawały się one powodem utraty zasobu pieniężnego kraju, nie wywoływały wstrząśnięć przez gwałtowne zmiany, eksportem wywołane, w ilości pieniędzy krajowych. Ztąd też liczne niegdyś istniały zakazy eksportu pieniędzy i szlachetnych kruszców. Merkantyizm wysiłał się organizacją taryfy cłowej lub innemi środkami polityki ekonomicznej uzyskać korzystny bilans handlowy, poręczający aktywne saldo w zagranicznym towarowym obrocie, a więc przybytek a nie ubytek kruszców, które to zabiegi były po części wypływem, po części powodem teorii, przeceniającej znaczenie pieniądza, uważającej go za główne, niemal za jedyne bogactwo. Reakcyja antimerkantylna, identyfikująca pieniądze z zwykłym towarem, zadawałniana się w ocenie obrotu międzynarodowego formułką, że za towary płaci się towarami, skutkiem czego chwilowy stan bilansu handlowego ma być rzeczą obojętną, a uznająca dla wartości pieniądza mechaniczną teorię kwantytatywną, w myśl której każde zmniejszenie ilości pieniędzy w kraju podnosi odpowiednio jej wartość, więc obniża ceny, ułatwia eksport, utrudnia import, nosi samo w sobie lekarstwo na stan, eksport kruszców chwilowo wywołujący, mimo pozorów słuszności i szerokich wywodów, nie znalazła ani potwierdzenia swej teorii, ani uznania dla swej praktyki w życiu. I słusznie nie znalazła uznania, ni zastosowania. Eksport pieniądza z kraju nie jest bowiem po za pewną granicę rzeczą obojętną, a zwłaszcza nie był nią dawniej, gdy skutkiem braku biletów bankowych, czeków, małego rozwoju przekazów bankowych, brakło środkom obiegowym pożądanej wyższej elastyczności, gdy każdy eksport pieniądza

mógł się w brak pieniądza zamienić. I dziś widzimy, że przy znaczniejszym eksporcie kruszców, już przy samem niebezpieczeństwie jego zaistnienia, objawia się wielkie zaniepokojenie poważnych sfer finansowych, usiłowania zaradzenia w inny sposób, utrudnienia go i uchyleń. A środki te stosują nie w przecenieniu, lecz w słusznem ocenieniu znaczenia pieniądza. Pieniądz nie jest bowiem zwykłym towarem; on jest środkiem obrotu, nabycia i wypłat, miarą wartości, najogólniejszą formą kapitalizacji, podstawą kredytu, treścią zobowiązań. Dla wszystkich tych funkcyj nie sam fakt pieniądza, lecz i jego ilość ma znaczenie; zobowiązania (weksle, czeki, bilety, procent, nawet płace) trzeba w pieniądzu zapłacić; niespodziana znaczna trudność w jego dostaniu może wywołać odrazu przesilenie kredytowe, a gdy ono doprowadzi do niewypłacalności szeregu przedsiębiorstw, to może przyjść do przerw i zniżek produkcji, zabraknie podaży towarów, mających swym eksportem wyrównać powstały wpierw ubytek w zasobie monetarnym. Doświadczenia dziejowe pouczyły, że znaczny eksport gotówki stać się może powodem ostrych przesileń, przez co sprawa ta zasługuje na baczną uwagę.

Wspomniano wyżej, że po części niebezpieczeństwo to jest mniejszem w obecnej dobie, gdyż skutkiem rozwoju kredytowych surrogatów pieniądza mamy wyższą elastyczność obiegu monetarnego. Z drugiej jednak strony wzrosło niebezpieczeństwo to skutkiem kolosalnego rozrostu międzynarodowego obrotu. Dawniej prawie wyłączną pozycją obrotu tego były towary, i to tylko przeważnie kosztowniejsze wyroby przemysłowe — obecnie od stu lat w miarę ulepszenia komunikacji i wzrostu bezpieczeństwa prawnego, w coraz wyższym stopniu wzrasta migracja ludzi, towarów i kapitałów, powstają zagraniczne zobowiązania tak z tych powodów, jak z tytułu kosztów przewozu, ubezpieczeń, spekulacja giełdowa i arbitraż nieraz szybko podnoszą sumy chwilowo dłużne zagranicy, ztąd też niebezpieczeństwo nagłego i znacznego eksportu pieniądza, znacznego огоłocenia kraju na pewien czas z gotówki, jest bardzo poważnem i realnem.

Wypłaty międzynarodowe przedstawiają jedną trudność, której nie mają wypłaty krajowe. Każde państwo ma swoją walutę, jego pieniądz jest uznanym prawnie środkiem za-

płaty w obrębie jego terytoryum, za granicą — prócz w wypadkach unii monetarnej — nie ma on prawnego znaczenia, a tu ma dłużnik krajowy zapłacić zagranicznego wierzyciela, chcącego daną sumę w swym krajowym a nie w zagranicznym pieniądzu otrzymać, którego znów dłużnik nie posiada.

Trudności stąd wynikające występują w różnym stopniu, zależnie od tego, czy między danymi krajami istnieje tylko różnica monety przy tej samej walucie (n. p. marki a funty szterlingów), czy też istnieje różnica waluty, w jednym kraju złota, w drugim srebrna, w jednym kruszcowa, w drugim papierowa. Przy równości waluty a różności tylko monety istnieje możność przemiany pieniądza krajowego po wiadomych kosztach w pieniądź zagraniczny; Hamburgczyk, dłużny w Paryżu n. p. 3100 fr., wie, że posyłając do mennicy francuskiej kilogram menniczego złota (t. j. 2511 marek złotych), może z nich kazać wybić 3100 fr.; jako koszta przybywają mu opłata mennicza, fracht, assekuracya, ewentualnie prowizya dla agenta w Paryżu, kilkodniowa strata procentu, których łączna suma jest dlań wiadomą i względnie nieznaczną; operacya ta może być nieraz podjętą i w przeciwnym kierunku, gdy dłużnik płacić ma prawo w swej krajowej walucie; wtedy wierzyciel musi ewentualnie sprowadzić sobie pieniądź zagraniczny i ponieść powyższe koszta; w pierwszym razie działają te koszta podrażająco, w drugim obniżająco na wartość wierzytelności. Przy równej metalicznej walucie jest pieniądź krajowy materiałem monetarnym zagranicznej waluty, przez co istnieje dla ich wzajemnej wartości t. zw. stale *pari*, oparte o równą wagę kruszeu w obu monetach, n. p. 1 klgr. złota ($\frac{9}{11}$) = 2511 marek = 3100 fr.

Takiego *pari* niema już obecnie między krajami złotej a srebrnej waluty. Dawniej, dopóki podwójna waluta Francyi była czynną, mennica otwartą i dla bicia złota i srebra, to relacya francuska kruszców 1:15 $\frac{1}{2}$ wytwarzała posiłkowe *pari* dla krajów o srebrnej, jak złotej walucie; n. p. 15 $\frac{1}{2}$ klgr. srebra = 1255.5 guld. w. a. = 3100 fr. = 1 klgr. złota = 2511 marek; wzajemny kurs walut krajów różnej metalicznej waluty chwiał się około relacyi francuskiej, zwiększonej tylko

o koszta podwójnej wysyłki, opłaty menniczej i t. d. Ustało to z chwilą zamknięcia mennic Francyi dla srebra, odtąd niema między krajami różnej metalicznej waluty żadnego *pari*, kruszec jeden jest w kraju drugim nie materiałem monetarnym, dającym się po wiadomych kosztach w pieniądź przemienić, lecz prostym towarem, zależnym w swem znaczeniu, swej cenie, od konjunktury targowej, chwilowego popytu na targu. Chwiejność tej wartości własnego pieniądza w kraju innej waluty wprowadza w obrót między krajami różnej waluty nowy, niebezpieczny moment aleatoryczny, zmusza eksporterów do podejmowania operacyj arbitrażowych, spekulacji walutowej, celem uwolnienia się od strat z wielkiej zmiany kursu pieniędzy wynikającej. Eksportując do Indyj po cenie n. p. 10 rupij za sztukę towaru, nie wiedział eksporter, czy za te 10 rupij otrzyma 18, 16, 14 shillingów, a ta niżka kursu waluty mogła dlań interes eksportowy w stratę znaczną przemienić. To też było powodem, że państwa nie złotej waluty, z chwilą gdy główne państwa złotą walutę przyjęły, starały się i starać musiały celem ograniczenia strat i ryzyka z chwiejności kursu waluty wynikających do przyjęcia złotej waluty, aby w ten sposób zapewnić sobie stałe *pari* z gospodarczo-najważniejszymi targami towarów i kapitałów, usunąć ze swego międzynarodowego obrotu aleatoryczny element chwiejności.

Jak między krajami różnej metalicznej waluty, tak i między krajem papierowej a innymi krajami, nie ma żadnego *pari*. Brak ten jest zawsze szkodą gospodarczą, gdyż obrót międzynarodowy jest w pewnym zakresie nieuniknionym, nawet pożądanym, chwiejność kursu waluty, niepewność, ile się za towar otrzyma, ile przy zagranicznych pożyczkach jako procent i zwrot będzie trzeba zapłacić, oddziaływają na ten obrót hamująco, niszcząco, nadają całemu życiu gospodarczemu piętno niepewności, spekulacyjności. Niepewność ta jest przy walucie papierowej tem większą, że cała jej wartość zależy wyłącznie od kredytu państwa, ulega przeto zachwianiu nie tylko z gospodarczych, ale tak samo z politycznych i finansowych powodów.

Dokonywanie wypłat zagranicznych bezpośrednio pieniądzem krajowym nastąpić może tylko między krajami wza-

jemnie sobie kurs kasowy monet przyznającemi; we wszystkich innych wypadkach trzeba nabyć inne środki zapłaty, i tych dostarcza sam obrót międzynarodowy, a trudności i kosztta, złączone z wysyłką i przemianą pieniędzy krajowych, czynią żeń dopiero ostateczny środek zapłaty, którego o ile można pragnie się uniknąć.

Obrót międzynarodowy jest zwykle obustronny, to znaczy, że między danemi dwoma krajami jest wzajemny eksport i import. Hamburg n. p. nie tylko eksportuje do Francyi, ale i importuje z Francyi, a tak samo i z tytułu nietowarowego obrotu powstają obustronne wierzytelności i zobowiązania. Po dokonanym obrocie jest więc szereg ludzi w Niemczech dłużnikami swych dostawców francuskich i szereg importerów Francuzów dłużnikami w Niemczech; gdyby wszyscy nawzajem wysyłali sobie zapłatę w zlocie, to ogromne sumy gotówki znajdowałyby się wciąż w drodze, mennice obu państw i ich poczty zajęteby były przebijaniem i przewozem kosztownym, a znaczna część tych mozolnych, kosztownych operacyj byłaby niepotrzebną. Znaczna część zobowiązań tych może być bowiem zaspokojoną przez kompensację. Gdy Hamburgczyk pierwszy ma do płacenia w Paryżu za wino 10.000 fr., a drugi ma dostać z Francyi za importowany do niej towar 8.100 marek, to może nastąpić zaspokojenie zobowiązań i w ten sposób, że wierzyciel w Hamburgu sprzeda swą wierzytelność, 8.100 m. płatne przez Francuza, Hamburgcykowi mającemu dług 10.000 fr. w Paryżu, który ją prześle swemu wierzycielowi w Paryżu, aby ten ściągnął sobie tę sumę od francuskiego importera, który ją winien jest w Hamburgu. W ten sposób zamiast aby Niemiec Francuza i Francuz Niemca płacił, płaci każdy delegowanego wierzyciela w swym kraju, zobowiązania zostają zapłacone bez przesyłania gotówki.

Czynność ta kompensacyjna jest ułatwioną przez fakt, że eksporter wystawia zwykle weksel na swego zagranicznego odbiorcę, który po akceptowaniu go przez tegoż o ile nosi odpowiednio pewne podpisy, staje się dogodnym środkiem dokonania zagranicznej wypłaty. Wobec trudności jednak indywidualnego znalezienia takiego wierzyciela i weksłu, któryby brzmiał właśnie na pożądaną sumę, czas i miej-

sce, przeszedł interes skupu i sprzedaży weksli zagranicznych na banki; one kupują wszystkie weksle zagraniczne, sprzedają własne przekazy na bank zagraniczny, któremu, jako pokrycie, owe nabyte weksle posyłają.

Wobec faktu, że weksle brzmią na inną walutę, niż pieniądz, którym się zań płaci, występuje ważna kwestya ceny ich, czyli t. zw. kursu dewiz. Na kurs ten wpływają dwa momenta: zawartość kruszcowa monet obustronnych, podaż i popyt weksli. Gdy dany kraj ma w pewnej chwili więcej zobowiązań niż wierzytelności na dany drugi kraj, to popyt na odnośne weksle wzrasta, przewyższa podaż, podnosi ich cenę, a dla tej zwyczajki istnieje ścisła granica tylko przy obrocie między krajami mającemi stałe *pari* wekslowe, materalnie równą walutę. W tym razie cena wekslu nie może wzrosnąć powyżej *pari* plus kosztu przewozu i mennicy, ani w razie nadmiernej podaży weksli a niedostatecznego popytu spaść poniżej *pari* mniej owe kosztu z sprowadzenia i przebicia zagranicznego pieniądza na krajowy wynikające. Granice te maksymalną i minimalną nazwano *gold-points*, bo cena dochodząca do nich sprowadza eksport złota w razie, gdy nabycie wekslu już nie przedstawia korzyści w dokonaniu zapłaty, i wtedy mówimy o kursie niekorzystnym, bo za dany weksel trzeba więcej płacić, niż on jest wart metalicznie; a znów sprowadza import złota, kurs korzystny, w razie gdy cena schodzi tak nisko, że korzystniej jest dla wierzyciela ponieść kosztu sprowadzenia i przebicia obcego złota, aniżeli sprzedać weksel poniżej efektywnej wartości.

Odchylenie się t. zw. *złetych punktów* od *pari* nie jest stałem, gdyż zależy od zmiennych kosztów przewozu, assekuracji, opłaty menniczej, starcia monet złotych kraju, ale tak zwiększona troska o dokładność bicia monety i zachowanie jej przepisanej zawartości i wagi, jak ułatwienia komunikacyjne ścieśniają stopniowo te granice odchyłań od *pari*; i tak dla Berlina w stosunkach z Paryżem obliczono, że maksymalnym zwyklowym odchyleniem od *pari* (1 fr. = 0·81 m.) jest 81·37, maksymalnym niżkowem 80·56 — powyżej przyszłoby do eksportu złota, poniżej do importu.

Stałych tych granic niema; gdzie braknie podstawowego *pari*, tam chwilowy stan targu decyduje o kursie weksli, i ztąd narażonym on jest na wielką chwiejność.

Celem dokonania wypłat zagranicznych, względnie celem pokrycia swych przekazów lub weksli na banki zagraniczne przez krajowe banki, weszły w użycie prócz weksli także zapadłe kupony, międzynarodowe papiery wartościowe, sztaby kruszcza, banknoty, a środki to słuszne i pożądane, bo z ogólnogospodarczych powodów należy unikać niepotrzebnej pracy przewozu i przebijania pieniędzy, peryodycznego kurczenia obiegu monetarnego. Technika bankowa dokonywania wypłat zagranicznych bez uciekania się do wysyłki kruszczowego pieniądza, rozwinęła się też bardzo i położyła poważne zasługi, oszczędzając społeczeństwu wstrząśnień i skurczeń gwałtownych a przemijających obiegu monetarnego.

Ale wszystkie te środki zapobiegawcze nie zdołają w pewnych razach uchylić konieczności eksportu kruszczowej monety, i to tem więcej, że środki te, zapobiegające eksportowi kruszcza własnego kraju, mogą się stać środkami przymuszającymi zagranicę do oddania kruszcza, n. p. gwałtowne rzućenie na targ jakiego kraju znacznej masy jego papierów, dotąd przez zagranicę posiadanych. Spekulacyjnemu takiemu zachwianiu bilansu płatniczego kraju mogą po części zapobiedz podatki giełdowe, stemplowanie papierów, ale one nie zdołają w danej chwili i od razu poprawić bilansu płatniczego. Uczynić to tylko mogą środki, powiększające niezwłocznie chwilowe aktywa kraju, odraczające płatność passywów. Takim środkiem jest przede wszystkim polityka dyskontowa. Podwyżka dyskonta czyni korzystnym pozostawianie swych wierzytelności lub nabycie ich w danym kraju, bo przynosi wierzycielowi wyższy procent. Dążeniem też ogólnem jest, aby mieć instytucje, któreby świadomie i skutecznie politykę dyskontową prowadziły celem oddziaływania na stosunki monetarne kraju, chroniły go od przesilen, z gwałtownego kurczenia zasobu monetarnego wynikających. Funkcję tę spełniają banki naczelne, biletowe, i ztąd organizacja ich ma znaczenie nie tylko dla kredytowych, lecz i monetarnych stosunków kraju, przez co polityka bankowa nabiera też coraz wyższego zna-

czenia. Zwłaszcza dla Austro-Węgier, mających znaczne zagraniczne zadłużenie, konieczną jest wielka ostrożność, aby przedwczesne podjęcie wypłat gotówką nie naraziło ich na utratę znacznej części zasobów złota, skurczenie obiegu monetarnego, podstaw kredytu, wstrząśnienie i osłabienie całego gospodarstwa społecznego.

Dr. Józef Milewski.

Nietzsche i Tołstoj.

Dwa przeciwieństwa myśli współczesnej.

Ostateczności stykają się, a z tego ich zetknięcia, niby z połączenia dwóch różnoimiennych elektryczności, tryska nieraz światło, rozjaśniające nagłym błyskiem rozległe obszary życia. Rzućmy okiem na pewne objawy ducha współczesnego, widniejące w promieniach takiego światła.

Nietzsche i Tołstoj! Czy można sobie wyobrazić zupełniejsze przeciwieństwa umysłowych i moralnych dążeń naszej epoki? Spróbujmy ogarnąć je w jednym, ogólnym i zwięzłym poglądzie. Może to zestawienie krańcowych punktów ducha czasu pozwoli nam ujrzeć jakiś zasadniczy jego kierunek, ale oczywiście tylko w bardzo przelotnym widzeniu, w oświetleniu chwilowego tylko błysku myśli. Trudne to zadanie mówić krótko o tak niezmiernie rozległym przedmiocie; podejmujemy je jednakże w przekonaniu, że jakie takie choćby rozwiązanie go, a choćby tylko pobudzenie przez nie kilku myśli o najgłębszych zagadnieniach naszego bytu duchowego, nie może przeminąć bez pewnego pożytku.

Oto dwaj znamienici pisarze, niezmiernie płodni i wielostronni, o wielkiej mocy natchnienia twórczego, skojarzonego z niemniej potężną myślą refleksyjną. Mówiąc o ich znaczeniu, musimy mieć na względzie nietylko obszerne dziedziny międzynarodowej literatury współczesnej, lecz także

zjawiska daleko po za ich obręb sięgające, skojarzone z najważniejszymi prądami duchowego życia ludzkości. Obaj oni niezadawalają się znaczeniem i wpływem literackim: chcą władać duszami ludzkimi nie tylko w sferze myśli, uczucia i wyobraźni, lecz także w sferze realnych zadań i dążeń życiowych; chcą być reformatorami i prorokami współczesnej ludzkości, przewodnikami na przyszłych jej drogach. Ażebym ten cel osiągnąć, niedość wzbudzić uznanie, zachwyt i uwielbienie słuchaczy, trzeba zjednać sobie wiarę uczniów i wyznawców. Ludzkość słucha chętnie tych, którzy ją przekonują lub zachwycają — idzie tylko za tymi, w których wierzy.

Co znaczy wierzyć w człowieka? Czy taka wiara nie jest zwyrodnieniem lub skrzywieniem dążeń duchowych, które w naturalnym swym rozwoju winny się zwracać li tylko ku Bogu i ku temu co od Boga pochodzi? Można wierzyć w rozum, w uczciwość, w cnotę pewnego człowieka, można ślepo podążać za nim w jakimś określonym kierunku życia, ale wierzyć w niego jako w prawdę bezwzględną, wierzyć w jego doktrynę życiową, jako w najwyższą zasadę bytu — czyż nie znaczy to podnosić go ponad sferę przyrodzonej ułomności ludzkiej? przypisywać mu charakter jakiejś doskonałości absolutnej, tylko Bogu samemu właściwej? W dziejach spotykamy liczne przykłady wielkich reformatorów i prawodawców, którzy na nowe drogi rozwoju wprowadzili narody i plemiona ludzkie i prędzej lub później zostali przez nie ubóstwieni.

W epoce chrześcijańskiej podobne ubóstwienie ludzi genialnych stało się niemożliwym. Zbiorowe sumienie świata chrześcijańskiego nie pozwala na ustalenie się i skryształizowanie w kulcie publicznym takich zбочeń uczucia religijnego, ale różne częściowe i czasowe jego wykrzywienia nie są przez to wykluczone. Jakże często wyznawcy Chrystusa stają się bezwiednymi bałwochwalcami! Jakże często odstępcy Chrystusa, wypierający się wiary w Boga, stają się łatwowiernymi wyznawcami różnych bożyszczy ludzkich, które na ołtarzach serc własnych stawiają! Czemże są różne kierunki religijne, moralne, a nawet artystyczne, od imion znamienitych ludzi biorąc swe nazwy? — owe rozliczne izmy, stanowiące tak charakterystyczne objawy współczesnych dążeń

duchowych? Czyż to nie są swojego rodzaju systematy i doktryny religijne, które już swemi nazwami zdają się przedrzeźniać chrystyanizm? Prawda — wszystko to przeważnie efemerydy ulotne, z mniejszą lub większą szybkością z serc i dusz ludzkich znikające, ale jaki z nich powstaje zamęt w duchowym życiu ludzkości, a osobliwie w religijno-moralnej jego dziedzinie!...

W pośród owych rozmaitych izmów w nowożytnych, ostatnich czasy nietscheizm i tołstoizm szerokie znalazły rozpowszechnienie i wielu zwolenników. W Niemczech i w Rosyi, a po części też po za ich granicami, pojawili się nietscheiści i tołstojowcy, jak chrześciance na Ewangelię, gotowi przysięgać na słowa swych mistrzów. Prawda, liczba ich niezbyt jest znaczna, żarliwość niezbyt wypróbowana, szczególnie w stosowaniu zasad wyznawanej nauki, ze względu na krańcowy ich radykalizm nadto trudnym lub zgoła niemożliwym wobec istniejących stosunków życia — niemniej przeto pewnem jest, że w ogólnym charakterze owych zasad przebija wyraźnie dążność do tworzenia nowych religij, czy też nowych systematów moralno-religijnych, a zwolennicy ich okazują bardzo widoczną skłonność do bezkrytycznej, łatwowernej egzaltacji, zastępującej tak często prawdziwą, silnie ugruntowaną wiarę w epokach zaniku jej lub zwyrodnienia.

W najnowszej dobie, na schyłku co tylko ubiegłego stulecia, skłonność ta wystąpiła ze szczególną siłą, jako przeciwdziałanie głoszonemu przez przebrzmiały już dziś pozytywizm zaprzeczenia wszelkich nadziemskich praw bytu. Zwrot do krańcowo antipozytywnych doktryn Nietzschego i Tołstoja jest jednym z najwybitniejszych objawów tej reakcji, a bezwzględne przeciwieństwo, pomiędzy temi doktrynami zachodzące, jakże wymownie świadczy o zamęcie dzisiejszych wyobrażeń, przekonań i wierzeń!

Przeciwieństw, sprzeczności, wzajemnie zaprzeczających sobie doktryn i dążeń, bez liku w życiu duchowym naszych czasów, a główną przyczyną całego tego zamętu jest wrogi stosunek dwóch najistotniejszych czynników rozwoju ludzkiego: religii i kultury. W normalnych objawach tego rozwoju współdziałają one sobie, wynikają ze siebie nawzajem;

zupełne sprzeciwienie między nimi jest niemożliwe, gdyż wykluczenie jednego z nich spowodowałoby natychmiastowy upadek drugiego: religia bez kultury stałaby się zabobnem, kultura bez religii — grubym materjalizmem. Kultura winna opierać się na religii jako na istotnej podwalinie całego wogóle duchowego życia ludzkości i nawzajem powinna oddziaływać na wyrobienie i uszlachetnienie uczucia religijnego.

Któż zdoła temu zaprzeczyć, że nasza nowożytna kultura wszystkie najlepsze, najżywotniejsze swe pierwiastki zawdzięcza chrześcijaństwu, że w ścisłym z niem zespoleniu dokonała wszystkich głównych swych zdobyczy duchowych, przez które tak wysoko się wzniosła ponad rozliczne kultury pogańskiej starożytności? A jednak jak często w wiekowym swym rozwoju oddalała się ona mniej lub więcej od tego nadprzyrodzonego swego przewodnika, lub nawet wprost przeciw niemu się zwracała! Nie miejsce tu zastanawiać się nad podobnymi objawami w przeszłości; wspomnijmy te, których tak wiele w czasach obecnych znaleźć można. Oto np. w Niemczech „Kulturkampf“, czyli walka o kulturę, znaczy niemal to samo, co walka przeciw katolicyzmowi, pośrednio przeciw chrześcijaństwu. A we Francji dzisiejszej jakimież to względami rządząca klika usprawiedliwia swoje zbrodnicze zamachy na chrześcijaństwo? Względami na rzekome dobro kultury, dążącej do zupełnego wyzwolenia się z pod wszelkich wpływów chrześcijańskich. Z drugiej strony, w przeciwnym obozie, wśród ludzi religijnych i wierzących, nie brakło nigdy i nie braknie obecnie takich, którzy wszelkie swobodniejsze dążenia kulturalne poczytują za niebezpieczne dla religii i usiłują zwalczać je o ile jest to w ich mocy.

Jednym słowem, dwa najistotniejsze czynniki rozwoju ludzkości, skutek błędów i występków ludzkich zamiast współdziałać, przeciwdziałają sobie nawzajem, a stąd wynika tyle zamętu w głowach i sercach, tyle zboczeń w czynach i dążeniach! Sądzę, że ofiarą tego zasadniczego przeciwieństwa padli dwaj zajmujący nas tu wielcy pisarze, wielcy nietylko siłą talentu, ale także licznymi prawdami, które wypowiedzieli, a które, niestety, tyłoma zamącili błędami. Jak smutno powiedzieć, że prawdy ich doktryn tkwią głównie w stwierdzeniu okropnych przeciwieństw ducha nowożytnego,

a błędy polegają na wskazywaniu dróg, mających rzekomo doprowadzić go do harmonii, prowadzących zaś w istocie rzeczy do większego jeszcze zamętu.

Doktryny owe pozornie są systematami zasad i wskazań, przeznaczonych do zastosowania w życiu praktycznym. Niechby jednak ktoś spróbował stosować je z całą ścisłością! Okazałoby się to nietylko niemożliwym, lecz także sprzecznym z wszelką praktyką ludzkiego bytu — okazałoby się prostem i zupełnem jej zaprzeczeniem. Co stąd można wnosić? Czy taka sprzeczność w dążeniach obu samozwańczych proroków ludzkości nie wynika stąd, że ich doktryny nie są widzeniami przyszłych jej dróg, lecz tworam i wyobraźni, w których odbiły się pewne kierunki obecnego naszego życia duchowego w jego najbardziej krańcowych wybujałościach i przeciwieństwach?

Przypuszczenie to w zastosowaniu do tak głośnych obecnie nauk Leona Tołstoja, z tego względu już wydaje się bardzo prawdopodobnem, iż mamy tu do czynienia z genialnym poetą artystą, znanym i sławionym jako twórca znamiennych arcydzieł epickich, zanim rozpoczął swą działalność propagatorską na polu moralno-religijnem — ale czyżby i Fryderyk Nietzsche, uczony filolog i myśliciel, autor szeregu dzieł o bardzo oderwanej treści — czyżby i on miał być w istocie rzeczy poetą i artystą? Czyżby jego słynna „teorya nadczłowieka“ miała być nie czem innem, jak fantazją poetycką, w natchnieniu twórczem mającą jedyne swe uzasadnienie? Oto pytania, na które przedewszystkiem z możliwą zwięzłością odpowiedzieć nam przyjdzie.

I.

Głos szczerości.

Osobliwa była to uczoność tego „nadfilologa“, jak ironicznie przezywał twórcę doktryny o „nadczłowieku“ jeden z najzawziętszych jego przeciwników, Włodzimierz Sołowiew. W młodości wróżono mu, nie bezzasadnie, świetną przyszłość naukową. Po wzorowem ukończeniu studyów uniwersyteckich, niezwykle wcześnie, bo już w dwudziestym piątym roku ży-

cia, został profesorem w uniwersytecie bazylejskim i kilku gruntownymi rozprawami z dziedziny filologii klasycznej zdobył sobie wielkie i powszechne w świecie uczonym uznanie. Ale niebawem świat ten zawrzał aż nadto zrozumiąłem oburzeniem, skoro pojawiła się pierwsza obszerniejsza i zupełnie samodzielna praca młodego profesora *O narodzinach tragedji greckiej z ducha muzyki*.

Nie trzeba być koniecznie specjalistą filologiem, lecz tylko trzeźwo myślącym, a do badań naukowych nieco za-prawnym człowiekiem, aby poznać kruchość podstaw racjonalnych, na których opiera się rozwinięta w tej pracy teoria — ale dość posiadać nieco zmysłu artystycznego, aby ocenić wyrazistość i wspaniałość stylową roztoczonego w niej obrazu, w którym wcielił Nietzsche swój ideał sztuki wszech-ludzkiej, z tragedji dawnej sztuki greckiej wysnuty, a na jakimś szczególnem pojęciu żywiołowej potęgi jestestwa ludzkiego oparty. Pierwotnym objawem tej ostatniej miał być, stanowiący źródło tragedji greckiej, orgiastyczny kult Dyonizosa, a pełnem jej rozwinięciem — kultura tragiczna, nazwana tak przez Nietzschego w przeciwieństwie do kultury racjonalistycznej, na wyrozumowanych i naukowych zasadach ugruntowanej.

Śmiały marzyciel widział przyszłość ludzkości w pojęciu głoszonego przez siebie humanitarnego i kulturalnego ideału, ale terażniejszość jej wydała mu się jak najzupełniejszym tegoż ideału zaprzeczeniem. To też uderzył na nią z nadzwyczajną werwą polemiczną w szeregu rozpraw, ogłoszonych pod znamiennym tytułem: *Rozważania nie na czasie (Unzeitgemässe Betrachtungen)*. W pierwszym z nich nakreślił nader charakterystyczny typ epoki współczesnej, nazwany przezeń „filistrem kulturalnym“ (*Bildungsphilister*). Nazwa ta określa prawdziwe odkrycie w zakresie wpływów i oddziaływań naszej kultury demokratyczno-mieszczańskiej, tak na wskrós duchem filisterstwa przesiąkniętej.

Co to jest filisterstwo? — Jest to pospolitość i poziomość pragnień, uregulowany byt powszedni i spokój samolubnego w nim używania. Zwykły, znany oddawna typ filisterski np. niemieckiego *Spiesbürger'a* lub francuzkiego *rentier'a* utrzymuje się na pewnych mniej lub więcej pośre

dnich poziomach kultury współczesnej, wyzyskując głównie tak przemagające zresztą obecnie materialne jej zdobycze. Owóż Nietzsche w swej rozprawie polemicznej o słynnym i niezmiernie wpływowym uczonym niemieckim Dawidzie Straussem wykazał, że takie płaskie usposobienia filisterskie napotyka się nietylko w pośrednich sferach kultury, lecz także na najwyższych jej szczytach, wpośród naczelnych jej mistrzów i przewódców. Rozprawa ta jest potężną satyrą na współczesną wiedzę wolnomyślną, która, pełna pysznego zadowolenia z siebie i ze swych zdobyczy, rozpierając się poważnie na katedrach profesorskich lub trzepocąc się w popularnych pismach i dziennikach, ogłasza swe rzekome tryumfy nad tradycją i wiarą chrześcijańską. Dotąd tylko gorliwi zachowawcy lub wierzący chrześcijanie powątpiewali o wartości tych tryumfów - teraz doczekały się one zacieklego pogromcy w najbardziej krańcowym i bezwzględnym wolnomyślicielu współczesnym, który, nieuznając żadnych powag liberalizmu, począł go zwalczać po mistrzowsku użytą własną jego bronią samowolnej krytyki i zuchwałej negacji.

Ale podejmując tę walkę, nie myślał on wcale występować w obronie chrześcijaństwa. Owszem, w późniejszych swych dziełach (szczególnie w *Antychryście*) okazał się nieprześląganym jego wrogiem, uznającym je za nieszczęście i hańbę ludzkości, odrzucającym wszelkie jego wpływy i zdobycze. Takim sposobem ujrzał się Nietzsche zupełnie osamotnionym między wolnomyślnością filisterstwa kulturalnego, a tradycją religijną i moralną chrześcijaństwa. Marzył o nowej kulturze przyszłości, mającej być pełnem rozwinięciem żywiołowych sił człowieczeństwa, przez pewien czas szukał dla niej oparcia w niektórych dążeniach swej epoki, osobliwie w filozofii Schopenhauera i w sztuce Wagnera - aż w końcu odrzucił wszystko, zaprzeczył wszystkiemu, co znaleźć mógł w otaczającej atmosferze kulturalno-społecznej, i stanął samotny jako wieszcz i zwiastun przyszłego rozwoju człowieczeństwa, mającego osiągnąć najwyższy swój ideał w wymarzonej formie „nadezłowieka“.

Naukę o „nadezłowieku“, jego znaczeniu, stanowisku i stosunku do obecnej ludzkości rozwinął Nietzsche w głównym swem arcydziele p. t. *Tak rzekł Zarathustra*, które on sam

poczytywał za księgę wieszceją mądrości, a które w istocie rzeczy nie jest czem innym, jak bardzo oryginalnym i pełnym wysokiego arcyzmu w swym stylu i obrazowaniu poematem symboliczno-filozoficznym. Treścią jego, z genialną mocą natchnienia poetycznie uplastycznione marzenie o jakiejś istocie życiowo doskonałej i wszechpotężnej, mającej wytworzyć się na drodze stopniowego rozwoju z najwyższych typów obecnego człowieczeństwa, jako pełna realizacja tkwiącej w nim zarodkowo i potencjalnie żywiołowej potęgi bytu. Owa istota nadludzka ma się wznieść ponad wszelkie warunki dotychczasowego życia ludzkości, ponad wszelkie uznane dotąd prawa i obowiązki.

Nietrudno dopatrzeć związku tej doktryny z wygłoszonymi dawniej przez Nietzschego ideami, tak w rozprawie o narodzinach tragedii greckiej, jakoteż w polemice przeciw Straussowi i jego filisterskiej wolnomysłności. Uważany w stosunku do tych utworów *Zarathustra* jest z jednej strony niesłychanie wybujałą, do absurdu doprowadzoną idealizacją dążeń współczesnej antychrześcijańskiej kultury — z drugiej strony zaś niezmiernie ostrą i bezwzględną satyrą na pewne realne jej objawy.

Zastanówmy się chwilę, co stanowi najistotniejszy jej żywioł? Sądzę, że jest nim nie co innego, jak bezwzględny i bezbożny humanitaryzm, przeciwstawiający się humanitaryzmowi chrześcijańskiemu, uznający w człowieku, w jego pragnieniach i pożądaniami, w jego szczęściu i dobrobycie ziemskim jedyny cel wszelkiego rozwoju. Ale pełne rozwinięcie i zastosowanie tej antychrześcijańskiej doktryny humanitarnej z konieczności musiało uleść pewnemu ograniczeniu. Uznana ogólnie w teorii przez naszą porewolucyjną kulturę, w praktyce okazała się nieraz niedogodną i niebezpieczną. Okazały to powtarzające się chronicznie od czasów wielkiej Rewolucji francuskiej wstrząśnienia społeczne i polityczne. Wyzwolone w nich z pod wszelkich wyższych praw i obowiązków człowieczeństwo, wystąpiło prosto jako wyuzdana zwierzęcość, idąca ślepo za popędem swych dzikich niszczyielskich instynktów.

Wtedy to pojawili się ludzie trzeźwi i rozważni, ale płascy na duchu, ze szczególnie rozwiniętym zmysłem samo-

zachowawczym, a zupełnie stłumionem poczuciem prawd duchowych i bożych. Ci przyswoili sobie teorię antychrześcijańskiego humanitaryzmu, a zastosowali ją w praktyce o tyle, o ile ona przysparzała im sił w walce o byt materialny, o władzę, stanowisko i znaczenie, odrzucili z niej zaś to wszystko, co groziło zamąceniem spokojnego ich dobrobytu i używania. Tacy praktyczni spadkobiercy dawnych ideologicznych doktryn humanitarno-rewolucyjnych wyszli obronną ręką z wszelkich wywołanych przez nie wstrząśnień i stali się filarami naszej kultury porewolucyjnej, opartej całą najistotniejszą swą treścią na antychrześcijańskim materializmie, choć usiłującej z nim pogodzić pewne wysoce idealne dążenia, których on w swych rzeczywistych wynikach bezwzględnie jest zaprzeczeniem i które w chrześcijaństwie jedynie znaleźć mogą swe uzasadnienie i uprawnienie. Czemże jest np. cały nowożytny liberalizm mieszczański ze swą bezdusznie zorganizowaną, bezwyznaniową filantropią, ze swym rzekomym idealizmem moralnym? czemże jest, jeśli nie dążnością do zabezpieczenia porządku społecznego, będącego dla klas ekonomicznie uprzywilejowanych rękojmią spokojnego używania i trwałego dobrobytu? A jakże obłudne altruistyczne pozory przebiera nieraz ta czysto egoistyczna dążność, jak się stroi w fałszywe piórka chrześcijańskiej miłości bliźniego!

Owóż Nietzsche nie innego nie czyni, tylko rozprasza te pozory, zdiera tę maskę z oblicza naszej antychrześcijańskiej kultury i w postaci swego „nadczołwieka“ ukazuje nam rzeczywisty jej ideał, prawdziwy ideał wypierającego się Boga i Chrystusa człowieczeństwa: jasno- lub czarno-włosą bestyę ludzką, nieuznającą nic ponad sobą i gotową pochłonąć wszystko co przed sobą znajduje.

Wobec tej potężnej idealnej kreacji wielkiego poety-artysty, jakże marnie przedstawia się nakreślony przezeń również w dosadnym satyrycznym obrazie typ „filistra kulturalnego“, czyli typ, przemagający w rzeczywistości naszego życia cywilizowanego i nadający mu główny jego ton i charakter. Zarysowany na początku jego zawodu pisarskiego w satyrycznym portrecie Dawida Straussa, typ ten osiąga pełne rozwinięcie w głównym arcydziele Nietzschego w prze-

mówieniach Zarathustry i przeciwstawiony tu jest nader artystycznie ideałowi „nadezłowieka“.

A tutaj mamy do zaznaczenia bardzo zadziwiające spotkanie między bezwzględnym wrogiem chrześcijaństwa, Nietzschem, i głęboko chrześcijańskim Ernestem Hello. Nakreślona w jednym z przemówień Zarathustry postać „ostatniego człowieka“, czyli będące ostateczną konsekwencją filisterstwa kulturalnego zmarniałe i zdrobniałe człowieczeństwo, uderzająco przypomina typ duchowy, który Hello w jednym z satyrycznych rozdziałów swego dzieła *O człowieku* zarysował pod nazwą „człowieka miernego“ (*l'homme médiocre*).

Sądzę, że to spotkanie nie jest przypadkowe; sądzę, że przyczyną jego wspólne obu tym tak różnym skądinąd pisarzom dążenie do niezmiernie wysokiego, niedoścignętego ideału człowieczeństwa, wobec którego tak nędznie się przedstawia rzeczywistość życia ludzkiego z ograniczonym widnokręgiem swych dążeń. Tylko że Nietzsche nie szukał tego ideału w sferze Chrystusowego ku Bogu zwróconego humanitaryzmu, lecz we wprost przeciwnej dziedzinie humanitaryzmu bezbożnego, antichrześciańskiego. W tej dziedzinie pomieścił on wymarzoną przez siebie postać „nadezłowieka“, istoty, żyjącej całą pełnią swej samorzutnej, żywiołowej energii, wznoszącej się ponad wszystkie prawa i obowiązki ludzkie, ale też ponad wszystkie ludzkie słabości. Jak już wyżej zaznaczono, postać tę uważać należy za kreację poetycką, ukształtowaną w fantazyi Nietzschego z najdalszych konsekwencji spogańszczałych prądów kulturalnych, a uszlachetnioną przez rysy podmiotowo z własnej duszy poety-myśliciela wysnute. Główny z nich uwydatnia się w mającej przedewszystkiem znamionować nadezłowieka zdolności opanowania siebie samego i zwrócenia wszystkich swych sił ku zadaniom bezmiernie wysokim, wielkim i wzniosłym, których jednak bliższego określenia w *Zarathustrze* ani w następujących po nim dziełach Nietzschego nie znajdujemy.

Zamierzał on je wszakże określić i rozwinąć w dalszych swych pracach, które w kolosalnych zarysowywały się już przed jego fantazyą rozmiarach, gdy w tem ogarniająca go nagle choroba umysłowa położyła kres owym dumnym rojeniom i w wiekiustym mroku pograżyła ten potężny, zuchwały

umysł, chcący ganić stare i zapalać nowe słońca na duchowym niebie ludzkości. Nie miejsce tu zastanawiać się nad istotnym znaczeniem tej katastrofy tragicznej w życiu oszalałego już przedtem pychą rozumu myśliciela, ale trudno powstrzymać się od uznania w niej jakiejś straszliwej Nemezis życiowej, która druzgoce gromem najokropniejszej ułomności ludzkiej umysł, głoszący bezgraniczną potęgę jęstwa ludzkiego, w ideale nadczołwieka ujawnić się mającą.

Gdy oszalały wielkiem pragnieniem serca i wielką pychą ducha Konrad mickiewiczowski wznosi się do sfer nad ludzkich „między proroki“, ukazuje mu się tam ponad beżmiernym widnokregiem życia, zasłaniający go czarnymi swemi skrzydłami kruk olbrzymi, którego spojrzenie mąci i mięsza rozum wieszczą. Ten kruk — to mroczna, świat cały zaciemniająca potęga zła. Któż ze słabem światelkiem własnego tylko rozumu zdoła bezkarnie zajrzeć w mroczne jej otchłanie? Autor *Zarathustry* utopił w nie pozbawiony wszelkiego światła nadprzyrodzonego wzrok swego rozumu i zupełnemu przez nie uległ omroczeniu, a nie miał jak Konrad świątobliwego księdza Piotra, któryby potęgą nadludzkiej miłości i pokory chrześcijańskiej zdolny był rozprószyć ogarniające duszę ludzką mroki zła.

Te z nich, co ogarnęły duszę i umysł zwiastuna „nadczołwieka“ wyniknęły z najgłębszej istoty nowożytnego, antichrześciańskiego humanitaryzmu. Nietzsche odczuł trafnie i potężnie rozpościerający się w nim potworny, żarłoczny egoizm natury ludzkiej, a uznawszy w nim najwyższą potęgę uwolnionego z pod władzy bożej świata, party pragnieniem jakiejś mocy nadludzkiej, nieskończenie wielkiej i wzniosłej, wcielił go w swej fantastycznej kreacji „nadczołwieka“, jako dążący do urzeczywistnienia się ideał przyszłości. W tem tkwi szaleństwo a zarazem prawda jego pomysłu. Prawdziwie ukarana w nim została istotna, choć ukrywana zazwyczaj głęboko dążność naszej zmateryalizowanej cywilizacji, która, oddalając ludzkość coraz bardziej od duchowych ideałów chrześcijaństwa, wiedzie ją do jakiegoś ideału wysoce ucywilizowanego, potężnego swą wiedzą i pracą, opływającego w dobrobyt i szczęście, ale zezwierzęconego wewnątrz i moralnie zdziczalego człowieczeństwa. Trzeba było jednak

być szaleńcem, aby uwierzyć w realną możliwość tego zaprzeczającego samemu sobie ideału, a trzeba było być szlachetnym człowiekiem i wielkim artystą, aby go tak wyszlachetnić pierwiastkami własnej swej duszy i przyodziać w kształt zewnętrzny tak wyrazisty i wspaniały z własnej fantazyi wysnuty.

Sądzę, że tylko z tego stanowiska, jako dzieło bezwzględnej twórczości artystycznej, można ocenić należycie Nietzschego doktrynę „nadczołowieka“, a tylko widząc w niej mimowolną satyrę na cały współczesny rozwój kulturalny można uznać wewnętrzną jej prawdziwość.

W Nietzschem kultura nasza przemawia głosem bezwzględnej szczerości, wypowiada najgłębsze swe tajniki, będące zaprzeczeniem własnej jej istoty. Ale obok tego głosu szczerości odzywa się w niej niekiedy i głos sumienia, który w samowiedzy duchowej ludzi, obdarzonych szczególnie żywym poczuciem moralnym, wyraża śmiało potępienie i zaprzeczenie błędnych lub występnych jej dążeń.

Posłuchajmy z kolei tego głosu sumienia, przemawiającego w surowem, potężnem a tak niezrównanie artystycznym słowie Leona Tolstoja bezwzględną negacją nie tylko pewnych kierunków, lecz i samej istoty naszej kultury, jako przeciwieństwa jedynej niewątpliwej i wiekuistej prawdy chrześcijaństwa.

II.

Głos sumienia.

Komuż niewiadomo, jak wielkim artystą jest autor *Wojny i pokoju* i *Anny Kareniny*? Można nieuznawać go wcale jako myśliciela, można odrzucać i potępiać jego doktryny moralne i filozofię życia, ale niepodobna nie podziwiać jego nadzwyczajnego artyzmu, jeśli tylko jest się wrażliwym na działanie prawdziwej, wielkiej, samorodnej sztuki. Objawia się on głównie w bezprzykładnie prawie na całym obszarze współczesnej literatury wiernem, dokładnem i wyrazistym odtwarzaniu całej prawdy życia, zaczerpniętej nie tylko z rzeczywistości zewnętrznej, lecz także z własnej

duszy twórcy, ze wszystkiego, co wewnątrznie przeżył, przemyślał, przecierpiał. Tolstoj, podobnie jak Goethe, mógłby nazwać swe utwory fragmentami jednej wielkiej spowiedzi powszechnej. Takie pełne ujawnienie się duszy artysty w doskonałej prawdzie obrazowania przedmiotowego, to pono najwyższy szczyt sztuki, nie wszystkim, skądinąd znamienitym nawet jej przedstawicielom, dostępny.

Ale nie o sztukę Tolstoja nam tu chodzi. Jeśli potrafiłem o jedną zasadniczą jej właściwość, to dlatego tylko, że widzę ścisły jej związek z istotnym naszym przedmiotem: ze stosunkiem wielkiego powieściopisarza do współczesnych dążeń duchowych. Poprzednio raz już nazwałem jego twórczość: głosem sumienia naszej kultury. Czyż nie usposabia jej do tej roli ujawniające się w niej tak doskonale zespolenie przedmiotowej i podmiotowej prawdy życia? Któż lepiej zdolny jest roztrząsać sumienie swej epoki, niż genialny pisarz-artysta, który tak szeroko ogarnia otaczające go zjawiska życiowe, tak na wskrós przeziernie dusze ludzkie i posiada taki przedziwny dar odtworzenia wszystkich swych wrażeń z całą prawdą i szczerością w pełnym i jasnym oświeceniu wewnętrznego światła swej duszy? Dodajmy, że ten artysta jest człowiekiem wyjątkowo wrażliwym na zagadnienia moralne i religijne, od wieków nurtujące w łonie ludzkości, oraz naturą dziwnie bezpośrednią, samorzutną, instynktownie odtrącającą od siebie wszystko, co zlekka choćby trąci obłudą, formułką i konwenansem, a dążącą naprzód z nieustraszoną konsekwencją w kierunku raz przyjętych wierzeń i przekonań. Jasną jest rzeczą, że taki człowiek, taki artysta, postawiony wobec zawiłań, przeciwieństw i fałszów naszej kultury, chrześcijańskiej z imienia a pogańskiej z ducha, nie mógł być tylko malarzem rozlicznych jej zjawisk życiowych, ale musiał stać się też ich sędzią surowym i bezwzględny.

Ale ten sędzia-moralista nigdy, ani na chwilę nieprze stał być poetą i artystą. Przy bardzo wysokim poziomie kultury intelektualnej zdarzają się indywidualności artystyczne, zdolne, że tak powiem, wyjść z siebie, ze swej sfery twórczej i poruszać się swobodnie w różnej od niej zupełnie sferze myśli oderwanej. Tolstoj (podobnie zresztą jak większość

wielkich poetów słowiańskich) nie należy wcale do liczby tych mędrców artystycznych; owszem przez wrodzone swe usposobienie stanowi krańcowe przeciwieństwo takich złożonych, dwoistych natur. Jego natura duchowa, zadziwiająco prosta, jednolita, naiwnie samorzutna, zdaje się pochodzić z jakichś pierwotnych epok rozwoju ludzkości, w których myśl oderwana niewyodrębniła się jeszcze z początkowej jednorodności psychicznej, każda idea staje się obrazem, każde wrażenie bezpośrednią pobudką czynu; poezya jest zarazem religią i filozofią, a samorodny geniusz twórczy żyje nie samą tylko wyobraźnią, lecz także pełną rzeczywistością życiową.

Taka pierwotna indywidualność duchowa jest istną osobliwością wśród naszej cywilizacji obecnej, nieskończenie dalekiej od wszystkiego, co pierwotne, naiwne, samorodne, do najwyższego stopnia zawilej i wyspecjalizowanej we wszystkich swych objawach. A zważmy, że obdarzony nią epik rosyjski żył i działał nie w jakimś zakątku oddalonym od głównych prądów cywilizacyjnych, ale właśnie w samym ich ognisku, do którego należał przez swe pochodzenie i stanowisko społeczne i w którym tak przeważnie osiągnął znaczenie przez swój talent twórczy, skupiający dokoła niego uwagę całego świata cywilizowanego. Jakim sposobem wśród warunków wysoce kulturalnych, wśród których upłynęło jego życie, mogła powstać i rozwinać się w nim ta pierwotna samorzutność duszy? Jest to pytanie zawile, może zgoła nierozwiązalne, a w każdym razie nie wchodzące w zakres niniejszych uwag; tutaj chodzi nam tylko o znaczenie tego tak niezwyklego faktu psychicznego w rozpatrywaniu przez nas zagadnieniu.

Owoż, jedną z zasadniczych właściwości podobnych Tolstojowi natur pierwotnych i samorzutnych jest jednolitość ich życia zewnętrznego i wewnętrznego: myślenia, uczucia i działania. Trudno o wymowniejszy przykład takiej jednolitości jak ten, który widzimy w życiu i poezji Tolstoja. Stwierdzają ją na każdym kroku tak słowa jego, jak i czyny. Można o nim powiedzieć, że idzie on drogą wskazaną pocie przez Krasińskiego. Co głosi w słowie, to usiłuje wcielić w kształt dotykalny i w ten sposób dąży do stworzenia świata rzeczywistego, równego pięknnością światom ideału-

Ale piękność tych światów ideału tołstojowskiego wątpliwa wydać nam się musi, skoro mu dokładniej się przyjrzymy, a jeszcze wątpliwszą realna jego możliwość. W sposobie pojmowania go i dążenia doń, to, co stanowi silną stronę Tołstoja-poety i artysty, jest słabą stroną Tołstoja myśliciela-moralisty.

Dobrze powiedział Goethe, że każdy prawdziwy poeta patrzy na świat z naiwnością dziecka. Określenie to do nikogo lepiej nie daje się zastosować, jak do wielkiego epika rosyjskiego, którego samorzutny, szczerzo-naiwny talent twórczy zdaje się przybywać do nas z jakiegoś odległego, home-rycznego dzieciństwa ludzkości. Przybywa do nas ten dziecięco-naiwny geniusz epicki i czystem, jasnym swem okiem ogarnia cały obszar naszej zawilej, podeszłej w lecjach, bliskiej pono zgrzybiałości kultury. Co za dziw, że widzi dokładniej wielobarwny i wielokształtny jej obraz, aniżeli my wszyscy, niezdolni się wychylić po za jego ramy, unoszeni wciąż przez napelniający go wir zjawisk i patrzący nań przez różnokolorowe szkła uprzedzeń lub upodobań stronniczych. Co za dziw, że obok światłych i ciemne rysy obrazu tak wyraźnie przed nim występują i tak silnie zaznaczają się w przedziwnie wiernych jego odbiciach artystycznych. A czy jego winą, że te cienie tak liczne są i tak gruby pomrok na cały obraz rzucają? On je wiernie odtwarza, z niezrównaną prawdą i wyrazistością i tem samem spełnia swoje zadanie, zadanie, które określiliśmy wyżej jako głos sumienia współczesnej kulturalnej ludzkości, uprzytomniający jej w wymownem natchnionem słowie twórczem wiekowe jej błędy, występki i grzechy.

Ale to tak świetnie spełnione zadanie poety nie zadowalało tkwiącego w nim moralisty. Nie chciał on poprzestać na ukazaniu ludziom nakreślonego z takim niezrównanym artyzmem obrazu ich życia ze wszystkimi jego światłami i cieniami — pragnął nadto pomnożyć te światła, usunąć te cienie, podnieść życie ludzkie na obce mu dotąd wyżyny doskonałości duchowej. Tutaj wszakże dobitnie wystąpiła wyłączność tej natury, tak genialnie twórczej, tak naiwnie samorzutnej. Ideał moralno-religijny, jaki sobie Tołstoj stopniowo wyrobił, ujawniając go zarazem w życiu swem

i w swych pismach, nie powstał na podstawie racjonalnego lub doświadczalnego poznania praw rządzących bytem ludzkim, lub też intuicyjnego odczucia przyszłych jego dróg, lecz ukształtował się w duszy poety jako wynik czysto podmiotowego, osobistego jej rozwoju, a w skutek bezwiednej jej twórczości, przybrał postać tak plastyczną, iż mógł się wydawać samemu swemu twórcy i wielu jego zwolennikom obrazem idealnym jakiejś przyszłej doskonalszej rzeczywistości życiowej. Genialny poeta, posiadający taką nadzwyczajną zdolność przenoszenia życia realnego w idealny świat sztuki, rozwija ją też jako moralista, przenosząc idealne życie swej duszy w otaczający świat zjawisk realnych.

Z powyższych uwag wynika, że cała rozgłośna nauka tolstojowska o życiu i jego zadaniach, o stosunku człowieka do Boga i do ludzkości ma charakter na wskroś podmiotowy i więcej pono jest tworem poety, aniżeli dziełem moralisty. Oparta została na zasadach szczerze i głęboko chrześcijańskich, ale pojętych w sposób bardzo dowolny. Za podstawę swych poglądów teoretycznych i praktycznych, swych wskazań życiowych bierze Tolstoj Ewangelię, jako księgę wiekuistej mądrości i prawdy, ale bierze z niej to tylko, co odpowiada jego usposobieniu duchowemu i osobistym jego skłonnościom, które od najmłodszych już lat jego (jak o tem świadczą rozrzucone w jego utworach rysy autobiograficzne) ciągnęły go zawsze do wszystkiego co jasne, proste, bezpośrednie. Zgodnie z tem usposobieniem swoim i z temi skłonnościami wrodzonymi, odrzuca on stronę mistyczną Ewangelii, jako niedającą się jasno pojąć i unaooczyć, przyjmuje za to w całej rozciągłości jej ideał moralny i życiowy. W tym zakresie uprzytomnia sobie chrześcijaństwo w jego postaci najprostszej, najbardziej pierwotnej, a zarazem najistotniejszej, jako religię miłości wszechludzkiej, niosącą „dobrą nowinę“ cierpiącym uciśnionym maluczkiem tego świata, głoszącą braterstwo powszechne, pokorę, rezygnację i zrzeczenie się wszelkich dóbr doczesnych.

Cóż ma wspólnego tak pojęta i z całą bezwzględnością stosowana nauka ewangeliczna z bytem współczesnych cywilizowanych warstw społecznych, z ich kultem potęgi i wielkości ziemskiej, z ich bezlitosną walką o byt, zadyszana po-

gonią za bogactwem, znaczeniem i władzą, z ich nienasyconą żądzą materialnego używania? Nie dziw, że niezdolny do żadnych ustępstw na rzecz ducha czasu, bezwzględny i nieublaganie konsekwentny w swych dążeniach poeta-moralista rosyjski potępił uświęcającą niejako ten antichrześcijański porządek rzeczy kulturę nowożytną i zwrócił się do tych warstw społecznych, do których wpływy jej nieprzeniknęły jeszcze lub zaledwie przedostawać się poczęły — do warstw ludowych, a osobliwie do wiejskiego roboczego ludu, któremu obce są nałogi używania i zbytku, który zna tylko trud znojny i dolę ciężką, a w kornem jej poddaniu się znajduje spokój i pogodę ducha. W bycie tego ludu uznał Tolstoj najzupełniejsze, jedynie szczere za dni naszych zastosowanie prawdy chrześcijańskiej, to też przyjął bez zastrzeżeń we własnym swym życiu zasadnicze jego warunki prostoty, pracy i umiarkowania pragnień, a w pismach swoich wskazał je jako normy, wedle których winien ukształtować się byt całego społeczeństwa chrześcijańskiego przyszłości. Oczywiście taki zwrot w jego rozwoju byłby nie czem innym, jak zrzeczeniem się wszelkich wiekowych zdobyczy cywilizacyjnych i powrotem na łono pierwotnej prostoty czasów przedhistorycznych. Czy to nagle cofnięcie się i zaparcie się niezliczonych wieków trudu, cierpienia i walk jest możliwe? Czy daje się, nie mówię już wykonać, lecz choćby pomyśleć racjonalnie? Nad podobnymi pytaniami nie zatrzymuje się wcale pełen wiary w swój ideał moralny poeta-reformator społeczny. Przywykły władać nieograniczenie w dziedzinie swej wyobraźni, chce tak samo władać w dziedzinie rzeczywistości, na którą swą działalność twórczą przenosi, pragnąc wcielić w jej kształty widome i dotykalne tak żywo i realnie widniejące przed wzrokiem jego duszy wyniki całego jej życia i rozwoju wewnętrznego.

Ale nie na tem jeszcze kończą się jego negatywne zapędy względem istniejących stosunków i twórcze porywy ku jakimś wymarzonym stosunkom przyszłości. Dążenia jego w ostatecznych swych konsekwencyach zmierzają nie do uchrześciania kultury, lecz do odkulturalnienia chrześcijaństwa, do usunięcia wszelkich czynników jego bytu i rozwoju dziejowego: tradycyi i władzy kościelnej, praktyki kultu,

obrzędów, dogmatów, praw i instytucyj świata chrześcijańskiego, wogóle całej jego przeszłości, oraz nagromadzonych w niej przez ciąg wieków owoców prac i walk duchowych tysięcy mędrców, bohaterów i Świętych. Jeśli wspomnimy nadto, że Tolstoj odrzuca całą mistyczną stronę chrześcijaństwa, to następuje się pytanie: cóż mu pozostawia? co w niem uznaje? Uznaje i przyjmuje cały, że się tak wyrażę, logiczny jego szkielet, t. j. system oderwanych prawd religijnych i moralnych, na których opiera się wewnętrzna jego budowa. Ten szkielet ożywia wewnętrznem życiem swej duszy, przyodziewa w mięśnie i nerwy swej twórczej wyobraźni i poczytuje go za ucieleśniony, jedynie możliwy ideał przyszłości.

Takim sposobem powstała słynna doktryna religijno-moralna Tolstoja, a właściwie religijno-moralna kreacja geniuszu tolstojowskiego, na motywach ewangelicznych osnuta, nie mogąca jednak uchodzić za wyciąg wiekuistej, ogólnie ludzkiej prawdy Ewangelii, za co poczytuje ją jej twórca. Jest to raczej pełne jakiejś surowej wielkości i powagi odbicie tej prawdy w duszy jednostkowej, wyjątkowo potężnej i wzniosłej, a uznającej w złudzeniu bezwiednej twórczości podmiotowy swój ideał prawdziwego chrześcijanina za istotny i bliski urzeczywistnienia cel wszechludzkiego rozwoju. W istocie rzeczy zaś jest ów ideał raczej zaprzeczeniem wszelkiego rozwoju i wszelkiego życia, pewnego rodzaju nihilizmem religijno-moralnem, pokrewnym staroindyjskiej religii Nirwany, podobnym jej wytworem rozpaczliwie pesymistycznego zwątpienia o życiu ludzkim, jego prawdzie i wartości.

Źródłem, przygotowaniem i zapowiedzią tej negacji pesymistycznej jest cała poprzednia twórczość Tolstoja: rozwinięte w niej jasnowidzenie naszego bytu kulturalnego ze wszystkimi jego skrytościami, z jego fałszem i rozstrojem okropnym, a głównie z przeciwieństwem jego chrześcijańskich i pogańskich żywiołów. Ongi Dante rozwiązał to przeciwieństwo przy pomocy wiary w średniowieczny ideał „świętego cesarstwa rzymskiego“, mającego być pełną realizacją braterstwa chrześcijańskiego w Kościele powszechnym na polityczno-cywilizacyjnym gruncie przez dawny, pogański Rzym przysposobionym. W blizkiej nam epoce Mickiewicz doszedł do rozwiązania tegoż przeciwieństwa przez wiarę w nadchodzącą nową

erę chrześcijaństwa, w której duch jego ma przeniknąć wszystkie, obce mu dotąd dziedziny życia cywilizowanej Europy. Obaj wielcy poeci, choć z ogromną potęgą odczuwali tragiczne przeciwieństwa tego życia, przejęci głęboko wiekową jego tradycją, nigdy nie zwątpili o możliwości pogodzenia dwóch głównych jego czynników: religii chrześcijańskiej i zawdzięczającej tak wiele wpływom klasycyzno-pogańskim kultury.

Autor *Wojny i pokoju*, żyjący w epoce wzmagającego się coraz odchrześcianaenia kultury europejskiej, syn społeczeństwa od niedawna tylko i powierzchownie z nią związanego, skoro przy świetle prawdy chrześcijańskiej przejrzał ją na wskrós w jej rozstroju i zwyrodnieniu wewnętrznym, zwątpił o niej zupełnie, a odrzucając stopniowo wszystkie przeniknięte nią dziedziny życia ludzkiego, doszedł do zwątpienia o samem życiu i wytworzył sobie ideał moralno-religijny, którego realizacja możliwa byłaby jedynie przy zupełnem stłumieniu wszelkich, najistotniejszych nawet objawów życiowych. Uważany tedy przedmiotowo, w stosunku do naszego bytu ziemskiego jako jego cel i zadanie, ideał ten jest sprzeczny w sobie, a zatem zgoła niemożliwy, ale jako wyraz dążeń i pragnień szlachetnej duszy ludzkiej, rwącej się w sfery pozaziemskie, w nich uznającej istotną ojczyznę człowieka, pełen jest głębokiej, natchnionej prawdy, a wcielony w twórcze słowo wielkiego poety naszej epoki, stawiając jej przed oczyma całą nicość i marność wszystkich zdobyczy jej życia ziemskiego, któremi ona tak bezmiernie się szczyci, jest najpotężniejszym pono protestem przeciw jej pogańskiemu zmateryalizowaniu, jest głosem sumienia jej wewnętrznej, chrześcijańskiej istoty.

Oto kres współczesnych dążeń duchowych, biegunowo przeciwny temu, który poprzednio zaznaczyliśmy w Nietzschego teorii „nadczłowieka“. Tam apoteoza życia ziemskiego i wynoszenie w niem człowieczeństwa jako najwyższej, bezwzględnej potęgi bytu — tutaj bezgraniczna pogarda dla wszystkiego, co dotąd przez rozwój ludzkości wciągnięte zostało, oraz zaprzeczenie nie tylko wszelkich zdobyczy bytu

ziemskiego, lecz i samej jego istoty, jako znikomej władzy rozwiewającej się w przestworach nieokreślonej jakiejś, obcej zupełnie naszemu pojęciu i dogmatycznej naszej wierze nieziemskości.

Wszelako, pomimo tych biegunowo przeciwległych swych stanowisk, doktryny Nietzschego i Tolstoja mają (jak wszystkie krańcowe przeciwieństwa) wiele punktów stycznych, które powyżej były zaznaczone. Uprzytomnijmy je sobie pokrótce na zakończenie. Przedewszystkiem jasną jest rzeczą, że obie owe doktryny nie mogą być poczytywane za racjonalnie uzasadnione teorie, nietylko bowiem zaprzeczają sobie nawzajem, ale nadto każda z nich pełna jest wewnętrznych przeciwieństw, przez które niejako zaprzecza własnej swej istocie. O ile więc niepokładamy w nie wiary bezkrytycznej jako w prorocze nadludzkie objawienia, a z drugiej strony, o ile niepoczytujemy ich za majaczenia chorobliwe, na co niepozwalają zawarte w poszczególnych ich twierdzeniach bogate zasoby prawdy i mądrości życia — cóż nam innego pozostaje, jak uznać je za twory wyobraźni, teoretycznie bezzasadne, realnie i praktycznie niemożliwe, lecz artystycznie prawdziwe i pełne głębokiego znaczenia, jako niezmiernie silne i wyraziste objawy ulotnych prądów współczesnego życia duchowego w najdalszych ich skutkach i wynikach.

Prawda ich jest dwojaka: przecząca i twierdząca. W pierwszym, zaprzecznym swym charakterze są one potężnym, przerażająco jasnym widzeniem wszelkich wykrzywień, zboczeń i zwyrodniałości współczesnej naszej jednostronnej zmateryalizowanej kultury — w dodatkiem swym znaczeniu wyrażają one z niezmierną mocą pragnienie jakiegoś wielkiego, bezwzględного celu życia, wzniesionego nieskończenie ponad względne i drobne cele codziennej powszedniości, które w pogoni za materyalnym dobrobytem, znaczeniem i używaniem tak dalece pochłaniają dusze ogółu współczesnego, iż po za niemi i ponad niemi nic zgoła dla niego nie zdaje się istnieć, a jeżeli istnieje coś wyższego, to chyba w obłudnych, nigdy niestosowanych zasadach i szumnych a pustych frazesach.

Owo przemożne panowanie powszedniości, owa obojętność na wszystko, co nas nie grzeje, nie karmi, nie po-

mnaża naszych wygod i naszego dobrobytu, jest tem, co nazywamy obecnie „duchem filisterstwa“. Nie brakło go nigdy w życiu ludzkości, ale za dni naszych, wraz z bezwzględną przewagą jednostronnej, materyjalnej kultury, ponad wszelką miarę się rozpanoszył i grozi zupełnem pochłonięciem krajowego swego przeciwieństwa: prawdziwego człowieczeństwa. W obronie praw tego ostatniego przez cały ciąg ubiegłego stulecia występowali do walki najdzielniejsi jego synowie: poeci, myśliciele, działacze społeczni, zawzięci wrogowie, niekiedy szczęśliwi pogromcy ducha filisterskiego. Czemże był romantyzm, jeśli nie ciąglem zwalczaniem tego ducha w literaturze, w sztuce, poniekąd i w życiu społecznem? Czemże były arcydzieła romantyczne, jak *Faust*, *Dziady*, *Manfred*, jeśli nie wyrazem dążeń do obcych temu duchowi i nienawistnych mu najwyższych, bezwzględnych celów życia?

Chwilowo wprawdzie, w drugiej połowie ubiegłego wieku, cele owe zupełnie prawie ustąpiły z widowni ogólnoeuropejskich dążeń duchowych. Panująca przed niedawnym jeszcze czasem filozofia pozytywistyczna mówiła ludziom: Postępujcie wciąż naprzód na drodze życia i rozwoju, od stacyi do stacyi, od etapu do etapu, a nie troszczcie się o kres drogi; wszakże i tak osiągnąć go nie zdołacie. „Cały chór filisteryi podchwycił to hasło i przyklasnął mu z zapalem. Zdawało się, że cel ostateczny bytu na zawsze został złożony do archiwum ludzkości. Aż oto ostatniemi czasy pragnienie tego celu z większą niż kiedykolwiek siłą zbudziło się w jej samowiedzy wewnętrznej i wypowiedziane zostało w wielu głosach wymownych, potężnych niekiedy, ale zazwyczaj tak chaotycznych i sprzecznych z sobą. Dwa z nich rozważaliśmy tu w ich prawdzie i fałszu, w ich analogii i przeciwieństwie: głos szczerości i głos sumienia współczesnej naszej kultury. Pierwszy mówi nam, jako o wysnutym z najgłębszej jej istoty ostatecznym celu życia, o żywiołowym materyalizmie „nade człowieka“, śmiałym aż do heroizmu, a bezwzględnym aż do szaleństwa, przeciwstawiającym się w tych swoich właściwościach połowicznemu, małodusznemu, zlekka idealistycznym pokostem przykrytemu materyalizmowi obłudnie oportunistycznej praktyki naszego życia kulturalnego. Drugi głos, przemawiający surową prawdą epickich objawów tolstojo-

wskich, ukazuje w nich zasadniczy, z zaparcia się chrześcijaństwa wynikły fałsz tego życia i jako jedynie prawdziwy, rzekomo przez Ewangelię usankcjonowany cel jego ostateczny, uznaje zupełną jego negację, samobójstwo kultury i wszelkiego ugruntowanego na niej bytu ludzkiego.

W przeciwieństwie obu tych tak krańcowo pojętych celów życiowych widzimy najdalszą konsekwencyę zaznaczoną na wstępie sprzeczności, rozdzierającej łono nowożytnej cywilizacji Europy: sprzeczności między religijnymi i kulturalnymi jej dążeniami. Te ostatnie, rozwinięte teoretycznie przez Nietzschego w zupełnem oderwaniu od gruntu religijno-chrześcijańskiego, miały jakoby doprowadzić do jakiejś przewyższającej niezmiernie wszystko, co dotąd na tem polu osiągnięto, kultury przyszłości — tamte, uznane przez Tolstoja za niedające się pogodzić z warunkami wszelkiego bytu kulturalnego, po zupełnem unicestwieniu tych ostatnich, miały człowiekowi dać pełnię szczęścia na ziemi. Tymczasem, cóż widzimy? Rzeczona kultura „nadezłowieka“, uwarunkowana przez wyzwolenie i pełne rozwinięcie wszelkich zwierzęcych instynktów natury ludzkiej, doprowadziłaby chyba ludzkość do barbarzyństwa i z ziczenia — chrześcijaństwo tolstojowskie, ukształtowane samowolnie na logicznym szkielecie Ewangelii, byłoby chyba najzupełniejszym nihilizmem religijnym, zaprzeczeniem wszelkiej religii pozytywnej, mogącej stać się podstawą i dźwignią życia ludzkiego.

Czy nie wynika stąd wniosek o koniecznem zespoleniu religii i kultury w życiu ludzkości i o nieodzownym jego rozstroju, idącym w ślad za zerwaniem wszelkiego związku między temi zasadniczymi jego czynnikami? Oto bijąca w oczy prawda, która, na podobieństwo iskry elektrycznej, tryska z zetknięcia dwóch biegunów sobie przeciwstawnych i genialnie paradoksalnych poglądów na życie, jego zadania i cele ostateczne. W ciasnych ramach niniejszych uwag nie mogłem jej rozwinąć i uzasadnić wyczerpująco — pragnąłem tylko zwrócić na nią uwagę, jako na jeden z najbardziej znaczących wniosków, dających się wysnuć z chaotycznego zamętu i krańcowych przeciwieństw myśli współczesnej.

Walery Gostomski.

Ż ostatnich dni Polski i Kurlandyi.

Pamiętniki bar. Karola Henryka Heykinga

1752 - 1796.

(Dokończenie).

V.

W służbie ojczystej.

I znów otwarła się nowa era w życiu Heykinga. Pozbawszy się rosyjskiej szarży, mógł teraz oficjalnie występować na sejmie jako delegat szlachty kurlandzkiej. Nadto zaproponował w Mitawie, aby funkcyje te rozszerzono na czas pozasejmowy; w ten sposób podobnie jak ksiązę miał swego rezydenta w Warszawie, miałyby i rycerstwo stałego reprezentanta, strzegącego nietylko spraw politycznych, ale też i procesów, tak prywatnych, jak między księciem a rycerstwem toczonych, zależnych od relacyjnych sądów. Myśl tę poparł listownie Stackelberg, a silniej jeszcze kanclerz Okęcki i marszałek litewski Potocki. Ale ksiązę obawiając się przewagi szlachty, wywołał przeciwko sprawie agitację, która spowodowała odroczenie jej do nowego kurlandzkiego Landtagu. Tymczasem więc tylko z tytułem delegata piltyńskiego pojechał Heyking na sejm do Grodna.

„Zjazd w mieście był tak wielki — pisze — że bez dobroci ambasadora, który nam dał w swoim domu mieszkanie, bylibyśmy w wielkim kłopotcie. Sejm podobny był do wszystkich poprzednich za rządów Stanisława Augusta. Król ten zawsze nieobliczalny, przyrzekł był ambasadorowi przyłączyć swą partyę do partyi rosyjskiej i sejm przeprowadzić spokojnie. Duchowieństwo miało królowi kilka milionów złotych

polskich uchwalić. Zaledwo jednak Stanisław August zdał się być pewnym większości, jał natychmiast, bez uprzedzenia ambasadora, przeprowadzać niektóre punkta na korzyść swojej rodziny i swoich kreatur. Stąd powstały przykre bardzo spory, i tylko dzięki zręczności marszałka sejmowego Chomińskiego, udało się wreszcie zwalczyć opozycję Sapiehów i innych Litwinów. Chomiński był teraz oddany Rosyi i miał sejmowi temu zawdzięczyć godność wojewody, którą niebawem otrzymał. Miałem audyencyę u króla 18 października i zaszczyt przedstawienia mu mojej kredytywy wraz z oficjalnem pismem szlachty kurlandzkiej. Nazajutrz powtórzyłem to samo u sejmowego marszałka. Ten zażądał, gwoli przedłożenia sejmowi, wypisania celu mego poselstwa w nocie, oczywiście łacińskiej; Kurlandya bowiem od czasów przyłączenia do Rzpltej, posiadała przywilej przedstawiania wszelkich swych aktów nie po polsku, ale w języku łacińskim. Głównym obecnie celem miało być zatwierdzenie handlowego traktatu zawartego z Rosyą dnia 21 maja 1783 r. Zaledwie zamiar ten doszedł do wiadomości, poczęto posłów od zatwierdzenia odwozić, tłómacząc im, iż podobny traktat musiałby przynieść ujmę handlowi litewskiemu. W rzeczywistości chciano szlachtę kurlandzką zmusić do zerwania umowy, jedynie w celu zdyskredytowania jej w Petersburgu. Intrygi te popierał skrycie król. Chcąc im koniec położyć, podałem oficjalną notę posłowi rosyjskiemu, zwracając równocześnie uwagę miuistrów Litwy i Korony na fakt, iż tu chodzi jedynie o formalność, o zachowanie pozorów wobec praw suzerena, Rosya bowiem umiałaby nawet bez tej ceremonii wymusić poszanowanie zawartego z nią układu. Skorzystałem ze sposobności na balu u ambasadora, by Jego Kr. Mości przedstawić rzecz, jako objaw hołdu wobec jego najwyższej władzy. Król zdał się do zdania mego przychylić. Bądź co bądź sejm wkrótce potem jednomyślnie żądane zatwierdzenie uchwalił. Równocześnie sejm zatwierdził dany mi poprzednio przez króla tytuł barona, co było rzeczą niesłychanie rzadką, wobec ludzi zaliczanych do obywatelstwa polskiego...“

„Drugim szczęśliwie dopiętym celem mego poselstwa było zwrócenie luteranom kościoła w Ilmagen, o co już von

den Howen, jako delegat i bar. Keyserling byli się napróżno starali... Pomyślne to wywiązanie się z misyi wywołało w Kurlandyi podziw, mnie zaś przy pożegnálnej audyencyi ściągnęło kilka łaskawych słów króla wraz z obietnicą za powrotem do Warszawy widomego objawu jego łaski. W istocie wkrótce otrzymałem przez ambasadę rosyjską order św. Stanisława. Hrabia Stackelberg wyrzucił mi, że mu wszystko zataił i nie przez niego, ale przez prymasa starał się o order. Postępowanie króla było istotnie dziwne. Z jednej strony skarżył się, że Kurlandczycy czują się więcej poddanymi rosyjskimi niż polskimi, i że do niego nie udają się wprost, ale przez ambasadora. Z drugiej zaś posyłał dowody swej łaski przez tegoż ambasadora, choć o takowe nie proszono przez niego“.

Najznaczniejszym faktem tego pobytu autora w Warszawie, była awantura Ugrumowej. Dowiedział się o niej z pierwszej ręki, bo od księżnej Lubomirskiej, którą wraz ze Stackelbergiem odwiedzał. Pisze, iż mimo świadectwa Stanisława Potockiego i wszelkich pozorów, ambasador nie dał się zwieść ani chwilę; już wychodząc od księżnej, wyraził mu swoje zdanie, cytując na poparcie jakieś petersburskie zdarzenie, gdzie również dwie wiarogodne osoby świadczyły na mocy podsłyszanej, umyślnie dwuznacznej rozmowy o fakcie, który następnie okazał się fałszywym. Polecił Heykingowi powtórzyć to Ignacemu Potockiemu, w nadziei ułagodzenia skandalu, Potocki jednak obruszył się, mówiąc, iż brat jego durniem nie jest i wie co słyszał. Wiadomem jest, iż wyrok sądu zdanie Stackelberga potwierdził. Państwo Heykingowie zaś wkrótce potem (1785) wybrali się w podróż do Francyi, która mimo rosyjskiego wychowania była istotną ojczyzną baronowej. Jadąc zawadzili o Drezno, gdzie mieszkająca już z mężem Franciszka Krasieńska, zaprosiła ich bez ceremonii na „dobrą polską kawę“, a ksiączę również grzeczności nie szczędził. W Paryżu zostali długo; Heyking zbierał materyały do dzieła p. t. *La Mysteryomanie*, postarał się więc skwapliwie o zapoznanie z Mesmerem. Słynny wynalazca magnetyzmu, uczynił na nim wrażenie bardzo intelligentnego i bardzo pozytywnego niemieckiego lekarza. Ożeniony z bogatą córką aptekarza z Wiednia, posiadał już

majątek i szeroką sławę w świecie medycznym, zanim mu odkrycia jego zdobyły rozgłos innego rodzaju. Przy ówczesnej namiętności do zabobonu, przekręcono jego fizyologiczne wywody, przedstawiając je w formie nauki spirytystycznej, naciągając jego słowa i przesadzając dowolnie. Mesmer bolał srodze nad tym, jak go zwał, „objawem słabości ducha ludzkiego“, nie miał jednak odwagi protestować inaczej, jak w listach do zaufanych przyjaciół. Heyking cytuje dosłownie jeden z owych listów, chwali się też, że sam namówił Mesmera do wstąpienia do Łoży i utworzenia naukowego działu wśród wolnomularzy. Mówi, że chodził na wykłady mesmerowskiego systemu i że nawet brał udział w próbie hipnotyzmu, któremu jednak nie zupełnie uwierzył. Sceptycyzm jego znanym był nawet wśród masonów. Toż gdy poniósł list polecający do jednego z ich koryfeuszów paryskich, urzędnika skarbu królewskiego, p. P. de la Savalette de Langes, ten oświadczył mu, że był mu już prawie od dwóch tygodni zapowiedziany, ale jako mason małej wiary. Gdy zaś Heyking odpowiedział uprzejmie, że szuka prawdy i ma nadzieję, że właśnie w Paryżu ją znajdzie, odrzekł poważnie: „Tak, u nas ujrzysz pan ognisko światła, którego po innych krajach widnieją tylko promyki. Z wielkim nakładem i ogromnym trudem, zdołaliśmy skoncentrować tu działalność wszystkich Łóż, oraz mistycznych związków Europy i Ameryki. Na dowód mogę panu pokazać obraz waszego Oryentu“. I wyszedłszy, wrócił po chwili ze sprawozdaniem wszystkich czynności, dyskusyj i wydarzeń Łoży warszawskiej. „Co miesiąc — rzekł — otrzymujemy podobny raport z każdego promienia wielkiego kręgu, którego centrem jest Paryż“.

Savalette był starszym sekty Filaletów, do której Heyking objawił ochotę się wpisać, kładąc za warunek, że nie będzie zmuszonym do ulegania żadnemu obcemu ani tajnemu szefowi. Savalette przyrzekł mu pod tym względem odpowiedź, a tymczasem zaprowadził go do słynnego wówczas w Paryżu Tonssay de Chanteau. Ten wydał się autorem nie już szarlatanem, ale obłąkanym. Został był żydem, aby być wtajemniczonym w kabałę, a potem 9 dni nie jadł, aby się wznieść nad materjalizm gminu i utrzymywał,

że po tym poście został jak św. Paweł wzniesionym do nieba, gdzie zrozumiał przyczynę wszechrzeczy. Gdy jednak Heyking chciał coś konkretnego o tej wizyi usłyszeć, począł bredzić bez sensu. Zda się, że później skończył w domu waryatów. Obecnie jednak miał ogromne wzięcie w Paryżu, niemal na równi z Cagliostrem. Gdy Heyking o tym ostatnim wypowiedział swe zdanie, oświadczając, że jego sprawki na piśmie ogłosi, zdumiano się zrazu niesłychaną śmiałością, wystarczyło to atoli, aby zachwiać wiarę w Cagliostra. „Francuz bowiem, bardzo do podziwu skory, odskakuje zaraz od swego bożyszcza, jeśli je kto żartem słusznie czy nie słusznie ośmiesz“.

Pomiędzy ciekawościami Paryża, oglądał Heyking przy różnych występach przepych królewskiego dworu, który mu się wydał bladym w porównaniu z dworem Katarzyny. „Królowa zbyt się starała podobać jako kobieta, przez co, jako królowa, traciła w oczach ludzi myślących“. W salonach uderzał kontrast suchej sztywności starszych, z szyderezem rozpasaniem młodych, których celem, jak np. u księcia Chartres, było naśladowanie manier masztalerzy angielskich. Każdy chciał dziwić; o wszystkim też mówiono: „To niedorzeczne“! — albo — „To zdumiewające“! — innego sądu nie było. Heykingowi zazdroszczono, że się urodził pod republikańskim rządem, na co on odpowiadał, że to piękniejsze zdaleka, niż zbliżka...

Za powrotem do kraju, witano ich ze zwykłą ciekawością, jak ptaki z za morza; król i pani krakowskaypytywali zwłaszcza o magnetyzm, król kazał sobie system Mesmera przedłożyć. „Pewnego wieczora, rozmawiając z J. K. Mością, opowiedziałem kilka anegdot o dworze wersalskim, dodając parę własnych politycznych spostrzeżeń. Te wzbudziły jego uwagę, z czego skorzystałem, by wtrącić, że byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby mnie J. K. Mość zechciał użyć do służby dyplomatycznej. Król odpowiedział, że jest przekonany, iż mógłbym w tej karyerze dobrze się zasłużyć, „ale — dodał — pan znasz stosunki Polski do Rosyi i jeśli brałeś ich ciągi pod uwagę, możesz zgadnąć pobudki, które mną kierują przy nominacyach i przy posyłaniu do zagranicznych dworów“. Powtórzyłem tę mowę króla amba-

sadorowi i prosiłem go o zapewnienie J. K. Mości, że moje mianowanie nie będzie źle w Petersburgu widziane. Hrabia Stackelberg odpowiedział: „Pojąłeś tylko połowę myśli królewskiej. Pocichu wyrzeka na Rosyę, ale nie śmiałyby dać w tym duchu instrukcyi komuś znacznemu, zwłaszcza poleconemu przez nasz dwór. Dlatego potrzebuje ludzi bez znaczenia, takich jak Z... w Berlinie i Corticelli w Wiedniu, którzy tylko w przedpokojach z podrzędnymi figurami traktują. Debolego umieścił w Petersburgu, bo go sam wychował i uważa za swoją kreaturę. Mój dwór znajduje biednego Debolego tak śmiesznym, że jest rad mieć go za zabawkę. Z tem wszystkim, radzę ci, jako przyjaciel: porzuć myśl wstąpienia do dyplomacyi królewskiej...“. Pozwolę sobie przytoczyć tu *bon-mot* ambasadora. Pani Deboli urodziła po dwakroć nieżywe dzieci, na co Stackelberg rzekł: „Dzieci pani Deboli są jak depesze pana Deboli, skoro tylko ujrzą światło dzienne — wraz umierają“!

Pewnego dnia spotkał Heyking u ambasadora, marszałka nadw. Gurowskiego, który rzekł, śmiejąc się: „Zamyślamy osadzić w wieży rezydenta pańskiego księcia; mam nadzieję, że pan nie masz nic przeciwko temu“. Pan Zugehör Heykinga nie obchodził wcale, ale instynkt narodowy się zbudził, zaczęł jęł gwałtownie protestować przeciw pojmaniu posła, Gurowski zaś odparł, że i księciu stałoby się to samo, gdyby w Warszawie długów narobił, a skoro książę należy pod sąd relacyjny, to tembardziej i jego rezydent. Napróżno autor przytaczał stosunek do cesarza książąt niemieckich, Gurowski wyszedł, zapowiadając, że Zugehör za tydzień będzie siedział. Był to biedny człowiek obciążony rodziną, który zabrnął w dług u hrabiego Thomatisa, awanturnika, ożenionego z dawną królewską kochanką. Heyking napisał natychmiast do biedaka o wytlómaczenie, poczem zasiadł i nakreśliwszy na poczekaniu broszurę: *Sur le droit de légation du duc de Courlande et sur l'inviolabilité de son ministre résident*, kazał ją tegoż dnia wydrukować i rozesał po mieście. Na to Thomatis pobiegł do króla ze skargą, jako w piśmie tem poniżono godność J. K. Mei na korzyść księcia. Tegoż wieczora pani krakowska zaprosiła Heykinga z żoną. Zaledwie król go obaczył, przystąpił doń

z gniewem i rzekł: „Jestem z W. Pana bardzo niezadowolony! Jakiem prawem podnosisz godność księcia Kurlandyi kosztem królewskiej władzy?“ — „Jakto Najj. Panie, przez to, iż przypisuję J. Kr. Mei władzę niemieckich cesarzy? Sądzę, że nie umniejszył świetności tronu W. K. Mości! Toż gdyby jego wassale korony nosili, byłbyś przez to W. K. Mość tem większym“. „Nie chodzi o to, co by było, ale o to, co jest. Jeśli sam Książę podlega sądom relacyjnym, to rezydent jego musi marszałkowi kor. podlegać“. „W. K. Mość pozwoli mi zauważyć, że tu zachodzi różnica prawna, Książę...“ „Co mi tam z waszemi różnicami! Dość mi tego, i radzę W. Panu trzymać się cicho!“ Poczem odwrócił się do innych gości. Czytano głośno, rozmawiano, a król drzemał. Nareszcie poproszono do stołu. Król oddalił się i wesołość wróciła...

Gurowski chcąc wyjść z ambarasu, odłożył sprawę do przybycia w. marszałka Mniszecha, którego w czynności zastępował, Mniszech zaś chcąc uniknąć skandalu, kazał przez ambasadora proponować obu stronom sąd polubowny. Tak cała sprawa została usuniętą z rejestru. W parę dni potem jednak ukazała się w Warszawie rozprawka p. t.: *Eclaircissement de la question si M. de Zuehör peut jouir à la Cour de Pologne du droit des gens appartenant aux ministres étrangers.*

Był to utwór biskupa Naruszewicza, skreślony na rozkaz króla i przez tegoż posłany Stackelbergowi, jako zwycięzka odpowiedź na pismo Heykinga. Ten nie dał za wygraną i odparł atak nową broszurą, o której mówi, że na jego korzyść zwróciła opinię, ale że król „nie przebaczył mu nigdy“. Bądź co bądź, strona królewska uznała za stosowne dalszej polemiki zaniechać, Heykingowi zaś cała rzecz wyszła na dobre. Wynikiem jej bowiem, była złota tabakiera z uprzejmym listem Bierena, a wkrótce potem odwołanie Zuehöra i propozycja Heykingowi objęcia jego posady. Ten przyjął ją mimo niedawnych niechęci i protestów szlachty kurlandzkiej, nie chcącej mieć z księciem wspólnego przedstawiciela. Heyking uparł się przy połączeniu w jednym ręku interesów dwóch stron często sobie przeciwnych i dowiódł słuszności swych twierdzeń, korzystnym dla obu wynikiem następnego sejmu.

Zbliżenie do księcia było atoli sztucznem i przez to samo chwiejnem. Odebrawszy pozew przed sąd relacyjny od wojewody Zyberka w sprawie dóbr Grendsen, nadanych przodkom tegoż przez Gottharda Kettlera i snać nie ufając jeszcze zdolnościom czy gorliwości nowego swego rezydenta, Piotr Bieren posłał mu w sukurs dwóch swoich rzeczników. Na to Heyking obraził się i nie chciał do niczego się mieszać.

Sprawa księcia poszła na złe tory i była już niemal straconą, gdy dowiedziawszy się, że jest oskarżonym o wzięcie od Zyberka potężnego kubana, pochwycił ją w swoje ręce i ostatecznie wygrał. Spodziewał się za to choćby podziękowania od mitawskiego dworu, ubiegł go jednak jeden z wysłańców książęcych, młody Manteuffel, przypisując sobie całą zasługę zwycięstwa. Zawiedziony a bardzo tkliwy, jak się co krok ukazuje, na punkcie miłości własnej, Heyking chciał już zerwać stosunki, od czego z wielkim trudem odwiodły go próśby kanclerza kurlandzkiego Taubego. Nie mniej przeto postanowił szukać innej służby, mianowicie w Berlinie, dokąd niebawem się udał, puściwszy dla niepoznaki niby tajną pogłoskę, że jedzie na przyjęcie Bischoffswerdera i Wollnera, delegatów masonskich z Paryża i Sztokholmu. Sztuczka udała się tak dalece, iż Stackelberg czuł się w obowiązku ostrzegać go przed wyjazdem o niebezpiecznej przewadze pruskiej wolnomularzy. Ta zaś musiała istotnie być wielką, sądząc choćby z łatwości, z jaką wszędzie Heykingowi otwierała drogę. Do służby pruskiej wprowadzić dostać się nie mógł, bo tu już krajowcy szemrali na miejsce, jakie im zabierali Sasi, ale natomiast zahaczył się o szwedzką. Poznawszy w Berlinie szwedzkiego posła Carnesien, wyraził mu zdziwienie, że król Gustaw nie trzyma rezydenta w Warszawie, a gdy Carnesien zauważył, że wobec wpływu ambasadora rosyjskiego nie ma tam miejsca dla innych posłów, jął mu przedkładać zapowiadającą się w Polsce przewagę dworu pruskiego, przyczem ofiarował się pełnić przez rok bezpłatnie funkcyę rezydenta, byle potem oficjalnie posadę otrzymać. Następnie za radą Carnesiena, wypisał to wszystko do króla Gustawa na ręce hr. Tolla i pod masonską pieczętką, generał Toll bowiem był delegatem polskich

masonów w Sztokholmie. Propozycja została przyjętą atoli w formie mniej dla autora zaszczytnej. Gustaw III bowiem uczynił go swym tajnym korespondentem, zawsze na ręce hr. Tolla i pod pokrywką masońską. Heyking przyjął tę rolę w nadziei wkrótce lepszej posady, zaledwie jednak upłynął kwartał, zauważył przybycie do Warszawy p. Engeströma, który — choć niby tylko prosty podróżny — okazywał się zbyt ciekawym wszystkich politycznych stosunków i zbyt zbliżonym do Lucchesiniego i jego agentów. Napisał tedy do hr. Tolla o wytłómaczenie, na co otrzymał odpowiedź, iż dal-sze stanowisko korespondenta szwedzkiego mogłoby bardzo niezadługo przy sposobności się wypadkach wpłatać go w nader przykre stosunki, że zatem król woli koresponden-cyi zaniechać, posyłając mu 1.000 dukatów gratyfikacji przy warunku obustronnego milczenia. Zajście to tłómaczy nie-chęć do Engeströma, objawiającą się w pamiętniku przy każdej sposobności. Owe 1000 dukatów osłodziły zawód nie-doszłemu posłowi, który też następnie niejednokrotnie się cieszył, że mu oszczędzonym zostało brzemię, jakie podczas wojny szwedzko-rosyjskiej i podczas polskiej „rewolucyi“ ciążyło na barkach Engeströma.

Wypadki w istocie toczyły się ku końcowi. Król szwedzki wystąpił przeciw Rosyi, w Polsce zaś rozpoczął się Sejm Czteroletni z przygrywką fałszywych umizgań Prusaków. Heyking nie przestał, mimo krzywienia się nań Ożarowskiego i Kossakowskiego, bywać regularnie u Ignacego Potockiego, ceniąc jego uczciwość i rozum, pomimo iż jego illuzye polityczne mienił szaleństwem, a sam trzymał się ściśle ambasadora. Lucchesiniemu przyznaje wykształcenie i mistrzostwo w rozwinięciu polityczno-sentymentalnego kuglarstwa. Nie szczędzi mu przytem niepoehlebnych przymiotników, oraz powtarza przezwisko „Marchese Tulipano“, jakim go darzył Stackelberg, mszcząc się za mnogie zaoczne złośliwości pruskiego Włocha. Powiada dalej, że z królewskiej rodziny jeden Prymas nie dał się unieść prądowi, „co miał przypłacić życiem, umarł bowiem otruty jak twierdzono przez K...y, którego był dobrodziejstwami obsypał“. — Heyking zrazu występował przed Sejmem jako delegat rycerstwa i księcia, wkrótce zaś zerwał z tym ostatnim stosunki, wy-

stępując rzekomo w obronie gwałconych praw szlachty. Prawdziwym jednak powodem sporu było chylenie się coraz większe Bierena, podobnie jak całej Rzpltej, ku stronie dworu pruskiego, zaczem wolał mieć w Warszawie przedstawiciela mniej zażyłego z ambasadą rosyjską. Księżna (z domu Medem), już wówczas zda się miała zamiar przeniesienia się do Warszawy „pod opiekę króla pruskiego“.

Księciu Piotrowi chodziło przy tem naprawdę o wyzwolenie się choć częściowe z pod przewagi panów kurlandzkich, zwłaszcza o unieważnienie czynności regencyi z czasu jego niedawnej, długiej nieobecności, zaczem pozbywszy się mniej dogodnego Heykinga, powierzył sprawę Manteufflowi i niebawem otrzymał przezeń pożądaný resekrypt królewski.

W tem miejscu wydawca pamiętnika wtrąca niedługi a ciekawy rozdział, objaśniający finansowe kurlandzkie stosunki, o które obu stronom chodziło. Skarb książęcy, pozbawiony dochodów pobocznych przez brak stałych podatków, uwolnienie szlachty od cła portowego i skasowanie cła przewozowego do Rosyi, zasilał się przeważnie z dóbr stołowych, zajmujących $\frac{1}{10}$ przestrzeni Kurlandyi i Semigalii. Prócz tych były i dobra allodyalne, zakupione przez Kettlerów z dochodów dóbr stołowych, a powiększone zaliczeniem w ich grono kilku pięknych majątków stołowych, na korzyść pierwszego Bierena. Książę był obowiązany wszystkie koszta rządowe opędzać z dochodów stołowych, aż nadto wystarczających, bo wynoszących przeciętnie 300.000 talarów, podczas gdy wydatki publiczne nie osiągały 200.000. Że jednak istniała jedna tylko administracya skarbu, przeto dochody prywatne i stołowe mieszały się, a książę począł z czasem pono skąpieć na urzędy i szkoły i uważać za zamach na swoją kieszeń każdy wydatek publiczny uchwalony przez Stany. Podatek gruntowy, uchwalony rozmaicie przez Landtag, a dotyczący allodyalne dobra książęce, wystarczał tylko na koszta reprezentacyi narodowej, delegacyi w Warszawie i t. p. Obecnie Piotr Bieren żądał unieważnienia przeróżnych zarządzeń regencyi, szlachta zaś utrzymania ich, a nadto zmuszenia księcia do wydzierżawienia majątków stołowych nie wielkimi kluczami, jak to od pewnego czasu czynił, ale

małemi częściami, dając przez to zarobek znacznej liczbie mniej zamożnego rycerstwa, zmuszonego teraz, wobec małej ilości posad rządowych, do tem skwapliwszego szukania zagranicznej służby. Reskrypt królewski na żądanie Bierena umniejszał prawa regencyi, nadawał księciu swobodę w administracyi domenów i rozrządzaniu dochodami skarbu, oddawał na wypadek jego zgonu opiekę nad małoletnim następcą samej księżnie-wdowie.

Zadanie nie łatwe, bo otrzymanie cofnięcia królewskiego reskryptu włożyła szlachta na barki Heykinga, tem gorliwszego, że był pechany osobistą niechęcią. Otrzymawszy pełnomocnictwo w czerwcu 1789 r., zwrócił się wprzód do kanclerza, żądając dla „oszczędzenia królewskiej władzy“ nie cofnięcia reskryptu, ale wydania nowego, niby objaśniającego, a w istocie kasującego pierwszy. Nie wskórawszy nic, dzięki przeciwdziałaniu młodego Manteuffla, posłał jeden memoryał do rządu w ogóle, a drugi rozesał między posłów sejmowych, burząc ich przeciw „samowolnemu aktowi despotyzmu“. Chcąc temu koniec położyć, Stanisław August wezwał go do siebie, wraz z kanclerzami. „Chciał mnie nastraszyć“ — mówi autor. Zgniewał się do reszty, gdy mu Heyking chciał wmówić, że wydał reskrypt wskutek wadliwych informacji, zmiękł jednak jak zwykle i za przyzwoleniem Potockiego, a milczeniem Małachowskiego, zgodził się na osądzenie sprawy przez komisję. W skład tej mieli wchodzić: Prymas, ks. Stanisław Poniatowski, biskup Krasieński i marszałek Potocki. Kanclerze czynili jeszcze co mogli, by komisji przeszkodzić, zebrała się jednak u Małachowskiego bez obu Poniatowskich, którzy się wymówili chorobą, i po długich sporach uchwaliła z poprawkami rzekome „Objaśnienie“ reskryptu. Król robił trudności jeszcze przy podpisywaniu, ale w końcu podpisał i Heyking mógł osobną sztafetą wyprawić do Mitawy upragniony dokument. Był tem dumniejszy, iż tym razem Stackelberg nie był mu do tryumfu dopomógł, czego powodem było podobno, iż sekretarz ambasady K. wziął był od księcia 2.000 dukatów za dojsście pierwotnego reskryptu. Z tryumfem również poszli w Mitawie przedstawiciele szlachty na zamek; jakież atoli było ich zdumienie, gdy w odpowiedź na przyniesione mu pismo, Bieren

wydobył nowy akt, zatytułowany *Exhortatorium*, kasujący toż „Objaśnienie“, a opatrzony jeszcze świeższą datą!

Heyking nie posiadał się z gniewu; rozpoczął tedy niby z Manteufflem, a w istocie z kanclerzami i królem walkę piśmienną, która nań cały dwór oburzyła. W styczniu r. 1790, Landtag kurlandzki, zgromadzony gwoli tych spraw, posłał mu nowe pełnomocnictwa i obszerne instrukcje. Tymczasem sytuacja polityczna zmieniała się; Lucchesini wrócił z nowymi rozkazami z Berlina, Józef II był umierający, a wśród niepewności drogi, jaką obierze jego następcą, różnice zdań ścierały się wciąż w Warszawie. U dworu panowała coraz to większa dwuznaczność, „król posyłał z rana do Stackelberga Komarzewskiego z wynurzeniami dla Rosyi, a wieczorem zwierzał się Lucchesiniemu, iż nic nie pragnie, jak zrzucenia sobie z karku tej hańbiącej opieki“.

W Kurlandyi też rozdwojenie wzrastało; rycerstwo każało króla prosić o odwołanie *Exhortatorium*, on zaś odmówił w tonie tem ostrzejszym, im się czuł bliższym aliansu pruskiego, na poparcie czego Medem, młodszy brat księżnej kurlandzkiej, przywiózł żonie Lucchesiniego bonbonierkę, w pyszne brylanty sadzoną. Że jednak głównym tutaj arbitrem był ostatecznie Sejm, a obie strony bardzo go się bały, przeto księżę wyprawił list z oświadczeniami wierności i ofiarą tysiąca karabinów, czem jak mówi Heyking na razie pozyskał *das Plebevolk* Izby poselskiej. Stackelberg nie był mu zbyt pomocnym, nie mniej przeto odwołanie go sprawiło wielki żal Heykingowi, który przypuszcza, że imperatorowa jedynie dla upokorzenia Stanisława Augusta posłała w jego miejsce (dawnego Repninowego sekretarza Bułhakowa. Towarzystwo warszawskie w każdym razie straciło wiele na zmianie, Bułhakow bowiem tak się w domu swoim zamykał, iż wspominając dawną jego niewolę turecką, mówiono, że nie śmie wychodzić, bo mu się zdaje, że jest wciąż w Jedykule. Nowym atutem w sprawie księcia był przyjazd do Warszawy jego żony, która wnet wszystkie zawróciła głowy. Król dla odwrócenia zazdrości p. Grabowskiej, czuł się w obowiązku ofiarowania jej naszyjnika z pereł, poczem już on, a za nim dwór, stanęli ostro przeciw „gwałcicielom praw księcia“.

Do wielbicieli księżnej należał Lucchesini, niemniej jak Engeström, o którym autor powiada, że posiadał powierzchowność parobka i był niezdolnym do rozróżniania barw i muzyki. Korzystając z tej przyjaznej aury, Manteuffel poprosił o komisję, mającą rozstrzygnąć, które dobra są allodialne a które nie, ta zaś „byłaby połowę dóbr pogranicznych oddała księciu, a on przepisał je na żonę i dzieci z uszczerbkiem kraju“. Rozkaz w tym względzie już był podpisany, brakło mu tylko kanclerskiej pieczęci, zaczem Heyking uprosił Małachowskiego, by jej przyłożenie odłożył. Na to książę zgniewany odebrał Manteufflowi list kredytowy na Teppera i Blauc'a, z którego już był wydał bardzo znaczną sumę, a żonie kazał do Mitawy powrócić. Stąd lament księżnej i błaganie tak długo u króla i kanclerzy, aż Małachowski ulegając przyłożył pieczęć na reskrypt działowy.

W tych czasach Hugo Kołłątaj zastąpił był w podkanclerstwie zmarłego Garnysza. Heyking udał się doń i otrzymał — niezbyt szczerą — obietnicę pomocy. Kołłątaj, krom swej uczoności, zrobił na nim niedobre wrażenie: „Ponurość oblicza jego — pisze — zdradza uczucia serca, kryjącego pod maską pokory pożerającą ambicję“. Widziano w nim człowieka nowych idei; ogólny prąd ogarniał mieszczaństwo warszawskie, skąd udzielił się kurlandzkiemu, które niebawem zażądało własnej reprezentacyi i praw równających go szlachcie. Książę zaś zamiast ruch ten tłumić, forytował go, by sprawie rycerstwa przysporzyć trudności. Heyking wtedy, nie czując się sam na siłach, zażądał pomocy, zaczem posłano mu panów von Grothus i Lüdinghausen-Wolff. Ten ostatni najpierw przyjechał i Heyking 12 listopada przedstawił go królowi. Gdy zaś Wolff, zamiast zwykłego komplementu, wystąpił niespodzianie z długą a gorącą oracyą, król nieprzygotowany zmieształ się chwilę, poczem jednak odpowiedział dość długo prześliczną niemczyzną, odsyłając posłów z ich skargą na zwykłą drogę sprawiedliwości. Natenczas ci poprosili o publiczną audyencyę u Sejmu, któremu współzawodnicząc z księciem nieśli w darze ofiarę 12 dział. Agenci księcia poruszyli niebo i ziemię, wylali w paszkwilach morze atramentu, by temu przeszkodzić, Heyking zaś sięgnął o pomoc aż do Berlina. Głównie jednak dzięki stol-

nikowi Czartoryskiemu, Ignacemu Potockiemu, Zboińskiemu, Weysenhoffowi i t. d. zwyciężył skrytą opozycję królewską. Jeszcze w wilię dnia naznaczonego (16 lutego 1791 r.) król, chcąc zwlekać, kazał powiedzieć, że chory. Gdy jednak Izba odpowiedziała, że się bez niego obejdzie, zdecydował się nazajutrz przyjść, choć dając na siebie czekać niemal do nieprzyzwoitości. Heyking niegdyś w Paryżu porównywał przepych dworu francuskiego z petersburskim na niekorzyść pierwszego, obecnie zaś pisze: „Widziałem dwór petersburski w całej okazałości, przy publicznych audyencyach, wspaniałość jego wszakże choć jest niezmierna, nie dorównywa imponującemu obrazowi audyencyi u króla polskiego w otoczeniu Stanów“. Skutkiem tej audyencyi było mianowanie nowej komisji do zbadania sprawy; charakterystycznym jest, że projekt Manteuffla złożenia jej z 6 senatorów i z 6 posłów został odrzucony wobec propozycji Heykinga: 6 senatorów i 12 posłów. Między tymi byli: książę Adam Czartoryski, Ksawery Działyński, Zboiński, Dembiński, Weysenhoff; król wtracił trzy swoje kreatury: biskupa Okęckiego, kasztelana Platera i Ożarowskiego. Chciał też koniecznie kanclerzy, ale ich Sejm wyraźnie wykluczył.

Praca komisji byłaby mogła dokonać się prędko, gdyby gwoli podejrzanym nieco wskazówek z Mitawy nie trzeba było każdego punktu z osobna do dyskusyi przedstawiać; utrudniał ją także fakt, że żaden z komisarzy, acz rozumnych i wykształconych, nie znał do głębi stosunków Kurlandyi, owego „nieforemnego amalgamatu — feudalizmu z republikanizmem“.

Zresztą tysiące rzeczy zajmowało teraz umysły. Autor opowiada pokrótce o przysiędze mieszczańskiej, złożonej w Warszawie przez 20 panów „na podobieństwo podobnych wstrętnych scen odgrywanych w Paryżu“. Ośmielona niemi, delegacya mieszczan kurlandzkich podała notę do Sejmu, odebrała jednak pogardliwą odpowiedź „redagowaną przez l'Abbé Piattoli, uchodzącego za emissaryusza Jakobinów francuskich“. Nadeszły wypadki 3 maja 1791 roku. Autor, jak się można było spodziewać, wyraża się o nich lekceważąco, dodając, że „w mieście niespodziewany huk armat zaniepokoił mieszkańców, niewiedzących o komedyi,

która się odgrywała na Zamku“. Z pewną goryczą toczy dalej historię swoich spraw kurlandzkich. Opowiada, iż na sesyi 25-go, król proponował odłożenie otwarcia sejmu kurlandzkiego, aż do orzeczenia komisyi. Uwiadomieni o tem trzej delegaci, przybiegli do Izby i podniecili burzę przeciw wnioskowi. Nazajutrz rano zaś stawili się w przedpokoju królewskim. Ten wezwał samego Heykinga i przedstawił mu spokojnie swój projekt, lecz stąd, zamiast zgody, wywiązała się gwałtowna scena: Stanisław August zarzucił mu, iż jest głównym podżegaczem zamętu wśród szlachty i oświadczył, iż umyślnie nie chce do Landtagu dopuścić, by tym chorobliwym i niebezpiecznym ruchom koniec położył. Ironicznemi docinkami wtórował mu Sapieha, ale napróżno — Kurlandczycy nie ustąpili. Wtedy król poprosił Okęckiego o wniesienie projektu, a gdy ten odmówił, uczynił to sam; na to zaś ozwały się krzyki: „Nie damy szlachty kurlandzkiej gnębić na korzyść księcia!“ i taki halas, że go z trudem zdołali marszałkowie uciszyć. Chybiwszy w tem, król zemdlił się, przeprowadzając uroczyste przyjęcie mieszczan kurlandzkich, które miało miejsce dnia 16 czerwca, poczem wkrótce nastąpiło odroczenie Sejmu.

Heyking, od pewnego czasu chory na żółtaczkę, skorzystal z przerwy, by się udać do Krzeszowic, gdzie mógł znaleźć lekarzy i wszystko co do kuracyi potrzebne. Krzeszowice należały do księżnej marszałkowej Lubomirskiej, która tu wystawiła wygodne domki dla kąpielowych gości, a na górze dom obszerny dla siebie. Brat jej książę Adam Czartoryski bawił tam właśnie, a po wzięciu 15 kąpeli wyjechał, odstępując swoje mieszkanie Heykingowi. Zdrowie tegoż poprawiło się znacznie, przed odjazdem jednak doczekał się strasznej powodzi, której ofiarą padł „jenerał-dyrektor“ (?) hr. Przebendowski, gdyż mu woda oknami wlała się do mieszkania, a on w parę dni później zmarł z doznanego wstrząśnienia. Zgubne wyziewy po powodzi zepsuły Heykingowi kurację, a zda się także i humor, o Krakowie bowiem pisze tylko, że miasto przesiąknięte duchem rewolucyjnym i że sam wykrył dwóch paryskich agentów.

W Warszawie za powrotem zastał nowego posła francuskiego, p. Descorches Marquis de Sainte Croix, który zrazu

nosił dumnie swój tytuł i wstęgę orderu św. Ludwika, posiadał przedniego kucharza i wielce manierowaną żonę, za ledwie jednak ubiegło parę tygodni, już na kartach wizytowych stało samo *Descorches*, żona jeła prawie tylko o równości „i prawach człowieka“, a na obiady, zaproszenia objęły tapicera królewskiego, dentystę Francuza i t. p. Heyking zaproszony też, grzecznie odmówił. — Za to król, mimo niedawnych zajęć, przyjął go łaskawie w Łazienkach i na obiad zaprosił. Po obiedzie przyszedł poseł szwedzki z miną mocno zafrasowaną, za nim Hailes z dwoma Anglikami, a w końcu poszóstną galową karetą zajechał Bułhakow. Stanisław August zasępił się, gdy go zameldowano. „Przed chwilą — rzekł ambasador — przybył do mnie kuryer z Konstantynopola z doniesieniem o podpisaniu preliminarzy pokoju między Rosyą a Turcyą. Pospieszyłem z tą wieścią do W. K. Mei“. Król nie zdołał ukryć wstrząśnienia; z widocznym wzburzeniem wyjąkał parę słów powinszowania. Gdy Bułhakow odchodził, Hailes, który był u niego jadł obiad, jął mu wyrzucać zatajenie przed nim nowiny. „Obciałem — odparł — być pierwszym, który ją przyniesie królowi, wiedząc, jak żywe i szczere wzbudzi w nim zajęcie...“ Był to istotnie cios dotkliwy, który jednak nie zamknął ust stronnikom pruskim, w dowód czego Heyking (na stronie 367) przytacza typową rozmowę swoją z Ignacym Potockim, jego wiarę w interwencyę Prus, Anglii, Szwecyi i innych mocarstw, lekceważenie sił Rosyi i t. p.

Komisya kurlandzka pracowała wytrwale, acz z ogromnem znudzeniem swych członków, ciągnionych na obie strony przez zobopólnych agentów. Ludzie ówczesni atoli umieli wśród politycznych trudów znajdować czas i przytomność umysłu do zabaw. I tak Heyking na prośby pani Unruh napisał dla jej salonu komedyjkę, w której miały występować jej dwie córki, wraz z wychowywaną przez państwa Heykingów siostrzenicą ich, Henryettą. Była to córka pułkownikowej Heyking, którą Corticelli, wierzyciel jej męża, przywiódł był po tegoż śmierci do całkowitej ruiny. Na przedstawieniu był dwór i umyślnie zaproszony Lucchesini, sztuka bowiem zawierała przytyk na jego intencyę wtrącony: *Que me font les paroles? Nous autres Italiens*

nous ne sommes pas esclaves „delle parole“. Chytry Włoch musiał zrozumieć, gdyż klaskał głośniej od innych, „jak opętany“ mówi autor.

„Piekielny duch rewolucyjny ogarniał coraz bardziej towarzystwo warszawskie. W Sztokholmie Gustaw III padł zamordowany w chwili, gdy pogodzony z Rosyą zamierzał iść na czele 30.000 zwalczać osobiście Rewolucję francuską. Wszyscy monarchowie zadrżeli — jeden Stanisław August mniemał, że go miłość narodu od wszelkiego zamachu osłoni“. Rocznicę 3-go maja obchodzono solennem nabożeństwem, na którym delegaci kurlandzcy na trybunie dyplomatów zasiedli. Atoli wśród modłów, zerwał się z burzą huragan i kilka okien z hukiem roztrzaskał. „Na tłum zabobonny — padł strach“. Stanisław Wodzicki w Pamiętnikach wydarzenie to opisuje inaczej.

Komisya nareszcie przysposobiła swój wyrok. Księżna kurlandzka podwoiła umizgów do „elegantów“ w ministerjum, przeciwnicy zaś jej do „wąsów“. Sądził się już pewnymi Potockich i Czartoryskich, ale nie ich klientów; co do Kołłątaja, ten otrzymał był od księżnej trzy ładne obrazy i „pożyczkę“ 2.000 fl. na urządzenie domu. Król na sesyi 23 maja, odpowiadając groźną mową na deklarację imperatorowej przeciw Konstytucyi 3-go maja, wyrzekł, iż „ma nadzieję, że między środkami pomnożenia naszego wojska, znajdziemy sposobność skorzystania z obietnicy księcia kurlandzkiego“. Była to zła dla rycerstwa zapowiedź; istotnie gdy wyrok komisyi został Sejmowi wręczony, Stanisław August zaproponował, by go bez dyskusyi przez akklamacyę przyjęto. Wniosek ten wywołał głośnie spory, które po długiem czytaniu odnowiły się dnia 26-go. Po sali obiegały ulotne pisma; z łoży wychylała się księżna zalotnie strojona, śląc na różne strony uśmiechy i gorączkowe spojrzenia, widocznie bardzo zaniepokojona. Przyszło do głosowania — wynik był przeciwny wnioskowi. Wtedy król wstał gwałtownie i wyszedł; księżnę zemdloną wyniesiono na jego pochoje. Za królem wielu posłów, znużonych sześciogodzinną sesyą, opuściło salę. Skorzystał z tego Sapieha, oświadczył, że sprawę należy jeszcze zatwierdzić głosowaniem tajnem, co, że się nie sprzeciwiało prawu, zostało przyjętem, zaczem

arbitrowie musieli wyjść, a z nimi i delegaci kurlandzcy. I stało się tak, jak zwykle przy tajnych wotach: „W kwadrans potem — pisze Heyking — otwarto znowu podwoje i oznajmiono, że projekt komisji został przyjęty. Staliśmy jakoby gromem rażeni. Książę Sapieha pospieszył z nowiną do księżny. Przeszedł tuż obok, nie widząc nas i wołając: „Zwyciężyliśmy 12 głosami!“ Ot było odrodzenie naszego republikańskiego ustroju! — Wróciliśmy do domu bladzi i przygnębieni“.

Posprzeczawszy się nieco, jak zwykle bywa między pobitymi, delegaci zdecydowali się w formie protestu opuścić natychmiast Warszawę. Heyking udał się do Drezna, skąd wrócił dopiero na wieść, że Rosyanie „w dostatecznej sile“ wkroczyli do polskiej stolicy pod jenerałem Kachowskim. Był to dobry znajomy, to też wkrótce pani Heyking robiła u Kachowskiego honory balu, na którym mimo odmownej odpowiedzi kilku patryotek bawiono się do 6-ej zrana... Nastąpiła Targowica, przystąpienie do niej króla, odwołanie Lucchesiniego.

„Stało się przypadkowo, czy umyślnie, iż w chwili jego pożegnalnej audyencji, grzmiały na Pradze, gwoli jakiegoś galowego święta, rosyjskie armaty. Król zwrócił mu na nie uwagę, na co Włoch wzruszył ramionami i udał rozrzewnienie“. Heykingowi, zaraz u wstępu, oświadczone ze strony Szczęsnego Potockiego życzenie, by się szlachta kurlandzka przyłączyła do Targowicy. On sam był gotów, musiał jednak posłać do Mitawy po instrukcye, na które przyszło mu czekać niemal 5 miesięcy. Tymczasem czynił przygotowania do opuszczenia Warszawy, na zawsze. Skoro tylko papiery nadeszły, wyjechał do Grodna bez słowa żalu za miastem, które był przez lat tyle miłował „jak zdrowie“. Wyniósł się, jak się wynoszą szczury z walącego się domu ..

Tym razem był akkredytowany nie już do króla, ale do Konfederacji w osobie Szczęsnego Potockiego. Bez trudności też otrzymał uroczystą audyencyę, przy której zgromadzenie mowy jego wysłuchało stojąc i na poczekaniu skasowało uchwałę warszawską przyjmującą projekt komisji. Nie dziw, że Targowiczanie wzbudzili w nim sympatyę. — „Żona Szczęsnego Potockiego — pisze — prowadziła wtedy świetny dom w Gro-

dnie. Obawiano się jej ogólnie z powodu ostrego, nikogo nie oszczędzającego języka. Dla mnie przeciwnie, zawsze była bardzo dobrą, to też nie bałem jej się wcale, i opowiada rozmowę, w końcu której obiecali sobie wzajem, iż nigdy nie będą źle mówili jedno o drugim, ale raczej wspólnie śmiali się z bliźnich. „Ściśnienie ręki zatwierdziło umowę. Nie wiem, czy hrabina zawsze jej była wierną, ale wiem, że mi w czasie konfederacyi wielkie oddała usługi, a mej żonie dużo okazała dobroci. Zmuszony, choć nie tańczyłem, bywać na balach z powodu Henryetty, miałem sposobność obserwować ludzi odgrywających główne role tego dramatu“. Tu opowiedziawszy dzieje związku Szczęsnego Potockiego z Gertrudą Komorowską, której śmierć kładzie bez namysłu na karb jego rodziców (matka już nie żyła!), dodaje, że p. Szczęsny „po ciężkiej chorobie przebytej wówczas ze zmartwienia, zachował na całe życie rodzaj roztargnienia dający mu wygląd dziwny, czasem wręcz niegrzeczny. Nieraz wśród zdania zatrzymywał się, patrzył na człowieka, nie widząc go, i kończył albo zupełnem milczeniem, albo paru słowami bez związku z poprzednią rozmową... Podróże i sam czas ukończyły jego boleść, pozostała mu wszakże melancholia, nadająca rysom wyraz smętny, niemal ponury. Był przytem wykształcony, dobry i pełen uczucia; że jednak wszelkie jego namiętności skupiały się zawsze na jeden punkt, tracił łatwo miarę i stawał się gwałtownym. Nienawidził króla i gardził nim, przeto, o ile mógł, usiłował upokarzać go w czasie trwania konfederacyi, której dowodził“.

„Pewnego wieczora wchodząc do jego gabinetu, zastałem jego żonę zajętą rysunkiem. Znając moje oburzenie na postępowanie króla w naszej sprawie, zawołała mnie, by swój rysunek pokazać. „Konfederacya — rzekła — zarządziła wybicie kilku tysięcy talarów bez obrazu króla, ale za to z napisem uwieczniającym zniesienie sławetnej Konstytucyi 3-go maja. Rysuję właśnie wieniec z liści dębowych i laurowych będzie otoczony napisem ułożonym przez mego męża“. Rysunek był bardzo ładny, a napis wryty potem za 30.000 talarów następujący. Naokoło wieńca: *Gratitudo concivibus, Exemplum posteritati*. W pośrodku wieńca: *Civibus quorum pietas conjuratione de III Mai MDCCXCI*

obruptam et deletam libertatem tueri conabatur Respublica resurgens, po drugiej stronie zaś: *Decreto Reipublicae nexu confoed. junctae. Die V Decemb. 1792 Stan. Aug. regnante*. Pieniądze te miały zastąpić dawne, aż do nowego rozporządzenia...“

„Rosyjski poseł von Bühler, znający zapewne tajne zamysły carowej, bystry dyplomata, pozwalał na to wszystko. Książę Massalski biskup wileński, człowiek 70 letni, Rosyi oddany w przekonaniu o przyszłej przewadze rosyjskiego dworu, przesiąkł francuszczyzną, był bardzo uprzejmy i prowadził świetny dom. Biskup Kossakowski znaczyl w Grodnie tylko przez brata, równocześnie hetmana w wojsku polskiem i jenerała w służbie rosyjskiej. Brat ten miał od młodości nienawiść przeciw królowi i sprzeciwiał mu się na każdym kroku. Kanclerz lit. Sapieha był z nich wszystkich najbardziej umiarkowanym; z natury łagodny i zgodny, wołał od polityki muzykę i obrazy. Skłaniał zawsze ku mniej gwałtownym środkom i przez to wkońcu stracił wszelki wpływ na ludzi uprzedzonych, myślących tylko o zemście. Tymczasem radość poniżania króla i jego stronników zmieniła się niebawem w gorycz i ból“.

Król pruski zapowiedział wkroczenie wojsk do Rzpłtej; był to grom, tak dla króla, jeszcze bawiącego w Warszawie, jak dla Targowiczian w Grodnie. Poseł rosyjski oświadczył, że o niczem nie wiedział. Konfederaci tedy wezwali wojsko i naród do obrony granic, a imperatorową o pomoc.

Posłany w tych czasach nowy ambasador Sievers, był w przeciwieństwie do brutalnego Igelströma człowiekiem gładkim, przychylnym i dla funkeyj swych zbyt prostodusnym.

Wkrótce mówiono, iż był oczarowanym przez króla i jego rodzinę. Konfederaci atoli drżeli z niepokoju; zrazu na ich poselstwo do Katarzyny przyszła gwiazda z brylantami dla pani Szcześnowej, ale o intencyach politycznych ani słowa. Czekano jeszcze, gdy zaś wreszcie nadeszła odpowiedź, była tak inną od pokładanych w nią nadziei, że Szcześny Potocki zemdlął, a przyszedłszy do zmysłów wylał potoki łez, poczem przez kilka dni nie chciał widzieć nikogo... Wśród tych wydarzeń nastąpił upadek banku Teppera

i Blauca, dotykający mnóstwo ludzi w kraju. Sam autor stracił w nim posag żony, to też mówi o nim z goryczą, nazywając go symulowanem bankructwem, to znów przypisując go niedbalstwu (sam widział bowiem, jak urzędnik bankowy Sagebarth brał z kasy parę garści dukatów, których ani zapisał, ani nawet nie zliczył), a w końcu mówiąc, iż zaczął się niepokoić od chwili, gdy się dowiedział, że Tepper 100.000 duk. wyliczył armii rosyjskiej. Szczyściem dla niego było, że w tej chwili Piotr Bieren, nie czując już oparcia w królu, a party deklaracją imperatorowej stojącej po stronie rycerstwa, zdecydował się wstąpić z temże w dobrowolne układy. W skutku tego, nastąpiło ostateczne pojednanie się Heykinga z księciem i zaczęły jego starania o sankcyę umowy przez Sejm grodzieński, podczas gdy z drugiej strony po sankcyę Katarzyny jechał do Petersburga von den Howen. Człowiek ten — jeśli można wierzyć pamiętnikowi — miał tam na współkę z Mirbachem odegrać rolę, przyspieszającą ostateczny upadek ojczystej wolności. Ta zresztą, związana ze smutnymi losami Polski, nie była już do uratowania. Okropnie przykrym pod piórem Kurlandczyka jest opis tego podwójnego konania, wśród zgrzytu ścierających się rozpaczliwie interesów prywatnych — i przygrywającej do ostatniej chwili muzyki balowej. Piszę on, iż na wieść o powstaniu Kościuszki padł strach na Kurlandyę, że ją ze Żmudzi „insurgenci“ zaleją, ale że jedna tylko „banda“ doszła do Libawy, skąd zabrawszy amunicyę w granice Litwy wróciła... Opowiada dzieje abdykacyi i pożegnania ostatniego kurlandzkiego księcia, uroczysty hołd złożony Katarzynie II i zaprowadzenie rządów rosyjskich w Mitawie, głaskanie jedną ręką a gnębienie drugą, rozpacz jednych za straconą wolnością i radość drugich wobec bogatej kopalni posad i pensyj, otwierającej się u petersburskiego dworu. Znaczna ilość nazwisk kurlandzkich, zajmujących dziś jeszcze wysokie miejsce w „czynach“ rosyjskich, a w przeciwnieństwie poczet innych, zupełnie spolszczonych, same przez się świadczą o tej dwoistości prądów.

Trudno jest autorowi towarzyszyć do końca wzdłuż ostatnich rozdziałów, zbyt gęsto na streszczenie nabitych faktami. Same dodatki, nie mniej jak wstęp, skreślony pió-

rem wydawcy, obejmują kilkadziesiąt stron ciekawego materiału historycznego, tworzącego tło do pamiętników Karola Henryka Heykinga, z których niniejsze sprawozdanie wydobyczo raczej stronę towarzysko-psychologiczną, niż polityczne szczegóły. Sam pamiętnik jest dla nas drogocennym przyczynkiem do historii tych czasów, z powodu zwłaszcza odrębnego punktu widzenia, z jakiego autor patrzy na ludzi i rzeczy. Sąd jego często nieprzyjemny, a co gorzej niepewny, bo stroniczy i bardzo podlegający wrażeniu chwili — ale zawsze interesujący i szczery. Ciekawem też jest przebijanie się mimowolne na jaw podskórnej masońskiej potęgi, z której jedni robili sobie pretekst do zabawy i stroju, drudzy szczebel do zaszczytów i władzy, a inni znów narzędzie do podminowania Kościoła i tronów.

A w końcu jeszcze jedna uwaga: pamiętnik Heykinga pisany był po francusku, pamiętnik Gordona (ze środka XVII wieku) po angielsku — oba zaś zamiast być zostawionemi w oryginale, przetłómaczone zostały przed wydrukowaniem, staraniem wydawców, na język niemiecki — dla czego? — Czyż nie lepiej było zachować im szatę, w której wyszły z mózgu swoich autorów, a której — jak skóry z człowieka — ściągnąć nie można bez nadwężenia myśli, charakteru i tonu? Zwłaszcza tonu francuszczyzny z XVIII wieku, której Niemiec z końca XIX-go absolutnie oddać nie zdoła! — Dobrze jednak, że je mamy choć po niemiecku i dzięki wydawcy, który je wydobyczo z pyłu, kędy dotąd tyle innych jeszcze materiałów dziejowych po świecie spoczywa.

Teresa z Potockich Wodzicka.

Sprawy krajowe.

XXV.

Opieka publiczna nad ubogimi w Galicyi.

Ubóstwo — istnieje tak dawno, jak świat i zawsze istnieć będzie. A ludzkość, jak dawniej zawsze niosła ubogim pociechę i wsparcia im udzielała, tak i dziś czyni to samo; opieka jednak, obecnie ubogiemu udzielana, ma w porównaniu z dawniejszą w znacznej części charakter odmienny: różnica tkwi w celach i formach działania.

Jałmużna jest prototypem wsparcia ubogiego. Znały ją bardzo dawne czasy, wspominają o niej — często nawet jako o czemś obowiązkowem — najdawniejsze kodeksy religijno-społeczne; uświęcił ją i podniósł do rzędu ważnych i szczytnych obowiązków Kościół katolicki, który przez szeregi wiekówłożył niespożyte zasługi w tej dziedzinie, kierując dobroczynnością w sposób niemal wyłączny.

I jak długo ubóstwo pod względem liczby i żądań swych nie było jeszcze znaczne, można je było pozostawić dobroczynności prywatnej. Gdy jednak z czasem i w jednym i drugim kierunku zaczęło wzrastać i tem samem stawać się dla całego społeczeństwa złem powszechnem w znaczeniu tak socyalnem, jak obyczajowem, gdy żebractwo przybrało rozmiary coraz to większe, zamieniając się w prawdziwą plagę nie tylko pod względem gospodarczym, ale na-

wet niekiedy i politycznym (Anglia—początek ery nowożytnej), gdy bandy włóczęgów grasując po kraju zagrażać zaczęły wprost bezpieczeństwu publicznemu, życiu i mieniu obywateli, wówczas — epoka ta w różnych państwach, w różnych występuje czasach — *związki prawnopubliczne z państwem na czele* podejmują akcyę, skierowaną przeciw włóczęgostwu i żebractwu¹⁾. Ta akcyę wszędzie pierwotnie ma na celu wyłącznie tylko *repressyę*, t. j. ustawodawstwo i administracya zajmują się li tylko poskromieniem — wytepieniem żebractwa. Później dopiero — po pogłębieniu istoty rzeczy, przychodzi państwo do przekonania, że obowiązkiem jego jest nie tylko karać włóczęgów i żebraków, bo nie każdy ubogi — to przestępca, lecz także działać pozytywnie t. j. starać się o to, aby ci ubodzy, którzy godni są wsparcia, otrzymali je odpowiednio do rodzaju i stanu ubóstwa, aby bądź dopomóżdź im do restytucyi gospodarczej, bądź też trwale należycie ich zaopatrzyć. W ten sposób miejsce policyi ubogich — zajmuje z czasem *prewencya*, która znowu skierowana jest zrazu tylko przeciw *skutkom* ubóstwa, to znaczy dąży do racjonalnego udzielenia wsparcia ubogiemu, później zaś dopiero stara się zapobiedz także i *przyczynom* ubóstwa (ochronne ustawodawstwo robotnicze).

W epoce maszyny i pary, w dobie rozwiniętego przemysłu, w czasach nieograniczonego niemal panowania za sady wolno-przesiedlności, gdy koncentracya ludności w centrach fabrycznych potęguje niebezpieczeństwo za wielkiej

¹⁾ Tak było i w Polsce. Najdawniejsze wzmianki prawa polskiego z lat 1496, 1519, 1523 i 1532 (Vol. leg. I 267, 390, 400 i 502) odnoszą się do „*mendicantes, vagabundi*“ i „*rustici vagi*“. Pierwszą próbę systemat. kodyfikacyi przepisów „O włóczęgach“ zawierał wniesiony na Sejmie w r. 1778 projekt A. Zamoyskiego (*Zbiór praw sądowych na mocy Konstytucyi r. 1776*. Warszawa, 1778 r. Cz. I. Art. XXXIII, str. 99), a odrzucony przez Sejm w r. 1780. Dopiero utworzona za rządu Sejmu czteroletniego 24 czerwca 1791 „Komisya Policyi Obojga Narodów“ (Zob. Korzona *Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta*, tom V, Warszawa — Kraków, 1897, str. 180 sq.) zwróciła swą uwagę i działalność na sprawy ubóstwa w ogólności, w szczególności jednak na sprawy szpitalnictwa.

podażą sił roboczych na rynku pracy, a wielki przemysł kryje zbyt wiele niebezpieczeństw dla życia i zdrowia robotników — „kwestya ubogich“ staje się coraz to bardziej żywotną i aktualną, a „kwestya robotnicza“, ten pierwszorzędny problem socjalno-polityczny, zaprzatający dziś nie tylko parlamenty i rządy, ale także umysły ludzi nauki i mężów stanu, związana jest z nią ściśle i integralnie.

Celem tych uwag jest przedstawić w ogólnych zarysach stan opieki *publicznej* nad ubogimi w Galicji — kwestyi, która nasz Sejm krajowy od r. 1897 żywo zajmuje. Nie będziemy zatem mówić o dobroczynności *prywatnej*, zorganizowanej czy niezorganizowanej, „tem nierównomiernem w wydatności swojej z natury rzeczy i niejednostajnem — ale zato niezmiennem i niewyczerpanem źródle pomocy dla ubogich“, poprzestając jedynie na wzmiance, że jest ona, w szczególności w swej drugiej postaci, prawie zawsze bardziej szkodliwą, niż pożyteczną: chociaż bowiem pobudki jej są jak najszlachetniejsze, a cele jak najszczytniejsze, ponieważ jednak działa bez planu, bez zbadania konkretnego wypadku — tylko wskutek porywu serca, w bardzo znacznej większości wypadków z konieczności musi chybiać celu. Dobroczynność taka szkodzi żebrakowi, będąc zachętą do próżniactwa i włóczęgostwa — szkodzi społeczeństwu, zwiększając ilość osób, dla których żebractwo staje się wcale miłym zawodem i wcale intratnem rzemiosłem, godnem naśladowania.

W krajach reprezentowanych w austriackiej Radzie państwa obowiązująca ustawa o prawie przynależności z 3 grudnia 1863 r, L. 105 dz. u. p., zmieniona nowellą z 5 grudnia 1896 r. L. 222 dz. u. p., zawiera *materyalne* prawo ubogich. W ramach tych przepisów *wolno* sejmom krajowemu regulować opiekę publiczną nad ubogimi w drodze ustawodawstwa krajowego. To znaczy, że ustawodawstwo *krajowe* może (nie musi) wprowadzić uregulować tę opiekę u siebie w sposób, jaki uzna za stósowny — zależnie od wpływów i czynników natury bądź ekonomicznej bądź finansowej, zawsze jednak tylko na podstawie i w granicach ustawodawstwa *państwowego*, które we wszystkich krajach koronnych zarówno obowiązuje. Nie wszystkie kraje koronne uchwałyły dotąd takie

ustawy. W różnych czasach — częściowo na nierównych zasadach oparły się ustawy krajowe o opiece publicznej nad ubogimi Czech, Austrii Dolnej i Górnej, Krainy, Karyntyi, Salzburga, Styrii i Przedarulanii.

W rządzie pierwszej grupy krajów — jest i *Galicja*. Chcąc skreślić przeto stan publicznej opieki nad ubogimi w naszym kraju należy przedewszystkiem naszkicować, choćby w najogólniejszym zarysie: 1) główne zasady ustawodawstwa państwowego, w tym przedmiocie obowiązujące, następnie 2) przedstawić stan faktyczny, jaki w naszym kraju w tej dziedzinie istnieje, wreszcie 3) streścić historię usiłowań reprezentacyi krajowej, zmierzających do ustawodawczego uregulowania tej sprawy. Szczegóły te, razem wzięte, dadzą dopiero zupełny obraz tak stanu opieki publicznej nad ubogimi w naszym kraju pod względem prawnym i faktycznym jak i reformy, w tym kierunku zamierzonej.

I.

Wedle ustawodawstwa państwowego prawo żądania wsparcia, które istnieje wtedy, gdy ktoś nie jest w stanie zapewnić sobie potrzebnego utrzymania swemi własnymi siłami, jest wypływem prawa przynależności. Gmina pobytu nie może odmówić przyjęcia austriackiemu obywatelowi, który po nabyciu własnowolności przebywał w jej obszarze przez lat dziesięć dobrowolnie, bez przerwy i nie otrzymał wsparcia z publicznych funduszów. Wyjątkowo obowiązana jest gmina pobytu do udzielenia ubogim obcym t. j. do niej nieprzynależnym dorazowego (tymczasowego) wsparcia w razie niezbędnej potrzeby, oraz w razie choroby — z zastrzeżeniem jednak zwrotu bądź od gminy przynależności, bądź też od osób, wedle prawa cywilnego lub innych ustaw (górnicy, przemysłowej, o ubezpieczeniach robotników i t. d.), do udzielenia wsparcia obowiązanych. Rodzaj i sposób wsparcia oznacza gmina, a zaopatrzenie ogranicza się na dostarczeniu potrzebnego utrzymania i na pielęgnowaniu w razie choroby. To — pierwsza podstawowa zasada. Zasada druga: obowią-

zek gminy do udzielenia wsparcia jest tylko subsydyarny, t. j. istnieje dopiero wtedy i o tyle, gdy i o ile pomoc istniejących zakładów dla ubogich i dobroczynnych oraz fundacyj, tudzież osób trzecich, które w myśl co dopiero wspomnianych norm prawnych są obowiązane do zaopatrzenia ubogiego, okaże się niewystarczającą. Zdolnych do pracy, którzy ubiegają się o zaopatrzenie, wolno gminie w razie potrzeby przyniewolić do wykonania odpowiednich robót. Zresztą „ustawodawstwu krajowemu pozostawia się wydać zarządzenia, ułatwiające gminom dopełnienie prawnie na nich ciążącego obowiązku zaopatrywania ubogich“. Tyle — ustawa państwowa.

II.

Ani ustawa o przynależności, ani też krajowa ustawa gminna nie określiły jednak, kto jest w rozumieniu ustawy ubogim, który ubogi może żądać opieki publicznej, *jaka ma być ta opieka, skąd wziąć fundusze* na opędzenie wydatków z nią połączonych, *jaka ma być organizacya władz* opiekę wykonywujących, w jaki sposób i kto ma starać się o zakłady, w których „ubogiego wolno przyniewolić“ w razie potrzeby do pracy, jeżeli do niej jest zdolny. Dotkliwy brak ustawodawczego unormowania w naszym kraju tych tak licznych a tak żywotnych kwestyi poznano w całej pełni i prawdzie, gdy dr. Witold Lewicki ogłosił w r. 1888 *Materiały do reformy gminnej w Galicji*, zestawione wskutek polecenia Wydziału Krajowego. Autor przytacza odpowiedzi gal. Wydziałów powiatowych udzielone na pytanie, *jaka jest działalność zwierzchności gminnych w sprawach ubogich i zapobiegania żebractwu*. Otóż „działalność ta jest, ogółem wzięwszy, bardzo niedostateczna: w 45 powiatach gminy miejskie i wiejskie nie w tym kierunku nie czynią, w reszcie powiatów gminy miejskie nieco się ubogimi opiekują, w całym zaś kraju ubogim daje się jałmużnę, żebractwo kwitnie w najlepsze — a czasem żebrakami włóczącymi się zaopie-

kuje się żandarmerya. O racjonalnej — celowej opiece nad ubogimi niema w ogóle mowy¹⁾.

Już sam taki stan rzeczy powinien był wystarczyć, aby spowodować Sejm krajowy do podjęcia akcyi, któraby tym anormalnym stosunkom kres położyła. Z licznych jednak i doniosłych zapewne powodów poruszono w Sejmie potrzebę ustawodawczego uregulowania opieki publicznej nad ubogimi dopiero po wydaniu wspomnianej nowelli do ustawy o prawie przynależności z 5 grudnia 1896 r., która dla miast — zwłaszcza większych — wywołała niebezpieczeństwo znacznego zwiększenia wydatków na ubogich dlatego, że zniósła przysługujące dotąd gminie prawo odmawiania przynależności, nawet bez podania powodów tym, co do których nie było pewności, czy nie staną się oni w przyszłości ciężarem opieki publicznej²⁾. Okoliczność ta tłómaczy nam fakt, że zaraz po wydaniu tej nowelli właśnie poseł stołecznego miasta Lwowa Małachowski, podnosi zasadniczo *po raz pierwszy na posiedzeniu Sejmu dnia 6 lutego 1897 r. kwestyę wydania ustawy krajowej o opiece publicznej nad ubogimi* i w uzasadnieniu tego wniosku wskazuje na to, że siły finansowe gmin po większej części nie wystarczają do należy-

¹⁾ Uzupełnić można smutny ten obraz datami *Statystyki miasta Krakowa*, Zeszyt VII, 1900, str. 181, — która ilość osób korzystających w *Krakowie* w r. 1898 z dobroczynności tak gminnej jak i stowarzyszeń i zakładów prywatnych oblicza na 15.507. Są to ubodzy tak miejscowi, jak i zamiejscowi.

²⁾ Starający się o przyjęcie do związku przynależności był najzupełniej zdany na łaskę i niełaskę gminy, która decydowała z wyłączeniem wszelkiego odwołania. To też gminy bez skrupułu odrzucały takie podania, co miało ten skutek — szczególnie w większych miastach, że liczba przynależnych stosunkowo stale się zmniejszała, zaś liczba „obcych“ (do gminy nieprzynależnych) stale wzrastała. Np. na 1.000 osób obecnych było w dniu 31 grudnia 1890 r. przynależnych w gminie pobytu: w Wiedniu 349, *Graxu* 218, Tryeście 456, Pradze 251, Bernie 314, *Krakowie* 404 — zaś w dniu 31 grudnia 1900 r. w Wiedniu 380, *Graxu* 192, Tryeście 417, Pradze 207, Bernie 297 a w *Krakowie* 355. Zob. *Oest. Statistik* XXXII B. 2 H. pag. LXXXIII i LXIV B. 1 H. pag. XXVII — XXXII.

tego wypełniania obowiązków zaopatrywania i wspierania ubogich; wnioskodawca żądał polecenia Wydziałowi Krajowemu, aby ten opracował i jak najrychlej przedłożył Sejmowi projekt ustawy o wykonywaniu opieki nad ubogimi i w projekcie tym z uwagi na wpływ nowelli z 5 grudnia 1896 r. na fundusze większych gmin uwzględnił konieczność współdziałania w tej mierze funduszków powiatowych i krajowych.

Dnia 18 lutego 1898 r. uchwalił Sejm powyższy wniosek.

Wydział Krajowy potrzebował niezbędnie do ułożenia takiego projektu danych statystycznych — substratu, bez którego do wykonania uchwały sejmowej przystąpić nie mógł. W tym celu rozesłał w maju r. 1898 do wszystkich Wydziałów powiatowych i Magistratów większych miast kwestyonaryusz z szeregiem pytań, poczem na podstawie otrzymanych odpowiedzi — tego surowego materiału opracował Dr. Joachim Bartoszewicz w r. 1901 w *Wiadomościach statystycznych o stosunkach krajowych*, publikacji peryodycznej krajowego Biura statystycznego (Tom XVIII. Zeszyt I), bardzo sumiennie: *Opiekę nad ubogimi w Galicji*. Autor sam przyznaje, że praca jego w wielu kierunkach ma braki i niedokładności¹⁾; przy ocenie jej krytycznej nie trzeba jednak zapominać, że jest to pierwsza u nas w kraju publikacja tego rodzaju — raczej pierwsza poważna próba zbadania stanu opieki nad ubogimi w Galicji, tudzież, że ułożenie wspomnianego kwestyonaryusza przez Wydział Krajowy nie było zbyt szczęśliwe²⁾.

Najważniejsze daty w tej pracy zawarte, które rzucają pierwsze światło na *stan faktyczny opieki publicznej nad ubogimi w Galicji*, są następujące.

Stan miejscowych funduszków ubogich w całym kraju wynosił w r. 1898 — $3\frac{1}{3}$ mil. kor. (bez Lwowa i Krakowa około $2\frac{1}{2}$ mil. kor.); ilość zakładów i instytucyj dobroczynnych (domów ubogich) w zarządzie gminnym w całym kraju — t. j. *zaledwo w 119 gminach* — wynosiła 165 (bez Lwowa i Krakowa 156), a majątek ich $3\frac{1}{2}$ mil. kor.

¹⁾ Str. 30 i 31.

²⁾ Str. 30.

(bez Lwowa i Krakowa 2 mil. kor.). Ogólny majątek ubogich w całej Galicyi, będący w zarządzie organów administracyi publicznej (gminy, powiaty i obszary dworskie), wynosił nad 7 mil. kor. (bez Lwowa i Krakowa blisko 5 mil. kor.); ta suma powinna być, zdaniem Bartoszewicza, w rzeczywistości wyższa.

Opieka kościelna ma od r. 1870, w którym cały szereg funduszów i zakładów oddano w zarząd zwierzchności gminnych, względnie magistratów, małe stosunkowo znaczenie. I tak ogółem w całym kraju (190 gmin) było w r. 1897—83 funduszów ubogich, zakładów (domów) dla ubogich 132 w zarządzie kościołów i klasztorów. W Krakowie i Lwowie było zakładów dla ubogich 15; ogółem zakłady te dla ubogich w całym kraju, zostające pod wspomnianym zarządem, utrzymywały 1.025 ubogich. Majątek tych funduszów i domów ubogich wynosił nad 1½ mil. kor. (bez Lwowa i Krakowa *zaledwie niecałe* ½ mil. kor.), zaś dochody około ⅓ mil. koron (zaś bez Lwowa i Krakowa niecałe 30 tysięcy kor.). Autor wyraża zapatrywanie, że ta cyfra majątku musi być za nisko podana, na co między innymi wskazuje niestosunkowo wysoka kwota dochodów, której żadną miarą osiągnąć nie można od tak niskiego kapitału.

P. Bartoszewicz obejmuje swą pracą także opiekę prywatną zorganizowaną. Aczkolwiek wykluczyliśmy ten rodzaj opieki z ram tych uwag, to jednak dla skompletowania obrazu stanu opieki nad ubogimi w Galicyi zaznaczymy, że autor, który oddzielnie traktuje w tym kierunku 1. stowarzyszenia dobroczynne chrześcijańskie i 2. żydowskie, oblicza ad 1), że w r. 1897 — 103 stowarzyszeń¹⁾ (bez Lwowa i Krakowa w 34 gminach 55 stowarzyszeń) posiadało majątek zakładowy w wysokości około 13 mil. koron (bez Lwowa i Krakowa zaledwo około 260 tysięcy koron); do-

¹⁾ Jak problematyczną wartość mają te daty, wynika z tego, że na podstawie statystyki centr. Komisji statyst. w Wiedniu i Namiestnictwa stan tych stowarzyszeń miał wynosić w r. 1900 — 310, zaś bez Lwowa i Krakowa 223, co autor sam podaje, str. 80.

chody ich wynosić miały kwotę około 860 tysięcy koron (bez Lwowa i Krakowa zaledwo około 52 tysięcy koron). Ad 2) daty są bardzo niedostateczne i niedokładne; na pewne tylko można twierdzić, że bardzo znacznie przewyższają nas Żydzi, tak co do ilości assocyacyi, jako też wysokości fundusów, oraz przedewszystkiem pod względem racjonalności wspierania swych ubogich współwyznawców.

Wydatki wreszcie instytucyj gminnych, powiatów i na obszarach dworskich, instytucyj kościelnych, towarzystw chrześcijańskich i instytucyj izraelskich, połączone z wykonywaniem opieki nad ubogimi w całym kraju w r. 1897, oblicza autor na około 2½ mil. koron; „instytucyą gminną“ obejmuje fundusze, samoistne zakłady i wydatki z budżetu gminnego ¹⁾.

III

Mając już taki substrat faktyczny — przystąpił Wydział Krajowy do wykonania uchwały Sejmu z 18 lutego 1898 r. t. j. do wypracowania *projektu ustawy o opiece publicznej nad ubogimi*. Referat ten trudny i wysoce odpowiedzialny powierzono członkowi Wydziału Krajowego, Dr. Stanisławowi Dąbskiemu; już w połowie r. 1901 projekt ustawy był gotów i przedłożony przez Wydział Krajowy Sejmowi ²⁾.

Projekt ten *w ogóle* wzorowany na ustawie styryjskiej z 27 sierpnia 1896, i oparty na znanym systemie elberfeldzkim ³⁾ „zajmuje się tylko ubóstwem indywidualnem i to w ścieśnionym zakresie niesienia pomocy osobom, *które fizycznie nie są zdolne* do podjęcia jakiegokolwiek pracy, któraby im nawet tylko najskromniejsze pokrycie potrzeb koniecznych zapewnić mogła“. Podstawę prawną, na której opiera się obowiązek zaopatrzenia ubogich, t. j. prawo przy-

¹⁾ Str. 44, 52, 59, 74, 75 -- 78, 80 — 85, 88 i 91.

²⁾ Sprawozdanie z dnia 11 czerwca 1901 r. L. W. 38.721/01. (Nr. Alleg. 62).

³⁾ Ten system opiera się na dwóch zasadach głównych: indywidualizacyi (rozpatrzenie każdego wypadku ubóstwa szczegółowo i z osobna) i autonomii (obywatele spełniają urząd opiekunów ubogich bezpłatnie).

należności do gminy pozostawia projekt oczywiście nienaruszoną; *gmina wspólnie z obszarem dworskim zostaje powołaną* do spełnienia zadania. Dobroczynności prywatnej projekt ani nie pragnie przeszkodzić, ani też zatamować. Pomoc z funduszków publicznych udzieloną być ma tylko w wypadkach najkonieczniejszej potrzeby i tylko subsydiarnie: o ile działalność miłosierdzia prywatnego całości zadania sprostać nie może.

W szczególności¹⁾ — projekt ten tak się przedstawia:

Część pierwsza §§ 1 — 16 zawiera postanowienia ogólne. § 1 podaje definicję ubogiego; jest nim ten, kto nie jest w możności z własnych zasobów pokryć najniezbędniejszych do życia potrzeb lub też własną pracą zarobić na swoje najskromniejsze choćby wyżywienie i utrzymanie. Jednym z głównych zadań opieki publicznej jest powstrzymanie zawodowego żebractwa. *Zdolny do pracy bezwarunkowo nie ma prawa do wsparcia*. Działalność opieki nad ubogimi jest tylko przejściowa, a organa jej powinny się starać o ile możności o usunięcie przyczyny ubóstwa, ustawicznie wykonywać kontrolę nad stosunkami ubogiego, a stosownie do zmiany tych stosunków wstrzymywać, względnie zmieniać wsparcie. Równomiernie z gminą ponosi wydatki, wynikłe z wykonywania tej opieki, także obszar dworski. Ubogi nie może żądać wsparcia w drodze sądowej, lecz w drodze instancyj tą ustawą ustanowionej²⁾.

Gminy jednego powiatu mogą być dobrowolnie lub przymusowo połączone, celem wspólnego urządzenia opieki nad ubogimi.

Organa publicznej opieki mają się porozumiewać z instytucjami dobroczynności prywatnej, aby tem skuteczniej osiągnąć wspólny cel; *zarządy fundacyami i zakładami do broczynnemi*, które *nie stoją* pod bezpośrednią administracją kraju, powiatu lub gminy, mają obowiązek na żądanie

¹⁾ Uwzględnimy w tem przedstawieniu pomniejsze poprawki, uskutecznione po rewizji projektu w r. 1904; natomiast o zmianach ważniejszych, dokonanych w projekcie w 1904, pomówimy później osobno.

²⁾ Od orzeczeń gminnych rad ubogich — rekurs do Wydziału powiatowego, w dalszym ciągu do Wydziału Krajowego.

organów publicznej opieki nad ubogimi udzielać im wiadomości o wszelkich szczegółach, dotyczących ubogich, pod ich opieką będących. Wsparcie, udzielone w myśl postanowień projektowanej ustawy z funduszu ubogich, ma charakter świadczenia zwrotnego; do zwrotu obowiązany jest już to sam obdarzony, już to osoby trzecie, prawnie do opieki nad nim obowiązane.

Część druga jest najobszerniejsza i traktuje o rodzajach opieki (§§ 17—45). W szczególności pomocy ubogim udziela się przez:

1. Umieszczenie w domu ubogich, gdzie przedewszystkiem ubodzy dorośli, fizycznie lub umysłowo ułomni i zgrzybiali starcy ¹⁾ znajdują całkowite zaopatrzenie lub trwale schronisko. Gminy wraz z obszarami dworskimi winny starać się o zakładanie tych domów; łączenie się kilku gmin w tym celu jest wskazane. Na podstawie uchwały rady powiatowej może być założony powiatowy dom ubogich. Umieszczeni w tych domach są obowiązani do wykonywania robót dla zakładu, o ile im siły na to pozwalają. Zarząd winien być powierzony zakonom lub duchownym kongregacyom.

2. Zaopatrzenie w krajowym zakładzie dla nieuleczalnych i kalek. Koszta utrzymania ponosi gmina przynależności, w zastępstwie ubogich gmin może je przejąć Wydział Krajowy na fundusz krajowy ubogich w miarę istniejących do dyspozycyi funduszów; w ciężarach tych bierze udział równomiernie z gminą obszar dworski. Przyjęcia do zakładu udziela Wydział Krajowy.

3. Umieszczenie u osób prywatnych za wynagrodzeniem. W szczególności odnosi się ta forma zaopatrzenia do ubogich dzieci niżej 14 roku, których rodzice umarli, znajdują się w areszcie, w zakładach dla chorych i obłąkanych, domach przymusowej pracy, w domach ubogich, lub utracili władzę ojcowską. Ta opieka nad dziećmi w ten sposób ma charakter jednak subsydyarny, to znaczy, że będzie wykonywaną tylko o tyle, o ile istniejące ochronki, zakłady wychowawcze, domy dla sierot i t. p. całości zadania wypeł-

¹⁾ Z wyjątkiem chorych zakaźnie i umysłowo, furyatów, oraz pod pewnemi warunkami dzieci do lat 14.

nić nie będą w stanie. Dzieci należy wychowywać religijnie, obyczajnie, rozbudzać w nich zamiłowanie do pracy, posyłać do szkoły ludowej i przysposabiać do jakiejś zarobkowości. Koszta zaopatrzenia ma ponosić gmina przynależności.

4. Wyjątkowo przez wsparcie pieniężne, które bądź ma pokrywać całe utrzymanie ubogiego, bądź mieć charakter zasiłku częściowego.

5. Udzielenie żywności i przedmiotów użytkowych (zapłacenie czynszu najmu, udzielenie bandaży, lekarstw, narzędzi pracy i t. p.).

6. Pieczę nad ubogimi chorymi, która obejmuje udzielenie pomocy lekarskiej, opiekę przy połogu i dostarczenie potrzebnych środków leczniczych. Koszta udzielenia pomocy ponosi powiat względem przynależnych w obrębie powiatu bezwrotnie — za innych zaliczkowo z prawem regresu do tego wydziału powiatowego, w którego powiecie chory zaopatrzone ma swoją gminę przynależności.

7. Wreszcie przez pomieszczenie ślepych, głuchoniemych, głupowatych, upośledzonych na umyśle, nałogowych pijaków i epileptyków w specjalnych zakładach opiekuńczych — a moralnie zaniedbanych dzieci w zakładach wychowawczych.

Część trzecia projektu (§§ 46 — 61) traktuje o organach publicznej opieki nad ubogimi.

Gmina spełnia zadanie opieki nad ubogimi przez następujące organa:

1. Radę gminną, która wstawia w budżet kwotę potrzebną na wydatki miejscowego funduszu ubogich, pokryć się mające z dodatków do podatków, oraz bada i zatwierdza roczne zamknięcia rachunków tego funduszu.

2. Miejscową radę ubogich — organ najważniejszy, złożony z naczelnika gminy, przełożonych parafii i przełożonego obszaru dworskiego, lekarza i opiekunów ubogich¹⁾; rada układa i uchwała co rok budżet miejscowego funduszu ubogich, ze-

¹⁾ W gminach wiejskich z 3 (2 wybiera rada gminna a 1 mianuje obszar dworski), miejskich (3 członkowie rady m. wchodzi w skład rady ubogich) liczba ich jest nieograniczona — zależna od uznania rady m. w miarę potrzeby

stawia roczne zamknięcie rachunków; przyznaje i odmawia wsparcia, nadzoruje całą działalność, majątek i wszystkie fundusze publicznej opieki dla ubogich w gminie oraz współdziała przy wypracowaniu przez Wydział Krajowy statystyki; budżet gminnego funduszu ubogich zatwierdza wydział powiatowy, który ustanawia wysokość wydatków budżetowych; te ostatnie mają być pokryte przez obszar dworski — w stosunku do opłacanych podatków bezpośrednich.

3. Naczelnika gminy, który zarządza miejscowym funduszem ubogich, reprezentuje radę ubogich na zewnątrz, wykonywa jej uchwały, wymierza kary za przekroczenia ze stosunków spraw ubogich wynikłe, wspiera ubogich w nagłych wypadkach — w ogóle przejmuje obowiązki rady ubogich w sprawach zwłoki niecierpiących, oraz zarządza wywiady dla zebrania wiadomości o stosunkach ubogiego, żądającego pomocy z funduszków publicznych.

4. Przez miejscowych opiekunów ubogich, na lat 3 przez radę gminną wybieranych, względnie przez obszar dworski mianowanych; mają oni bezpośredni nadzór nad ubogimi i pieczę o ich utrzymanie w porozumieniu z dobroczynnością prywatną, przyjmują prośby o wsparcie, wywiadują się o stosunkach ubogiego i stawiają wnioski w miejscowej radzie ubogich, oraz udzielają wsparcia w wypadkach nagłych, w których niemożliwe jest poprzednie zawiadomienie naczelnika gminy — z warunkiem późniejszego potwierdzenia wydatku przez radę ubogich.

W powiecie rada powiatowa, względnie wydział powiatowy wypełnia obowiązki, w tej dziedzinie powiatowi poruczone. Rada powiatowa może nakładać dodatki do podatków, o ile istniejące fundusze nie starczą na pokrycie wydatków powiatu na opiekę nad ubogimi. Wydział powiatowy kontroluje miejscowe fundusze ubogich w powiecie i stara się o ich najkorzystniejszą fruktyfikację, oraz administruje powiatowemi zakładami dla ubogich.

i rozciągłości terytoryalnej gminy. Jeżeli przy gminie miejskiej znajduje się obszar dworski, mianuje także i on jednego opiekuna ubogich.

W kraju naczelną instancją, dozorującą sprawy ubogich, jest Wydział Krajowy, który zarządza krajowym funduszem ubogich i krajowymi zakładami dobroczynnymi, wreszcie nadzoruje w powiatach i gminach sprawowanie opieki publicznej nad ubogimi i gospodarkę funduszów ubogich.

Miasta posiadające własny statut i wogóle gminy o wielkiej liczbie mieszkańców mogą odrębnie zorganizować opiekę nad ubogimi — na zasadach swego statutu.

Pod względem finansowym interesuje nas część czwarta projektu, która zawiera postanowienia o funduszach opieki nad ubogimi.

Projekt odróżnia przedewszystkiem trojaki fundusze ubogich: 1) gminne, 2) powiatowe, 3) krajowe.

1. Obejmuje majątek przeznaczony dla celów publicznej opieki nad ubogimi i dla tego celu utworzone zakłady; dochody jego stanowią: wpływy z majątku zarodowego, dobrowolne datki, darowizny i zapisy, kary pieniężne, grzywny, specjalnie przez radę gminną przydzielone dochody, wreszcie ewentualnie nałożone na ten cel dodatki do podatków.

2. Powiatowy fundusz ubogich obejmuje majątek w powiecie przeznaczony na cele publicznej opieki nad ubogimi, jego dochody, służące dla tych celów zakłady, dobrowolne dary i darowizny, wpływy na podstawie poszczególnych ustaw i uchwał rady powiatowej, oraz ewentualnie dodatki do podatków na pokrycie wydatków funduszu powiatowego ubogich, niepokrytych powyżej wymienionemi dochodami.

3. Krajowy fundusz ubogich służy do zakładania i urządzania krajowych zakładów dla nieuleczalnych i kalek, oraz do ponoszenia kosztów utrzymania w tychże w pewnych wypadkach, do udzielania pod pewnym warunkiem pomocy ubogim gminom, które nie mogą należycie zaopatrywać swoich ubogich, do udzielania ubogim chorym wsparć w miejscach kąpielowych i pomocy gminom do wykonywania opieki nad ubogimi dziećmi w gminie ¹⁾, do pokrywania kosztów

¹⁾ W którym to celu należy utworzyć odrębny dział krajowego funduszu ubogich.

utrzymania ubogich w specjalnych zakładach opiekuńczych i wychowawczych, wreszcie do subwencyonowania instytucyj i towarzystw dobroczynnych; pomoc dla funduszu ubogich miast, mających własny statut, określi osobna uchwała sejmowa.

Do krajowego funduszu ubogich wpływają: darowizny, fundacye, zapisy, przychody na mocy poszczególnych ustaw lub uchwał sejmowych, oraz dotacya z funduszu krajowego.

Część piąta (§ 68) zawiera postanowienie karne.

Kto w sposób podstępny wyłudza wsparcie, zachowuje się zuchwale wobec udzielającego wsparcia, albo otrzymane przedmioty użytkowe bez upoważnienia sprzedaje lub złośliwie niszczy, podlega karze aresztu do dni 8, o ile czyn dany nie nosi znamion, które go kwalifikują pod przepisy ustawy karnej. Wymiar kar i wykonanie orzeczeń karnych należy do zadań poruczonego zakresu działania gminy.

Wreszcie *część szósta* i ostatnia zawiera postanowienie końcowe (§§ 69 – 72). Na podstawie tej ustawy wydanym orzeczeniom i zarządzeniom, o ile mają za przedmiot świadczenie pieniężne, przysłuża egzekucya polityczna przez władzę administracyjną. Prawa nadzoru, zastrzeżonego władzy administracyjnej państwowej w ustawie gminnej, projekt w niczem nie narusza.

Sprawozdanie Wydziału Krajowego z omówionym wyżej projektem ustawy, przydzielone komisji administracyjnej, załatwione zostało w ten sposób, iż komisya zaproponowała Sejmowi uchwalenie rezolucyi, polecającej Wydziałowi Krajowemu, by celem lepszego zorganizowania opieki nad ubogimi a poparcia odnośnej działalności gmin i powiatów, utworzył fundusz opieki nad ubogimi, dotowany z funduszków krajowych w miarę możliwości budżetowej i aby w tym celu utworzył nowy dział budżetu, poczynawszy od r. 1902.

Powyższe sprawozdanie komisji administracyjnej nie zostało jednakowoż przez Sejm załatwione.

Ze względów na niepomysłny stan funduszu krajowego Wydział Krajowy postanowił na razie sprawy tej nie poruszać, gdy jednak Sejm na posiedzeniu dnia 24 października 1903 r. w załatwieniu sprawozdania komisji sanitarnej o sprawozdaniu Wydziału Krajowego z czynności Dep. V

uchwalił polecić Wydziałowi Krajowemu, aby na najbliższej sesji przedstawił ponownie Sejmowi projekt ustawy regulującej opiekę nad ubogimi, kalekami i nieuleczalnymi, Wydział Krajowy, wykonując to polecenie, przedłożył na ostatniej sesji sejmowej sprawozdaniem z dnia 12 września 1904 L. 113.601/03 nowy projekt ustawy o opiece publicznej nad ubogimi, który w ogólnych zarysach jest powtórzeniem znanego nam już projektu Wydziału Krajowego z r. 1901 — w szczególności jednak zawiera kilka zasadniczych zmian, które okazały się koniecznymi, tak ze względu na znaczne już obciążenie funduszków powiatowych innymi wydatkami, jako też ze względu na stan funduszu krajowego.

Zmiany te są następujące:

1. Zakłady dla nieuleczalnych mogą być utworzone nie tylko z funduszu krajowego, ale także z funduszków powiatowych i gminnych.

2. Z części drugiej projektu wykreślono postanowienia streszczone wyżej pod l. 6 t. j. te, które traktowały o pieczy nad ubogimi chorymi. Uczyniono to dlatego, aby zbytecznie nie obciążać funduszków powiatowych.

3. Odpadł dalej obowiązek nakładania przez powiaty dodatków do podatków bezpośrednich na rzecz powiatowego funduszu ubogich, o ile inne na ten cel wyznaczone źródła nie wystarczałyby do pokrycia wydatków powiatu w dziedzinie publicznej opieki nad ubogimi.

4. Wreszcie uległy zmianie postanowienia dotyczące krajowego funduszu ubogich.

Utworzenie tego funduszu, przeznaczonego do pokrywania wydatków kraju w dziedzinie publicznej opieki nad ubogimi, jak nie mniej użycie go na cele założenia i urzędzenia krajowych zakładów dla nieuleczalnych i na pomoc dla powiatów i gmin na urządzenie takich zakładów, wreszcie na pomoc z krajowego funduszu ubogich dla funduszu ubogich miast, mających własny statut — wymagałoby miało we wszystkich tych wypadkach każdorazowo osobnego przyzwolenia Sejmu.

Mimo znacznych zmian uczynionych w nowym projekcie, a zmierzających do możliwie najmniejszego obciążenia funduszu krajowego, oraz funduszków powiatowych, zwraca

jeszcze Wydział Krajowy w powołanem sprawozdaniu z dnia 12 września 1904 r. bardzo słusznie w końcowym ustępie uwagę Sejmu na tę okoliczność, iż przez uchwalenie nawet tak zmodyfikowanego projektu, fundusz krajowy będzie musiał w przyszłości ponosić znaczne na ten cel ofiary, jeśli uchwalona ustawa nie miałaby pozostać tylko martwą literą.

Projekt ten, w ten sposób zmodyfikowany, został przydzielony komisji administracyjnej, która w pierwszej połowie października 1904 przeprowadziła tylko dyskusję ogólną, w ciągu której większa część mowców podniosła wielką uciążliwość ustawy dla funduszu krajowego i funduszy powiatowych, a przede wszystkim wielką trudność w wykonaniu tej ustawy. Gdy znaczna większość komisji głosowała przeciw przejściu do dyskusji szczegółowej, *ustawa w ten sposób upadła w komisji*, która uchwaliła jedynie polecić Wydziałowi Krajowemu, aby postarał się o zebranie dat co do wydatków ponoszonych przez gminy na rzecz ubogich i daty te przedstawił Sejmowi.

Taki jest w krótkości przebieg usiłowań ustawodawczego uregulowania opieki publicznej nad ubogimi w Galicji.

Jak z powyższego przedstawienia rzeczy okazuje się, Wydział Krajowy nie ponosi żadnej winy, że usiłowania jego, aby tę sprawę piekącą i tak doniosłą ze względu obyczajowego i społecznego, jako też gospodarczego i administracyjnego należycie i stanowczo raz załatwić, nie osiągnęły dotychczas pozytywnego rezultatu. Przeciwnie — tak przygotowanie projektu, jako też modyfikacja jego świadczą wymownie o tem, że Wydział Krajowy wywiązał się z zadania, przez Sejm nań włożonego, w sposób, przynoszący tylko zaszczyt autorowi projektu, gdyż nie tylko oparł się tenże przy pierwotnej redakcyi na najlepszym wzorze, jakim z pomiędzy wszystkich ustaw krajowych w Austrii jest niewątpliwie w tym kierunku ustawa styryjska, ale nadto poczynił w nim liczne zmiany, które korzystnie wyróżniają go od swego wzoru ¹⁾; trudne wreszcie położenie finansowe kraju

¹⁾ Wprowadzenie trzech instancyj w sprawach ubogich, rozszerzenie zakresu działania rady ubogich, powołanie obszaru dworskiego do ponoszenia wydatków wspólnie z gminą.

kowo nie otrzymasz wsparcia. „Jest to najważniejszy i najistotniejszy punkt w całej organizacji publicznej opieki nad ubogimi, która racjonalnie pojęta winna mieć dwa cele na oku, zależnie od stanu ubogiego: restytucję gospodarczą, jeżeli ubogi do pracy jest zdolny, a całkowite zaopatrzenie, jeśli do pracy jest niezdolny. Wskutek tego domy pracy winny być połączone z biurami pośrednictwa pracy.

Galicja nie posiada na wzór Wiednia i Pragi domów pracy, również nie istnieją w naszym kraju zakłady przymusowej pracy, *bez których pod żadnym warunkiem opieki publicznej nad ubogimi nie zorganizujemy należycie*¹⁾. Posiadamy zaledwie 80 domów zaopatrzenia, które w r. 1900 dawały schronienie ogółem 2.015 osobom, oraz 37 domów dla dzieci osieroconych, ubogich i opuszczonych, w których znajduje 2.325 dzieci utrzymanie i przytułek²⁾.

¹⁾ Mamy ustawę państwową z 24 maja r. 1885 o domach pracy przymusowej i zakładach poprawczych — ale nie mamy w kraju tych zakładów, o które piecza wedle § 1 tej ustawy należy do kraju. Domy te istnieją we wszystkich innych krajach koronnych, prócz Dalmacyi i Bukowiny. Na ostatniej sesji sejmowej sprawę założenia domów przymusowej pracy i kolonii poprawczej dla małoletnich przestępców, poruszył poseł Maryewski. Komisya administracyjna w sprawozdaniu z 20 października 1904 r. L. s. 1542 przedstawia całą długą historję tej sprawy, która datuje się jeszcze od r. 1886, w gdy po raz pierwszy Sejm domagał się od rządu zaprowadzenia w naszym kraju tych zakładów. W r. 1890 zwołana przez Wydział Krajowy ankieta badała rzecz wszechstronnie; specjalny delegat Wydziału Krajowego studyje urzędzenia licznych takich zakładów za granicą. Rząd, który przyrzekł przyczynić się do ich powstania w Galicji, obojętnie i z wieloma trudnościami (żądano zmiany kosztorysu, to znowu powtórnie przeróbki planów i zbadania sprawy ze stanowiska sanitarnego) co ostateczną decyzję tem bardziej odwlekło, że Tuligłowy i Bylice, gdzie zakłady te miano założyć, w międzyczasie zmieniają właściciela.

Ostatecznie — Sejm odstąpił wniosek posła Maryewskiego Wydziałowi Krajowemu do zbadania i postawienia wniosku; w pierwszym rządzie ma Wydział Krajowy przedłożyć plany na zakład kolonii poprawczej dla małoletnich przestępców.

²⁾ Zob. *Oester. Stat.* LXXX Band. *Sanitätswesen.* 2 Hft. pro 1900. Wien 1903, pag. XXX i XXXI, oraz 250 i 251.

Posiadamy liczne, wypróbowane w innych państwach (Hollandya, Niemcy, Anglia) przykłady, co znaczy dobrze zorganizowana opieka t. zw. zakładowa (*geschlossene Armenpflege, indoor relief*), jak ważnym — bez przesady rzecz można, najważniejszym — jest ona czynnikiem, który najdzielniej zwalcza i wyplenia żebractwo, powodując najracjonalniejsze zaopatrywanie ubogiego, wskutek czego z wielu powodów technicznej, gospodarczej i wychowawczej natury, zasługuje na wysunięcie na czoło przy każdej reformie spraw opieki nad ubogimi.

Z tych powodów uważalibyśmy za wskazane, aby nasz Sejm krajowy, który — jak to sądzić wolno na podstawie przebiegu dotychczasowych usiłowań zamierzonej reformy w tej dziedzinie od r. 1897 — nie zdobędzie się wkrótce z powodów finansowej natury na stanowcze ustawodawcze uregulowanie tej sprawy w kraju, zajął się na razie przynajmniej *successive* wprowadzaniem w życie wspomnianych co dopiero instytucyj, przedewszystkiem w tych powiatach, w których, jak to badanie statystyczne wykazać winno, ubóstwo i żebractwo stosunkowo są największe, gdzie przeto instytucje te i zakłady są szczególnie potrzebne, i w ten sposób powoli przygotowywał grunt dla organizacyi ogólnokrajowej.

Wedle naszego zapatrywania wniosek ten godzi się z intencjami streszczonego wyżej projektu ustawy, który żąda ograniczenia pomocy publicznej na „osoby, które fizycznie nie są zdolne do podjęcia jakiejkolwiek pracy“. A cóż począć z temi tysiącami ubogich, którzy do pracy są zdolni — lecz jej znaleźć nie mogą¹⁾, albo też wcale nie chcą pracować? Wszak nikt nie zaprzeczy, że są tacy! Coś z nimi

¹⁾ Ta kategoria ludzi ubogich — mówi trafnie Dr. Bronisław Łoziński w swej *Opiece publicznej nad ubogimi*, Lwów 1890, str. 48 — stanowi materiał, z którego los stosownie do stosunków, otoczenia a nawet zrządzeń przypadku, wytwarza pożytecznych pracowników albo zgraję włóczęgów, usiłujących żyć bez pracy z żebractwa lub w danym razie nawet ze zbrodni. Ubogi tej kategorii stoi nad bezdenną przepaścią moralną, w której ginie najczęściej, je-żeli pozostawiony został losowi swojemu, od której jednak w chwili krytycznej, odwieść go może jakakolwiek pomoc-

trzeba przecież zrobić. Najpierw więc powinniśmy stworzyć silną i racjonalną opiekę zakładową (domy pracy, zakłady zaopatrzenia i t. d.),¹⁾ połączyć ją z biurami stręczenia pracy dla ubogich — a potem dopiero możemy uznać działalność publicznej opieki za przejściową. Inaczej — dobroczynność publiczna będzie tylko odmianą dobroczynności prywatnej t. j. jałmużną nieracjonalną, albo też rzeczą wprost okrutną i nie-ludzką, jeżeli ograniczymy ją z góry już tylko na niezdolnych do pracy.

To jest pierwszy — zasadniczy zarzut, który czynimy projektowi Wydziału Krajowego, że w kraju, który nie zorganizował jeszcze u siebie opieki zakładowej, ani też nie posiada specyficznie w tym celu urządzonego pośrednictwa pracy²⁾, wyłącza projektowana ustawa od korzystania z publicznej pomocy całe szeregi ubogich tylko dlatego, że są do pracy zdolni, nie pytając ani o przyczynę zubożenia, ani też o chęć do pracy.

często jedna sposobność do małego zarobku, umożliwiającego przetrwanie przesilenia.

- 1) Na ostatniej sesji sejmowej poseł Mars podniósł potrzebę urządzenia domów przytułkowych dla włóczęgów, kalek i uzdrowieńców.
- 2) Ustawa krajowa z 16 marca 1904 r. L. 56 dz. u. k. wprowadziła publiczne biura pośrednictwa pracy, jako instytucję fakultatywną (§ 3), a nie obligatoryjną — celem ułatwienia znalezienia pracy, służby i zarobku wogóle z jednej, a robotników i sług wszelkiego rodzaju z drugiej strony (§ 1). Z motywów ustawy (*Sprawozd. Komisji admin.* z 5 listopada 1901 r., Lw. 2260 — alleg. 178) cel jej dobitniej wypływa: celem tym nie jest ułatwianie i popieranie emigracyi, lecz skombinowanie stosunku podaży do popytu pracy i zaspokojenie w pierwszym rzędzie potrzeby kraju, ochrona robotnika od wyzysku i zdemoralizowania.

Otóż — w wielu wypadkach *takie* pośrednictwo pracy ułatwi żądanie władzy ubogich (biura miejskie — w większych miastach), często jednak okaże się ono niewystarczającym tak z powodu, że w myśl powołanej ustawy biura takie nie wszędzie muszą być założone, jako też dlatego, że pośrednictwo pracy w organizacyi opieki publicznej nad ubogimi powinno być w bardzo blizkiej łączności z domami pracy i przytuliskami, aby przeciwdziałać żebractwu i umożliwiać wywarcie przymusu na ubogich, do pracy zdolnych.

Powtóre — nie spotykamy w projekcie jednego, naszym zdaniem w wielu wypadkach bardzo praktycznego i szczególnie po wsiach w niektórych krajach rozpowszechnionego sposobu wspierania ubogich: kolejnego kwaterowania ubogich po domach. Okoliczność tę może i powinna statystyka wyświecić. Wydziały powiatowe w Chrzanowie, Gorlicach, Nadwornie Skalacie w swoich sprawozdaniach (por. wspomniane już *Materyały do reformy ustawy gminnej*), przedłożonych Wydziałowi Krajowemu, wspominają o tej formie opieki. Może być przeto, że nie wszystkie wydziały powiatowe zwróciły uwagę na ten praktyczny, skuteczny a w naszych stosunkach może najmniej uciążliwy sposób wsparcia. Może ono istnieje i w innych powiatach — w każdym razie przyjąłoby się mogło łatwo w wielu miejscowościach, jeżeliby ustawa krajowa pozostawiała członkom gminy do wyboru ten rodzaj prestacyi albo udział pieniężny w pokrywaniu kosztów ¹⁾).

Również ograniczenie ustawowe liczby opiekunów ubogich w gminach wiejskich nie zdaje się nam być właściwe. Liczba ta winna być względną t. j. zależną od ilości ubogich oraz od rozległości gminy i jej wielkości. Nadto uważalibyśmy za bardzo praktyczny przepis, na podstawie którego wolno byłoby radzie gminnej mianować płatnych opiekunów ubogich, gdyby kilkakrotne doświadczenia wykazały, że ci, którzy urząd ten mają spełnić bezinteresownie, mimo upomnień obowiązki spełniają niedbale i niesumienne.

Niezmiernie ważnym środkiem pomocniczym przy każdej reformie spraw ubogich jest *statystyka ubogich* ²⁾. I chociaż nigdy nie może być ona zupełnie dokładna, bo nigdy nie można mieć absolutnej pewności, że ci, którzy wsparcie otrzymali, to prawdziwie ubodzy, którzy na pomoc istotnie

¹⁾ B. Łoziński, j. w. str. 40 i 41.

²⁾ *Nicht leicht* — mówi dr. Rettich w swojej znakomitej pracy: *Die Stuttgarter Armenbevölkerung im Lichte der Statistik* w *Beiträge zur Statistik der k. Haupt- und Residenzstadt Stuttgart* 2. (Würt. Jahrb. für Stadt. und Landeskunde. Jahrg. 1897. 4 Heft. Stuttgart 1898) — *auf einem andern Gebiete wird die statistische Untersuchung so unmittelbar praktische Zwecke fördern können, wie gerade auf diesem, sei es, dass sie den durch Einzelbeobachtungen befangenen,*

zasługują, oraz, że ci wszyscy, którzy rzeczywiście wsparcia potrzebują, otrzymali je, mimo to jednak — jak liczne przykłady (np. Styryi) niezbiecie pouczają — tylko ten kraj ma dobrą ustawę o opiece nad ubogimi, który ma możliwie dobrą taką statystykę. U nas — dotąd takiej statystyki niestety niema. Wspomniana praca p. Bartoszewicza jest wzorem sumienności i ma wartość naukową w całym tego słowa znaczeniu, ma jednak z drugiej strony tyle ujemnych stron, luk i niedokładności, jak to już — za autorem — podnieśliśmy, że na podstawie takiego substratu trudno oprzeć z całym spokojem tak doniosłe dzieło ustawodawcze, jakim ma być bezwątpienia krajowa ustawa o opiece publicznej nad ubogimi. Przedewszystkiem więc winienby Wydział Krajowy (Biuro statystyczne krajowe) zająć się ponownem opracowaniem materiału statystycznego; praca ta, dokonana możliwie przy użyciu tych samych sił, byłaby według wszelkiego prawdopodobieństwa już znacznie lepszą od próby z r. 1901, skorzystanoby bowiem z szeregu doświadczeń poczynionych przed czterema laty. Badanie nadto należałoby stanowczo rozszerzyć tak na ilość ubogich, jak i na jakość wsparć (zakładowe — pozazakładowe), co pominięto w r. 1898; dwa inne ważniejsze kierunki tego badania zaznaczyliśmy już wyżej. Na podstawie takiej statystyki nabralibyśmy już dokładniejszego poglądu na faktyczny stan ubóstwa w kraju — tem samem moglibyśmy w następstwie tego obmyśleć lepsze wnioski do ustawodawczego uregulowania tej sprawy przez reprezentację krajową — w interesie tak ubogich samych, jak i całego społeczeństwa ¹⁾.

Dr. Jerzy Michalski.

Blick der Unterstützung Reichenden hinlenkt auf das durch objektive Prüfung, Sichtung, Gruppierung und Zählung gewonnene Bild der Wirklichkeit, sei es, dass sie Winke giebt für die Gestaltung der Armenpflege. Str. III.

¹⁾ W ocenę krytyczną „ramowej“ ustawy państwowej o prawie przynależności, o ile na niej oparte jest materalne prawo ubogich, nie wchodzimy tutaj; rozbiór taki przekraczałby ramy tych uwag. Czytelnika odsyłamy w tym przedmiocie do naszej rozprawy p. t. *Prawo ubogich*. Kraków. 1904. Str. 88 — 104.

Kronika literacka.

— Kazimierz Chłędowski: *Siena*. (W Krakowie — Skład główny w Księgarni Gebethnera i Sp., 1904, str. XVI, 528). — Każdego człowieka wykształconego bierze zapewne czasem ochota wyraźnego uprzytomnienia sobie przeszłości. Wyobraża ją sobie zazwyczaj konwencyonalnie, jakby na obrazku, co najwięcej jakby coś widzianego z daleka na scenie. Ale to nie zawsze wystarcza; pragniemy się czasem przenieść żywcem w przeszłe wieki, spojrzeć na nie jakby na jawie, ucieć, że tak rzekę, oddech dawnych pokoleń. Gdy chodzi o trzy ostatnie stulecia, udaje nam się to, a jeszcze o ludziach XVIII wieku mówią starsi przynajmniej wrażenie, że to ludzie prawie współczesni, z którymi nam łatwo przyszło obcować, z którymi byśmy się od razu mogli porozumieć. Gdy chodzi o starożytnych Greków i Rzymian, trudno nam zapomnieć o posągach, uprzytomnić sobie ludzi z krwi i kości; Rzymianie z obrazów Siemiradzkiego i Alma Tademy wydają się nam kimś, kogo byśmy nigdy na ulicy żywego spotkać nie mogli; ale ten nawet, kto się w klasycznych autorów nie wczytał — a zatem ogromna większość wykształconych — wie z powieści historycznych, jak późniejsza przynajmniej starożytność wyglądała. Nie bardzo nam się chce wierzyć w błędnego rycerza i średniowieczną damę z powieści Waltera Scotta, podejrzujemy, że wiemy o średnich wiekach coś nieprawdziwego — ale wiemy o różnych rzeczach. Najgorzej podobno stoi sprawa z włoskim Renesansem. Od czasu zwłaszcza, jak kolej żelazna ułatwiła tak kosztowną niegdyś do Włoch podróż, zajmuje się mnóstwo Europejczyków namiętnie pałacami i kościołami, malowidłami i rzeźbami włoskiego *quattrocenta* i *cinquecenta* i nawet *trecenta*, widziało na oczy ówczesne pomieszkania i konterfakta ówczesnych ludzi, jakby żywych. Ale jak który z nas spyta się, jak ci ludzie żyli, jak się rządzą, jaką była na prawdę historia grodów, w których stała kolebka nowożytnej cywilizacji — pójdzie chyba po odpowiedź do niemieckiej książki Burckhardta

o Renesansie — i dostanie odpowiedź — doprawdy że fragmentarną tylko. Prawda, że na tę biedę byłaby łatwa rada, bo literatura włoska, współczesna Renesansowi, i piękna i bogata, przechowała się w całości. Ale któż ma czas te stare księgi przeczytać? — Ja czytuję bardzo wiele, ale czasu doprawdy nie miałem. Co wiem, wiem przeważnie z rozmaitych podręczników. Bardzo się tedy ucieszył, kiedy dostałem do rąk dwie polskie książki, które prawie równocześnie, właśnie przed rokiem, światło dzienne ujrzały, a które mi się wydały tak dobre, tak gruntowne, a tak przytem zajmująco napisane, że teraz, kiedy mnie się kto młody pyta, z jakich dzieł mógłby sobie wytworzyć jasne wyobrażenie, nie tyle o sztuce, ile o życiu za włoskiego Odrodzenia, polecam mu śmiało przeczytanie książki Zdzisława Morawskiego: *Sacco di Roma* i książki Kazimierza Chłędowskiego: *Sienna*.

Ucieszyłem się temi książkami nie pomału. Raz dla tego, że spędziłem bardzo miłe godziny, czytając rzeczy dobrze napisane, malownicze a przejrzyste, z których się dowiedziałem nie jednej dla siebie nowej a ciekawej rzeczy. Ucieszyłem się oczywiście i dlatego, że autorami tych książek są moi dobrzy znajomi, powiem więcej, moi przyjaciele, którzy, siedząc na wiedeńskim bruku, najlepsze świadectwo swojemi dziełami wydali polskiej kolonii w Wiedniu i wysokiemu wykształceniu urzędników ministerstwa dla Galicyi, w którym Morawski pracuje obecnie, a w którym Chłędowski pracował długo, którem czas krótki kierował jako minister. Ale ucieszyłem się także tem, że to książki po polsku, przez Polaków napisane. Powiadają, i to poważni ludzie, żeśmy tylko polskimi rzeczami powinni się zajmować. Doświadczenie życia i doświadczenie dziejów uczy mnie wcale czego innego. Powiadam: póki Polacy się nie nauczą zajmować — nie tym lub owym szczegółikiem obcym — ale sprawami zajmującemi całą ludzkość, swoich spraw naprawdę rozumieć, swojemu narodowi dobrze służyć nie potrafią. Aby Polska dała sobie radę między narodami, musi się z niemi równać wysokością swojej kultury i zakresem swojej myśli; dobry to tedy znak, rzecz pomyślna, że dwóch Polaków napisało książki o Renesansie włoskim, tak dobre, żeby się niemi każda na świecie literatura poszczyciła.

Sądząc po tytule książki Zdzisława Morawskiego: *Sacco di Roma*, myślałby ktoś, że chodzi tylko o opis jednego zdarzenia. Tak nie jest. Chodzi o historię Włoch w chwili, w której się słońce Renesansu miało ku zachodowi, a tę historię opisał Morawski tak barwnie, tak żywo, że wchodzisz w sam środek spraw, że masz prawie wrażenie, iż się fizycznie ocierasz o tych ludzi, których portrety niezrównane widywałeś po galeriach. O tej książce wspominam, by dług wdzięczności uiścić autorowi. Nie zamierzam o niej długo pisać, a to z dwóch wa-

żnych przyczyn. Raz, bo nie jestem kompetentny do sążnienia historycznego ściśle dzieła, skorom się nigdy naukowemu badaniu historii włoskiej nie oddawał; powtóre, ponieważ na przelotnie przeszłowi, cygan nie ma zwyczaju swoich dzieci w *Przeglądzie Polskim* chwalić — czyli raczej: chwali je i to bardzo, jeśli są tylko dziećmi rodzonymi, Stańczykami z krwi i kości — ale nie za to, co w *Przeglądzie Polskim* drukowali — a Zdzisław Morawski swoją książkę właśnie najpierw w *Przeglądzie Polskim* wydał.

Siena Chłędowskiego wyszła od razu jako osobna książka, więc tu o niej pisać wypada, a właściwie — rozważywszy wartość dzieła — nie pisać, nie wypada. Spyta się ktoś, czy się czuję kompetentnym do pisania o tej monografii? Czym taki Sieneńczyk, że aż wyrokować mogę o tem, co warta monografia o Sienie? — Oczywiście, że nie kontrolowałem i nie mogłem kontrolować wszystkich szczegółów, podanych przez autora. Ale przecie sądzę, że z całą pewnością bardzo poważną wartość dzieła stwierdzić mogę. Sienę znam — nie tak dobrze, jak Kazimierz Chłędowski — ale zwracałem do niej nie raz. Stoi mi w oczach średniowieczne miasto, zbudowane na malowniczych wzgórzach, pełne zamków ceglanych, wieńczone wieżami fantastycznymi. Widzę w pamięci wyraźnie półkole, jakie Piazza del Campo tworzy po przed ratuszem, o wieży wznoszącej baszty szczytu gdzieś aż pod niebiosa, i widzę na ogromnym placu Fonte Gaja i kolumnę z rzymską wilczycą. W oczach mi jaśnieje przepyszna, wielobarwna, marmurowa fasada katedry, a bierze mnie jeszcze zachwyt na wspomnienie bajecznych łuków owej niedokończonej katedry, o której wyobraźnia Sieneńczyków niegdyś zamarzyła. Pamiętam mnóstwo innych świątyń, różne malownicze zaułki Sieny, większą nierównie część dzieł sztuki, wspomnianych w książce Chłędowskiego. Zresztą nie pierwsze to dzieło czytałem o Sienie, nie obcą mi jest staro włoska literatura, wielką część życia strawiłem na studyum sztuki włoskiej i choćbym oczywiście — bez długich badań — nie był w stanie książki o Sienie napisać, przedmiot nie jest znowu dla mnie tak obcym, abym nie mógł o napisanem dziele sądu wydać.

Zresztą o tem, jak dobrym jest dzieło Chłędowskiego, świadczy najlepiej rodzaj błędów, jakie w niem wykryłem — a nie mówię tu oczywiście o poglądach ogólnych — bo czasem może mi się jakiś pogląd osobiście niepodobać, choć wcale stanowczo twierdzić nie mogę, abym ja miał rację, aby się autor mylił. Mam na myśli błędy, o których wiem wyraźnie, że są błędami, że się z prawdą nie zgadzają. Takie błędy muszą być w każdej książce — znalazły się tedy i w tej, o której mowa. Ale to same błędy, za które nie można uczynić odpowiedzialną wiedzę autora, tylko niedbałość korekty. Bo nikt przecie nie

przypuszcza, aby Kazimierz Chłędowski wierzył istotnie, że *San Giorgio*, to św. Grzegorz i że jeden z kanonizowanych papieży, albo biskupów tego imienia zabawił się w Perseusza, zabił ogni-stego smoka, aby piękną egipską wyswobodzić królową. Nikt nie smoczy, aby Kazimierz Chłędowski myślał, że Grzegorz VII walczył z Fryderykiem Rudobrodym, albo zgola, że Piłat mordował Niewiniątka Betleemskie. To oczywiście błędy wydania, a nie błędy dzieła, to nieprzyjemne zdarzenia, wynikię z tego, że autor siedział we Włoszech, kiedy się książka drukowała.

Jeśli się czyta książkę, poruszającą ciągle różne sprawy człowiekowi mniej więcej znane, zdarza się niestety często, że odkrycie stanowczo błędnych twierdzeń, przeczących wprost niezawodnym wiadomościom, skąd inąd powziętym, zachwieje ufnością w wiedzę autora — choćby te twierdzenia tyczyły się szczegółów tylko pomniejszych. Wtedy człowiek wątpi, czy mu się wolno coś nowego z książki nauczyć? Bywa nierównie gorzej, i to nawet przy książkach, napisanych z wielką pretensją; bywa, że cała treść książki nie da się żadną miarą pogodzić z ogólną a niezawodną wiedzą, jaką człowiek posiada; wtedy książka może być dowcipną, może świadczyć o rozbudzonym umyśle autora, albo o jakimś rozpowszechnionem, modnem bałamuctwie, ale naukowo nie bywa warta. Gdy chodzi o *Siene* Chłędowskiego, znalazłem w niej mnóstwo szczegółów, o których wróble weale na dachach nie świszczą, ale ściśle zgodnych z tem, co ja skądinąd na pewne wiedziałem; znalazłem obraz całości, nie tylko licujący doskonale z dzisiejszym stanem nauki, ale tak pełny wewnętrzznego prawdopodobieństwa, że autorowi chyba odmówić wiary nie wolno w niemem; ani jednego nie znalazłem szczegółu sprzecznego z tem, co wiem jako coś pewnego, a w dodatku dowiedziałem się mnóstwa rzeczy, o których wpiery nie wiedziałem dokładnie, albo nie wiedziałem weale. Więc z najczystszeu sumieniem mogę książkę polecić, nie tylko jako czytanie nadzwyczaj zajmujące, ale także jako dzieło poważne, w całym znaczeniu tego słowa.

Najwięcej mnie zajął opis dziejów, urządzeń i obyczajów Sieny, zajmujący większą nieco dzieła połowę. Obraz to dziwnie barwny, tętniący życiem. Czytelnik ma prawie wrażenie, że był naocznyu świadkiem bitwy wielkiej, w której Sienieńczycy pobili na głowę swoich odwiecznych wrogów, Florentyńczyków, przyczem jedna niewiasta całą gromadę nieprzyjaciół pojmała w niewolę; patrzy potem na ostatnią, bohaterską obronę Sieny przeciw Hiszpanom, przy której niewiasty z najwyższych stanów brały udział czynny, nie zapominając o nadobnym stroju: słucho poważnych narad Signorii i tłumnych zamieszek rewolucyjnego ludu, a podsłuchuje spiski wielmożnych rycerzy, buntujących lud przez zaciekłą prywatę; wybiera się z poważnym kupcem lub bankierem w drogę do dalekiej Francyi, hula i pije

z artystą ladaco, stroi się wraz z ubóstwioną platonicznie przez poetów damą i towarzyszy jej po krążgankach przerzuconych ponad wąskie ulice, gdy się udaje do sąsiadów w odwiedzinę, albo bawi z nią na willeggiaturze w tokańskich kąpielach; słucha we wspaniałej katedrze pieśni błagalnej ludu, albo na rynku głosu natchnionego kaznodziei; bierze nareszcie udział w uroczystościach, któremi republikanie uraczyli rodaka swojego, papieża Piusa II, gdy do ojczystego zawitał grodu. Z bezmianennego tłumu wychylają się postacie znakomitszych Sienieńczyków wyraźnie. Poznajemy na prawdę św. Katarzynę, św. Bernardyna i tyrana Petrucci'ego, a żałować tylko przychodzi, że autor nie wykończył tak nadzwyczaj charakterystycznej i malowniczej postaci malarza Sodomy. Domyślam się, że tego dlatego nie uczynił, ponieważ to, co wiemy o życiu artysty, raziło Kazimierza Chłędowskiego, największego zapewne wielbiela, jakiego się Sodoma kiedykolwiek doczekała, skoro Chłędowski Sodomę ponad Rafaela przekłada.

Gdy mówiłem o poglądach, ce do których się z Chłędowskim nie zgadzam, miałem właśnie na myśli sąd o sztuce i o artystach sienieńskich. Dzieje rozwoju tej sztuki podał autor doskonale — a szkoda tylko, że pominął całkiem, albo prawie całkiem milczeniem obrazy monumentalne, wykonane przez Sienieńczyków po za ojczyznę, a mianowicie pełne straszliwej grozy freski Lorenzetti'ego w Campo Santo pizańskim i pyszne malowidła ścienne w Capella dei Spagnuoli, przy kościele Santa Maria Novella we Florencyi, które niegdyś przypisywano uczniowi Giotta, Taddeo Gaddi, a które nowożytna krytyka przyznała stanowczo sienieńskiemu mistrzowi Martiniemu. I znowu wpadam na podejrzenie, że to milczenie nie było bez kozery. Bo Chłędowski podziwiał przede wszystkim u Sienieńczyków wdzięk tak czuły, że się aż zniewieściałym wydać może, a wielcy, pierwotni malarze sienieńscy XIV wieku nabierali mężkiej siły, kiedy wyjechawszy z fantastycznej nieco ojczyzny, tworzyli arcydzieła w Pizie albo we Florencyi. Kto inny te właśnie, po za Sienę powstałe freski, może najbardziej podziwiał; Chłędowskiemu już tak do serca nie przypadają; żal mu prawie, że jego ukochani Sienieńczycy i tak także malować umieli.

Mają to już do siebie Włochy. Można się zakochać bez pamięci nie tylko w Rzymie, w Wenecyi, albo we Florencyi, ale nawet w małych miasteczkach, których sława sławie Sieny wcale nie dorówna, w Arezzo, w Orvieto, w alpejskim Bergamo, albo w appenińskim Assyżu, można się stać więźniem takiego miasta na ciele i umyśle i uwierzyć wreszcie, że na całym świecie nic nie ma piękniejszego, że nic nawet równać się nie może z przedziwnymi cudami, jaśniejącymi w tym albo owym włoskim partykularzu. Boć to cuda istotne, jakeimi się nie jedna wielka północna stolica poszczycić nie może. Lord Byron

zakochał się bez pamięci w bizantyńskiej Rawennie, a wielki estetyk angielski Ruskin przysięgał za lat młodszych, że dziwaczny ale imponujący w barbarzyństwie swoim tum w Ferrarze, to najpiękniejsze dzieło, jakie kiedykolwiek budownictwo wydało. Wolno się tedy i Chłędowskiemu tak zakochać w uroczej a poważnej Sienie, że aż uwierzył, a światu głosi, nie zważając na estetyczne kacerstwo, w które popada, że Siena pod względem sztuki Florencyę stanowczo przewyższa, że Sienieńscy trecentyści to bez porównania więksi artyści od Giotta, a Sodoma to człowiek, którego skrzywdzono srodze, gdy mu nad Rafaelem palmy pierwszeństwa nie przyznano. Mnie zaś wolno trzymać się w tej mierze dawnego, prawowiernego wyznania i nie pisać się na sądy Chłędowskiego.

Nie idzie za tem, abym subtelnego malarstwa sienieńskiego nie podziwiał. Przyznam prócz tego, że Siena w rozwoju sztuki wyprzedziła Florencę, że w XIV wieku malarze sienieńscy byli o całe niebo wyżsi od florentyńskich uczniów Giotta. Ale to się przerwało wkrótce. Kiedy potężny geniusz Masaccia pełnił florentyńską sztukę na nowe a coraz wspanialsze tory, podążyła za Florencą Umbrya, podążyły Wenecya i Padwa, a Siena nie tylko nie poszła naprzód, ale cofnęła się jakby przelęknioma, tworzyła coraz bardziej nieśmiałe, archaiczne, cerkiewne niby dzieła, a w ciągu XV stulecia, tak niezrównanie we Włoszech świętego, wydała tylko jednego artystę godnego uwagi, owego Sano di Pietro, którego rzec można, że teraz dopiero odkryto, i który posiada jakby woń dzikiego, leśnego kwiatu. W XVI zaś wieku, za najświetniejszego rozwoju sztuki włoskiej i sztuki narodów chrześcijańskich w ogóle, zawdzięczała Siena swoją świetną malarską ozdobę dwom gościom postronnym: Pinturicchio przybył z Perugii, aby barwnymi freskami przystroił Librerię katedry, a Sodoma, który stroił swojemi dziełami kościoły i pałace upadającego grodu, był gościem aż z Lombardyi. Niepodobna zatem przyznać sztuce sienieńskiej prymu nad florentyńską, albo choćby nad umbryjską — choć jej przyznać trzeba osobną, właściwą sobie, czarodziejską pięknosć i ważne w dziejach stanowisko. Wraz z Chłędowskim podziwiam *la maestà* Ducia i bardziej jeszcze *la maestà* Martiniego, ów fresk przedziwny w ratuszu sienieńskim, w którym Madonna na tronie, jak widzenie jakieś jaśnieje w orszaku Świętych; piszę się na to, że kobiety Martiniego i Sana di Pietro to królowne, jak powiada Chłędowski, a powiem więcej: to królowne zaczarowane z bajecznego kraju celtycznych wrózek. Nie ma przecie dla mnie wątpliwości, że wielki Giotto, który przeniknął do głębi całą gamę uczuć ludzkich, który wszystko czuł i wszystko wiedział, był nierównie większym od wszystkich rusańczanych, misternych, wdzięcznych, ale we wdzięku swoim jednostronnych Sienieńczyków; a już uroczysty protest zanoszę do grodu, kiedy Chłędow-

ski nazywa praczkami owe potężne, niewieście postacie Giotta, które mnie się wydają nieśmiertelnymi boginiami, zstępującymi z niebios, w nieskalanej potędze i niespożytej piękności. Bolesny a zniewieścialsy wdzięk, piękne, białe, miękkie ciała Sodomów i mnie zachwycają. *Omdlenie św. Katarzyny* u Dominikanów w Sienie, *św. Sebastian* we florentyńskiej galerii Urzędów, *Ofiara Izaaka* w katedrze pizańskiej, *Chrystus przy słupie* wreszcie w sienieńskiej Akademii, to niezawodnie prawdziwe arcydzieła, przynoszące niemalą chlubę dziwnie nierównemu zresztą Sodomie; ale nie pojmuję, jak można stawiać Schuberta wyżej od Beethovena i Sodomę wyżej od Rafaela? Sodoma umiał z jednej tylko struny jakieś tęskno-rozkoszne dobywać jęki, a Rafael grał na całej lutni, nie jak człowiek, tylko jak Bóg jakiś, który żywe tworzy światy! Kazimierz Chłędowski sam ma bardzo subtelną i wrażliwą duszę. Gdyby się kto jego spytał, który kwiat woli, czy różę, czy niezapominajkę, gotów powiedzieć, że róża za nadto duża i pełna, zbyt widne ma barwy i woń nadto silną, że niezapominajka przeto piękniejsza. Ja kocham niezapominajkę, ale prym oddaję różę. Nie ma jednak grzechu kochać się wyłącznie w niezapominajkach i w polnej weronice. Bardzo wielu może ludzi będzie w XX wieku podzielać zdanie Chłędowskiego.

Gdyby *Siena* była podręcznikiem dla młodzieży, krzychałbym „gwaltu“ z powodu sądów o Florencyi, Giocie i Rafaelu, bo w podręczniku pisarz powinien się trzymać prawowiernej estetyków opinii, choćby wbrew swoim przekonaniom. Ale *Siena* to książka, przeznaczona przede wszystkim dla tych, którzy własny sąd o sztuce już mieć powinni; szczeroseć ekscentryczna autora dodaje może więc tylko takiej książce oroku. Powiadam tedy raz jeszcze, że dzieło to polecam gorąco każdemu, który się chce bliżej zapoznać z życiem i z duszą Włoch za świetnej doby miejskich rzeczypospolitych. A dodam jeszcze rzecz dla wielu nieobojętną: książka wyszła we wspaniałym wydaniu, jest przyozdobiona licznymi a pięknymi rycinami, może więc być ozdobą każdego polskiego salonu. Cieszyłbym się, gdyby autor nie poprzestał na tej jednej książce, gdyby nas dalej podobnemi obdarzał podarkami.

Wojciech Dzieduszycki.

— *Marya Konopnicka: Szkice. Bohdan Zaleski. — Adam Asnyk. — Henryk Sienkiewicz.* (Lwów, 1905, Polskie Towarzystwo nakładowe). — Gdy w ubiegłym roku w szeregu zbiorowych wydawnictw ukazał się w Niemczech cykl *Die Dichtung*, a księgarnia nakładowa ogłosiła światu jako główną zaletę przedsięwzięcia, że *hier schreiben Dichter über Dichter*, krytyka zapowiedz tę dość chłodno przyjęła. Wykazała, że w tem określeniu jest nie dowód wyższości, lecz raczej stwierdzenie zacieśnienia granic monografij wobec prac, pisanych o poetach przez historyków literatury i krytyków. Podzielając to zapatrywanie, rozwinęliśmy je wtedy przy sposobności oceny książeczki o Ib-

senie pióra poety p. Ernsta, a teraz mówiąc o *Szkicach* p. Maryi Konopnickiej, moglibyśmy chyba tylko dawniejsze zasadnicze poglądy powtórzyć. Jeśli szersza publiczność, żadna t. zw. sensacyj, ciekawostek, interviewów, historyczno-literackie rozprawki p. Konopnickiej czyta z uprzedzeniem dla rozgłosu książki korzystnem, to spokojniej a poważniej sądzący krytyk bierze rzecz do ręki z dużą nieufnością, bo naprzód nie idzie na lep hasła: *hier schreiben Dichter über Dichter*, powtóre zaś poznawszy istotę duchową wybitnej poetki z jej poetyckich i nowelistycznych utworów, nie może dopatrzeć się w niej tych właściwości, które stanowią duchową istotę krytyka.

A jednak książka w ostatecznym rezultacie sprawia raczej przyjemne wrażenie. Czyżby więc nieufność krytyka była nieuzasadnioną, albo przynajmniej wytlómaczoną przeszłością p. Konopnickiej, tem jej dziełem została usunięta? Sądzymy, że nie, że i po przeczytaniu *Szkiców* pozostanie ich autorce zdobyte poprzednią twórczością miejsce na Parnassie, a nie otworzyło się stanowisko wśród arystarchów. Ale dodatni w ogólnej konkluzji sąd o książce powoduje szczerłość autorki, która — z niezliczonymi wyjątkami, o czem wnet będzie mowa — nie będąc krytykiem, na takiego nie pozuje. Z największą szczerością zwierza się z tem w lirycznym zakończeniu pierwszego i najobszerniejszego szkicu o *Bohdanie Zaleskim*: „Lirniku nasz! Nie chciałam mówić o tobie źle, i nie chciałam mówić dobrze. Chciałam tylko uderzyć w Podzwonne ku tobie, błogi latawce siedmiu złotych Nieb pieśni! Chciałam wejść sama w krąg twych rusańczanych oczarowań, w krąg twojej zadumy stepowej. Czyś miał, jak Bojan, „dusze ludzkie w rękę“ -- nie wiem. Ale wiem, żeś miał często w rękę ludzkie serca. Chciałam wskrzesić dla ciebie serc kilka“. To i pięknie powiedziane i bardzo na czasie. Bo, jeśli nas sąd nie myli, potrzeba dzisiaj dla Bohdana Zaleskiego „wskrzeszać serca“, tak w dal się cofnęła jego postać i jego poezya, z estetycznych powodów, ale i z innych... Dążenie autorki w tym wypadku tem bardziej jeszcze pożądanę, że ostatnia obszerna, na setną rocznicę urodzin ukraińskiego poety napisana praca p. Stanisława Zdziarskiego, bardzo sumienna i niejednokrotnie pouczająca, dla Zaleskiego „serc wskrzesić“ nie zdolna. P. Konopnicka ten szkic pisała nie tylko po tej monografii, ale i w niezadowoleniu z niej, a że niezadowolenie jest słusznem, czytelnik idzie za słowem autorki, idzie chętnie, może nawet za daleko, może nawet i tam, gdzie okolicznościowo, w danym wypadku poetka ma racyę, lecz nie ma jej bezwzględnie. „Niewdzięczną rzecz podejmuje — zdaniem p. Konopnickiej — p. Zdziarski, mozołnie dowodząc różnych pochyłeń psychicznych Bohdana, to w tę, to w ową stronę, rozgraniczając pilnie momenty większej, to znów mniejszej religijności jego, usiłując, przy pomocy cierpliwych, choć nie zawsze pomyślnych zesta-

wień, ustalić raz na zawsze, że tak powiem, stan cywilny jego duszy". To jest trafnem, o ile chodzi o metodę przypadkową, osobistą p. Zdziarskiego, ale nie ma w tem racyi, jeśli to ma być zasadniczem ograniczeniem krytyki. P. Konopnicka pyta wprawdzie dalej: „Po co nam wiedzieć, czy był gorliwym, czy mniej gorliwym katolikiem? czy silniej, czy słabiej wierzącym duchem? czy uległym, czy nieuległym wpływom otoczenia?“ — i odpowiada zaraz węzłowato: „Był poetą, to dosyć. Dosyć, bo to znaczy: był tem wszystkim razem“. Na to już mniej powszechną będzie zgoda.

W pierwszym szkicu zalety górują stanowczo nad wadami, zawartość nad brakami, z których najważniejszym jest całkowite pominięcie formy poezyj Zaleskiego, tak znaczącej u niego własnie. W drugim rozdziale książki, *Adamowi Asnykowi* poświęconym, już jest nieco gorzej. Może dlatego, że p. Konopnicka pisze tu nie tylko jako poeta, ale i jako krytyk, do którego to zawodu mniej posiada wrodzonych zdolności. Stąd zapewne pochodzą rozmaite błędy, pozornie drobiazgowe jedynie, w rzeczywistości z ogólnego tła konsekwentnie występujące. Gorszą jest już sama zewnętrzna szata: miejsce rozlewnej liryki szkicu pierwszego zajęła skłonność do gry wyrazów, epigramatycznego zaostrenia. Czasem na tej drodze znajdują się cenne określenia (n. p. to, że poezya Asnyka była *wiedząca*, ale nie *widząca*), częściej doznaje się wrażenie pewnej sztuczności, naciągania. Autorka analizuje „aż do przesady podejmowane przez wszystkich, którzy o Asnyku piszą, słowa poety“: „Trzeba z żywymi naprzód iść“, analizuje je w sposób tak gruntowny, że aż scholastykę przypominający, a więc naprzód obszernie się mówi o tem „trzeba“: podczas gdy forma hasła z natury swej jest imperatywną, a więc n. p. „Hej! ramię do ramienia!“ lub „Razem młodzi przyjaciale“, tutaj jest tylko powiedzenie „trzeba“, uznanie konieczności, akt rezygnacyi, rada a nie rozkaz; dalej: „trzeba z żywymi naprzód iść“: z żywymi, nie przed żywymi, nie na czele żywych; i „naprzód“, więc przed siebie tylko, bez oznaczonego celu i t. d. A potem p. Konopnicka twierdzi, że Asnyk był tak „popularnym, jak żaden poeta ostatniej doby“, że pieśń jego „śpiewała tłumom słuchaczy wzruszonych“. Ta pieśń rezygnacyi, to chłodne „trzeba z żywymi iść naprzód“? Chyba nie, bo taka pieśń nigdy tłumów nie porwie. Więc gdzieś musi być w tem rozumowaniu błąd. Po której stronie okresu, pierwszej czy drugiej? Zdaje się, że po obu: „aż do przesady podejmowane przez wszystkich, którzy o Asnyku piszą“, zdanie nie może uchodzić za kwintessencję jego poezyi, z drugiej zaś strony autorka popularność Asnyka przeceniła, w każdym razie zaś nie zastanowiła się nad faktem, który na jej siłę rzuca światło wątpliwe, nad faktem, że popularności tej dzisiaj już nie ma prawie nic. W końcu dwie drobniejsze uwagi. Raz, że i tu

pominiętą jest zupełnie formalna strona pieśni Asnyka. Powtórę, że zdanie „w pieśniarzu budzi się publicysta, który pragnie oddziaływać na współczesnych bezpośrednio, doraźnie, środkami, jakich pieśń nie ma w rozrządzeniu swoim“, wymaga komentarza, iż Asnyk do roli, jaką w ostatnich latach grał, nie palił się, lecz spowodowany do jej objęcia został przez postępujące się niem stronnictwo. Słowa, że „po Mickiewiczu, pierwszy Asnyk bierze u nas laur obywatelskiego żywota“, są pięknie brzmiącym frazesem, z wielu względów czczym i pustym.

Ostatni szkic *O twórczości Sienkiewicza* nastrojem zbliżony jest do pierwszego, o Zaleskim. Autorka tak apostrofuje w końcowym ustępie znakomitego pisarza: „Szum, szum nad nami, dębie sławny, wielki. Obdzielaj dusze nasze słodyczą i mocą, ty, lipo, piastowym rojem głośna! Graj, śpiewaj, bracie home-rycznych rapsodów, jaworze srebrny. Wskrzeszaj pieśnią wielkie praojcowe czyny. Wywołuj wielkie praojcowe duchy! A my — jakakolwiek jest dola nasza — żyjmy! I jakakolwiek jest męka nasza — żyjmy! I jakakolwiek jest słabość nasza — żyjmy! I choćbyśmy więcej cierpieć mieli, płonąc, niż stygnąc, gorząc, niż ugaszając — gorzejmy, płonmy — a żyjmy!“ P. Konopnicka trafnie a pięknie rozwija myśl, jako zasadniczą ideą twórczości Sienkiewicza jest nakaz narodowi, by żył, rozdmuchiwanie, zasilanie tego życia. Zgodne to z faktycznym stanem rzeczy poczynając od *Trylogii*, mniej jednak z dawniejszą twórczością genialnego pisarza, któremu to przecież wcale nie ubliża, że nie odrazu — jak to przedstawia błędnie p. Konopnicka — był takim, jakim na chlubę narodu polskiego i jego pożytek jest teraz.

Gdyby p. Konopnicka swe *Szkice* podawała za skończone i doskonałe studia literackie, trzeba by je niejednokrotnie surowo ocenić. Nazwane skromniej i przeważnie bez pretensyi występujące, żywe i barwne, w tym ostatnim kierunku co prawda aż do nadmiaru nieraz dochodzące, mają tę szlachetną myśl: by omawianych poetów zbliżyć do serca czytelników. Nieraz dzieje się to kosztem ścisłości krytyki, kosztem historycznego rozwoju, kosztem dokładności obrazu, ale tak, czy owak, to przedsięwzięcie zawsze się autorce udaje. Suggestywność tych *Szkiców* jest wielka; ona ujawnia się w czytelnikach, lecz świadomy jej krytyk tem bardziej prawa sądu się nie wyrzeknie, od obowiązku sądu się nie zwolni. I wobec tej książki i — w danym razie — wobec dalszych.

Dr. J. Flach.

— *Dokładny Słownik języka polskiego i niemieckiego*, opracowany przez Franciszka Konarskiego i Adolfa Inlendera, z współudziałem prof. Dr. Alberta Zippera. (Nakładem Maurycego Perlesa w Wiedniu i Centnerszvera w Warszawie. 1905). — Słownictwo polsko-niemieckie leży, śmiało rzecz można, odłogiem od czasów, gdy wyszły cenne prace Trojańskiego

i Mrongowiusza. Bo słowniki tej miary, co Book Arkoszy, wcale krytyki nie wytrzymują, a słowniczkę, jak n. p. Łukaszewicza i Parylaka, są raczej tylko podręcznikami szkolnymi w ograniczonym zakresie. To też, gdy przed kilku laty wyszły pierwsze poszyty *Słownika* Franciszka Konarskiego i Adolfa Inlendera nakładem Perlesa w Wiedniu i Centnerszvera w Warszawie, z nieklamaną radością powitaliśmy pojawienie się ich jako zapowiedź dzieła od dawna oczekiwanego. Po przejrzeniu jednakowoż owych pierwszych poszytów doznaliśmy rozczarowania niepomiernego, które dzisiaj po pojawieniu się pierwszych dwóch tomów nietylko nas nie opuściło, ale owszem się wzmogło. Już przy pierwszym, przelotnym przejrzeniu książki uderza brak pewnego z góry zakreślonego planu, pewne nierównomierne opracowanie przedmiotu. Z jednej strony bije w oczy obfitość nadmierna materiału, opracowanie drobiazgowe, z drugiej strony rażąca brak rzeczy, które w każdym słowniku nawet mniejszych rozmiarów znaleźć się powinny.

Spostrzeżenia te nasze starać się będziemy poniżej uzasadnić.

Przyznać trzeba, że autorowie mieli jak najlepsze chęci, i że pracy i mozółu nie szczędzili. Szkoda jednak, że wykonanie nie odpowiedziało pięknym zamiarom i trudom podjętym.

Przejrzeliśmy kilkanaście poszytów, i oto, czego tam niema, a cośmy znaleźli.

W części polsko-niemieckiej brak zupełny słów następujących: muśnięcie, muzealny, modnie, łagodząco, łamaniec, łamigłówka, łączący (tryb), łobuzerya, łobuzować się, łojówka, *mięsień*, mięśniowy, miętówka, migawkowy, *malowanka*, małomiasteczkowy, małostkowy, małomiejski, małomieszczanin, *łyżwiarski*, łyżwiarstwo, łyżwić, łyżwienie, loteryjka, lśniący, *lśnić się* (ale jest: lśknąć się!), ludziska, ludowy, kwestyonować, kwiecniarnia, klisza, klosz, milcząco, mikrob, miniaturowy, móżdżek, miodobranie, mieszany, meblarstwo, mecenasostwo, meduza, melioracya, matalurgiczny, mazurzysta, matura, mauzoleum, *matkować*, *makowiec*, maksymalny, malaryczny, karminowy, karnawałować, karolek, kartaczownica, kartkowy, kartka, kartoflarka, kartofliśko, kartoflanka, karuzel, karygodny, *karykaturowa*, kasta, kastowość, *kastowy*, kastor, kaszany, kaszmir, *kategoryczny*, *frycowe*, fryga, abażur, amazonka, bałamucenie, bezkrwisty, bezlitośny, bezwiedny, błyskotliwość, bojkot, bojkotować, buceć, celujący, chochlik, czółno, dobranoc, dokuczanie, dotyk, fuksyna, fryzyerstwo, *jałtryć się*, judaizm, judasz, kajet, *kapelusznictwo*, karakuły, *karaluch*, *karbol*, *karciarstwo*, karlica, karkołomny, *karłowacieć*, *kąpielowy* (ale jest: kąpielniczka), kefir, kiper, kinematograf, kłębiasty, knajpa etc., kobiecość, *kocowniczki*, kokosowy, kolejka, kolejowy (ale jest: kolejne??), kołysanka, komandor, komedyopisarz, konkietta, koper,

kopiał, kopułowaty, *korzkować*, kort, kostyum, kostnieć, kotłować, kpinkować, kredensowy, krępująco, krokiet, *krociowy*, króćset, królewski, krupier, krzepić, krzyżaćco, krzywa (matemat.), kucie (koni), kucać, kulturalny, *kułakować*, kurczowo, kurczenie, lirnik, kurzajka, *kwitnący*, kwitnienie, lakierki, lapidarny, lasecznik, latoś, lejarnia, lekceważący, leksykalny, lektura, lepsze, letkiewicz, lubieżnica, librecista, linoleum, luźno, łabędzica, łuskowaty, magnacki, maglarnia, majolika, majonez, majątkowy, marszczenie się, marząco, masowy, maślankowy, miąsko, mitralieza, monetarny, mszczenie się i t. d., i t. d.

Z niemieckich wyrazów w części niemiecko-polskiej brak takich jak: *Gerätübungen* (ćwiczenia na przyrządach), *gespensterhaft* (upiorowy), *Gerinnen* (zsiadanie się mleka, krzepnięcie), *Gesangverein* (koło śpiewackie), *geruchlos* (bezwonny), *Gereiztheit* (rozdrażnienie), *Ausgelassenheit* (swawola), *Ausgabebuch* (księga rozchodowa), *ausführbar* (wykonalny), *Ausführbarkeit* (wykonalność), *Altstadt* (śródmieście), *Aufwand* (nakład, zbytek), *Immergrün* (barwinek), *Ausbeutung* (wyzyskanie), *Aufstieg* (wzlot), *Aushebung* (zaciąg), *aufforsten* (zagaić), *Ausfuhrverbot* (zakaz wywozu), *Ausgleichung* (zrównanie, wyrównanie), *Auffindung* (znalezienie, odnalezienie), *aussichtslos* (beznadziejny, bez widoków powodzenia), *auswässern* (moczyć, wymoczyć), *Biegung* (zgięcie), *Bewirtung* (ugoszczenie), *Biigsamkeit* (prężność, giętkość), *Blättermagen* (żwacz), *Eigelb* (żółtko), *Eierkuchen* (grzybek, omlot), *engbrüstig* (dychawiczny), *Engbrüstigkeit* (dychawiczność), *Fruchtknoten* (jajecznik u roślin), *Exercierplatz* (plac ćwiczeń), *Erhaltung* (podtrzymanie, utrzymanie), *Ergiebigkeit* (wydajność), *Erbrechen* (wymioty), *Erntewagen* (wóz żniwiarski), *Erbswurst* (kiszka grochowa), *Ernährung* (wyżywienie się, odżywienie), *Erkrankung* (zachorowanie, rozchorowanie się), *Erweichung* (zmiękczenie), *Einzahlung* (wplata, natomiast jest jakieś: *Einzählung*), *entnüchtern* (otrzeźwić), *Ergreifung* (pojmanie), *Fahrstuhl* (windy), *Fallen* (zniżka), *fortbestehen* (trwać bez przerwy), *Fremdartigkeit* (osobliwość, dziwność), *Blattrippe* (żyłka), *Bindehaut* (spojówka), *Betriebskapital* (kapitał obrotowy), *Bierwürze* (brzezka, ale wyraz ten jest w polsko-niemieckiej części), *Bindemittel* (spójnia), *Blechscheere* (nożyce blacharskie), *Bösartigkeit* (złośliwość), *Briefschaften* (listy i papiery), *Buchhandlung* (księgarnia), *Blitzkerl* (zuch), *Blutklumpen* (bryłka krwi), *Blutandrang* (nawał krwi), *Bohrwurm* (świdrak), *Briefmappe* (teka do listów), *Briefwage* (waga do listów), *Bittsteller* (petent), *Brüllaffe* (wyjec), *Blumenblatt* (listek, płatek kwiatowy), *Kammwolle* (czesanka, wełna czesankowa), *durchzeichnen* (kalkować), *Fischbrut* (zarybek), *Fleischextrakt* (wyciąg mięsny), *Flösser* (flis), *Fettgeschwulst* (tłuszczak), *feststellen* (zaznaczyć), *Fehlbetrag* (nie-dobór), *Fühlbarkeit* (namacalność, wyczuwalność), *Frösteln* (ziąb), *Fröstling* (zmarzłak), *Gebäudesteuer* (podatek domowy, podymne),

Geklatsch (plotkarstwo, plotki), *Geldbrief* (list pieniężny), gehö-
rig (dobitnie, dosadnie), Geknall (pukanina), Gehirnmark (istota
rdzeniowa). Gittersieb (arfa, przetak), Abschätzung (ocena), Ab-
sonderung (wysięk, med. odłączenie, oddzielenie, wydzielanie),
Abspannung (zmęczenie), sich abkühlen (ochłodzić się), Abschüs-
sigkeit (spadek, spadzistość), *Anschwellung* (napuchnięcie, wez-
branie), Ansichtskarte (karta z widokiem), Aufblühen (rozkwit),
Ansteckungsfähigkeit (zaraziliwość), Arbeitslust (chęć, ochota do
pracy), Kleingeld (drobne), *Klumpfuss* (kopytonóg, tyłostopie),
kariert (kraciasty, w kraty).

Dla wynagrodzenia nam tych rażących niedostatków zamie-
ścili autorowie takie wyrazy: mundować, mustrowany, mytko-
wać, mytarka, mytlarstwo, mytnica, młodziwo, mniejszeć, mno-
gogrzeczny, kozubaty, kraść, kradnica, krajnik, krasnotwarzy,
mnożca, leż, ląksza, mietelnictwo, międzić się, między król, mię-
dzymiejsce, międzymiesięczne, międzychmurny, miękiny, mi-
gotnictwo, milezalnica, milczana, milczatość, milezącość, minca,
moźnić, mrakota, muł-osiel, modnisty, mogły, moderski, mo-
siedzowy, mirnica, misterkini, mistrzyk, mieszczak, mendyk,
mentalik, merunki, meszysty, mędrela, mętoperz, mianowiny, ma-
zgać, matwanina, matować, dordzewiały, fajchtować, fascya, fle-
gmacya, kaznodzieić, kotować, kreczek, kręcipięta, krętopłomienny,
kręzlowały, kręczyć, kryjomokupstwo, kuczyć, korogon, koro-
piow, laborować, lekkomówność, lekkowierność, lekownik, le-
pszość, lepszye, licemiernica, lichceić, lśkać, lśknąć, lśknisty,
lubieżoszał, lubny, ludobójczy, ludokradca, lustrowny, malicya,
malić, matolectwo, mądrostka, miekut, miescopis, mizimy, myciel,
mytkować, nabażyć, nabikować się, nablazgonić, nabość, naboż,
nabywacz i t. d., i t. d.

Tutaj zaznaczyć musimy, że *niektóre* z przytoczonych wy-
razów znajdują się wprawdzie w nowym, w Warszawie wycho-
dzącym Słowniku języka polskiego, jako wyrazy gwarowe, które
wszelako nie powinny być umieszczone w Słowniku polsko-nie-
mieckim zakroju omawianego słownika, bo gdyby słownik ten
miał pomieścić wszystkie gwarowe wyrazy, musiałyby w dwójna-
sób powiększyć swoją objętość bez pożytku dla publiczności.

Na zakończenie tej oceny przytoczymy tu jeszcze kilka
szczegółów z błędnej frazeologii, z pomyłek i z zabawnych dzi-
wactw zawartych na kilku stronicach. Tłómaczenia są tego ro-
dzaju: Historienbuch = księga historyczna, zamiast: książka z po-
wiastkami.

Alle über einen Kamm scheren = jednym grzebieniem
wszystkich cesać (czysty germanizm), ze wszystkimi równo się
obchodzić, zamiast: wszystkich jedną miarą mierzyć.

Hitziges Gefecht = spór gorący, zamiast: gorąca utarczka.

Hoher Einsatz = wysoka wstawka, zamiast: stawka.

Hohes Alter = wysoki wiek, zamiast tylko: podeszły wiek.

Hohe Herrschaften = dostojni panowie, zamiast: dostojni państwo.

Hoch herunterfallen = spaść z góry, zamiast: spaść z wysoka.

Wer hoch steigt, fällt tief = kto wysoko łązi, wysoko spada (?), zamiast: kto wysoko się pnie, nisko spada.

Die Nase hoch tragen = dmuchać (gwarowe), zamiast tylko: pysznić się, zadzierać nosa.

Hochgericht = miejsce stracenia, zamiast: miejsce tracenia.

Heterogen = innego gatunku, zamiast: różnorodny.

Flitterkram nie oznacza „handel błyskotkami“ lecz błyskotki.

Armseligkeit przetłómaczono między innymi „biednostwo“ (!??).

Gedächtnisfeier nie znaczy „pamiętka“, lecz „uroczystość lub obchód pamiątkowy“.

Dicke Milch przetłómaczono „mleko zsiadłe, zwarzone“; pierwsze dobrze, ale zwarzone mleko znaczy: geronnene Milch!

Heilen przetłómaczono między innymi wcale nieużywanem: „ugoić“.

Heilmittel znaczy przedewszystkiem „lek“, którego to w razie wcale niema.

Herabklettern przetłómaczono: zdrapać się (???) zamiast złązić.

Herdurch, wobec braków powyżej wykazanych powinno być pominięte, bo przedawnione.

Heilserum to surowica, zamiast mniej używanego „serum lecznicze“.

W końcu artykułu „hart“, spotykamy wyrażenie „hart“ vor *Morgens* (?!).

Dziwne tłumaczenie znajdujemy przy wyrazie „fallen“: Er fiel in der Schlacht = poległ w boju śmiercią walecznych; dlaczego śmiercią walecznych? i tchórz może poledz w boju.

W polsko-niemieckiej części pod nagłówkiem „namydlać“, czytamy „namydlić“ (właściwie zmyć) komu głowy (źle, zamiast: głowę) = jemandem viel vorschwatzen, zupełnie błędne, powinno być: „jemandem den Kopf waschen“, lub jemandem derb ausschelten; p. 527 rażąca pomyłka i zapewne dosłowne tłumaczenie niemieckiego: die Augen zudrücken, w znaczeniu przenośnem „umrzeć“; p. 80 „budowanie się = Selbstbau“, takiego wyrazu niemieckiego nie znamy. „Krzyżowe dni = Buss-tage“ zupełnie błędnie, zamiast: Kreuztage. Jeden przykład tylko co w Słowniku niepotrzebnie umieszczono; i tak pod wyrazem „ciąża“ czytamy co następuje: „ciąża pozamaciczna (lat. graviditas extrauterina) Schwangerschaft am unrechten Orte, Entwicklung eines befruchteten Eies ausserhalb der Gebärmutter u. z.; cięża brzuszna (lat. graviditas abdominalis) Bauchhöhlenschwangerschaft, Entwickl. eines befruchteten Eies in der freien Bauchhöhle; — jajnikowa (lat. grav. ovarialis) Eierstockschwangerschaft, Entwickl. eines Eies im Eierstock; — trąbkowa (lat. grav. tubaria)

Tubenschwangerschaft, Entwickl. eines Eies im Verlauf der Tube; — trąbkobrzuszną (lat. grav. tubo-abdominalis) Tuboabdominalschwangerschaft, Entwickl. eines Eies in der Abdominalöffnung der Tube; — śródmiąszowa v. mięszowa (lat. grav. interstitialis v. tubo uterina) Tubouterinschwangerschaft, Entwickl. eines Eies in dem Theil der Tube, der in der Uterussnbstanz verläuft“; — takich artykułów możnaby sporą przytoczyć liczbę.

Rozwlekłości zupełnie bezużytecznych mnogo — że przytoczymy w niemiecko polskiej części artykuły pod nagłówkami: „fallen“, „Gesundheit“, „gehen“.

Co do form gramatycznych, to z niemi także różnie bywa. Między innemi spotkaliśmy się z formą „gleichte“ przy wyrazie „abgleichen“, zamiast wyłącznej formy „gleich“, którą wiadomo dczegó umieszczono w nawiasie.

Na podstawie takich niedokładności, dziwolągów i braków, których jest bez liku, sądzić musimy, że układający ten wielki nowy Słownik znają niedostatecznie zarówno polski jak i niemiecki język, i że autorowie z duchem obu języków nie są dostatecznie obeznani.

Znajomość ze starannie opracowanym starym Słownikiem Trojańskiego ustrzegłaby ich od wielu błędów. Robota przypomina nam osławione wydanie słownika Book-Arkoszego.

Dodajmy, że całe dzieło wyjdzie w 90 zeszytach po 30 centów, będzie więc kosztowało 54 korony! Papier i druk dobry.

Oskar Callier.

— „Kleist Bibliothek“ herausgegeben von S. Rahmer. I Band. Heinrich von Kleist: *Briefe an seine Schwester Ulrike*. Mit Einleitung, Anmerkungen, Photogrammen und einem Anhang: *Aus dem Tagebuche Ludwig von Brocke's*. (Berlin, B. Behr's Verlag, 1905). — Można rozmaicie sądzić o neoromantycznym ruchu w dzisiejszej literaturze niemieckiej, jednej zasługi jednak żaden bezstronny a powołany sędzia mu nie odmówi. Oto pod wpływem tego ruchu — a może stosunek był odwrotny? — poczęto przyglądać się baczniej wielu zapomnianym, zapoznanym, lub nieznanym romantynom z przed stu laty, poczęto im się przyglądać — nietylko z dobrą wolą dotarcia do prawdy, która cechuje każde naukowe poznawanie, ale i z serdecznem przywiązaniem, niemal z miłością, co już daleko rzadszem jest zjawiskiem. Tak dzieje się zresztą nie na gruncie niemieckim tylko; wszak i u nas jesteśmy świadkami podobnego działania. A jeśli temu naszemu — przedewszystkiem zawdzięczamy spotęgowane aż do kultu poznawanie i przywiązanie do Słowackiego, w ostatnich zaś latach wydobyte z zapomnienia i mroku Cypryana Norwida, to w zakresie piśmiennictwa niemieckiego

z urozmaiconego tła nowych wydań romantyków, prac naukowych o nich wydobywają się na szczyt dwie zwłaszcza postaci, Novalisa i Kleista, tamtego jako najwznioślejszego wyobraźniarza romantycznej mistyki i rozmodlenia, tego jako w wielu razach odrębnego od reszty, ostatecznie jednak do niej należącego, w jej obrębie będącego najświetniejszym przedstawicielem romantycznego dramatu.

Znalazły się już w sąsiedztwie nazwiska Słowackiego i Kleista. Nie snując tej paralleli dalej — chociaż byłyby w niej bardzo zajmujące momenty — a zbliżając się bezpośrednio do założenia niniejszego sprawozdania, trzeba zwrócić uwagę na to, że oni obaj za jedyną powiernicę trwałą i bezwzględnie zaufania godną mieli kobietę, i to nie kochankę, ale najbliższą krewną. Słowacki matkę, panią Bécu — Kleist siostrę, Ulrykę. Korespondencya Słowackiego z matką w naszej w epistolografię tak ubogiej literaturze, jest kto wie, czy nie najpierwszą, najcenniejszą; korespondencya Kleista z Ulryką w niemieckim piśmiennictwie, zamożnym pod tym względem, jeśli nie bogatym, zajmuje stanowisko zapewne nie tak wyjątkowe, ale niemniej także zaszczytne. Tylko choć o analogiach tu przedewszystkiem mowa, trzeba odrazu podkreślić jedną, bardzo wielką — w skutkach doniosłą różnicę. Pani Salomea Bécu, była kobietą niewątpliwie bardzo indywidualną, lecz nie w złem znaczeniu oryginalną, miała duchowego zdrowia, równowagi umysłowej chyba więcej, niż jej korespondent, jej syn. Panna Ulryka von Kleist była bardzo niezwykłą, ale już często w ujemnym sensie, była prawie dziwaczną, jeszcze chorobliwszą, niż jej korespondent, jej brat. On był mężczyzną kobiecym niejako, ona w kobiecości zadowolenia nie znajdowała, szukała go po za granicami swej płci, nawet zewnętrznie to uwidoczniając w męskim przebraniu, które zresztą koło r. 1800 u wielu kobiet jak wiadomo było modnem. W listach, o których mówimy, czyta się charakterystyczny wiersz Kleista do siostry:

Amphibion Du, das in zwei Elementen stets lebet,
Schwanke nicht länger und wähle Dir endlich ein sichres
Geschlecht. . .

Po raz pierwszy ogłoszono te listy w pół wieku po śmierci poety, podobno wbrew woli dotyczących osób z rodziny von Kleist, również podobno bardzo niedokładnie, często błędnie. Rękopisy, jak się zdawało, zaginęły. Teraz p. S. Rahmer występuje z niemi, zaręcza, że drukuje je, z pewnemi usprawiedliwionemi opuszczeniami, wiernie podług odnalezionych oryginałów, i za zgodą ich obecnych posiadaczy. Ten pierwszy tom zamierzonej *Kleist-Bibliothek* godnym jest jak najdokładniejszego poznania nie przez samych tylko wielbicieli poety, nawet nie przez miłośników literatury niemieckiej jedynie, ale przez każdego, kto

uznając uniwersalność romantycznej duszy, chce ją poznać w objawach, należących do rozmaitych środowisk narodowych. Na dal- szym planie stoją niektóre czysto osobiste cechy tej korespon- dencyi, n. p. tak cenne dla poznania Kleista pedagogiczne rady, prawie nudne morały dawane siostrze, już więcej zaj- mują tajemnicze, mgliste słowa o owej do dziś dnia niewyja- śnionej podróży do Würzburga, która miała poecie przynieść jakiś niesłychany tryumf, a dała tylko zawód i apatyę; na czoło wysuwają się momenty znaczenia ogólniejszego, że tak powiemy typowo-romantyczne. Czy nie typowy to romantyk, który spa- liwszy w chwilowem zniechęceniu fragment wspaniale rozpoczę- tego dramatu o Robercie Guiscardzie, pisze z rozpaczą do sio- stry: „Moja droga Ulryko! Co ci napiszę, może cię będzie ży- cie kosztować; a jednak ja muszę, muszę to zrobić. Moje dzieło, o ile było gotowem, przeczytałem w Paryżu, odrzuciłem i spa- liłem; i teraz wszystko się skończyło. *Niebo odmawia mi sławy, największego dobra na ziemi; ja jak uparte dziecko rzucam mu przez wszystkie inne.* Nie mogę okazać się godnym twojej przyjaźni, a nie mogę przecież żyć bez tej przyjaźni; rzu- cam się w ramiona śmierci. Bądź spokojną, ukochana, umrę — piękną śmiercią — na polu bitwy...” Czy człowiek, który te słowa pisał, nie był duchem pokrewnym Słowackiemu? A ileż razy taka sama rozpacz bolesnym patosem odzywa się w tych listach, nawet przy sposobności wypadków i przejść, zazwyczaj daleko spokojniej zaostrzonych. Oto np. dwudziesto-kilkoletni chłopak zagłębia się w filozofię Kanta, wesóły i dumny, że zna- lazł drogę, która nieomylnie do prawdy go doprowadzi. I natu- ralnie nie wiele czasu mija, a radość przemienia się w ból, duma w upokorzenie, nadzieja w rozczarowanie. „Moja droga Ulryko, zdaje mi się, że mam się stać jedną z ofiar głupoty, których filozofia Kanta tyle ma na sumieniu. Wstręt mnie bie- rze przed tem towarzystwem, a jednak wyrwać się z tych sieci nie mogę. Myśl, że my tu, na ziemi, nic z prawdy, zupełnie nic nie wiemy, że to, co my tu prawdą nazywamy, po śmierci zupełnie inaczej się nazywa, że więc dążenie, by zdobyć sobie własność, któraby poszła za nami do grobu, jest całkiem da- remnem i bezowocnem, ta myśl wstrząsnęła mnie w świętościach mej duszy. Mój jedyny i najwyższy cel runął, nie mam już żadnego. Odtąd brzydę się książkami, zakładam ręce i szukam nowego celu...” Marzy to o idyllicznej samotni w szwajcarskich górach, to upaja się przyszlą nieśmiertelnością, sławy wieniec widzi już sobie ręką siostry na skronie włożonym, Jezusa na pomoc w pracy poetyckiej wzywa... aż spada w przepaść bez- denną. Dźwiga się na krótki czas, zabija pracą wydawniczą, prawie dziennikarską, potem zrywa się, chce walczyć — przeciw Napoleonowi, wrogowi ojczyzny, nie może, bo król pruski się wojny boi... Koniec: to jak wiadomo samobójstwo z Henryetta

Vogel pod Wannsee, w okolicy Potsdamu. Katastrofa, lecz dokonana w uczuciu nie przygnębienia, ale podniecenia, upojenia, radości. Świadczy o tem list do Ulryki ostatni. „Nie mogę umrzeć, nie pogodziwszy się poprzednio w tym stanie zadowolenia i wesela, w jakim jestem, z całym światem, a więc przedewszystkiem z tobą, moja najdroższa Ulryko. Dozwól, że cofnę to, com napisał w dawniejszym liście; zaprawdę, tyś mi zrobiła, nie powiem, tyle, ile leży w siłach siostry, ale w siłach człowieka w ogólności, aby mnie uratować, ale prawdą jest, że mnie już na ziemi nie można było pomódz. A teraz bądź zdrowa, niechaj niebo da ci śmierć choćby w połowie równą mojej w radości i niewypowiedzianemu weselu, to jest najserdeczniejsze i najżywsze życzenie, jakie ci złożyć mogę. Stimings pod Potsdamem w poranek mej śmierci. Twój Henryk“.

Nie dla germanistów o tej książce pisaliśmy, boć to się samo przez się rozumie, że dla nich ona jest niezmiernie pożądana, że oni odtąd często po nią będą sięgać, ją przytaczać. Ale pisaliśmy dla tych, którzy duszę romantyków, polskich czy obcych, chcą poznać, a do poznania może już z uprzednią serdecznością przystępują. Wśród wielu komunałów, jakie w każdym narodzie zastępują znajomość rzeczy obcych, jednym z najfałszywszych jest ten, jakoby Kleist był jakimś nadwornym poetą Hohenzollernów, pruskim urzędowym pieśniarzem. Był Prusakiem, to prawda, Hohenzollernów raz na scenie pokazał, to prawda, ale w pierwszym rzędzie był bratem wszystkich romantyków, był sam romantykiem. W berlińskiej *Sieges-Allee* jego posąg nigdy nie stanie, nawet o miejsce „pod Lipami“ darmo kołaczą wielbiciele poety u wrót pałacu, gdzie mieszka następcza Wielkiego Kurfürsta. Już to może być dowodem, że on przecież takim nadwornym Hohenzollernów poetą nie był. Pozytywnego dowodu dostarczą w silniejszej mierze same jego dzieła, a i te listy, dzisiaj przez nas przytoczone.

Dr. J. Flach.

— Ferdinand Brunetière, de l'Académie Française: *Sur les chemins de la croyance*. (Paris, Librairie Académique, Perrin et Cie, 1905, str. 309). — Z krytyków literackich, którzy po śmierci Taine'a stali się mniej lub więcej głośnymi kierownikami publicznej opinii w jej stosunku do literatury, najwięcej temperamentu, polotu, zdolności dyalektycznych, siły przekonania, logiki rozumowania, zdolności poglądów, daru polemicznego ma Ferdinand Brunetière. Rzecz to ogólnie znana, zarówno jak i fakt, że, podobnie jak Taine, opuszcza znakomity redaktor *Revue des deux Mondes* często dziedzinę literatury i dotyka w swych dziełach doniosłych zagadnień filozoficznych, społecznych, politycznych. To umysł głęboki i nie wrażliwy jedynie na zmysłowe powaby sztuki, ale idący dalej, wznoszący się nad marne spory o wartość tego lub owego z artystów, przenikający horyzonty nieokreślone i imponujący istotnie. To nie erudyta tylko, sma-

kosz literacki, estetyk gotowy staczać wieloletnie boje o tę lub ową doktrynę lub kierunek artystyczny — to myśliciel oryginalny, orator wymowny, bojownik zapalczywy i niebezpieczny. Wszak to on podkopał niebывałe powodzenie romansu naturalistycznego i wykazał jego słabe i ciemne strony, wszak on wystąpił z teorią krytyczną niepośledniej metodycznej wartości, wszak on podniósł i podkreślił przepyszenie znaczenie dzieł sztuki, które ożywia myśl i wypełnia moralność czysta i niezmacona. On także bywa nielitościwym doktrynerem, który, by wykazać znakomitość swej teorii, gwałci fakta, przeinacza rzeczywistość, wznosi budowy czarem olśniewające, ale pozorami nieco sztucznej logiki i nieco naciąganej analogii, kryjące braki i luki przykre i niezapełnione. Nie znaczy to, że system jego jest złym, ale że nie rozwiązuje wielkiej części zagadnień, podobnie, jak jego genialnego poprzednika Taine'a. Jak błędy tego ostatniego pochodzą od błędów filozofii pozytywnej, a w ogólności ówczesnej wiedzy, tak i wady i niedostatki teorii ewolucyjnej są w ścisłym związku z pozytywizmem, od którego Brunetièrre zapożyczył metody i idei. Taine i Brunetièrre operują często abstrakcjami, ale że wierzą w swe pewniki, że rozwijają świetnie swe poglądy, że mają styl nerwowy i natężony, stają się istotnie wyrazem wielkich prądów myślowych czasu i epoki. Obaj wywierają wpływ niepośledni nie tylko w dziedzinie swej umiejętności, obaj wybiegają daleko po za jej zakres i granice. Od lat dziesięciu prawie zabiera Brunetièrre głos w sprawach ogólnych i jak w krytyce był obrońcą literackiej tradycji, tak i w polemice obecnej jest szermierzem tradycji, powagi, hierarchii, w której upatruje podstawy społecznej równowagi i nadzieję przyszłości. Z krytyka, który sądził się być całkiem przedmiotowym i obojętnym, przeobraził się na apologetę i oratora o niezwyklej wiedzy, zapale, ciętości, darze syntezy, bogaćwie wyobraźni, żywej intuicji, indywidualizmie bojowniczym i śmiałym. Odnowienia katolicyzmu w sercach i umysłach wielu dokonał nie w tych rozmiarach co Chateaubriand, ale z większą od tamtego dyskrecją, erudycją, zdolnością rozumowania ścisłego i dogmatycznego.

Jego ostatnia książka dotyka tematów najdonioślejszych, jak pozytywizm i jego cechy, filozofowie wieku XVIII, metafizyka pozytywistyczna, religia jako soecyologia, kwestya społeczna i jej stosunek do religii. Brunetièrre zaznacza słusznie, że w rzeczach najfalszywszych są ziarna prawdy i ta myśl Spencera stanowi niejako nić przewodnią jego rozumowań. Z każdej herezyi wyciągała religia pewną korzyść, podobnie może postąpić dziś z pozytywizmem. W dziele Comte'a, którego wpływ stał się nieobliczalny, rozróżnić można część negatywną i dogmatyczną czyli konstruktywną. Twórca pozytywizmu zwalczał ostro podmiotowość w filozofii i uważał ją za początek wszelkiego złego. Sądzono, że dość jest wejść w siebie samych i pogardzić badaniem

fizyologicznem naszych organów intelektualnych, oraz obserwacją metod naukowych, by dowieść prawdy. Prawda jest poza nami i niema wolności w myśleniu, prawda jest tylko jedna, a wiedza, to określenie zjawisk jednych przez drugie, uporządkowanie ich, przedstawienie, ale nie wskazanie ich przyczyn. Comte nie myśli kusić się o wskazanie tych przyczyn, a poszukiwanie ich nie jest zgodnem z nauką. W ten sposób Comte potępił swych poprzedników zwłaszcza w wieku XVIII i obaliwszy ich pyszne teorie, przepojone sceptycyzmem, postawił gmach własny. Świat jest takim, jakim go widzimy i doświadczenie dowodzi codziennie słuszności indukcji racjonalnych, które tworzy cała ludzkość od wieków, wiedza klasyfikuje tylko fakta i wykazuje ich stosunki. Niema tedy złudzenia w poglądzie na świat, a illuzjonizm pessimistów jest bajką. Cechą człowieka jest, że chce i musi wierzyć, co stwierdza choćby nauka Comte'a o Wielkiej Istocie, nauka, będąca wprost nową religią. Prawda jest jedną i niezmienną, zupełną i ostateczną, a wiedza tylko stopniowo do niej się zbliża. Dowodzi tego jej przeszłość, dowodzą dzieje wolnej myśli. Ani podmiotowość, uważająca swe orzeczenia za prawdę, ani empiryzm, widzący w poglądach przez siebie wyrażonych prawdy stałe i niezmienne, nie doprowadzą do celu. Duma intelektualna jest wspólną nam wszystkim i stanowi zaporę wszelkiego postępu. Comte rozumiał to dobrze i dlatego jego system jest filozofią *względnej*, stwierdzeniem, że za nim, za jego myślami, za ludzkim rozumem istnieje *bezwzględne*. To *bezwzględne* jest niedostępnem i niemożliwem do poznania naukowo. W ten sposób wiedza, filozofia, pozytywizm otwiera drogę metafizyce, a nawet teologii, w ten sposób odnajdujemy na końcu rozumowań filozofa, którego ogół zwykł uważać za wrogię religii, stwierdzenie istnienia Boga. Czy to nie naucające i nie wzruszające, gdy się czyta, że Comte uznawał wytrwałą dążność kleru katolickiego do zaszczerpienia miłości ludzkości w sercach wiernych, dążność niespełnioną z powodu słabości ludzkich, ale w swej zasadzie wieczną i przeniesioną przez niego do jego kultu, do jego teologii?

Comte głosił potrzebę kształcenia uczucia moralnego i sądził, że początek władzy, prawa, obowiązku nie jest czysto ludzkim. Jego system, podobnie jak wszystkie inne, nie urodził się odrazu, wytwarzał się drogą przemian, a Ravaisson zauważa w swych *Dziejach filozofii francuskiej*, że ostateczne wnioski słynnego pozytywisty są wprost odmienne od tego, co widzimy z początku, że jego geometryczny materializm skończył się otwartym mistycyzmem. Nie ma prawdy w systemach filozoficznych, wśród masy sofizmatów znajdzie się ledwo jej ślad, a ci, którzy je rekonstruują uczenie na katedrach, są raczej archeologami i ludźmi zacofanymi, zwłaszcza wtedy, gdy podają w zapale za prawdziwe to, co dawno zmarło i niema w sobie nic żywego

albo bardzo mało. Czy mamy tedy wrócić do eklektyzmu? Nigdy, gdyż godzi on rzeczy najmniej zgodne. Czy mamy obrać jeden z systemów? Tem mniej, gdyż nawet Nietzsche powiada, że myśliciel, to człowiek pojmujący świat w sposób daleko bardziej elementarny, niż tego się domyślamy. Niema ani religii naturalnej, ani indywidualnej, jest religia społeczeństwa, ogółu, kościoła wiernych. Biada temu, kto jest sam i odłączony od reszty, gdyż religia, to fakt społeczny i niema religii bez społeczeństwa. Chrześcijaństwo, to nie tylko religia, ale też ideał społeczny, którego urzeczywistnienie stanowi zadanie Kościoła. Pozytywizm lojalnie interpretowany może tylko wedle autora posłużyć do spełnienia tego zadania i być potężnym narzędziem przeciw wszelkim zбочeniom myśli, targanej zagadnieniami metafizycznymi...

Życzymy autorowi, by zamiar jego spełnił się całkowicie i by następne tomy rozpoczętego dopiero dzieła były tak suggestywne i rozumne, jak obecny. Przychodzi na myśl, gdy się go czyta, surowy, logiczny, jasny de Maistre, który nie miał jednak ani tej kultury filozoficznej, ani artystycznej, i jako teoretyk absolutyzmu odstraszał i odstrasza słuszenie wielu, dla których lektura jego pióra nie byłaby bez korzyści. U obu czuje się potężne, niezachwiane, udzielające się łatwo czytelnikowi przekonanie, obaj mają na swe usługi język najbardziej przejrzysty i nadający się do podobnych rozumowań. Chateaubriand nie może już mieć na obecne pokolenie dawnego wpływu. Jego rozumowania są często zbyt naciągane, erudycya bardzo płytka, argumenta niekiedy wprost barokkowe i niezręczne. Dzieło obecne jest silnem z punktu widzenia filozoficznego, niema dwuznaczników i nierówności pewnych wywodów poprzednika, nie opiera systemu na wzruszeniach artystycznych, ale na trwałym zrębie myśli intelligeny żywej i bystrej. Nie można nie zalecić tej lektury wszystkim, dla których zagadnienia tu poruszone nie są obojętne. Podobnie jak piękne treścią i stylem, a zagranicą namiętnie dyskutowane *Discours de combat* tego samego autora, jest książka obecna etapem świetnym w literackiej karierze znakomitego krytyka, za który należy mu się wdzięczność nie tylko jego współziomków, ale wszystkich myślących i czujących w czasach dzisiejszych. Dr. T. Grabowski.

— Laura Gropallo: *Autori italiani d'oggi*. (Torino-Roma, 1904, Casa Editrice Nazionale, str. 448). — Krytyka literacka włoska zajmuje się z lubością autorami współczesnymi. Ulubieńcem jej jest d'Annunzio, analizowany z mniejszym lub większym zapasem bezkrytycznego zachwyty, nie gardzi też innymi, porównywając ich ochotnie z wielkościami krajów ościenionych. Jak w całym życiu półwyspu, mało w niej spokoju, równowagi, a ton dytyrambiczny nie znika prawie z szpalt czasopism literackich, zwłaszcza, gdy chodzi o ulubieńców tej lub

owej partii, których apoteozuje lub zwalcza namiętnie. Wtedy nie wchodzi w grę żadne inne czynniki, żadne kryteria, żadna estetyka. Czytająca te elukubracje publiczność, idzie za wątkiem ich rozmowań, ślepo przetwarzając je nadto po swojemu, co sprowadza chaos pojęć nadzwyczajny i nie daje wysokiego wyobrażenia o kulturze współczesnych Włoch. Niezmiernie rzadko spotkać można wśród tłumu krytykujących sąd istotnie dojrzały i wytrawny, równie rzadki jest krytyk prawdziwie odczytany, mający wytworny smak estetyczny, przenikliwość i bystrość niezaprzeczoną, formę dość jasną i prostą, która jedynie może imponować istotnie myślącym i być wyrazem i naczyniem sądu równie jasnego i prostego. Niezbyt dawno zwróciliśmy uwagę na godnego następcę krytyków tego typu co Carducci, de Sanctis, Bertoli, jakim jest Mantovani — dziś zasługuje na podkreślenie krytyk-kobieta, której książka o współczesnych autorach omawiana jest z zajęciem przez wielu i pociąga istotnie wielkimi zaletami treści i stylu.

Pierwsze miejsce zajmuje w jej galerii studyów Fogazzaro. To poeta idei, idealista wielkiego polotu, mistyk otwarty i sympatyczny. Najlepiej udają mu się nowelle, zamykające w drobnych ramach wielkie dramaty duszy. Za wiele w nich czasem sentymentalizmu, niemniej prosta i szlachetna dusza pisarza przegląda nawet w tych, które są jedynie owocem obserwacji dyskretnej i pełnej czaru. Typem romansu nawskróś mistycznego jest *Malombra*, która zakrawa czasem na wykład hipnotyzmu, okazem romantycznej psychologii *Danicle Cortis*. Bohaterowie romansu wyglądają nieco na abstrakcyjne, a nie istoty z krwi i kości, mnogość sentencyj psuje wrażenie, choć uderza niekiedy bogactwem słusznych spostrzeżeń. Dyalog bywa często bezbarwny i mdły, co widać również w *Piccolo mondo antico*. Talent to więcej sympatyczny, niż silny, gdy przeciwnie d'Annunzio ma go może za wiele. Jest on wszędzie poetą i wchłania w siebie niejako świat zewnętrzny, przetwarzając go na własną osobowość i olśniewając nieustannie prawdziwą barwnością stylu. Głęboka melancholia jego *Elegie Romane* świadczy, że nie zawsze jest on optymistą i epikurejczykiem. I romanse jego podobne są częściej do poematów prozą, niż obrazów życia rzeczywistego. Opisy jego są wprost odurzające, co w dramatach szkodzi mu nadzwyczajnie i przedłuża monologi do rozmiarów, niezgodnych z techniką teatralną. Dwa ostatnie akty *Giocondy* dowodzą słabości poety w dramatycznym rozwiązaniu dobrze zaczętej intrygi. Jego dzieła dowodzą braku równowagi twórczej, ale też wyobraźni pierwszorzędnej i zadziwiającej swem niewyczerpanem bogactwem.

Matylda Serao zyskała prędko rozgłos znaczny, ale zawiadła zbyt wiele spodziewających się od niej. I ona ma talent nowellistki, umie zręcznie fotografować obyczaje neapolitańskie, odtwarzać przerażające dramaty dusz dziewczęcych, łamanych bolesnemi

okolicznościami życia, a czyni to z niekłamanem współczuciem, choć bez wyższego aryzmu. Jej inwencya jest słabą, charakterystyki nieco konwencyonalne, opisowość nie przechodząca miary średniej. Nie naciąga jednak niczego do teoryi naprzód powziętej, czuje szczerze i pod wielu względami przypomina, jako znawczyni ludu neapolitańskiego, panią George Sand. Natomiast Verga usiłuje być bezosobistym, na wzór Flauberta, ale udaje mu się to rzadko, zbyt rzadko. Fabuła jego bywa romantyczną do przesady, dążnościom brak charakteru dość określonego i jasnego, charaktery nie występują z tła i kreślone są niepewnie. Rovetta jest lepszym psychologiem, ma więcej żywości i lekkości stylu. Na polu dramatycznym stworzył rzeczy niepospolite, do których zalicza autorka szczególnie *I disonesti*, komedję dobrze zbudowaną i prawdziwą w całości. Ogólnemi a cennemi uwagami o roman-sie zamyka się książka, jedna z najpoważniejszych, jaką napisano w ostatnich latach o literaturze we Włoszech. Znajomość literatur europejskich z pierwszej ręki i wytrawna znajomość życia i współczesnego społeczeństwa, takt i miara unikające stronniczości w tym lub owym kierunku, styl prosty i dyskretny cechują jej autorkę i każą zapominać, że to pisze kobieta, skłonna niejednokrotnie do przesady i panegiryzmu. Verga oceniony jest może za surowo, w Matyldzie Serao za mało podkreślony dar inwencyi prawdziwie południowy, oraz styl nieco przeładowany i pozbawiony niezbędnej prostoty i czystości. Wpływ Ibsena na dramaty Vergi jest pominięty zupełnie. Obszerne o nim studjum mogłoby być skrócone na korzyść sympatycznego i pełnego wdzięku Giacosa, który nie znalazł laski u autorki. Czyżby nie widziała żywości jego typów, piękności formy, szlachetności ideału moralnego? Jego *Come le foglie* są bolesną satyrą na rozkład rodziny, bez której niema społeczeństwa, niema przyszłości. Giacosa dotknął tu najdonioślejszej bodaj kwestyi społecznej i skonstatował niezwykły upadek poczucia obowiązku w rodzinach. Jakiś chłodny wichur zawiął po społeczeństwie i obdarł tysiące jednostek z tego, co było niekiedy ich jedyną ozdobą i zaletą, a słońce uczuć rodzinnych znika dziś za mgłą egoizmu. I wtedy

Come d'autunno si levan le foglie
L'una appresso dell'altra, infin che il ramo
Rende alla terra tutte le sue spoglie.

Mimo tego braku, książkę czyta się z zajęciem i korzyścią niezaprzeczoną, co każe dobrze wróżyć o przyszłości krytyki literackiej Włoch.

Dr. T. Grabowski.

— José Leon Pagano: *Al través de la Espana literaria*. Prologo de Emilia Perdo Bazàn. Tomo primero e segundo. (Barcelona. Casa editorial Chaneci, 1905). — Naturalizm

hiszpański zwrócił na siebie uwagę krytyków francuskich już przed laty dziesięciu, a za nimi poszli niemieccy, włoscy, a nawet rosyjscy. U nas z wyjątkiem zbyt głośnego Echegaraya dość głucho o współczesnych pisarzach Hiszpanii, którym nie brak niekiedy talentu uznanego dziś ogólnie. Wybornym znawcą stosunków społecznych od góry do warstw najwięcej zaniedbanych bywa w swych nowellach Clarin, niepoślednim psychologiem i stylistą nieco akademickiego zakresu jest Picón, pełnymi temperamentu niepohamowanego okazują się zawsze Sawa i na pierwsze miejsce wybijający się dziś Blasco Ibanez. W młodości już zdobył sobie uznanie swą działalnością polityczną w duchu republikańskim, a jego nowelle z życia ludu Walencji zjednały mu poklask namiętny i stanowczy. Ale gdy Sawa jest mniej barwny, żywiołowy, instynktowy, Ibanez podbija wszystkich brutalnością swego stylu, surową prawdą swych scen i krajobrazów, wyobrażeniami nader skrajnymi i wypowiedzaniami bez ogródek i zastrzeżeń. Naturalizm hiszpański wyróżnia się od francuskiego swym optymizmem pogodnym i naiwnym, swym kultem życia i namiętności, choć nie dosięga nigdy ani zwieżłej lapidarności stylu Maupassanta, ani świetnej błyskotliwości i nieskończonych odcieni d'Annunzia. Jest nieco barbarzyński, brutalny, rozpętany, jaskrawy, dziwaczny i lubujący się w niezwykłych kontrastach, jak przyroda tego kraju, a także i literatura. Z lubieżną rozkoszą maluje rozpustę fizyczną i duchową, apoteozuje prawie pomiatanie zasadami moralności, stawia to, co kryło się niegdyś wstydliwie w cieniu, na ołtarzu rozpasanych tłumów, czyni z hetery już nie ofiarę społeczeństwa, jak to bywało za romantyzmu, ale typ idealny kobiety, kobietę przyszłości prawie. Niemoralność nie przybiera tu już pozorów, jak niegdyś u romantyczki George Sand, ale odkrywa się zupełnie i każe się wielbić i szanować. Typy tego naturalizmu, to jakby galerya figur woskowych w muzeum zbrodni, galerya odpychająca wprost, a przecież stanowiąca duchowy pokarm mało myślących i czujących, ale żądnych życia i użycia mas. Filozof Tarde zaznacza, że człowiek w masie traci swą osobowość, w zetknięciu z tą literaturą staje się owym lubieżnym gorylem, za którego Maupassant uważał człowieka, a który przez naturalizm tak pojęty, zdąża prostą drogą do dziczzenia i anarchii obyczajów. Narody południowe pojęły właśnie ten kierunek w sposób najwięcej krańcowy i tak przedstawia się on zwłaszcza u Ibaneza zatracił nie tylko wszelką myśl przewodnią, ale szczególnie w ostatnich romansach nawet zmysł miary, harmonii, plastycznego piękna.

Książkę otwiera przedmowa pióra znanej literatki Emili Pardo Bazàn, która zwięzle określa zadania prawdziwej krytyki, posługując się uznaną i mądrą teorią Sainte-Beuve'a o potrzebie szukania człowieka w książce. Z kolei występują przed nami portrety pisarzy,

czysto realistyczne i jednocześnie dużej wartości artystycznej ze względu na formę, w jaką są ujęte. Pompeyo Gener jest literatem barcelońskim i skończonym pesymistą w zapatrywaniu na przyszłość swego kraju i narodu. Tworzy poematy symboliczne prozą na temat przyszłości ludów, syntezy filozoficzno-mistyczne, fantasmagorye na tle niby naukowem, którym brak przecież wybitnych zalet plastycznych. Podobnym do niego symbolistą jest Juan Meragall, ponury jak stara katedra, ale i barwny jak jej witraże. Mimo mistycyzmu odznacza się spokojem prawie majestatycznym, a w *Oda á Espana* czuć nawet silny polot epiczny. Wierzy, że jego kraj odrodzi się zupełnie i głosi tę wiarę z naiwnością i zapętem młodzieńczym:

L'ora nostra es arribada:
tots ens hem desensonyat
amb el front il luminat
per la llum d'una altra albada.

Pisze oczywiście w języku katalońskim, choć uważa się za Hiszpana, a katalonizm uważa jedynie za prąd literacki. Natomiast Narciso Oller uważanym jest słusznie za ucznia Zoli, a pewien krytyk rosyjski ocenił nawet rodzaj wpływu, jaki mistrz z Médan wywarł na hiszpańskiego nowellistę. Tłumaczy wiele z literatur obcych i celuje w drobnych opowiadaniach z życia swej prowincyi Tarragony, opowiadaniach pełnych związkuści i poezyi. Ani Ignacio Jglesias, dramaturg i nowellista, ani Jacinto Verdagner, ani wreszcie Angel Guimera nie dorównywiają mu treścią i formą. Ostatni uprawia z zamiłowaniem formę dramatyczną, ale mimo niewątpliwie śmiałych pomysłów, brak mu dosyć sił do ich urzeczywistnienia... Drugi tom zajmującej publikacyi wypełniają bardziej znani zagranicą Nunez de Arce, José Echegaray, Palacio Valdes, Perez Galdós, Picon, Ibanez i inni. Wielu z nich przełożono już na obce języki, niektórzy, jak Echegaray, cieszą się sławą światową. W nich naturalizm hiszpański wyraził się w pełni i krytyk nie znajduje dla nich wyrazów uznania, choć zna i pokazuje też skrupulatnie ich słabe strony. A czyni to z taką swobodą, analizuje tak niby od niechcienia i jakby chodziło o zwyczajny raport dziennikarski, przepłata swą wędrówkę po kraju, w którym wyszukuje niekiedy w ustronnych zaciszach jego znakomitości, dowcipnemi uwagami i dygressyami, że czyta się dzieło jak niedzielnny fejleton, a zamyka z korzyścią nadzwyczajną. Kraj, który wydaje się wielkiej liczbie z tej strony Pireneów popadłym w marazm literacki, przynajmniej od czasów romantyzmu, zmienia się w ożywioną arenę walk i prądów bardzo skrajnych, które poznać i zrozumieć nie jest rzeczą pozbawioną interesu. Na pierwszy plan wysuwa się w tym obrazie potężna indywidualność Echegaraya, mało

sympatycznie przedstawia się brutalna, ale ciekawa i oczekująca na dłuższy rozbiór indywidualność Ibaneza.

Dr. T. Grabowski.

Z literatury powieściowej.

— Gabriele d'Annunzio: *Le Novelle della Pescara*. (Milano, Fratelli Treves, Editori, 1902). — Od lat mniej więcej piętnastu rozbrzmiewa po świecie sława Gabryela d'Annunzio, którą zdobył sobie powieściami, poezjami i dramataми. Utwory jego zyskały sobie wszędzie, szczególnie u zwolenników nowszego kierunku literatury, wielkie uznanie. I u nas powieści jego cieszyły się jakiś czas wielkiem powodzeniem, z dramatów zaś *Grocondę* widzieliśmy na naszej scenie. Z za Alp dochodzą nas od czasu do czasu wieści o nowych dramatach, mniej lub więcej szczęśliwych i o obfitych planach dramatycznych.

Jednak temi utworami nie wyczerpał jeszcze d'Annunzio swego bogatego talentu. Wśród wielkich powieści i dramatów pojawiła się książka, która minęła prawie bez echa, a przecie literacką wartością swą zasługuje, aby stanąć między pierwszymi. Głośny poeta, powieściopisarz i dramaturg włoski spróbował sił swoich także w nowellach; owocem tej próby są *Novelle della Pescara*; nowelle peskarskie.

W twórczości d'Annunzia stanowią *Novelle peskarskie*, kierunek klasyczny. Czytelnik, który zna jego poprzednie utwory, choćby tylko powieści, przeczytawszy ten zbiór nowell, staje zdziwiony, że wyjść mogły z pod tego samego pióra, co powieści; tak całkiem różny jest sposób pisania. Jeżeli w powieściach, reprezentujących kierunek modernistyczny, autor przeprowadza nieraz zbyt subtelną analizę uczuć i stanów psychicznych swych postaci, to przeciwnie w nowellach znajdujemy samą syntezę, mającą swój wyraz w działaniu i postępowaniu osób. A te osoby, to nie jakieś natury skomplikowane, o niewyraźnym charakterze, lub co gorsza będące nieraz w sprzeczności z logiką — ale to ludzie, wiedzący, czego chcą, co czują i co myślą. Choć prawie wszystkie nowelle d'Annunzia kończą się smutnie, nie myślimy robić mu zarzutu pesymizmu; jest to raczej wynikiem tej smutnej prawdy, że niema róży bez kolców, że prawdziwego szczęścia na ziemi nie znajdzie.

Najważniejszą zaletą *Nowell peskarskich* jest wysoki artyzm. Jak malarz kilku pociągnięciami pędzla, lub rzeźbiarz kilku uderzeniami dłuta może nadać postaciom cechy charakterystyczne, tak powieściopisarz kilku słowami może odtworzyć stan psychiczny swych postaci, a tajniki ich duszy otworzyć na oś-

cież przed czytelnikami. Na tem polega talent pisarski i to znajdujemy w *Novellach peskarskich*.

Autor mistrzowskiem piórem nakreślił sylwetki z różnych sfer społecznych swego rodzinnego miasteczka. Są to jakby zdjęcia błyskawiczne amatora-fotografa, który chce zrobić album typów peskarskich. Książę i ostatni żebrak, drzemiący radca miejski i czujny marynarz, wielka pani i praczka: jednym słowem wszystkie warstwy społeczne, znalazły swych przedstawicieli w książce d'Annunzia. Sposób przedstawienia przypomina nowelle Sienkiewicza.

Przy czytaniu często stają na myśli, to organista z Poniłki, to *Janko muzykant*, to *Jamioł* i t. d., tylko d'Annunzio kreśli swe postacie z większym realizmem, surowo, wprost z natury, bez tego nastroju poetycznego, jakim odznaczają się bohaterowie Sienkiewicza. Różnica między włoskim a polskim pisarzem jest także ta, że gdy Sienkiewicz brał tematy z różnych okolic, a nawet części świata, d'Annunzio ograniczył się do jednego miasteczka — ale za to dał nam dokładny obraz całego małomiasteczkowego społeczeństwa. A obraz ten dosyć smutny; pod względem oświaty w niczem nie lepszy, a może nawet gorszy od niektórych naszych zapadłych miasteczek lub wsi. W czasie epidemii, która nawiedziła Pescarę, rozeszła się pogłoska, że rząd umyślnie przysłał lekarzy, aby wytruć ludzi zapomocą lekarstw. Ludzie tak uwierzyli w prawdziwość tej pogłoski, że nikt nie chciał zażywać środków przepisanych, a człowiek, któremu przemocą wiano w usta lekarstwo, wypluł je natychmiast.

A jakież znowu nadzwyczajne zdarzenie, gdy do Pescary zawitał teatr prowincjonalny! Jakież ruch powstał między łysymi Donżuanami peskarskimi! Cała Pescara znalazła się w teatrze. Z biciem serca oczekiwano zjawienia się na scenie Violetty Kutufà, która grała tytułową rolę Contessa d'Amalfi. Kiedy zaśpiewała słowa:

La barca è presta... deh vieni, o bella!
Amor c'invita... vivere è amar

Don Giovanni Ussorio, bohater nowelli, stracił całkiem głowę a Violetta Kutufà *così conquistò Pescara*.

Każda postać, którą dotknęła ręka artysty, kilku rysami, kilku wyrazami odmalowana tak żywo, tak wiernie, tak realnie, że w oczach jej wyczytać można każdą myśl, na twarzy każde drgnienie muszkułów, czy z radości, czy bólu, czy głodu lub strachu. Wieśniacy palący spokojnie fajki i czekający na przewóz przez rzekę, żebracy biegnący za jałmużną, marynarze przy swem zajęciu, kaleka zgłodniały, książę broniący przed tłumem swego pałacu, wieśniacy uprzywilejowani, którzy niosą na procesyi posąg świętego patrona, przewoźnik małomówny, rzemieślnik

nicy i t. d. — każda postać, nawet trzeciorzędna, skreślona z wielkim artyzmem i plastyką.

W zbiorze jest nowell ośmnaście. Sprawozdawca znajduje się w kłopotcie, bo chciałby zaznajomić czytelników z wszystkimi, a brak miejsca zmusza go zrobić pewien wybór. Tu powstaje trudność nie mała, bo wszystkie są równie piękne, na wszystkich znać piętno artyzmu. Wybierzemy jednak kilka bar dziej charakterystycznych.

Bardzo dramatyczną sytuacją odznacza się *Przewoźnik*, (*Il traghettatore*). Matka, której dla uniknięcia skandalu odebrano dziecię (pochodzące z nieprawego związku), nie może o niem zapomnieć i myśli jej zwracają się ciągle ku owemu dziecięciu. Cały szereg lat nie potrafił tej myśli zaćmić, przeciwnie z biegiem czasu wzrastała coraz bardziej tęsknota i chęć zobaczenia choćby raz swego syna. Minęło lat 40. Matka się postarzała, ale w myśli ciągle widziała swe niemowlę z przymkniętymi oczami. Wszystkie jej starania, by się dowiedzieć, gdzie się znajduje i czym jest, pozostały bezowocne. Ojciec dziecięcia, bojąc się wykrycia tajemnicy tak ściśle dotychczas zachowanej, nie chciał jej nigdy dać żadnych wyjaśnień. Uległ prośbom dopiero na łożu śmierci i z przestrogą, by nigdy nie starała się go zobaczyć, powiedział, gdzie się znajduje, że jest przewoźnikiem, żonatym, ojcem kilkorga dzieci. Jednak jego przestroga na nic się nie zdała. Od tej chwili bowiem matka myślała tylko o tem, by do wskazanej miejscowości pojechać i syna choć z daleka zobaczyć. Wkrótce udało się jej myśl swoją urzeczywistnić. Pokazano jej leżący za wsią nad rzeką domek przewoźnika. Z bijącym sercem zbliżyła się ku niemu. We wsi opadli ją żebracy i prośbą i groźbą domagali się jałmużny. Rzuciła im całą drobną monetę i uciekła przed ich natarczywością. Przewoźnika w domu nie było, kazano jej czekać w altanie nad wodą, gdzie już kilku wieśniaków czekało na prom. Była tak oszołomiona wszystkim, co ją dotychczas spotkało i zajęta myślą zobaczenia tego, którego w łonie nosiła, że na pytania nie odpowiadała i nie widziała nawet, co się koło niej dzieje. Przewoźnik z najstarszym swoim synem przewoził właśnie owce i zbliżał się do brzegu. Mogła mu się dokładnie przypatrzeć. Był to człowiek w sile wieku, z twarzą nie zdradzającą inteligencji. Kiedy wyszedł na brzeg, otarł ręką pot z czoła, napił się wina, które lubił, i nie mówiąc wracał na prom, by czekających w altanie ludzi przewozić. Matka siedziała jak skamieniała; musiano jej przypomnieć żeby weszła na prom, jeżeli chce się przewieźć na drugi brzeg. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wsiadła machinalnie, chociaż nie miała wcale zamiaru przejeżdżać przez rzekę. Również machinalnie za wieśniakami wyszła z promu na brzeg przeciwny. Tymczasem niemowa, któremu inni żebracy odebrali jałmużnę, rzucił się wplaw, by się o nią upomnieć. Biedna ko-

bieta, chcąc przed nim uciec, bezwiednie rzuciła się w wodę i utonąła. Na krzyk ludzi przewoźnik wsiadł na prom i puścił się na drugą stronę szukać utopionej. I tu chwila dramatyczna! Syn dobywa osęką ciało swej matki z wody, a ponieważ nie wiedział, że to matka, czyni to z taką obojętnością, że się aż zimno robi.

Albo losy owej praczki w nowelli p. t. *La fine di Candia*. Bardzo poczciwą i rzetelną kobietę, znaną w całym miasteczku, posądzono niewinnie o kradzież srebrnej łyżki z domu, z którego od lat brała bieliznę do prania. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie można było na nikogo innego winy zwalić. Nazajutrz rano, gdy Candia zajęta była praniem, zjawił się u niej policyant i wezwał ją do *sindaca*. Tam udowodniła swoją niewinność, ale mimo to podejrzenie rozeszło się po całym mieście i biedną kobietę wytykano palcami jako złodziejkę. Choć przy pomocy czarownicy łyżka się w domu znalazła, podejrzenia na nią nie ustawały, utraciła z czasem klientelę, popadła w nędzę, a jedyną jej myślą było teraz znaleźć u ludzi wiarę w swą niewinność. To też ilekroć kogoś spotkała, wszczytnała zaraz rozmowę o łyżce, dowodząc, że ukraść jej nie mogła, ale niestety nikt jej nie chciał wierzyć. Ten brak wiary był dla niej najstraszniejszą męczarnią. Powoli popadła w obłęd i stała się pośmiewiskiem całego miasteczka, a ulicznicy za *solda* kazali sobie opowiadać historię skradzionej łyżki. Jeszcze na łożu śmierci myślała tylko o tem, i ostatnie jej słowa były: „To nie ja, pani, bo, widzicie... łyżka!!“

Nowella zawiera wypadek prawdziwy. Autor z nadwyzczajną znajomością duszy ludzkiej przeprowadził cały proces psychiczny, jaki się odbył u biednej praczki pod wpływem niesłusznego posądzenia. Kobieta z ludu nie mogła się uspokoić własną świadomością swej niewinności; ona chciała koniecznie, by jej wszyscy wierzyli, że niewinna, widząc jednak, że spotyka się wszędzie z niedowierzaniem, popadła w taki stan duszy, że własne przeświadczenie o niewinności jej nie wystarczało, że ciągle myślała nad sposobami, jakby innych przekonać, aż wreszcie wysiłek ten sprowadził obłęd. Obok tej głównej postaci, wszystkie inne są tak uchwycone, jak lepiej nie można. I te sąsiadki, jedna przewana „sroką“, druga „kuną“, które utwierdzały podejrzenie dwuznacznymi docinkami, i ten policyant małomiasteczkowy, z początku nieśmiały, potem brutalny, i cała galerya typów, począwszy od burmistrza a skończywszy na uliczniku jękającym się.

D'Annunzio nie upiększa, nie idealizuje swoich postaci, przedstawia je w takim świetle, w jakim okazują się dla bezstronnego obserwatora. W *Nowellach peskarskich* jest znakomitą portrecistą i pod tym względem przewyższył w nich poprzednie swe wielkie powieści. Stan niskiej kultury u ludu nie jest dla

niego powodem smutku, patrzy się nań okiem artysty, nie okiem moralizatora. Nowell, zaczerpniętych właśnie z tej sfery społecznej, jest w zbiorze dużo. Jedna i to ostatnia jest szczególnie piękna. Nosi tytuł: *Il cerusico di mare*, który można przetłómaczyć: *Cyrulik z potrzeby*.

Marynarze wyjeżdżają z Pescary na okręcie żaglowym „Trinità“ do Dalmacyi. Jest ich razem, z chłopcem okrętowym, siedmiu. Przy pięknej pogodzie siedzą spokojnie na pokładzie i palą fajki, chłopiec siedzi na rufie, jak na koniu i śpiewa piosenki peskarskie. Obrazek tak piękny i tak sympatyczny, że porywa czytelnika, który odtąd bierze żywy udział w dalszych losach marynarzy. Jeden z nich, imieniem Gialluca, skarży się, że go boli na karku. Towarzysz jego widzi zaczerwienienie, uspokaja go jednak, że to nic nie jest. Na drugi dzień ból się zwiększa, czerwoność się rozszerza i robi się wrzód na szyi. Gialluca cierpi bardzo, jest blady, ale jeszcze nie rozpacza. Kiedy jednak wrzód przybrał rozmiary niebezpieczne, a cierpienie stało się straszne, towarzysze starali się mu dopomóc i wysilali się na różne rady. Jeden radził przyłożyć cebulę. To jednak zwiększyło jeszcze ból. Gialluca odrzucił cały okład do morza, nie mogąc wytrzymać. Drugi radził wrzód przeciąć; widział bowiem raz taką operację u znajomego, który po operacji dokonanej przez lekarza wyzdrowiał. Po naradzie postanawiają teraz i Giallucę w ten sposób wyleczyć. Ów marynarz, który widział operację u swego znajomego, podejmuje się być cyrulikiem. Gialluca z początku opiera się z obawy, ale kiedy mu zagrozili, że jeżeli nie podda się operacji, to z pewnością umrze, pomodliwszy się do św. Rocha, oddaje się w ręce towarzyszy. Dobrowolny cyrulik bierze się do dzieła, nożem najostrzejszym, jaki był na okręcie, przecina kilkakrotnie wrzód Gialluki, a że statek chwia się na wodzie, więc i cięcia nie były jednakowo głębokie. Na tem nie koniec. Zdawało się bowiem cyrulikowi, że operacja nie będzie skuteczną, jeżeli rany nie wypali, a że nie było czem innem, więc użył do tego konopi maczanych w gorącej smole. Gialluca z zaciśniętymi zębami, ślubując św. Rochowi aż 30 funtów wosku, wytrzymał całą operację, ale następnej nocy umarł. Strach padł na marynarzy. Spostrzegli teraz, że za operację, która się stała przyczyną śmierci, musieliby odpowiadać, i postanowili rzecz całą zataić. Trupa wrzucili do wody, chłopcu nakazali milczenie. Wkrótce potem spotkali znajomych marynarzy, którzy wracali do Pescary. Po wzajemnych pozdrowieniach, gdy tamci pytali o Giallucę, odpowiedzieli, że utonął w czasie burzy i kazali im oznajmić to jego matce.

Treść, jak widzimy, bardzo prosta, bynajmniej nie skomplikowana; ale talent autora zrobił z niej arcydzieło. — Jeśli przypatrzymy się charakterystyce osób, podziwiać musimy talent

autora, który przy tak skąpej treści nowelli, tak artystycznie wykończył sylwetkę każdej postaci.

Dwie nowelle z tego zbioru t. j. *La Vergine Orsola* i *La Veglia funebre* wchodzą w zakres tematów o naturalistycznym podkładzie. Obie kończą się scenami zmysłowości. Ale naturalizm d'Annunzia w tych nowellach różni się wielce od naturalizmu innych autorów. n. p. Zoli. D'Annunzio nie lubuje się w malowaniu scen podniecających wyobraźnię — jego interes budzi przedewszystkiem tylko rozwój powolny przemian psychicznych, które są pobudkami osób działających, nie rozkoszuje on się w opisach rzeczy zmysłowych, ale umie zachować artystyczną miarę i wie, kiedy zapuszczać kurtynę.

Weźmy pod uwagę np. *La Veglia funebre*, t. zn. *Czuwanie przy zmarłym*. W pokoju, gdzie spoczywają zwłoki nieboszczyka, otoczone świecami, znajduje się młoda wdowa i brat zmarłego, ksiądz. Wśród ciszy nocnej, wobec grozy śmierci, oboje nic nie mówią, lecz myśli ich zbiegają się bezwiednie na wspomnienie owych czasów, kiedy ona była panną, on świeccim młodzieńcem. Mieszkali na wsi w sąsiedztwie, i często się widywali. Ona okazywała mu wiele sympatyj, młody człowiek jednak, który miał iść do seminarium, nie rozumiał wówczas powabów miłości. W parę miesięcy po jego wyjeździe do seminarium, ona wyszła za jego brata. Teraz przy zwłokach nieboszczyka wspomnienie owego pobytu na wsi, a szczególnie wycieczki do lasu, stanęło mu przed oczyma... Wśród tych rozmyślań, młoda wdowa oparłszy głowę o ścianę zasnęła, ksiądz usiadł obok niej. Przez wpół otwarte okiennice, wiatr przynosił z oddali śpiewy robotników, a silniejszy powiew zgasił świece przy katafalku. Wówczas oboje młodzi zwarli się w namiętym uścisku.

Końcowa sytuacja nowelli jest zwłaszcza wobec powagi śmierci zbyt naturalistyczna, a nawet przykra, i chociaż autor psychologicznie ją uzasadnił, to jednak wybór samego tematu nie pozostanie bez zarzutu. Jest w nim coś, co, mimo całego prawdopodobieństwa, trąci brakiem zmysłu moralnego i sprawia wrażenie nieestetyczne.

Druga nowella p. t. *La Vergine Orsola* opowiada losy młodej osoby, oddanej tylko modlitwie i nabożeństwu. Ciężka choroba przykuła ją na długi czas do łóżka i chociaż wyszła z niej zwycięsko, ale dusza jej się odmieniła. Kiedy siły powoli zaczęły wracać, budziło się w niej coś, czego dotychczas nie знаła, t. j. zmysłowość. Rozdelikaccona długą chorobą i zleniwiała z powodu ciągłego leżenia, nie znalazła w sobie siły, by się oprzeć pokusom zmysłowym, przeciwnie zaczęła się przeglądać w zwierciadle, lubować się w swojej cerze i kształtach. Wkrótce zabrała listowną znajomość z pewnym młodzieńcem z przeciwnka i miała mu naznaczyć schadzkę. Galeottem był po-

śługacz z ulicy o wstrętnej powierzchowności. Kiedy tenże przyszedł po ostateczną odpowiedź, zastał ją stojącą przed zwierciadłem, a podniecony jej widokiem nadużył roli pośrednika. Nieszczęśliwa zaczęła gardzić sama sobą, wstydziła się ludzi, a kiedy poczuła się matką, popadła w taki stan niepokoju i wstydu, że chcąc się od grożącej konieczności uwolnić, udała się do czarownika, by u niego zasięgnąć rady. Tam wypita napój, od którego w okrutnych męczarniach zginęła.

Obok tych nowell, mamy w zbiorze jeszcze inne, które świadczą o wielkiej religijności Peskarczyków, a szczególnie o wielkiej czci dla świętego patrona. Jedna z nich p. t. *L'Eroe* doprowadza tę cześć do bohaterstwa. W czasie procesyi, posąg świętego patrona podniesiony nie równocześnie, przechylił się i przygniótł rękę jednego z uprzywilejowanych. Zastąpił go w tym zaszczycie inny, on zaś na prośby towarzyszków, poszedł ze zgniecioną ręką do domu. Wkrótce jednak powziął postanowienie; wrócił do kościoła i tu wobec tłumów u stóp świętego patrona odciął nożem swą rękę i ofiarował ją świętemu. — Jest to zaiste przykład nadzwyczajnego poświęcenia, a pobudki tego czynu tkwią w głębokiej wierze.

Na tem kończymy sprawozdanie. O reszcie nowell mówić już nie będziemy, mamy bowiem nadzieję, że wszystkie ukazą się niezadługo w tłómaczeniu na nasz język, na co w całej mierze zasługują.

S. P.

— *Heimat des Herzens*. Roman, von Georg Freiherrn von Ompteda. (Egon Fleischel & Co. Berlin). — Ze wszystkich niemieckich powieściopisarzy autor *Niemieckiej szlachty około r. 1900*, tłómacz Maupassanta, najwięcej ma w sobie zrozumienia ducha francuskiego. Nie jakoby nie był narodowym: ten potomek starej szlacheckiej dolno saskiej rodziny, ma bardzo rozwinięty zmysł narodowy, nieraz może, jak na gust obcych, jest zbyt nacyonalistą. Ale niemniej dobrze rozumie ducha narodu francuskiego i lubi się w niego zagłębiać, zawdzięcza mu większą otwartość widnokregu, wreszcie i rozmaitość motywów. Widocznem to jest i w ostatniej jego powieści *Heimat des Herzens*, osnutej na tle małżeństwa Niemca z Francuską.

Jest gdzieś we Francyi miejscowość Saint-Mathurin z zamkiem panów de Corvieux. Ojciec, od samego początku scharakteryzowany jako wierny syn kraju, który wydał z jednej strony Voltaire'a, z drugiej... Cyrana de Bergerac. A więc rycerski mężczyzna swobodnych, prawie sceptycznych przekonań, bardzo dowcipny i bardzo elegancki, trochę próżny i egoista, ostatecznie sentymentalny i w ideałach się kochający. Ma dwie córki, Claire i Simone. Pożycie tej rodziny, bardzo wykwintnej i kulturalnej, lecz w sędzie niemieckim próżniaczej, w kilku wstępnych obrazkach przedstawione wyraziście, a bez najmniejszej skłonności do karykatury. Właściwa akcja zaczyna się

z chwilą, gdy Claire zostaje żoną dalekiego kuzyna, barona de Préfaillles, którego serdeczny druh, niemiecki oficer Karol hr. Rundstetten, odrazu zyskuje gorącą wzajemność Simony. Lecz nie względy jej ojca, bo ten ani słyszeć nie chce o wydaniu córki za Niemca, i to jeszcze oficera niemieckiego. Rundstetten jednak nie ustępuje, lecz proponuje taką umowę: on teraz odjedzie do ojczyzny, bo i tak skończył mu się urlop; pisać nie będzie do ukochanej panny ani słowa, aż upłynie naznaczony czas próby, ale jeśli i wtedy jeszcze młodzi kochać się będą, ojciec już nie odmówi swego zezwolenia na małżeństwo. Sam pan de Corvieux skraca ten czas, bo Simone osamotniona i utęskniona choruje niebezpiecznie, a potem tak zwolna przychodzi do zdrowia, że rodzice widzą jedyne lekarstwo w szybkim przywołaniu oficera i daniu pozwolenia na związek małżeński.

Odąd fabuła bieży szlakiem zetknięcia się dwóch odrębnych szczepli, dwóch odrębnych kultur. Pierwsze kroki młodej pani hrabiny na niemieckiej ziemi postawione przynoszą jej oczywiste same tylko ciekawe nowości, od niemieckich mundurów wojskowych, aż do nieznanych na południu sanek. Lecz wnet w sercu żony budzi się tęsknota za rodzinnymi stronami, w umyśle męża zagnieżdża się świadomość tej tęsknoty żony, oboje małżonków poczyna rozdzielać różnica narodowych temperamentów i wyobrażeń. Charakterystycznym jest pod tym względem wieczór wigilijny ze zwykłymi w tym dniu podarunkami. Karol daje żonie widok krajobrazu pod Saint-Mathurin i wywołuje w niej tylko zaostrzenie tęsknoty, aż do omdlenia dochodzące; ona zaś obdarza męża przesłiczną statuetką nagiej algijskiej tancerki, na którą ten typowy, dla sztuki obojętniejszy, do tradycyjnej prudery przywiązany Niemiec patrzy prawie niechętnie, uswiadomiamy sobie, jaka przepaść rozdziela jego wychowanie od pojęć romańskiej rasy. Małżonkowie żyją na pozór bardzo szczęśliwie, mają synka, tracą go co prawda niemowlęciem, jeszcze bardziej ciąży jednak nad tym domem tęsknota Francuski za Francją. Rundstetten to widzi i uzyskawszy urlop jedzie z żoną do Francji, do Saint-Mathurin. I tu dopiero rzecz staje mu się zupełnie jasną. Tu on sam tęskni, tęskni za dolnoniemieckim krajobrazem, za tamtejszem filisterstwem, za pierwotniejszymi obyczajami, za niemieckim porządkiem i karnością i obowiązkowością, za swobodniejszymi formami towarzyskimi, za służbą wojskową, za stajnią, za końmi. Nieszczęście chce, że właśnie teraz, kiedy małżonkowie najlepiej się rozumieją rozłącza ich śmierć na zawsze: Rundstetten, zwiedzając stadninę w Saint-Mathurin, pada na ziemię, uderzony końskim kopytem, i wkrótce umiera. Wdowa sprowadza zwłoki nieboszczyka do Niemiec, lecz sama wraca do swej ukochanej ojczyzny, a autor w ostatnich słowach powieści zdaje się uwalniać ją od wszelkiego możliwego zarzutu i obiecywać jej szczęście w dalszem życiu.

Od czasów drugiej części cyklu *Niemieckiej szlachty około r. 1900*, od znakomitego romansu *Eysen*, bar. Jerzy von Ompteda nie napisał tak dobrej jak niniejsza powieści. Żywa akcja, prowadzona z wielkim zrozumieniem, a bez cbaotyczności i nerwowości; szlachetny rysunek poszczególnych figur i ogólnego środowiska, prawda zasadniczej myśli, bardzo narodowej, ale i obcą indywidualność narodową tak wyraźnie podkreślającej, wreszcie znana i zawsze u p. Omptedy ceniona wytworność formy i języka, składają się na takie korzystne wrażenie. Szczególnie zalecić można książkę tym, którzy z przypadku, czy własnej woli nieco dalej stojąc od kultury niemieckiej, pragną przecież poznać refleksy, jakie zachodnia kultura na niemiecką rzuca. Bo jeśli komuś nie wystarczy stwierdzenie faktu, że p. Ompteda jest dzisiaj najwytworniejszym powieściopisarzem niemieckim, to przekona go do autora ta pochwała, iż nie gorszym będąc Niemcem od innych swoich rodaków, jest może, jak mało który z nich — Europejczykiem.

Dr. J. Flach.

— *Götz Krafft*. Die Geschichte einer Jugend, von Eduard Stilgebauer. II. *Im Strom der Welt*. (Berlin, Verlag von Rich. Bong). — W ogłaszanej co roku przez berlińskie *Das litterarische Echo* statystyce wypożyczalni niemieckich, *Götz Krafft* p. Edwarda Stilgebauera stoi na samem czele, jest najpoczytniejszą powieścią z r. 1904. To sprawia, że rozpatrzywszy się w sierpniowym zeszyte *Przeglądu* za rok ubiegły w pierwszym tomie romansu, dzisiaj zapoznajemy czytelników z drugim, właśnie wydanym, a stanowiącym do pewnego stopnia osobną dla siebie całość. Z dawniejszego sprawozdania przypominamy, że ma się tu do czynienia z tak częstym w Niemczech rodzajem powieści t. zw. *Bildungsroman*, którego bohaterem jest syn pastora z Frankfurtu nad Menem. W pierwszej części chłopak przebywa naprzód uczniowskie lata w rodzinnem mieście, później studenckie jako teolog w Lozannie, wreszcie zniechęcony do zawodu duchownego, zaznawszy pierwszych rozkoszy, pierwszych doświadczeń i pierwszych rozczarowań życiowych, wraca do ojcowskiego domu. W drugim tomie *Götz Krafft* studjuje na uniwersytecie berlińskim, z musu i pozor, teologię, z popędu lecz również powierzechnie filologię. Scena rozszerza się więc: zamiast prowincjonalnego miasta, choćby nawet tak ludnego i ruchliwego jak Frankfurt, jest stolica państwa, milionowe środowisko polityki i handlu, nauki i sztuki, nędzy i zepsucia. To też jeśli pierwszy tom był zajmującym, drugi jest nim w wyższym jeszcze stopniu, zwłaszcza, że autor, stawiając na drugim planie szczegóły bardziej znane, jak n. p. stosunki socyalne lub wielkomiejskie życie uliczne czy szynkowniane, obszerniej przedstawia to, o czem obcy mniej dokładne mają wyobrażenie. Więc np. stosunki panujące w uniwersytetach — typy profesorów i studentów; więc dalej ścieranie się dwóch prądów w łonie pro-

testantyzmu: racjonalistycznego i ortodoksyjnego: więc redakcyje pojawiających się hałaśliwie a marnie ginących pisemek peryodycznych o rozmaitych szumnych tytułach i t. p. Polskiego czytelnika zajmie najwięcej to, co zresztą w powieści ma cechę największej aktualności: życie wszelakich rosyjskich i włoskich rewolucjonistów, kryjących się przed okiem berlińskiej policyi, odstawiającej ich do granicy w razie wykrycia. Polka, niejaka Koniecka, wynajmuje pokoje tym wykojejonym jednostkom, ciągnąc z nich dobre zyski, nadużywając nawet niebrzydkiej a zmysłowej córki Sonji, której imię p. Stilgebauer także za polskie uważa. W ten sposób przesuwają się przed oczyma czytelnika postaci Trappa, fanatycznego wyznawcy terrorysty Mosta, dalej Lovelli'ego, kolportującego wśród robotników włoskich socyalistyczny organ *Avanti*, pary nihilistycznych kochanków Tschagarina i Fedory Baranow, w końcu tajnego szpiega politycy, Alzateczyka Duverdiera.

Żywszy i dramatyczniejszy od pierwszego tomu, ten drugi jest jednak od niego artystycznie gorszym. Materiału jest w nim *in crudo* bardzo wiele, lecz opracowanie wykazuje wielkie braki. Pełnych, głębokich momentów, jakich kilka wymieniło dawniejsze sprawozdanie, tutaj daremnie się szuka. Nie dość, że tu i ówdzie obce wpływy idą za daleko, np. gdy Trapp i Lovelli dokonywują z nędzy morderstwa na starym sknerze, właścicielu pokątnego zakładu zastawniczego, Jänickem, co wszystko tak żywo przypomina Dostojewskiego *Zbrodnię i karę*. Ale i w całości nie ma podniesienia szczegółów materialnej akcji do wyżyn przejęć duchowych, co przecież jest podstawą tego rodzaju powieści. Raz poraz autor powtarza się wśród okoliczności tylko nieznacznie zmienionych. Tak procesowi „fabrykantki aniołów“ z pierwszej części odpowiada w drugiej jeszcze skandaliczniejszy, artystycznie zaś jeszcze banalniejszy przeciw właścicielom eleganckiego domu gry i rozpusty; namiętna Jeanne Ramuz z książki *Mit tausend Masten* ma swoje *pendant* w dobrze udającej świeżość i naiwność Mimi Kubitz i t. d. Co więcej, zasadnicza myśl utworu, duchowy rozwój bohatera przedstawiony jest płytko i niejasno. Götz Krafft bowiem ostatecznie tylko pisze dramat, wyszydzony i wyśmiany przez krytykę, podobno bardzo stronnictwą, następnie zaś doznawszy wielu zawodów, postanawia zamknąć epokę młodzieńczej *Genieperiode* i za wskazówką profesora Trümmlera zabiera się do poważnej germanistycznej pracy. Swoją drogą niewiadomo, jak ją skończy, bo właśnie w tym samym czasie otrzymuje od zniechęconego bezczynnością syna pocziwego pastora rozkaz, by opuścił Berlin i wstąpił do wojska, celem odświeżenia jednorocznego obowiązku wojskowego. Lecz gdyby nawet pracy dokonał, to jednak porównanie pierwszego druku trzech pieśni *Messyady* Klopstocka z ich ostatecznym wydaniem, nie jest przedsięwzięciem mogą-

cem uchodzić za kamień graniczny pomiędzy dwoma okresami życia niemieckiego młodości.

Spis wad i niedostatków jest więc dość znaczny, a szczególnie głośniejszy rozbiór książki powiększyłby go tylko. Ale mimo to wszystko, pozostanie faktem niezbitym, że *Götz Kraft* jest dzisiaj najgłośniejszą w Niemczech powieścią. Na karb samej tylko reklamy, prawda że niezwykle hałaśliwej, policzyć tego nie można. Raczej powiedzieć trzeba, że po przewyciężeniu naturalistycznej drobiazgowości i małostkowości ciasnej, pragnienie szerszych horyzontów, wyższych idei jest i w Niemczech obecnie silne. Tak silne, że zapewnia powodzenie powieści, która wywiesza szyld błyskotliwy, gwiazdzisty, choćby nawet pod tą świetną firmą sprzedawało się towary pośledniej wartości.

Dr. J. Flach.

SPROSTOWANIE.

W styczniowym zeszycie *Przeglądu* umieścił Dr. T. Sinko notatkę o mniemanym humanizmie Marcina Bielskiego, opierając się na wpływie, jaki *Senatulus Mulierum* Erazma Rotterdamskiego na *Sejm Niewieści* Bielskiego wywarł, i polemizując z niżej podpiśnianym, przeczącym w *Dziejach Literatury Polskiej* wszelkim wpływom humanistycznym na Bielskiego.

Przeoczył p. Sinko, że *Senatulus Mulierum* już około r. 1540 na polskie przetłómaczono; że p. Z. Wolski w Warszawie posiada nawet arkusze B i C z tego „pierwodruku“ polskiego, o czem w przedmowie do innego współczesnego ułamku, do *Kuchmistrzostwa*, wydanego r. 1891, wspominał. Rzeczy te, t. j. stosunek Bielskiego do *Senatulus* polskiego niekoniecznie Erazmowego (łacińskiego), od lat kilkunastu znałem; w *Dziejach Literatury* nie wspominałem o tem i dla krótkości i dla tego, że Bielski pomysł obey do treści całkiem oryginalnej polskiej, o której się Erazmowi ani śniło, zastosował; chodziło mi o zaznaczenie tej oryginalności treści, nie pomysłu, który nawet u samego Erazma jest znowu tylko pożyczonym; również znałem od dawna obey wzór *Rozmowy dwu brwanów*. a przemileczałem i o tem, bo i tu nie o ten wzór, ale o treść szczeropolską, rodzimą, chodzi, jaką Bielski obcą formę zapełnił.

Twierdzi p. Sinko: „Przeciwnie, był Bielski humanistą, czytał oprócz Erazma także Boccaccia i t. d.“ Choćbym chętnie przyznał, że Bielski nie dwa, lecz dwieście traktatów albo książek humanistycznych czytał, przeczę jak najkategoryczniej, żeby sam humanizm, jego pogląd na świat starożytny i t. d. dotknął lub musnął Bielskiego; samo czytanie książek humanistycznych nie jeszcze w tym względzie nie rozstrzyga! I Rey z Cyncerona i Seneki się zapożyczał, a humanistycznego Palingeniusza prze-

rabiał więcej niż Bielski, mimo to humanistą nie był nigdy; chodzi bowiem o treść i ducha, o styl i myśli, nie o same czytanie kilku lub kilkunastu traktatów. Duch zaś, nauka, styl i myśli, pogląd na starożytność, jest u Bielskiego, jak u Reya, średniowieczny, nie humanistyczny. Przytoczę dwie próbki dla udowodnienia tego twierdzenia: wybierał n. p. Bielski żywoty filozofów z Burleya i między innymi powtórzył żywot Wergiliusza; czem Wergiliusz był dla każdego humanisty, wiemy; dla Bielskiego był tylko czarnoksiężnikiem i czarodziejem i powtarzał o nim bez zasromiania się sprośne baśni średniowieczne: widocznie ów „humanista“ *Eneidy* może i nie czytał i miał o Wergiliuszu przesądne i potworne pojęcia średniowieczne, nie choćby najelementarniejsze humanistyczne! Czem Terencyusz był dla humanisty, również wiemy; u Bielskiego w przedmowie do *Komedyi* (1557 r.) znajdzie p. Sinko n. p. takie zdanie „humanistyczne“: „Piszę tu... nie ku zgorzeniu, jako pirwej bywały komedye Terentii, *Eumuchii*, Plauti“; znajomość literatury klasycznej, bijąca ze zdania tego, iście godna Nagłowskiego kompana! Nie powtórzyłem więc, jak mnie p. Sinko posądza, „tradycyi historyków literatury polskiej“; nie uformowałem sobie rozumowania dziecinnego, niegodnego człowieka myślącego, jakie mi p. Sinko podsuwa, lecz streściłem *wyniki własnych badań*, zaprzeczając wpływom humanizmu u Bielskiego. Jeżeli p. Sinko znajdzie jakie fakta, świadczące o takich wpływach, i owszem, prosimy o nie: co tym razem przytoczył, nie dowodzi niczego i sądu mego nie wzrusza¹⁾.

Dr. A. Brückner.

Berlin 14 stycznia 1905 r.

¹⁾ Z góry przestrzegam autora, że takich faktów napróżno szukać będzie; nie znajdzie ich, bo ich niema. „Humanista“, trudniący się długie lata literaturą, coby ani jednego wiersza po łacinie (prócz pozwów dla formy urzędowej) nie napisał — a takim jest Bielski, jak i Rey — niech mi p. Sinko takiego „humaniste“ już nie w Polsce, ale w całej Europie XVI wieku pokaże! Syn Bielskiego, Joachim, był humanistą, ale to nie jedyne było, czem się syn od ojca różnił.

TEATR KRAKOWSKI.

Dobrze się skończył rok stary, a zaczął nowy, gdyż zawi-
tał do nas rzadki ptak, a mianowicie taki autor sceniczny, który
zdecydował się napisać nie dramat, lecz komedię; a gdy okazało
się po przedstawieniu, że komedia w czterech aktach Włodzie-
mierza Perzyńskiego p. t. *Lekkomysłna siostra*, świadczy
o talencie pisarza i stanowi nowy nabytek piśmiennictwa, zapa-
nowało ogólne radosne zdziwienie. Komedia zjawiała się w osta-
tnich latach coraz rzadziej; zdawało się, że ten rodzaj literacki
wymrze w zupełności, a było to przykre, a niezmiernie dziwne,
tem szczególniejsze, że w sam raz, jak na złość, pojawiali się
raz wraz autorowie mający widoczną zdolność do pisania kome-
dyi, ale nie chcący żadną miarą robić tego, do czego są powo-
łani, lecz wołający kleić liche dramaty. Nareszcie p. Perzyński
poświęcił się zostać normalnym człowiekiem, t. j. robiącym to,
co umie, i do czego ma zdatność Krytyka winna więc podnieść
przy tej sposobności z jak najsilniejszym naciskiem, że autor
nie tylko nie będzie przez to stał niżej od tych, którzy liche dra-
maty pisują, ale, jeżeli wrodzoną zdolność pracą i doświadcze-
niem rozwinię, będzie się go uważało na równi z autorami dobrych
dramatów, gdyż wobec sądu historii literatury wszystkie rodzaje
sceniczne są równe.

Rzecz dzieje się w Warszawie, w domu przemysłowca
Topolskiego, który własnej pracy wszystko zawdzięcza. Jest ich
troje rodzeństwa: on, Henryk, brat jego młodszy, Janek — lekko-
myślny i zupełnie odmiennego usposobienia od starszego brata,
szastający pieniędzmi „w prawo i w lewo“, liczący na to, że
się bogato ożeni i posagiem długi popłaci — i siostra ich Marya.
Dawniej bieda była w tej rodzinie, a po śmierci rodziców utrzy-
manie Maryi ciążyło braciom. To też pragnęli jak najprędzej
wydać ją za mąż i gdy nasunął się kandydat do małżeństwa
w osobie zamożnego p. Władysława, zmusili ją niemal do zamęż-
cia wbrew jej woli i wszelkim skłonnościom. Obydwa ci bracia,
to natury trzeźwe, zajęci tylko rzeczywistością i nie myślący

o niczem po za sprawami tyczącemi powszedniego chleba. Różnica w tem, że każdy z nich inaczej tę sprawę traktuje. Henryk sumiennie, ciężką pracą i wytrwałością do grosza dochodzi, a Janek chciałby go mieć bez pracy; w tem atoli do siebie podobni, że po za kwestyą materialnego bytu nic ich nie obchodzi. Inną zgola była Marya; trochę poetka, nawet rzeczywiście wiersze pisywała, za co dostawało jej się rozmaitych epitetów, a gdy marzyć poczęła o miłości, wytlómaczono jej, że ma „przewrócone w głowie“. Charakter u Maryi słaby, to też napierana wymówkami braci, niechęcych jej darmo żywić, dała w końcu wmówić w siebie, że do małżeństwa miłości nie trzeba i wyszła za Władysława. Wkrótce i Henryk ożenił się, pojawiwszy w małżeństwo Helenę, osobę najpospolitszą w świecie, czułą bardzo na pozory, ale bez charakteru. W domu powierzchownie rzeczy biorącego Henryka cicho jednak jest i spokojnie i z pozorów wszystko szczęśliwe. Inaczej u Władysławowstwa. Fatalna sprzeżność usposobień dała się temu stadtu tem bardziej we znaki, że każde z nich miało usposobienie wybitne. Młoda żona, pełna temperamentu, paląca się do życia, nie mogła znaleźć zadowolenia w związku z Władysławem, zacnym wprawdzie i bardzo rozumnym, ale znacznie od niej starszym, a przytem zamkniętym w sobie, flegmatycznym, powolnym, a nawet z pozorami ponurości. Przezywają go filozofem, a lekkomyślny, lecz posiadający wiele zmysłu obserwacyjnego Janek, nie napróżno zwróci potem uwagę, że żadnemu jeszcze filozofowi żona wierną nie była. Nie utrzymało Maryi przy mężu ani nawet dziecię. Przez jakie próby i męczarnie przechodziło wzajemne ich pożycie, tego się autor tylko domyślać nam każe, dosyć, że po dłuższym czasie Maryi życie w tych więzach zbrzydło; świata nie znając, doświadczenia życiowego nie posiadając zgola, nie znajdując moralnego oparcia w braciach, pozostawiona pod względem moralnym zupełnie samej sobie, opuszcza wkrótce dom męża. Przez jakie przechodzi koleje, tego nam szczegółowo autor nie opowiada; w chwili, gdy akcyja się rozpoczyna, znajduje się w Wiedniu, jako metresa bogatego arystokraty austriackiego, hrabiego Arnhof von Stieglitz. Akcyja płynie żwawo od samego początku. Nadeszły listy z Wiednia od Maryi, w których zapowiada swój powrót po czteroletniej nieobecności, dodając, że chce się zmienić i powrócić na dobrą drogę. Konsternacyja w całej rodzinie. Henryk może się w duszy cieszyć, bo to w gruncie dobry człowiek, ale zawojowany przez żonę. Helena zaś oburza się na samą myśl powrotu lekkomyślnej siostry, i w możliwość nawrócenia nie wierzy, a boi się skandalu; zapowiada, że na ulicę nie wyjdzie, póki ona będzie bawiła w Warszawie, boby jej wstyd przed ludźmi palić policzki. Pod wpływem Heleny powstaje oburzenie na Maryę, że się śmie rodzinie na oczy jeszcze pokazywać. Oburzenie zwiększa się, gdy kuzynka Topolskich, starzejąca się panna Ada, przynosi

plotki, że Marya właśnie wczoraj przyjechała i że już ją widziano w jakiejś kawiarni nad ranem, zupełnie pijaną w towarzystwie jakichś wesółych mężczyzn. Na dobitkę Janek przynosi złowrogą wieść, że mu drzwi pokazano w domu, w którym spodziewał się znaleźć posażną żonę. Tak bowiem liczył na to małżeństwo, że odmowy nie umie sobie inaczej wytłumaczyć, jak tylko cieniem lekkomyślnej siostry; dom porządny nie chciał się związać z domem, nad którym ciąży plama. Tu wywiązuje się autor doskonale z charakterystyki Janka. Nie nam o nim przedtem nie opowiadał, nie wysnuwał żadnych długich wywodów; z samej tylko rozmowy pomiędzy Jankiem a bratem i bratową, rozmowy toczącej się o co dopiero otrzymanym odkoszu, widzimy, że to nie tylko letkiewicz, ale też ogromny głupiec, który przez głupotę dochodzi aż do upodlenia. Do zbrodni nie byłby skłonny, ale niema tak niskiego czynu, którego by się nie dopuścił w pogoni za groszem, byle tylko nie wchodził w kolizję z sędzią karnym. Nadchodzi też Władysław, który też list od żony otrzymał i po chwili znamy go również dostatecznie. On wierzy, że Marya zatęskniła za dzieckiem opuszczonym, że chce się poprawić i gotów jej przebaczyć. Helena podburza jednak ciągle wszystkich przeciw Maryi; dla honoru rodziny domaga się, by wszyscy trzej panowie zaraz poszli do niej do hotelu i nie dopuścili do stałego pobytu Maryi w Warszawie. Władysław niema zwyczaju zwodzić sprzeczek; on i tak w stanowczej chwili postąpi według własnego uznania. W każdym razie trzeba jak najprędzej sytuację wyjaśnić, wiedzieć, z czem Marya przyjeżdża, wiedzieć, co zamierza i zamierzy. Udaje się więc wraz z szwagrami do hotelu. W tej chwili służący zapowiada odwiedzinę jakiegoś p. Olszewskiego. Widocznie dobry i stary znajomy tego domu, skoro mąż prosi żony, żeby go przyjęła, sam zaś nie chcąc się zatrzymywać, wyjdzie z bratem i szwagrem tylnymi drzwiami. Zjawia się p. Olszewski w zwykłym ulicznym ubraniu, a więc gość bardzo już poufały. Do pani domu zanadto nawet poufały, bo ledwie drzwi za mężem się zamknęły, pocałunki i aż nazbyt wyraźna rozmowa nie zostawiają żadnej wątpliwości co do rodzaju ich stosunku. Helena zwierza się ze swego strasznego zmartwienia, że śmie przyjeżdżać „lekkomyślna siostra“; przez chwilę zastanawia się, czy też ona nie jest również lekkomyślną, ale p. Olszewski bez najmniejszego trudu przekonuje ją, że to zupełnie co innego, gdyż w tem działa miłość, a ta wszystko uświęca. Ale p. Olszewski ma także swoje zmartwienie, lecz wcale nie moralnej natury. Oto pieniędzy mu brakuje, a p. Topolska w tej chwili mu ich dostarcza. Wyzyskiwanie Heleny przez Olszewskiego trwa już dłużej. Mamy przed sobą indywidualium, które utrzymuje się z pieniędzy wyludzanych od mężatek pod pozorem miłości i sprawia sobie za nie później hulanki w wesółem mięszanem towarzystwie po nocach.

Pierwszego aktu słucha się ciekawie; akcyja idzie żwawo, charakterystyka wszystkich figur wyraźna, a nawet dosadna. Utwór zapowiada się być czemś pośredniem pomiędzy komedią typów a komedią sytuacyjną. Faktura i sposób podawania charakterystyki przypomina trochę Bałuckiego, lecz jak gdyby od-młodzonego i w wydaniu poprawnem, zastosowanem bardziej do nowoczesnych wymagań. Nie daje nam autor sposobności spojrzeć w głąb duszy swych figur, ale też figury te tak dalece duszy nie mają. Niema też w nich niczego skomplikowanego i dlatego do scharakteryzowania ich wystarcza trochę znamien-nych wyrażań, a czasem nawet tylko sposób zachowania się i gesty. Tak n. p. panna Ada, zawodowa plotkarka, jak widać ze wszystkiego, mówi ciągle o tem, że wpadła tylko na chwilę, bo mama niezdrowa i mama bardzo zmartwiona i strach będzie, jak mama się dowie i t. p. Ale jest jednak w tem życie, bo jest prawdopodobieństwo, a przytem autor zachowuje ściśle jakiś wspólny nastrój całego grona, wśród którego rzecz się dzieje, i jak przez ten akt pierwszy, tak też przez cały utwór nie wymyka mu się nic takiego, coby naprowadzać mogło na jakąkolwiek sprzeczność. Dzięki temu, że umie zatrzymać się w granicach przystępnych charakterystyce podawanej tylko z grubsza, której całą wartością jej dosadność, a oględnością konsekwencya, dzięki temu utwór sprawia dobre wrażenie.

Akt drugi znowu u Topolskich. Bracia i mąż nie zastali „lekkomyślnę siostry“ w hotelu; przychodzi więc ona sama. Helena oburzona, nie chce jej przyjąć; zobaczywszy ją, chce odejść do swego pokoju, w końcu w najbrutalniejszy sposób wypędzają. Marya jednakże wypędzić się nieda; musi się z bratem rozmó-wić. Nie dowiadujemy się, przez jaką walkę uczuń i przez jaki tok myśli przechodziła, nim po czteroletnich doświadczeniach postanowiła zmienić się. Dowiadujemy się tylko ogólnikowo, że cierpiała bardzo wiele, że życie jej wcale nie było wesołem, że jest zgryziona do głębi duszy, że obrzydzenia ma już aż zanadto, lecz nie jest złamaną; owszem, charakter jej pogłębił się, na-brąta hartu, siły woli i bezwarunkowo chce zacząć nowe życie. Spodziewa się, że brat jej do tego pomoże, to też rozplakała się serdecznie, widząc, jak ją bratowa przyjmuje. Ona wogóle nie chce jej znać, mówi do niej „pani“ i zapowiada, że w danym razie każde mężowi wybierać pomiędzy sobą a nią. Henryk, spostrzegłszy siostrę, pragnie ją powitać, boć to bądź co bądź siostra, a krew nie woda; ale wystarcza jedno spojrzenie, jeden ruch żony, ażeby w jednej chwili stał się sztywnym i oziębłym. Czem mniej He-lena sama warta, tem zacieklejszą jest względem biednej Maryi. Janek przynajmniej nie pozuje i nie udaje żadnych zasad. On już w pierwszym akcie wpadł na pomysł, że to może dobrze, że Marya wraca; ma zapewne grube pieniądze i będzie można od niej coś pożyczyć na spłatę długów. Władysław, mąż Maryi,

nie wdaje się w żadne wywody, tylko chce się z żoną sam na sam rozmówić. Rozmowa tego rodzaju stanowi nielada trudność dla autora, ale wybrnął z niej zwycięzko p. Perzyński. W prostych słowach powiadają sobie, że dziecko tymczasem już wyrosło, o matce pamięta, bo ojciec mówił i mówi ciągle synkowi, że mama chora wyjechała zagranicę, żeby się leczyć, lecz wróci. Marya uznaje dobroć męża, który pragnie wszystko jej przebaczyć i wyraża otuchę, że mogą jeszcze być bardzo szczęśliwi. Ze łzami oświadcza jednak Marya, że wrócić do niego nie może, gdyż nie kochała go nigdy i ani teraz kochałby nie mogła. Szczerze mu opowiada, jak ją bracia zmuszali do zameścia, mówi o swoich cierpieniach i w domu i potem przez tych lat cztery po za domem; teraz chciałaby być sobą, żyć według własnego uznania, pracować na siebie, być niezależną; żyć uczciwie, ale nie wracać do związku, do którego czuje wstręt pomimo całej dobroci Władysława. Tego Władysław nie rozumie, choć taki filozof i choć taki dobry, unosi się na chwilę i ma przez moment zapęd ku brutalności; nie może pojąć, jak ta kobieta może odrzucać jego dobrodziejstwa i tak gorącego przywiązana, że po takich przejściach, miłości się już nie spodziewając, nie chce jednak małżeństwa bez miłości. Ten stan duszy, w jakim obecnie znajduje się Marya, jest pomysłem subtelnym, nowym, a tak świetnym, że mogliby go pozazdrościć autorowi najznakomitsi pisarze. Wydaje się, że p. Perzyński pisze komedię na głębszem tle psychologicznem i że pozyskujemy w nim autora, jednego z tych nielicznych, którzy zdolają z duszy ludzkiej wydobyć niedostrzeżone dotychczas przez nikogo pierwiastki. Ale, niestety, sam autor nie spostrzegł się, jaki brylant pierwszej wody dało mu się odkopać; widocznie nie zna się na tem, bo przedjdzie tylko mimo i wcale z niego nie skorzysta. Owa subtelność psychologiczna nie będzie bowiem wcale stanowiła treści komedii, która potoczy się bez porównania płytszem korytem. Skoro Marya nie chce wracać do Władysława, odmawiają jej wszysej jakiegokolwiek pomocy, a zapewnienia jej, że chce żyć z pracy, zbywają brutalnemi drwinkami. Sam Władysław przestaje już nawet żony bronić. Budzi się teraz niezmierne zainteresowanie, jak też radzić sobie będzie ta kobieta, opuszczona i potępiona przez wszystkich, a podnosząca się moralnie i wznosząca coraz wyżej. Problem, nie wyzyskany zgoła w literaturze, nadzwyczaj wdzięczny. Ale to nie dla naszego autora. Marya wraca do Wiednia.

Hrabia Stiglitz von Arnhof umarł nagłą śmiercią i zapisał Maryi pół miliona. Pod wpływem tej wiadomości zmienia się opinia rodziny Maryi. Akt trzeci przedstawia tę zmianę frontu, a pisany najlepiej ze wszystkich, kreśli ją wybornie; niektóre sceny mają nawet niepoślednią wartość psychologicznych studyów. Panna Ada przychodzi z wizytą do kuzynki i chociaż znowu niema czasu, bo mama słaba, siedzi jednakże dłużej i za-

czyna zaraz od wątpliwości, czy też nie postąpili sobie z Maryą zbyt surowo, bo przecież ona nie taka zła, i czy nie lepiej byłoby z nią się pogodzić. Obie nie szczędzą sobie wzajemnie zapewnień, że aniby im się nawet przyśniło wziąć cokolwiek z pieniędzy osoby tak bezwstydnej, tak pozbawionej wszelkiego poczucia honoru, ale zachodzi obawa, żeby „lekkomyślna siostra“ nie przeniosła się ze swemi bogactwami do Warszawy i tutaj na złość rodzinie nie robiła skandalów, bo teraz wszystkoby jej już uchodziło, jak zwykle osobom zasobnym w pieniądź. Chodzi o jej własne dobro. Przez chwilę wynurza się jednak p. Topolska szczerzej: porywa ją zazdrość, że tak a dostała majątek, wesoło się bawiła, wszystko jej było wolno; byłaby się cieszyła, żeby Marya ginęła w nędzy; jej bogactwem ona czuje się upokorzona. Jest też w obydwóch tych kobietach zazdrość innego jeszcze rodzaju, zazdrość owej swobody, której Marya używała. Przepyszny jest ustęp rozmowy, w której starają się wyobrazić sobie, jak to takie życie może wyglądać. Helena nie umie już zapanować nad sobą i wyrwało jej się, że jednej wszystko wolno i wszystkiego użyje, a druga ciągle musi się kępować i cierpieć. Nareszcie całkiem otwarcie powiada, że zazdrości jej tego właśnie; i Ada zazdrości, tylko tak otwarcie powiedzieć tego nie chce. Spostrzegają się obie, że za daleko zaszły w swych wynurzeniach i następują eksplikacye w tym sensie, że one przecież nie potrafiłyby wieść takiego życia — chyba może tak na próbę — na tydzień — ale nie dłużej, bo przecież na to trzeba nie mieć czola i t. d. W gruncie rzeczy obie więc te panie, i mężatka i panna, tem się tylko różnią od Maryi, że nie mają odwagi. Rada w radę stanęło na tem, że trzeba z Maryą się pogodzić. Nadchodzi mąż; p. Topolska zabiera się do poważnej z nim rozmowy. Ciekawi jesteśmy, jak też teraz posuną się wynurzenia, od etapu do etapu; wszak kilka dni temu wygnali Maryę ze swego pomieszkania. I tu następuje potężny efekt komiczny: ledwie Helena zagaiła swoją rzecz, p. Topolski odrazu powiada, że on też z tą samą nosił się myślą, tylko nie śmiał przed żoną do tego się przyznać. Chodzi oczywiście o dobro Maryi, od której źli ludzie mogliby teraz pieniądze wyłudzać; a nużby majątek straciła? podczas gdy podwoi on się niewątpliwie i to w bardzo krótkim czasie, jeżeli będzie nim zawiadywał p. Topolski, pełen genialnych pomysłów. On uważa się bowiem za znakomitego przemysłowca, któremu tylko brak jest większych kapitałów, ale mając w swem ręku pół miliona, taką rozwinie czynność, że nie setkom, ale tysiącom rodzin zapewni nietylko chleb, a nawet nietylko dobrobyt, ale poprostu dostatki. Teraz nastanie dla niego właściwa era. Niezrównany w komizmie jest efekt na końcu tej sceny, gdy małżonkowie, ożywieni różowemi nadziejami tak bliskiej już przyszłości, całują się i dochodzą do przekonania, że właściwie na-

leży im się, żeby mieli jakąś korzyść z tej „lekkomyślnej siostry“, która tyle im wyrządziła utrapień i upokorzeń. Już nabierają przekonania, że jest prostym obowiązkiem Maryi oddać im swój majątek do dyspozycji. Tymczasem p. Olszewski potrzebuje znowu pieniędzy i przychodzi z miną wielce utrapioną, bo tym razem postanowił wy dostać większą kwotę. Zmyślił sobie bajeczkę, że listy, które do niego pisywała p. Topolska, ktoś przejął, a on musiał je wykupić, a nie mając gotówki — oczywiście tylko na razie — był zmuszony sfałszować podpis Topolskiego, bo czegoż nie zrobi mężczyzna, gdy chodzi o honor ukochanej kobiety? P. Topolska przejrzała nicość swego kochanka; nie wierzy mu tym razem, ale cóż z tego, skoro fakt faktem, że weksel sfałszowany; będzie protest, proces i skandal. Wykupić go bezwarunkowo trzeba, ale czem? Olszewski z całym cynizmem podaje propozycję, żeby wziąć pieniądze od Maryi, i oczywiście niema innego wyjścia. Będzie trochę ceremoniowania się, trochę usprawiedliwień Maryi, o której sądy wypadają coraz łagodniej, trochę obowiązkowego żenowania się, ale na końcu z całym szacunkiem dla wszelkich form, podła treść robi swoje. Tu p. Helena nietylko jest bez charakteru, ale też głupią co się zowie. Już Olszewski przyznał się przed nią, że skłamał historyjkę o przejęciu listów, już wie, że jest prostym fałszerzem weksłów i że żyje jej kosztem, a jednak z nim nie zrywa. Zrazu potępia go, niemal że go wyzywa, ale daje się przekonać aż nazbyt łatwo, niezbyt nawet wielkiej wymowie Olszewskiego, że miłość ku niej jest przyczyną, że on nie może pracować, gdyż niema spokoju myśląc ciągle o niej, a nie mogąc się z nią zupełnie połączyć. Pozostanie więc bagienko nadal i wcale nie wyschnie, zasilane po myśli cichych współników pieniędzmi tej, którą uważali za bez porównania gorszą od siebie. Dobrym pomysłem jest przeciwstawienie tej hipokryzyi otwartego cynizmu Janka Topolskiego, który też w oczy wszystkim mówi, że różni się od nich tylko szczerością i nie obwija w żadne pachnące ostonki swego zamysłu, żeby Maryę wyzyskać i żyć jej kosztem. Mąż Maryi, Władysław, pozostanie natomiast do końca takim, jakim był w akcie drugim. Skoro Marya nie chce do niego wrócić, nie narzuca się jej. Pomiedzy nim a żoną wszystko już zerwane. Henryk Topolski pisze zaś list do Maryi pełen czułości, a żeby wracała na łono rodziny.

W pierwszej scenie czwartego aktu zebrana cała ena rodzina Topolskich nasłuchuje, czy śpiąca w sąsiednim pokoju po długiej podróży Marya, już się ubiera. Zachowują się, jak lokaje wobec pana, żeby mu snu nie przerywać. Na stole bukiet, którym ją powitają. Janek, zawsze po swojemu szczerzy, przyniósł dwa blankiety wekslowe do podpisu; wybucha więc oburzenie na niego, jak można być takim. Następuje mała sprzeczka rodzinna, w której Henryk Topolski oświadcza bratu, że można

wprawdzie być szubrawcem, ale trzeba mieć jakąś delikatność w sobie. Nareszcie „lekkomyślna siostra“ ubrała się i wychodzi; okrywają ją pocałunkami, witają z przesadną serdecznością, nawet Janek nastawia się do przepisanej ceremoniału. Marya rozpromieniona i szczęśliwa, wysłuchuje pompatycznej mówki starszego brata, który wspomina, że jest jakby jej ojcem i w imieniu wszystkich zebranych przyjmuje ją na nowo na łono rodziny, zapewnia o życzliwej szcerości uczuć i t. d. Maryi niczego więcej do szczęścia nie potrzeba; będzie teraz pracować, zajmie się czemś i rozpocznie nowe życie. Z uśmiechem i żartami przyjmują wzmiankę o pracy. Po chwili jednakże Marya spostrzega, że zamiar jej szukania dla siebie jakiegoś zajęcia wzbudza dziwne niedowierzanie. Po chwili wrywa się bratu z ust słówko: „Przy twoim majątku“. Natenczas Marya oświadcza, że majątku żadnego nie posiada. Otrzymała wprawdzie rzeczywiście zapis, ale się go zrzekła, nie chcąc przyszłości opierać na fundamencie tej przeszłości, z którą stanowczo zrywa. W jednej chwili zmienia się sytuacja i kochana droga siostronia staje się znowu „lekkomyślną siostrą“. Brat zapowiada, że to trzeba wyjaśnić i z największą brutalnością robi jej wymówki, nazywa waryatką, nie szczędzi najprzykrzejszych słów, wypomina jej ohydny niemal słowy jej przeszłość i oświadcza w końcu z całą stanowczością, żeby na nich zgola nie liczyła, bo jej w ogóle znać nie chcą.

I treść i akcja i charakterystyka są w utworze p. Perzyńskiego z grubsza tylko ciosane, a jednak wśród tej strasznej posuchy na niwie naszego komedyopisarstwa, przez którą obecnie przechodzimy, utwór odznacza się i stanowi niemal wypadek literacki. Posiada też rzeczywiście zalet dosyć, na tyle, że powiedzieć można, iż chociażby następne dzieła autora nie były lepsze od *Lekkomysłnej siostry*, zajmie poczesne stanowisko, jako dobry autor repertuarowy. Pomysł, jakim kończy komedię i rozwiązuje sytuację, nie jest wprawdzie nowy, ale nowymi są wszystkie figury, nowy sposób ugrupowania i widoczna zdolność sceniczna. Od pierwszej aż do ostatniej sceny komedia ta budzi zajęcie, słucha się bardzo dobrze. Nie trudna do grania, nie wymagająca ani zbyt wielkich zdolności, ani wielkiego natężenia od artystów, tem łatwiej może zdobywać sobie powodzenie. U nas rolę Heleny grała p. Rutkowska, Maryi zaś p. Ordonówna i obie wywiązały się zupełnie dobrze ze swego zadania. P. Rutkowską wita się zawsze z największą radością na scenie, jako artystkę umiejącą mówić. W roli Ady wystąpiła p. Sulima, która od pewnego czasu manieruje głos do ról charakterystycznych i w ogóle stara się o nabycie pewnych zewnętrznych środków, które atoli łatwo przechodzą w szarżę. Wszak popadł w ten błąd nawet p. Mielewski w roli Janka. P. Zelwerowicz grał poprawnie rolę Topolskiego, ale najlepiej ze wszystkich oddał

p. Sosnowski postać Władysława. Tem się właśnie wyróżniał, że grał równocześnie wszystkimi środkami, któremi aktor dysponuje: tak nadaniem sobie zewnętrznego kształtu, pewnych wyróżnień twarzy, pewnych ruchów, dykeyi, podczas gdy inni panowie poprzestają coraz częściej na jednej tylko stronie opracowania roli, przekonani, że to już wystarczy.

Krócej załatwimy się z drugim wieczorem, który przyniósł dwa ciekawe utwory z życia żydowskiego, a mianowicie dramat p. t. *Z biegiem fał* i jednoaktowy obraz sceniczny p. t. *Grzech*. Utwory te są pióra autora podpisującego się S. z. A. s. z., który, jak głosił komunikat dyrekeyi teatralnej, napisał je pierwotnie po hebrajsku, a może w żargonie. Pisywał inne już utwory w różnych językach, obecnie zaś zdecydował się przystać także do polskiej literatury. Autor jest ciekawą postacią literacką; ma wybitny talent i nie dlatego mniej miejsca mu poświęcimy, żeby miał w hierarchii artystyczno-literackiej stać niżej od p. Perzyńskiego — owszem stoi od polskiego autora znacznie wyżej — lecz dlatego, żeby nie odbiegać od przedmiotu, trzymając się przestrzeganej w tych referatach ściśle zasady, że przeznaczona ona jest dla literatury dramatycznej. Z tem zaś utwory p. Asza niewiele mają wspólnego. Są to scenizowane nowelki i to scenizowane niezupełnie udatnie. *Z biegiem fał* przedstawia walkę uczuć i myśli ubogiego a uczonego Dawida, który syt Thory i jednostronnej judaistycznej mądrości zrywa z martwością, idzie w świat szukać nowego światła dla siebie i całego Izraela, a po siedmiu latach wraca sceptykiem. W małym prowincjonalnym miasteczku nadwiślańskim, powszechnym u Żydów zwyczajem, przyzenił się Dawid do domu Reb Zarycha. U niego badał Talmud, u niego rósł w łasce u Boga i ludzi, napałił się całą uczonością żydowskich ksiąg, w jego też domu założył własne ognisko rodzinne, pojawiwszy za żonę córkę Zarycha, Rachelę. Rodzice dostarczają nadal utrzymania młodemu stadłu i wnukowi, Szlamkowi i żadna troska materyalna nie przeszkadza uczonemu Dawidowi pogłębiać się coraz bardziej w Talmudzie. Ale Dawid myśli samodzielnie i spostrzega martwość starej Thory. Dusza rwie się do nieokreślonej Thory nowej; gdzie ona, tego on jeszcze nie wie, ale zdaje sobie sprawę z tego, że trzeba przedewszystkiem poznać, jakim jest ten świat, jakie współczesne życie i zbliżyć się do prądów umysłowych współczesnych społeczeństw, słowem, że trzeba przekroczyć chiński mur oddzielający starowierczą żydowszczyznę od europejskiego społeczeństwa. Decyduje się tedy opuścić żonę i dziecko, szukać w świecie nauk innych, nie uznawanych przez małomiasteczkowych badaczy Talmudu. Nowy Meir Jozefowicz błakał się siedm lat po świecie, zrzucił długi kaftan, ostrzygł się, dużo widział i widocznie też wiele badał, skoro po siedmiu latach dobadł się tego, że jest prawd więcej, czyli, jak się to zwykle mówi, że wszystko jest względne.

Nie wraca do Thory, ale wraca do swego domu, stęskniony za prostotą i spokojem wewnętrznym tych ludzi, którzy jedną tylko uznają prawdę, nie doznają wątpliwości, a mając na wszystko łatwą i prostą odpowiedź, mogą żyć spokojnie. Ale tu go nikt znać nie chce. Szlamek już podrośł, ucześnie do chajderu, nie pamięta całkiem ojca, bo jeszcze go matka na rękę nosiła, gdy dom opuścił; ale Szlamek woła, że nie chce takiego ojca, widząc przed sobą przebranego w kusy ubiór męczyznę. Wszak to nie Żyd, lecz „goj“ w jego myśli. Autor nie używa tych wyrażań, bo trzyma się metody malowania półtonami i to właśnie stanowi wartość literacką jego dzieł, gdyż umie to wybornie. Przepiękne też są niektóre ustępy. Zaraz na początku rozmowa Racheli z matką Hindlą, której się żali, że mąż staje się względem niej oziębły, że go dom nie cieszy, a ona go rozumieć nie może. Niezrównane wprost w delikatnym cieniowaniu są rozmowy opuszczającego dom Dawida z teściem i z żoną, a opowiadanie w drugim akcie, w którym streszcza doświadczenia swej siedmioletniej wędrowni i stara się wytłómaczyć, dlaczego powrócił, ma w sobie taką głębię psychologicznej charakterystyki i tyle filozoficznego podkładu, że nie powstydziliby go się żaden z wybitniejszych europejskich autorów. Te rzeczy nie dadzą się streszczać, trzeba by je odczytać, to też niezmiernie jest pożądane, ażeby to jak najwcześniej ukazało się w druku. Nie można jednak autora zachęcać do próbowania swych sił nadal w formie dramatycznej; już w krótkich utworach dawały się na scenie we znaki rozmaite ustępy, które w nowelce mogą być bardzo pięknymi i udatnymi, ale na scenie chybają wrażenia, a to tem bardziej, że wymagają objaśnień, jako niezupełnie zrozumiałe dla nieobeznanych z życiem żydowskim, a scena nie znosi niczego, co nie jest zupełnie a zupełnie jasnym. Zasadniczy motyw może się w utworze powieściowym albo w poemacie powtarzać wciąż różnymi słowami, na scenie zaś bywa to obosieczny środek. Podobnie wywody rozmaite nie mogą w dziele dramatycznym zajmować wiele miejsca, a w utworze p. Asza one stanowią właśnie najpiękniejszą jego część. Słuchało się owego dramatu z wielkiem zajęciem, ale słuchając można było śmiało zamknąć oczy, a nie byłoby się nie straciło.

Przeciwnie w *Grzechu*. Tu trzeba było patrzeć, gdyż na scenie przedstawiono szereg bardzo pięknych obrazów. Reżyseria powiodła się tym razem świetnie, jak gdyby wytrawny malarz ugrupował grono aktorów, bardzo słusznie nazwał autor swój utwór „obrazem scenicznym“; w małym miasteczku umarł jakiś Żyd, który nie bardzo ortodoksyjnie zachowywał się w życiu. Scena dzieje się na cmentarzu, kopią dla niego grób grabarze, natrafiają jednakże na kości w ziemi, a więc w tem miejscu kopać nie można. Korowód pogrzebowy jednakże już nadszedł, a dla nieboszczyka grobu niema. Trzeba na prędce kopać nowy

w innym miejscu, lecz tu natrafiają na wodę pod ziemią; również nie wolno. A już rozchodzą się szmery, które rosną, aż powstaje zgiełk na nieboszczyka, że go ziemia po śmierci przyjąć nie chce w swoje łono za grzechy i zgorzenie, którego dużo dawał w życiu; podobno nawet w Sądny dzień zjadł kurę smażoną na maśle. Za marami kroczy kobieta w żałobie, niewiadomo, żona czy kochanka, Żydówka, czy może chrześcianka. Trzeba posłać po rabina. Przychodzi mędrzec miasteczkowy i zapada uchwała, żeby ciało pochować tuż obok grobu wielce świątobliwego Żyda, który ma tyle zasług świętości w swem życiu, że może niemi doskonale okupić grzechy tego nieboszczyka. Kopią więc, ale natrafiają na kamień, którego poruszyć nie mogą łopatami. Próbuja rozmaitych zaklęć i czarów, żeby się przekonać, czy temu trupowi wogóle należy się miejsce na cmentarzu żydowskim; okazuje się, że o mały włos nie byłyby już ten nieboszczyk Żydem, ale bądź co bądź nie przestał nim być i ostatecznie kamień ustępuje i ciało dozna pogrzebu. Scena sprawia wstrząsające wrażenie, przez chwilę zwłaszcza, gdy wnoszą mary, nazbyt przykre, już ponad artystyczną możność scenicznego widowiska. Są atoli piękne i wzruszające ustępy, jak n. p. gdy zebrani Żydzi ofiarują nieboszczykowi coś ze swych religijnych uczynków, żeby go ziemia przyjęła. Największą zaś zaletą jest bezpośredniość każdej cząstki tego dzieła, dzięki czemu każda z figur, każdy z tych Żydów, gdy choć trochę odezwie się z tłumu, zyskuje jakąś indywidualność; całość zaś stanowi przepysznie, artystycznie uchwycony wycinek z życia. Ale na scenie połowa tego ginie. Kobieta w żałobie nie dodaje obrazowi tego uroku, ani go też nie uzupełnia tak, jak to byłoby niewątpliwie przy lekturze i podobnie jak w poprzednim dziele, tak też i w tem zostawia autor często w niepewności widza, który musi sobie ciągle uzupełniać wiele niedomówień widowiska. Są zaś rzeczy, które giną najzupełniej i przepadają na scenie. Kobieta całemu pogrzebowi przypatruje się nieruchomo; jest też niemy waryat, który ani nie drgnie, motyw dający się świetnie wyzyskać w poemacie, lecz nie na scenie. *Z biegiem jał* miało tę wadę, że można było przestać na słuchaniu, *Grzech* zaś popadł w drugą jednostronność, że możnaby niemal poprzestać na patrzeniu. Skrajności te są znakiem, że droga sceniczna jest autorowi obcą. Nie uwłacza mu to wcale; pomimo to może być znakomitym pisarzem, ale gdyby napisał dzieło większe, trudno sobie wyobrazić, jakby zdołał nadać mu choćby nawet tylko jaką taką sceniczną szatę. Przedstawia się za naszych czasów na scenie wszystkim, co tylko jest dyalogowanem, ale to jeszcze nie racya.

Grany był dobrze tylko *Grzech*, w którym niema żadnej wybitnej roli, a o wszystkim stanowi tylko piękne ugrupowanie i zręczne nadanie wszystkiemu pewnego tonu. To się powiodło, i to nawet tak dalece, że dawno już nie widzieliśmy u nas sceny

tak dobrze zestrojonej. Inaczej w pierwszym utworze *Z biegiem fal*. Tam są już role. Główną, a mianowicie Dawida, miał p. Mielewski, zupełnie do tego nie stosowny; grał poprawnie, ale też, zwłaszcza w drugim akcie, dosyć szablonowo. Z tekstu Racheli wyzyskała p. Arkawinówna zaledwie drobną część artystycznych efektów, które tam na każdym kroku można raz w raz wydobywać. Był to również jeden z owych coraz liczniejszych poprawnych występów. Za jedno jednak trzeba tę artystkę chwalić, że mówi wyraźnie a pięknie wymawia i słyszeć ją mówiącą na scenie jest zawsze artystyczną przyjemnością, zwłaszcza gdy mówi głosem naturalnym i nie sady się na wymowę. Ma bowiem od natury piękną i miłą dykcję; posiada ten dar, że każdy wyraz wychodzi z jej ust należycie. Najlepiej grał p. Sosnowski starego Reb Zarycha, podczas gdy p. Wolska tym razem wcale powierzchownie dotknęła roli Hindli.

Przyznać trzeba dzisiejszej dyrekcji, że repertuar mamy ciekawy i wiele urozmaicony. Tak ujrzelśmy w styczniu *Thaczy*, sławną i osławioną sztukę w pięciu aktach Gerharda Hauptmana (w tłumaczeniu Edmunda Libańskiego); utwór już i stary i przestarzały, ale scenicznie nowość, gdyż co dopiero zdjęto z niej pęta zakazu policyjnego. Dzięki opiece władz bezpieczeństwa sztuka nabrała cech niebezpiecznych i dzięki zamiarowi stłumienia jej zyskała niezmierny rozgłos. Z epizodu literackiego stała się jakby społecznym hasłem. Przypisuje się Ludwikowi XIV lotne słówko, że w sali teatralnej miał tylko prawo do swego fotelu. Spory już czas, żeby rząd konstytucyjny zrozumiał, że nie należy mu się w teatrze nic więcej, jak Ludwikowi XIV. Przypuśćmy, że *Thacze* działają podburzająco; byłaby jednak odrazu nastąpiła przeciwko nim reakcja, krytyka wykazałaby słabe strony utworu, a w ostateczności, w najgorszym razie, gdzieś wśród mniej cywilizowanych tak mieszczan, jakoteż „towarzyszów“, groziłaby jakaś burza w szklance wody, którą zawsze bywają humorystyczno-miniaturowe teatralne rewolucyjki, przy których właściwie nic się nie dzieje, nikt niczego nie zyskuje i żadna sprawa nie ponosi szwanku, co najwyżej oberwie guza ktoś, kto nie zwykł z teatru prostą drogą iść do domu. Zakaz policyjny to sprawił, że *Thaczy* czytawali wszyscy, ubiegając się o egzemplarze, od ekscelencji aż do pomocników smarowców maszyn, a ponieważ rozumie się samo przez się, że nareszcie zakaz musi być cofnięty, władza narażała się z góry na pozory, że się cofa i ustępuje. Zakazywano *Thaczy* rzekomo w imię socjalizmu, a więc przez prostą konsekwencję socjalizm musiał sobie z tej sztuki zrobić swój utwór i pokładać ambicję swą w jego rozgłosie, a po zniesieniu zakazu policyjnej cenzury, w jego scenicznym powodzeniu. Gdyby ta sztuka nie była od początku zakazana, nikt a niktby się dzisiaj o nią nie troszczył, byłaby przebrzmiałem echem, a w historii literatury robiłoby się

o niej wzmiankę gdzieś w przypisku, podając za przykład utworu pod względem artystycznym poronionego. Niezręczność władz, a mówiąc ściśle przekroczenie kompetencji, biurokratyczne traktowanie dziedziny, która tem śmieiej czoło zawsze podnosi, im bardziej chce ją się ująć w kancelaryjne karby, sprawiła, że ni stąd ni zowąd *Tkacze* stali się dzisiaj utworem aktualnym, przygodnie aktualnym, z czem im nawet wcale nie do twarzy. Trąci bowiem ta sztuka już myszką. Dawno już powydawano ustawy, odejmujące takim fabrykantom, jak Dreissiger, możność tak bezwzględnego łupienia robotników. Przed kilkunastu jednak laty tak rzeczywiście bywało i pod względem stosunku wyzyskiacza fabrykanta do wyzyskiwanych robotników niema w *Tkaczach* nietylko najmniejszej przesady, ale rzecz przedstawiona jest nawet wcale umiarkowanie. Ja sam z własnej autopsyi mógłbym Dreissigerowi dołożyć niejeden grzeszek. Dawanie z umysłu lichiej przędzy, oszukiwanie robotnika na miarze i wadze, obcinanie i wstrzymywanie mu zapłaty, to jest wszystko jeszcze nie. Bywali tacy, którzy udając przed robotnikiem, że nie mają czem płacić, spłacali go materiałem przez tegoż robotnika wyrobionym, licząc materiał oczywiście znacznie drożej, aniżeli sprzedawali go w handlu. O kilka zaś kroków od bramy fabrycznej stanął ktoś, kto te same barchany odkupywał od robotników, ale naturalnie po cenie bez porównania znowu niższej i w pół godziny później towar wracał na nowo do fabrykanta, który w ten sposób nie zużył gotówki i w lot dokonał znakomitego handlowego obrotu. Nie poruszył też Hauptmann w *Tkaczach* spółek fabrykanta z karczmarzami i rozmaitych innych ubocznych interesików, które przyczyniały się niemal w połowie do wzrostu fortun nieuczciwych przemysłowców. Nie trzeba być socjalistą, ale prawdę zawsze mówić należy i wypada tu zwrócić uwagę, że autor obszedł się z Dreissigerem wcale jeszcze łaskawie. Podnoszę zaś tę okoliczność dlatego, że przedstawienie sceniczne sprawia zawsze przynajmniej przez chwilę silniejsze wrażenie, aniżeli lektura, a wśród publiczności tak mało obeznanej z przemysłem, jak krakowska, pojawiały się podczas przedstawienia wątpliwości, czy też Hauptmann nie przesadził. Otóż nie: nie tylko nie przesolił, ale nawet nie dosolił.

Inna rzecz, czy Hauptmann miał jakąkolwiek tendencję, pisząc *Tkaczów*. Apoteozy socjalizmu wcale w jego utworze niema. Ruch robotniczy nie odznacza się w *Tkaczach* ani rozsądkiem, ani też wyższym poziomem etycznym, a spłądowanie domu fabrykanta byłoby zbyt marnym owocem socjalizmu, jako ruchu ekonomicznego. Ale bo też wcale autorowi o to nie chodziło, tylko o przedstawienie pewnego wycinka z życia, takim, jakim go widział, bez względu na to, jak może być interpretowany. W bliższe szczegóły niema potrzeby wchodzić, ani nawet nie wypada, wobec tego, że czytelnikom naszego *Przeglądu* utwór

oddawna jest znany, a w swoim czasie był tu z niego referat i dziś obchodzi nas tylko już samo sceniczne jego wystawienie.

Scena nasza nie rozporządza ani środkami, potrzebnymi do wystawienia takiej rzeczy, ani też dostatecznymi silami personalu. W granicach zaś tej możliwości, na jaką dyrekcję stać było, uznać trzeba najlepsze enęci i stwierdzić, że zrobiono, co się zrobić dało. Sceny zbiorowe udały się o tyle, że nie można im czynić poważniejszych zarzutów, role zaś wykonane były poprawnie, jakkolwiek zastrzedzby się trzeba, że nie zupełnie trafiono w właściwy ton. Niepotrzebnie p. Zelwerowicz przydawał Dreissigerowi cech karykaturalnych; p. Senowska była zupełnie niestosowną w roli jego żony; pastor Kittelhaus był w opracowaniu p. Stępowskiego tylko śmiesznym, a starego Baumerta przedstawił p. Jednowski aż do przesady Łazarzem. Z ważniejszych ról nie była właściwie żadna wykonaną zupełnie dobrze. Starannie bardzo grał p. Mielewski w roli Jaegera, choć również była po większej części chybiona, prócz jednego jednak ustępu, który powiódł się znakomicie i opłacił wszelkie inne rozczarowania. P. Mielewski umie dobrze zadeklamować, zwłaszcza w tonie *moll*, to też gdy wygłaszał ów wiersz pełen nie tylko żalu na niedolę robotnika, ale też nienawiści do wyzyskiwaczy, sprawił wrażenie silne; wyraził jak najdokładniej sytuację i poruszył słuchaczy. Rozległy się oklaski i szkoda doprawdy, że były one według wszelkiego prawdopodobieństwa tendencyjne i rozlegały się były, choćby kto inny ten ustęp wygłaszał, a nawet choćby go zupełnie źle wygłoszono. Szkoda, że panował na przedstawieniu, zwłaszcza w górnych sferach teatru, ów nieuchronny nastrój, mający stanowić odpowiedź na długoletnie zakazy policyjne, ciężące nad sztuką. Należały się bowiem w tej chwili p. Mielewskiemu gorące oklaski, jako artyście dramatycznemu. Wielką też wartość artystyczną miała postać starego Hilsego w interpretacji p. Kotarbińskiego; zwłaszcza w ostatnim akcie miał ten stary tkacz w sobie coś pomnikowego.

Po *Tkaaczach* — *Cyrano de Bergerac*. Czyż może być większa rozmaitość? Nie łatwo byłoby zebrać więcej przeciwnostw w tak krótkim czasie. Tem lepiej dla widzów; dobry teatr powinien równomiernie popularyzować utwory wszelkich kierunków i wszystkich rodzajów. Nie jest *Cyrano* nowością w Krakowie, gdyż wystawiała go tu już lwowska trupa p. Pawlikowskiego, a następnie grono wędrownych francuskich aktorów. Tem ciekawsze porównanie. Równać się z tamtymi nie możemy, to trudno, ale stać naszą scenę bądź co bądź na pięknej i starannej wystawie. Niestety nie możemy nadażyć wymaganiom artystycznym, co do obsady ról. Powierzenie roli Cyrana p. Zelwerowiczowi miało jedną bardzo dobrą stronę, a mianowicie okazało w całej pełni, jak artysta ten zaczyna się psuć, prawdopodobnie dlatego, że obarczano go aż nazbyt często rolami,

w których szarża go kuśiła. Jestem mocno przekonany, że o dwa lata wstecz byłby p. Zelwerowicz zagrał Cyrana bez porównania lepiej, aniżeli teraz. Chcąc być poważnym, stał się nienaturalnym, a chcąc się uchronić od komizmu, stał się monotonnym i nudnym. Niema rady; trzeba odczytać się tego wszystkiego, co niepotrzebnie doczepiło się do talentu p. Zelwerowicza w ostatnich kilku kwartałach, powrócić do tradycyi dawniejszej i snuć na nowo przerwane nieszcześnie zbiegiem okoliczności nici. Role nie były wogóle dostatecznie wystudyowane, a komedia „bohatera” interpretowana częstokroć, jakby komedyjka. Popadł w ten błąd nawet p. Popławski w roli paszetnika.

Prawdopodobnie wystawiono *Cyrana* z p. Zelwerowiczem dlatego tylko, ażeby personal teatralny obył się ze sztuką, której właściwe przedstawienie miało się odbyć nieco później z p. Frenklem w roli tytułowej; poprzednie należy zatem uważać jako próbę odbywaną publicznie. Jakoż nastąpiła nie tylko zmiana głównej roli, ale też w sposobie przedstawiania znać było rozmaite zmiany, gdy przybył gość warszawski.

Wdzięczni jesteśmy Dyrekcji za ten szereg gościnnych występów znakomych artystów, jacy nas obdarza w tym sezonie. P. Frenkel, dawny naszej sceny wychowanek, jest naszemu pokoleniu teatralnej publiczności w Krakowie prawie że nieznanym. Artysta doprawdy nadzwyczajnego talentu, a przytem widocznie niepospolitej inteligencji, jeden z tych, którzy studyując rolę, nie o sobie myślą, lecz o autorze i dzięki temu zbierają zasłużone zupełnie wawrzyny i chociaż osiągnęli wysoki już poziom artystyczny, pozostają jednak zdolnymi do dalszych, coraz świetniejszych postępów. Grę jego cechuje szlachetna naturalność i prostota. Nie bawi się w żadne t. zw. teatralne efekty i takie tylko przyjmuje do swej gry, które dadzą się umotywować bezpośrednio jakimś wyrażeniem tekstu. Specjalnością zaś p. Frenkla jest gra podczas pauz, wtenczas, kiedy milczy. Pod tym względem trzyma się tej samej metody, co p. Modrzejewska i jest też również, jak ta wielka artystka, ruchliwy, a mimika jego nie ustaje ani na chwilę. Niezrównany jest w t. zw. słuchaniu, a gdy mówi, zachwyca dykcją wyraźną; nie zmarnuje ani jednego słówka; znać, że sposób wymówienia każdego wyrazu obmyśla z osobna. Zwyczajnie aktorowie, nawet dobrzy, mówią tylko wierszem lub wogóle całemi zdaniami; wiecej aktorowie mówią jednak wyrazami, t. j. że przykładają wagę do wymówienia każdego słówka z osobna i tak dopiero przygotowani, przystępują do wygłaszania zdań. Dzięki temu umieją dobrze akcentować, a to przyczynia się do scenicznej wyrazistości ich dykcji i wiedzy ich na dobrą drogę, co do obmyślenia ruchów. Ale Cyrana można interpretować rozmaicie. P. Frenkel wybrał sobie za zasadniczy ton to, co w tej roli jest najlepszego i co postaci Bergeraca nadaje wartość literacką.

Długonosy bohater pozostanie bowiem w literaturze i w historii poezyi, pomimo wszelkich wad i niedostatków, od których piętrzy się utwór Rostanda; będziemy zawsze cenili Cyrana za to, że umiłował bezbrzeżnie prawdę i postanowił wcielić ją w sobie samym. Tak go pojął p. Frenkel i do tego zastosował każdy ustęp swej roli. Słuchano go też przez całych pięć aktów nie tylko z zajęciem, lecz z napięciem, a w niektórych chwilach, jak n. p. przy wygłaszaniu ballady pojedynkowej, w scenie balkonowej, najbardziej zaś w scenie, gdy przedstawia gaskońskich junaków hrabiemu de Guiche, wprawił całą publiczność w istny zachwyty. Wartość jego gry pokazała się w całej pełni w akcie piątym, który dzięki intelligencji tego artysty nie sprawia już wrażenia czegoś sztucznie doczepionego. Przeciwnie, pokazało się, że przy należytem pojmowaniu charakteru bohatera, akt piąty jest rozwiązaniem zagadki jego charakteru, jest właśnie wyjaśnieniem, a zarazem oświetleniem wspaniałych stron jego duszy, a ostatnie wyrazy o białym pióropuszu przestają być czystem tylko deklamatorskim frazesem.

Z roli bohaterskiej przesuwają się p. Frenkel do charakterystyczno-komicznej, pokazując nam swój talent w roli Dzieńdzierzyńskiego w *Rozbitkach* Blizińskiego. Wznowienie tego utworu podniosło jeszcze bardziej wartość repertuaru, zwłaszcza, że ten utwór, niedoceniony należycie z początku, rośnie obecnie z roku na rok w oczach krytyki. Miło stwierdzić, że przedstawienie należy do lepszych, a może nawet do najlepszych w tym sezonie i chociaż w obsadzie widzimy po większej części tych samych artystów, których zazwyczaj wypada niestety ganić, tym razem wady ich nie dawały się tak we znaki i dobre chęci wydały skuteczniejszy plon. Wiadomo, że ze średnimi nawet tylko talentami można na scenie dokonać wiele, jeżeli się grono artystyczne otoczy należyta artystyczną opieką, t. j. udzieli instrukcyj i dopilnuje zestroju. Czyż mogło być coś ryzykowniejszego, jak pokazywanie p. Konarskiej w roli po p. Wojnowskiej, a jednak, choć rola nie była należycie wyzyskana, lecz nie było w niej żadnego błędu, nie było żadnych niedostatków, a to już bądź co bądź wystarcza. Pp. Stanisławski i Leszczyński w rolach Władysława i Maurycyego mieli zadanie stanowczo ponad swe siły, ale grając z nadzwyczajną dyskrecją, odwracali uwagę od tego, czego nie umieją. Gdyby w ten sposób postępowano zawsze, niejedno przedstawienie udałoby się lepiej. Tylko p. Leszczyńskiemu trzeba na jedną rzecz jeszcze zwrócić uwagę, żeby się oduczył trzymania rąk w kieszeni. Do monotoności swej gry przydał p. Leszczyński tyle tylko różności, że nauczył się trzymać ręce w kieszeni na rozmaity sposób, co też i w *Rozbitkach* można było... oczywiście nie podziwiać. Bądź co bądź przyznać trzeba, że była to dotychczas najlepsza rola p. Leszczyńskiego. Z podziwienia godną śmiałością powierzono

rolę Poli p. Czechowskiej, która mogła ją była kapitalnie zepsuć, ale poskromiła się. Należy jej się tedy uznanie za to, że nie śmiała się ponad potrzebę i nie popisowała się podrygiwaniem; wogóle nie wrywała się na pierwszy plan, co jest niemal zawsze jej kardynalnym grzechem. I tutaj gra dyskretna sprawiała korzystne wrażenie i wyszła na dobre przedstawieniu. Odnosiło się wrażenie, jak gdyby tego wieczora władała na scenie silniejsza, niż zazwyczaj, ręka. Rola Gabryeli nie była w zakresie talentu p. Ordonówny, a jednak grała z początku poprawnie, a przy końcu nawet dobrze. Pamiętnym będzie ten wieczór, gdyż p. Sobiesław wkroczył w nowy dla siebie zakres repertuaru, i ten, który jest zawsze jeszcze niezrównanym Gustawem z *Stu-bów panińskich*, ten sam przyjął rolę Szambelana w *Rozbitkach*. Wykonał ją jednym słowem znakomicie, wprawiając widzów w podziw dla rozległości swego talentu. Hrabiego grał p. Jednowski wcale dobrze. Artysta ten zasługuje na gorące pochwały za wielką staranność, z jaką wykonuje każdą a każdą powierzoną sobie rolę, a przytem należy on do tej resztki, która nie zapomniła jeszcze wyraźnej dykcji. Koroną wieczoru był jednakże występ p. Frenkla. Tu mogli się uczyć nasi artyści, jak być komicznym i to bardzo komicznym, bez cienia jakiegokolwiek szarży, bez uciekania się do tanich efektów zewnętrznych.

W całej pełni zajaśniał jednakże talent p. Frenkla w roli Geldhaba. Jestto jedno z największych arcydzieł scenicznej sztuki, jakimi dzisiaj teatr polski popisać się może. Z tą rolą powinien p. Frenkel objeżdżać rok w rok wszystkie sceny polskie, ażeby zaszcześcić jej tradycję. Nikt jeszcze nie pojął tej roli tak trafnie, tak wszechstronnie, a zarazem jednolicie. Nie pragnął Fredro wcale, ażeby z jego Geldhaba robić wychrzęt i w roli p. Frenkla nie ma też ani śladu żydowszczyzny. Jest pyszałkowatość i głupota i te dwa przymioty wystarczają najzupełniej, żeby okazać wszystkie komiczne strony roli. Nie rzucał się artysta nigdy, nie użył ani razu żadnych dosadnych środków scenicznych, a jednak jakżeż wyraziście podkreślił każde słowo tekstu! Czy to w rozmowach ze służbą, czy z Księciem, czy z Majorem, zawsze wydobył z tekstu wszystko aż do ostatniej konsekwencji. Ta rola obfitowała szczególnie w pauzy, podczas których podziwiać można było niezrównaną w całym znaczeniu tego wyrazu technikę gestów i mimikę. Głuchy mógłby pójść na to przedstawienie i delektować się tą rolą, tak bogato była interpretowaną ruchami.

Występy znakomitego artysty mają się przedłużyć i zobaczymy go jeszcze w kilku rolach. Zachowując sobie do następnego tedy sprawozdania dokładniejszą charakterystykę jego talentu, prosimy usilnie o jedno, a mianowicie żeby przedstawienie *Pana Geldhaba* było jeszcze powtórzone, ażeby mieć sposobność podania szczegółowego opisu tej roli, co po jednym przed-

stawieniu nie łatwo jest zrobić. Dla publiczności zaś byłoby takie powtórzenie wielce pożądanem. Nie wiadano bowiem w Krakowie, że rola ta jest takim arcydziełem warszawskiego artysty, a że *Pana Geldhaba* u nas grywało się częściej w ostatnich czasach, wielu wolało wybrać sobie inny wieczór z gościnnych występów p. Frenkla. Teraz dopiero wiadomo, że kto nie może być na wszystkich jego występach, powinien przede wszystkim widzieć go w Geldhabie, to też liczyć można na pewno, że przy powtórzeniu tej roli publiczność dopisze.

Dr. Feliks Koneczny.

Muzyka w Krakowie.

Pani Teresa Carrenno dosięgła lat, w których jej dawna płomienna piękność i płomienna gra stonowały się nieco. Ale nie stracił nic na tem ani urok królewskiej postaci, ani też artyzm, zdolny przyprawić o zazdrość największych wirtuozów. Pani Carrenno jest z rzędu pianistek, które przy całym zewnętrznym uroku kobiecości należą artyzmem do płci silnej, gra jej jest męską, pod względem refleksyi głęboką, nawet w fizycznej sile dorównywa płci brzydkiej, a silnej. Charakterystycznym jest pod tym względem, że sława pani Carrenno najwięcej zawdzięcza *Marszowi wojskowemu* Schuberta w układzie Tausiga. Stałowych trzeba mięśni, aby przeprowadzić gradację tak, jakiej żąda utwór. Z panią Carrenno nikt z pewnością, nawet kruszący struny Reisenauer, w tym marszu rywalizować nie może, dzięki artyzmowi, który siłę trzyma na wodzy, miarkuje, i puszcza cugle dopiero wtedy, gdy czas.

Jedną z tajemnic odtwórczego artyzmu jest temperament, kierowany refleksją. Podziwialiśmy tę miarę we wszystkim co pani Carrenno grała, począwszy od *Appassionaty*, budowanej bardzo misternie i z wykwiutnem wyrachowaniem, aż do wspomnianego już *Marsza wojskowego*. Zwłaszcza *Appassionata* była przykładem, jak się obmyśla całość i stosuje środki do sił. Aby nie spieszyć się w końcowem karkołomnem *presto*, artystka umiarkowała inne części, tak, aby zachować gradację. Było to arcydzieło. Być może, iż pierwsza część sonaty kryje jeszcze większe głębie, niż te, które nam się otwarły, być może, iż *Appassionata*, jako dramat, daje jeszcze silniejsze wzruszenia. Jako skończone w sobie dzieło sztuki, jako ustosunkowanie proporcji, rozdział muzycznego światłocienia — była arcydziełem.

D'Albert, którego męzowskie wskazówki znać było w niedziej frazie, dziś nie zagrałby tej sonaty z taką potęgą i takim wdziękiem artystycznym. Nie służy mu przede wszystkim uderzenie — jak przekonaliśmy się niedawno. Pisząc o jego pro-

dukeyach, składam nieco winy na fortepian, nie nadający się zgola do użytku koncertowego. Pani Carrenno grała na tym samym, a jednak skala jej barw była o wiele szerszą.

Szczęśliwą była w tym koncercie także wszechstronność programu, z etudami symfonicznymi Schumanna, tanecznym Schubertem i, naturalnie, Chopinem. Ten był z wielu względów najciekawszy. Przedewszystkiem jako popis elegancyi i dystynkcyi w *Walcu* i *Etudzie oktauwowej*, temperamentu w *Scherzu b-moll*, lekkości ręki w *Etudzie oktauwowej*, która może stanąć godnie do walki z tą samą *Etudą* z pod ręki Paderewskiego. W *Nocturnie* i *Preludyum des-dur* uderzała pewna sztuczność uczucia. Chopina marzyciela, fantastę, traktuje pani Carrenno mniejwięcej tak, jak traktowała pani George Sand: z całym uśmiechem natury silnej dla słabej i z całą jej nieszczerą sympatją, która w gruncie rzeczy mięsi na dnie dużo politowania. Tak, jak gdyby mówiła: „Biedny słabowity człowiek!” Gorączkowe fantazy i przywidzenia obijają się jak o mur o naturę twardą i elastyczną uczuciowo.

Nie jest to zresztą błąd, lecz bardzo interesujący rys indywidualności. Jeżeli co się opiera w nas takiemu rozumieniu niektórych dzieł Chopina, to słowiański pociąg do zadumy i tęsknoty, obcy rasie romańskiej. Zmysł formy, właściwy tej rasie, pobija i często spycha na drugi plan zawartość uczuciową. A i uczucia są inne. Wszystko to obserwowało się dokładnie w stosunku pani Carrenno do dzieł Chopina-fantasty, Chopina-marzyciela. Dziwimy się drwiąco niektórym krytykom zagranicznym, gdy całkiem na seryo mówią o Chopinie, jako o „lepszej muzyce salonowej“. W wykonaniu nie polskiem i dla nie słowiańskiej duszy Chopin jest istotnie innym człowiekiem.

Część tego, co w nim polskie i słowiańskie, wydobywa Aleksander Michałowski z mistrzostwem, która może poszukać rywala chyba w Paderewskim. Koncert, poświęcony wyłącznie Chopinowi, był taką uczcią artystyczną, jakiej Kraków od czasu Paderewskiego nie pamięta. Królował *Koncert e-moll* z *Balladą as-dur* i *Impromptu fis-dur*. We wszystkim, co śpiewne, delikatne, rozwiewne, Michałowski celuje i sztydzi z dziesiątków współzawodników. Jest w jego grze pewne zrównoważenie, pewne przeniknięcie ducha kompozycei nawskróś muzyczne, bez wszelkich literackich kombinacyj, a przytem głęboko petyczne właśnie przez swą muzyczność. Tajemnica *tempo rubato*, ta tajemnica Chopina, dla niego nie jest tajemnicą. Chopin jest sam w sobie kompozytorem tak assocyatywnym dla słuchacza — jeżeli tak się wolno wyrazić — jak żaden może inny. Michałowski wydobywa przedewszystkiem i to jak najskrupulatniej całą zawartość ściśle muzyczną, całą architektonikę. I okazuje się, że ta architektonika jest również poezją. Utwory ograne bly-

szcza w nowem świetle, inne rozwijają się tak logicznie, że trudno ich muzycznie nie zrozumieć odrazu. Jest to gra prawdziwego muzyka.

Jeżeli można mówić o jej słabszych stronach, to chyba tam, gdzie Chopin wybucha wielkiem uczuciem lub wielką namiętnością. To, co elementarne, nie leży Michałowskiemu w palcach tak, jak jedwabna kantylena *Etdy e-dur*, lub *Ballady w as. Polonez fis-moll* nie dotrzymał tego, co zapowiadał wstęp; *Polonez as-dur* nie zapowiedział na początku tego, co dała część środkowa. Wszystko to, rozumie się, mierzone skalą najwyższą; nie jeden inny znakomity pianista uważałby za szczyt doskonałości przedstawienie się z takim jednym albo drugim polonezem. Na sąd o artyzmie Michałowskiego to nie wpłynie. Są to wyżyny rzadkie i dostępne mało komu.

Śpiew reprezentował w ostatnim okresie koncertowym p. Aleksander Heinemann, któremu sympatycznie torowała drogę niejedna ujemna krytyka pism niemieckich. Wynikało z nich przedewszystkiem, że wbrew obyczajowi śpiewaków niemieckich, głos ma i umie nim władać, i że ten głos przypomina rodzajem raczej organa włoskie, niż niemieckie. Wszystko okazało się prawdą. P. Heinemann, śpiewak o głosie dużym i rozległym w skali, zdobył w zupełności tajemnicę śpiewania na wydechu, wypracował niezwykle urocze *piana* i *pianissima*, grzmiące *forte* zawdzięcza umiejętności amplifikowania głosu zapomocą nadawania mu t. zw. *timbro scuro*, również mistrzowsko włada jasną barwą, tak, iż w rezultacie posiadał wszelkie arkana techniczne: jest śpiewakiem wirtuozem. Że w dodatku materiał głosowy musiał być z natury piękny i płynny, nie przeto nie stałoby na przeszkodzie zaliczeniu p. Heinemanna w poczet pierwszych artystów świata.

Gdyby nie jedno. Między ekspresją artysty a poetyczną zawartością wykonywanego utworu nie zawsze panuje zgoda. Zwłaszcza w pieśniach zwrotkowych daje się to uczuć najdotkliwiej, że wirtuoz wokalny bierze często górę nad artystą, nad pośrednikiem między autorem a słuchaczem. Z trzech strofek danej pieśni, p. Heinemann śpiewa n. p. dwie *a piena voce*, trzecią szmerze *pianissimo* bez żadnej widocznej przyczyny. Jest tylko niewidoczna zrazu: ta, że pragnie popisać się uroczem istotnie *mezza voce*. Nie dodaje to wdzięku wykonaniu i budzi pewne wątpliwości co do artystycznych zamiarów śpiewaka. Podobnie chybionemi były takie same efekty w utworach starowłoskich, których wzorowe wykonanie zasadza się właśnie na możliwej prostocie i szczerości. Dla tego też najsilniejsze wrażenie sprawił z jednej strony Verdi ze swą dość teatralną arją z *Requiem*, gdyż efekty tego rodzaju były w niej na miejscu — z drugiej strony pieśni niezwrótkowe, w których artysta nie mógł tak ubiegać intencyj twórcy.

Dowolności te odnoszą się, powtarzamy, tylko do kongruencji między tekstem a wykonaniem. Muzyczna strona była zawsze bez zarzutu, często porywała plastyką i szlachetnością, z jaką rysował się melodyjny kontur. Pod tym względem arcydziełem w swym rodzaju była *Litaney* Schuberta, co nie przeszkadzało, że niektóre strofki miały zgoła nieodpowiedni uczuciowy wyraz.

W każdym razie, nawet z odliczeniem owych wirtuozowskich figielków i pewnej pretensjonalności, śpiew Heinemanna dawał stokroć pełniejsze artystyczne zadowolenie, niżeli produkcje n. p. Sistermansa lub innej podobnej gwiazdy niemieckiego firmamentu. Przynajmniej nie słuchało się z obawą, że śpiewak się udławi, zemdleje z natężenia, albo że zacznie bez powodu krzyczeć, miast śpiewać. Prawdziwem dobrodziejstwem dla ucha, po tylu niedoukach i nieukach, było posłuchanie głosu równego, wytrzymałego, o pięknym dźwięku i zupełnym rynsztunku technicznym. Muzyka nie jest uszczuploną w swych prawach, to co ma być śpiewane, jest śpiewane, linia melodyjna wychodzi jasno i zrozumiale. Jaki kontrast ze zwykłą fuszerką *liedersaengerów*, rycerzy smutnej postaci, którzy, miast głosu i techniki, posiadają *Gemueth*, i stawiają istotnie zbyt wielkie wymagania do *Gemuethlichkeit* słuchaczy.

Że cała strona ekspresyjna mogła by być o wiele delikatniejszą, szerszą i bardziej uduchowioną u Heinemanna, to znów rzecz inna. W każdym razie, oceniając tego artystę, odciąga się wady od zalet, z ogromnym plusem na rzecz drugich. U śpiewaków, jakimi zachwycają się Niemcy, prawie zawsze musi się to działanie arytmetyczne przeprowadzać odwrotnie.

Witold Noskowski.

Przeгляд polityczny.

Kraków, 31 stycznia.

Nad wszystkim, co się dzieje, dla nas w tej chwili górują strzały w Warszawie. Socjaliści, i Prusacy, dokazali swego. Były zbiegowiska, demonstracyjne pochody, byli zabici i ranni. Wszystko czego potrzeba, wszystko podług życzenia i programu. Program socjalistów, to wprowadzenie ludności w stan rozjątrzenia, żeby w tym stanie wodzić ją jak im się podoba. Program Prusaków, to rozruchy w Królestwie, które w danym razie mogą posłużyć za pretext do wkroczenia. „Trzeba wkroczyć, żeby ratować porządek; trzeba wkroczyć, żeby swoje kraje ratować od zarazy“. Od chwili jak w Petersburgu zaczęły się rozruchy i rzezie, dzienniki pruskie (a za nimi niektóre wiedeńskie) powtarzają bezustanku, że w Królestwie powstanie wybuchnie lada dzień. „Polska jest przygotowana, uzbrojona daleko lepiej, niż była Rosya na wojnę japońską“. Rozruch w Warszawie, w Radomiu, w Łodzi, może służyć za dowód. Użyje się go według okoliczności i potrzeby: albo w Petersburgu przeciw Polsce, albo (w szczęśliwym razie) do zabezpieczenia Rosyi i własnych granic od niebezpiecznych polskich powstań.

Polskiego w tych rozruchach niema nic, tylko jedna rzecz: polska szkoda, nieszczęście ludzi, może nieszczęście kraju. Może „polska partya socjalistyczna“ zechce temu nadawać kolor patryotyczny, nosić sztandary i śpiewać pieśni polskie; ale będzie ich nadużywała do swoich nie polskich

celów; i nie złudzi nikogo — tylko czynownicy rosyjscy i Prusy mogą udawać złudzonych, udawać, że wierzą w ruch narodowy polski, na to, żeby polskie życie zdusić do reszty. Ale kraj o powstaniu nie myśli, nie chce go robić. Ma do tego powody różne i ważne, a Prusakom niech na razie wystarczy jeden: „Nie chcemy robić powstania przeciw Rosyi, ani niczego, coby na takie powstanie zakrawało, choćby dla tego, że oni tego chcą“. Dzienniki socjalistyczne mydlą oczy swoim czytelnikom, że w tej robocie jest coś polskiego, że warszawscy demonstranci żądają sejmu, i Bóg wie czego jeszcze. Ale oni sami wiedzą, że to nieprawda, że nie żądają, że gdyby żądali, nie mogliby dostać. Wiedzą także, że po niedługim czasie, po kilku dniach, robotnicy nędzni i głodni będą musieli wrócić do pracy, że ich losu w niczem nie poprawili i nie poprawią — że ich przyprawiają tylko o śmierć, o rany i o gorszą nędzę. Dlaczego to robią? Dla dobra ludzi, jak mówią — dla tego na prawdę, żeby lud durzyć, psuć, a odurzony i nadpsuty mieć za narzędzie. Ze swoich nieszczęść może przecie robotnicy poznają, jakich mają opiekunów i przyjaciół i co warta ich opieka i przyjaźń.

W Rosyi niedobrze. Na drugim końcu świata wojna, straszna pod wszystkimi względami i (jak dotąd) nieszczęśliwa, a wewnątrz, w całym państwie wzburzenie i oburzenie zbyt słuszne, wołanie o zmianę, o reformy ze wszystkich stron Rosyi, od wszystkiego, co w niej myśli i czuje; za tem w drugim szeregu setki tysięcy robotników wołających o ulgi, o poprawę bytu. Wojna zewnętrzna, a wewnątrz coś bardzo podobnego do rewolucyi. Położenie tragiczne. Mikołaj I. nie przewidywał, nie przypuszczał takiego i w grobie się przewraca kiedy słyszy te strzały nad Żółtem Morzem i nad Newą.

W Europie zdumienie. Co uchodziło zawsze za niemożliwość, to się stało. W Rosyi — mniemano i mówiono zawsze — może być rewolucya pałacowa, może być wojskowa, mogą być rzezie po wsiach, ale rewolucya na wzór paryskiej w mieście stołecznem, z barykadami, to być nie może! Było jednak, ale co było? *Une révolte*, jak mówił Ludwik XVI, czy *une révolution* jak mu odpowiedział p. de Dreux Brézé. Małe wzburzenie, rozruch, i to wywołany zagra-

nicznymi wpływami i pieniędzmi — mówią rosyjskie rządowe osobistości i organa a powtarzają za nimi dzienniki francuzkie. „Rewolucya — przestrzega cesarza ksiądzę Trubecki — rewolucya, złożona z pierwiastków różnych, ale przenikająca i obejmująca społeczeństwo całe i groźna możliwemi wybuchami“. Co jest prawdą? Na razie strzały zrobiły swoje, kilka tysięcy ludzi padło, reszta w popłochu i przerażeniu, nawet robotnicy, którzy porzucili fabryki i warsztaty, wracają pomału do pracy, potrzebują jeść. Rozruch uspokojony, *l'ordre règne à St. Petersburg* (jak niegdyś *à Varsovie*) i *tout est pour le mieux dans la meilleure des Russies*.

Ale co dalej? Czy społeczeństwo rosyjskie zapomni, że narzucono mu wojnę, której ono chcieć nie mogło, że wyciągnięto z niego straszne ofiary ludzi i pieniędzy, że tę wojnę źle przygotowano, źle prowadzono, a kiedy ono upomnieć się chciało, odpowiadano mu zrazu półsłówkami, pół obietnicami, a w końcu kartaczami? To społeczeństwo jest bardzo różne od wszystkich innych, ma jakąś naturę osobną, ale jednak przypuścić trudno, żeby mogło łatwo zapomnieć i przebaczyć. Stan oblężenia, rządy wojskowe, generał Trepow jako gubernator Petersburga, Wielki ksiądzę Włodzimierz z jakąś dyskrecjonalną władzą — to są środki na razie wystarczające, bo srogie; więzienia się zapełniły, będą wyroki śmierci, nastanie cisza. Tylko jedno może ustać, to, co stanowiło samo jądro siły rosyjskiej: zjednoczenie ojczyzny z carem, w uczuciu, w patryotyzmie, w narodowej świadomości tego społeczeństwa. Tego bodaj czy nie zachwiał, czy nie podkopał, Mikołaj II lub jego doradcy — a tego może nie przywróci ani generał Trepow ani Wielki ksiądzę Włodzimierz. To jak się raz stłucze, całem i nieuszkodzonym już nie będzie. Stłuczony garnek albo szklanka da się drutować i kleić, na pozór może wyglądać jak przed stłuczeniem, ale takim samem już nie będzie.

Na to podkopanie, zachwianie patryotycznej jedności cara i narodu, skupienia patryotycznej świadomości w carze, pracowały pokolenia; ostatnie lata i wypadki tylko dokonały dawno zaczętej roboty. Po wojnie krymskiej mówili ministrowie i ambasadorowie rosyjscy *La Russie se recueille. Elle*

ne s'est pas recueillie. Nie weszła w siebie. Zniosła niewolę chłopów, to było wiele; ale to nie wszystko, a wszystko inne zostało jak było. Upojona swojemi sukcesami, zaufana w swoją wielkość, Rosya sobie samej i drugim rzucała piaskiem w oczy, imponowała swoją potęgą, a o tem nie myślała, nie chciała wiedzieć, że w tej potędze było wiele pierwiastków zepsutyeh, zgniłych, wiele pozorów bez rzeczy; ludziła się tak, jak Katarzynę ludził w krymskiej podróży Potemkin, brała malowane dekoracye za wsie i miasta. Przyszła chwila otrzeźwienia, straszna. Wszystkie elementa zepsucia wyrzuciły na wierzch jak wrzody, jak trąd. Wojna, niekoniecznie potrzebna, podjęta z występłą lekkomyślną zarozumiałością, upokarzająca, bo szczęśliwa dla słabszego przeciwnika a bez jednego choćby małego rosyjskiego zwycięstwa, pochłaniająca nieprzeliczoną, niepowetowaną moc szkód, nieszczęść, cierpień, ta wojna okazała w całej okazałości, nagości, niedołęztwo, zarozumiałość, kradzież publicznego grosza, kłamstwo jednych, niedozór drugich; okazała, że ani dyplomacya, ani administracya, ani intendantura, ani marynarka, nic zgoła nie było prowadzone jak należy, nic (oprócz, waleczności wojska) takie, jak powinno być w państwie, które ma być, które mniema być potężnem — cóż dopiero najpotężniejszym, pierwszym na świecie.

Upokorzenie, oburzenie, miłość ojczyzny, musiały wybuchnąć. Wybuchły spokojnie, poważnie. Adresy i memoryały zwracały uwagę cesarza i rządu, że jest źle i że tak dalej iść nie może, że trzeba rządzić inaczej i lepiej. Prawda stawała się coraz widoczniejszą, żądania coraz powszechniejsze. Odpowiedź — ukaz cesarza — była zakłopotana, połowiczna, niepewna, jednak nie odmowna. Wzmogła się nadzieja zmiany systemu

W takiej chwili robotnicy fabryk zawiesili robotę; chcieli tym sposobem wyjednać sobie lepsze warunki, chcieli się wybrać do cesarza, przedłożyć mu swoje dolegliwości i prośby. Szli bez broni i bez złej myśli. Cesarza nie zastali — zastali wojsko: i krew bezbronych, krew nawet kobiet i dzieci broczyła strumieniami śniegi Petersburga. Wiele zabitych? Wiele rannych? Nikt nie wie. Wszyscy tylko mówią, że ryczałtem grzebano trupy na przedmiejskich cmentarzach, to-

piono w Newie, że stolica Piotra i Katarzyny wyglądała jak stolica *calamitatis et miseriae*...

Cesarza nie było. Kiedy po śmierci Aleksandra I spiszek wojskowy miał niedopuszczyć do tronu jego brata Mikołaja, Mikołaj stanął przed frontem pułków gotowych do buntu i tem, że się zjawił, złamał bunt. Naraził życie, postawił je na kartę, ale wygrał. Zawołał „na kolana“, i całe to żołnierstwo padło przed nim na kolana. Przeciw Mikołajowi II spisku ani buntu nie było; zebrany tłum nie chciał mu robić nic złego. Gdyby się był pokazał, gdyby był przemówił śmiało, jędrnie, byłby ten cały tłum padł przed nim na kolana jak wojsko przed jego pradziadem. Krew nie byłaby popłynęła, a jego powaga, jego urok, jego siła jako monarchy, byłaby wzrosła. Tego nie zrobił. Wybrał strzały, stan oblężenia, rządu generała Trepowa i Wielkiego księcia Włodzimierza. Jak na tem wyjdzie? Monarchowie, których niema na scenie w chwilach ważnych i niebezpiecznych, zwykle wychodzą na tem źle.

Co pewna, to że ten ruch robotniczy, to bezrobocie. te pochody, stały się zawadą na drodze do zmian i reform. Nie były urządzone za japońskie ani angielskie pieniądze, jak mówią atisze rozlepiane po ulicach miast rosyjskich, musiały być przygotowane i prowadzone przez jakieś rewolucyjne socjalistyczne władze — ale autokracji i biurokracji rosyjskiej oddały taką usługę, jak żeby je była sama obstalowała. Pierwszy raz objawiło się w Rosyi dążenie do wolności, tak silnie, tak powszechnie, tak prawdziwie z łona tego narodu, i w tej pierwszej chwili spycha je w głąb propaganda i organizacya rewolucyjna. Zawsze to samo wrodzone przeciwieństwo, ta zasadnicza walka, między rewolucją a wolnością (a w tym ruchu robotniczym pierwiastki rewolucyi społecznej oczywiście są).

Wspominaliśmy przed miesiącem, że ukrytą myślą, marzeniem zwolenników dawnego systemu rządowego, jest zgnieść umysły i żywioły oświecone z ich aspiracją do wolności, za pomocą nieoświeconych mas ludowych, tak, żeby w Rosyi był tylko car i czerń. Do urzeczywistnienia tego ideału dziś jest sposobność, a nie brak i wskazówek, że rząd chce ze sposobności skorzystać. Robotnicy wiedzą, że

ich pozabijano, a że nie zyskali nic. Żyć muszą, jeść potrzebują, więc wracają do pracy, płacząc za poległymi, wyrzekając na swój los. W takim usposobieniu łatwo ich na swoją stronę przeciągnąć. „Przekonajcie się, co warci ci, co was prowadzili, i ich obietnice, patrzcie, w jakie nieszczęście was wtrącili“. Może to nieprawda, co piszą dzienniki, że robotnicy powiesili kilku studentów a innych biją, ale to do prawdy podobne, że mogą mieć żal i gniew na tych, co ich namawiali i prowadzili. W takiej chwili przyznać im jaką ulgę, spełnić ich żądania, a można ich ująć, uchwycić, przyciągnąć. Cesarz przyjął deputację robotników, nie masy, ale pewną ich liczbę, i wysłuchał i mówił i zapewne coś im przyrzekł. A kiedy tak względem nich postępuje się ze zręczną łagodnością, zamyka się do więzienia ludzi znaczących, dziennikarzy, adwokatów, pisarzy, całą jednym hurtem *Dumę* (w Niżnym Nowogrodzie). Zaczyna się wyraźnie rysować dążność, czy plan, podziału społeczeństwa na dwie partye: po jednej stronie absolutyzm i czerń, po drugiej wolność i oświecona część społeczeństwa.

Znamienną oznaką tej polityki i tego planu jest posunięcie starego Pobiedonoscewa do jakiejś bardzo wysokiej rangi: wyraźny i nie bez intencji policzek, dany wszystkim dążnościom wolnomyślnym. Książę Mirski wziął dymisyę: na jego miejscu ministrem spraw wewnętrznych mianowany pomocnik Wielkiego księcia Sergiusza. Prawda, że i to może nie być stanowczem, a zmienność i chwiejność może sprawiać coraz nowe niespodzianki. Nazajutrz po tym awansie czytało się w telegramach, że cesarz powołał księcia Trubckiego, autora wiadomego listu, do narady, jako męża zaufania. Jak to jedno z drugim godzić? co jest prawdziwą myślą i wolą cesarza?

A tymczasem wszystko, co czuje, myśli i odzywać się może, to jawnie, głośno, śmiało oświadcza się przeciw rządowi; a tymczasem bezrobocia mnożą się po wielu miastach, od morza Bałtyckiego do Czarnego. Przerwie się je strzałami, ale na jak długo? Nie wesoło obchodzi Rosya jubileusz ważnych dla siebie wypadków. W marcu r. 1855 umierał cesarz Mikołaj I, we wrześniu tego samego roku upadał Sebastopol. W pięćdziesiąt lat po upadku Sebastopola kapi-

tulacya Portu - Arthura, w pięćdziesiąt lat po śmierci pierwszego, drugi Mikołaj każe strzelać na ulicach Petersburga. A wojna trwa, a te strzały czy bardzo podniosą zapał wojenny w ludzie? a jedno z drugim czy bardzo podniesie polityczne znaczenie Rosyi i jej kredyt pieniężny?

Wszystko razem podobne wcale do powodzi Newy z Mickiewicza. „Wichry wytknęły głowy, otchłań rozkiełznana, słychać młotów kucie“.

Zkąd to zle? co ich do takiego stanu doprowadziło? Do nich także stosują się słowa Krasińskiego: „Struli się własnych zbrodni jadem“. Zbrodnie rządu wnikają w jego podwładnych, grabieże rządów rodzą kradzieże niższych, srogości rządów rodzą barbarzyństwa żołdaków, dyplomatyczne kłamstwa rządów rodzą administracyjne i pieniężne oszukaństwa urzędników. Zły przykład z góry przytępia, psuje sumienia na dole. W Rosyi truli tym jadem jedni drugich. Rząd psuł społeczeństwo, kiedy swoje niegodziwości udawał przed niem za dobre, społeczeństwo psuło nawzajem rząd, kiedy mu wierzyło lub udawało, że wierzy, że wszystko, co on złego robił, uznawało lub przyjmowało za dobre. Od jak dawna i wiele razy, my Polacy powtarzamy Rosyi, że ona sama sobie szkodzi, sama siebie psuje, sama siebie osłabia, swoim postępowaniem względem nas? W każdym razie przestrzegamy ją od lat czterdziestu, że deprawuje sama siebie, i że tego kiedyś gorzko pożałuje. Teraz ma. Zdeprawowane były te wszystkie w niej elementa i władze, które odpowiadają za jej losy; wojna japońska okazała to dość wyraźnie. Strasznie się im wydaje, że wojsko strzela do bezbronnych, że zabija kobiety i dzieci. Prawda, to straszne, to okropne. Ale czy to pierwszy raz się tak zdarza? Czy to wojsko nigdy nie strzelało do bezbronnych? Czy nie mordowało kobiet i dzieci? Od rzezi Pragi do podlaskich Unitów, niech zliczą (jeżeli mogą), wiele było tej krwi, tych łez, tych okrucieństw. Ale nikt tam nie powiedział, nikt nie uczył, że to niegodziwe i straszne; to byli Polacy i to rząd robił, dla dobra Rosyi! Dziś ten sam rząd i także dla dobra Rosyi jak je rozumie, temu samemu wojsku każe strzelać nie do Polaków już, do Rosyan — do ich żon i dzieci. Niegodziwość względem obcych prowadzi do niegodziwości względem

swoich; ci w Petersburgu bezbronni ludzie, te rosyjskie kobiety i dzieci zabite, czy nie są karą za polskich bezbronnych, za polskie kobiety i dzieci? Wartoby było, żeby się Rosyanie nad tem zastanowili. Życzymy im szczerze, żeby z tych bolesnych przeżyć, jakie przezywają, wynieśli naukę, „że jest duch mściciel, co z Bożej zarady tkwi w dziejów głębinie“, że biada tym, co się „truli własnych zbrodni jadem“.

Życzymy im tego bardzo, ale boimy się, że i to „przejdzie straszne lecz niezrozumiane“, i że tylko „nowe zbrodnie przyjdą karać stare“.

W monarchii austriacko - węgierskiej rozpoczął się nowy rok także wśród zupełnie zmiennych stosunków. W Austrii wstąpił na miejsce p. Koerbera bar. Gautsch; ministerstwa, prowadzone przez p. Koerbera — ministerstwa spraw wewnętrznych i sprawiedliwości — obsadzone zostały przez osobnych funkcyonaryuszów, podczas gdy reszta ministrów dawnego ministerstwa pozostała na dawnych stanowiskach. Nic nie charateryzuje trafniej całej nikłości sporów wewnętrznych austriackich, jak właśnie to zjawisko, że wystarcza zmienić kilku ministrów, ażeby cała parlamentarna sytuacja zupełnie nowy przybrała charakter. Walka o zasady w Austrii jest właściwie zawsze walką o tekę ministeryalną; w gruncie rzeczy toczy się ta walka zawsze pomiędzy kilku osobami, działającymi za kulisami, raz wychodzi jedna, raz druga na wierzch.

Nowe ministerstwo zostało przyjęte przez wszystkie większe stronnictwa zupełnie przyjaźnie; jako zasadę postawiono, że potrzeba czekać na to, co nowe ministerstwo zdziała. Ta zasada wyczekiwania zwyciężyła także u Czechów, którzy zaprzestali obstrukcyi; zwyciężyła ona także u Niemców, którzy dotąd obstrukcyi nie rozpoczęli. Prezydent Izby hr. Vetter von der Lilie mógł więc wreszcie po załatwieniu wszystkich „nagłych“ wniosków i po krótkiej, właściwie tylko dla formy przedsięwziętej obstrukcyi pięciu radykałów czeskich, ogłosić *urbi et orbi*, że Izba deputowanych austriacka „przechodzi do porządku dziennego“. To, co p. Koerberowi nie udało się pomimo pięcioletniej „beznamiętnej wytrwałości“, udało się p. Gautschowi po kilku konferencyach z przywódcami stronnictw. Ustąpie-

nie p. Koerbera przyniosło tak państwu większą korzyść, jak może wszystkie jego niezliczone mowy i rozporządzenia, w których zawsze występowała na jaw chęć odegrania roli historycznej i okazania, że jest on „Bismarkiem Austrii“. Ktokolwiek zna jednak stosunki austriackie, ten musi wyrazić pewne wątpliwości co do dalszego trwania tego, dla rządu tak pomyślnego stanu rzeczy. *Schonzeit* dla p. Gautscha potrwa zapewne jakiś czas, jakiś czas czekać będą także i drobne radykalne stronnictwa, ale po pewnym przeciągu czasu rozpocznie się bezsprzecznie nowa kampania przeciwko nowemu ministerstwu. Za wiele jest w Austrii kandydatów na ministrów, za wiele ludzi, żyjących tylko z walki i dla walki narodowości lub politycznej. Jeden fakt zdaje się korzystnym dla ministerstwa p. Gautscha: wynik wyborów na Węgrzech. Ten wynik zmusza stronnictwa austriackie do połączenia się; im groźniejsze się wydają dążności węgierskie, tem solidarniej postępować muszą parlamentarne partie austriackie, tem więcej winny się grupować około sztandaru austriackiego. Zachodzi tylko pytanie, czy i jak długo uznawać one będą obecne ministerstwo w Austrii za odpowiedniego chorążego.

Wynik wyborów na Węgrzech był niespodzianką dla ministerstwa hr. Tiszy i dla samej opozycji. P. Tisza występował z taką energią i z taką pewnością siebie, że musiano mieć przekonanie, że obliczył on najpierw swoje siły i prądy rozstrzygające w ludności węgierskiej, zanim puścił się na burzliwe morze nowych wyborów. Wynik wyborów dowiódł, że p. Tisza był złym sternikiem, że nie znał ani wiatru ani nie umiał pokierować sterem. Nie małą rolę przy tych wyborach odegrała bezsprzecznie zasada, wypowiedziana przez p. Tiszę, że rząd nie chce wpływać na przebieg wyborów. Wybory węgierskie bez presji ze strony rządu! Rzecz nie do pojęcia, w każdym razie rzecz nie bywała na Węgrzech. Podczas więc, gdy p. Tisza nie wpływał na wybory, opozycja nie szczędziła agitacyj; w wielu okręgach wyborczych nie postawił rząd wogóle żadnego kandydata, tak, że kandydat opozycji przechodził jednogłośnie, podczas gdy opozycja w każdym prawie okręgu miała swoich kandydatów. Wynik był ten, że stronnictwo p. Kossutha osiągnęło samo większą ilość

posłów, jak cała partya liberalna, dotychczas rządząca Węgrami, a doliczając resztę stronnictw opozycyjnych, jest dzisiaj opozycyca w ogromnej większości. Wynik ten jest tem więcej pożałowania godny, że w całej tej walce nie chodziło tyle o zasady, jak raczej o prywatę, o walkę między możnemi rodzinami węgierskiemi *Hie Tisza, hie Andrassy!* Rozstrzygnięcie zapadło w chwili, w której hr. Juliusz Andrassy wystąpił z partyi liberalnej i stanął na czele t. zw. partyi dysydyentów. Ci dyssydenci rozstrzygnęli o losie partyi liberalnej.

Tak skończyło się na Węgrzech panowanie partyi liberalnej, która od ustanowienia dualizmu była podstawą wszystkich ministrów węgierskich.

Co dalej nastąpi?

Dzienniki niemieckie wyrażają się bardzo pesymistycznie i twierdzą, że z chwilą upadku partyi liberalnej rozpoczyna się era oderwania Węgier od Austrii, koniec dualizmu. Tak źle nie sądzimy o stanie rzeczy. Wszystkie stronnictwa, dążące do osiągnięcia władzy, używają zawsze hasel, pięknie brzmiących i pociągających masy, ale doszedłszy do panowania, muszą się one liczyć z rzeczywistością i jej praktycznemi wymogami. Nie ulega wątpliwości, że obecny wynik wyborów na Węgrzech utrudni w wysokim stopniu załatwienie spraw armii wspólnej, i że Węgry prędzej czy później dążyć będą i uzyskają osobną armię, ale we wszystkich innych sprawach wspólnych zwycięży interes praktyczny nad formułkami chwili. Szkoda w każdym razie tego p. Tiszy, który okazał się w trudnych okolicznościach człowiekiem pełnym energii i wytrwałości — szkoda i jego talentu i jego pracy!

Początek nowego roku przyniósł tak zmiany w Rosyi, na Węgrzech i w Austrii. Przyniósł on także zmianę i we Francyi, gdzie upadło ministerstwo p. Combes'a, na jego miejsce wstąpiło bardzo do poprzedniego podobne ministerstwo p. Rouvier.

Z powodu mobilizacji rosyjskiej.

Nie idzie nam o jej opis, cele, skuteczność, szybkość, ale raczej o zastanowienie się nad istotą rzeczy, nad skutkami fałszywych założeń.

Nieznane przed traktatem westfalskim 1648 r. armie stałe, od tego czasu za przykładem Ludwika XIV aż do drugiej połowy XVIII wieku wchodzą w używanie, a raz na tej drodze, nie staje już tak zwany tego wieku „oświecony absolutyzm“ w pół drogi, i doszedłszy do ostatnich granic, prawa natury łamie bez namysłu, zaprowadzając przez Józefa II konskrypcję, t. j. obowiązek poddanych służenia w wojsku panującego, gdzie, kiedy i jak długo mu się podoba. Obowiązek ten jest prawie dożgonny, bo 20 — 25 letni, tak, że człowiek wzięty do wojska za młodu, starcem prawie do wsi lub miasta rodzinnego wracał, jeśli nie ranny, to sterany, złamany, a często i ogłupiały z tych 20 lat pod kijem kaprałskim spędzonych. Ale konskrypcya była wygodna, dawała gotowego zaraz żołnierza, którego tylko żywić, ale nie osobno płacić jak zaciężnego, trzeba było, wreszcie stany, decydujące o tem, kogo to dostawić, by nakazany kontyngens był oddany, myślały o tem, by indywidua szkodliwe, burzliwe, mniej potrzebne „w kamasze oddać“, jak wtedy mówiono; tym sposobem społeczeństwo płaciło podatek mienia w całości, podatek krwi w niebardzo licznych wyjątkach. Zaznaczyć trzeba, że zasada konskrypcyi zastosowaną została niebawem w całej Europie; wyjątek stanowiło plemię anglo-saskie w Anglii i Ameryce, nigdy nie zarażone rzym-

ską jurysprudencją, i Państwo Kościelne, szanujące prawo natury, w innych prawodawstwach coraz więcej nogami deptane — a nigdy więcej, jak w naszych czasach, gdy go nie tylko już praktycznie prawie nikt nie stosuje, ale nawet teoretycznie nikt nie naucza, z wyjątkiem Kościoła.

Znamiennem jest, że armie stałe kosztem poddanych utrzymywane wprowadza ten, który powiedział: *L'État c'est moi*, a konskrypcję ten, który o sobie mówił: *Ich bin der erste Staatsdiener* (Józef II). Dodać należy, że od połowy zeszłego wieku czas służby wojskowej skrócono znacznie, a zaprowadzono ogólną konskrypcję i losowanie, zamiast dostawy rekruta przez stany.

Pobite w wojnach napoleońskich Prusy, a powstające później w bardzo szlachetnym i ogólnym patriotycznym zapałe o cechach niby bardzo religijnych (*Tugendbund*), a w gruncie bardzo wyraźnie massońskich (rewelacye Haugwitza na kongresie weroneńskim) i prowadzące całe Niemcy przeciw Napoleonowi, po złamaniu razem ze sprzymierzonymi jego potęgi, a za przewodem głównych wojennych działaczy, jak Stein, Blücher, Gneisenau, Scharnhorst, postanawiają organizację ogólnego uzbrojenia wszystkich do wojny zdolnych skodyfikować i uwiecznić, stworzyć dla swego na zawsze bezpieczeństwa *ein Volk in Waffen*, naród cały uzbrojony zawsze, do wojny gotowy zawsze, ale i do wojny obowiązany zawsze. Jakim sposobem tę myśl przeprowadzono, jak przeprowadzić ją było można?

Trzeba powiedzieć, że skorzystano ze sposobności, ze świeżej w pamięci wszystkich klęski najazdu, podbicia, poniżenia, korzystano z zapału powstania i radości zwycięstwa. Ale były i powody głębsze i tu powtórzyć jeszcze raz można tylekroć powtórzone F. W. Schlegla zdanie, że co się wyrozumuje w pracowniach filozofów, to w przeciągu jednego pokolenia wchodzi do gabinetów ministrów. Kant, Fichte i Hegel, choć poglądami różni, ale jeden z drugiego logicznie rodzący się, potrochu, a coraz więcej ku nieosobistości Bóstwa, a tem samem ku nieosobistości państwa prowadzą. Nieosobistość państwa, to jego nieodpowiedzialność, bo odpowiadać może ktoś, nigdy coś. Logicznie więc znowu państwo wszystko może, i prawa, broniącego mu czegoś, być nie może, bo prawo

jakiegokolwiek może istnieć tylko na tego, któremu można coś zrobić, n. p. ukarać, a jakże ukarać nieosobistość. Zatem państwu wszystko wolno, co tylko potrafi. Wolno więc w jego imię ustawy takie lub owe dla dobra ogółu wprowadzać, a sędzią tego dobra jest ono samo. Najwyższym dobrem jest istnienie, a więc co prowadzi do zachowania tego istnienia, także absolutnie dobrem jest. Że zaś siła jest najglówniejszym warunkiem istnienia, a więc co do siły prowadzi, to dobre i do tego ustawami dążyć trzeba.

Takie to pobudki, oprócz patryotycznych, wylęgnięte w mózgach myślicieli, przez nich na katedrach wykładane, owdadnęły powoli umysłami wykształconej części społeczeństwa niemieckiego, specyficznie pruskiego. Urzeczywistnienie ich było dziełem absolutyzmu, podpartego poczuciem dynastycznym, a ułatwione głębokim pokojem, jakiego Prusy od 1815 — 1848 r. używały.

Mimo że Prusy należały do t. zw. Świętego przymierza, rola ich w Europie już z samego powodu małych rozmiarów terytoryalnych nie była w tej epoce pierwszorzędną i każdy się troszczył o to, co robią Francya, Anglia i Rosya, a mało o to, co się dzieje w Prusiech. Mało postrzeżone od reszty świata, odbywały się kardynalne a powolne zmiany tego narodu na essencyonalnie wojskowy organizm, powstawały jedne po drugich ustawy o powszechnej służbie wojskowej, organizacya landwery pierwszego i drugiego powołania i landsturmu, a zarazem ciągła praca nad udoskonaleniem całej administracyi cywilnej i nieustające ćwiczenie teoretyczne i praktyczne żołnierza, oficera i kwaterymistrzostwa. Dodać do tego trzeba i wprowadzenie karabinu odtylcowego, tak mało znanego, cenionego i nawet lekceważonego wszędzie, a zwłaszcza w Austryi, gdzie jeszcze 1856 r. na dziesięć tylko lat przed Sadową, uczono w szkołach wojskowych jedynie lekceważenia dla iglicowej broni, a nie jak ona wygląda i jak strzela.

Dziś to na bajkę wygląda, a tak było.

Cały szereg niezrównanych pracowników na polu administracyjnem i wojskowem, jak Duesberg, Nagler, Müffling, Manteuffel, Bodelschwingh etc., doprowadził całą machinę państwową do doskonałości i dokładności, nigdy przedtem

nieznanej, a przecież jeszcze Prusy sobie nie ufały i wołały znieść ołomunieckie upokorzenie, niż spróbować, jak w praktyce posłuży to, co w teorii tak pięknie wygląda. Trzeba było dopiero klęsk Austrii 1859 r. i nauki z niej przez Prusy wyciągniętej, trzeba było genialnego człowieka, jak Bismarek i takich dwu fachowców, jak Roon i Moltke, by doprowadzić trwożliwego (pewno nie fizycznie) i pełnego skrupułów byłego księcia pruskiego (o przydomku *das grosse Rindvieh*), później króla i cesarza Wilhelma I, do zmierzenia się z Austrią w 1866 r. Machina nie zawiodła, pogardzone iglicowe karabiny cudów dokazały, pokój w Nikolsburgu dał Prusom tę przewagę na Niemcy i powagę w Europie, które umożliwiły kampanię prusko-francuską, a dały odtąd zjednoczonym Niemcom pierwszeństwo wojskowe i polityczne na lądzie stałym Europy.

Te dwa, że tak powiem, egzaminy Prus, zdane tak celująco przed Europą, miały za rezultat prosty, w historii zawsze spotykany, że Europa zaczęła Prusy na polu wojskowym naśladować. Nie minęło lat 30 od Sedanu i wzięcia Paryża, a wszystkie rządy europejskie przeprowadziły służbę wojskową ogólną, i mają broń i artylerję odtylecową, ale też zamieniła się Europa na arsenał zbrojny i obóz wojskowy, a Mars z Belloną zjadają to, co wyprodukuje Cerera z Merkurym i Wulkanem, i ludy nawet konstytucyjnie rządzone jęczą pod jarzmem podatkowym i wojskowym, jakiegoby nałożyć nie śmiał najabsolutniejszy despota, a zauważyć warto, że państwa absolutnie rządzone wcale pod tym względem nie przodowały i owszem dopiero za drugimi poszły. Jeszcze raz rasa anglo-saksońska w Anglii i Ameryce innowacyi tej nie zaprowadziła, ufna w odrębne swe położenie terytoryalne, a więcej niż to, mocna w przekonaniu, że się bez czynienia niesprawiedliwości obejść można zawsze. W Azji, jak wiemy, modelująca się na Prusach szybko Japonia także służbę powszechną wprowadziła i poszło to łatwo, dzięki odwiecznej rycerskiej organizacji tego narodu.

Po raz pierwszy w historii w r. 1904 nastąpiło starcie się zbrojne dwu państw, tą organizacją powszechną służby wojskowej obdarzonych. Dziś po blisko roku od rozpoczęcia wojny stają naprzeciwko siebie dwie armie, obie po blisko

400.000 ludzi liczące. Przyzwyczajeni do cyfr milionowych, mało sobie zdajemy sprawę, co takie cyfry w rzeczywistości znaczą; za rodzaj skali niech posłużą fakt, że sprowadzenie jednego pułku konnicy z Warszawy do Charbina kosztuje około pół miliona rubli. Zdaje się, że każda ze stron wojujących straciła dotychczas około 100.000 ludzi, zabitych lub do dalszej pracy niezdolnych. Mimo niesłychanych udoskonaleni na polu i komunikacji i organizacji lekarskiej, opieka nad rannymi niedostateczna i dostateczną być nie może, bo środki niszczenia więcej jeszcze się wydoskonaliły od środków leczenia. Ostatecznie ten się do ambulansu i szpitala dostaje, na kogo sanitarz za pieniądze łaskaw, bo i robota już tylko zbierania rannych zbyt wielka, a według opowiadań świadków naocznych, mogiły się potrochu ruszają. O opiece duchowej na polu bitwy mowy nawet niema, dopiero w szpitalach rozwinać się ona choć cokolwiek może, ale od lekarskiej o wiele jeszcze lichsza. O trudach, atakach nocnych, braku częstego pożywienia, ledwo że wspomnimy — bywały i dawniej; ale czego nie bywało, to całych wagonów oficerów oszalałych, jakie do Tworek przychodzą, a to z rozdrażnienia nerwów niespaniem i nieustającym hukiem, ogniem i dymem; dodajmy, że to już drugi rok kampanii zimowej.

Dziś już obie armie walczące i zmuszone zostały stratami i zmusiły się wzajemnie do powołania rezerw. Gdy armię czynną kraju każdego stanowią nieżonaci młodzi ludzie (część tylko i to mała podoficerów i oficerów żonaty), rezerwa składa się prawie całkowicie z ludzi żonaty, żywiących swe rodziny własną pracą. Co to w praktyce znaczy, wie każdy Poznańczyk z kampanii 1870 r. Ni rządca, ni parobka, ni służącego, ni podmajstrzego i czeladnika w warsztacie, ni subiekta w sklepie, ni dependenta u adwokata. To strona jedna; druga gorsza, a to żony i dzieci po tych powołanych rezerwistach. Naturalnie, że klęska finansowa i moralna potęguje się w miarę trwania wojny, a z jej końcem nie ustaje zaraz, bo i wielu nie wraca, i o wielu wracających społeczeństwo nadal myśleć musi, bo już na siebie nie zapracują. Ale wojna r. 1870, bardzo straszna w stratach ludzi dla Niemiec samych, toczyła się o granicę, w kraju cywilizowanym, a organizacja służby i cywilnej i wojskowej

jest pewno najdoskonalsza na świecie. Jak to wygląda w wojnie obecnej u obu zapaśników?

Każdemu, choćby pół-wykształconemu wiadomo, że Japonia w największej swej części jest krajem tak gęsto zaludnionym, iż Europejczycy poprostu nie potrafiliby w tej ilości na danej przestrzeni się mieścić, bo najludniejsze okolice Europy ledwo czwartą część tego zaludnienia przedstawiają, co Japonia. Oprócz groźby bardzo blizkiej, nie zawojowania, ale ubezwładnienia przez Rosyę, potrzeba rozszerzenia się na zewnątrz stała się drugim głównym powodem, że Japonia pierwsze kroki nieprzyjacielskie rozpoczęła. Gdy zważymy pogardę śmierci i pragnienie sławy temu plemieniu właściwą, rozumiemy łatwo, że i mikado dość lekkim sercem wysyłał na wojnę poddanych, których ma aż za wielu, i sami ciż poddani ochoczo szli na wojnę w kraj blizki, im od czasu kampanii chińskiej dobrze znany, na kolonię jakby stworzony. Przy znanych, bardzo skromnych Japończykach potrzebach, żony i dzieci rezerwistów dużo łatwiej utrzymać się mogą, niż w podobnym położeniu Europejczycy. Wreszcie oddalenie Japonii od teatru wojny nie jest przerażające, a organizacya cała cywilna i wojskowa, dzięki i wielkiej dokładności i wielkiej uczciwości publicznej, grozę rzeczy łagodzi wiele.

Inaczej rzeczy stoją ze strony Rosyi. Naprzód nie ona wprawdzie kroki nieprzyjacielskie rozpoczęła, ale powodem wojny jest ona, bo przez opanowanie nieprawne Mandżuryi i widoczny aż nadto na Koreę apetyt, postawiła Japonię w konieczności zaczepki, by za lat kilka nie wpadła w zupełną od Rosyi zależność, a rzut oka na mapę o tem przekonywa. Nie idzie Rosyi o obronę jej granic — nikt takowym nie zagroza — idzie o sprawę miłości własnej. Dla niej to już kolo sto tysięcy rosyjskich poddanych życiem i zdrowiem nalużyło, dla niej dwakroćstotysięcy ojców rodzin odrywają od domu i zarobku i pędzą o tysiące z górą mil na częściową zatrata.

Czyby Iwan Groźny śmiał to zrobić? A robi to najłagodniejszy z usposobienia cesarz, jakiego kiedybądź Rosya miała, robi ze łzami w oczach, znany z spokoju i pokoju miłośnik! On to, inicjator kongresu pokojowego w Hadze,

stał się powodem najkrwawszej, jaką dotąd świat widział, wojny, na którą tyle swych poddanych od żon i dzieci odrywa!

Potworna ta mobilizacya, jak doprowadza fałsz powszechnej służby wojskowej do absurdu, tak równie oburza i przygnębienia patryotycznie usposobiony lud rosyjski, jak i obojętny z natury rzeczy na sławę rosyjską lud polski; dzięki tylko dziwnie łagodnemu ludu naszego usposobieniu, rozruchy i wzburzenia znacznie z tego tytułu mniejsze w Królestwie, niż w Rosyi. Bo też sędzę, że równe może cierpienia jednych i drugich; gdy się widzi w czem ich na zimę wyprawiają, gdy się wie, że całemi tygodniami prawie bez mieszkań, o jednym i bardzo lichem dziennie pożywieniu trzymają ich po miastach gubernialnych, a potem kolejną wożą trzy tygodnie z górą, przez które ani raz choćby na gołej desce nie rozciągną członków i jak wiemy z listów także po raz jeden dziennie żywią ciepłą strawą, to człowiekowi nawet rosyjskiego, nietylko polskiego chłopu i robotnika, żal serdecznie.

Łatwo Rosyi, a może nawet i konieczne małpować Prusy w brutalności i bezwzględności powoływania wszystkich pod broń; mniej łatwo naśladować co do ładu, organizacyi, obmyślenia wszystkiego — i uczciwości. To też nie bardzo się o ostatnią zwłaszcza kuszą, i od dawna tak świetnie nie zakwitła kradzież grosza publicznego, krzywdzenie żołnierza. Gina bez śladu wagony z butami, i to nie jeden, sprzedają się publicznie koldry dla żołnierzy ofiarowane przez bogatych fabrykantów, kradnie kto może, a na terenie operacyjnym intendatura nie może, czy nie umie zaopatrywać żołnierzy i całe większe oddziały dotkliwy głód cierpią. Pomoc lekarska, szpitale i ambulanse dość luźne, a personal lekarski ogromny, ale można sobie wystawić, jak żołnierzowi bywa, gdy lekarze jeść dostać nie mogą — i tu już winowacę prędzej cały system wojskowy powszechnej służby, niż obsługę sanitarną, bo któż jest w stanie uczynić co trzeba, gdy hekatomby Marsowi ofiarowane wszelkie rozmiary dotychczasowe przechodzą. Dodajmy, że gdy dawniej wojska szły w czasie swoim na zimowe leże, dziś kampanie prowadzą się nietylko bez względu na porę roku, ale teraz już i bez

względu na porę dnia, i znaczna część ważniejszych operacyj musi się z powodu obecnej broni dokonywać w nocy; to różnicie się wzajemne przy oświetleniu elektrycznym reflektorów, to wyzyskanie wszystkich odkryć naukowych na tępienie ludzkiego plemienia, to coś zaprawdę piekielnego.

Nie mówmy o tem już więcej, bo żadne słowa nie wystarczą, ale zwróćmy trochę uwagi na materiał ludzki, którym się szafuje. Co do prostego żołnierza, mają go za darmo rządy od ojców i matek, tak, że rzeczywiście koń, bo go gotówką zapłacić trzeba, więcej od człowieka się waży, a o przeludnienie dziś prawie wszędzie łatwo. Inaczej z oficerami; przy dzisiejszych wymaganiach, oficer, zwłaszcza od kapitana w górę, to już bardzo wykształcony i inteligentny człowiek, a kwatermistrzostwo, to już prawie ekstrakt dzielności, zdolności i nauki całego narodu. Ta ogromna ilość siły rozumowej istnieje nawet w czasie pokoju bez użytku innego, tylko na cele wojny, a każdy łatwo pozna, że użyta na polu produkcyjnej i naukowej pracy, dałaby owoce bardzo znaczne, a tak tylko pracuje bez wytchnienia nad środkami zaczepki i obrony.

Gdy to dzieje się w narodzie, bardzo obfitującym w siły intelektualne, jak niemiecki, szkoda jest stosunkowo mniejszą; gdy się tyczy takiego społeczeństwa, jak rosyjskie, które w nie ubogie, a gdyby nie prowincye nierosyjskie z narodowości, byłoby nawet zastraszająco ubogie, z poświęcenia tylu zdolności dla celów wyłącznie wojskowych skutki są nieporównanie cięższe, tembardziej, że budżet wojskowy jest niejako pasożytem innych budżetów, czyli że on rośnie tylko kosztem oszczędności na oświatę, sprawiedliwość, komunikacye i t. d., bo choć się ciągle przyciąga śruby podatkowej, wymagania wojskowe rosną stosunkowo daleko prędzej, niż wypłatność opodatkowanych. Ztąd nawet w tak wzorowo administracyjnie rządzonych Niemczech deficyt rośnie, a w innych państwach kończy się poprostu na pożyczkach, czyli na obdłużaniu nienarodzonych jeszcze, a to naturalnie w miarę uczciwości publicznej, pod względem której dzisiejsi alianci, Francya i Rosya, bezsprzecznie ostatnie zajmują miejsce między narodami Europy, z wyjątkiem naturalnie Turcyi.

Mimo swej teoretycznej wszechmocy, państwo nowożytnie, pod względem zależności od wierzycieli, stoi absolutnie jak każdy prywatny, który pożyczka. Czy ci państwowi wierzyciele się nazywają Rotschildem, *Crédit Lyonnais* czy podobnie, rzecz w gruncie ta sama — ci pożyczający nietylko na to ryzykują swe fundusze, by od nich procenta dostać, bo by takie same, a może i większe dostali od prywatnych, ale i na to i głównie na to pożyczają, by mieć na dany rząd wpływ, który im nietylko i inne korzystne operacye ułatwia, ale sam z siebie jako potęga jest tem, czego każdy prawie z ludzi pragnie, gdy ma chleba powszedniego do przesytu. Wiadomo nie od dziś, że rynek pieniężny jest, i to na całym świecie, owładnięty przez Żydów, a ślepy kto mniema, że się Izrael pieniądzem jako celem ostatecznym kontentuje — ideał jego, to potęga. Stąd ten ścisły związek żydów z wolnomularstwem i z socjalizmem. Mularstwo i żydowstwo mają jednego wspólnego potężnego wroga: chrześcijaństwo, i do jego zniszczenia jedno z drugim wspólnie dąży. Naturalnie że koryfeusz tak W. Wschodu, jako i *Alliance israélite* wiedzą do brze o tem, że żydowstwo i masonia to nie jedno, i przewidują chwilę, gdy po zburzeniu Kościoła (bo jeszcze nadziei w to nie stracili) o owoc zwycięstwa albo jedno drugie oszukać, albo się nawzajem rozprawić o panowanie nad światem wypadnie; ale do tego daleko; na dziś razem wypada iść przeciwko temu, o którym mówił Ferry: *Le cléricalisme, voilà l'ennemi*. Tym to sposobem powszechna służba wojskowa, przeciwna prawu natury, czyli zakonowi odwiecznemu Bóżemu, w ostatnich swych wynikach prowadzi do przewagi żydowskiej, która żadnym sposobem społeczeństwu chrześcijańskiemu na korzyść wyjść nie może.

Nie myślę bynajmniej tem, com powyżej powiedział, występować przeciwko ogólnemu obowiązkowi służby wojskowej w tem lub owem państwie — byłoby to zresztą całkiem daremne, bo wobec żelaznej konieczności, żadne, nawet najmędrze argumenta się nie ostoja. Innemi słowy czytelnik o rozumie praktycznym powie: „To jest ładne, ale platoniczne, zresztą niezbyt nowe rozumowanie, bez dalszej doniosłości“.

Platoniczne rozmyślenia powoli, często bardzo powoli, do praktycznych prowadzą skutków. Wypada i indywidualom i państwowi przed oczy podsuwać skutki gwałcenia praw natury, wypada i należy walczyć legalnie, ale choćby całymi pokoleniami za nie. Na nic się nie zda pocieszanie się tem, że wojny będą coraz rzadsze, bo coraz kosztowniejsze i okropniejsze. Wszak widzimy, co wart pokój dzisiejszy, co warte życie dzisiejsze, które ma wprawdzie zaspokojenie wszystkich potrzeb, a nawet zachceń ludzkich więcej niż dawniejsze, ale nie zna materyalnie najważniejszej, to jest spokoju, bo zapomina lub uznawać nie chce ani znosić pęt praw Bożych.

X. X.

NOWE KSIĄZKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego“.

Sprawozdanie c. k. Rady szkolnej krajowej o stanie szkół średnich galicyjskich w roku szkolnym 1902/3. (Odbitka ze Sprawozdania c. k. Rady szkolnej krajowej o stanie wychowania publicznego w roku szkolnym 1902/3). (We Lwowie, nakładem c. k. Rady szkolnej krajowej, 1903, str. 28).

Idea demokratyczna i jej krytycy w Rzeczypospolitej. Uwagi i notatki. Zebrał Michał Tyszkiewicz. (Kraków, nakładem autora, skład główny w Księgarni G. Gebethnera i Sp., 1904, str. 180).

Stefan Żeromski: *Aryman mści się. Godzina.* (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., 1904, str. 84).

Dzieje Polski. Przystępnie a obrazowo przedstawił Julian Baczyński. W dwóch tomach z ilustracyami. Tom I. (Poznań, nakładem Karola Kozłowskiego, 1904, str. 336).

Der Briefwechsel zwischen Teodor Storm und Gottfried Keller. Herausgegeben und erläutert von Albert Köster. (Berlin, verlag von Gebrüder Paetel, 1904, str. 236).

Mieczysław Pawlikowski: *Pseudo. Plotki i prawdy.* Wydane przez pseudonima. Wydanie nowe, poprzędzone wstępem Tadeusza Romanowicza (z portretem autora). (Lwów, nakładem Księgarni H. Altenberga, 1904, str. 263).

D. Mereżkowski: *Leon Tołstoj i Dostojewski jako ludzie.* (Lwów, 1904, Polskie Towarzystwo nakładowe, str. 246).

Książę Jerzy Wołkoński: *Pogląd na obecne położenie Rosyi. Polityka zewnetrzna Rosyi. Konieczność reform wewnetrznych.* „Sobór Ziemski“ i Konstytucya. (Lwów, 1904, Polskie Towarzystwo nakładowe, str. 85).

Pogląd na sprawę polską wobec wojny rosyjsko-japońskiej. Napisał Jerzy Moszyński. Odbitka z „Głosu Narodu“. (Kraków, nakładem autora, Drukarnia W. Korneckiego, 1904, str. 26).

Marya Raczyńska: *Listy prababki (1832 — 1836).* Pole Raclawickie. — Listy prababki. — Za te najbiedniejsze. — Wieroczek. — Pieśń o ciszy. — Księżniczka Elżbieta. — Kwiat grzechu. (Kraków, nakład G. Gebethnera i Sp., 1904, str. 156).

Prof. Dr. Antoni Menger: *Nowa nauka o państwie.* Przekład z upoważnienia autora. (Lwów, 1904, Polskie Towarzystwo nakładowe, str. 371).

Andrzej Towiański. Dwa odczyty. Napisał Andrzej Baumfeld. (Lwów, 1904, nakładem „Odrodzenia“. Drukarnia Udziałowa, ul. Lindego 8, str. 35).

X. Władysław Sarna: *Biskupi przemyscy obrządku łacińskiego.* Część I. 1375 — 1624. (Przemysł, drukiem Józefa Styfięgo, nakładem redakcyi „Kroniki dyecezyi przemyskiej“, 1903, str. 254).

Geschichte der Deutschen Literatur von Adolf Bartels. In zwei Bänden. Sechstes bis zehntes Tausend. Dritte und vierte Auflage. Erster Band: *Die ältere Literatur.* Zweiter Band: *Die neuere Literatur.* (Eduard Avenarius, Leipzig, 1905, 8-0, str. XII, 687 i VI, 720).

Ut mine Stromtid. Von Fritz Reuter. Hochdeutsche Ausgabe von Otto Heidmüller. (Wismar, Hinstorff'sche Hofbuchhandlung, 1904, 8-0, str. X i 656).

Erste Reihe der Davidsbündler-Schriften. *Das neue Drama,* von Alfred Kerr. (Berlin, 1905, S. Fischer, Verlag, 8-0, str. XIII i 312).

Der Graf von Charolais. Ein Trauerspiel von Richard Beer-Hofmann. (Berlin, 1905, S. Fischer, Verlag, 8-0, str. 264).

Anton Ohorn: *Die Brüder von St. Bernhard.* Schauspiel in 5 Aufzügen. (Vita. Deutsches Verlagshaus, Berlin, 8-0, str. 96).

Die Siebzehnjährigen. Schauspiel in vier Aufzügen von Max Dreyer. Dritte Auflage. (Stuttgart und Leipzig, Deutsche Verlags-Anstalt, 1904, 8-0, str. 118).

August Langmesser: *Conrad Ferdinand Meyer.* Sein Leben, seine Werke und sein Nachlass. (Berlin, 1905, Verlag von Wiegandt & Grieben, 8-0, str. VIII i 536).

Deutsche Lyrik seit dem Ausgange der klassischen bis zur neuesten Zeit. Für den Schulgebrauch ausgewählt und herausgegeben von Dr. Ernst Wasserzieher. (Leipzig, Max Hesses Verlag, 8-0, str. XVI i 321).

Deutsche Oden. Ausgewählt von Hans Bethge. (Leipzig, Max Hesse, Verlag, 8-0, str. 77).

Fritz Reuters Leben und Schaffen, von Dr. Carl Friedrich Müller. Mit 5 Bildnissen und neun Abbildungen sowie einem Briefe als Handschriftprobe. (Leipzig, Max Hesses Verlag, 8-0, str. 160).

Briefwechsel zwischen Goethe und Zelter in den Jahren 1799 bis 1832. Mit Einleitung und Erläuterungen herausgegeben von Prof. Dr. Ludwig Geiger. Erster Band: 1799 — 1818. Zweiter Band: 1819 — 1827. Dritter Band: 1828 — 1832. (Leipzig, Verlag von Philipp Reclam jun., 8-0, str. 597, 571, 638).

ROSYA¹⁾.

I.

Wielkie wypadki historyczne, gotujące się na dalekim wschodzie, zwracają uwagę całego świata. Jakaś fatalność dziejowa pcha Rosyę bez przerwy do coraz większego rozszerzania swych dzierżaw, już i tak niepomiernie wielkich, a nadto nawet dla najdalszych sąsiadów groźnych; nie dla nich jednak tylko, bo dla całej ludzkości. Wpływy innych narodów, innych organizmów politycznych — boć historia składa się z ciągłego ścierania się tych rozmaitych żywiołów — wcielają się w instytucje społeczne, w wyższą kulturę, w prądy chwilowe, które, zgubne czy zbawienne, powolne przeobrażenie ludzkości (w mniemaniu naszym ku lepszemu) za sobą pociągają. Rosya niewątpliwie odgrywa w tej robocie swą rolę — inaczej być nie może — samym swym ciężarem, liczbą swych mieszkańców, wrodzonymi zdolnościami rasy. Przyjrzyjmy się jednakże: jaką? Przedewszystkiem bardzo małą i nieznaczną w stosunku do swej wielkości, swych obszarów, wielkiej potęgi, którą przedstawia. To jednak może z czasem uleść zmianie, i może być, że Rosya, w polityce zagranicznej bardzo czynna, wyjdzie kiedyś ze stanu bierności, w jakim się dotąd pod względem społecznym i kulturalnym znajdowała.

¹⁾ Pisząc te uwagi o narodzie i społeczeństwie rosyjskiem, unikaliśmy z umysłu stosunku Rosyi do narodu polskiego, uważając, że by to mogło wpłynąć na słuszność i przedmiotowość naszego sądu.

Samym Rosyanom o zbytńie oddziaływanie na Europę nie chodzi. Tyle razy przez najbardziej wpływowe organy swej prasy głosili się jako państwo azyatyckie, oświadczeni się z pogardą dla cywilizacji zachodu, urzędzenia swe we wnętrzne ceniąc jako szczyt mądrości, że byle ich materyalnej potędze i ciągłym nabytkom zewnętrznym na drodze nie stawać, kwestya jakości ich wpływu obchodzi ich nie wiele. To też jeżeli się zastanowimy nad wartością moralną, jaką przedstawia społeczność rosyjska, musimy dojść do wniosku, że głównie raczej ujemne przedstawia strony.

Całe narody już dzisiaj, jak za czasów wędrówki narodów, nie migrują; jeśli zdobędą inną ziemię, a słabszy szczep ujarzmią, to swój wpływ dają mu uczuć przez swój rząd, język, wyznanie, wreszcie obyczaj w najszerszem znaczeniu, który jako produkt historyczny w danem pleńieniu się ustalił. Innych wpływów społeczno-politycznych nie znamy.

Dla prawowitego Rosyanina jego rząd i wyznanie zdają się być tak wielkimi skarbami, że naród, któremi go obdarzają, powinien im być wdzięczny za przypuszczenie go do powszechności rosyjskiej; że narzucają mu swój język i o to gniewać się nie powinien. Co do obyczajaju, to jeśli jakibądź błysk intelligencji przebił grubą skorupę, jaka na nim w skutek tyluwiekowego ucisku i despotyzmu urosła, nawet Rosyanin musi przyznać, że tenże dodatnio i zbawczo działać nie może, ale w każdym narodzie i społeczeństwie, które zła dola rzuci pod stopę rosyjską, tylko rozkładowo i zgubnie skutkować będzie.

O wyznaniu mówić nie zamierzamy, bo by to za daleko zaprowadziło, krótkie zaś uwagi, które przedmiotowi temu poświęcić możemy, do innego odkładamy miejsca. Zastanawiając się atoli nad rządem, to pytamy co Rosya może dać podbitym przez siebie pleńiom? Swoje czynownictwo, swoje przekupstwo i wewnętrzną korupcyę, swoją bezwzględność i okrucieństwo w postępowaniu. Nie to bowiem jest kamieniem probierczym rządu, jak sobie z podbitym postępuje wrogiem, mniejsza o to, skąd nieprzyjaźń i wojna wyrosła. Pod tym względem historia przedstawia nam zawsze te same przykłady; podbój, nałożenie swej woli, wprzegnięcie do jarzma obcego; bez ucisku i gwałtu, bez wszelakich

wojnom takim towarzyszących nieprawości obyć się nie może. Zazwyczaj też mimo ustania przelewu krwi i rzeczywistej walki, ucisk trwa dalej, a często nawet staje się dokuczliwszym, tylko że wobec mniejszej lub większej wartości ple-mienia podbijającego można przypuścić, że się dla strony podbitej zdoła wytworzyć znośny, ludzki, wyjątkowo, nawet szczęśliwy byt społeczno-polityczny. Wymaga to zazwyczaj długich czasu okresów. Przykłady, w którychby plemię podbijające uszanowało w zupełności zwyczaje, tradycje cywilizacyjne plemienia podbitego zalety, uszanowało wręcz i za-raz, tak, by nowi poddani uczyli odrazu opiekę życzliwego rządu, nadzwyczaj są rzadkie. Tak uczynił najszlachetniejszy szczerp Ostrogotów względem Rzymian na półwyspie włoskim; o ile nam jednak wiadomo, przykład podobny raz drugi w hi-storyi się nie powtórzył.

Częściej już się zdarzy powolne poddanie się i zlanie waleczących plemion, z których jedno utraciło swój byt poli-tyczny, w jednolitą całość, ale wymaga to ze strony zwy-cięzcy umiarkowania, sprawiedliwości, rozumu politycznego. Niezbędnym wszakże podobnego skutku warunkiem jest, by szczerp zwycięzki miał historią nabyte, przyrodzeniem z nim związane pierwiastki wyższej kultury, zdolne przyswoić, przy-sposobić niejako niższą względnie naturę podbitego ple-mienia. Na to jednakże strona zwycięzka na własnym narodzie szkołę dobrych rządów przechodzić winna. Dlatego też wra-cając się do naczelnej naszej uwagi, kamieniem probierczym dobrego rządu będzie sposób długoletnią wyrobiony praktyką, jak z własnymi się obchodził poddany.

Rząd który ostatnich zadowolnił, ludzkie im warunki bytu zapewnił, obok potęgi, sławy i siły na zewnątrz, nie zaniedbał najpierwszych każdego członka danego społeczeń-stwa potrzeb i wymagań; taki rząd jeżeli historyczny bieg wypadków wychodzący po za ludzkie przewidzenia, skłoni go do podboju, może dać pewne jakkolwiek rękojmie, że w ob-chodzeniu się z nowymi poddanymi, tych samych zasad, ro-zumem i sprawiedliwością wskazanych trzymać się będzie.

Jeżeli atoli rząd przez długie wieki własnych podda-nych ciemniżył, jeśli dla zewnętrznej potęgi i blasku wszel-kie inne względy poświęcił, jeżeli o nic nie dbał, jak o roz-

szerzanie granic państwa i własnego wpływu, a rdzeń swego narodu uważał tylko jako narzędzie do urzeczywistnienia swej przemocy, to jakże on z podbitymi szczepami postępować będzie? W takim razie prócz okrucieństwa i srogości niczego innego spodziewać się po nim nie można; nieubłażana logika faktów i historyi tę, a nie inną mu wskaże drogę i biada nieszczęśliwym, których pod swoje berło zagarnął. Takim niewątpliwym, ośmio mniej więcej wiekowem istnieniem stwierdzonym przykładem, jest rząd rosyjski. Nie ma intelligentnego Rosyanina, któryby tego nie przyznał. Musimy tu jednak zrobić pewne zastrzeżenie. Rosyan intelligentnych jest moc bardzo wielka; pod względem przyrodzonych zdolności bodaj czy nie górują oni nad innymi narodami, ale ilu między nimi się znajdzie ludzi dobrej wiary, to inne pytanie. Nie jeden przyzna, wielu ubolewa, ale ilu jest takich, którzy to czynią szczerze? Sądźmy, że większa część w skrytości duszy zgadza się na gwałt i ucisk, byle potęga Rosyi na tem zyskała. Powiedział to dawno autor *Wieczorów pod lipą* z trafnością i prostotą, a głębokością jemu tylko właściwą, że naród rosyjski będzie lizał niezmiennie rękę która go katuje, póki ma przekonanie, że Rosya, caryzm i prawosławie rosna w potęgę¹⁾.

II

Czy i jak dalece się rzeczy pod tym względem zmieniły, na to odpowiedzieć stanowczo bardzo trudno i kto wie, czy nie jeden Rosyanin by się nie zawahał. Tem trudniej, że aczkolwiek wszystko pod jeden strychulee caratu, prawosławia i czynownictwa podciągnięto, który głowy (t. j. dusze) o wiele skuteczniej na milionach mil kwadratowych pościął,

¹⁾ Sybel: *Geschichte der Revolutionszeit*, t. II, str. 111 (wydanie czwarte, Frankfurt nad Menem, 1882), cytuje zdanie podróżnika niemieckiego z r. 1552, który mówi między innymi: „Zaiste ów naród więcej się rozkoszuje niewolą, niż wolnością“. To było za czasu naszych Zygmunatów, rozkwitu Odrodzenia we Włoszech, panowania Henryka IV we Francyi, a pełni Reformacyi w Niemczech!

niż Tarkwitiusz Superbus na setkach; to jednakże w ogromnych obszarach cesarstwa znajdują się bardzo wybitne różnice o dążnościach, potrzebach i pragnieniach, które w danym razie tę jednolitą na pozór masę mogłyby w odmiennych popchnąć kierunkach. Prawdopodobnie jednak sądzić można, że w Rosyi na ogół zmieniło się jeszcze bardzo mało i że intelligentnych, jeżeli odejmiemy wszystko co z cerkwią, armią i czynownictwem jest związane, zatem, że procent ludzi niezależnych a myślących tak jest mały, że nie może wejść w rachubę jako dźwignia do poruszenia tak licznych tłumów, rozrzuconych na jeszcze większych stosunkowo obszarach.

Rzecz dziwna, ale bardzo zastanowienia godna, to ta szczególniejsza bierność, brak żywotności, jakiegoś rodzaju fatalizm, paraliżujący tak ogromną liczbę ludzi, który ciągle trzeba mieć na uwadze, nie chcąc w sądzie o tym kraju i narodzie w bardzo jaskrawe popaść błędy. Zdawałoby się, że pod tą olbrzymią powłoką życie krążyć przestało, a przecież krąży; wybucha tu i owdzie to namiętnością, to rozpaczą, ba nawet szlachetnością; zwykle bardzo gwałtownie bez względu na w oczy bijące niebezpieczeństwo i najgorsze skutki. Z natury rzeczy takie wybuchy są rzadsze; z powodu za wielkich rozległości niejako samoistne i bez organicznego między sobą związku, tem samem też dla władzy rządowej o wiele mniej, niż na zachodzie niebezpieczne. Dlatego też ruch rewolucyjny taki, jak n. p. we Francyi, w Rosyi jest wykluczonym. Mogą być przewroty, nie wątpimy, że do nich przyjdzie, ale że będą miały charakter wprost odmienny, zgoła nieprzewidziany, do tego wniosku po dojrzałej rozwadze każdy dojść musi.

Tutaj zaś niech nam będzie wolno wtrącić uwagę, która zdaniem naszym doniosłe ma znaczenie, a w sądach i pracach o tej kwestyi, nawet najlepszych, zupełnem bywa po-niniętą milczeniem. Oto czy rosyjscy pisarze, czy zagraniczni, nawet i polscy, bez wyjątku winę wszystkiego złego co się dzieje w tym kraju, zwalają na cerkiew, na samodzierżawie, na czynownictwo.

Zapatrywanie takie nie może być ani słusznem, ani sprawiedliwem. Że ogromna wina spada na dopiero co wspom-

niane czynniki nie ma pytania, mimo to jednak niepodobna, dlatego że mają one przeważające znaczenie, pominąć zupełnie samego narodu i tem samem od wszelkiej odpowiedzialności go uwolnić. Wszak te żywioły z łona narodu wyszły i od tyłu wieków wzajemnie na siebie oddziaływają. Jeżeli więc tak źle się dzieje, jeżeli rozgoryczenie i niezadowolnienie powszechne w Rosyi panuje, toć i sam naród po części temu winien. Można co najwięcej powiedzieć, że kiedy rząd i złączone z nim żywioły działają czynnie i pozytywnie, naród grzeszy negatywnie przez opieszałość, lenistwo, ciemnotę, ślepe ubóstwianie potęgi, a pogardę dla zachodniej kultury i społecznych urządzeń.

Często się słyszy, iż chcąc ocenić i sądzić słusznie naród rosyjski, należy od niego oddzielić czynownictwo i takowe zupełnie na bok odłożyć. Że wiele w tem prawdy, zaprzeczyć się nie da; chodzi tylko o to, czy to jest możliwe. Każdy naród ma podstawę przyrodzoną, której głównym czynnikiem, fundamentem jego bytu, jest rasa. Obok tego atoli przybywają dzieje, wojny, podboje, przewroty społeczne i polityczne, najrozmaitsze z jego społeczeństwem związane sprawy, które mu powoli, z biegiem długich lat, a nawet wieków, nadają odrębny charakter, mocą którego od innych się odróżnia narodów; wszystko to zaś razem wzięte stanowi jego historję. Z tych części składniczych, które stopniowo, często nieznacznie i niewidzialnie koło bytu narodowego się krystalizują, jedne są bardzo ważne, inne uboczne; pierwszych skutki na długie lata czuć się dają, reszta podlega codziennym zmianom i przeobrażeniom. W pierwszych uwydatniają się cechy, które odróżniają go bardzo wyraźnie od innych narodów i które, mówiąc po ludzku i mając doczesność spraw ludzkich na względzie są niezatarte, inne są wspólne każdej społeczności i w równym stopniu z lekkimi odmianami wszędzie się znachodzą. — Otóż każdy zapewne przyzna, że forma rządu, którą naród pewien u siebie ustalił, jest właśnie jednym z najważniejszych czynników, a nie pomoże zarzut, że mu tę formę narzucono i że jej się biernie poddać musiał, bo to w tym razie nie prawda. Może jedynie być prawdą w razie podboju, ależ tu zachodzi wyraźnie przeciwieństwo; Rosya bowiem podbijała bez ustanku, podbojom

zaś mniej ulegała, niż jakiegokolwiek państwo w historii. Pokazuje się więc, że sam szczepek nadzwyczajnie był podatnym materiałem do przyjęcia formy rządu samowładnej, despotycznej, ściśle od samego początku z biurokracją związanej. Formie takiej, z potwornych bizanckich wzorów przejętej, poddał się od razu i bezwarunkowo. Próby zaś wyłamania się z pod nich, aż do naszych czasów, tak były nikłe i marne, że historycznie w rachubę wchodzić nie mogą. Częste, peryodycznie wracające się bunty, rewolucye pałacowe, mordowanie carów, bunty kozaków, lub opozycya niezliczonych sekt, to ukąszenia muchy na ciele rosyjskiem. Widać że sam naród cierpliwie, może nawet chętnie znosi jarzmo, że mu w niem dobrze, skoro na zrucenie go nigdy prawdziwego, wielkiego nie uczynił wysiłku. Nie wątpimy, że w ogromnej większości narodu takie przeważają uczucia i wcale się dziwić nie można, że proste rozumowanie ludu doprowadza go do wniosku, że skoro matka Rosya od lat tysiąca nigdy ronać nie przestała, rządy, mimo że osobniki na nich cierpią, dla całości muszą być najlepsze i najzbawienniejsze. Tem się też tłómaczy niezaprzeczony a głęboki, nieco mistyczny patryotyzm rosyjski, tem stałość i nieodmienność kierunku, mocą których to społeczeństwo stawia niewzruszoną zaporę wobec ustawicznych ewolucyj ludzkości na zachodzie się odbywających i że w tem społeczeństwie od szeregu wieków tak mało co się zmieniło.

Możnaby mniemać, że między bojarem a muzykiem z czasów Iwana Groźnego, między dyplomata Katarzyny a majtkiem z pod Oczakowa. których uniwersalną sprawność podziwiał w swoim czasie ks. de Ligne¹⁾, między dzisiejszym „szczygłem“ petersburskim, redaktorem wielkiego dziennika, bogatym kupcem moskiewskim a ciemnym popem na wsi, niema właściwie wielkiej różnicy. Wszystko ściśnięte w jedną żelazną modłę celem uciskania ludzkości, swojej czy podbitej, byle wszystko swoim szło porządkiem, byle się nie zmienilo i byle się nikt nie ważył obce żywioły do tego na wiekach dziejów wyrosłego organizmu wprowadzać.

¹⁾ *Lettres et pensées du Maréchal prince de Ligne*, p. 50 (Paris, 1809).

III.

W Rosyi to jest szczególnem, że kiedy u innych narodów upadek i zwyrodnienie rasy doprowadziły do skupienia w jednym ręku władzy duchownej i świeckiej, jak właśnie było w Bizancyum, to u nich od samego zawiązku, od samego historycznego powstania państwa ten związek nieszczęsny został wprowadzony i stanowi jakoby jeden ze składniczych żywiołów tego rządu, któremu się naród i społeczeństwo rosyjskie poddały. Nie jest to więc rząd historycznie z życia narodowego wyrosły, ale dobrowolnie żywcem przyjęty, i jako taki najgorszy; tylko ogromnemi skąd inąd narodowo-politycznemi przymiotami tego ludu da się wytłómaczyć, że od tylu wieków istnieje i dziś jeszcze stoi bardzo silnie, a rzekome aspiracye do jego obalenia, czy powątpiewanie o jego trwałości, prostem są złudzeniem. Z tego też pochodzi ta właściwość nie tylko serca, ale głowy rosyjskiej, tak dziwna swą odrębnością, że w ciągu rozumowania z Rosyaninem staje się wobec zagadek i tak zgoła niespodziewanych wniosków, iż przeciąganie zamiany myśli staje się niemożliwem i co chwila urywać się musi. Nie, jakoby ten Rosyanin był mniej pojętnym i sprytnym, i owszem, pod względem uzdolnienia z pewnością w pierwszym rządzie stanąć może, ale dlatego że z urodzenia przyjęły się w nim i rozwinęły pewne zapatrywania, których się nigdy nie pozbędzie i które jako nieprzebyta zaporą pomiędzy nim a przeciętnym Europejczykiem stoją. Dlatego też sądzimy, że Rosyanie z cywilizacją i życiem zachodniem nie połączą się nigdy; gdzie ten rząd i ten naród istnieje, tam się kończy kultura, jak ją na zachodzie pojmujemy.

Koleje i telegrafy, tramwaje, czy nawet balony, lub jakiegokolwiek choćby najbardziej wyszukane, zewnętrzne postępowego życia ekonomicznego oznaki nikomu myślącemu oczów nie zamydlą; co więcej uniwersytety, szkoły, biblioteki, starania o oświatę i tak zwaną *gumannost* (przypominamy zdumiewające usiłowania celem rozpowszechnienia tanich wydań klasyków starożytnych) nie zdejmą bielma, którem własny rząd ich duszę zaraził. Pozostaje produkt rosyjski, czyli

moskiewski (choć tego wyrażenia, które, jak mówią Rosyanom, jest antypatyczne, unikamy), ale bynajmniej ani ruski, ani słowiański. To też rdzenny Rosyanin może być klasycznie wykształconym, głównymi językami nowożytnymi tak będzie mówił, że się jego narodowości nie dosłucha; będzie rozprawiał o wszystkich i najnowszych wiedzy i postępu nabytkach (gruntownej jednak wiedzy, za wyłączeniem nauk przyrodniczych, nie spotka); wszystko to wszakże będzie piękną, płycej czy głębiej sięgającą powłoką, która jednakże tylko w rzadkich wyjątkach do jego prawdziwej istoty przeniknie. Nie będzie przecie mimo to wszystkim człowiekiem kulturalnym, bo niema prawdziwego pojęcia o wolności, o godności natury ludzkiej, o tych warunkach duszy i sumienia, które ją od wszelkich ziemskich i doczesnych względów czynią niezawislemi. Stąd pochodzi ta dziwna sprzeczność, którą tak często, zwłaszcza w najwyższych, najbardziej oglądanych ich społeczeństwa warstwach znajdujemy; złudzące pozory cywilizacji, z których nagle w sposób rzecz można zastraszający, wyłania się zupełny barbarzyńiec. — Być może, iż wielu Rosyan to widzi i nad tem ubolewa, a do poprawy tych rdzennych wad narodowych (które ogromna większość za drogocenne uważa przymioty) dąży. Przykłady muszą być bardzo rzadkie, wnosząc z niedojrzałych prawie owoców i skutków. Są wszakże i wtedy nadzwyczaj świetne, ale tak wyniosłe, tak wyjątkowe, tak do naśladowania trudne, lub zgoła niemożliwe, że w skutek tego tracą na swej społecznej wartości ¹⁾.

¹⁾ Bardzo ciekawe pod tym względem są pisma i prace społeczne Nepluyewa, o których można dokładną i gruntowną powziąć wiadomość z książki przez tegoż autora ostatniemi czasy wydanej. (*La confrérie ouvrière et ses écoles*. Paris, Alcan, 1900). Warto ją przeczytać, a nawet przestudyować, taka z niej wieje szlachetność, mądrość, krótko mówiąc doskonałość. A dodać należy, że nie są to puste słowa i piękne jakoby na pokaz doktryny, ale że to wszystko wykonano i w życie wprowadzono z poświęceniem zupełnem pracy, czasu i mienia; ma się rozumieć że tylko na małą skalę, nie sięgającą po za osobiste usiłowania. Oprócz pewnych zboczeń, na które się ze względu na naszą wiarę nie zgadzamy, na wszystko się podpisać

Po za tem jednak wyższa racya stanu była w Rosyi zawsze nieublaganą. Historia nas uczy i o tem dobrze wiemy, że względy ludzkości przed polityką zaboreczą i wojnami podbojowymi zawsze ustępować musiały. Karol W. czy Rudobrody, Filip piękny, Ludwik XIV, rewolucya i Napoleon, w dniach naszych Anglicy i Niemcy w Afryce, to wszystko są krwawe drogowaskazy ambicyi, chciwości, niepoohamowanej żądy władzy i przewagi nad ludźmi. Były tu w grze jednakże najrozmaitsze sprawy, ciągle z ościennemi narody stosunki. Mimo zatargów, zbrodni i przewrotności, których środkowa Europa, a zwłaszcza Apeniński półwysep bezustanną były widownią, kultura szła naprzód, literatura i sztuka najbujniejszym wykwitwały życiem, co chwila łagodząc rozhuwane namiętności ludzkich wybryki, nie wspominając wcale, co najważniejsze, o zbawiennym a nieustającym Kościoła wpływie. Bijąc się i gwałcąc między sobą, narody zachodniej Europy czuły się przecież jakby spojeni niewidzialnym łańcuchem jakiejś wspólnej myśli, dążącej nieświadomie do czegoś lepszego i wyższego, czuły jakowas między sobą solidarność. Rosya atoli stała odosobniona; mało kto o niej wiedział, ale była; silna i potężna. Otoczona najdzikszemi żywiołami, jakie po wędrowce narodów na wschodzie pozostały, od początku swej historyi ocierała się i ucierała z plemionami tak wrogimi i do kultury wszelkiej niepodatnemi, że dziś po tysiącu latach, barbarzyńskich i koczowniczych żywiołów pozbyć się nie mogły. Przyjąwszy chrześcijaństwo bezpośrednio ze strony Bizancyum i zwyrodnionego wschodniego kościoła, nie przyjęli od nich nawet ówczesnej prerafinowanej kultury, ale jedynie dumę, pogardę dla wszyst-

można. Jednakże zasady tamże wyluszczone tak są wyrafinowane, takiej doskonałości a wszelakiego zaparcia się wymagają, że nie sądzimy, iżby po za ciasną sferę wykroczyć mogły i że po za regułą zakonną i przywiązaniami do niej nadprzyrodzone łaski, na dłuższą metę przetrwać nie mogą. Zresztą jeśli porównamy wyluszczone tamże zasady, to musimy dojść do wniosku, że one z pierwotnemi regułami zakonnemi niemal się równają i zgadzają w zupełności z doktryną, które w listach apostołskich, a mianowicie św. Pawła, jako niewzruszona modła postawionemi zostały.

kiego co obce, ubóstwianie władzy. Zaszczepiając w nią to, co z natury od niej rozdzielonem być powinno; wierzenia, pewną nieomylność, jakiś nadprzyrodzony początek, który wprowadzie do władzy jako pojęcia się odnosi, ale z władzą poszczególną, pojedynczą, a z natury rzeczy przemijającą nie wspólnego mieć nie może, skrzywili w swym zarodku to, co powinno być duszą każdego narodu, przystania w niebezpieczeństwie, kotwicą nadziei, jego ruch żywotny, słowem jego rząd, raczej ideę rządu bez względu na to w jaką formę, w jakie zewnętrzne kształty się wcielił. Z tych żywiołów historycznie i etycznie najgorszych powstał carat; prawosławie i czynownictwo, które na wzór niesłychanie rozwiniętej hierarchii bizantyńskiej (*dignitates*) od samego początku jakby siecią opłotły olbrzymie przestrzenie i na wzór potwornej trójcy nad całym imperyem zawisły. W tę władzę uzbrojeni, jeśli coraz nowe strefy zagarniać, coraz to nowe plemiona podbić. Że zaś ze samym rdzeniem barbarzyństwa, niemającego weale, jak środkowo-azyatyckie plemiona, jeśli nie samą to szczątki i tradycje dawnej kultury się potykały, przejmowały od nich tę samą surowość, dzikość, wrogość; podbiwszy zaś te plemiona, zaprawiali się na własnych poddanych do tych obyczajów, aż z biegiem wieków wyrosły z tego system i tradycya, od której rząd rosyjski do naszych dni ani pięćdziesiąt nie odstąpił. Na tem zależy ogromna różnica między Rosyą a resztą Europy, że co tam było wybrykiem, dłużej lub krócej trwającym wyuzdaniem, to w Rosyi przeszło w obyczaj i niezachwianą a konsekwentną tradycję, tradycję wcieloną w systematyczne i celowe nadużywanie władzy. Tylko to może tłumaczyć, że Rosyanie do dni naszych nie znają żadnych pośrednich wpływania na umysł i wolę ludzką sposobów; znają tylko bezpośredni gwałt i ten stosują zawsze i wszędzie, gdzie są górą.

IV.

A w tem dalsza historyczna, głębiej sięgająca różnica. Natura ludzkości ma za warunek swego bytu, według naszego zdania przez wolę Boską postanowioną — zależność. Zależność

raz od tej najwyższej woli, powtóre od koniecznych praw przyrody, których ostatnim wyrazem jest śmierć, wreszcie zależność od woli ludzi wyjątkowych. Sama ze siebie ludzkość nie nie robi; musi ją ktoś popchnąć. Temi narzędziami ruchów politycznych, społecznych i narodowych są ludzie, skupiający w sobie ducha i dążności swego czasu. Tak było zawsze w historii, która też bezmiennie koło wielkich nazwisk się krystalizuje. Zdawałoby się, że inaczej być nie może. Rosya jednak i pod tym względem wyjątek stanowi.

W Rosyi tłumy, lud i motłoch, czy jakim innem nazwiskiem oznaczymy niestosunkową zgoła tego narodu wielkość, swojego rodzaju ma bytowanie. Zaznacza się mianowicie, rozszerza bezustannie, innym odbiera możność życia i oddychania. Ale kto nią kieruje? Wszak liczba ludzi znakomitych Rosyan w jakimkolwiek względzie, w stosunku do innych narodów na naszej szczególniejszej półkuli, tak śmiesznie jest małą, że głęboką może wywołać zadumę, dlaczego z tego mrowiska ludzkiego tak rzadko wyrastają poloty, umysły, charaktery, mogące czarem woli, wpływu, osobistości, wedle potrzeby poruszać większością. Że Rosya miała liczbę, wcale umiarkowaną wszakże, niepospolitych monarchów, że Iwan Groźny i Piotr W. w Rosyi, że Katarzyna w Europie swój czas rozumem i wolą przerastali, nikt nie wątpi; wielkich wodzów, mężów stanu, uczonych czy pisarzy w obszernem tego słowa znaczeniu, słowem tych umysłów wybranych, które swe piętno na wiekach wyciskają, miała bardzo mało. Mimo tego niewątpliwym i bardzo znacznym faktorem w dziejach ludzkości pozostaje.

Nie chodzi nam o wytłómaczenie tego zjawiska, zaznaczamy jego istnienie. Co atoli wytłómaczyć można, to, że tego rodzaju materiał dla minimalnej liczby kierujących będzie nadzwyczaj podatnym, pójdzie za impulsem w skutek biegu wieków ustalonym, w niezmiennej tradycyi moc żywiołową czerpiącym.

Według tego cośmy dopiero co wyluszczyli, ten impuls nie może być ani dobrym, ani zycznym i zbawiennym; przede wszystkim zaś ma jeden grzech pierworodny o to, że się zgoła z wolnością ludzką nie liczy. Ten dar najszlachejniejszy z naturą ludzką, jako na podobieństwo Boże stwo-

rzoną, nierozzerwalnym węzłem połączony, dla kierowników społeczeństwa rosyjskiego nie istnieje. Wiemy bardzo dobrze, iż ten pierwiastek istoty ludzkiej peryodycznie w historii przez rozmaite rządy wielkrotnie bywał skażonym; że tak samo peryodycznie się ludzkość o swoje prawa upominała; ale nie było wcale potrzeba rewolucyi francuskiej i *Deklaracyi praw człowieka*, by mu tę jego przedwieczną prerogatywę przypomnieć; w niezliczonych bowiem tekstach nowego zakonu znajdujemy stwierdzenie tego przyrodzonego prawa. Logiczną zaś konsekwencyą, niejako zewnętrznem wciele niem tego prawa, jest indywidualizm. Na niego Zbawiciel w nowym zakonie, na niego bezpośredni Jego uczniowie i apostołowie najsilniejszy kładą nacisk i w tem przewrotowa między światem pogańskim a chrześcijańskim różnica. Otóż ten właśnie indywidualizm jest solą w oku rządu rosyjskiego; to jest wróg, nad którym bezustannie cziwać należy. Co tylko wybuja, co tylko śmie głowę nad poziom podnieść, bez miłosierdzia należy przydusić. Tak Rosya do naszych dni (nie mówię już z nami), ale z rdzennymi poddanymi postępuje. Liczne kaźnie rosyjskie jakoby nie innemu celowi służą.

Zadziwiająca to rzecz w historii ludzkości, że ten dar człowieka, wolność wyboru i postanowienia, będący treścią jego duszy i nieomylnym znakiem i granicą między nim a resztą przyrody, tak często był gnębiony i poniewierany, że o niego się do naszych dni ustawiczne zapasy toczą. Narody chrześcijańskie tylko bardzo wolno, po długich walkach do wolności dochodziły, trudno więc przypuścić, by w Rosyi ta chwila w przybliżonym nastąpiła czasie. Nie mówiąc o ludzie i duchowieństwie, to nawet ogromna część intelligencyi do caratu całą duszą jest przywiązana, innej formy rządu nie rozumie i według naszego mniemania, do innej jeszcze zdolną nie jest. Przy tej zaś formie, gdzie wszystko zależy od przypadkowych darów, zdolności, cnot i przymiotów panującego i gdzie akcja na ciągle narażoną jest przerwy, sprawa wolności wymagająca ciągłości, czujności i pracy, nie mówię rozwiązana, nawet rozpoczętą być nie może. Rządy despotyczne, w wykonaniu bardzo łatwe i proste, nietylko dla rządzących, nawet dla rządzonych, stają się bardzo zno-

śne. Człowiek się powoli do nich przyzwyczaja, gnuśniej, a brzydka jego natury strona nieznacznie bierze górę. Utrzymanie własnej godności, przynależnych sobie praw, upomnienie się o krzywdę, wszystko to wymaga ustawicznej walki, pewnego naprężenia. Jak się ludzie od tego odzwyczajają, to im bardzo z tem dobrze, ale jak drogo tę wygodę okupić muszą! niema bowiem gwałtu, dzikości, samowoli, na którąby co chwila nie byli narażeni. Tak się w Rosyi działo zawsze, tak się naprawdę dzieje dzisiaj, niech nam Rosyanin w dobrej wierze odpowie, czy przesadzamy.

Dlatego też na cały liberalizm rosyjski, całą prasę i belletrystykę, literaturę naukowo-socyalną, tak marną w stosunku do zachodniej, z wielkim patrzymy sceptycyzmem. Dobrej wierze i chęciom nie zaprzeczamy, ale przeczymy skuteczności i sile.

Obecna forma rządu z wolnością się nie zgodzi; carat bowiem uosabia swawolę, te dwa pojęcia się zatem logicznie wykluczają. Możliwy sobie przy bardzo wysokiej i starej, surowo swe obowiązki pojmującej dynastji, w której długi poczet panujących nie byłby krwawymi rodzinnymi dramatami przerwany, wystawić carat jako zbawienną, zwłaszcza dla tego społeczeństwa formę. Otóż uie mówiąc o tem, że nam historia Rosyi wprost odmienny obraz przedstawia, to carat pociągnął niestety za sobą czynownictwo, utwór specjalnie rosyjski, przechodzący każdą biurokracyę w jej najgorszych przywarach, a stanowiący prawdziwy rak tego społeczeństwa.

Bardzo liczne, niezmiernie rozgałęzione, rosnące w samowolę w odwrotnym stosunku do wysokości stopnia i władzy; głodne, chciwe, okrutne i przedajne demoralizuje ono własny naród i społeczeństwo w sposób zastraszający, bo niema najgłębszego życia rodzinnego tajnika, do którego by nie przypelzło.

Naród rosyjski tak samo jak inne do rozwoju przyrodzonych swych zalet jest zdolnym; dziś jednakże po sześciu co najmniej wiekach takich rządów, na wartości utracił bardzo wiele, a poziom etyczny w społeczeństwie bardzo się obniżyć musiał.

Rzeczywiście tak jest. Sądźmy, że osobnik zasługujący w kulturalnem społeczeństwie na przerytą nazwę porządnego człowieka, taki co nie skłamię, dotrzyma słowa, dochowa tajemnicy, nie cieszy się z cudzego nieszczęścia i szkody, w społeczeństwie rosyjskiem rzadkim jest okazem. Dziwnem jest, jak ta paskudna wada nieżyczliwości, uciechy ze szkody bliźniego u Rosyan jest rozpowszechnioną. Niedługi pobyt w świecie kupieckim, ale zwłaszcza czynowniczym, wystarcza, by się o tem przekonać; powodem zaś tego jest znowu szczególniejsza społeczeństwa tego organizacya, do żadnej innej niepodobna, w której indywidualność znika wobec zasady. Otóż zasadą jest, że car właściwie może rozporządzać życiem i mieniem, wolnością i sławą każdego poddanego. Dowodzić zbyteczne, iż takie wszechwładztwo człowieka w praktyce nie jest wykonalnem, choć wielu było carów, mających o tem niewzruszone przekonanie; należy jednak pomyśleć, jakie ta zasada pociąga za sobą skutki; oto że ta moc i przewaga człowieka nad drugim, potworna, nieprawa, niechrześcijańska, schodząc od szczytu przenika wszystkie warstwy i dopiero się kończy tam, gdzie już niema nad kim swej samowoli wykonywać. Każdy mogący być pochwycony w szpony tej wszechmocy, ma znów drugiego, niższego od siebie, któremu dać może uczuć swą przewagę i tak dalej, tylko że naturalnie liczba muszących się jej poddać zwiększa się w miarę, jak się zwiększa liczba ciemieńców, a dodać trzeba, że apel, obrona przeciw bezprawiu, w Rosyi niezmiernie jest trudną, najczęściej niepodobną.

Ponieważ tedy każdy czuje nad sobą takiego, który go za kołnierz pochwycić może, a niewiadomo gdzie są granice jego władzy, że ta uzasadniona obawa z dołu do góry i na odwrót, jak rodzaj złego powietrza społeczeństwo przenika, rzecz prosta, że każdemu na rękę, jeśli temu, który bezpośrednio może być jego wrogiem, noga się powinie, spotka co złego, w skutek czego i mniej silnym i mniej szkodliwym wobec zagrożonego się stanie. Można sobie wystawić jaki w następstwie ferment złej woli między ludźmi się wyradza i na jak okropny szwank miłość bliźniego jest narażoną. Nie potrzeba zaś być filozofem lub socyologiem, albo statystą, by wiedzieć, że jedyną dźwignią i narzędziem prawdziwego

postępu nie może być co innego, jak dobra wola między ludźmi.

Bardzo dobrymi ludźmi nie są i nigdy nimi nie byli. Przewrotności, chęci dokuczania, chęci nadużycia władzy nie brakło między nimi nigdy. Nie twierdzimy też wcale, by naród i społeczeństwo rosyjskie ze samej natury miało być gorszem od innych i przeciw takiemu pojmowaniu rzeczy, jako wprost niesprawiedliwemu, zastrzegamy się jak najsilniej; niestety jednak nie widzimy, by w innych krajach istniały urządzenia, machina administracyjna do wyrabiania i potęgowania złych między ludźmi skłonności i dlatego społeczeństwo to wydaje nam się bardziej niemoralnem, bardziej od innych niechrześcijańskiem i że w niem, póki się od tych niecnych więzów nie wyzwoli, prawdziwa kultura i cywilizacja się nie rozwinie.

V.

Nie przeczymy wcale, by natura Rosyanina miała być niezdolną do poświęcenia; choćby w swym patriotyzmie bardzo liczne i niezbite dali tego dowody, ale w nim jednym; po za nim jestto rola, której dziewczęta niemal żyzność uznajemy, ale owoców tej skiby nie widać i trzeba niestety stwierdzić, że od wieków odlogiem leży i tak mianowicie się dzieje odnośnie do kobiety rosyjskiej. Obecny ruch kobiecey ogarniający obie półkule, w Rosyi jak na ogół tylko w ujemny objawił się sposób; a przecież kobieta, czy dziś czy dawniej, kiedy o tej społecznej ewolucyi jeszcze mowy nie było, w każdym społeczeństwie była nieomylnym wagomiarem zdolności i wpływu na to, co stanowi jędrną społeczeństwa wartość. Gdzie, ile razy o miłosierdzie czynne chodziło, kobiety stanowiły zawsze dzwignię najdzielniejszą, pomoc rzeczywistą, praktyczną; w lot chwytały hasła, rozumieją i z dziwną się orientują łatwością w tem co się od nich wymaga. Mężnie w cierpieniu własnem, czule wobec cudzego, dają codziennie przykłady poświęcenia, na które patrzeć potrzeba, by im uwierzyć. Najpiękniejszymi kwiatami tego ducha są zgromadzenia zakonne, wyłącznie ulżeniu doli cierpiącej ludzkości

poświęcone; tu i ówdzie zaś w miarę biegu wieków, postacie wspaniałe, świecące takim urokiem i blaskiem, że robią wrażenie znaków otuchy, rękojmi pociechy, by ludzi wobec złości, smutku, a nieprawości tego świata uchronić od rozpacz i zwątpienia. Sądę, że każdy bezstronny choćby innowierca przyzna, że to spotęgowanie ideału kobiecego, stworzenie dla niej atmosfery, w której swe przyrodzone dary w całej pełni rozwinać może, jest właściwością Kościoła katolickiego.

Dalecy od ciasnego i stronniczego poglądu, uznajemy chętnie i bez zastrzeżeń wszelką pracę społeczną dla bliźnich poświęconą, której kobiety do innych należące wyznań się podjęły. Musimy przecież stwierdzić, że pierwowzory bez wyjątku wyszły z łona Kościoła katolickiego; co zaś do liczby wszelkich instytucyj i zakładów, to co w obrębie innych wyznań powstało, nie może w żadne iść porównanie z ogromnym zastępem, jaki Kościół na pole walki z cierpieniem wyprowadzić może.

Pragniemy pisać bezstronnie, bez jakiegokolwiek niechęci, ale sądzymy, że kobiety rosyjskie w dziełach miłosierdzia, poświęcenia, czynnej dla bliźniego pomocy, w akcyi społecznej, w której tak ogromne dla jej kobiecej pracy, przenikliwości, zręczności, pole otworem stoi, pozostały daleko w tyle i chyba między niewiastami cywilizowanego świata bardzo poślednie zajmują miejsce. Gwałtowne w zmysłowości, nieokiełznane w temperamencie, przytem zimne w sercu, obrachowane, nie dające się żadnym gorętszym afektem z równowagi wyprowadzić i pozostające paniami swej woli, przedstawia większość kobiet rosyjskich dość wierne odbicie pierwowzoru, który im Katarzyna II postawiła. Wielkość, niezrównany rozum imperatorowej między innymi i w tem się objawił, że dla kobiet swego narodu i społeczeństwa pozostawiła typ, choć ujemny ze stanowiska chrześcijańskiego, ze stanowiska politycznego, zważywszy ogromny wpływ kobiety w rodzinie, bardzo doniosły, a dla potęgi Rosyi wcale nieobojętny¹⁾. Nie wątpimy że w życiu zewnętrznem narodu

¹⁾ Kobiety rosyjskie, które głównie zagranicą zasłynęły rozumem i cnotami, a niepoślednią pamięć po sobie zоста-

wywierają one wpływ bardzo znaczny; w dziedzinie zaś życia wewnętrznego, skupienia, a zwłaszcza miłosierdzia, stanowiącego królestwo niepodzielne kobiet innych krajów, podrzędne zajmują stanowisko. Dowodem tego brak instytucji stanowiących w dziedzinie wychowania, a zwłaszcza miłosierdzia tak znakomitą dźwignią społeczną. Istnieją wprawdzie, boć każdemu wiadomo, że tak nazwa, jak rzecz, wschodniemu Kościołowi swój początek zawdzięczają, ale między tym ostatnim a prawosławiem rosyjskiem różnica ogromna i wszystko się w nim skaziło; próżna więc w prawosławiu szukać tych dobrodziejstw dla ludzkości, które choćby w jednej instytucji sióstr miłosierdzia się wcieliły.

Czy tak było od samego początku twierdzić nie śmiemy, mamy jednak wrażenie, że dzisiaj Rosyanin wobec niedoli ludzkiej zachowuje się na ogół obojętnie. Ani się temu dziwić, ani się zbytnio tem gorszyć niema przyczyny. Od tylu wieków patrzy na całą sromotę okrucieństwa i ciemnienia bliźniego, znęcania się nad ludzką niedolą, pomiatania godnością i sumieniem bliźniego, deptania tego, co mu najdroższem, że uczucia ludzkie musiały się u Rosyanina przytępić i z tego wiekowego ucisku i zatracenia szlachetnych stron serca i duszy dźwignąć się nie może.

W rzeczywistości miłosierdzie chrześcijańskie nabrało u Rosyan odmiennego charakteru, niemającego z tym najszlachetniejszym żywiołem nic wspólnego. Jest ono albo urzędowem, albo z prozelityzmem dla panującego w Rosyi wyznania połączonem. Co tylko pochodzi ze sfer najwyższych, a zatem z dworu, to naturalnie wobec środków niemal bezgranicznych bardzo wielkie przybiera rozmiary, tak co do samych uczynków, jak co do ludzi, garnących się ze wszelką skwapliwością do wszystkiego, czem dworowi chwilowo przypodobać się można. Jeżeli więc dwór daje inicjatywę do akcji miłosierdzia, datki, pomoc osobista i materyalna przybierają na wyścigi. Nie można też przeczyć, że rozmaite do celu tego skierowane działania na ogromną skalę przedsięwziętami zostały; datki jednak na ten cel po części tylko

wiły, prawie wszystkie przeszły na łono Kościoła katolickiego.

były dobrowolne, nakazanych zaś, jak n. p. podatek od biletów kolei żelaznych na rzecz czerwonego krzyża, na karb miłosierdzia policzyć nie można. Co innego jednak środki i zasoby, co innego użycie i rozdzielenie takowych, czyli praktyczne miłosierdzia skutki, a tu dopiero się okazuje do czego dane społeczeństwo jest zdolnem. Pod tym względem rosyjskie poniosło na całej linii dotkliwą porażkę. Ile przesady lub zlej woli być może w potopie zarzutów, które instytucyom miłosierdzia publicznego w Rosyi uczyniono, trudno dociekać. To pewna, że sami Rosyanie na bezczelne marnowanie i kradzieże funduszków, które jakoby dziewicze i nieskalane, powinny stanowić nienaruszalny klejnot każdego społeczeństwa, nie raz i dziesięć się uskarżali, straciwszy tak dalece zaufanie do wszystkiego, co choć z daleka organami rządowemi czy dworskiemi pachnie, że dalszych środków i zasobów, tylko pod warunkiem własnego zarządu dostarczać postanowili. Sama litość, same współzucie choćby najtkliwsze z losem bliźniego, to jeszcze nie miłosierdzie. Ono wymaga zasady, ciągłości, organizacyi na dalszą metę, na dewszystko zaś wykonawców gorliwych a nieposzlakowanych. Tych zaś ostatnich społeczeństwu rosyjskiemu brak zupełny.

Widzieliśmy jednak prawdziwe działanie i poświęcenie, niestety tylko w razie gdy chodziło o to, by miłosierdzie było skutecznem na rzecz prozelityzmu do prawosławia narzędziem. Właśnie na kresach, właśnie w Królestwie Polskiem i na granicach Litwy, tam, gdzie nieszczęśliwi unicy w swych zapasach męczeńskich dogorywali, można się przekonać o wyzyskiwaniu nędzy włościanina, by go przynętą opieki, wszelkiej materyalnej pomocy do wyrzeczenia się wiary i przejścia na łono urzędowego pociągnąć kościoła. Uznajemy, że w tych razach kobiety i mężczyźni, urzędnicy i popi aż nadto gorliwości okazują. Wielka zręczność, namowa, bardzo podobny język, blizkie pokrewieństwo cerkwi, której różnicę kapitalną chłop instynktowo czuje, boć krew za nią przelewał, ale rozumem sobie sprawy z niej dać nie może, to wielkie warunki powodzenia, gdy chodzi o zyskanie nowych dla prawosławia członków. Co to ma z prawdziwem miłosierdziem wspólnego, niech osądzi oświecony a bezstronny Rosyanin.

Serce się krwawi, a dusza oburza na podobną robotę i złą wiarę, a dziwić się nawet wypada, że cerkwi prawosławnej, że samemu rządowi może tak dalece o to chodzić, by na tej drodze wątpliwy bardzo przybytek zyskać dla urzędowego kościoła. Pod tym jednak względem sama tegoż natura, sam polityczny jego charakter wszystko nam tłómaczy. Tak samo jak zagraniczne królowne czy księżniczki wchodzące z panującą dynastją rosyjską w związki małżeńskie, muszą zmieniać wyznanie, byle tylko formie i zewnętrznemu obrzędowi zadość uczynić, tak i prosty chłop, gwałtem czy namową do prawosławia wpisany, ma tylko się wyrzec dawnej wiary i władzy, dawnego obrządku, by nierozzerwalnie z Kościołem prawosławnym się połączyć; o jego sumienie, o jego wierzenia i przekonania, o jego potrzeby duchowe nikt nie pyta. Ale jak raz do tego mistyczno-fatalnego koła się dostał, wtedy z wolnością sumienia niech raz na zawsze się pożegna i biada mu, gdyby choć najlżejszem usiłowaniem z pod tego jarzma wyłamać się usiłował.

Pod tym względem przyznać należy tak rządowi, jak cerkwi żelazną konsekwencyę, która bez względu na stan od najwyższych do najniższych, bez żadnej litości bywa stosowaną. Stanowi to ogromną, doczesną wprawdzie tylko prawosławia siłę, ale stanowi zarazem, o czem później będzie mowa, zarodek jego upadku.

Cożkolwiekbydź prawdziwego miłosierdzia, tej błogosławionej dziedziny, na której się wszystkie wyznania, wszystkie przekonania spotkać mogą, ani w narodzie rosyjskim, ani w cerkwi prawosławnej dopatrzeć się nie możemy.

VI.

Rosyanie przy całym swym sprycie, przenikliwości, obliczenia polityki zagranicznej na bardzo daleką metę, w sprawach wewnętrznych swego kraju i społeczeństwa mają jakoby bielmo na oczach. Nie mówimy tu wcale o rządzie w ścisłym znaczeniu, o czynownictwie i samowoli, lekko-myślności nie do uwierzenia, mocą której trwonią swoje własne zasoby, pozwalając ościennym, bardziej przedsiębiorczym

narodom się wyzyskiwać; pod tym względem sami oni przejechali od niedawna. Ale sami dzielni, bitni, w boju nieustraszeni, w sprawie z obcym wrogiem stoją wobec ran i niedomagań własnego społeczeństwa jakby niemocą tknięci. Mówimy tutaj o ich czysto rodzimej sprawie, o tej koszuli, która ich nagiego ciała dotyka i za przykład bierzemy jedną sprawę żydowską. — Wiadomo, że nigdzie tak się nie obawiają żydostwa, jak w Rosyi. Niechęć i odraza przed tym żywiołem tak jest rozpowszechnioną, że stanowi jakoby odrębną tego społeczeństwa cechę. Nie jest to bynajmniej antysemityzm spotykany na zachodzie; to instynktowny wstręt i strach, które się też w tem objawiają, że dotąd Żydzi w Rosyi nie doszli do równouprawnienia i najrozmaitszemi są krępowani przepisami administracyjnymi. Ma się rozumieć, że wobec powszechnej przedajności, wszystkie te przepisy istnieją na papierze i stanowią nieprzebraną dla czynownictwa złotodajną żyłę. Wystarczy niedługi pobyt w Warszawie, lub w jakim przemysłowym środowisku Rosyi, wystarczy przejechanie się kolejami Królestwa Polskiego, a choćby bliżej go dotykających gubernii Rosyi, by się przekonać, jak Żydzi tam są rozpanoszeni. Rosyanie dobrze to czują, nie na żart tem się niepokoją, a nie skutecznego przeciw temu nie przedsięwzięją, nie mogąc, czy nie śmiejąc na stanowczą obronę się zdobyć. Mieliby tymczasem najprostszy środek, by się raz od tej zmory wyzwolić, rozrost tej ogromnej a tak wrogiej potęgi, we własnym przynajmniej kraju na czas dłuższy powstrzymać. Chodziłoby po prostu o to, by Żydów zwolnić od służby wojskowej i przystęp do kadrów armii raz na zawsze im zamknąć. Wtedy Żydzi nie placąc podatku krwi, nie mogliby oczywiście używać tych samych praw obywatelskich, zwłaszcza, że honor, bitność, poświęcenie dla ojczyzny, najistotniejszymi są właśnie dla tych praw tytułami.

Zdawałoby się to tem bardziej wskazanem, że Żydzi są najgorszym materiałem wojskowym, że tysiącami sposobów od powinności wojskowej się uchylają, że waleczność w boju od czasu bohaterskich zapasów Machabeuszowych, wyczerpała się u nich ze szczętem. Że ani jednemu mężowi stanu Rosyi ta myśl nie przyszła, a jeżeli tak, że jej nie

śmiały wypowiedzieć, to dla nas jest niewytłómaczoną zagadką. Na nieszczęście w Rosyi najmędrsza i najzbawieniejsza, powiemy więcej prawdziwie szlachetna myśl, spotka się z tą wewnętrzną korupcją, której niezliczone sprężyny tamują wyższe jednostek zamiary.

Że Rosyanie wydali ze siebie w naszych czasach, od pół wieku z górą, szereg niepospolitych pisarzy, samoistnych, śmiałych, rzecz można zuchwałych, którzy w literaturze świata zajmą niepoślednie miejsce, na to patrzymy, a częstokroć podziwiamy ich styl, obrazowość, niezwykle dowcip. Tem więcej to podnieść należy, iż od Puszkina do Tołstoja, aczkolwiek ze strony własnego społeczeństwa powszechnego doświadczeni uwielbienia, to u rządu innego nie mieli poparcia, krom niechęci, niedowierzania, a nawet wprost prześladowania. Rosyanie o swych pisarzach aż nadto trzymają wysoko, ale oceniając ich literacką sławę zamykają na to oczy, że ich piśmiennictwo ma charakter rozkładowy. Że tak jest, to znowu wina rządu. Tamując wszelki swobodny objaw myśli od tyłu wieków, myśli, która się nigdy w zupełności skrupować nie da, doprowadza do tego, że się ta myśl nie objawia powoli, cywilizując ludność i przenikając stopniowo masy, ale wybucha gwałtownie, zniemacka i w skutek tego idzie od razu do ostateczności. Toteż nigdzie takiej nie spotykamy przesady w dążnościach i środkach, jak w rosyjskiem piśmiennictwie. Mając talent niejako dziewiczy, a język już bardzo wyrobiony i jako narzędzie objawu myśli ludzkiej bardzo podatny, wpływ na swoje społeczeństwo wywierają ogromny, nawet rzecz można, w ostatnich czasach rozciągający się na ościenne kraje, patrzące z podziwem na to zgoła nowe budzące się życie. Z tem wszystkim jednak dla dalej widzącego zbawionego na własny kraj i naród wpływu nie mają.

W Rosyi istnieje tylko carat i prawosławie; usunąwszy jedno i drugie, nie pozostaje nic i ten ogrom ludzi i przestrzeni pozostaje bez żadnego drogowskazu, bez myśli przewodniej, poruszający się samopas, jak rzeka zmiatająca brzegi. Jeżeli piśmiennictwo rosyjskie ma jaki świadomy cel, bo aż dotąd innego prócz instynktowego dopatrzeć się w niem nie umiemy, to zniszczenie tego w ich mniemaniu odwiecznego

wroga, który jednakże chwilowo ma swą rację bytu, bo na miejsce tej formy i według naszego sądu zgubnej i przeżytej, nie innego postawić nie umieli.

Walcząc zacięcie przeciw niemu, nie widzą, że podkopują wszelką wiarę, wszelkie tradycje. Szydząc z tego, co rząd i tłumy uważają dotąd za święte palladium, zakładają miny pod wszystko, co stanowiło dotąd potęgę ich kraju. Jeżeli tedy rząd przeciwko nim występuje, nie można tego kłaść jedynie na karb złej woli, wygórowanego egoizmu i zazdrosnego strzeżenia swej władzy. O zagranicznej polityce rządu rosyjskiego tylko jedno może być zdanie, t. j. podziwu, tak przewrotności, ale zarazem mistrzostwa w przewidywaniu. Choćbyśmy jednak najbardziej potępiali ich politykę wewnętrzną, to przecież ci kierownicy muszą mieć jakieś w sztuce rządzenia doświadczenie, a to ich uczy, że droga obrona przez piśmiennictwo rosyjskie do zbawienia kraju nie prowadzi i że na ten ruch przez nich wywołany obojętnie patrzeć nie można.

Same władze, jak rozmaite czynownictwa organy, zapewne się nie mogą oprzeć urokowi tych niepospolitych mistrzów i artystów pióra (w ich rodzimym języku musi on być nieporównany), ale muszą widzieć gwałt jaki nie tylko rządowi, ale własnemu zadają społeczeństwu. Zwalczając bowiem carat i prawosławie, a to na swój sposób, narażają na szwank wielkie przymioty narodowe; posłuch wobec władzy, przywiązanie do wiary i obyczaju. Każdy rozsądny przyzna, że są to rzeczywiste i gruntowne przymioty, którym to państwo niezachwiany dotąd swój byt polityczny zawdzięcza. Z własnej pamięci i z opowiadania starszych stwierdzamy w społeczeństwie rosyjskim wyraźną zmianę na gorsze. Dobrodusność sławiańska, której i między Rosyanami zaprzeczać nie chcemy, ucierpiała bardzo wiele, ucierpiała więcej poszanowanie dla obrządków i wiary, które nawet wobec *inaostrannyh*, oczywiście przeważnie katolików, niejednokrotnie się zaznaczył). Mamy n. p. przekonanie, że temu lat kilkadziesiąt rząd nie byłby przedsięwziął branki w same święto Bożego Narodzenia, jak to dopiero co miało miejsce i że trzeba dopiero było pewnego rodzaju przygotowania społeczeństwa, by Tolstoj śmiał w taki sposób przeciw caratowi

i prawosławiu występować, jak to w ostatnich mianowicie pismach czyni, a to w chwili dla jego ojczyzny tak bardzo groźnej, w nieprzewidziane brzemiennie następstwa. Tolstojowi do Goethego daleko, ale żeby Goethe w czasie swej najwyższej potęgi i znaczenia w ten sposób przeciw własnej ojczyźnie i rządowi był stanął, można twierdzić, że tak rząd, jak naród, byłby go jednogłośnie potępił. Tymczasem Tolstoj pisze bezustannie, z otwartą przyłbicą, ani myśli się ukrywać i patrzymy na bezprzykładne zjawisko, że w państwie najwyższego despotyzmu, tak politycznego, jak religijnego, może mieszkać, swobodnie żyć człowiek, podający w pogardę i poniewierkę to, co właśnie to państwo za podwaliny bytu swego uważa.

Choćbyśmy nie wiem jak pisarzy rosyjskich podziwiali, nam robią wrażenie dzieci igrających narzędziem, do wysokiego stopnia przez się wydoskonalonem i zaostrzonem, bez żadnego względu, że niem tak wroga, jak przyjaciela, na śmierć porazić mogą.

Nie wątpimy o patryotyzmie pisarzy rosyjskich, ale droga przez nich obrona nie tylko że niebezpieczna i wątpliwa, ale do tego ciasna i jednostronna. Zarzut podobny może się na pierwszy rzut oka wydać rażącym, a u koryfeuszów piśmiennictwa rosyjskiego wywołałby z pewnością osłupienie. Tak jednak nie jest. Encyklopedyści, cała plejada pisarzy poprzedzających rewolucję francuską, tak samo i z równą namiętnością na wiarę chrześcijańską i dotychczasowe urzãdzenia społeczne nastawali, byli jednak przytem poparci ogromną nauką i rzec można stali na czele owocniejszej oświaty i wykształcenia w całej Europie. Literatura rosyjska naszej doby przyznawać sobie tego nie może. Jest talent wyjątkowy, skończone władanie piórem, gorącość i przyznajemy szczeróść uczucia; natomiast przy wielkiem rozpasaniu wyobraźni, brak nauki, metody, filozoficznego podkładu zupełny. Prócz tego zaś piśmiennictwo ich, bardzo niezależne i zamoistne, by nie rzec samowolne, stoi niepodzielnie i bez współzawodnictwa na jednym posterunku. Naprzeciw pisarzy zachodnio-europejskich, mianowicie francuskich XVIII wieku, z ich zgubnym i rozkładowym wpływem, stał ogromny zastęp kie-

runku przeciwnego, dorównywający, przewyższający ich częstokroć nauką, talentem i stylem.

Takiej przeciwwagi jednak w literaturze rosyjskiej szukać próżno; Pascala czy Bossueta, Leibnitza lub Monteskiusza, by tylko niektóre wymienić nazwiska, nie mają i nie mieli. Społeczeństwo ich zatem zawsze tą samą duchową strawą się karmi.

Literatura cerkiewna, pisma wysokiego polotu społecznego i pobożnego ducha, jak wspomnianego już Nieplujewa, bardzo nieliczne i z tą literaturą rosyjską, która dziś do europejskiego doszła znaczenia, mierzyć się nawet w drobnym stosunku nie może. Uczoność się wzmogła, na polu przyrodniczem, nie tylko postępem, ale nowemi zdobyczami naukowemi Rosyanie pochlubić się mogą. Z tem wszyskiem, nie mówiąc już o zwartym szeregu, jaki tylokrotnie na zachodzie widzieliśmy w rozmaitych, nawet w naszych tak zatomizowanych czasach, ale choćby pojedynczych pisarzy, zajmujących się poważnie, gruntownie, zbawiennie swym krajem, rządem, prawem, społeczeństwem, dopatrzeć nie możemy. Widzimy tylko krańcowe dążności. Albo anarchizm Tołstoja, albo uparte zacierzewienie w caracie i prawosławiu Pobiedonoscewa. Jestto błędne koło, z którego tylko jakieś nadzwyczajne przewroty, albo długi bieg czasu naród i społeczeństwo wyrwać mogą.

VII.

Że cerkiew rosyjska, czyli tak zwane prawosławie, wyzywa niejako do walki wszystko co w narodzie rosyjskim czuje i myśli, uważamy za tak konieczny i logiczny skutek, że się tylko dziwić wypada, iż to co się teraz dzieje i pisze, nie nastąpiło już dużo wcześniej. Wprawdzie bardzo liczne sekty, tworzące się peryodycznie w Rosyi, dowodzą ustawicznego niepokoju umysłów, szukających nadziei, otuchy, jakiegoś kierunku, którego we własnym nie znajdują Kościele. Mają one jednak bardzo drugorzędne znaczenie, a cerkiew stoi i zadziwia swą niespożytą siłą. Ślepe narodu przywiązanie, fanatyzm duchowieństwa i tłumów, nienawiść wzglę-

dem innych wyznań, głównie zaś przeciw żydostwu, a zwłaszcza katolicyzmowi, przedstawiających jedyne żywioty, z którymi się liczyć warto, tłumaczą zadziwiającą Kościoła prawosławnego odporność i siłę. Oczywiście, że głównym do tego warunkiem są pewne fundamentalne wierzenia, wszelkim chrześcijańskim wyznaniom wspólne, a które cerkiew jeszcze najhardziej do katolickiego zbliżają Kościoła.

Tutaj zaś miejsce zastanowić się nad ważną sprawą, t. j. stosunkiem rządu, czyli caratu, do prawosławia. Zgruntowanie tej kwestyi wymagałoby oczywiście bardzo długich studyów i rozpraw, możemy się więc tylko w krótkości i najpobieżniej nad nią zastanowić. Że stanowią one od wieków jednolitą całość, zbytecznie dowodzić, jak niemniej, że carat naturę cerkwi do gruntu skaził i przeistoczył. Z jednej strony popiera ją całą swą potęgą i wpływem, przy każdej sposobności oddając jej na pozór cześć niemal bałwochwaleczą. Niema ceremonii, ani wypadku od najdrobniejszych do najbardziej doniosłych, w którychby cerkiew nie była na pierwszym planie, tak dalece, że ten obyczaj życia państwowego przeniknął wszystkie warstwy, przeszedł na wszelkie życia narodowego objawy, że Rosyanin bez ustawicznego współdziałania cerkwi wystawić sobie wcale życia nie może. Z drugiej strony wiadomo, że ta cerkiew z całą swą potęgą pozostaje w rzeczywistości w zupełnej od caratu zależności, z którego nawet nigdy wyłamać się nie próbowała. Jest to żywa tradycya bizantyńska z biegiem czasu do ostatniej doprowadzona doskonałości.

Ten stosunek jednakże zawiera fałsz i kłamstwo i dlatego tylowiekowe jego istnienie, bez żadnych zmian i wstrząśnień, których tylokrotne przykłady widzieliśmy na zachodzie Europy, jest zjawiskiem jedynem w historii. Kłamstwo zaś i fałsz wyszły pierwotnie jedynie ze strony rządu i tylko powoli a nieznacznie na samą cerkiew się przeniosły; dzisiaj jednak jest ona niemi najzupełniej zarażona. Ztąd przymus, gwałtowny proselityzm bądź w bezpośrednim gwałcie znajdujący swój wyraz, bądź w tysiącznych sposobach, które rząd ma zawsze na zawołanie, ztąd potworne prawa, pociągające dotąd przejście z prawosławia na inne wyznanie pod ustawy kryminalne, albo zmuszające dzieci z małżeństw mię-

szanych do wychowania w prawosławiu. A to wszystko ustawy do tej chwili obowiązujące, surowiej od wszelkich innych przestrzegane. Co zaś najgorsze, to połączona z tem urzędowa niejako obłuda i hipokryzja.

Ileż razy słyszeliśmy w „najwyższych“ objawach woli caratu, jak w rozumowaniach urzędowych organów prasy głoszoną zasadę tolerancyi dla wszelkiego wyznania, a to jako fundamentalną w państwie rosyjskiem! ¹⁾). Jakże się augurowie rosyjsey muszą śmiać między sobą, gdy podobne redagują orędzia. Tam jednakże chodziło o wprost bałwochwalcze, barbarzyńskie lub śmieszne obrzędy, tutaj sprawa z chrześcijaństwem z najdroższymi człowieka dobrami. W tej dziedzinie kłamać, bezczelnie fałsz w ludzi wmawiać, niegodziwe praktyki osłaniać płaszczem rzetelności, szlachetności a prawdy, to znów niezwyklego potępienia godne; taką była jednak niezmienna, co najmniej od Piotra W. cerkwi prawosławnej tradycja, i wieczną jej klątwę będzie stanowić. Co znaczy zezwolenie na postawienie krzyża lub kościoła, na fundusz dla proboszcza lub szpitala, kiedy ten ksiadz jest jakby internowany we własnej parafii, na kilka wiorst bez paszportu ruszyć się nie może, by się z konfratrem porozumieć; kiedy od samowoli naczelnika powiatu zależy, czy się odpust odbędzie lub nie. Wszak do tej chwili obowiązuje ustawa, że każdemu poddanemu wolno za paszportem jeździć po całym imperyum, oprócz księży (oczywiście katolickich) i kryminalistów. Drakońskie prawa co do nietykalności prawosławia, co do niemożności przejścia na inne wyznanie bez narażenia się na skutki kryminalne, na jotę się nie zmieniły, a jakże często,

¹⁾ W Rosyi co tylko wychodzi z mrocznego caratu koła, zawsze jest „najwyższe“, przegląd, pochód, czy śniadanie; car zaś nie a nie robić nie może, ale tylko „raczy“; raczej nawet komunikować. Rzecz prosta i godziwa, a nawet potrzebna, że styl i mowa, gdy chodzi o najwyższe władze i reprezentacyę narodu, cesarza lub króla w monarchicznym ustroju państwa, mają uroczystą i niezwykłą formę: tak być powinno. Ale ten urzędowy styl rosyjski, ta przesada, mnożenie superlatywów, lub zgoła niedostosowanych do rzeczy przymiotników, sprawia odrazę swą ekliwością i pogardy godną uniżonością.

nie mówiąc o nas, względem samych Rosyan były stosowane. W Rosyi w ogóle nie i nigdy się nie zmienia. Prawa temu paręset lat wydane, pozostają w swej mocy. Mnożą się i rosną bezustannie ustawy, przepisy, najrozmaitszego rodzaju rozporządzenia; przepis jednak późniejszy bynajmniej nie odejmuje dawnemu mocy obowiązującej, czyli mówiąc językiem prawniczym, nowa ustawa nie abroguje poprzedniej. Tego niema i nie było nigdzie, jak sięga pamięć historii. Włosy się jeżą na głowie, gdy się pomyśli jakie konsekwencye z tak potwornej zasady wyciągnąć się dadzą i jakie rzeczywiście się wyciągają.

Wszak to w naszych dniach, w ostatnim miesiącu uwięziono misyyonarza, który dotarł do unitów, by tym biednym nieszczęśliwym okrucieństwa rosyjskiego ofiarom dostarczyć koniecznych i najniezbędniejszych środków i pociech religijnych; prowadzono przez całe miasto w kajdany okutego; zapewne dla groźby i odstraszenia. Wiadomo zaś dobrze, a rządowi najlepiej, że tam i cienia polityki, agitacji buntowniczej przeciw Rosyi być nie mogło; że nawet z podobnemi insynuacyami wobec unitów się odzywać byłoby niebezpiecznem; że cała sprawa unii była tak czystą, tak wyraźnie do wiary i wolności sumienia ograniczoną, do tego że ofiary prześladowane tak były słabe, wszelkiej materialnej siły i pomocy pozbawione, a co najważniejsza tak wszelkiemu fanatyzmowi obce, że miało to prześladowanie charakter zupełnie odrębny, nie dający się porównać z żadnem innem, chyba tylko z najpierwszem chrześcian prześladowaniem, kiedy chrześcianstwo, w obawie karni, tortur i śmierci, w podziemiach Rzymu nędzny, mało jeszcze komu znany prowadziło żywot. I dlatego to prześladowanie unii tak jest ohydne (kładąc zupełnie na bok okrucieństwa), tak sprośne, tak ubliżające godności ludzkiej samych prześladowców. A ten co je głównie wykonywał, czy wykonywać musiał, hr. Kotzebue, pierwszy po namiestniku Bergu generał-gubernator? Wszak to był protestant, liberal najczystszej wody, głoszący tolerancję jako zasadę społeczną, której każdy rząd sumiennie nawet we własnym interesie przestrzegać winien. Czyż jak mu nakazano bić i więzić, strzelać i katować, zastanowił się choć chwilę; czy zasady, które wyznawał i głosił, stanęły dę-

bem naprzeciw niecnym rozkazom? bynajmniej! Tego u czynownika rosyjskiego nie spotkać; żeby raczej dać dymisyę, wystawić się na złą u rządu notę, niż dać się użyć za narzędzie dla najpaskudniejszej sprawy; gdzież tam! byłoby to śmiesznem, wprost niedorzecznem. Rząd rozkazuje, ja słuchać muszę, cała odpowiedzialność na niego spada. U prawowitego Rosyanina ukaz rozwiązuje sumienie i w tem straszliwa tej organizacyi potęga, która równej sobie na całym świecie niema. Jakże wobec tego wyglądają bezustanne rządu enuncyacye o wolności, tolerancyi o tak zwanej „gumanności“ rosyjskiej. Umysł się wzdryga na tę bezdenność szalbierstwa, kłamstwa i hipokryzyi. Jeśli nam odpowiedzą, że rządy w politycznych widokach zawsze kłamały i kłamią, to działo się to niestety zawsze i wszędzie, ale jako wybryk, jako wyjątek, mniej lub więcej stosownie do epoki, potrzeby lub obyczaju, częstokroć zaś ustawało w zupełności. W Rosyi inaczej; w tem państwie jestto systemem, zasadą, nieubłaganą formą rządu, którą wieki wytwarzały, formą od której rząd tem mniej odstąpić niema przyczyny, że mu się w jej łonie wiodło doskonale, że potęga jego rośnie bez ustanku, a wpływ na epokę, ludzi, wszelkie ościenne kraje, ani przez chwilę nie osłabł, nie zmniejszył się w niczem. Jak silną i konsekwentną jest pod tym względem tradycya, tego najwybitniejszy w rządach Katarzyny przykład znajdujemy. Jakże ślicznie ona z filozofami, głównie z encyklopedystami francuskimi rozprawiała. Cała intelligencya europejska owego czasu u stóp jej leżała, urok jej był zgola wszechmocny, sławiono ją jako bożyszcze uosabiające wszystko, co tylko do szczęśliwości ludzkiej doprowadzić może. Wolter i Grimm, d’Alembert i Diderot, wszystko ją na wyścigi sławi, a podczas gdy ona najpiękniejsze, najwznioślejsze z niemi rozmowy prowadzi, podczas gdy wszystkich urokiem swej osobistości czaruje, wytwarza najspokojniej system piekielnego prześladowania religijnego, dając tym sposobem podstawę do wszystkiego co się do dni naszych dzieje i co się codziennie krwawemi kartami w historii rosyjskiej zapisuje. Dziwić się tylko wypada naiwności, a zaślepieniu tych ludzi, biorących to wszystko za dobrą monetę. Prawda, że im pochlebiali obcowanie osobiste z przedstawicielką najwięk-

szej w Europie potęgi, z najrozumniejszą z panujących, z którą tylko jeden Fryderyk mógł iść w zawody; prawda, że próżność mężczyzn wobec kobiety i to jeszcze jakiej, jest zgoła bezdenną, że mogli oni i materyalne z tego stosunku pobierać obrywki, przecież zastanowienia godnem, że nie przyszło żadnemu na myśl zajrzeć do odwrotnej medalu strony. Nawet książkę de Ligne¹⁾, tak świetny i trzeźwy, rozumny i uczciwy i on temu samemu nieprzewartemu uległ urokowi, nie mówiąc o biednym naszym Stanisławie!

VIII.

Wszechmoc wypadków może w Rosyi zmiany, albo raczej przewroty sprowadzić, ale zmiana zupełna, radykalna wiekowej organizacyi, która do tak olbrzymiej urosła potęgi, to zadanie zaledwie dziesiątków lat i pracy a poświęcenia znakomitych ludzi, których jednakże w Rosyi dopatrzeć się nie można.

Dziwna to rzecz, do pewnego stopnia tajemnicza, jak się powoli z rozmaitych żywiołów urabia produkt historyczny. Zakładają się bezwiednie niejako fundamenta, przybywają szkarpy, cegły i cegielki, z których historia dopiero z czasem sprawę sobie zdaje, nagle staje budowa, nie wiadomo skąd się wzięła; a właściwie dopiero gdy rysować się poczyna, poczynają rozważać jej składniki. Że one jednakże dodatnio czy ujemnie, ale decydująco na nią wpływają, wątpliwości ulegać nie może.

W naszym przekonaniu carat skaził cerkiew, a cerkiew skaziła naród i społeczeństwo. Pierwotna cerkiew przekształcona z gruntu na prawosławie, tak, że istotę swą zmieniła w zupełności, bardzo złowrogie musiała wyrzucić skutki, tem groźniejsze, że przywiązanie do niego nad przywiązaniem do caratu góruje i że to jest szkopał, o który się rozbijają usiłowania reformy. Przymioty rasy słowiańskiej pod wpływem cerkwi uległy zepsuciu. Między temi przymiotami dwa stoją na miejscu naczelnem: skłonność do tolerancyi i pewna do-

¹⁾ *Lettres et pensées*, p. 49, 53, 56 — 66; mianow. 79 *passim*.

broduszość, naturalna szlachetność serca, które, choćbyśmy własny naród chcieli sądzić jak najsurowiej (na szczerości zaś pod tym względem nam nie zbrakło ¹⁾), narodowi polskiemu przyznać musimy. Historia Ormian, żydostwa, historia reformy, pełne są niezbitych tolerancji dowodów. W jednym względzie nie dopisała, w stosunku do unitów i do cerkwi wschodniej. Tutaj popełniono błąd kapitalny nie do darowania, który się też straszliwie pomścił; nawet sobie podobnej nieudolności i krótkowidztwa politycznego tylko jakąś nieokreśloną obawą przed przemożnym wrogiem wytłumaczyć można.

Co do szlachetności i rycerskości, co do braku wszelkiego w polityce egoizmu, Polska jedynym w historii świecie przykładem. W polityce to jednak nie popłaca, a z naszej strony pociągnęło to za sobą fatalne błędy i jeszcze gorsze skutki. Korzystajmy z nauki, nie dawajmy się unosić niewczesnym zapałom i porywom, ale w sercu chowajmy tę szlachetność jako najdroższy klejnot po naszych królach i rycerzach, po naszym ludzie, po kmiotku i włościaninie polskim, w którym, porównywając go z innymi, upatrujemy najwięcej podkładu dla rozwoju prawdziwie ludzkich przymiotów.

Nie zarzucamy wcale Rosyanom, że za tym przykładem najbardziej kulturalnego ze szczepów słowiańskich nie poszli. Polityka ma swoje wymagania, od których pewien egoizm w narodzie jest nierozłączny. Zarzucamy im, że w tym względzie poszli za daleko i skazili własnego gniazda przymioty i enoty. Od jakich dwustu co najmniej lat polityka rosyjska weszła na tory nienaturalne, przeciwne rasie. Wzorując się na modłę germańską, a specyficzniej pruską, przejęła od nich system nienawiści, tępienia bezwzględego, braku wszelkiego wyrozumienia i litości, nad którymi nawet polityka do porządku dziennego przechodzić nie powinna.

A przecież ta zasada, zadająca kłam wszystkiemu, co jest najszlachetniejszego w naturze ludzkiej, praktykowana

¹⁾ Por. przedmowę do dzieła: *St. Josaphat et l'Église Grecque-unie en Pologne* par Dom Guépin. (Paris, 1874).

jest w polityce rosyjskiej bez żadnego pardonu i to nie tylko względem nas. Jak dawniej Tatarzy i reszta barbarzyńskich szczeptów, tak dzisiaj Armenia i cały Kaukaz, tak podatne do kultury prawdziwej rasy, przechodzą przez najsrozsze na żywym ciełe doświadczenia.

Cerkiew prawosławna szerząc nienawiść do innych wyznań, przedstawiając, chyba prócz jednego islamu, najwyższą zasadę nietolerancyi, szerzy tem samem nienawiść do innych narodów, dlatego tylko, że się oburącz wyznania swego trzymają. Duchowieństwo prawosławne, obdarzone ogromem przenikliwości i sprytu, bardzo dobrze wie, że o inne wyznania może być zupełnie spokojne, że jedynemi żywiołami, z którymi liczyć się warto, to żydostwo i katolicyzm i dlatego względem nich całą obawę i całą nienawiść skoncentrowała.

Pod tym zaś względem mamy sprawę nie z rządem, nie z czynownictwem, ale z narodem i społeczeństwem, z którymi się prawosławie w jedną całość zrosło i dlatego tak nadzwyczajną przedstawia siłę; skamieniałą (*la pétrification*, jak mówi de Maistre), ale w odporności niezrównaną.

Nie czujemy się powołanymi do wyrokowania, ile tam jest dobrej wiary, a gdzie leży granica pomiędzy nią a fałszem i hipokryzyą. Powszechnem jest mniemanie, że cała intelligencya rosyjska niezależna (czynownictwa jednak wyłączyć tu nie można, jako przedstawiającego spory tej inteligencyi zastęp), zewnętrzne obrzędy prawosławia uważa jako rzecz czysto formalną, jako zwyczaj, wreszcie jako zabobon niemający dostępu do duszy i serca ludności. Dzieje ostatniej doby piśmiennictwa rosyjskiego zdawałyby się za tem przemawiać. Powiadają również, iż lud na ogół (czemu zresztą nie wierzymy) żywi prawdziwą względem własnego duchowieństwa pogardę. Cóż my jednak na prawdę o tem wiemy? Sądzimy, że długoletni pobyt w bardzo rozmaitych obszarach Rosyi zaledwie starczy, by sprawiedliwy sąd o tem wydać. Ale to widzimy, że prawosławie, że idący za nim obyczaj religijny przenika to społeczeństwo od góry do dołu; widzimy atoli zarazem i pod tym względem sądzić nam wolno, że skutki tej ścisłej łączności wyznania z narodem są bez wyjątku niemal ujemne. Rany i niedomagania społeczeństwa rosyjskiego zanadto są jaskrawe, zanadto niebezpieczne; tak

samemu narodowi dały się we znaki, że wielu Rosyan z przeżeniem patrzy na okropne skutki, tak szybkie i piorunujące, że zaledwie uwierzyć można, że to, na co dzisiaj patrzymy, w przeciągu jednego roku stać się mogło. Stało się to zaś w skutek przeistoczenia przeciwnego naturze rasy, za szczepienia innych żywiołów, pierwotnemu organizmowi przeciwnych i nastąpił skutek zawsze taki sam: wady narodowe pozostały, ogromne a przyrodzone enoty narodu tak wielkiemu uległy zepsuciu, tak skrzętnie się ukryły, że ich tylko chyba w głębiach duszy Rosyanina szukać przychodzi.

Żeby nie ów najgłębszy, najpoufniejszy związek prawosławia z narodem, o którym wspomnieliśmy już kilkakrotnie, musielibyśmy czemu innemu przypisać obecny stan Rosyi; wobec niego stwierdzamy jeszcze raz, że ono ten odłam największy słowiańskiego szczepu zepsowało. Sądzimy, że Rosyanie mogliby z poetą naszym zawołać:

Bo narodu duch zatruty,
To dopiero bólów ból.

Być może, iż nie jeden Rosyanin się oburzy na to co mówimy, a wielu bardzo ruszy ramionami; nam się jednakże wydaje, że mówimy prawdę.

Co się w Rosyi w najbliższej przyszłości stanie, tego zapewne nikt przewidzieć nie zdoła, tem mniej, że wobec samorodnych a żywiołowych sił narodu, niejedna może się zdarzyć niespodzianka i że trudno uwierzyć w jakikolwiek normalny przebieg sprawy dla narodu rosyjskiego najważniejszej; a to dlatego, że niema zgoda z kim rokować, bo wszyscy są jakby w ciemię bici. Car i cała dynastia, potężny zastęp czynownictwa, ogromna część cerkwi¹⁾, będą bezwarunkowo za utrzymaniem dotychczasowego stanu rzeczy i wszelkimi siłami władzy swojej, rzecz można jedynej w państwie, bronić będą. Żeby zrozumieli obecne położenie, trudno się spodziewać z tej przyczyny, że do tej chwili przy-

¹⁾ Mówimy część, bo nam znane dążności do reformy (Nowa Put i t. d.). Żeby się one dostały do głębi duchowieństwa prawosławnego — nie wierzymy.

najmniej nie zjawił się w Rosyi odnośnie do spraw wewnętrznych prawdziwy mąż stanu. O ile w polityce zagranicznej przewidywali i zabiegali na bardzo dalekie, rzecz można wiekowe mety, i do zdumiewających doszli skutków, o tyle w sprawach wewnętrznych, czy to przez egoizm, czy lekko-myślność, czy w skutek wiekowego wprzęgnięcia w jarzmo samodzierżawia, zamykają oczy na powolne ale bardzo wyraźne przeobrażenia, którym i rosyjskie społeczeństwo, mimo swej *vis inertiae*, w końcu ulegnąć będzie musiało. Widać to doskonale z ostatnich enuncyacyj i manifestów rządowych. Zapowiada się szumnie reformy, uznaje ich potrzebę, nie szczędzi obietnic i najszczerzych rzekomo chęci, by naród i społeczeństwo uszczęśliwić; gdy przychodzi do wykonania cofa się drugą ręką, co się jedną dało. Niema żadnej myśli, ani planu przewodniego, tylko widoczna chwiejność w miarę, jak jeden lub drugi wpływ przeważa; pewnem jest tylko w sferach najwyższych chęć utrzymania jakimkolwiek sposobem samodzierżawia, z jego logiczną konsekwencyą przewagi czynownictwa; złowrogi zaś wpływ Pobiedonoscewa nie ustał na chwilę. Tymczasem ten ostatni, który temu lat kilka wydał bardzo ciekawą książkę pod skromnym między innymi tytułem *Pensées d'un homme d'état* ¹⁾, mężem stanu nie jest i nigdy nim nie był. Że jest człowiekiem niepospolitym przez swą pracę, zdolności, zwłaszcza zaś przez swój charakter i wolę, którą trzem z rzędu carom narzucić zdołał, i wpływ swój przez tak nadmiernie długi czas utrzymał, temu nikt przeczyć nie może. To jednak na męża stanu nie wystarcza. Przekonany (może i w dobrej wierze) o jakimś nadludzkim charakterze caratu i prawosławia i zacierzwiony w swej myśli, nie zważał na potrzeby danej chwili zmianami w społeczeństwie spowodowane i z nimi się nie liczył. Cechą zaś męża stanu jest stosowanie się do okoliczności i wyzyskanie ich dla dobra swej ojczyzny. Sądzimy, że sami Rosyanie pamięci jego raczej złorzeczyć, niż błogosławić będą. Zresztą dla ocenienia jego rzeczywistej wartości pamiętać należy, że w dotychczasowym ustroju państwa i rządu

¹⁾ Pobédonostzeff: *Questions religieuses, sociales et politiques, pensées d'un homme d'état.* (Paris, Baudry, 1897).

rosyjskiego, wystarczało wywarcie wpływu i opętanie nim bardzo małej liczby najwyższych osobistości, by cała maszyna w jednolitym poszła kierunku; tego bezsprzecznie dokonał, ale że nie na dobro swego kraju, o tem tak w Rosyi, jak zagranicą, chyba nikt nie wątpi, prócz tych wszystkich (czy-wiście, którym dotychczasowy stan rzeczy jak najbardziej dogadza.

Z tem wiąże się pytanie bardzo ciekawe, jakim jest usposobienie większości społeczeństwa rosyjskiego, chociażby nie liczebnie wziętej, ale ze względu na wartość, wpływ i kierunek decydujący, na któryby w danej chwili liczyć można. Że panuje powszechne niezadowolenie, które się peryodycznie w rozmaitych stronach tych ogromnych obszarów objawia, w sposób względnie spokojny, częściej wybuchający gwałtownie z charakterem rewolucyjno-nihilistycznym, to widzimy od lat kilkadziesiąt, głównie od kampanii krymskiej i śmierci Mikołaja I. Nie potrzeba dodawać, że takie działanie, jako czysto negatywne i przewrotowe, do reformy społeczno-państwowej nie doprowadzi. Aż dotąd nahażka, Sybir i rozmaite kaźnie rządowe trzymały te wybryki w korbach; na jak długo starczą te środki, zgodne z dotychczasowym systemem rządzenia, tego zgola nikt nie przewidzi. Zdawałoby się, że inicjatywę w kwestyi koniecznych reform rząd sam przedsięwzięmie, skoro nie tylko dozwolił, ale nawet poniekąd sam wywołał swobodne obrady ziemstw i publicznemu ogłoszeniu wyniku obrad i żądanych swobód się nie sprzeciwił. Pokazało się jednak niebawem z ukazu do senatu rządzącego (17/31 grudnia r. z.), że prawdziwe zamiary rządu od opinii i życzeń wyrażonych przez ziemstwa tak daleko odbiegają, a że sam ukaz tak dalece jest niejasnym, zagmatwanym, dającym tak obszerne pole do najrozmaitszych wybiegów, byleby upragnione reformy i nadzieje w niwecz obrócić, że każdemu się musi nasunąć pytanie dlaczego rząd w ogóle na obradowanie ziemstw się zgodził.

Zgromadzenie w stolicy reprezentantów najpoważniejszej w państwie instytucji, która już dowiodła, że z jakiegokolwiek samorządu w sprawach lokalnych dla dobra społeczeństwa korzystać umiała, zdawałoby się bardzo rozumną drogą, wskazówką, że rząd pragnie szczerze i w dobrej wie-

rze poznać potrzeby społeczeństwa i złemu skutecznie zaradzić. Stały temu na drodze trzy główne przeszkody. Przede wszystkim, że jak już obszernie tu wspomniano, rząd, a zatem główny jego organ, czyli czynownictwo, nie myśli bynajmniej ustąpić i władzy, zanim nastąpi zupełny w państwie przewrót, z rąk nie wypuści. Powtóre, bo żądania przez ziemstwa stawiane nie odpowiadają dojrzałości politycznej, jakiejby się ze strony tak poważnego ciała, przedstawiającego niejako wybór intelligencji rosyjskiej, spodziewać było można. Zgromadzenia składającego się przeważnie z ludzi zamożnych, nie mówimy konserwatystów, bo to wyraz i pojęcie, które się do stosunków rosyjskich nie nadaje, ale w każdym razie ludzi mających coś do stracenia, zasiedziały na ziemi, niechających i niemogących stawiać wszystkiego na jedną kartę. Wreszcie ludzie, którzy aczkolwiek w szczupłym zakresie powinni by być nabyć choć tyle w sztuce rządzenia biegłości, by wiedzieć, że tak daleko idące żądania stoją w prostym przeciwieństwie z tyłowiekową państwa i narodu tradycją, po za nagłym przewrotem jednym zamachem osiągnąć się nie dadzą, ale wymagają kilkudziesięcioletniej co najmniej, bardzo rozumnej, konsekwentnej i wyteźonej pracy, by bardzo powolnie i stopniowo naród i społeczeństwo przeobrazić. Przywoździć tu na przykład rewolucję francuską na nic się nie przyda. Raz bo Francya licząc do tego Gallo-Romańską, miała za sobą piętnastowiekową z górą kulturę; powtóre bo jak łatwo się przekonać z najznakomitszego w tym względzie dzieła Tocqueville'a, tak zwany *ancien régime* nosił w sobie w zarodku wszystko, co rewolucya rzekomo jednym zdobyła zamachem.

Tymczasem w Rosyi nie było kultury, nie było wolności, nie było nigdy reprezentacyi stanowej. Tak świeża zaś instytucya, jak ziemstwa rosyjskie, do czysto lokalnych, rzec można materyalnych spraw ograniczona, w rachubę wchodzić nie może. Jeżeliby sobie tedy postawić pytanie, czy rząd obecny rosyjski mógł się zgodzić na żądanie przez ziemstwa wyrażone, co więcej, czy choćby miał najlepszą ku temu wolę, mógł ją od razu w czyn wprowadzić, to dla każdego nieuprzedzonego odpowiedź wypaść musi przecząco, choćby dlatego, że w żaden sposób nie znajdzie w narodzie żywio-

łów i materiału do tak kolosalnego zadania niezbędnych. Ten zaś wzgląd naprowadza nas na ostatnią przeszkodę, która w każdym razie na dzisiaj nie pozwala się spodziewać gruntownych i daleko idących zmian, a tą jest brak zaufania do własnego społeczeństwa.

Na to by się w danem społeczeństwie rozwinięli ludzie do rządzenia zdolni, będący jeszcze czem innym nad ślepych wykonawców rozkazu, potrzeba szkoły; nie w znaczeniu zakładów wychowawczych, ale w szerszem znaczeniu pracy i atmosfery, gdzie się nabywa doświadczenia, znajomości warunków, koniecznych wymogów życia społecznego i państwowego. Bez tego mogą być sługi, nie będzie ludzi. Takim jest stan społeczeństwa rosyjskiego co do materiału, mającego zadanie kolosalne wyprowadzenia tego organizmu z dotychczasowej martwoty lub szkodliwości na tory nowożytno-kulturalne.

Ma Rosya szkołę dyplomatów, to też ich nie brakło nigdy, a to pierwszorzędných; ma szkołę policmajstrów, to też ich tworzy bez ustanku, a to w gatunku tak wyborowym, że im żadne państwo nie dorównało. Szkoły ministrów i gubernatorów już niema i dlatego niema dziwoty, że tak niskim jest procent znakomitości między najwyższymi dostojnikami państwa. O rzeszy czynowniczej wspominać nie warto; ludzi tam niema i być nie może. Czego zaś brak zupełny, to ludzi nie będących w bezpośrednim z rządem związką, a mających przecie pojęcie o jakichkolwiek warunkach i sztuce rządzenia, nie z teoryi, nie z książek, ale z praktyki życia. Być może, iż się wyrobiją, jeżeli ziemstwa potrważą dłużej, a osiągną rozszerzone atrybucye, tak że z tego wytworzy się z czasem prawdziwa reprezentacya narodowa. To czem ziemstwa są dzisiaj, ich postulaty wyrażone świeżo w Petersburgu, naprawdę nie są dowodem rozumu i dojrzałości, ocenienia tego co jest możliwem, a co w danej chwili zgola jest wykluczonym.

Nie chcemy za daleko w głąb historii sięgać, ale przecież niema narodu, niema społeczeństwa, któreby kilkowikowy despotyzm bezkarnie znosić mogły, despotyzm, który nigdy nie popuścił, nigdy nie osłabł i tylko chwilowo, według przypadkowego usposobienia, indywidualnego tempera-

mentu panującego, nieco łagodniejsze przybierał formy. Wydaje się niemal i tę z historii Rosyi wyciągamy naukę, że naród tej formy rządu do naszych dni potrzebował, że jej pragnął, że mu z nią było dobrze, bo jeżeli który monarcha nie rządził tak, jak tego duch narodu wymagał, to go sprzątnął.

Ktoby sądził, że naród i państwo rosyjskie z obecnego bardzo ciężkiego przesilenia nie wyjdzie zwycięzko, że wybiła dla niego ostatnia godzina, tenby się pomylił bardzo grubo. Nam Polakom nie wolno pod tym względem poddawać się złudzeniom, bardzo nie będącym na czasie nadziejom. Myśmy powinni znać wroga i liczyć się z jego przełożną siłą.

Otóż Rosyianie mają tak wielkie przymioty narodowo-polityczne, że mocą ich nie przestaną być wielkim narodem, i więcej lub mniej, ale zawsze stanowczo zaważą w historii.

Mają przedewszystkiem patryotyzm. Nie sięgając dalej, to od Minina i Pożarskiego, przez Rostopczyna aż do naszych dni dali tak wybitne tego patryotyzmu, przed niczem nie cofającego się dowody, że wątpić o nim byłoby zarówno nie mądrze, jak niesłusznie.

Mają posłuch dla władzy, może nie tyle wyrozumowany, ile instynktowy, ale bardzo rzeczywisty i niezachwiany; jaką to zaś jest siłą, jaką rękojmnią powodzenia, nad tem rozwoznić się uważamy za zbyteczne.

Mają wreszcie co najważniejsze, odporność rasową tak nadzwyczajną, że przykładu podobnego między wszystkimi narodami nigdzie nie znajdujemy. Są Rosyianie od kilku pokoleń zagranicą osiadli, nie mówiący już nawet swym językiem, którzy mimo to pozostali tak rdzennie Rosyanami, jak żeby co dopiero ojczyznę opuścili. Co więcej, nawet porzucenie wiary, nawet przejście na katolicyzm, przyobleczenie sukni katolickiego kapłana, w przynależności do ducha rosyjskiego, żadnej nie uczyniły zmiany.

Jezuici rosyjscy mogą słać gorliwością, nauką, przykładnością życia, ale duszą i sercem pozostali Rosyanami. Mamyż się tem oburzać, mamyż im to za złe pocztywać?

Tak rozsądek, jak sprawiedliwość na to nie pozwalają. Ale musimy się z tem liczyć, pamiętać, ciągle to mieć na uwadze i z tego powodu powtarzanie utartego frazesu o kolosie na glinianych nogach uważamy za z gruntu nieopatrzone i lekomyślne.

Jakie będą przyszłe tej, dziś jeszcze olbrzymiej potęgi koleje, tego zapewne nikt ani w Rosyi, ani gdzieindziej przewidzieć nie zdoła.

Nam się wydaje, że wielkie Europie ze strony Rosyi grozi niebezpieczeństwo. Kiedy Rosya mianowicie wpręgnie się w rydwan żydostwa i łoży, obawiamy się zaś, że to w niedalekiej przyszłości nastąpi, wtedy zawiśnie ona taką zmorą na reszcie Europy, że zblednie wobec tego żółte niebezpieczeństwo, o którym się Rosyanie w ostatnich czasach tyle nabredzili.

Kiedy po ukołysaniu się orkanu, szalejącego na wyspie Sycylii w skutek t. zw. „Nieszporów“ i po śmierci Karola Andegawęńskiego, wysłańcy wyspy w r. 1284 przed Marcinem IV Papieżem i zgromadzonym kolegium kardynalskiem stanęli, odezwali się w następujące między innymi słowa: „To, cośmy uczynili, nie jest powstaniem, ani porzuceniem niewdzięcznem łona macierzyńskiego; jest uprawnionym oporem wedle ustaw kościelnych i cywilnych, czystą miłością, ochroną wstydlivości, obroną wolności. Nędza prowadzi do wybuchu zemsty ostatecznej. Bywa gwałt nieunikniony, konieczna obrona wolności ludzkiej, a gdy one wybuchną niema okrucieństwa tak srogiego, któreby nie posłużyło za przestrożę i groźbę przeciw tym, co źle czynią“.

Bodajby rząd rosyjski tak wobec rdzennych poddanych, jak podbitych plemion, o tem pamiętał ¹⁾.

Jak długo Rosya cieszyć się jeszcze będzie swemi zdobyczami, swą potęgą i dumą, bałwochwalstwem a trwogą innych narodów, przesądzać oczywiście nie chcemy. Że do dziś dnia tak było, tego najświeższa sprawa rybaków koło Hull, dość chyba wyraźnym jest dowodem. Po głębokiej atoli rozwadze, po bezstronnem o ile nam się zdaje przedstawie-

¹⁾ Por. Alfred von Reumont: *Geschichte der Stadt Rom*, t. II, str. 607.

niu rzeczy przychodzimy do przekonania, że Rosya, przynajmniej dzisiejsza, w sprawach najistotniej ludzkość obchodzących, w sprawie miłości i sprawiedliwości, w sprawie wolności, serca i sumienia zabierać głosu niema prawa, albowiem od samego początku swego istnienia nie przestała deptać zasadniczo wszystkiego co tylko jest najszlachetniejszym w naturze ludzkiej.

Bezstronny.

Instytucje ziemskie w państwie rosyjskiem.

Istnieje w państwie rosyjskiem kwestya, która od lat 40 zajmuje ogólną uwagę, która od lat 40 daje powód do rozpraw i roztrząsań, do badań i dochodzeń, która nie schodzi wcale z porządku dziennego, która wywołała ruch piśmienniczy i posiada już własną swoją literaturę — jest to sprawa instytucyj ziemskich, ich działalności i życia. Powstanie tych instytucyj przypada na przełomową w życiu państwa epokę, jaka nastąpiła po nieszczęśliwej wojnie krymskiej z lat 1853 — 1855 ubiegłego stulecia.

Skutki klęski były dotkliwe pod względem materyalnym, doniosłe pod względem moralnym. Umysły zostały poruszone, serca prawdziwych patriotów rosyjskich zakrwawione. Okazało się, że machina biurokratyczna, trzymająca w karchach ludność ze wszelkimi jej różnoplemiennymi i różnowerczymi elementami, nie stanowi jeszcze o potęgę państwa. Olbrzymie państwo, oparte na liczbie ludności i terytoryach tak znacznych, jak żadne inne, nie posiadało należytej siły odpornej. Pomimo wielkich zasobów materyalnych, pomimo niezmiernych bogactw naturalnych, czegoś brakowało, na czemś zbywało. Po Europie rozniosła się legenda o kolosie na glinianych nogach.

Spółczesność żyjąca do owej chwili w stanie uspienia pod naciskiem rządów ściśle biurokratycznych, nagle się prze-

budziło. Całe państwo pokryło się siecią kółek i kóleczek, wszędzie przemyśliwano nad sposobami odnowienia maszyny państwowej, wyjścia z trudnego położenia i podźwignięcia się z klęski. I powstało gorące pragnienie poprawy stosunków, powołania ukrytych sił do życia, wydobywania ich na jaw i pozyskania nowych pierwiastków czynu i działania.

Pod wpływem tej potrzeby, z natchnienia nowego monarchy cesarza Aleksandra II i przy żywym udziale szerokich kół samego społeczeństwa, w krótkim stosunkowo czasie przysły reformy, witane z zapalem przez wszystko to, co było żywszego i lepszego w społeczeństwie rosyjskiem, pomimo niedowierzania i niechęci ze strony ludzi przejętych starą rutyną, których przecież nigdy zabraknąć niemoże.

Do owej chwili odnoszą się trzy wielkie reformy: reforma włościańska z r. 1861, która nadała prawa ludzkie milionom chłopów, reforma sądowa z r. 1866, która oddzieliła władzę sądową od władzy wykonawczej, zapewniając społeczeństwu sąd niezawisły i prawidłowy, wreszcie wcześniejsza cokolwiek od niej reforma ziemska z r. 1864 wraz z jej uzupełnieniem, a mianowicie samorządem miast z roku 1870, mocą których sprawy miejscowe złożone zostały w ręce samego społeczeństwa.

Przy wiekopomnem znaczeniu wyzwolenia włościan z pęt ciężkiego poddaństwa, przy wielkim wpływie, jaki nowe sądy w Rosji pozyskały, pod względem bezpośredniego wprowadzenia elementów społecznych do działania obok i równoległe do akcyi władz państwowych, organizacya samorządu ziemskiego i miejskiego zajęła może wybitniejsze od tamtych dwóch reform stanowisko.

W takiej chwili poczęta i w życie wprowadzona reforma ziemska, nosić musiała i w istocie nosiła cechę istotnej reformy, istotnej zmiany, wprowadzając społeczeństwo na drogę pracy, dotąd mu prawie nieznaney i obcej. Zwolniono społeczeństwo od powijaków nieograniczonej i rzekomo wszechstronnej opieki i pozwolono stąpać samodzielnie w sferze interesów lokalnych, zachowując tylko, jak to z natury rzeczy wynika, kontrolę i dozór ze strony władz państwowych nad działalnością powołanych do życia instytucyj.

Biorąc przykład z urzędzeń, jakie gdzieindziej istniały, prawodawca rosyjski ze sfery spraw dotąd na państwie i jego organach administracyjnych ciężących, ale nie zawsze skutecznie załatwianych, a niekiedy zgoła nie załatwianych, wydzielił dziedzinę interesów miejscowych i tę dziedzinę w ręce instytucyj ziemskich złożyć postanowił.

W istocie, istnieją liczne sprawy z charakterem lokalnym, jak np. zabezpieczenie zdrowia publicznego w danych miejscowościach, drogi i komunikacye lokalne, stanowiące rozszerzenie dróg i komunikacyj głównych publicznych, opieka nad ubogimi, szkoły ludowe etc., których załatwianie w miarę rozwoju stosunków społecznych przekracza siły państwa i jego organów administracyjnych. Tę zatem sferę interesów oddano instytucjom ziemskim i miejskim, ochrzciwszy je nazwą społecznych (*obszczestwiennyh*), w odróżnieniu od władz ściśle państwowych (*gosudarstwiennyh*).

Artykuł pierwszy i naczelny ¹⁾ ordynacyi ziemskiej orzeka, że instytucye ziemskie zajmować się mają sprawami dotyczącymi miejscowych potrzeb i pożytków, zaś art. 2 dotychczas przedmiotów zalicza zabezpieczenie zdrowia i zapewnienie ludności pomocy lekarskiej, zabezpieczenie od pożarów i ubezpieczenia wzajemne, drogi ziemskie, ich rozszerzenie i ulepszenie, urządzenie przystani na wodach, urządzenie i utrzymywanie poczty ziemskiej, zaopatrywanie ludności w razach potrzeby w środki pożywienia, opieka nad ubogimi i zakłady dobroczynne, popieranie oświaty elementarnej i udział w zarządzie szkół kosztem ziemstwa utrzymywanych, wreszcie współdziałanie w kierunku rozwoju miejscowego rolnictwa, przemysłu i handlu.

Pomijając czynności dotyczące ściągania niektórych państwowych podatków i powinności oraz czynności z ustaw szczególnych, o jakich art. 2 także wspomina, już z powyżej wybieranych przedmiotów widzimy jasno, na czem polega zadanie instytucyi. Działając na gruncie ściśle miejscowym w sferze potrzeb lokalnych, ogarniają one różne strony życia ekonomicznego, zachaczają jednocześnie o potrzeby fizy-

¹⁾ *Położenje o gubernskich i njezdnych ziemskich uczrezdieniach.*

czne i moralne i materyalne ludności. Organizacya tych instytucyj jest następująca.

Jak wiadomo, Rosya Europejska pod względem administracyjnym podzieloną jest na prowincyje zwane guberniami, które ze swej strony rozpadają się na mniejsze całości, zwane powiatami.

Otóż przyjmując za podstawę tę niższą jednostkę terytorjalną i uznając za potrzebne utworzenie samodzielnego gospodarstwa społecznego w tej jednostce, prawodawca rosyjski obok władz administracyjnych w powiatach funkcyjnych, ustanowił w każdym powiecie dwa samodzielne organy ziemskie, a mianowicie radę (*sobranije*), i zarząd (*uprawa*), wraz z podległymi mu organami niższymi. Układ ten opiera się na zasadzie rozdziału władzy na kierowniczą i wykonawczą; rady wyobrażają rodzaj władzy prawodawczej, która ustanawia normy działania i wydaje stosowne w tej mierze polecenia, zarządy zaś i podległe im niższe organa wykonywają dane im instrukcje, wprowadzając w życie zadania na instytucjach ziemskich ciężące.

Ciężar właściwej pracy, że tak powiem, merytorycznej, spada na zarządy ziemskie i dalsze organy wykonawcze, przy radach zaś pozostaje ogólny kierunek, a zarazem dozór i kontrola nad wykonaniem, a tem samym nad wszelkimi organami wykonawczemi.

Odpowiednio do takiego układu, rady zbierają się periodycznie raz do roku, sesya rad powiatowych ma miejsce w październiku i trwa dni dziesięć, z możliwością przedłużenia czasu trwania obrad za pozwoleniem gubernatora i z prawem do urządzania sesyj nadzwyczajnych w wypadkach zachodzącej potrzeby z decyzji ministra, organy zaś wykonawcze, a przede wszystkim zarządy, stanowią władze stałe, funkcyjujące ciągle i bez przerwy, zgodnie z potrzebami życia wymagającego nieustannej pieczy i troski.

Rady, jako miarodajne w interesach ziemskich instytucye, składają się z powoływanych drogą wyborów przez samo społeczeństwo na lat trzy członków, którzy pełnią swój urząd honorowo i bez żadnego wynagrodzenia. Rada powiatowa liczy 15 do 40 członków stosownie do wielkości i zaludnienia powiatu, jak to rozkład do ordynacyi dołączony

oznacza. W radzie przewodniczy z urzędu powiatowy marszałek szlachty, którego ze względu na istniejące dotąd w państwie stany wybiera szlachta na przedstawiciela swego w zakresie interesów stanowych, niezależnie od instytucyj ziemskich.

Prawo wyborcze, zarówno bierne jak i czynne, przysługuje poddanym rosyjskim posiadającym przynajmniej lat 25 wieku, o ile posiadają pewną własność ziemską, lub w ogóle nieruchomą i płacą od niej podatki ziemskie. Według przepisów ustawy, do takich osób zaliczają się: 1^o osoby posiadające w obrębie powiatu własnością ziemską przestrzeni co najmniej 150 do 400 dziesięcin stosownie do dołączonego do ustawy rozkładu ¹⁾, 2^o osoby posiadające innego rodzaju majątek nieruchomy, chociażby w obrębie miasta położony, wartości nie mniej jak rs. 15,000; 3^o instytucye, towarzystwa i spółki przemysłowe i handlowe, o ile władają w obrębie powiatu ziemią lub inną własnością nieruchomą w powyżej wskazanej przestrzeni lub wartości (art. 16). Niezależnie od tych trzech kategorii ustawa przyznała prawo wyborcze w ograniczonym zakresie jeszcze tym osobom fizycznym i moralnym, które posiadają ziemię lub inną własność nieruchomą w zakresie nie mniejszym od $\frac{1}{10}$ tego, czego *census* materyalny wymaga. Osoby tej kategorii nie posiadają bezpośrednio prawa wyborczego, lecz wybierają z pomiędzy siebie przedstawicieli w ilości odpowiadającej posiadany przez nich ziemiom, i innym własnościom nieruchomym, licząc po jednym przedstawicielu od minimum censusu (art. 24). Nakoniec prawo do udziału w instytucjach ziemskich przysługuje jeszcze i włościanom w obrębie powiatu mieszkającym, ale również nie bezpośrednio tylko pośrednio i to w sposób bardzo swoisty i oryginalny. Każda gmina włościańska (*obszczyzna*) wybiera jednego przedstawiciela, a z liczby tak wybranych przedstawicieli włościańskich władza państwowa, a mianowicie urząd gubernialny do spraw ziemskich i miejskich, o jakim poniżej będzie mowa, zaprasza do rady ziemskiej taką ilość osób, jaka

¹⁾ Na północy, gdzie ziemia posiada bardzo małą wartość, minimum dochodzi do 700 i 800 dziesięcin.

wedle rozkładu do ordynacyi załączonego dla włościan w łonie rady zarezerwowaną została.

Wybory dokonywują się za pomocą dwóch kuryj (art. 28). W pierwszej biorą udział osoby pochodzenia szlacheckiego i wybierają członków rady powiatowej pod przewodnictwem powiatowego marszałka szlachty. W drugiej, biorą udział osoby pochodzenia nieszlacheckiego, oraz zastępcy osób moralnych, to jest instytucyj, towarzystw i spółek władających ziemią lub inną własnością nieruchomą, chociażby ci przedstawiciele sami należeli do stanu szlacheckiego, i wybierają członków rady pod przewodnictwem naczelnika czyli głowy miasta powiatowego. Trzecią kuryę stanowią, ściśle biorąc, włościanie, ale jak widzieliśmy wyżej wybierają oni tylko swoich przedstawicieli, z liczby których dopiero władza powołuje członków do rady. Dodać trzeba, że każda kurya wybiera taką ilość członków rady, jaką rozkład do ustawy załączony dla niej zapewnia, przyczem kurya szlachecka obsadza w każdym powiecie nie mniej jak połowę krzesel, niekiedy nawet trochę więcej. Obok członków z wyboru w radzie biorą udział z głosem wirylnym: 1. przedstawiciel dóbr państwa i apanażów, jeżeli w obrębie powiatu znajdują się dobra skarbowe lub apanaże, 2. naczelnik czyli głowa miasta powiatowego lub gubernialnego w miarę tego, gdzie rada funkcjonuje, oraz 3. delegat duchowieństwa, jeżeli władza dycieczalna zechce mieć takowego w radzie.

Gdy za pomocą wyborów rada powiatowa została ukonstytuowana, przychodzi kolej na wytworzenie zarządu ziemskiego w powiecie.

Na czele zarządu stoi prezes i dwóch do czterech członków, wszystkich wybiera rada powiatowa ziemska z liczby osób posiadających prawo głosu na zebraniach wyborczych, chociażby do składu rady wcale nie należały (art. 116).

Przy zarządzie istnieją dodatkowe organy wykonawcze, jak np. służba lekarska, dozorczy i kuratorowie różnych zakładów etc., których wybór należy również do rady ziemskiej; co się zaś tyczy urzędów kancelaryjnych, obsadzenie ich pozostaje w ręku prezesa zarządu (art. 105).

W ten sposób uformowany zarząd ulega kontroli rady, od niej otrzymuje wskazówki, które z natury rzeczy kierować się musi.

Reforma ziemska na tem się nie zamknęła. Obok organów ziemskich powiatowych już to dla zjednoczenia rozstrzelonych gospodarstw powiatowych, już to dla zapewnienia szerszym jednostkom terytoryalnym należytej opieki w sferze ich potrzeb lokalnych, utworzono w gubernii również dwa organy, radę ziemską gubernialną i zarząd ziemski gubernialny, przekładając na nich troskę o potrzebach i pożytkach miejscowych całej gubernii.

Rada gubernialna składa się z 26 do 32 członków¹⁾ przewodnictwo zaś w niej należy do gubernialnego marszałka szlachty.

Członków wybierają rady powiatowe, każda w ilości takiej, jaką rozkład do ustawy dołączony wskazuje. Wybranymi mogą być osoby będące już członkami rad powiatowych, albo też i z po za ich grona z warunkiem, aby posiadały prawo wyborcze. Oprócz zastrzeżonego przez prawo kompletu w radzie gubernialnej biorą udział z głosem wiarylnym: 1. powiatowi marszałkowie szlachty, 2. naczelnicy miejscowych zarządów dóbr państwa i apanaży, o ile takowe zarządy w danej gubernii istnieją, 3. oraz deputat od duchowieństwa, jeżeli władza dycieczalna zechce takowego mieć w radzie²⁾.

Organem wykonawczym i stale funkcyonującym jest zarząd ziemski gubernialny, dla którego rada gubernialna wybiera prezesa i 2 do 4 a niekiedy do 6 członków, oraz obsadza inne w nim urzędy, pozostawiając wybór funkcyonaryuszów kancelaryi samemu prezesowi zarządu, podobnie jak to ma miejsce w ziemstwie powiatowem.

¹⁾ W gubernii Ołonieckiej komplet rady wynosi 15 członków.

²⁾ Miasta nie przyjmują udziału bezpośredniego w wyborach do rad ziemskich. Wyjątek zrobiono dla Petersburga, Moskwy i Odessy, gdzie nadano prawo radom miejskim wybierania pewnej ilości członków do miejscowej rady ziemskiej gubernialnej, a mianowicie, Petersburg dostarcza w ten sposób 18 członków, Moskwa 14, zaś Odessa 8.

Tym sposobem powstały w państwie dwa współrzędnie obok siebie istniejące gospodarstwa społeczne, jedno powiatowe, drugie gubernialne. Zadanie tak jednego, jak i drugiego jest w zasadzie jednakie, jednakże pomimo wspólności zadania zachodzą dość poważne różnice w kompetencji rad gubernialnych i powiatowych.

Do rad gubernialnych wyłącznie należy podział dróg, zakładów dobroczynnych i różnych urzędzeń na gubernialne i powiatowe, rozkład na powiaty poborówod świadectw i patentów handlowych na rzecz ziemstw pobieranych, rozkład na powiaty poborów i powinności, które na rzecz państwa instytucje ziemskie ściągają, rozkład na powiaty sum na potrzeby więzień przeznaczonych, dalej urządzenie nowych przystani na rzekach spławnych i jeziorach, ustanowienie nowych jarmarków i rynków, ustanowienie taks do wynagrodzenia za szkody zrządzone w lasach, polach i t. p. W związku z tem rady gubernialne wydają w powyżej wskazanych przedmiotach instrukcje dla rad powiatowych, celem prawidłowego wykonania czynności na miejscu.

Wreszcie radom gubernialnym wyłącznie powierzono ubezpieczenia wzajemne, zaciąganie pożyczek na potrzeby ziemstwa i wnioski do rządu w przedmiocie pożytków i potrzeb miejscowych (art. 63).

Nowa ustawa z r. 1890, a raczej nowa jej redakcyja, przyznała radom gubernialnym dosyć ważne prawo wydawania postanowień obowiązujących miejscową ludność w różnych dotyczących ogółu sprawach, jak np. w kwestyi dróg, przewozów, czystości i porządków w miejscach publicznych etc. (art. 108). Postanowienia te przecież wychodzą od rady gubernialnej, chociażby dotyczyły nie całej gubernii, lecz tylko pojedynczych powiatów lub szczegółowych miejscowości.

Tym sposobem rady gubernialne w sferze wyliczanych spraw, ze względu na zachodzącą potrzebę jednostajnego na całą gubernię normowania stosunków, posiadają do pewnego stopnia charakter zwierzchniczy względem rad powiatowych, co nie narusza zresztą w niczem samodzielności tych ostatnich w innych przedmiotach w obrębie swego powiatu.

Tak naprzykład, gdy rada gubernialna dokona rozkładu wzmiankowanych poborów na powiaty, rozkład dalszy w samym powiecie stanowi już wyłączną atrybucyę rady powiatowej, (art. 64), nie ulegającą kontroli rady gubernialnej. W wypadkach jednak potrzeby wydania rozporządzeń, mających obowiązywać ludność, lub zwrócenia się do rządu z żądaniami w różnych kwestyach, rady powiatowe zniewolone są czynić przedstawienia w tej mierze do rad gubernialnych, od których jedynie podobne wnioski wychodzić mogą.

Rządowi i jego organom państwowym przysługuje nadzór nad instytucjami ziemskimi i sposobem funkcyonowania oraz spełniania włożonych na nie zadań. Dozór ten dokonywa się w dwojaki sposób, już to w formie sporadycznej przy zachowaniu wpływu w pewnych szczególnych wypadkach i czynnościach, już to w formie stałej kontroli, która niektórym organom państwowym przyznana została.

Dozór sporadyczny ujawnia się w dwóch kierunkach: 1. uchwały w niektórych kwestyach dla wprowadzenia ich w wykonanie wymagają zatwierdzenia rządu, a mianowicie gubernatora lub też ministra spraw wewnętrznych (art. 82 i 83), 2. osoby wybrane do zarządów ziemskich obejmują swoje obowiązki o tyle, o ile przez rząd na tych urządach zatwierdzone zostały, a w szczególności zatwierdzenie prezesów i członków zarządów powiatowych, oraz członków zarządów gubernialnych należy do gubernatora, zaś prezesów w tych ostatnich zarządach do ministra.

Co się tyczy dozoru stałego, tenże złożony został głównie w rękę naczelnika prowincyi czyli gubernatora.

W myśl tak ustanowionej kontroli gubernatorowi przysługuje prawo rewizyi w każdej chwili akt i czynności zarówno zarządów ziemskich, jako też wszelkich innych organów wykonawczych i zakładów do ziemstwa należących. Dalej gubernator posiada prawo wstrzymania uchwał rad ziemskich w wypadkach 1) gdy uzna, że uchwała nie zgadza się z prawem lub przekracza zakres działania organów ziemskich, 2) gdy uzna, że ona nie odpowiada ogólnym potrzebom państwa, albo też narusza interesy miejscowej ludności (art. 87).

W ogóle każda decyzja może uleść kwestyi, gdyż gubernatorowi przysługuje najrozleglejsze prawo *veto* przeciwko wszelkim uchwałom ziemskim. Prawo to łączy się z możliwością wstrzymania w wykonaniu, a to tak dalece, że każda uchwała musi być gubernatorowi komunikowana, i że uchwały mogą być wprowadzone w wykonanie nie prędzej, jak po upływie dwóch tygodni od daty ich przesłania, o ile gubernator w ciągu tego terminu swojego *veto* nie objawi (art. 86).

Jeżeli gubernator zakwestyonuje uchwałę z tytułu niezgodności jej z prawem lub przekroczenia granicy kompetencji, obowiązany jest poddać tę kwestyę pod rozpoznanie urzędu gubernialnego, o jakim poniżej będzie mowa, przy czem zarówno gubernator, jeżeli poglądu jego urząd nie podzieli, jako też interesowane w utrzymaniu swych uchwał rady ziemskie przenieść mogą sprawę w drodze skargi do I departamentu senatu, który w charakterze najwyższego trybunału administracyjnego państwa rosyjskiego decyduje ostatecznie w tych rzeczach. Jeżeli gubernator zakwestyonuje uchwałę, z tytułu jej niezgodności z potrzebami państwa lub z tytułu naruszenia interesów ludności miejscowej, w takim razie sprawa przechodzi z początku przez urząd gubernialny, ostatecznemu zaś rozstrzygnięciu ulega nie w I departamencie senatu, lecz w Komitecie ministrów, a niekiedy radzie państwa, gdy chodzi o powiększenie opodatkowania (art. 94)¹⁾.

Dla rozpoznania spraw w wypadkach przysługującego gubernatorowi prawa *veto* i w ogóle dla rozpoznania spraw dotyczących instytucyj ziemskich oraz skarg, jakie od osób interesowanych na uchwały i postanowienia ziemskie przychodzić mogą, ustanowiono w każdej gubernii urząd gubernialny do spraw ziemskich i miejskich. Urząd ten pozostaje pod przewodnictwem gubernatora i składa się, oprócz gubernatora, z wicegubernatora, gubernialnego marszałka szlachty,

¹⁾ Ten udział komitetu ministrów lub rady państwa zastrzeżony został, podobnie jak i inne obostrzenia w kierunku kontroli, dopiero w nowej ustawie z r. 1890, po dokonaniu rewizyi pierwotnej ustawy z r. 1864. Do roku 1890 wszystkie sprawy ziemskie ulegały rozpoznaniu, wyłącznie w I departamencie senatu.

zarządzającego izbą skarbową, prokuratora sądu okręgowego, jako też prezesa zarządu gubernialnego ziemskiego, głowy miasta gubernialnego i delegowanego członka od rady gubernialnej ziemskiej, lub gdy idzie o sprawy miejskie z delegowanego członka od dumy miasta gubernialnego. Tych ostatnich delegatów potwierdza minister. W razie gdy sprawa dotyka interesu organu państwowego, nie reprezentowanego stale w tym urzędzie, np. zarządu dóbr państwa, wzywa się tę władzę o przysłanie swego delegata dla wzięcia udziału w rozpoznaniu sprawy. Sekretarza urzędu i jego pomocnika dla prowadzenia czynności kancelaryjnych mianuje gubernator (art. 8).

Jak widać z powyższego, właściwy skład tego urzędu obejmuje 8 osób, z których cztery od korony, trzy od ziemstw i rady miejskiej i jeden przedstawiciel szlachty.

Do urzędu tego należy rozpoznawanie wszelkich spraw, dotyczących samorządu tak ziemskiego, jak i miejskiego.

I tak: kwestye dotyczące list wyborczych i sposobu ich ułożenia, kwestye wyborów i ich ważności lub nieważności, rozpoznanie postanowień rad ziemskich nie potwierdzonych przez gubernatora, a z przepisn prawa wymagających takiego zatwierdzenia (art. 84), opinie co do uchwał przesyłanych do zatwierdzenia ministra (art. 85), rozpoznanie zakwestyonowanych przez gubernatora decyzyj zarządów ziemskich (art. 103), wymierzanie kar dyscyplinarnych na urzędników niższych we wszelkich zarządach ziemskich i na członków zarządów ziemskich powiatowych, jak również pociąganie jednych i drugich w razie wykrytych nadużyć do odpowiedzialności sądowej etc. W następstwie tego poważniejsze sprawy ziemskie, jak przez alembik, przesuwac się muszą przez rzeczony urząd. Urząd ten, jako ciało kolegialne, wydaje decyzye większością głosów, przy czem w razie równości zdań głos przewodniczącego przeważa. W wypadku, gdy większość oświadczy się przeciwko zdaniu gubernatora, temu ostatniemu służy prawo wstrzymania wykonania decyzji, pod warunkiem jednak natychmiastowego przedstawienia kwestyi pod rozpoznanie senatu przez pośrednictwo ministra, który albo przesyła akta do senatu, albo też, gdyby uważał zdanie gubernatora za niesłuszne,

zwraca je gubernatorowi z poleceniem wykonania decyzji przez większość uchwalonej.

Na decyzje tego urzędu, zarówno ziemstwu, to jest radom ziemskim, tak gubernialnym jak i powiatowym, jako też osobom, towarzystwom, i instytucjom prywatnym, gdy decyzje urzędu dotyczą ich interesów, przysługuje prawo skargi do I departamentu senatu, który jak to już powyżej wspomniałem, rozstrzyga zachodzące kwestye w ostatniej instancyi.

Kiedy w r. 1890 wydana została nowa ustawa dla instytucyj ziemskich, obostrzająca znacznie kontrolę ze strony władz państwowych, w instytucjach ziemskich zrodziła się obawa, czy tak zwiększona kontrola nie utrudni biegu czynności i nie pozbawi instytucyj ziemskich koniecznej w swoim zakresie samodzielności. Okazało się przecieź, że prawo odwołania się do senatu łagodzi w znacznej mierze trudności i zapewniając instytucjom ziemskim możność rewindykowania swoich praw, stanowi poważny hamulec przeciwko samowoli administracyjnej. Z jednej strony stoi *veto* gubernatora, z drugiej skarga do senatu od instytucyj ziemskich, które nauczyły się z niej korzystać i przy tym środkiem umieją skutecznie się bronić.

Ponieważ sprawy ziemskie przychodzą do ministeryum spraw wewnętrznych dla ich załatwienia, albo też dla nadania im dalszego biegu, przeto w r. 1903 wyjęto je z szeregu różnych spraw gospodarczych i utworzono dla nich specjalny oddział dla spraw ziemskich, w którym one odtąd są zogniskowane. Zmiana ta może być uważana za korzystną, bo wytworzy wyspecjalizowanych w tym kierunku urzędników, których przygotowanie pozwoli uniknąć błędów, jakie bez takiej specjalizacyi łatwo przytrafiać się mogły.

Na modłę instytucyi ziemskich zorganizowano także po miastach gospodarstwo miejskie, oparte na siłach społecznych z wyborów od społeczeństwa. W każdym mieście istnieje rada zwana dumą, jako organ kierowniczy, i zarząd zwany uprzą, jako organ wykonawczy tejże dumy, przy ustosunkowaniu ich działalności i zależności w sposób podobny, jak to uczyniono w instytucjach ziemskich.

Ustalone w powyższy sposób instytucye ziemskie zaprowadzone zostały na szeroko objętem wnętrzu Rosyi Europejskiej, a mianowicie w 34 guberniach. Nie posiadają ich tylko kresowe gubernie, jako to na północy archangielska, na południo-wschodzie astrachańska, orenburska i stawropolska, oraz dziewięć gubernij zachodnich (litewskich, białoruskich i małoruskich) i trzy gubernie nadbałtyckie, które zresztą przy szeroko rozwiniętym samorządzie stanowym, mniej odczuwają brak podobnych form życia społecznego¹⁾.

Co do ziemi wojska dońskiego, rząd postanowił wprowadzić w niej instytucye ziemskie, jednakże kozacy, posiadając szeroki samorząd gminny i nie zdając sobie zapewne sprawy z ważności tych instytucyj, oparli się temu, rząd ustąpił i instytucyj ziemskich dotąd tam niema. Wreszcie Królestwo Polskie także nie posiada ani instytucyj ziemskich, ani w ogóle żadnych form gospodarstwa społecznego, z wyjątkiem słabej gminy wiejskiej.

Przedstawiwszy organizacyę instytucyj ziemskich, wypada zatrzymać się na chwilę nad ich dobremi i ujemnymi stronami i nad ich znaczeniem w ogóle. Cechą charakterystyczną tej organizacyi jest jej wielka prostota, która wyróżnia je od instytucyi samorządnych w niektórych innych krajach. Przymiot ten zawdzięczają rzeczonym instytucyom niewątpliwie tej okoliczności, że nie rozwijały się one stopniowo, powoli, historycznie, że tak powiem, lecz powstały odrazu na podstawie jednolitej myśli wedle planu z góry ułożonego. Przy tym przymiocie jednak nie są one wolne od usterek, jakie też im ze stanowiska naukowego i praktycznego uczynić można.

Przedewszystkiem uderza przewaga żywiołu szlacheckiego, który nie na drodze kulturalnej przewagi, lecz wprost na zasadzie ustawy zatrzymuje przy sobie większość stanowisk w radach ziemskich, a co zatem idzie i w zarządach ziemskich. Wedle statystyki z lat 1883 — 1886 na 10.244 członków rad ziemskich w guberniach, w których one fun-

¹⁾ W guberniach zachodnich w r. 1903 utworzono komitety ziemskie, które przecież wcale instytucyi samorządnej nie wyobrażają.

keyonują, przypadają na szlachtę 5.633 osoby, gdy kurya nieszlachecka, dostarczała 1.428, włościańska 3.175, obie zaś razem 4.603 osoby, przy czem w zarządach ziemskich szlachta zajmowała w powiatowych 69.5%, w gubernialnych 73.7% ogólnej liczby urzędów¹⁾.

Dalej, nauka upatruje głębsze jeszcze niedostatki, a mianowicie brak jednostki ziemskiej drobnej, oraz brak jednostki gospodarczej wyższej po nad gubernię.

W powiecie istnieją wielkie obszary dworskie i liczne gminy włościańskie, urządzone stanowo z własną administracją i sądem i oparte na wspólnem władaniu przez włościan ziemią.

Między temi gminami a instytucjami ziemskimi niema związku, co nie może się nie odbijać ujemnie na biegu spraw ziemskich i rodzi liczne trudności i kontrowersy. W piśmienictwie rosyjskiem zjawily się liczne głosy, powstały szeregi monografij, omawiających tę sprawę i domagających się wytworzenia drobnej jednostki ziemskiej wszechstanowej i połączenia z gospodarstwem ziemskim, przy nadaniu jej charakteru najniższej formy tegoż gospodarstwa.

Z drugiej strony, gubernie w Rosyi pomimo swojej obszerności nieraz bardzo znacznej wcale nie wyobrażają prowincyi samodzielnych pod względem etnograficznym, ekonomicznym i społecznym, życie też domaga się zespolenia gospodarstw gubernialnych co najmniej w granicach miejscowości, zbliżonych do siebie kulturą i potrzebami ekonomicznymi i wytworzenia dla nich wyższej zespolonej formy gospodarstwa społecznego, któraby objęła w jedno koryto interesa lokalne pokrewnych sobie gubernij. Domagały się w różnych chwilach rady ziemskie wspólnych zjazdów i wspólnej pracy ziemstw z różnych gubernij, domagały się nawet zjazdu powszechnego dla ustalenia wspólnych zasad dla gospodarstwa ziemskiego, ale jak dotąd bezskutecznie, gdyż władze państwowe życzenia ziemstw w tym kierunku nie podzielały.

¹⁾ Swieszniow: *Russkoje gosudarstwiennoje prawo*. (Część 2-a, str. 184 i 161).

Pomimo te i inne braki instytucye ziemskie w ogólnym bilansie stanowią organizacyą, która przy poważnem prowadzeniu przyczyniać się musi do moralnego i cywilizacyjnego podniesienia ludności. Zapewne pod względem samodzielności, nie mogą się one równać z organizacyą angielską, która wyobraża typ najszerszego możliwego samorządu, ale za to stoją wyżej od organizacyi francuskiej, w której tylko rada departamentowa (*conseil general*) posiada swoją komisję wykonawczą i to dopiero od r. 1871, rady zaś okręgowe zgola nie mają przy sobie żadnych organów wykonawczych.

Wysoka wartość instytucji ziemskich w kierunku załatwiania spraw miejscowych tłumaczy się ich naturą i założeniem.

Znajomość miejscowych potrzeb i pragnienie ładu dla swego zakątka, z jakimi ludzie miejscowi do pracy w ziemstwie przychodzą, stanowią nieoceniony czynnik skutecznego i wytrwałego działania, a przy tem ludzie wdrażają się do roboty około tego zakątka, do myślenia o jego potrzebach i interesach, uczą się i rozwijają, co posiada nie małe dla dobrobytu i moralności ogólnej znaczenie.

Na dowód tego wskazać można na działalność tych instytucyj w Rosyi. I tutaj przechodzimy do pytania, jak one tam funkcjonują?

Instytucye ziemskie w państwie rosyjskiem stanowiły wyłom nie tylko w kierunku decentralizacyi, ale i w kierunku zapewnienia społeczeństwu udziału w rządach wewnętrznych kraju. Wprawione w całokształt państwowy, oparty na absolutyzmie i silnej centralizacyi, musiały one budzić i budziły zaciekawienie, czy i o ile istnienie ich da się pogodzić z organizacyą państwa i jej charakterem. Pytanie to stawiano sobie wszędzie, zarówno w Rosyi, jak i po za jej granicami. Jeżeli się do tego doda, że instytucye te z mocy pierwotnej ustawy z r. 1864 nie były dosyć ściśle powiązane z władzami administracyjnymi czyli politycznymi, to tem łacniej rodzić się mogła obawa starć pomiędzy dwoma różnorodnymi organizacyami, stojącymi współrzędnie obok siebie i prawie niezależnie, obawa scysyj wewnętrznych, których żadne państwo pożądać nie może. A gdy się do tego

doda naturalny antagonizm, z uprzedzeń biurokracyi do podobnych instytucyj wynikający, obawa wydawała się tem słuszniejszą i groźniejszą.

Jakoż nie obeszło się bez trudności — bywały chwile próby nawet bardzo ciężkie.

Pierwsze poważniejsze starcie miało miejsce już w r. 1867. Ziemstwo z mocy ustawy posiadało prawo do ściągania poborów od zakładów przemysłowych i handlowych na pokrycie swoich potrzeb i z tego prawa zaraz od początku w szerokim zakresie korzystać zaczęło. Pobory te wywołały skargi ze strony sfer zainteresowanych, które do nich nie były przyzwyczajone i uważały je dla siebie za ciężar nieusprawiedliwiony. W następstwie tego pod datą 21 listopada 1866 r. na zasadzie zdania komitetu ministrów bez żadnego udziału ze strony ziemstw wydany został przepis, mocą którego ograniczono znacznie prawo rad ziemskich w kierunku ustanawiania poborów dotyczących przemysł i handel. Ze względu, że przepis ten spadł niespodzianie, ziemstwa poczuły się dotkniętymi w swoich atrybucjach, po radach ziemskich zaczęto szemrać na to ograniczenie. Rada gubernialna petersburska, funkcyonująca w samej stolicy, podniosła tę kwestyę na jednym z najbliższych swoich posiedzeń, uchwaliła protest przeciwko nowemu przepisowi, a nadto uchwaliła wniosek do rządu z żądaniem, utworzenia ogólnie ziemskiego centralnego organu, któryby wspólnymi siłami i przy łącznej pracy z centralną rządową administracją, rozpoznawał przedwstępnie kwestye prawodawcze, dotyczące instytucyj ziemskich. Krok ten ściągnał na siebie surową nagane ze strony rządu, uchwałę uznano za nieważną, a członków rady, którzy ją spowodowali, poddano różnym karom w drodze administracyjnej. Przewodniczący Kruze uległ zesłaniu do Orenburga, senatorowi Luboszczyńskiemu za karę polecono podać się do dymisji na urządzie senatora, zaś hr. Szuwałowowi kazano wyjechać na czas dłuższy z kraju.

Sprawą, która najwięcej wywoływała zatargów, stała się sprawa oświaty ludowej, na gruncie której zachodziły ciągle starcia. Ponieważ w ustawie przyznane były instytucjom ziemskim prawo zajmowania się oświatą ludową i udział w zakładaniu szkół początkowych, przeto ziemstwa od po-

czątku swojego istnienia rozwinęły żywą działalność w kierunku otwierania szkół, zakładania bibliotek, urządzania odczytów dla ludu etc., nie uchylając się zresztą co do programu i trybu nauczania z pod wskazówek ministerium oświaty, do którego kierownictwo oświaty w państwie należało. Jednakże sam udział ziemstwa w tej sprawie budził podejrzenia. Już w r. 1869 ustanowiono inspektorów szkół, którzy zwracali baczną uwagę na szkoły ziemskie i wykonywali dozór w sposób nieraz dokuczliwy. W r. 1874 rząd wydał nową ustawę wychowania publicznego, mocą której poddano pod bardzo surową kontrolę szkoły zarówno zakładane przez wydział oświaty jak i przez ziemstwa i jednocześnie ustanowiono specjalnych dyrektorów dla szkół ludowych. Instytucje ziemskie, nie posiadając centralnego organu, któryby skupiał ich działalność w kierunku szkół, musiały z konieczności poddać się obostrzonym przepisom, nieporozumienia przecież nie ustaly, a nawet zaczęły powtarzać się coraz częściej. Na pochwałę przecież ziemstw zaznaczyć należy, że pomimo ciągłych trudności nie dały się one zniechęcić, nie ustawały w pracy nad oświatą i prowadziły ją do tej pory z niesłabnącą energią.

Momentem bardzo ciężkim dla instytucyj ziemskich, była epoka końca siódmego i początku ósmego dziesiątka zeszłego stulecia z ostatnich lat rządów cesarza Aleksandra II.

W owej chwili panowało znaczne poruszenie umysłów, po którym nastąpiły czyny teroryzmu ze strony rosyjskich radykalistów. Poruszenie to nie pozostało bez wpływu na ziemstwa i jego przedstawicieli, na posiedzeniach rad ziemskich rozprawiano nieraz nad kwestyami chwili, przekraczając zakres tych działań, jakie z ustawy na instytucje ziemskie włożone zostały. W epoce takiego wzburzenia, cesarz przyjechał do Moskwy i w dniu 20 listopada 1878 r. w przemówieniu do przedstawicieli różnych stanów, a w tej liczbie do przedstawicieli instytucyj ziemskich, odwołał się do pomocy wszystkich stanów, celem położenia kresu wybrykom młodzieży, i ludzi niespokojnego ducha. Jednocześnie pojawił się w tym samym duchu komunikat rządowy, który

w nr. 168 organu rządowego zwanego *Gońcem urzędowym* został wydrukowany.

Instytucje ziemskie ruszyły się, uważając ów komunikat i przemówienie monarchy za wezwanie do działania. Ziemstwo charkowskie, a za niem i kilka innych, uchwały adresy, w których żądały, aby dla uspokojenia umysłów cesarz dał swemu wiernemu narodowi to, co nadal niedawno Bułgarom. Była to aluzja aż nadto widoczna do konstytucyi, którą Bułgaria z rąk Rosyi otrzymała.

Niezależnie od tego rady ziemskie, nie czekając na żadne w tej mierze pozwolenie, zaczęły urządzać zjazdy z różnych gubernij i miejscowości dla narady nad drogami wyjścia z ciężkiego położenia, w jakim państwo się znalazło. Na zjeździe w Kijowie postanowiono wejść w porozumienie z radykałami i powstrzymać ich od czynów gwałtu, które wedle przekonania przedstawicieli ziemstw mogły doprowadzić do reakcyi.

W następstwie tej uchwały zawiązano stosowne rokowania, odciągnięto od teroryzmu żywioły umiarkowańsze, zawarto z nimi związek ziemski dla pracy nad reformami i nad powolnem odrodzeniem społeczeństwa, zaczęto wydawać z początku w kraju, a później zagranicą stosowne pisma i studia, starając się na drodze ewolucyi dojść do pożądanego celu. Zdawało się przez chwilę, że te usiłowania i praca związku ziemskiego przyniosą zamierzony rezultat. Przyszedł do władzy hr. Loris Melikow, który zbliżał się do życzeń wyrażanych przez ziemstwo i pragnął zażegnać niepokoje za pomocą stopniowych przekształceń.

Uwydatniwszy swoją energię w różnych kwestyach, hr. Loris Melikow wypracował projekt zwołania komisji deputatów ziemskich z całego państwa, a mianowicie z miejscowości, gdzie instytucje ziemskie funkcjonowały, za pomocą wyborów w tychże instytucjach, gdzie zaś ich nie było, w drodze zaproszenia wprost od rządu, a to celem zapewnienia społeczeństwu udziału w pracach prawodawczych i w naradach nad potrzebami państwa. Tak wygotowany projekt został przedstawiony monarsze, który w d. (17 lutego) 1 marca 1881 r. takowy zaakceptował i podpisał, polecając jednocześnie hr. Loris Melikowowi wygotowanie manifestu z ob-

wieszczeniem o tem, co miało być uczynione. Hr. Loris Melikow zredagował projekt manifestu, w dniu 1/13 marca 1881 r. przyniósł go cesarzowi do podpisu i podpis ten w tejże dacie zrana otrzymał. Zanim przecież można było podać o tem do powszechnej wiadomości, zaszedł wypadek, który zniweczył wszystkie dążenia w tym kierunku i unicestwił projekt tak, że ani do ogłoszenia manifestu, ani do zwołania komisji deputatów wcale już nie doszło.

W tymże dniu o godz. 12 w południe nastąpił zamach ze strony terrorystów i cesarz Aleksander II życie zakończył. W chwili, gdy zwolennicy reform zdawali się zbliżać do celu, czerwoni poszli swoją drogą i wywołali to, czego się zgóła nie spodziewali.

Zamach wstrząsnął całem rosyjskiem społeczeństwem, budząc powszechną trwogę, szykująca się od dłuższego czasu reakcyja wybuchnęła z całą siłą, Loris Melikow upadł, jego projekta także, a państwo weszło na drogę represyi dla zniweczenia ruchu, gdy zaś uspokojenie nastąpiło na drogę reakcyi w każdym prawie kierunku. Reformy utknęły, to, co było nadane przez cesarza Aleksandra II, o ile było można, obcinano, zwężano, i kuczono. Reakcyja ujawniła się nie tylko w rządzie, ale i w samym społeczeństwie, nawet wśród przedstawicieli instytucyj ziemskich.

Jednakże ziemstwa nie upadły, ostały się i w epoce takiego cofania się wstecz dźwigały dalej pracę społeczną, jaka na ich barkach leżała. Wprawdzie w owej reakcyjnej chwili poddano rewizyi ordynacyą ziemską, za pomocą nowej ustawy z r. 1890 zespolono silniej instytucye ziemskie z administracyą państwową i wzmocniono nadzór i kontrolę nad nimi, pomimo to jednak ziemstwa, nie ustając w swoich dążeniach, zdołały rozszerzyć znacznie swoją działalność, jak tego dowodzą cyfry.

Kiedy w r. 1885 wydatki roczne ziemstw w 34 guberniach przekroczyły 43 miliony rubli, a w 1890 r. 47 milionów, to w pięć lat później, bo w r. 1895 doszły prawie do 66 milionów, w r. 1898 przekroczyły 80 milionów, a po roku 1900 dościły 100 milionów. Wedle dat z r. 1898 z ogólnej sumy wydatków 80 milionów, wydano na szkoły prawie

13 milionów, czyli 16⁰/₀; na szpitale zaś i pomoc lekarską prawie 23 miliony czyli 28¹/₂⁰/₀ wszystkich wydatków¹⁾. Dodać trzeba, że w r. 1900 wydatki miast w państwie rosyjskiem przekroczyły również 100 milionów rubli²⁾.

Jakkolwiek cyfry te nie mogą iść w porównaniu z budżetem państwa, który w ostatnich latach zbliżył się do 2 miliardów rubli rocznie, to przecież kryją one w sobie dowód rozwijającej się żywo akcji w kierunku zaspakajania potrzeb ludności zapomocą organizacyj społecznych samorządnych. Żywość uwydatnia się zwłaszcza w instytucjach ziemskich, których wydatki 100 milionowe zamykają się na przestrzeni 34 gubernij.

Przy antagonizmie, istniejącym ciągle z władzami państwowemi, rosnąca działalność instytucji ziemskich spotkała ę z nową trudnością. W r. 1900 wydane zo stało prawis o granicach ziemskiego opodatkowania, mocą którego pobory z ziemi i majątków nieruchomych na potrzeby instytucji ziemskich nie mogą być podnoszone z roku na rok więcej jak o 3⁰/₀.

Ziemstwa nietylko umiały pracować w wytkniętym dla nich zakresie, ale umiały też bronić przysługujących sobie praw, gdy zachodziła tego potrzeba. Sposobem przykładu wspomnę tutaj o losie ustawy dla zakładów lekarskich, wydanej w r. 1893. Ustawa ta została ogłoszona w zbiorze praw z r. 1893 pod liczbą 840, z tem zastrzeżeniem, że minister spraw wewnętrznych wprowadzać ją będzie stopniowo w wykonanie, i że organizacje, do których należy zawiadywanie zakładami leczniczymi, ulegać mają rozporządzeniom tegoż ministra. Ustawa ta zapowiadała tak silną ingerencyą ze strony władz państwowych, że instytucje ziemskie, w których ręku pozostają zakłady lecznicze, zeszyłyby do roli prostego dostarczyciela funduszków na utrzymanie tych zakładów, tracąc samodzielność w tym kierunku. Ziemstwa, zagrożone w swoich prawach, bez żadnych zjazdów, jak jeden

¹⁾ *Samodierżarje i ziemstwo*, str. 158 i 159.

²⁾ *Otczot odienieżnych oborotach gorodskich kas za 1900 god.*, str. 131. Cyfra ścisła bez miast Królestwa Polskiego i Finlandyi stanowiła 102,527.297 rubli.

maż oparły się nowej ustawie, odmówiły categorycznie poddaniu się takowej, i stało się, że nowe prawo pomimo dokonanej promulgacyi i publikacyi zgoła w życie nie weszło i pozostało jak dotąd martwą literą.

Przy bliższem wejrzeniu w działalność instytucyi ziemskich okazuje się, że ziemstwa, obok pożytków bezpośrednich dla dobra ludności przynoszonych, stanowią szkołę życia, która wydaje pożytecznych pracowników na polu pracy społecznej.

Postęp kultury, jaki się w Rosyi w ciągu ostatnich dziesięcioleci dokonał, w znacznej mierze przypisać należy rozwojowi instytucyj samorządnych, a przedewszystkiem ziemskich.

Przyszłości trudno odgadnąć, jaki los czeka instytucye ziemskie i jaką rolę odegrać one jeszcze mogą, trudno wiedzieć, ale przypuścić się godzi, że wyrobieni przy poważnej pracy społecznej obywatele bez wpływu na losy ogólne nie pozostaną i wpływ ten zachować potrafią.

Adolf Suligowski.

ZYGMUNT TASZYCKI.

Ustęp z dziejów aryaństwa w Polsce.

Dramat w 5 aktach.

(Dokończenie).

AKT TRZECI.

Sala bawialna w Luclawicach. Sufit podtrzymują kolumny z marmuru. Między kolumnami a ścianami szerokie przejście. Ściany wyłożone zwierciadłami. W rogach na marmurowych cokółkach popiersia Leliusza i Fausta Socynów, Lismanina i Blandraty. W jednym rogu olbrzymi piec gdański, ozdobiony herbami Taszyskich (Strzemię), Gostawskich (Oksza) i Błońskich (Biberstein). Z prawej strony drzwi do antykamery, z lewej do pokojów wewnętrznych. Środkowe podwoje, na oścież otwarte, wiodą do sali jadalnej, w której widać ogromny, obficie zastawiony stół, beczki na ligarach i szeregi butelek i gąsiorów. Nad drzwiami chórek dla kapeli, otwarty na dwie strony, tak, że kapela grać może nie schodząc to w jadalnej, to w bawialnej. Na przodzie sceny, po prawej i po lewej, wykwiłtne stoły mozajkowe. Pod ścianami i koło stołów krzesła i ławy wyscielane. Porządku zwierciadłami na ścianach świeczniki, w których płoną włoskowe świece. Między kolumnami festony z wieńców. W sali jadalnej widać tłum płci obojej, słychać gwar rozmów, wiaty. Niektórzy, stojąc, jedzą lub piją.

SCENA I.

Halszka i Stanisław Brzeski (*wychodzą z jadalnej*).

Stanisław (*żywo*). Za cóż mu czynisz afronta?

Halszka (*niecierpliwie*). Bo uprzykrzony jest.

Stanisław. Najpiękniejszy, najzaczniejszy, najbogatszy na całym Podgórzu młodzieniec — i uprzykrzony? Innaby na twojem miejscu wdzięczną była fortunie i z radością w sercu została panią Strzaliną.

Halszka. To niech sobie inna zostanie! Ja za Strzałę nie pójdę.

Stanisław. Dur ci głowę owionął, abo co? Jarosz usycha z miłości, a ty jak kamień.

Halszka. Cóż ja temu winna?

Stanisław. Spróbuj affektem odplącić.

Halszka. Ja affektów nigdy udawać nie będę; kochać już nie potrafię — nigdy!

Stanisław. Rozum ci się pomieszał, parol szlachecki. Gdybyś była papistką, rzekłbym, że w zakonie zakopać się żywcem chcesz.

SCENA II.

Ciz i Dorota.

(*Dorota wychodzi z sali jadalnej*).

Stanisław (*podbiegając do niej*). Pani Doroto, przemówcież Halszce do rozumu. Jarosz usycha z miłości, za żonę ją pojąć pragnie, a ona w jakoweś kordyaki się bawi.

Dorota (*do Halszki*). Jarosz godny młodzieniec, Halszko miła; siostrzan mój. Nie mogę cię mieć córką, niech mam siostrzenicą.

Halszka (*składając ręce*). Pani Doroto! Nie namawiajcie mnie. Wszakże wiecie, że mężowi serce oddać trzeba — ja serca dać nie mogę.

Stanisław. Byłeś fochów nie wyprawiała, a afrontów nie czyniła, on czekać będzie. Oswoisz się, może ci serce do niego przyjdzie.

Dorota. On słusznie mówi, Halszko. Rozsądną trza być. Czas może co zmieni! Tak zacnem postanowieniem nie godzi się pomiatać.

Halszka (*płacząc*). Ja nie chcę, nie chcę! Nie mogę! Nigdy męża nie wezmę!

(*Stanisław chodzi rozgniewany*).

Dorota (*uspakajając Halszkę*). Nie płacz, dziecko, nikt ci gwałtu czynić nie będzie.

Stanisław (*z gniewem*). At, dałaby pokój, ma też czego żyć!

Dorota. Idź Halszko do sypialni. Uspokój się, przemyj oczy. Jeszcze zaraz nie przyjadą.

(*Halszka wychodzi*).

SCENA III.

Ciz i kobiety (*wychodzą z jadalnej*).

Dorota. Jejmoście, proszę za mną. Pobawimy się gawędką na osobności. Pleć brzydka sama czasem ostać lubi.

(*Odchodzi na lewo, wszystkie kobiety za nią*).

SCENA IV.

Lubieniecki, Przypkowski, Szlichtyng, Wiszowaty, Chrzczon Kazimierski (*wchodzą, żywo rozmawiając i gestykulując. Czterej ministrowie w togach. Chrzczon w szarej odzieży z torbą przez plecy*).

Wiszowaty (*kończy*). To mówię waszmościom, najdziesz dziś takiej wyniosłej myśli pany, rzekomo chrystyany, którzy acz często o tytuły i rewerencyę nie dbają, a przecież gdy którego bratem napiszesz, pod pokrywką z tego, jakom sam doznał, szydzą.

Szlichtyng. Pycha ich dyabelska jest! U pana podczaszego Bielskiego trzy niedziele temu byłem, tam, mówię waszmościom, godzin kilka przed drzwiami pańskimi czekałem. A skoro Żydowin, który się czarnoksięstwem bawił, zakolał, zaraz go puszczo.

Przypkowski. Rzecz w tem jest, że chcecie od waszych owieczek cnót wszelakich multum, którym one zdzierżyć nie mogą. Moje zdanie od dawna : rytuał ponurzenia, zakazy urzędu i miecza znieść, wstrętów nie czyniąc żadnych. W on czas zbory nie pomieszczą chrystyanów.

Lubieniecki. Takoć i ja myślę, że urzędów dozwolić oficjalnie lepiej będzie. Wszelakoż miecza, tak sobie imaginuję, imać się nie godzi.

Chrzczon. Przecz Zygmun, discipuł wasz, miecz wziął?

Lubieniecki. Folgę mu czynić trza. Wygnać z Luławie zgradowanie mocen jest, gdy w furię wpadnie.

Chrzczon. A toście go pięknie wychowali! Sami zaś dobrowolnie fundamenta „Zboru mniejszego“ burzyć chcecie. Kanony zboru rakowskiego, Hierosolimy naszej, wszakże mówią: „Niesłuszna jest rzecz wiernemu Aryaninowi hetmanem, wojewodą i wszelakim urzędnikiem być; a oręza wszelakiego i podróżnemu nosić się nie godzi, ani praw się imać, które gardłem karzą, lub przysięgę mieć chcą“. Rozbójnikowi nawet bronić się chrystyaninowi nie przystoi.

Wiszowaty. Trzymać się onych kanonów mus jest, choćby to miało oburzyć dyabła i jego babkę.

Chrzczon. Kto inną myśl ma, nigdy tryumfu nad sługami antychrysta nie zażyje i jako gnida wygniecion będzie.

Przypkowski. Syny Rzpltej jesteśmy. Jeśli miecza brać nie chcecie, tedy ją w potrzebie opuszczacie. Źle, gdy syny matee mordowanej sukkursu odmawiają.

Wiszowaty. Co tam nam Rzplta. Tu o chwałę Bożą idzie. Królestwo Boże prawo ma przed Rzpltą pirsze.

Przypkowski. Rebelliant z waści!

Wiszowaty. To z waści odmiennik!

Chrzczon. Jako kur indyjski grzebienie zmieniaacie. Naginać kanony wedle wiatru co wieje. Taszycki prawo gwałci, a wy pochlebni w jego trąbkę dmiecie. Słuźalecy podłe!

Lubieniecki (*z gniewem*). Mityguj się waść!

Przypkowski (*do Chrzczona*). Skóra na tobie chrystyańska, ale we wnętrzu, zamiast cichości a znaczenia, pycha a chępliwość mieszka, która z trzaskiem na wszelaki opór się puszcza. Trzymasz, bracie Kazimierski i ty Benedykie, że urząd dzierząc, św. ponurzenia, żaden człowiek dostąpić nie godzien jest. A cobyście uczynili, gdyby do was wojewoda abo hetman z którejkolwiek sekty przyszedł, kajał się, a chcąc już wszystkie

artykuły wiary z nami trzymać, prosiłby ponurzenia św.,
zaś województwa lub hetmaństwa by zbyć nie chciał?
Cobyście, mówię, uczynili? Przypuścilibyście onego?

(Chrzczon i Wiszowaty patrzą na siebie, wruszając ramionami).

Szlichtyng *(śmiejąc się)*. A to was Samuel z mańki zażył.

Lubieniecki *(śmiejąc się)*. Wilka za uszy trzymacie!

Przypkowski. No cóż? Przypuścilibyście?

Chrzczon *(przez zęby)*. Do kata! Przypuścilibyśmy.

Szlichtyng. Habet!

(Lubieniecki, Przypkowski, Szlichtyng śmieją się).

SCENA V.

Ciż i Krzysztof Wyszkowski, Hejk, Łapka i cały tłum szlachty aryańskiej. *Przez wszystkie następne sceny służba rozlewa wino, puhary krążą. Chiliaści w takiej jak Chrzczon odzieży trzymają się ciągle na uboczu. Łączą się z nimi Chrzczon i rozmawiają żywo.*

Wyszkowski. Niech żyją nowożeńcy. Wiwat! *(spełnia puhar).*

Szlachta. Wiwat!

(Wyszkowski podaje pełen puhar Łapce).

Łapka. Młodemu stadłu na zdrowie! *(pije i ociera usta rękawem).* Zadne wino!

Grzegorz Minowski. Ozdobre przenosiny!

Tomasz Pielsza. Co prawda od dawna nie bywało, żeby prawowierny chrystyanin zenił się z papistką.

Łapka. Papista nie papista, chrystyanin, luter, kalwinus, wszystko ludzie i wszystko od praszczura Adama prostą linią idzie. W tem grunt! Wszystko inue furda!

Mikołaj Wiktor. Prawda jest.

Wyszkowski. Tak i ja mniemam.

Chrzczon *(występując)*. Nie godzi się wiernej braci w ten sens mówić.

Kilka głosów. Nie godzi się.

Łapka *(pogardliwie)*. At co wy tam wiecie!

Bernat Trykacz *(z gniewem)*. W kark ci dam, żydowski pi-sarzu, zaraz będziesz wiedział w co masz wierzyć!

Łapka. Stul pysk, torbiarzu!

Wyszkowski (*uspakajając*). Zgoda, waszmościowie, zgodą. Szanujcie dom i uroczystość.

SCENA VI.

Ciż i Lenart Buczyński.

Szlachta. Buczyński, Buczyński! Czołem!

Buczyński. Czołem, panowie bracia! Wina hyżo dawajcie, bom do cna medł od pragnienia.

Pielsza (*pije*). W ręce wasze, panie Lenarcie.

Buczyński. Za zdrowie i powodzenie nowego stadła. Vivant!

Szlachta. Vivant! (*piją*).

Buczyński (*sposstrzega Wyszkowskiego*). Boga mi! Pan podczaszy dobrodziej! Jakimże osobliwem miraculum, waszmość tu, panie Krzysztofie? (*ściskając się*). Tak mniemam, że chyba na świat finis przyjdzie.... Taszycki ożenił się z katoliczką; pan podczaszy, kalwinus zakuty, w gościnie u Aryanów!

Wyszkowski (*śmiejąc się*). Zmyłem ja moje kałwiństwo w Dunajcu.

Buczyński. Nie może być! Przyjąłeś waszmość św. ponurzenie?

Wyszkowski. I jak jeszcze! Febra mnie potem z miesiąc trzęsła po takowej kąpieli. Myślałem, że mi Wiszowaty czuprynę urwie, tak mnie za nią mocno nurgał, bym zbył kalwińskiego plugastwa.

(*Szlachta się śmieje*).

Buczyński. I jakież to oświecenie przyszło na serce waszmoście, panie Krzysztofie?

Wyszkowski. E, nijakiego oświecenia nie było, inom się zawziął na mojego ministra.

Buczyński. Tak, jak przedtem na proboszcza.

Wyszkowski. Akuratnie! Proboszcz był ladaco, ale minister jeszcze gorszy! (*zwraca się do szlachty*). Imaginujcie sobie, waszmościowie, juha worywał się w moje grunta. Mówię mu po dobroci: „Szelmo, a zasię od mojej ziemi, masz com ci dał“. Probostwo, mówię waćpanom, buzi dać. O robkowską plebanię ubijali się proboszcze, jak

biskupi o prymat, albo o krakowską infułę. A ten nie! I worał się znów. Wziął zagon ziemi przedniej; wyrosła mu na nim pszenica na schwał; chłopu czupryny nie zobaczysz! Tak mu mówię drugi raz, po dobroci ciągle: „Kpie, oddaj coś wziął, bo będzie źle!“ A ten nie! Tak też i złość mnie zdjęła i przymówiłem mu, co prawda, szpetnie! A on pyskuje, że pójdzie na skargę do ks. hetmana litewskiego, jego faworytem mieniać się być. Tak ja do Wiszowatego i mówię mu: „Aryaninem chcę ostać, prebendę piękną wam dam“. Tedy nurzał mnie Wiszowaty. A potem, jakem wrócił do Robkowa, tom w dwie godziny plebanię z tych gnidów przystojnie oczyścił. Nie wiem, czy się ta wesz heretycka poszła skarżyć do hetmana, bom mu godnie szerpentyną łeb pochlastał.

Łapka (*śmiejąc się*). I podczaszostwa waszmość nie zbyłeś?

Wyszkowski. Jeszczeby też? Rad był Wiszowaty, że mnie dostał, a nie żeby mnie szkodować chciał! Bo to ja głupi czynić jak Jan Niemojowski, co sęstwa ziemskiego inowrocławskiego zbył, z torbami chadzał, a ministry dobytkiem jego się panoszyli. Tak myślę, żebym się był zaparł, toby mnie i bez ponurzenia byli puścili. Ale jakom uczciwy szlacheć jest, a za porządkiem trzymam, więc wszystko wolalem uczynić wedle reguły, godnie!

Buczyński. I nie tęga waszmości za dawnymi kompanami?

Wyszkowski. At, prawdę rzekłszy, panie bracie, byle człek uczciwie żył, a jednemu Bogu, nie zaś bałwanom lub cale niczemu cześć oddawał, co tam więcej trza!

Łapka. A czy Trójca św. jest, czy tylko dwoje Boga, czy po śmierci człowiek pójdzie do nieba, piekła albo czyścica, czy cale szczęście, co nas to obchodzi! To wszystko śmieszne wymyśli, facecye.

Wyszkowski. To znów po pogańsku waszmość rzecz wywiodłeś...

(*Szlachta zaczyna szemrać*).

Głosy. My nie pogany jesteśmy.

Łapka. To jesteście durnie!

Głosy (*między szlachtą*). Sam jesteś dureń. Pysk trzymaj.

Buczyński. Nie przymawiaj nam waćpan.

Łapka. To tak po dobroci. Nie chcę bynajmniej waszmościom ubliżyć, ani ich duszom jakowychś wstrętów w obiorze *locum fixum* po śmierci czynić.

Roch Wandron (*sentencyjonalnie*). Przecież wiadomo jest, że po śmierci dusza na łonie abrahamowem spocząć ma, jeżeli obrzezaniem owo cielesne mieszkanie duszy onej uświęcone i przykazań mojżeszowych zachowaniem udoskonalone było!

Szlachta (*podnosi wrzask*). Żydotrójczak, sprośnik, szelma! Bigosować go! Na bigos żydotrójczaka!

(*Szlachta z pięściami rzuca się na Rocha. Chiliaści go otaczają*).

Chrzczon. Pax, pax! Nie godzi się bezbronnych napastować.

Buczyński. Żydotrójczak jest, wstrętnik obmierzły!

Pielsza. Hańbę chrystyanom przynosi.

Wiktor. Nienawiść Rzeczypospolitej na chrystyan ściąga.

Minowski. Chiliaści też. Bigosować chiliastów.

Szlachta (*chórem*). Bigosować!

Lubieniecki. Panowie bracia! Uciszcie się!

Pielsza. Precz z heretykami, co prawą wiarę chrystyańską przekręcają.

Szlachta. Precz! Precz!

(*Nacierają na Wandrona i na chiliastów*).

SCENA VII.

Ciz i Dorota, Halszka, fraucymer i wszystkie kobiety.

Lubieniecki (*do szlachty*). Panowie bracia! W gościnie jesteście. Pani Gosławska uprasza, byście burd w jej domu nie wyprawowali.

Dorota. Wstrzymajcie waszmoście krewkość waszą. Za chwilę syn mój po raz pierwszy wstąpi z żoną w progi swego domu. Niech go nie znajdzie krwią a gwałtem zmazanego.

(*Szlachta uspokaja się*).

Kubus (*wbiega*). Jada! jada!

(*Lubieniecki podaje Dorocie tacę z chlebem i solą. Większa część gości wychodzi na prawo, pozostali tłoczą się we drzwi*).

które zostają otwarte. Chwila ciszy. Potem słyhać turkot zajeżdżających powozów, wystrzały z moździerzy i huczną muzykę. Od czasu do czasu muzyka i strzały cichną; dolatują wtedy pojedyncze słowa oracyi, a potem znów salwy, muzyka i wiwaty. W czasie ostatniego, trzy razy powtarzanego wiwatu, ukazuje się na chórze muzyka).

(Zygmunt wprowadza Hannę, kapela przyjmuje ich hucznie. Za Zygmuntem i Hanną idą: Dorota z Dembińskim i reszta zgromadzenia. Zygmunt prowadzi Hannę na przód sceny, muzyka cichnie).

SCENA VIII.

Zygmunt, Hanna i wszyscy członkowie obu rodzin i obu wyznań, prócz Misiewskiego.

Zygmunt. Hanno moja, jesteś w swoim domu. Wszystko, co widzisz, twoje jest, a jam twym pierwszym sługą i niewolnikiem (*przykleka, całując rękę żony*).

(*Szlachta wiwatuje. Zygmunt prowadzi Hannę trochę ku lewej stronie, tak, że przed oczyma zgromadzonych zakrywają ich w części kolumny. Dorota odwraca się z gniewem i odchodzi w głąb sali, ciągnąc Halszkę za sobą. Halszka zwraca się ku Hannie i grozi jej*).

Halszka. Nienawidzę cię, ty! ty! coś mi szczęście ukradła; nienawidzę cię! (*idzie za Dorotą, zgromadzeni rozsypują się po sali*).

Hanna. Jak tu cudnie, Zyguncie. Czarodziejów pałace nie wiem czy równie piękne są?

Zygmunt. Ukontentowanaś, życie moje?

Hanna. Szczęśliwa jestem! Szczęśliwa! Ale nie dla tego, żem tak wspaniałych komnat pani, że bogactwem i dostatkami otaczasz mnie, bom tego nie łakoma! Szczęśliwam, że ciebie na zawsze mam przy sobie, twoje nazwisko noszę, twoją żoną jestem, dla ciebie i tylko dla ciebie żyć mogę.

Zygmunt (*obejmując ją*). Ukochanie moje jedyne! Czy ty wiesz, jak ja cię miłuję? Ja szaleję! Krew tętni! Głowa się pali. Ja za ciebie w piekło pójde, życie oddam, duszę stracę!

Hanna. Królu mój, nie chcę, abyś dla mnie życie stracił i duszę. Ja chcę właśnie, abyś dla mnie i przezemnie żył! O! jak szczęśliwie! (*pieszczotliwie*). Będę ci w oczy patrzeć, myśli zgadywać i będzie nam dobrze, jak w niebie! Prawda-li?

Zygmunt. Prawda, słoneczko moje?

Hanna. Żali może nam być źle, kiedy się miłujemy i żyć możemy pospołu? Powiedz Zygmuncie, żali może?...

Zygmunt. Nie, aniele mój, cesarzyku, nie może! Będziemy zawsze, jak teraz, w błogości pogrążeni (*pieści Hannę*).

Dorota (*podchodząc, głosem surowym*). Zygmuncie, nie baczysz, że masz gości.

Zygmunt (*przyciulając silniej do siebie Hannę*). Darujecie, matko, aleć wicie, że na Jarosza dzisiaj zdał obowiązki gospodarza. Bracia szlachta łącznie wyrozumieją i darują, że nie jest dzisiaj na ich usługi.

Dorota (*do Hanny zjadliwie*). Nie wiem, czy białogłowy u katolików ze skromności niewieściej odarte są. U nas nie ma obyczaju, aby się niewiasta, ku ogólnemu zgorszeniu, publicznie całować dawała.

Hanna (*odsuwając się żywo od Zygmunta, ze słodyczą*). Wasza Miłość raczy wybaczyć. Zapomniałam, że na nas patrzą. Myślałam, że sami jesteście.

Zygmunt (*chwytając Hannę wesoło w objęcia*). Pani matko! A wszakżeśmy mąż i żona? Nie sroście się! Nikt tu z przystojnego affektu zgorszenia nie weźmie.

(*Dorota odwraca się z gniewem i odchodzi*).

Zygmunt. Hanno moja najmilsza, daruj staruszce. Zazdrosna o syna jest, ale ułaskawi się.

Hanna (*zatrwożona*). Ja jej się tak boję, Zygmuncie!

Zygmunt. Pozna cię i pokocha—i ty ją. Nie bój się, najdroższa. Nie żałuj, żeś weszła w te progi, bo szczęśliwość niesiesz mi wianem—szczęśliwość nie tylko oczom i sercu, ale i umowi i duszy. Jam dziwny czasem człek jest, Hanno. Choć mąż, niewieścia wrażliwość a odczuwanie mną owłada. Tak-że i teraz się dzieje. Gdy od ciebie słowo brał, affektu-m jeno pragnął, rozkoszy. A teraz czuję, że ty spokojicielem mi będziesz—że oddam to, co we włoskiej ostawił krainie, spokój duszny, a prawdy

rozeznanie. Wyższa moc jakaś ku tobie mnie wiodła, nie po to tylko, bym zmysły napasł. Widzę to jasno!

Hanna. Obym jeno podołała, Zygmuncie mój. Jeśli miłość ukochanemu spokój duszy a jasność myśli wrócić może, tedy potrafię to uczynić, bo nad życie własne miłuję cię!

Zygmunt (*porywa ją w objęcia*). Drogości moje, skarbie jedyny!

Strzała (*podbiega do Zygmunta, wesóło*). Zygmuncie, sobek jesteś. Ty się tu amorami bawisz, to ci i dobrze. A tam młodzieży do tańca dusza się rwie. Pani Hanna w pierwszą parę z tobą iść ma, bez was zacząć ani rusz.

Hanna (*wesóło*). A pan Jarosz z kim pójdzie w parę, że mu tak do tańca spieszno?

(*Strzała stoi z miną skonfundowaną*).

Zygmunt (*żartobliwie*). W samo sedno trafiłaś, Hanno! Patrz, jak żak się rumieni. (*Do Strzały*). Ej, zajechała ci Halszka Lubieniecka głęboko w serce! Pograżon jesteś, bratku, pograżon!

Strzała (*wesóło*). Negować tego nie mogę! Ale dowcip nadto bystry macie, państwo mili.

Hanna (*wdzięcznie*). Już ja waćpanu sekretu dochowam wienie, a może i w potrzebie pomódz potrafię.

Strzała (*całuje jej ręce*). Wdzięczen będę Waszej Miłości do grobowej deski... Halszka oporna jest. Słówko miłe a mądre może mi drogę do rajtu otworzy.

Zygmunt (*patrząc na żonę z uwielbieniem*). Już to doprawdy moją Hannę Bóg od rajskich drzwi furtyanką uczynił.

Hanna (*śmiejąc się*). Żeby tak lepiej od bram piekielnych klucze powierzyć mi był raczył. Ani jednego szatana na świat bym nie puściła.

Strzała (*z galanterią*). Wasza Miłość anioł jest. Na sam jej widok diabolus zmykać nie omieszka... A już z naszym Zygmuntem cuda się dzieją. Ledwie dwie doby po ślubie, a patrz Wasza Miłość jak spogląda wesóło i rześwo, jak rumieniec krasi mu lico, a uśmiech, niedawno temu gość rzadki, na ustach mieszka. No, Zygmuncie, prowadź polskiego — a dzielnie! (*podnosi rękę z czapką do góry*). Hej, muzyko, polskiego!

(*Kapela uderza w trąby i kotły. Zygmunt podaje ramię Hannie i staje w pierwszą parę. Za nimi inni. Dorota z Dembińskim siadają na przodzie sceny po lewej. Koło Doroty Halszka. Po prawej stronie skupiają się Chiliaści i Wandron*).

Strzała (*podbiegając do Halszki*). Do polskiego Waćpanna ze mną pójść raczysz?

Halszka. Nie tańcuję.

Strzała (*błagalnie do Doroty*). Pani wujenko, nie pozwólcie pannie Halszce krzesel obsiadować!

Halszka. Nie uprzykrzaj się Waćpan, bo inaczej całe sobie pójde.

Strzała. Kiedy Waćpanna tańczyć nie chcesz, to i mnie zabawa niemila. W tan, bez Waćpanny, pójść nie myślę.

(*Staje za krzesłem Halszki i od czasu do czasu rozmawia z nią. Zygmunt prowadzi poloneza. Kończy go odbijanym. Doszedłszy do Hanny, prowadzi cały taniec na przód sceny; sadza żonę koło stołu, po lewej, i staje przy niej, chłodząc się czapką i rozmawiając. Reszta tańczących odpoczywa lub skupia się w gromadki. Halszka i Dorota łączą się z kobietami. Służba roznosi ciasta i chłodniki. Mężczyźni piją*).

SCENA IX.

Ciż i Misiewski.

(*Hipolit wita go z radością i prowadzi ku Taszyckim*).

Misiewski (*składając głęboki ukłon Hannie*). X. Biskup Gembicki każe oświadczyć swój affekt serdeczny państwu Taszyckim i przesyła pani Hannie ten oto upominek (*podaje Hannie króbkę, Hanna otwiera i wyjmuje złoty łańcuch, na którym misternie splecione wiszą godła Wiary, Nadziei i Miłości*).

Hanna. Jakież misterne a piękne! Patrzaj Zygmuncie! (*zawieszca na szyi*).

Misiewski. Ksiądz Biskup życzy, aby symbolum ono przypominało, że gdzie miłość ufność wzbudzi, tam i wiara się znajdzie.

Hanna (*dając Misiewskiemu znak, aby milczał*). Dziękczynnie-

nia wujowi przesłać nieomieszkam (*do męża*). Wszak prawda Zygmuncie, podziękujęm oboje?

Zygmunt. Jakżeby inaczej być mogło (*nachyla się ku Hannie i zaczyna z nią rozmawiać przyciszonym głosem. Misiewski bierze Hipolita pod rękę. Obaj idą na środek sceny*).

Misiewski (*zatykając nos*). Tfy! jak tu siarką cuchnie!

Hipolit. Od onej dyabelskiej owczarni pewnie że fetor w nosie wierci.

Misiewski. Coś mrużny jesteś bracie?

Hipolit. Nie mam się czego weselić!

Misiewski. Do serca nic sobie nie bierz. Niech jeno Pan Bóg jakiego potomka od Hanny na świat wystawi — to już Gembickiego w tem rzecz — że nie nurzany, ale przystojnie ochrzczony będzie.

Hipolit. Tobie ufam.

(*Demiński, Chochorowski i szlachta przybliżają się*).

Demiński (*do Misiewskiego*). Cóż tam w Krakowie słyhać?

Misiewski. A nie!... Dykteryjki rozliczne ludzie sobie opowiadają wiele ucieszne i piosenki krotochwilne śpiewają. Może Waszmościowie posłuchacie?

Szlachta. Powiadaj Waść.

Misiewski. Kiedy wola panów braci, tedy wydeklamuję poezję jedną piękną (*wchodzi na stółek i zaczyna donośnym głosem*). „Peregrynacya dziadowska“ on wiersz zatytułowan jest. Dziadowiny dwa, Kubrak i Choroba, wszędy chodzą po zebraniu, a Kubrak rzecze do Choroby:

„Ja pójdę do Luławie, choć do Aryanów,

„Nieźle też tam być musi, bo tam dosyć panów.

„Małoć też tam od Żydów coś trochę trzymają...

Lubieniecki. Milez Waść!

Misiewski (*deklamuje dalej*):

„Mają i tej i owej wiary po kawału,

„Ale to najstraszniejsza, że się chrzczą w Dunajcu...

Hipolit. Adamie, opamiętaj się co robisz?

Misiewski (*deklamuje dalej*):

„Tak się chrzczą, kto przyjmie wiarę jaką nową,

„Wrązi go pod Dunajec pospołu i z głową;

„To go trochę potrzyma, aż modlitwę znowi,
 „A potem go za włosy porwie ku wierzchowi...
 „Chrzecielnica...

(Między szlachtą szmer groźny. Chrzczon przyklaskuje i zamierza się, chcąc wymierzyć Misiewskiemu policzek).

Chrzczon. Bezecniku!

Misiewski *(chwytą Chrzczona za obie ręce i zmusza do przykleknienia)*. Klękaj obdartusie — i przeproś.

Wyszkowski *(groźnie)*. Puść go Waś i sam wszystkich przeproś. Despekt chrystyanom uczyniłeś.

Misiewski. Świnie przeproszę, nie was!

Szlachta aryańska *(podnosząc pięści)*. Przeproś, bo cię na miązgę rozgnieciem.

Katolicy *(otaczają Misiewskiego, wyciągając szable)*. Nie dajmy się juchom heretykom. Jako chamy pięściami walczycie, zdusim was.

Zygmunt *(próbuje uspokajać)*. Panowie bracia!

Wyszkowski *(odsuwa go)*. Umknij się Waś; despekt nam uczynił, odszczeka lub zginie!

(Aryanie i katolicy rzucają się na siebie. Kobiety z krzykiem kryją się po kątach).

Hanna *(staje między walczącymi)*. Błagam Waszmościów nie oblewajcie mi krwią ogniska. Dochodźcie waszych krzywd później. Jakoż pierwszą noc usnę pod własnym dachem, który trupy i krew nakrywać będzie.

(Szlachta zaprzestaje walki).

Głosy. Rycerz, nie białogłowa!

(Pomruk między szlachtą; przeciwnicy patrzą na siebie z gniewem).

Demiński. Dziwujcie się Waszmościowie dzielności i animuszowi duszy niewieściej! Między szablę się, jako junak, rzuciła pani Hanna, niechże nagrodą jej śmiałości wazsa zgoda będzie. Wiwat pani Taszycka!

Głosy *(między szlachtą)*. Wiwat pani Taszycka! wiwat! wiwat!

Demiński. Panowie bracia, zalejmy wszelkie rankory! Hej wina! *(podają mu puhar)*.

Dembiński (*do Wyszkwowskiego*). W ręce wasze, panie podczaszy! Wychylicie przecież kielich na cześć pani Taszyckiej (*pije do niego*).

Wyszkwowski (*waha się przez chwilę*). Niechże i tak będzie! (*bierze puhar — do Misiewskiego*). Dziś Waszmości darujęm, bośmy w gościnie, ale drugi raz choćby i na królewskich pokojach, nie puścim płazem.

(*Misiewski chce odpowiedzieć. Jarosz daje znak kapeli*).

Jarosz Strzała. Hej muzyka, mazowieckiego! (*kapela zaczyna mazura*). Panowie bracia, dalej w tan. Zapomnim cholery przy ochocie!

SCENA X.

(*Rozpoczyna się taniec. Starszozna aryańska i katolicka pije, każda grupa osobno. Nagle muzyka cichnie w pół taktu, pary stają. W drzwiach od antykamery ukazują się Napierski i StyMBERK, za nimi opryszki. W drzwiach od jadalni staje drugi oddział opryszków*).

Napierski (*donośnie*). Czolem Waszmościom.

Głosy wśród zgromadzonych. Co to? Kto to? Napierski!

Zygmunt (*idąc ku Napierskiemu*). Czolem Waszmości, z kim mam honor?

Napierski. Jestem Napierski.

Głosy. Bij! lapaj!

Napierski. Któryż z Waszmościów... pan Taszycki?

Taszycki (*postępuje z dobytą szablą*). Taszyckim jest....
Jeśli....

(*Napierski i StyMBERK postępują nagle ku Zygmunтови, chwytają go za ramiona i przykładają mu pistolety do skroni. Hanna, Halszka i Dorota z okrzykiem grozy biegną ku niemu, za nimi szlachta z dobytymi szablami, Aryanie z zaciśniętymi pięściami*).

Napierski (*groźnie*). Stójcie! Wy tam z szablami i pięściami, bo Taszyckiemu w leb strzelę, jak psu!

(*Szlachta staje. Hanna, Dorota i Halszka padają na kolana*).

Hanna. Ulituj się, nie zabijaj!

Napierski. Zabijać nie myślę, chyba mnie do tego zmusicie

(*do szlachty*). Dajcie Waćpanowie parol, że żaden z was oporu nie uczyni, stąd się nie ruszy, póki ja nie wyjdę i że pan Taszycki dobrowolnie za mną pójdzie.

Zygmunt. To hańba! Nie dawajcie parolu!

Głoso (*między szlachtą*). Nie damy! Nie damy!

Napierski. Oporu nie próbujcie. Moja gromada dwór opasała. Żywa noga stąd nie wyjdzie. Dajcie parol.

(*Z drzwi na lewo wybiega Kubuś krzycząc i lamentując, za nim cała służba*).

Kubuś (*krzyczy*). Zbóje! zbóje! Cały dwór dokolusienka ob-stąpili w trzy rzędy. Pełniutko ich w ogrodzie. Cała czeladź powiązana. Porzną nas, jak barany. Doloż moja, dolo! (*zawodzi*).

(*Hipolit i kilku szlachty patrzą w okno*).

Hipolit. Prawda jest! Tam do kata! W potrzasku siedzim. A tu jeszcze przez te bestyjskie herezye większa po-łowa z nich bez szabel!

Wyszkowski. Nic to. Bronić się będziem!

Szlachta. Nie damy się.

Hanna. Na miłość Boską oporu nie czyńcie!

Dorota. Syna mi na rzeź nie wydawajcie!

Napierski (*niecierpliwie*). Trzy Zdrowaś Marya wyczekam. Po onym terminie albo parol dacie, albo Taszyckiemu w łeb strzełę.

Szlachta (*porywając się ku Napierskiemu*). Jucha! Szelma!

Hanna (*staje przed Zygmuntem i rozkłada ręce*). Po moim trupie pójdziecie naprzód! Ulitujcie się, dajcie parol. Męża mi ratujcie! (*szlachta się naradza*). Niema czasu na sejmikowanie! Dajecie parol?

Demiński (*z gniewem*).³ Szlachecką masz krew w sobie, mo-ści Napierski, a paskudnie działasz. Niema co! Daję parol.

Napierski (*do szlachty*). A Waszmościowie?

Szlachta (*chórem*). Niech cię zaraza zdusi, opryszku! Da-jemy!

Misiewski. Jako żywo bronić na nie się nie zda! Żebyś pękl zbóju! Parol dać muszę, ale odplacę ci ja za to -- po-czekaj!

Napierski. Służę Waszmości (do *Zygmunta*). A Waszmościm parol?

Zygmunt. Dajęć go!

(*Napierski i StyMBERK puszczają Zygmunta, ale stoją ciągle przy nim*).

Hanna (*przyciskając się do męża*). Zygmuncie, ty z tymi zbrojami nie pójdziesz?

Zygmunt. Cicho, najmilsza! Obaczmy co z tego będzie?

Napierski (*do Dembińskiego*). Mości Dembiński, dajcie znać panu Platenbergowi, że do Czorsztyna niema co wracać! Milicya wycięta, zamek mój!

Dembiński. Do stu dyabłów!

Napierski (*z szyderczą grzecznością*). Boli tunie to, że Waszmościom uciechę przerwać musiał, ale każdy o sobie jako może radzi (*do Zygmunta*). Mości Taszycki, jakom rzekł: pójdziesz ze mną na zakładnika (*do szlachty*). Od Waćpanów zależy prędkie pana Taszyckiego uwolnienie (*do StyMBERKA*). Ilu ich tu jest, StyMBERK?

StyMBERK. Dwustu.

Napierski. Dobrze. Tedy każdy z Waszmościów złoży za siebie 1000 złp. okupu, za pana Taszyckiego zaś zapłacą matka i żona 10.000 złp. Jeśli do przyszłej niedzieli pieniądze nie będą w Czorsztynie, pan Taszycki życia zbędzie. Żegnam Waszmościów (*do Zygmunta*). Proszę za mną.

Głosy (*między szlachtą*). Zbój obmierzły! Dyabelski syn!

Hanna (*błagalnie do Napierskiego*). O zabierz mnie ze sobą! (*czepia się Zygmunta*). Zygmuncie, weź mnie z sobą.

Napierski (*rubasznie*). Nic z tego! Tęsknij, tęsknij, żonusi, prędej okup dostanę!

(*Hanna obejmuje Zygmunta, który ją przyciska do piersi. Dorota klęka przed Napierskim*).

Dorota (*z rozpaczą*). Zmiłuj się, nie zabieraj mi syna.

Napierski (*zimno*). Masz Waćpani pod ręką 200.000 złp.?

Dorota (*łamiąc ręce*). Nie mam.

Napierski. Tedy wyrozum Waćpani, że syna puścić nie mogę.

Zygmunt. Matko, tego zbrojcy nie proś! Hanno najmilsza, spokojna bądź, gdy okup zapłacicie, wrócę. Żegnajcie mi!

(Idzie ku drzwiom, Napierski i Stymberk za nim. Hanna stoi jak skamieniała, Dorota pada na ziemię).

Dorota (z jękiem). Umieram!

(Halszka przykłęka i podtrzymuje głowę Doroty. Hanna stoi ciągle nieruchoma. Zygmunt zwraca się i chce iść ku matce).

Napierski (chwytając go za ramię). Ruszaj Waś, to babskie gadanie.

Dorota (z wysiłkiem unosząc głowę). Zyguncie... chodź... pożegnaj!...

Napierski (do Zygmunta). Nie nawracaj, bo strzelę!

Hanna (budzi się z odrętwienia, chwytając Napierskiego za rękę i potrząsa nią gwałtownie). Zbój, przecież i ty miałeś matkę... Jego matka tam kona! W imię tej, która ci życie dała, zaklinam, pozwól mu zostać choć chwilę.

Napierski (poufale). A to śmiała pliszka (do Zygmunta). No, idźże już Waś, ale niech będzie krótko!

(Zygmunt kłęka przy Dorocie, koło niego Hanna, za nim Napierski i Stymberk. Wszyscy obecni skupiają się stając kołem).

Dorota (słabym głosem). Zygmunt! Zygmunt!

Zygmunt (pochylił się nad nią). Jestem tu, matko!

Dorota. Już cię nie widzę!... Zyguncie... umieram... Pamiętaj... trzymaj się... wiary naszej... bo z grobu wstanę... przypomnę... przysięgę! Napierski... umieram... i ty umierać będziesz... Pomnij na ostatnią... godzinę... nie zabieraj... syna! Zyguncie... pamiętaj... żegnaj... (umiera).

Zygmunt (zakrywa twarz rękoma, kobiety płaczą).

Napierski (cofa cię o kilka kroków. Chwila milczenia).

Napierski. Uciechy nie sromalem się przerwać, alem szlachcie jest i przed śmiercią respekt mam. Interrupcyi nie uczynię smętkowi waszemu. Ostańcie Waszmościowie z Bogiem.

(Wychodzi ze Stymberkiem, za nim opryszki. Zygmunt w niej rozpaczy kłęczy nad ciałem matki. Hanna tuli się do niego. Chwila milczenia).

Lubieniecki (podchodząc do Zygmunta). Zyguncie, bądź mężny!

Zygmunt (*wstaje i wyciąga ręce błagalnie*). Ostawcie mnie!

Nie mówcie do mnie! Chcę być sam!

Hanna. Zygmuncie najmilszy!

Zygmunt (*odsuwa ją*). Nie teraz, Hanno, nie teraz. Idźcie, idźcie wszyscy! Chcę być sam z matką i sobą! Chcę być sam!

(*Kłęką nad ciałem. Wszyscy wychodzą powoli. Hanna zostaje w głębi, zgina kolana i modli się*).

Zygmunt (*rzuca się z jękiem na zmarłą*). O matko!

AKT CZWARTY.

(*Komnata ta sama co w akcji II, tylko po oknach i na stole kwiaty. Na dworze wicher i ulewa*).

SCENA I.

(*Kubuś ze ścierką w ręku otwiera ostrożnie drzwi z prawej strony, staje na progu i rozgląda się trwożliwie. Po chwili otwiera na rozcież oba skrzydła, próbuje czy się nie zamknie i postępuje parę kroków*).

Kubuś. A to dopiero napadało! (*Idzie ku oknu i wyciera podłogę*). Musi, ktoś znaczny się obwiesił, bo drzewa do ziemi sięgną, a gałęzie i liście lecą gradem. Już tam pewno Kosikową chałupę dyabli wezmą, bo to w pogodę trzeszczało jak gnaty w psim pysku, ledwie ją tam drągami trochę podparli. (*Mateusz przechodzi koło drzwi i zamyka je z trzaskiem*).

Kubuś (*pełdzi i otwiera*). Kto tam zawiera drzwi?

Mateusz (*wchodzi*). Ja; kto bo zaś widział drzwi od pańskich komnat otworem zostawiać?

Kubuś. Panie Mateuszu, nie zamykajcie, bo rzucę całą robotę i ucieknę. Możecie sobie sami w komnatach ochędóstwo czynić!

Mateusz. Głupiś!

Kubuś. A niech ta sobie będę głupi! Niby to pan Mateusz wielki zuch! A jak wczoraj w jadalnej coś stuknęło,

jak to pan Mateusz umykał... aż się kurzyło, bo se myślał, że to duch.

Mateusz. Co prawda, to prawda! Negować nie mogę.

SCENA II.

Ciż sami. Szczygielska.

Szczygielska (*wbiega zdyszana*). Jezus! Marya!

Kubuś i Mateusz. Co się stało?

Szczygielska. Duch! Duch!

Kubuś i Mateusz (*z przerażeniem*). Gdzie? co? jak?

Szczygielska. Szło naprzeciw mnie, jakby od sypialni pani Doroty — było tuż! tuż!

Mateusz. Widzieliście, na prawdę?

Szczygielska. Jak was widzę w tej chwili, panie Mateuszu.

Mateusz (*z cicha*). Poznaliście?

Szczygielska (*tajemniczo*). Poznałam.

Kubuś. Rany boskie, kto?

Szczygielska (*półgłosem*). Nieboszczka starsza pani!

(*Kubuś żegna się z przestraczem, Mateusz kiwa głową*).

Szczygielska. Szła ku mnie, jakby jaki szary cień, alem doskonale widziała twarz bledziutką. Rękę jedną trzymała przy sereu tak, jak czynić była zwykła, kiedy ją mdłości napadły, drugą zaś podnosiła w górę, jakoby grożąc. Płynęła ku mnie, żem się jej nieledwie wyciągniętą dłonią dotknąć mogła i nagle przepadła.

Kubuś. Ja tu nie wytrzymam, ja ucieknę!

Mateusz. Może się wam zdawało pani Szczygielska?

Szczygielska (*oburzona*). Tam właśnie! zdawało mi się! Jeszcze mnie febra ze strachu trzęsie... i zdawało się!

Kubuś. A ogień nie buchał jej z gęby? A smrodu w izbie nie było? Bo to jako że w herezyi zmarła, przecież potępiona musi być?

Szczygielska. Ktoby zaś tak mówił... Miłosierdzie Boże wielkie jest, a łaska Boża działa, choć już na odgłosy świata oczy i uszy ludzkie zamknięte są. Tak myślę, że to chyba zły duch jaki postać naszej pani przyobleka, ciężkie terminy zwiastując co nad domem tym wiszą.

Mateusz. Niechno Waćpani nie profetyzuje, bo aż się straszno człowiekowi robi.

SCENA III.

Tereska, Ewka i Basia *wbiegają z lewej krzycząc, za niemi Złośnicka w najwyższym przerażeniu.*

Dziewczęta *(wołają)*. Ratujcie! ratujcie! Widmo!

(Szczygielska, Mateusz i Kubuś otaczają je).

Szczygielska. Niech się panienki uspokoją.

Mateusz. Pani Złośnicka, niech Acani nie krzyczy! Przecież to jasny dzień, jeno że od niepogody ciemno. Nic nie ma!

Tereska. Było, było widmo!

Basia. Szyliśmy w naszej izbie...

Ewka. A to weszło przez drzwi zamknięte...

Tereska. I sunęło ku nam...

Złośnicka. Szare, z podniesioną groźnie ręką!

Szczygielska. Wszelki duch! Ja to samo widziałam przed chwilą.

Mateusz. Chyba oszaleć przyjdzie, co to jest?

(Dziewczęta płaczą i krzyczą).

SCENA IV.

Hanna i Halszka *wchodzą.*

(Na odgłos otwierających się drzwi, wszyscy uciekają na prawo, ku wyjściu, krzycząc: „Widmo! Duch!”)

Hanna. Co to ma znaczyć? Czego krzyczycie? Czego uciekacie?

(Służba i dziewczęta zbijają się w gromadkę).

Hanna *(podchodząc)*. Szczygielsiu, co ci jest?

Halszka. Teresko, Ewko, czego placiecie?

Hanna. Pani Złośnicka, co się tu stało?

Tereska *(łkając)*. Widmo!

Hanna. Widmo? Jakie widmo? Śniesz, dziecko. Uspokój się, powiedz!

Szczygielska. Proszę Waszej Miłości, panienki płaczą i my się boimy, bo... bo...

Hanna. Bo co?

Szczygielska. Jakoweś widmo po domu chadza, do pani Doroty podobne.

Dziewczęta. Tak ci jest!

Hanna. Co pleciecie?

Halszka. Przywidzenie! Ktoby zaś miał straszyć? Żali pani Dorota, co w grobie śpi spokojnie?

Hanna. Małoć się w życiu trosk najadła, by jej się po śmierci na ziemię wracać chciało, strachem was paść?

Szczygielska. Niech Wasza Miłość wierzy i panna Halszka też, jako żywo coś się tu dzieje.

Hanna. Kto widział?

Kobiety. My!

Hanna. Kiedy?

Kobiety. Przed chwilą!

Hanna. Coście widziały?

Szczygielska. Jakoby panią Dorotę w szarej mgle, z ręką groźnie w górę wzniesioną.

Dziewczęta i Złośnicka. Takoż i my!

Hanna. Wierzyć mi się nie chce!

Halszka. I mnie.

Hanna. Pewnie was dzisiejsza niepogoda tak kordyannie usposobiła. Jak wicher huczy a deszcz tnie, każdemu straszno i smutno na sercu! Dziewczątcom pewno od zbytniego ślęczenia nad igłą krew do głowy nabiegła, przywidzenia sprawiając. *(do Złośnickiej)* Weź je Waćpani do jadalnej. Dziewki tam właśnie zioła apteczne przyniosły, które zaraz z ziemi a suszek oczyścić i pogatunkować trza. Ja tam przyjdę niebawem, weźmiemy się wszystkim do roboty wesolo, to zaraz strachy przejdą.

(Dziewczęta cisną się do niej. Ona je pieści i całuje. Wychodzą ze Złośnicką).

SCENA V.

Hanna *(do Mateusza, Kubusia i Szczygielskiej)*). A wy nie róbcie sobie niepotrzebnych strachów. Oczy was zmyliły, chmura przechodząc cień rzuciła, albo piasek w szyby lecać izbę zaciemnił, ot wszystko! Jedno od drugiego

bojaźnią się przejmuję (*siadając, do Mateusza*). Idźcie Mateuszu powiedzieć piwniczemu, by piwa, wina i miodu z piwnicy wyciągnął. Będzie dużo potrzeba na jutro dla panów szlachty i dla dworzan i wojska X. Biskupa krakowskiego.

Kubuś. Ojeja! Biskup tu w Luclawicach?

Mateusz (*szturcha go w bok*). Cicho, bałwanie!

Hanna (*z uśmiechem*). Dajcież mu pokój. Kiedyś ciekaw tak bardzo, Kubusiu, tedy dowiedz się, że X. Biskup Gembicki zjeżdża tu jutro z całym dworem i z swą chorągwią nadworną, którą pośle na Napierskiego, by go ukarać, za on niecny napad, śmierci pani Doroty powód — i Czorsztyn mu wziąć. Dużo też panów szlachty z chorągwią pójdzie. A wszyscy u nas punkt zborny mają. Rozumiesz już Kubusiu?

(*Kubuś stoi zawstydzony*).

Hanna. Idźże teraz i narożną komnatę przygotuj dla X. Biskupa.

Kubuś. Tę z paradnem łóżem pod kolumnami?

Hanna. Tak. — Ty, Szczygielsiu, zawołaj Żubka do jadalnej. Obiad jutrzejszy obmyśleć z nim muszę. Daj mi znać, gdy przyjdzie.

(*Mateusz, Kubuś i Szczygielska odchodzą na prawo*).

SCENA VI.

Halszka. Jak ci się zda, Hanno, prawda-li to, co oni o zjawieniu pani Doroty powiadają?

Hanna. Sama nie wiem... Strachliwość ich ukoić chciałam, ale mnie samej w głowie i sercu jakoś dziwno jest!

Halszka. A może ona widzi z tamtego świata, że Zygmunt lada dzień aryaństwo rzuci, i jako przysięgła, wraca, by mu obietnicę przypomnieć.

Hanna. Alboż Zygmunt aryaństwo rzuca? Co o nim myśleć, sama nie wiem. Długie godziny ze mną trawi, o katolickiej wiary punkta się dopytując i one chwając. Z Biskupem krakowskim o religii i wierze a prawdzie zdania zamieniają, ale determinacyi żadnej nie czyni. Obawa

zdejmuje mnie, czy tak jeno dla nauki a filozofowania prawd Chrystusowych nie bada, nie zaś by je miarą życia swego czynić.

Halszka. O nie, Hanno moja słodka! Tak być nie może. Któżby żyć mógł przy tobie i nie ukochać cię... a przez ciebie nie poznać i nie uwielbić Tego Boga, którego miłość tak cię opromienia, do Aniołów Bożych czyni podobną, jak Święci dobrą!

Hanna. Halszko moja, nie wstydz mnie!

Halszka. Gdy pani Dorota zmarła, gdym naraz straciła ją i Zygmunta...

Hanna. ...I Zygmunta?

Halszka. Zygmunta. On miły był sercu memu.

Hanna. O Boże!

Halszka. Myślałam, że zmysły stracę. Piekło całe jad mi swój w serce wlało, chciałam zabijać ciebie, siebie, konałam z bólu! I znikąd ratunku! Bo Bóg Aryan — to potęga mądra tylko, ale nie znająca litości, bo człowiek za dumny, za wielki jest, wedle aryańskiej nauki, by litości i miłosierdzia potrzebował. A ja! ja byłam nędzna, jak robak ziemny. Tyś, Hanno, jak zjawisko rajskie, uzałiła się biedzenia mojego. Szturmem wdarłaś się do serca, choć odpychałam cię, lżyłam. Ukoiłaś boleść, wskazałaś gdzie szukać pomocy. Modliłam się do Boga twego, a On wysłuchał mnie, zesłał spokój, utulenie! I pokochałam wiarę twoją całą duszą. Nasz Bóg, to zimny, nielitościwy sędzia. Wasz — to Ojciec, Pocieszyciel, Lekarz, co grzechy darowyywa, rany goi. O! katoliczką być chcę... chcę... *(ucina nagle, przerażona. Ukazuje się widmo Doroty, przesuwaa się wolno za Hanną i znika).*

Halszka. Hanno! widziałaś!

Hanna. Ciebie widzę, Halszko serdeczna, którą Bóg łaską swą oświecił! Co za szczęście!

Halszka. Nic nie widziałaś! Cień szary przesunął się tam za tobą.

Hanna *(z przerażeniem).* O Halszko, więc na prawdę-li?

Halszka. Widziałam, sunęło ponure i groźne! Hanno, pójdźmy prędko ostrzedz Zygmunta...

Hanna. Spieszmy! Bóg opiekun wszechmocny jest, nie dopuści nic złego na wierne sługi swoje. (*Wychodzi szybko, na prawo*).

SCENA VII.

(*Szczygielska staje w drugich drzwiach na prawo, Zygmunt, za którym pacholek niesie parę szabel, wchodzi z lewej strony*).

Zygmunt. Hanno!... (*spostrzega nieobecność Hanny*). Wszakże mówił Kubuś, że tu znajduję Jejmość...

Szczygielska. Jej Miłość była przed chwilą.

Zygmunt. Idźcież, Szczygielsiu, oznajmcie Jej Miłości, że upraszam, by tutaj przyjsć raczyła. (*Szczygielska odchodzi. Do pachotka*) Połóż szable, o tu, na stole, i możesz iść.
(*Pacholek odchodzi na prawo*).

SCENA VIII.

Zygmunt sam.

(*Zygmunt stoi, pogrążony w myślach, mechanicznym ruchem przesuwając szable — potem idzie ku oknu i wygląda*).

Zygmunt. Co za huraganus! O wichrze, szczęśliwys!... Gdy z twego łoża, gdzieś na dalekim septentryonie lodami i śniegiem usłanego, zerwiesz się, świat drży! Gdy bólem szarpany wyjesz i jęczysz, któreż serce smętkowi się oprze? Gdy rozpacz a wściekłość miota tobą, strach pada na ludzi! Szarpiesz drzewa na sztuki, ziemi cielsko bruzdami ryjesz! Wszystko przerażeniem ścięte, wszystko pojmuje, żeś nieszczęsny!... A ludzka dusza, choć bólem rwana, rozpaczą darta, wszystkie męczarnie w głębiach swych zamykać zmuszona jest i w lodową przyoblekać powłokę, choć żar myśli kipi i wre! O biedna ty duszo ludzka, tak wielka a tak mała, tak potężna a tak słaba, tak wolna a jednak w takie pęta zakuta!... (*zamyśla się, potem mówi niespokojnie*). Czemu Hanny jeszcze niema! Pójdę jej szukać. Nieznośna mi jest każda chwila samotności!... (*idzie powoli ku drzwiom, nagle gwałtownym i stanowczym ru-*

chem zwraca się i idzie na przód sceny). Nie! dosyć tego! Tego uciekania przed sobą samym dosyć mam! Zyguncie Taszycki, coś uczynił, że sam sobie oko w oko spojrzeć nie masz odwagi? Żaliś zbrodnię popełnił, że prawdy szukasz, do której każda istota ludzka rwie się? Nie! dobrze czynię!... Dobrze czynię, przeto czemu zwłoczę? Drogę widzę przed sobą, przeto czemu nie wchodzę na nią? Zasłonę przed sobą mam, za którą jasność jest, pragnienie duszy mojej, a trwoga mnie nęka i rąbka zasłopy uchylić się waham. Czemu?... Bom przysięgę dał, że w aryaństwie wytrwam! O męko! Żali w kłamstwie mieszkać mam i w niem się dręczyć i tłuc jako tłucze się ptak, któremu, by nie budził śpiewaniem, na klatkę czarną chustę narzucają? Oponą taką ciemną ona przysięga mi jest... Gdybyć zdjęto ją, gdybyć opuszczono! Jako ptak, którego ranne zorze ze snu zbudziły, śpiewałaby dusza moja skolatana, w ucieście wiernej! Ale uwolnienia nie ma... Matka w grobie, Lubieniecki nie zechce! Rozpacz jedna dla mnie pozostaje, rozpacz bezbrzeżna!...

SCENA IX.

Lubieniecki (*wchodzi szybko*).

Lubieniecki. Szukam cię wszędzie, Zyguncie. Przed godziną Szlichtyng wrócił z konwokacyi.

Zygmunt. Cóż z tego?

Lubieniecki (*w pasy*). Nerony! Kaligule! Szelmy! lotry! mordownicy! Robactwo plugawe!

Zygmunt. Kto zaś?

Lubieniecki. Ossoliński i jego kompani! Umyślił Szlichtyng dla dobra naszej aryańskiej wiary politykę kunsztowną. Huczek uczynili i do obrad nad konwokacją dopuścić nie chcieli. I byliby swoje wymogli, ale się zaparł ten szatański pacholek Ossoliński: „A choćby nie tylko Chmielnicki, ale cały świat i piekło samo na naszą ojczyznę runąć miało, prędzej pod gruzami kraju się zagrzebię, niżli na równość praw heretykom pozwoleć“, prawil, i nie pozwolił! Janusza Radziwiłła skaptował,

konwokacya doszła, a myśmy znów ostali bez praw, bez opieki, jako sieroty a gardłowe przestępcy, którym praw obywatelskich odmawiają!... Ale niedoczekanie wasze, ludojady! Przebrała się cierpliwość nasza! Zygmuncie, na bezczynność sarkales, teraz sam ci mówię: do czynu! Pokaż — coś jest! Ty nas pomścisz! Można jesteś, koligat, palcem skiniesz, a fakcyę potężną wyprowadzisz. Szafrąncy, Strzałowie, Kucyaty, Dembińscy, Reyowie, Morsztyny i tylu innych za tobą stanie. Propagandę uczynim, na tron Rakoczego poforytujem, a na elekeyi zrobim huczek taki i takie *veto* założym, że nam się wszyscy kłaniać będą i o łaskę prosić, byle ugłaskać.

Zygmunt. Tak! koty drzeć będziemy, a Chmiel przez ten czas przyjdzie i wydusi nas.

Lubieniecki. Katolików niech wydusi, to i dobrze! Nam nie nie robi, bo w potrzebie i przyjaźń z nim zawrzem. Niech sobie Chmiel, Rakoczy, kto chce na tronie zasiada, byle nie te mnichy z Jabłonny i Nieporęta! — Więc zgoda, Zygmuncie, pójdziem do ataku! Synodzik do Luclawie zwołamy i wnet plan kampanii gotów będzie! Na kiedyż termin zjazdu?

Zygmunt. Na nigdy!

Lubieniecki. Jakto?

Zygmunt. Synodu nie będzie i zjazdu nie będzie, bo ja nijakich sedycyj wszczynać nie myślę.

Lubieniecki. Jakto?

Zygmunt. Chcę być wiernym synem Rzeczypospolitej. Szarpia ją niegodne pasierby Kozaki, to dosyć! Nie, żeby ją jeszcze wyrodne własne syny ranami niezgody okrywały. To podłe jest, i tak ja czynić nie będę.

Lubieniecki. Podłe! Syny Rzeczypospolitej! A kiedyż to Rzeczypospolita matką nam była? Kiedyż to my Aryanie jej macierzyńskiej pieśczęoty doznawali? Macochą nam ona nielitościwą, nie matką! Karę niech ma!

Zygmunt. Matką jest ona kochaną, a my syny zbuntowane! Ręce swe ku nam ona wyciąga, aby nas do serea przycisnąć, a my to seree drogie kåsamy, jako psy wściekłe. Jako wilki do oweczarni, niezgody w jej progi

wpuszczamy, jako krety fundamenta jej budowy ryjemy, aż padną nam na głowę, a w on czas gorze nam! Dosyć nabroiliśmy, ojeze Stanisławie, czas nawrócić się, do zgody prawicę podać -- czas.

Lubieniecki. Za nie! Żali apostatą chcesz być?

Zygmunt. Żali uznanie prawdy apostazją jest?

Lubieniecki. Prawdy bezwzględnej nie ma na świecie, a prawdą dla ludzi jest to, co człowiek za prawdę uważa. Zaś wszystko złudzeniem zmysłów jest, co prawdą zwiemy.

Zygmunt (*z mocą*). W błędzie tkwicie, ojeze Stanisławie... Kwiat wciąga w siebie promienie słońca i w nich żyje... Ptak trzepoce się i ćwierka wesoło, gdy pierwszy brzask dnia ujrzy... Wszystko światłem żyje, ku światłu dąży, a jeno duch ludzki, ten pan całego stworzenia, w ciemnościach brodzić ma? A toż byłby człowiek istotą sprzeczności pełną, najnieszczęśliwszy ze stworzeń. Boć inne twory nie mają pragnień, którychby zaspokoić nie podolały, człowiek zaś do prawdy ręce wyciąga, jak niemowlę do matki, a jej być nie ma?... Tedy kłamstwem byłby człek i nędzą największą, skojarzony z pychą bezdenną, a jedyne w nim dobre, że samby życia pozbawić się mógł. Ale tak nie jest. Nie w bezdennej ciemności człowiek zostawiony. Może on poznać prawdę, a prawa jej w rozumie i sercu zapisane ma, i przez Boga-człowieka dokumentnie wyłożone. A pałacem prawdy: katolicka wiara jest!. . W niej rozumowi człowieka jasność i mądrość, moc a potęga, sercu zaś spokój i radość przychodzą, bo je Bóg na wiedza!

Lubieniecki. Żali i w aryaństwie Boga nie ma?

Zygmunt. Nie! tam tylko pojęcie Boga wykrzywione, skoszlawione, przekręcone, pychą ludzką zeszepecone, nadsztukowane głośno brzmiaćmi a pustemi słowy!

Lubieniecki. Toć napraw coć się nie zda. Obcinaj, dodawaj. Baw się w Łaskiego, jeśli ci się założycielem i reformatorem wyznań być chce. Jako apostoł, pierwszy ci stanę, ale od katolickich nauk zdaleka, synu, trzymaj się, jeśli rozum cały zachować chcesz!

Zygmunt. Prawda jedna jest, a jakąż wy u siebie mieć ją

chcecie, kiedy każdy z was ku swemu widzimi się nagiąć ją może? Prawdzie człowiek nagiąć się musi, nie ona człowiekowi. Doskonała jedność jest ducha ludzkiego raj. A stróżem raj u onego Kościół rzymski. Przez niego do raj u furta.

Lubieniecki. O synu, co mówisz, co czynić zamierzasz?

Zygmunt (*cisnąc Lubienieckiego za rękę*). Ojciec Lubieniecki, opiekunie, przyjacielu! Ja nieszczęsny, co począć mam? Ja nie winien. Mnie moc jakaś wyższa, jakoby za barki dzierżąc, peha na drogę nową, do której bramy przysięga, wam dana, przystęp zamyka. I darmo się opieram — iść muszę!

Lubieniecki. Moc to szatańska jest. Rozum twój subtelny natęż, a zwyciężysz omamy.

Zygmunt. Rozum! rozum! Cóż jest on rozum, który wy za fundament wyznania waszego macie? Marność to! Wszakże on mi jest teraz nie przyjacielem i podpora, lecz wrogiem wściekłym, co bunt ciągle podnosząc, rozkazu słuchać nie chce... Sam pracuje, bieży po drodze n wej, ku nowej prawdzie, ciągnąc mnie za sobą, jak jeńca. Żali ty wiesz, ojciec, co to jest nie panem myśli swych, ale sługą być? bezsilnym zostać jak junak, którego we śnie zbójcy podszedłszy, związali... bezsilnym jak jeździec, którego koń, zrzuc wszy wędzidło, unosi na osłep rozszałaly! Żali ty wiesz, co jest niemoc taka? To jest piekło!

Lubieniecki. Zyguncie, dziecko duszy mojej, tyś mamidel pastwą jest, tyś chory?

Zygmunt. Nie chory ja ciałem, choć zmęczon i wyczerpan, alem duszą chory; a przysięga, którą uczyniłem wam, do uzdrowienia drogę zagradza.

Lubieniecki (*poważnie*). Synu mój! Przysięga jedna jest i nieodwołalna!

Zygmunt. Jam tak *honeste* przysięgał, jam sądził, że niepokój duszny, co mnie do szpiku kości wierci, brakiem gorliwości dla wyznania mego powodowan jest i gorliwym być chciałam. Próżno wszystko! Ból jeno gorzej dopiekał i jeden mól więcej przybył! Ojciec Stanisławie, błagam was, rozwiąźcie mnie!

Lubieniecki. Miłe dziecko moje, jakoż to ja uczynić mogę? Gdy katolikiem останiesz, zabierać nam się z Luławic trza i precz iść. Jam stary jest. Nie przeżyję tego. Patrz, siwa głowa moja. Chcesz-li tę głowę, która w służbie Kościoła a rodziny twojej srebrnym się włosem pokryła, dachu zbawić, by kamień za poduszkę miała, jako tułacza a zbiega głowa? Patrz, te ręce niańczyły cię od kolyski. Chcesz-li kij tułaczy za jedyną podporę mi dać, którego starością drżące ręce utrzymać nie potrafią. O synu! bacz, i ja serce mam, które, po wyznaniu swem, ciebie jednego na ziemi, nad dzieci swe własne miłuje. I serce to zakrwawić chcesz? zabić? O Zygmuncie, krzywoprzysięzcy a mężobójcy na świecie źle jest; gorsza od Kainowej dola jego! O, nie kładź hańbiącego piętna odstępcy na czoło twe, a zdrady ciężaru na barki nie ładuj! Zygmuncie, żali ty kamień w piersi masz, nie serce?

Zygmunt (*z rozpaczą*). Co czynić, Boże, co czynić? Tu, przyjacielu drogi, ty ręce swe kochane do mnie wyciągasz, a tam w górze wyciąga ręce Chrystus i rany ukazuje, które dla mnie poniósł i woła, bym zniewagi, bluźnierstwa, co nad ciernie, bicze, gwoździe srożej bołą, naprawił, odwołał! I dusza rwie mi się ku Niemu, i krwią własną bóle Zbawicielowi zadane nagrodziłbym rad. Ojciec Lubieniecki, kto oprzeć się może głosowi Pasterza świata, gdy na zbłąkane owce woła? (*z uniesieniem*) O Pasterzu Miłosierny! Zbawco!... Prawdo przedwieczna, słucham, idę, oprzeć się Tobie nie mogę... nie mogę...

Lubieniecki. To zabij mnie wpierw! Zabij, zanim to uczynisz, odstępcą zostaniesz. Zmiłuj się, zabij! Nie każ patrzeć na hańbę twoją i moją, na upadek nasz!... (*chwyci szablę i rzuca Zygmontowi pod nogi, rozrywając żupan na piersiach*). Pierś moją masz, zabij!... (*stoją naprzeciw siebie nieporuszenie, nagle Lubieniecki rzuca się na krzesło z jękiem i zakrywa twarz rękoma. Zygmunt biegnie ku niemu*).

Zygmunt. Przyjacielu, ojciec! Łzy hamujcie, patrzeć na nie nie mogę. Serce mi pęka. Nie wygnam was, na tułac-

two nie wskażę, nie bez waszego pozwolenia nie uczynię, jeno rozpacz od siebie odpędźcie.

Lubieniecki (*zrywa się, pada Zygmuntwi do nóg, całuje stopy, kolana i ręce*). Zyguncie, dzięki, dzięki ci! Nie stracim ciebie. Zmysły mnie odbiegają z szczęśliwości!... Wielbić cię będę, dziękować ci będę w każdej godzinie życia mego. Ty sam szczęśliw będziesz, ty...

Zygmunt (*odsuwa Lubienieckiego – głucho*). Wyczerpan jestem od wzruszeń, ojcze, samego mnie ostawcie...

Lubieniecki. Niechaj ci odpoczywanie błogiem będzie, synu, żeś serca mego nie zakrwawił. Już idę. (*Ścisła Zygmunta i wychodzi*).

SCENA X.

(*Zygmunt stoi bez ruchu, potem uderza się ręką w czoło*).

Zygmunt. Com uczynił, nieszczęsny! Bogam się zaparł, Judasz przekłety! O nędzny! nędzny! (*biega nieprzytomny, powtarzając: Nędzny! nędzny!*)

SCENA XI.

Hanna (*idzie szybko ku Zygmuntwi*). Najmilszy mój, co ci się przygodziło?

Zygmunt (*rozgorączkowany*). Chrystus do siebie mnie woła, łaską swą oświeca, spokość chce, a jam go się zaparł. Nie mogłem Lubienieckiego lez znieść.

Hanna (*zalamując ręce*). Zyguncie, coś uczynił? Rodzice pogańscy u nóg się dzieciom włóczyli, stopy im całowali, włosami ziemię zamiatając, a oneż dzieci, przy Chrystusie trwając, jękami rodzicielski niewzruszone, na kły lwów biegły. Zaś ty na lzy zmiekleś?

Zygmunt. Płakał... on stary, on mnie tak miłuje!...

Hanna. A Chrystus nie kocha cię? Lubieniecki lzy leje, Chrystus za ciebie krew wylewał; któryż więcej miłuje?...

Zygmunt. Wiem, o wiem! Hanno, złem uczynił, cofnę się, biegnę do Lubienieckiego, powiem mu... (*kieruje się ku drzwiom. Wtem ukazuje się widmo Doroty. Zygmunt z okrzykiem zgrozy rzuca się w tył*).

Zygmunt (*zdławionym głosem*). Hanno, widzisz?

(*Hanna pada na kolana; widmo posuwa się*).

Zygmunt. Matko!... Zlituj się!... Matko!...

(*Widmo przybliży się coraz bardziej*).

Zygmunt. Ratunku! (*pada zemdlony*).

AKT PIĄTY.

(*Komnata sypialna Zygmunta. W głębi, między dwoma oknami nisza, w której stoi łoże. Kotary zapuszczone tak, że łoża nie widać. Ściany zawieszono makatami, na których porozmieszczano różnego rodzaju broń. Miejsca wolne ścian zdobię różnego gatunku i wielkości rogi. Po lewej stronie, na przedzie stół i krzesła, po prawej drzwi. Okna zasłonięte tak, że w komnacie panuje pół cień*).

SCENA I.

(*Zofia i Szczygielska siedzą przy stole, przesuwając w rękę paciorki różańca. Wchodzi Hanna na palcach. Szczygielska wstaje*).

Hanna (*do Szczygielskiej*). Śpi?

Szczygielska. Rzucił się cały ubrany na łoże. Ziola skutek sprawiły, zasnął.

Hanna. Dobrze! Możesz odejść, Szczygielsiu, a ty Zosiu idź, zastąp mnie w przyjmowaniu gości, ja tu zostanę.

Zofia. Tak sama, Hanno?

Szczygielska. Broń Boże, widmo!

Hanna. Idźcie, idźcie! Nie boję się. Szwanku żadnego nie poniosę.

(*Zofia i Szczygielska wychodzą*).

SCENA II.

(*Hanna idzie ku niszy i rozsuwa franki; widać na łożu uspiętego Zygmunta. Hanna wpatruje się w niego z załamaniem rękoma, potem wraca na przód sceny i klęka*).

Hanna. O Matko Boża, ratuj Zygmunta. Boże, broń życia,

które twej służbie poświęcone być ma! Oddal to widmo straszne! Boże! nademną miej zmiłowanie, nie zabieraj go, lub gdy inaczej być nie może, zabierz razem, nie rozdzielaj!... (*kryje twarz w dłoni i modli się*).

SCENA III.

(*Hipolit wchodzi cicho i idzie ku Hannie, zatopiony w modlitwie*).

Hipolit (*pochylając się nad nią*). Hanno!

Hanna (*podnosi się i ociera łzy*). Jestem. Czegóż ci potrzeba?

Hipolit. Zygmunt śpi?

Hanna. Szczygielska sporządziła mu jakiś odwar. Śpi.

Hipolit. X. Biskup chce z tobą mówić.

Hanna. Ja się stąd nie ruszę, umieram gdy przy nim nie jestem.

Hipolit. Może X. Biskup tutaj przyjdzie — pojmie przecież, że chorego ostawić nie możesz.

Hanna. Dobrze! Poproś go tutaj.

(*Hipolit wychodzi, Hanna klęka i modli się*).

SCENA IV.

(*Hipolit i Gembicki zatrzymują się w progu. Hipolit wskazuje na Hannę*).

Gembicki. Biedne dziecię!

Hipolit. Przestrzegałem! Niesłuchała!

Gembicki. Już się stało! Módlmy się, aby to było z dobrem dusz nas wszystkich. Idź, Hipolicie, tam szlachta się zjeżdża. Musisz honory domu, miasto Zygmunta, czynić, ja tu ostanę.

(*Hipolit całuje go w rękę i wychodzi*).

SCENA V.

(*Gembicki idzie ku Hannie, która zemdlona, nie spostrzega go wcale*).

Gembicki (*kładąc rękę na głowie Hanny*). Cóрко!

Hanna (*zrywa się*). Ksiądz Biskup! (*załamując ręce*). O księżu Biskupie, Zygmunt chory, bardzo chory, może umrze. Serce mi pęka, gdy patrzę na niego. Cierpię strasznie!

Gembicki. Dziecię moje, łzy nasze i smutki są jako balsam drogi, a olejek lekarski wdzięczny. Statecznego a niezamąconego wesela na świecie nie masz, a pokaże się go co, już ci znika.

Hanna. Mnie się ziemia rajem wydawała!

Gembicki. Z weselem świeckiem witałaś się, jako z przyjacielem i oszukałaś się na tej przyjaźni.

Hanna. Księżu Biskupie, wam łačno mówić, bo wesele świeckie obce wam. Ale ja! Z pełnym pucharu piła, młodam jest i w płaczu a trosce żyć mam? Jeden grób dla mnie ziemia cała, gdy Bóg mi Zygmunta zabierze, gdy mary onej przekłętej nie usunie.

Gembicki. Mary nie obawiaj się, córko, to szatańska próba jest, by dobrego nasienia plan udaremnić. Mara zginie, a Zygmunt zdrow będzie! Ufaj, córko, ufaj, póki żyje!

Hanna. Tak, on żyje, ale połowicą tylko życia swego. Od wczorajszego ranka zmarniał. Jak cień wygląda! Oczy błędne, grozą rozszerzone, na licach ślady ognia trawiącego, to kostnieje, to płonie, nikogo nie poznaje, mnie nawet! (*z rozpaczą*). Śmierć stoi nad nim, śmierć! Księżu Biskupie, tyś święty człowiek, a ja grzesznica. Na moje modły Bóg głuchy, ale na twoje, uszu nie zawrze. Módl się, o módl, by Bóg miłosierdzie okazał nad nami.

Gembicki. Człowiek jestem i grzesznik. Modlitwy moje, jakoż mieć mogą walor nad twoje większy? Aleć to wiem, że każdy ogrodnik płonną dziczkę podkrzesywa, lekarz na śmierć wskazanemu gorzkie leki dawa, ku ratowaniu skuteczne. Taki lek gorzki Bóg tobie daje, a krzesze srogo, by ku świętości przywieść a miłość okazać.

Hanna. Takem i ja wierzyła, póki smutek, jak ciężka skala, nie przywalił mi serca. A teraz, gdy męki cierpię, nie nie wiem, nie nie chcę wiedzieć, jeno wołam: „Panie, szczęście mi ostaw!”

Gembicki. I tyże to mówisz Hanno! Ty, co szłaś, by nawracać, ludzkie dusze ratować?

Hanna (*z rozpaczą*). Jam niewiasta słaba — to trudno! Ja miłuję. Ja chcę szczęścia! (*w podnieceniu i bóleści z uniesieniem*). Oby był nigdy Zygmunt wątpliwości nie znał! Oby był trwał w herezy! Taki cnotliwy, byłby i tak miłosierdzie Boże spotkał, a nie byłby marniał nędznie! O czemuż się nawracał? I ja do jego śmierci rękę przykładalam, jam zabójcą jego!

Gembicki. Hanno! co mówisz? Niech ci Bóg tych słów nie pamięta...

Hanna. O Boże mój! przebacz! Prawda jest, zwątpiłam, i jako Piotr tonąc poczynałam. Chleb czeladny, twardy, gruby, przenieść chciałam nad twą ucztę niebieską, aleś tego nie dopuścił. Będę już, będę cierpieć, co każesz, ile każesz, ale zlituj się, Panie, jam słaba, nie bij zbyt mocno!...

SCENA VI.

Zygmunt (*rozsuwa franki, idzie chwiejnym krokiem, wyciągając ręce przed siebie, jak niewidomy i woła nieprzytomnie*). Hanno! Hanno!

Hanna (*biegnie ku niemu i obejmuje go*). Jestem tu przy tobie, Zyguncie.

Zygmunt (*nie poznaje jej i nieprzytomny majaczy*). Hanno, czego tak stoisz beczynnie, gdy ja ginę! Ratuj! Prędko kładkę rzucaj, prędziej... prędziej! Zbiry tuż... tuż... (*ogląda się z przerażeniem*).

Hanna. Najmilszy, jestem przy tobie; nikt cię nie goni.

Zygmunt (*majaczy ciągle*). Gonia... gonia!... Są tam w lecie... na skrócie... Za chwilę wybiegną! O Boże! Przepaść taka czarna... bezdenna! Wrzucą mnie, zepchną! (*wyciąga ręce z rozpaczą*). Hanno, ty stoisz bezpieczna na drugim brzegu i nie ratujesz! Hanno!...

Hanna. O Boże, co począć?

Gembicki. Synu, uspokój się!

Zygmunt (*przytomniej*). Kto tu jest, kto mówił?

Gembicki. Ja, synu, twój pasterz. Przychodzę powiedzieć ci w imię tego Boga, dla którego cierpisz, żeś uratowany, na zbawienia drodze, szczęśliwy na wieki.

Zygmunt (*przysłownie*). O jakże słodkie słowa! Ale przysięga, ta nieszczęsna przysięga!...

Gembicki. A wola Boża? Każde przyrzeczenie złe jest, które prawu Bożemu i woli Bożej wstręty czyni.

Zygmunt. Gniew Boży nademną musi być, a oznaką jego widmo ono straszne, matki duch, któremu grożąc, dostęp do szczęścia zagraadza.

Gembicki. Nie matka to twoja, synu, drogę zagraadza! Śmierci bramę ona przebyła, a po tamtej stronie jest, gdzie prawdę widzi. Nie wstrzymywałyby się od wyznania jej. Szatan to jest, który zmarłej macierzy kształt bierze, z lekkomyślnej twej i matki twej przysięgi korzysta i w dążeniu do Boga powstrzymać chce.

Zygmunt. Powiedzcież jeno — co czynić z przysięgą?...

Gembicki. Tymczasem, synu, Aryan z Luclawic nie ruguj, a główną część przysięgi dotrzymasz. O duszę zaś twoją własną dbaj, błędów się wyrzecz. W tem przysięga twoja wcale mocy niema. Resztę ostaw Opatrzności. Niech ona ten węzeł rozwiąże, któryś niebacznie zadzierzgnął.

Zygmunt. Gorliwości mojej tamę kłaść muszę! Ciężko to, o ciężko! (*zwiesza głowę na piersi, po chwili, oglądając się*). Gdzie Hanna? (*przyciąga ją do siebie*). Jam cię dawno, bardzo dawno nie widział, najmilsza; mrok mnie otaczał, śmierci zwiastun. Groza korzeń żywota we mnie podcięła, jak kosiarz źdźbło wiotkie kłosa dojrzałego. Życie ucieka, śmierć idzie! Hanno! Rozprężonej duszy mojej tyś dała jedyny promień światła, jaki ona dojrzeć była zdolną wśród mąk ustawicznych wewnętrznej ciemności. Tyś mi była jak gwiazda jasna, wśród nocy ciemnej, jak ochłodzenie rozkoszne spragnionemu pielgrzymowi, jak ratunek pożądanym tonącemu, jak rajska muzyka i woń kwiatów cudna w więzieniu zgniłym zostająca mu. O czemu, czemu ginąć muszę, spokojnego szczęścia z tobą nie zaznawszy, jakom marzył!

(*Hanna łka i ukrywa głowę na ramieniu męża*).

Gembicki (*hamuje tży i mówi drżącym głosem*). Działki naj-

milsze, tkliwość hamujcie i odganiajcie myśli złowrogie.
Bóg smutek w wesele obróci.

(Słychać dźwięki trąb i kottłów i krok maszerującej chorągwi).

Zygmunt *(nasłuchuje)*. Co to za glosy? Wojsko? Zjazd? Wyprawa? *(usiłuje sobie przypomnieć)*. Słabość pamięć mi odjęła!... Broń gotowałem! wczoraj!... dawno, kiedy to?

Hanna. Wczoraj, najmilszy. Dziś na Napierskiego wyprawa ruszać miała.

Zygmunt. Prawda, prawda! Zjechali się? Są wszyscy?

Hanna. Są.

Zygmunt. Rewokować chcę! Idź! zawołaj wszystkich, niech słyszą.

Gembicki. Słabyś, Zyguncie, czekaj aż sił nabierzesz.

Zygmunt. Nie! nie! spieszyć się muszę; śmierć kosę ostrzy, zgorzenie naprawić trza! Hanno, idź, wołaj wszystkich, i szlachtę, i ministrów, i szkołę! Prędko!

Hanna *(błagalnie)*. Później, najdroższy, utrudzisz się teraz, majaczenie wróci.

Zygmunt. Nie później; idź, wołaj, teraz, zaraz!

Gembicki. Idź, Hanno, nie sprzeciwiaj się choremu. Gniewliwością znuży się jeszcze bardziej.

Hanna. Póki nie wrócę, nie mów już, Zyguncie. Odpocznij!

Zygmunt. Gołąbko ty moja, aniele, światło życia mego! *(wyciąga ku niej ręce)*. O Hanno! jak mi ciężko ostawić cię!...

(Hanna rzuca się przy nim na kolana i ukrywa twarz na jego łonie).

Zygmunt *(głaszcząc jej głowę)*. Nie płacz, nie płacz, najmilsza! Krótko płaczu na ziemi. Znajdziemy się w niebiańskim pałacu, u tronu Chrystusa.

Hanna *(z jękiem)*. O Jezu!

Zygmunt *(kryje twarz w dłonie, po chwili)*. Idź, Hanno, czas nagli. Służba Boża jest. Pilnym dworzaninem być chcę.

(Hanna wstaje i wychodzi. Gembicki siada po drugiej stronie stołu naprzeciw Zygmunta i modli się po cichu. Zygmunt siedzi bez ruchu z oczyma zamkniętymi, z głową na piersi zwieszoną).

SCENA VII

(Hanna wraca, idzie prędko ku Zygmunтови, który jej bierze rękę, podnosi do ust i zatrzymuje w swoich rękach. Za Hanną wchodzi Zofia i Halszka).

Zofia *(do Gembickiego)*. Księżę Biskupie, oto także neofitka, Halszka Lubieniecka.

(Halszka przyklęka).

Gembicki. Córka Lubienieckiego... Niezbadane są drogi Boże. *(błogosławiąc Halszkę)*. Córko! Niech cię Bóg zawsze po ścieżkach swych za rękę wiedzie.

SCENA VIII).

(Wchodzi zbrojno tłum szlachty katolickiej. Na czele Hipolit, Misiewski i Dembiński. Za nimi wchodzi Aryanie, prócz chiliastów, większa część zbrojno. Prowadzą ich Wyszkowski, Buczyński i Łapka. Na ostatku szkoła lućławicka. Uczniowie wchodzi parami, poprzedzani przez Lubienieckiego, Szlichtyngę, Przypkowskiego i Wiszowatego. Uczniowie ustawiają się między dwiema grupami szlachty tak, że między nimi a katolikami szerokie przejście. Na jednym końcu szeregu zbici w gromadkę stają: Lubieniecki, Szlichtyng, Wiszowaty, Przypkowski, na drugim Stanisław Brzeski, Strzała, Szafraniec i Kucyata).

Zygmunt *(wstaje i wyciąga rękę)*. Usunięcie zasłony, niech będzie jasno!

(Hipolit i Misiewski rozsuwają opony, a potoki słonecznego światła zalewają komnatę).

Zygmunt. O światłości cudna! *(do zgromadzonych)*. Widzicie tę jasność, bracia, która wasze dusze raduje. Taka jasność zalewa mi serce, rozum, duszę, bom ciemne zasłony błędu aryańskiego zdał, a prawdziwą wiarę znalazł. Bracia! Wiara Chrystusa, Boga-Człowieka, którą Aryanie bałwochwalstwem a mięsożerstwem zwa, jedyną, dobrą, prawdziwą, a spokój duszny i cielesny dająca jest. W tej godzinie, z wolnej woli, zadość czyniąc pragnieniu serca, świadczę i wyznawam, że błąd aryański rzucam, a też religię przyjąć żądam.... *(ucina nagle.*

Wylania się z głębi widmo Doroty i płynie ku Zygmunтови. Grobowe milczenie. Katolicy padają na kolana. Gembicki wstaje).

Zygmunt. Matko, litości! Inaczej uczynić nie mogę... nie mogę... Litości!

Gembicki (*postępuje krok naprzód, uroczyście, groźnym głosem*). Maro szatańska! zjawisko piekielne, które zmarłej matki kształty kradniesz i przyoblekasz kłamliwie, dusze ludzkie bałamuć, stój! (*widmo przestaje się posuwać*). W imię Chrystusa nakazując, odejdz! Drogi zbawienia nie tamuj. Zgiń, przepadnij!... (*widmo znika*).

(*Zygmunt mdleje, między Aryanami ruch i szepty*).

Zygmunt (*przychodzi do siebie, ze zgrozą*). To widmo?

Gembicki. Szatan pierzchnął, synu! Moc Boża broni cię. Drogę wolną masz.

Zygmunt. Przysięga! (*szuka oczyma Lubienieckiego*). Ojcie Lubieniecki! (*Lubieniecki zbliża się*).

Zygmunt (*słabym i urywanym głosem*). Ojcie Lubieniecki, z przysięgi mnie spuście, bym umarł spokojnie.

Lubieniecki (*ponuro*). Nie mogę!

(*Zygmunt łamie ręce, jęcząc. Hanna rzuca się do nóg Lubienieckiemu*).

Hanna. Litość miejcie nad nim!

Halszka (*klęka obok Hanny*). Ojcie, spuście Zygmunta z przyrzeczenia, które go przy fałszu trzyma. Błagam was. Aryaństwo kłamstwo jest. Ojcie! apostołem kłamstwa się nie czyn!

Lubieniecki (*odtrąca Halszkę gwałtownie. Halszka się chwije i upada*). Córko wyrodna! Apostatko! Precz odemnie! Nie mam cię! Przeklinam!

(*Jarosz Strzała podbiega i podnosi Halszkę*).

Strzała (*z uniesieniem*). Tyraństwo to jest, *liberi arbitru, negatio!* (*zwraca się do towarzyszków*). Widzicie co jest? Gwałt Taszyckiemu czynią. Z dyabłami przeciw niemu w komitywę wchodzi! Zechcieli z gwałtu korzystać, w Luclawicach mieszkać pod szatańską protekcyą? Hańba wam!

Głosy (*między uczniami*). Spuścić Taszyckiego z przysięgi!
Lubieniecki. Nie spuszczyć!

(*Między uczniami okrzyki coraz gwałtowniejsze: „Spuścić go, spuścić go!”*).

Szafraniec. Spuścisz czy nie, my się i tak z Luławic wyniesiem.

Kucyata. Dłużej tu być nie chcemy, gdzie widma w biały dzień chadzają.

Uczniowie. Nie chcemy, nie chcemy!

Stanisław Brzeski. Ojciez ustap! Opór na nic. I tak ze szkoły ujdą. Niech przynajmniej Zygmunt spokój ma.

Lubieniecki (*łamię ręce*). O Boże, za cóż tyle gromów na mą głowę nieszczęsną. (*do ministrów*). Mówcież, co czynić?

Przypkowski. Ustap, już i tak Luławice dla nas stracone.

Szlichtyng. Nie ustępuj, dla Boga.

Przypkowski. Ustap, niech spokojnie umiera!

Lubieniecki (*waha się chwilę, potem gwałtownie*). Nie, nie ustąpię! Z moich ust sankcyja apostazy nie wyjdzie. Ci, co ze mną przysięgę odbierali, niech na swe barki odpowiedzialność ładują — odpuszczając. Rzucam Luławice; proch strząsnę z obuwia mego, przestępując progi tego domu i będę wołał wielkim głosem, jako Jeremiasz wołał na gruzach Jeruzalem: „Krzywoprzysięstwo spełnia się. Hańba Kościołowi naszemu, zagłada, kiedy takie syny w swem łonie miewa!“ Za mną niech idzie, kto przy wyznaniu naszym wiernie trwać chce! (*wychodzi. Ministrowie za nim*).

Strzała (*do Zygmunta*). Nie alteruj się, Zyguncie, i myśmy od ciebie przysięgę odbierali i my prawo mamy cię spuścić (*wolno i dobicie*). Zyguncie Taszycki, wolny bądź od wszelkich przyrzeczeń względem „Zboru mniejszego“. My Aryanie dobrowolnie cię zwalnimy i dobrowolnie Luławice opuścimy.

Uczniowie. Wolny bądź, wolny od przysięgi!

Zygmunt. O dzięki wam! Hanno, gdzie zбір-Kościół, gdzie szkola-klasztor! Pamiętaj! — teraz, Panie, sługę twego puść w spokoju!

Hanna. Nie, nie najmilszy, tyś wolny teraz. Bogu dopiero służyć zaczniesz. Szczęście nam się śmieje!...

Zygmunt. Pan mnie wola! Hanno, rozkoszy niebiańskich rąbek widzę. Już mi życie ciężarem. Bóg blisko! Hanno żegnaj! Ujrzymy się — w niebie! co za rozkosz! Widzę — widzę rajskie pałace! Wrota się otwierają, anieli śpiewają. Chrystus idzie, ku mnie ręce wyciąga! Spieszę — Panie — spieszę! Hosanna! (*z uśmiechem na ustach umiera*).

Ludwika-Dobrzyńska Rybicka.

Z dziejów wychowania i szkół w Polsce.

Ze wszystkich gałęzi historii kultury, oświaty, umysłowości, dzieje nauk, szkół, wychowania, najmniej ponętne dla szerszej publiczności były i będą; materya to sucha i jednostajna, zarząca mimowoli pedanterią autora i odstręcza najcierpliwszego czytelnika; trzeba wyjątkowych zdolności zapału, chwili szczęśliwej, aby dzieje podobne wystawić w ciekawym i pięknym obrazie; trzeba było pióra prof. Kazimierza Morawskiego, aby stworzyć dzieło, umiejętne zarazem i piękne, któreby od pierwszej do ostatniej karty uwagę czytelnika przykuwało. Ale prof. Morawski omówił wedle założenia swej pracy tylko najpiękniejsze karty z dziejów wszechnicy Jagiellońskiej, nie objął całości szkoły i nauki średniowiecznej, a całość taka domagała się oddawna wystawienia jej ponownego.

Po Łukaszewiczu bowiem dzieje szkół, jak i różnowierców naszych, zaległy na pół wieku niemal odlogiem; nikt się nie kusił o ogarnięcie całości, chociaż przybywały drobne przyczynki, uzupełniania, sprostowania --- najmniej w tych partyach, które ich najwięcej potrzebowały, w średniowiecznych; dla nich Łukaszewicz ani źródeł, ani zmysłu nie posiadał wiele; najslabsze też to ustępy całego dzieła, na swój czas zresztą bardzo zasłużonego, cennego i do dzisiaj nie zastąpionego.

Od szeregu lat występował p. Antoni Karbowski z pracami i artykułami, dotyczącymi dziejów naszego szkolnictwa. Wobec znanej naszej ułomności, przerzucania się z pola na pole, systematyczność i konsekwencya, z jaką p. Karbowski

uprawiał dzieje szkolne, uprzedzała bardzo na korzyść jego: jeśli mnie pamięć nie myli, składało się wszystko, co autor pisał, na rozdziały, paragrafy czy ekskursy przyszłych obszernych, wyczerpujących dziejów szkół i wychowania w Polsce. I rzeczywiście, po kilkunastoletnich przygotowaniach wystąpił autor z *Dziejami wychowania i szkół w Polsce*, z których się świeżo, po znaczniejszem opóźnieniu, już drugi tom pojawił, obejmujący „wieków średnich, część drugą; okres ich trzeci, od 1364 r. do 1432 r.“ (Petersburg 1904, a raczej 1903), Spory tom o 490 stronicach omawia w wymienionym właśnie okresie (1364—1432) przeważnie dzieje Uniwersytetu piastowskiego i jagiellońskiego, ale nie zaniedbuje stanu szkół niższych, edukacji kobiecej, nawet szkółek ruskich i żydowskich. Jak podołał autor zadaniu? czy otrzymaliśmy od niego nareszcie nieistniejącą dotąd historję szkolnictwa naszego średniowiecznego?

W szkolnictwie tem rok 1400 jest zwrotnym; daty różnego znaczenia nie wykazują ani wcześniejsze, ani późniejsze dzieje; nawet ustanowienie Komisji Edukacyjnej nie równa się z datą wskrzeszenia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Już współcześni ocenili to należycie i zapisał np. Długosz wyraźnie, jakie zmiany to wskrzeszenie spowodowało. Uśpione siły pedagogiczne i uczone w kraju, a rozrzucone po obczyźnie, od Paryża i Heidelbergu aż do Pragi, budzą się, skupiają i ożywiają, niby pod tknięciem laski czarodziejskiej; szkoła i nauka zyskują odrazu podstawę, organizację i impuls najsilniejszy; literatura naukowa, nie istniejąca przedtem, teraz powołana do życia. Więc do roku 1400 zmierzać, a od niego wychodzić powinien każdy podział, liczący się z warunkami istotnymi. Autor jednak wybrał jako rok okresowy, 1432; cóż spowodowało go do zarzucenia epokowego roku 1400, na korzyść roku 1432? Oto spostrzeżenie, że niby do roku 1432 szkoła nasza i oświata oparte były wyłącznie na literaturze średniowiecznej, a od r. 1433 zaczynają się walki humanizmu z scholastyceizmem o panowanie w szkole polskiej; dlatego nie rok 1400, lecz rok 1432 nowy okres stanowić winien.

Kto przedmiot zna, z zadziwienia nie wyjdzie. Szkoła nasza była tak samo po roku 1432 i jeszcze przez długie dziesiątki lat wyłącznie „scholastyczną“, jak i przed tym ro-

kiem; że się po r. 1432 pojawiały na wykładach *artium* pi-semka klasyczne nieco częściej, nie dowodzi to niczego, ponieważ duch i sposób wykładu nie a nie przez to się nie odmienił; czytano, jak to z rękopisów krakowskich widzimy, obok najgrubszej średniowieczyny, obok Doligamów, Ezo-pów i t. d., panujących najspokojniej i dalej, Persiusa, eklogi Wergiliuszowe obok Teodula, Klaudyana obok Anti klaudyana i t. d.; tryb ani duch wykładów nie zmieniły się ani na jotę — i dlatego ma być rok 1432, decydujący chyba o szczegółliku jakim w programie wykładów filozoficznych (choć i to do bajek raczej należy), epokowym, zamiast roku 1400, decydującego o całości szkół, nauk i wycho-wania w Polsce?

Pomysł autora był najniefortunniejszy. W całym XV wieku nie możnaby mówić o żadnej reformie czy próbie reformy trybu szkolnego pod wpływem humanistycznym, ponieważ wpływ ten właśnie do szkoły skuteczniej się nie przedzie-rał, lecz po za jej murami (Grzegorz z Sanoka, Kallimach, Celtes) działał; a cóż dopiero w r. 1432! Z równem lub lepszym prawem może autor w tym obrębie czasu kilkadzie-siąt innych podobnych dat „okresowych“ do woli odszuki-wać. Padł on ofiarą grasującej u nas, niewykorzenionej do-tąd okresomanii; zamiast trzymać się naturalnego podziału i wiek XV, który u nas od wszystkich poprzednich jak naj-silniej się odróżnia, w całości przedstawić, rozbija go jak najdowolniej i najfatalniej, stawia sobie samemu sztuczne szranki i uniemożliwia należyte zrozumienie przedmiotu z góry.

Zapyta jednak czytelnik: czyż i to nie oznaka równej okresomanii — upierać się przy roku 1400 i nie uznawać innego podziału? Czyż to w końcu nie wszystko jedno? Cho-dzi o treść, a nie o okresy, zawsze dowolnie i sztucznie sta-wiane, których życie samo, bieg dziejów nie zna bynajmniej?

Niestety, bez okresów i podziałów obejść się niemożemy i należy tylko najodpowiedniejszych dobierać, to jest, gwał-cących najmniej ów bieg naturalny, np. daty okrągłe, jeśli być może. Data 1400 nietylko jest „okrągła“, lecz zarazem łączy się z faktem, górującym nad całym życiem umysłowym i naukowym i szkolnym polskim; odstępować od tej daty dla byle jakiej innej, urojonej, nie wolno pod żadnym warun

kiem. Podział, czy okres, zaczynający się od r. 1432, ma bowiem tę niedogodność, że po r. 1432 zostało wszystko to samo i tak samo, jak było przed r. 1432, t. j. że wszystko powtarzać należy, że niema żadnej znaczącej odmiany ani postępu, że „okres“ taki niema celu ani sensu.

Pomylił się więc autor fatalnie, ignorując w swoich „okresach“ kulminacyjną datę w całej historii szkoły polskiej i naturalny, napraszający się sam gwałtem podział materii. Należało przedstawić historię szkoły średniowiecznej do roku 1400 (w jednym czy dwu okresach, od 1300, choćby od Kazimierza Wielkiego), a potem szkołę średniowieczną 1400—1500. W dwu tomach można to było pomieścić, należało tylko poopuszczać rzeczy — niepotrzebne. To bowiem druga wada planu autorskiego, uwzględnianie rzeczy obojętnych, rozpychanie książki do zbytnich rozmiarów balastem najzbędniejszym. I tak np. najobszerniejszy ustęp całego tomu, to *Katalog doktorów i mistrzów Uniwersytetu Jagiellońskiego od r. 1400 do 1432*“ (str. 200 - 252). Kto pisze np. obszerną historię akademii wileńskiej lub zamojskiej, dodaje taki katalog jej profesorów w alfabetycznym porządku na końcu dzieła; rozumiałbym nawet taki katalog przy dziele prof. K. Morawskiego; ależ p. Karbowski nie pisze historii Uniwersytetu krakowskiego, lecz dzieje szkół i wychowania w Polsce! Więc co za sens ma ten katalog? Czy będzie p. Karbowski i w dalszych partjach podawał katalog mistrzów krakowskich, 1432—1510 i t. d.? Naturalnie, że nie; więc pocóż dla pierwszych 32 lat te mechaniczne zestawienia nazw i dat, głównie z *Album studiosorum* i *Liber promotionum* zaczerpniętych — służą one tylko sztucznemu rozpychaniu tomu. Takich całkiem mechanicznych, pedantycznych rzeczy, obezwładniających uwagę najpilniejszego czytelnika, jest więcej: zaliczam do tego wymienianie wszystkich znanych szkół po dyecezyach. Przecież w wieku XV szkół było tyle, że wymienianie ich niema żadnego celu; należało głębiej się zastanawiać nad tem, co one dawały, nie, ile ich było. Dumni z tych bezcelowych wyliczań zestawia je autor na końcu i dochodzi np. do takiego wniosku: na czele (ilości szkół) stoi dyecezya krakowska z 63 szkołami... w trzecim dopiero rzędzie idą po niej dyecezya warmińska z 11, pome-

zańską z 10, chełmińska z 9 szkołami i t. d. — zapomniał autor, że krakowska dyecezya była dziesięć razy większą niż pomezańską lub chełmińską, że więc chełmińska z swojemi 9 szkołami o wiele wyżej stoi niż krakowska z 63 (procentowo obliczając) i nie w trzecim rzędzie za krakowską się tulić winna, lecz krakowską daleko wyprzedzała! Sami nie przypisujemy tym całkiem przypadkowym liczbom żadnej wartości i chcieliśmy tylko na ich podstawie oświetlić „statystykę“ autorską. Szkół, szczególnie marnych, było w Polsce w XV wieku tyle — skarży się na ich nadmiar duchowieństwo! — że wyliczanie ich jest niepotrzebnem zabieraniem czasu i miejsca. Również obojętne jest wyliczanie treści rozmaitych rękopisów, wypisywanej z *Katalogu Wislockiego*: gdybyż to były jeszcze rzeczy naukowe, ależ to elementarne lub ascetyczne, dla zbudowania przeznaczone i o zakresie wiedzy czy trybu nauki nie dające żadnych podstaw, zabierające tylko niepotrzebnie miejsce.

Od planu, na który się nie godzimy, przechodzimy do wykonania. Jeden brak już zaznaczyliśmy: wyliczania, statystykę, katalogi mistrzów t. j. prace mechaniczne całkiem, przedwstępne, materiał surowy, wcielił autor mylnie do dzieła samego. Inny brak: nieściśłość, niedokładność lub wręcz mylność wielu wywodów. Napróżno szukalibyśmy np. uwagi, nastęrczającej się każdemu znawcy, że ci (128) mistrzowie, których autor tak mozolnie wylicza, choćby razem wzięci, dla nauki zdziałali mniej, niż niejeden profesor wiedeński, pragski lub lipski i byłoby ważniejszym, niż wyliczanie 128 mniej lub więcej problematycznych wielkości, jałowość ich naukową i jej przyczyny zanalizować; zamiast tego cieszy się autor, że „scholastyctw, ze starzały w dawnych swoich ogniskach zablýsnał s wi e z e m p o t e z n e m z y c i e m na Wschodzie Europy“ — ładne mi zestarzenie i zablýsnięcie, kiedy na Zachodzie jeden jedyny Gerson paryski lub Wiklef oksfordzki (a oni przypadają na „okres“ autorski właśnie), więcej zdziałali dla nauki, niż na Wschodzie wszyscy (kilkaset) mistrzowie krakowscy całego XV wieku razem wzięci! Dalej (na str. 8) czytamy o niesłychanej rzeczy, o „uczeniu się języka narodowego w szkole“, chociaż sam autor dobrze wie, że tego w XV w. nie było, że język narodowy w szkole był tylko

malum necessarium, że go się nikt nie uczył, a używano go tylko pomocniczo przy uczeniu początków. Twierdzi autor, że pod wpływem Soboru konstancyjskiego nastąpiło w Polsce żywsze zainteresowanie się szkołą i przytacza na dowód ustawy synodu Mikołaja Trąby z r. 1420, wymagające ustalenia komisji egzaminacyjnych dla kleryków przez biskupów i t. d. W istocie cała ta reforma, domorosła, nie z Soborem kostnickim nie miała do czynienia i jego czynność czy ruch wyprzedziła.

Rzecz miała się tak. Już biskup krakowski Piotr Wysz (1392 – 1412) egzaminował czy kazał egzaminować wyświęcających się kleryków. Konstatowano przy tem wielkie braki wszelkiej wiedzy i ubolewał nad tym niedoborem, wywołanym przez liczne a podle szkółki po miasteczkach i wsiach, synod krakowski z r. 1408 i wymagał obostrzenia warunków; i czuwała nad tem komisya egzaminacyjna, urządzona jeszcze przed Soborem kostnickim! Posiadamy nawet podręczniki ułożone przez członka tej komisji, dla kleryków nowotnych. Ponieważ p. Karbowski o tem nic nie wie, przytoczę mu ze wstępu do takiego podręcznika ciekawsze słowa: Jan z Kluczborka (notabene pierwszy doktor teologii, kreacyi krakowskiej) pisze przed traktatami *De horis canonicis* i *de missa* co następuje: „Gdyż teraz, za biskupa krakowskiego Wojciecha Jastrzębca a za papieża Jana XXIII (a więc przed rokiem 1415!!) wraz z archidyakonem Jędrzejem Myszką (znaną i z inąd osobistością) *znalazłem w egzaminach* u kleryków przystępujących do święceń lub już wyświęconych znaczny brak wiedzy (*copiosam ignoranciam*) w służbie Bożej, godzinach kanonicznych i dogmatach kościelnych, dlatego kazałem ja, mistrz Jan z Kluczborku, bakalarz św. teologii, napisać niniejsze dzieło“ i t. d. A więc już przed Soborem w Konstancyi miała dycezya krakowska dwu egzaminatorów z ramienia biskupiego, Jana owego i Andrzeja i to samo urządzenie zastosował i Trąba u siebie, niepotrzebując na to soboru.

Mylnych twierdzeń nie brak i innych w dziele p. Karbowskiego; wymienię kilka. Na str. 319 objaśnia znany dwuwiersz o wykładzie Pisma św., dosłownym czyli historycznym, allegorycznym, tropologicznym czyli moralnym i „anagogicznym“. Wykład anagogiczny jest mistyczny, dążący do ży-

wota przyszłego, do wyższego Jeruzalem na niebiosach. Wedle p. Karbowiaka zaś znaczy „anagogice — względnie, do przeczytanych poprzednio ustępów tekstu“ (!! autor dał się zwieść terminowi polskiemu, nie bardzo zręcznemu). Są u niego wzmianki o rozmowach łacińsko-polskich, które uczniowie nasi kopiowali i memorowali — dziwiłem się, skąd o nich autor wie; na str. 279 znalazłem rozwiązanie zagadki. P. Przyborowski ogłosił swego czasu podobne rozmówki, pochodzące, jak język i pisownia dowodzą, dopiero z początku XVI w., więc do „okresu“ przed 1432 r. ich wciągać nie można! Na str. 416 wspomina o najstarszych zbiorach kazań naszych: „gnieźnieński i Jana z Szamotuł z XV wieku“ — ale kazania gnieźnieńskie pochodzą z XIV w., a Jan z Szamotuł (t. j. Paterek) z XVI wieku! Na str. 415 „przetłomaczył Jan Przeworszczyk antyfonę *Salve Regina*“ — antyfonę dawno przed nim na polskie przełożono, jego zaś tekst odpisany z czeskiego. To znowu utwarza on w szkole szpitalnej czy św. Ducha w Krakowie „kursy teologiczne“ na podstawie dziełka elementarnego *Compendium teologicæ veritatis*, w tej szkółce wyłożonego (str. 290): zapomina przytem, że na kursy teologiczne mogą się tylko złożyć wykład Pisma Św. lub *Sententiarum* Lombarda. Z biblioteki kościoła beszowskiego (spisanej w r. 1421) dlatego nie można o innych bibliotekach parafialnych sądzić (jak to autor czyni, str. 290 i dalej), ponieważ Beszowę biskup krakowski Jastrzębiec osobliwszą otaczał opieką, więc z jej bogactwa żadnych wniosków snuć nie można.

Wpada autor w dawny błąd, grasujący u nas od XVI wieku, t. j. z przepisywacza robi autora, np. na str. 279 czytamy: „Pomiędzy gramatykami późniejszego pochodzenia używanymi w naszych szkołach tego okresu było kilka pochodzenia polskiego... nowsze gramatyki opierały się zazwyczaj na autorach dawniejszych, Wacław z Obornik *napiisał* w r. 1423 w Krakowie kompilację p. t. *Universa grammatica latinae linguae et dictionarium ad instar Calepini instituta Catholicon*. Jest to proste nieporozumienie: każdy niemal klasztor polski posiadał w XV wieku odpis *Catholiconu* (Jana z Balbis), ulubionego słownika, i taki *odpis* sporządził w r. 1423 ów Wacław, wszystkie inne wzmianki o Kalepinie, co

w r. 1502 po raz pierwszy wyszedł, *grammatica* i t. d., to marne domysły autora zapisek klasztornych XVI wieku.

Nie zna też autor nieraz literatury nowszej, naszej i zagranicznej. Prawi np. o Polakach, uczących się i uczących w Paryżu, ale zapomniał o artykule ciekawym Dr. Kutrzeby (*Biblioteka Warszawska*, 1900 I), dającym o wiele bogatsze informacje o tem samem. Owego błędu z *Catholicon* nie byłby popełnił, gdyby rozejrzał się w mojem studyum o polskiem słownictwie średniowiecznem z *Prac filologicznych* (1895) i byłby dowiedział się, że odpisy, jak Wacława z Obornik, nie są rzadkością. Nie zna pięknej rozprawki X. Miaskowskiego: *Beiträge zur Krakauer Theologengeschichte des XV Jahrhunderts aus Breslauer Handschriften* (1899) — z tej rozprawy zaczerpnąłem szczegóły o Janie z Kluczborku, ale jest tam więcej bardzo ważnych szczegółów, są np. wypisane kwestye teologiczne, jakie rozbierał Kluczborezyk na Uniwersytecie, przystępując do wykładu Lombarda i wiele innych ciekawych rzeczy. Nie wspominam o innych pismach, co po 1900 r., lecz przed 1903 r. wyszły. Z obcych nie będę autorowi wytykał dzieł np. angielskich, których może w Krakowie niema wcale, ale jego znajomość dziejów i stosunków pragskich, dla nas najbliższych, najważniejszych, zbyt mała: nie zna on np. barwnych a ważnych dzieł Z. Wintera.

I krytycznym zdolnościom autora zbyt ufać nie można; powtarza on zbyt łatwowiernie, co w źródłach, nieraz bardzo mętnych, wyczytał. Tak figuruje u niego zawsze jeszcze zapis Melsztyńskiego z r. 1386 dla kościoła Wszystkich Świętych i odśpiewywania *Bogurodzicy*, chociaż prof. Liske już przed ćwierć wiekiem fałszerstwa tego zapisu dowiódł i każda nowa praca o *Bogurodzicy* ten dowód wymienia. Ów ustęp z kroniki Heilsberskiej, objaśniający początek święcenia pokarmów (przytoczony na str. 13), jest widocznie mylny. Nieraz nie sięga autor do źródeł samych. Jedną z najciekawszych zapisek o dawnej szkole polskiej przytoczył np. Długosz w *Żywotach biskupów poznańskich* przy Jastrzębcu: gdyby się autor był w niej rozpatrzył, nie byłby powtórzył (acz z zastrzeżeniem to uczynił), bajki o napisaniu gramatyki łacińskiej przez Jastrzębca i byłby poznał lepiej stosunki beszowskie; lecz autor zadowolił się streszczeniem tej zapiski

u Wiszniewskiego i pozbawił się najciekawszej wzmianki o szkole XIV wieku, na której temat niejedno daloby się wysnuć. Zamiast przepisywać Wisłockiego, należało sięgnąć do rękopisów samych i np. skonstatować, czy też profesornie sami rozumieli należyście tekst, jaki wykładali, jaką też była ich wiedza i t. d. — innemi słowami, należało, zamiast wojowania liczbami z *Album studiosorum*, badanie pogłębić.

Zarazem należało się wystrzegać licznych powtarzań; przedstawienie, i tak już bardzo mało ożywione, wlecze się strasznie sennie przez dosłowne niemal rekapitulacye, jakby odsyłaczów nie było. Przytoczę jeden (bynajmniej nie jedyny) przykład. Czytamy na str. 10: „Od r. 1420 pod wpływem soboru konstancyeńskiego z ożywionym ruchem religijno-kościelnym nastąpiło i żywsze zainteresowanie się szkołą. Synod prowincjonalny Mikołaja Trąby z tegoż roku, tak doniosły w ustawodawstwie kościelnym, był i w dziejach szkolnictwa polskiego znacznym postępem. Uchwalono rozciągnąć ścisłą kontrolę nad kandydatami i t. d. mieli posiadać odpowiednią wiedzę, *scientia competens* i t. d.; zalecono, aby zorganizowali komisye egzaminacyjne“ i t. d. Na str. 95, zamiast pro tego odsyłacza, powtarza się to samo: „Sobór konstancyeński rozbudził żywy ruch na polu reform kościelnych. Dowodem tego jest synod prowincjonalny Mikołaja Trąby. Między innymi uchwalono rozciągać baczną uwagę i t. d. od kandydatów żądano *scientia competens* i t. d., statut rozkazywał delegować komisye do egzaminowania kleryków“ i t. d. — ani słówkiem nie wspomniano, że to samo *per longum et latum* już na str. 10 traktowano. Tak samo powtarza str. 444 wypiski o synodzie krakowskim 1408 r., ani wspominając, że to samo na całej stronnicy (8 i 9) już raz wypisano i t. d. Niepotrzebne są i wzmianki o szkolnictwie lubuskim i kamieńskim, gdyż one polskimi nigdy nie były (pomimo zależności dyecezyalnej).

Lecz dosyć tych utyskiwań na braki rozmaite; i z dziełem p. Karbowiaka ma się jak z dziełem Łukaszewicza, średniowiecze nie jest ich właściwą dziedziną czy dzielnicą. Dla prawdziwej, trafnej oceny wymaga szkoła średniowieczna badania o wiele głębszego; nie zastąpią go kodeksy dyplomatyczne ani *Album studiosorum* czy *Liber promotionum*;

typ wychowania i nauki należy poznać z dzieł samych, z po dręczników i rękopisów. *Katalog Wisłockiego* takiego badania nie zastąpi nigdy. Nie myślę z tego robić zarzutu p. Karbowiakowi, któremu praca zawodowa, nauczycielska, zbyt mało wolnego czasu i sił świeżych pozostawia; chodzi mi tylko o skonstatowanie faktu, że i jego *Dzieje wychowania i szkół w Polsce*, acz na obszerną (miejscami zbyt obszerną) skalę założone, nie dały nam wszechstronnego, zupełnego, głębokiego przedstawienia szkoły średniowiecznej, choćby do r. 1432. Przyznam za to chętnie, że ułatwił p. Karbowiak przyszłemu historykowi tej szkoły pracę rozmaitemi zestawieniami i wyliczaniem, że wyłożył autor wiele sił i czasu na temat żmudny, niewdzięczny, suchy, że w pocie czoła ku sił się o odtworzenie obrazu, zbyt wielkiego na razie, gdyż wiele przedwstępnych badań nie dokonano u nas wcale. Również nie przesądzam wcale przyszłości, t. j. czy dalsze partye dzieła, z czasów nam znacznie bliższych duchem i treścią, nie wypadną o wiele lepiej; p. Karbowiak, pedagog z zawodu, oceni niechybnie szkołę nowszą o wiele trafniej i głębiej, niż te zamierzchłe czasy średniowieczne, wymagające bardzo specjalnego przygotowania. Pomimo tego więc że się nie godzę ani na plan, ani na wykonanie w bardzo licznych a ważnych szczegółach, wypowiem chętnie uznanie dla widocznych trudów wielkich, jakie autor dziełu poświęcił; chociaż wszędzie słusznym wymaganiom wcale nie odpowiada, okazało dzieło jego przecież postęp wobec Łukaszewicza znaczniejszy i celu swego bynajmniej nie chybiło zupełnie. I za to już należy mu się pewna wdzięczność.

Dr. Aleksander Brückner.

Sprawy krajowe.

XXVI.

Kwestya buraków cukrowych.

I.

Na grudniowej sesyi Sejmu krajowego r. 1902 postawił poseł Struszkiewicz nagły wniosek, żądający przyznania 50,000 koron na popieranie uprawy roślin okopowych w kraju. Sejm odesłał ten wniosek do komisji budżetowej. Pomimo gorącej obrony wniosku mała większość komisji budżetowej w r. 1903 nie przychyliła się do niego, ale raczej poleciła tylko Wydziałowi Krajowemu, aby w porozumieniu z Towarzystwami rolniczemi zbadał, czy i o ile należy przyjść z pomocą produkcji roślin okopowych w kraju i ewentualne wnioski przedstawił Sejmowi na najbliższej sesyi.

W wykonaniu tej uchwały komisji i Sejmu odniósł się Wydział Krajowy do Towarzystw rolniczych, otrzymał ich odpowiedzi, odnoszące się do ogółu roślin pastewnych, a więc zarówno buraków cukrowych, jak pastewnych, kartofli, jak kapusty, a w sprawozdaniu swem przedłożonem Sejmowi r. 1904 oświadczył Wydział Krajowy przychylnie załatwienie kilku postulatów, jednak nie zdecydował się na szerszą akcyę, do której zdążał pierwotny wniosek posła Struszkiewicza, mający przedewszystkiem poparcie uprawy buraków cukrowych na celu. W tym kierunku uznał tylko

za słuszne postulaty co do ułatwienia kredytu melioracyjnego, podjął akcyę celem popierania uprawy nasienia buraczanego, przyrzekł wydatną pomoc techniczną w celu ułatwienia drenowania. Nie są to bynajmniej rzeczy bez znaczenia, lecz jestem zdania, że akcyja kraju dla poparcia rozwoju uprawy buraków cukrowych powinna stać się u nas szerszą. I w uwagach niniejszych nie będę zajmował się innymi grupami roślin okopowych, lecz jedynie burakami cukrowymi, bo poparcie ich produkcyi było powodem wniosku posła Struszkiewicza, bo dalej ich produkcyja ma w zasadzie i mieć może w praktyce dużo wyższe, nierównie donioślejsze znaczenie, niż wszelka inna produkcyja okopowa.

A uznając w całej pełni stanowisko, że nie wszystko, co ważnem dla kraju, ma robić sam kraj, że i tu wielka część zadania spada na jednostki same, godząc się z zapatrywaniem sprawozdania Wydziału Krajowego, że „urzeczywistnienie szeregu postulatów (odnoszących się do rozszerzenia uprawy buraków cukrowych) wchodzi więcej w zakres działalności Towarzystw rolniczych, Kółek rolniczych, zależy wreszcie tylko od właścicieli cukrowni lub inicjatywy prywatnej“, mimo to wyrażam przekonanie, że tu w naszych warunkach i szersza akcyja publiczna podjętą być powinna.

Domagając się akcyi publicznej, należy zbadać zawsze, czy słusznym i uprawnionym jest cel, czy dobrymi, skutecznymi, zalecone środki, i czy odpowiednią chwila dla podjęcia tej akcyi. To też i tu zastanowić się należy najpierw nad znaczeniem uprawy buraków cukrowych dla naszego kraju.

Znaczenie to jest bardzo doniosłe, zarówno pod względem ściśle agrarnym, jak pod względem gospodarczo-społecznym. Pewnikiem niewątpliwym jest, że bez przemysłu rolniczego trudnym jest postępowanie rolnictwa, podniesienie rentowności gospodarstw. Statyka rolnicza domaga się, aby przynajmniej część surowca była przerobioną na miejscu, pozostawiając ważne odpadki, które służąc jako karm dla bydła, ułatwiają otrzymanie większej ilości nawozu, oddawanie ziemi z powrotem pewnej części składników, zabranych przez produkcyę. Ma to więc bezpośrednią doniosłość dla zachowania równowagi sił urodzajnych ziemi, a dalej ułatwia należyte wyżywienie inwentarza i trzymanie większej

jego liczby, co tak przez lepsze nawożenie, a stąd wyższą przeciętną wydajność z morgi, jak przez bezpośredni dochód z inwentarza, może w znacznej mierze podnieść rentowność gospodarstwa. Jest to przeto ważnym interesem indywidualnym, bo każdemu na tem zależy, aby z gospodarstwa miał najwyższy dochód; gospodarstwo nie jest zabawką, lecz pracą produkcyjną, która, jak każda praca, ma przynosić najwyższą możebną korzyść, a dalej jest ten wzrost rentowności indywidualnych gospodarstw interesem ogólnym. Im więcej plonu da każda morga, tem więcej będzie w kraju i chleba i mięsa i mleka — są to warunki do ogólnej poprawy bytu ludzi — a im więcej rentownem staje się gospodarstwo, tem łatwiej właściciel jego zechce i zdoła dać lepszy zarobek robotnikom, poprawić byt warstw ubogich. I różne powody złożyły się na powstanie u nas przemysłu gorzelnianego, który się istotnie bardzo poważnie rozwinął. Troska o dobry stan tego przemysłu jest też ważnym interesem, a stąd i obowiązkiem kraju. Stwierdzając to, stwierdzić równocześnie należy, że właśnie dlatego wyłączne rzucanie się na gorzelnie, zakładanie gorzelní coraz nowych, byłoby złem, bo mogłoby prowadzić do nadprodukcji, niepożądaney i szkodliwej walki gorzelní starych i nowych, walki o kontyngent, jego wielkość, podstawę, zwroty, mogłoby prowadzić do wytwarzania sprzecznych interesów, dążeń i obozów wśród rolników. A cały szereg doniosłych spraw rolniczych, zarówno w dziedzinie zakupu, przerobu, jak zbytu, domaga się poprawy przez wytworzenie ożywionych poczuciem solidarności nowych organizacyj rolniczych, lub rozszerzenie działania dawnych na te nowe zagadnienia. Każda sprawa, która osłabia poczucie solidarności wśród rolników, która wytwarza osobiste i rzeczowe antagonizmy, jest stąd szkodliwą dla ogółu rolniczych interesów. Jednostronna troska tylko o gorzelnie, jednostronna myśl tylko o zakładaniu nowych gorzelní, ułatwieniach tylko dla gorzelní, nie byłaby pomyślną dla gorzelniczego przemysłu, a mogłaby zaszkodzić wysuwaniem różnic w dążeniach i żądaniach, zamiast potrzebnej solidarności. Błędem jest stąd stanowisko, że wobec faktu wielkiej liczby naszych gorzelní tylko o nie dbać trzeba, błędem i ciasnym stanowisko, że stąd obchodzi ogół rolników tylko kwestya poprawy i ułat-

wień uprawy ziemniaków, a nie buraków, bo właśnie wobec tego faktu wielkiej już liczby gorzelń w kraju, programem być powinno nie powiększanie dalsze gorzelń, wywołujące zgubną ich konkurencyę coraz więcej ostrą, lecz stworzenie innego, nowego rolniczego przemysłu.

Jako taki nowy przemysł rolniczy, nadaje się przede wszystkim przemysł cukrowy; mogą powstawać i inne przemysły, powinny nawet powstawać, ale znaczeniem swem rolniczem i gospodarczem nie dorównają one przemysłowi cukrowemu; przemysł ten ma na przyszłość nawet lepsze szanse, niż przemysł gorzelniany. Konsumeya osobista wódki bowiem cofa się i cofać się powinna w miarę kultury, anti-alkoholizm, própagowany z religijnych, higienicznych, kulturalnych, gospodarczych powodów nie pozostanie — trzeba mieć nadzieję — bez pewnego wpływu, co wywoła względną, a może nawet pomimo wzrostu ludności wywołać i absolutną zniżkę konsumeyi osobistej; usiłowania zaś szerszego przemysłowego użycia spirytusu liczyć się z tem muszą, że tylko przy niskiej — a więc może nierentującej dla rolnika cenie — liczyć mogą na powodzenie. W przemysłowym bowiem użyciu, jako materiał ogrzewania czy oświetlania, spotyka spirytus konkurencyę licznych innych artykułów (benzyna, nafta, gaz i t. d.), popyt i miejsce dla siebie zapewnić stąd zdoła tylko przy niskiej cenie, a ta zniżka ceny nie jest bynajmniej horoskopem pomysłnym dla producentów, nie przedstawia korzystnej szansy przemysłu gorzelnianego w razie wzrostu jego liczby. Konsumeya cukru natomiast wzrasta w miarę zamożności i kultury społeczeństwa. Cukier zajmuje często miejsce wódki — herbaciarnie ludowe! — wchodzi stopniowo w konsumeyę wszystkich warstw społecznych i wszystkich klas wieku, a to daje cyfry ogromne, otwiera wielką szansę wzrostu popytu i zbytu. Wszakże w samej Galicyi wzrost konsumeyi o kilogram rocznie na głowę dawałby przeszło 140.000 cetnarów. Mogą zachodzić przy przemyśle cukrowym trudności przejściowe, wywołane walką między fabrykami o rynek zbytu, która to walka znów pochodzi z czasowych utrudnień eksportu czy relatywnej nadprodukeji w państwie — ale produkeya cukru służy w dobry sposób zaspokojeniu ważnej potrzeby ludzkiej, rozszerzającej się coraz

bardziej i stąd ma prawo uważać trudności stanowczo za przemijające, bo zwolna wzrośnie zbyt, poprawią się szanse produkeyi.

Mogą zachodzić — jak obecnie w Austrii — trudności dla fabryk nowo powstających, wywołane szaloną przewagą kapitału dawnych fabryk, które już zamortyzowały z lichwą swe koszta zakładowe, trudności, wywołane dalej krzywdzącymi taryfami kolejowymi, ale i te trudności można przewyciężyć doskonałą techniczną i ekonomiczną organizacją nowych fabryk, zapewnieniem sobie swego naturalnego rynku zbytu, t. j. targu krajowego. Stąd też i te konkurencyjne trudności powinny rozbudzić poważne liczenie się z położeniem, dokładne obliczenie wszystkiego — lecz nie powinny zniechęcać do czynu.

Niezbędnym warunkiem powodzenia cukrowni jest, aby miała dostatek buraków cukrowych; stąd starają się one o to w promieniu swej działalności, a rozszerzywszy kulturę buraków, zmieniają, ulepszają agrarny charakter całej danej okolicy. O uprawie buraków powiedziano słusznie, że ma ona wprost pedagogiczne znaczenie, przymusza do lepszej pracy. Bez troskliwej uprawy bowiem, nawożenia, obróbki, bez podjęcia niezbędnych melioracyj, nie uda i nie opłaci się; przy innych płodach złe skutki zaniedbania nie są tak widoczne, można je łatwo spędzać na klimat, klęskę i t. d., winić wszystko, tylko nie siebie, nie swoje błędy czy zaniedbania; buraki ujawniają, jak „było zrobione“, nie dają pola do wygodnej wymówki i narzekania, stąd przyuczają do dobrej i należytej wczesnej uprawy, wprowadzają przymusowo kulturę w gospodarstwo, przyspieszają melioracje, a to rzecz ważna ogólnie. Wrodzonym niestety człowiekowi i zakorzenionem w nim głęboko jest lenistwo, lenistwo myśli i czynu, i stąd lenistwo i bezmyślność nazwano nieraz stanem natury w przeciwstawieniu do stanu kultury, którym jest pilna i inteligentna praca, będąca wszędzie warunkiem i czynnikiem ogólnego postępu. Z temi wrodzonymi, naturalnymi wadami liczyć się trzeba bez hipokryzyi, bez schlebienia sobie i innym. Przychodzą one często do głosu z pozą wytrawnego zdania, szerzą niewiarę i zniechęcenie do nowych, trudniejszych prac — a kto dokładnie zanalizuje motywy, odrzu-

ciwszy górnolotne słowa, odnajdzie na ich dnie lenistwo myśli i czynu. Jako zaletę rolniczego zawodu podnoszono nieraz wyrobienie zmysłu zachowawczego, nie puszczenie się za lada hasłem na lekkomyślne próby — ale ta zaleta przestaje być sobą, przemienia się w wadę, gdy staje się hamulcem postępu. A jakże często u nas ona w tej właściwości swej ujemnej występuje. Każde ulepszenie jest innowacją, a przy każdej innowacji ile u nas przełamać trzeba oporu, oporu robotników i karbowych, rządców i nieraz swego własnego! Wprowadzenie uprawy buraków cukrowych jest doniosłą, głęboko w całą organizację gospodarczą wnioskującą innowacją, stąd wszędzie spotka się z oporem rutyny, nieskorej nowego się nauczyć, z oporem lenistwa, nie skorego do lepszej zabrać się pracy. Niemniej byłoby źle i dla buraków i dla kraju, gdyby ta rutyna miała zwyciężać.

Uznając zasadniczą doniosłość rozszerzenia się uprawy buraków cukrowych w kraju, ma każdy rolnik prawo i obowiązek zapytać, jaką szansę rentowności przedstawia wprowadzenie uprawy tej w jego majątek i podług tej odpowiedzi podjąć ją lub zaniechać. I z góry trzeba przyznać, że jest w Galicyi szereg majątków, których gleba, położenie lub zorganizowany w zupełnie innym kierunku system gospodarczy w ogóle nie dopuszczają wprowadzenia uprawy buraków cukrowych; ale nie mniej znaczną jest liczba majątków, gdzie niema tych absolutnie wykluczających powodów i tu o podjęciu uprawy powinien rozstrzygnąć rachunek. Ale rachunek ma znaczenie tylko, gdy jest rzeczywiście dokładnym, a dokładnym nie jest, gdy ktoś zestawilby tylko, że ma przeciętnie tyle cetnarów metrycznych z morgi a koszta czynią tyle; to tylko korzyść bezpośrednia, obok której i korzyści pośrednie w rachunek wciągnąć należy. Przy ocenie znaczenia korzyści bezpośredniej niejednokrotnie spotkałem ważną omyłkę. Mały wzrost dochodu ludzi nie zadawalnia, łatwo wywołuje konkluzję: „To nie warto“. A czy to słusznem? O ile chodziłoby o wielkie nakłady, podejmowane kredytem, to mały zysk może istotnie być niedostatecznym dla zrównoważenia ryzyka z każdym powiększeniem zobowiązań złączonego, ale inaczej to osądzić należy przy zmianach gospodarstwa, dokonywanych bez zaciągania długów, a i przy długach — n. p. na

drenowanie — trzeba wszystkie skutki tego nakładu, a nie tylko jeden, uwzględnić. Pomijając tu więc kwestyę długów, należy stwierdzić, że przeżytem jest stanowisko, żądające wielkich zysków przy malej pracy; zwycięstwo odnoszą przedsiębiorstwa, prowadzone w myśl przeciwnej zasady: wielki obrót, wielka praca przy małym zysku na każdej sztuce. Wielkie nowożytne bazyry tą zasadą postępowo-gospodarczą były współzawodników. I powodem i objawem gospodarczego zacoferania, hamulcem postępu jest stanowisko, gdzie dopiero wielkie natychmiastowe zyski pobudzą ludzi do czynu; a jako ujemny objaw stwierdzano u nas nieraz, że łatwiej znaleźć pieniądze na spekulacyjne przedsiębiorstwo, gdzie można bardzo wiele zyskać, lub wszystko stracić, aniżeli na przedsiębiorstwa, które tych szans świetnych ani ryzyka nie przedstawiają, nie tracą kapitału, pewien zysk zawsze dadzą. To są spekulacyjne, a nie produkcyjne, gospodarczo niezdrowe wyobrażenia. Gdzie jest ugruntowana szansa choć malej tylko zwyżki czystego dochodu, tam już jest korzyść, tam należy podjąć tę produkcję; czekanie na wielkie zyski, to czekanie na loteryę, opóźniające zgubnie i postęp produkcji i zwyżkę dochodu.

Nie może być przedmiotem publicystycznej dyskusji cena, jaką krajowe cukrownie krajowym producentom za buraki płacić mogą i powinny; cukrownia winna się z tem liczyć, że jest pewna granica, poniżej której ustaje rentowność, ustaje możność produkcji, a chcąc spełnić swe społeczne zadanie, warunkowane przez własne istnienie i należyty rozwój, winna prócz odpowiedniej ceny przyznać dla zachęty należycie szerokich kół producentów i pewien wzrost ceny w miarę czystych zysków cukrowni i usunąć powody do ogólnie odzywających się skarg. Jedną z nich podnosimy tutaj, mianowicie przerzucanie straty z różnicy wagi na stacyi nadawczej a w Przeworsku na producentów. I nie przemawiam za tem, aby cukrownia wzięła tę stratę na siebie, lecz ona może łatwiej i skuteczniej powziąć inicjatywę, aby tej straty nie było, ona może poczynić o to odpowiednie kroki u władz kolejowych. Ryzyko tej różnicy wagi działa zniechęcająco na producentów — i z tem winna liczyć się cukrownia — i wielu z nich łatwiej może zdecydować się na za-

przestanie produkcji buraków, niż na podejmowanie pisaniny, pertraktacyj czy walki z koleją, celem uchylenia tego braku. Jest to zbiorową potrzebą i interesem producentów buraczanych — stąd cukrownia sprawę tę załatwić powinna.

Uznając obowiązek cukrowni w kilku powyższych punktach, zwrócić równocześnie należy uwagę producentów krajowych, aby się zwieść nie dawali ofertami chwilowo wyższych cen poczynionemi przez obce konkurencyjne fabryki. Zna historia gospodarcza szeregi faktów, gdzie towary umyślnie zakupywano czy sprzedawano ze stratą, aby pobić mniej zasobnego konkurenta, zna i historia niedawna w Galicyi fakta, gdzie handlarze ofiarowywali producentom więcej za mleko, niż świeżo powstała spółka mogła płacić, sprzedając równocześnie konsumentom taniej, niż spółka; chwilowo przeto wyższe oferty za buraki mogą mieć jedynie na celu zdemoralizowanie producentów krajowych, zabranie produkcji jednych dla fabryk zagranicznych, zniechęcenie drugich do produkowania po niższej cenie. Ale czy te wyższe cudze oferty mają gwarancje trwałości? Jest to błędem wielkim w rachunku rentowności, gdyby się tylko chwilową cenę uwzględniało; w razie zwycięstwa obcej konkurencji miałyby ona monopol dyktowania ceny, co by do produkcji bez zysku lub zaprzestania tej produkcji zupełnie, do ścieśnienia pola zarobkowości i dochodu kraju prowadziło. Doświadczenia amerykańskich *trustów* nauczyły, jak po pobiciu słabszych konkurentów *trust* coraz bardziej centralizuje produkcję, zamykając liczne dawne zakłady. *Timeo Danaos et dona ferentes* niech sobie każdy przypomni, kogo obca wyższa oferta chce wyrwać z szeregu producentów dla fabryk krajowych. Chwilowy zysk nie wynagrodzi późniejszych strat, do którychby przyszło, w razie gdyby powiodło się zepchnąć nas z już zajętego stopnia gospodarczego rozwoju, faktu istnienia początków cukrownictwa krajowego.

Podnoszono nieraz w kwestyi uprawy buraków cukrowych obawy wielkiego i częstego nieurodzaju. Istnieje to ryzyko — ale która gałąź rolnictwa nie jest ryzykowną? Produkcya buraków jest wiele wymagająca, bez zaspokojenia jej wymogów nie da rezultatów, ale z ściśle klimatycznych powo-

dów, bez winy zaniedbania, nie jest ryzyko jej nieurodzaju większem, niż przy innych płodach.

Oddawna zresztą uznano w rolnictwie słuszną zasadę samo-assekuracji przez różnorodność, a nie jednostronność produkcji; buraki nigdy nie będą u nas przeważającą produkcją na majątku, zajmują małą część areалу, wyjątkowo — nawet nie wiem, czy tak już jest gdzie w Galicyi — dochodzą do $\frac{1}{5}$ lub $\frac{1}{4}$ areалу, przeważnie znacznie poniżej tego, $\frac{1}{10}$ i mniej; to też nawet nieurodzaj, którego nadejścia wyklucać nie można, może być wielką stratą, lecz nie będzie klęską gospodarza. Ani jego rozmiar ni częstota nie mogą być zbyt pesymistycznie oceniane, nie powinny działać odstrasżająco.

Korzyści pośrednie, zasługujące na uwzględnienie w obliczaniu rentowności, leżą po części w produkcji, po części w organizacyi gospodarstwa. Staranna uprawa i nawożenie pod buraki, staranne plewienie chwastów, nie wyczerpują swej doniosłości jednorazowo w produkcji buraków, lecz przynoszą pożytek i następnym plonom. Wiem od ludzi, którzy już przeszło 20 lat sadzą buraki, że ten wzrost dochodu następnych plonów stanowił dla nich główną korzyść z buraków; one zmusiły do wprowadzenia wyższej kultury w gospodarstwo, a to opłaciło się sownie. Obciążając rachunek buraków ogółem pozycyją ich uprawy, należy wstawić i w ich dochód i tę następną zwyżkę plonów.

Dalej idzie kwestya robotnicza. Powiększenie lokalne zarobku robotników ma zawsze wielką ekonomiczną i społeczną doniosłość: powstrzymuje ubożenie ludności, uchyla niedostatek, a stąd ogranicza i demoralizacyę. Obecnie ma to powiększenie sposobności zarobku jeszcze dużo większą u nas doniosłość. Od lat zwracałem już na to uwagę, że stosunki robotnicze zaczynają się u nas niekorzystnie przekształcać. Wiele rodzin włościańskich przez stopniowy podział dawnej ojcowizny przestało już być rolnikami, którzy mają utrzymanie z swej roli, a dodatkowo chodzą na zarobek, lecz zeszło na robotników, których byt opiera się na zarobku, a dochód z własnych zagonów nie jest już podstawą ich bytu, lecz dodatkiem do zarobku. Bez dostatecznie wielkiego zarobku oni już nie mają warunków egzystencyi, a dostate-

cznie wielkim będzie ich zarobek tylko, gdy będzie i dostatecznie trwałym; kilka tygodni w żniwa i przy wybieraniu ziemniaków już im nie wystarcza. I tak przychodzi do zjawiska, że brak pracy wytwarza klęskę braku robotnika, bo nie znajdując w kraju dostatecznie trwałego zarobku, szukają go oni po za krajem. Pocieszać się u nas chciano nieraz tłomaczeniem emigracyi za zarobkiem jedynie modą, fantazyą, agitacją, nie realnemi przyczynami; gdyby tak było, to zjawisko dane byłoby przemijającym, i jako takie mogłoby obaw nie wzbudzać; sporadycznie zdarzają się i takie wypadki rzeczowo nieumotywowanej emigracyi zarobkowej, ale powyżej przytoczone fakta uszczuplenia własnych podstaw bytu dla szeregu rodzin włościańskich — co każdy u siebie na wsi sprawdzić może — dalej wielkie rozmiary i trwałość tego ruchu wykazują, że on opiera się na realnych podstawach. A skutek tego ruchu dla rolniczej produkcji kraju może być fatalnym, coraz gorszym. Wytwarza on wzrastający brak robotnika i coraz gorszą jakość robotnika. Bez dostatku robotnika nie może gospodarstwo postępować w intensywności i wydajności, brak robotnika jest hamulcem rozwoju gospodarstw, może ich cofanie się nawet powodować, bo bez dostatku sił do pracy nie można dokonać pracy, a dziś pozycya to niewątpliwie już u nas bardzo doniosła, gdyby kto w całym kraju mógł zliczyć coroczne szkody z opóźnienia robót, wysypania się ziarna i t. d. wynikające. Optymistów, negujących istnienie tych szkód, znajdziemy głównie wśród ludzi, którzy się za mało gospodarstwem zajmują. Pomimo emigracyi zarobkowej, pozostaje dużo robotników w kraju, ale cyfra ta, acz wielka, może być niedostateczną w porównaniu do zadania krajowej produkcji, i ona grozi stopniowem pogarszaniem się jakości robotników. Porównując wydajność pracy dziennej robotnika u nas i po za krajem, stwierdzano, że jest słabszą i co do ilości, i jakości, i dokładności, a niedbalstwo lub nieumiejętność przy obsłudze maszyn i lepszych narzędzi utrudnia i opóźnia wprowadzenie ich u nas w użycie. Płacę może pracodawca dawać tylko podług przeciętnej wydajności pracy, uwzględniając lichych i średnich; zagraniczny pracodawca przyjmie tylko lepszych robotników, złego napędzi od razu; mając stąd przeciętnie lepszego robotnika,

może wyższy przyznawać zarobek. I tak ujawnia się nominalna różnica między dziennym zarobkiem w kraju a zagranicą, potęgując niebezpieczeństwo. Im ta różnica zarobku wyższą, tem większą stanowi zachętę dla emigracyi, tem więcej zdolnych robotników pójdzie na zagraniczny zarobek, bo tam istotnie więcej zarobią — choć i napracują się więcej, niż w kraju. Różnica ta sumy zarobku dokonywa niekorzystną selekcyę wśród naszych robotników, emigruje co lepsze, zostaje co gorsze, a to wytwarza błędne koło; bo w miarę dalszej obniżki wydajności pracy zniży się nominalnie krajowy zarobek, wzrośnie różnica między zarobkiem krajowym a zagranicznym, wzrośnie zachęta do emigracyi, pogarszając znów dalej przeciętną jakość pracy w kraju.

Przerwać to błędne koło rozwoju jest potrzebą wielką; nadzieja, że ruch ten ustanie sam z siebie, jest nie realną mrzonką — bo ludzie zostać tu tylko mogą, gdy znajdą pewny odpowiedni zarobek; czekanie, aż szykany rządu pruskiego lub nierzadkie krzywdy naszych robotników za granicą powstrzymają, czy znacznie obniżą zarobkowe wychodźstwo, nie daje też żadnych rękojmi poprawy; poprawą sami zając się winniśmy. Kraj uczynił krok ważny stworzeniem biur pośrednictwa pracy; ale dostarczyć pracy w kraju w odpowiedniej ilości mogą tylko pracodawcy. Uprawa buraków daje korzystną po temu sposobność. Zagranica ściąga ludzi tem, że daje nie tylko dziennie wyższy zarobek, lecz trwałe zarobek przez szereg miesięcy, i ten moment trwałości jest ważniejszym, co u nas często przeocza, a robotnik rozumie już znaną prawdę, że byt jego zależy nie od tego, co zarobi na dzień, lecz co zarobi na rok. Bez znaczniejszej produkcji roślin okopowych niema gospodarstwo możności dawania trwałego zarobku przez szereg miesięcy — zagraniczne kontrakty są 7 — 9-miesięczne; nie dając trwale zarobku, niema się pewności robotnika w ogóle, bo on czekać bez pracy nie może i nie zechce na przerywany, nieokreślony co do trwałości zarobek; dając mu rękojmi trwałości, zatrzyma pracodawca robotnika na miejscu, i stąd, produkując buraki, zapewnia sobie gospodarz dostatek robotnika i dla innych prac.

Buraki wymagają uważnej, dokładnej pracy, a przyuczenie robotnika do lepszej pracy jest korzystnym przy wszystkich robotach. Dawna niepewność robotnika, czy i na jak długo zarobek znajdzie, niepewność pracodawcy, czy dostanie robotnika na czas, wносиła zgubny aleatoryczny element w stosunki naszej produkcji rolnej, szkodliwą niepewność, hamującą postęp gospodarczy. Wprowadzenie uprawy buraków cukrowych może być dla wielu gospodarstw punktem wyjścia dla korzystnej reformy stosunków robotniczych, zapewniony dostatek robotnika odbije się korzystnie na całym gospodarstwie, a i tę korzyść znów należy uwzględnić przy obliczaniu rentowności produkcji buraków cukrowych.

Ale są i poważne względy ogólne. Błędem to było naszej przeszłości, czynnikiem słabości, zastoju i upadku, a szkodą jest terażniejszości, hamulcem dla wzbogacenia kraju, że gospodarczy nasz urząd był jednostronnie agrarny, że nie wytworzyliśmy poważnego rodzimego przemysłu. W gospodarczym porządku jest przemysł drogą nadania wyższej wartości, wyższego stopnia pożytku płodom krajowym, jest nowym źródłem bogactwa w kraju, nowym zawodem, dającym utrzymanie licznym tysiącom robotników, dającym pole pracy nowej różnym zdolnościom i zasobom, wytwarza korzystny rynek zbytu dla rolnictwa, będąc równocześnie dostawcą wytworów coraz potrzebniejszych w miarę rolniczego postępu (maszyny, narzędzia, nawozy) i przedmiotów osobistego użycia, a za co wszystko, w braku rodzimego przemysłu, wiele płacić musieliśmy i po części jeszcze płacić musimy obcym. W społecznym zaś porządku przedstawia rozwój przemysłu szansę wytworzenia silnych centrów życia, przyspiesza wymianę i płodów i myśli, przyspiesza rozwój kultury, przysparza wszelakich sił. Stąd słusznym jest program uprzemysłowienia kraju, pożądaną, konieczną realizacją tego programu. Najpewniejszym byt przemysłu, który przerabia krajowy surowiec, a służy zaspokojeniu codziennych potrzeb szerokich kół — ten przemysł jest najpewniejszym i najpotrzebniejszym. Przemysł rolniczy, a zwłaszcza przemysł cukrowy, łączy w sobie oba te warunki i stąd w programie uprzemysłowienia należy się jemu pierwszorzędną miejscę.

Program ten uprzemysłowienia napotyka na trudności rzeczowe i opozycję wyobrażeń, na opór obcy i własny. Pozakrajowe sfery w państwie przyuczyły się traktować Galicję jako prowincję, która ma dawać rekruta i podatki, być rynkiem korzystnego zbytu przemysłowego dla innych — zaprzeczyć nam niemal chciano prawa do gospodarczego postępu przez przemysł, trwale chciano od nas pobierać haracz za przemysłowe wyroby. Dzieje przedłożenia o poparciu przemysłu w wiedeńskim parlamencie stwierdziły to bardzo wyraźnie. Koniecznym jest wyzwolenie się z pod tego haraczu. Ale w dążności tej napotykamy na rzeczowe trudności: fakt niedostatecznych komunikacyj, konieczność drenowania wielkiego szeregu majątków i pól, zanim tam można będzie do naprawdę postępowej produkeji przystąpić, nieznanomość praktyczna techniki uprawy, niewyrobienie robotników — a dalej liczne trudności i przeszkody psychiczne. Tu na pierwszym miejscu kładę zgubny a pokutujący dotąd nieraz suffizantyzm, zadowolony z siebie, nie skory ani nauczyć się więcej, ani lepiej żyć i pracować niż dotąd. Gubił on nas za dawnej Rzeczypospolitej, utrzymywał zastój i *liberum veto*, nie dopuszczał reform żadnych, a odzywając się dziś, chelpi się, jak gdyby wszystkie posiadał rozумы i wszystko czynił najlepiej, schlebia sobie i drugim, że nie niema do zmiany w swej pracy i nie do nauki. A przecież „kto nie idzie napród, ten się cofa“ — my musimy lepiej i więcej i umieć i pracować.

W przeciwieństwie do programu uprzemysłowienia kraju, czytałem niedawno w jednym z dzienników krajowych artykuł, domagający się w pierw „zagraryzowania“ kraju. Błędne to hasło i program. Rolnictwo nie może dźwignąć się należycie bez rozwoju rolniczego przemysłu, bez rozwoju przemysłu w ogóle. Mówiliśmy już o tem wyżej — tu więc stwierdzając tylko błędność tego hasła dodaję, że tak, jak w organizmie żywym, niemożliwym, chorowitym byłby rozwój jednej tylko części organizmu, bo wzrost zdrowy domaga się równoczesnego rozwoju wszystkich części, tak i w organizmie ekonomicznym jest należyty rozwój jednej dziedziny od odpowiedniego rozwoju innych dziedzin zależny. Właśnie dla zagraryzowania kraju, dla uczynienia rolniczej produk-

cy i wydajniejszą i rentowniejszą, potrzebnem jest uprzemysłowienie. Stworzenie silnego krajowego przemysłu cukrowego byłoby ważnym krokiem na tej drodze.

I weszliśmy na tę drogę; powstały cukrownie, dotąd w Przeworsku i Żuczce, a w razie ich powodzenia mogą powstać i powstaną inne. Błędnym i powierzchownym byłby sąd, że utrzymanie ich jest tylko interesem akcyonaryuszów — owszem, jest to interes ogólny; bezpośrednio mają one znaczenie dla tysięcy robotników fabrycznych i buraczanych, dla szeregu rolników, dla szeregu majątków, pośrednio ułatwiają korzystny byt innym majątkom, zmniejszając konkurencyę w ich płodach — a dalej mają te fabryki precedensowe znaczenie. Obcym zależałoby na doprowadzeniu ich do upadku, aby nam odebrać ochotę i odwagę w ogóle do wrywania się z pod hegemonii ich przemysłu — ale nam właśnie na tem zależeć musi. I stąd, gdy narzucono nam walkę o przemysł cukrowniczy, musimy ją podjąć i prowadzić z poczuciem, że to walka nie o jedno przedsiębiorstwo, lecz walka o precedensowe znaczenie, walka o nasz program i przyszłość ekonomiczną, walka o uprzemysłowienie kraju.

Walka ekonomiczna trudniejszą jest dla nas, bo już istnieje we wszystkich gałęziach silne współzawodnictwo, zasobne w kapitały i doświadczenie i wyrobione stosunki, bo dalej nie mamy w swem ręku licznych środków polityki gospodarczej, ceł, taryf, podatków. Ale możemy wprowadzić do walki czynnik samowiedzy i poczucia solidarności krajowych interesów, a to jest siła nie mała. Solidarność ta wystąpiła silnie po stronie konsumentów, żądając wszędzie krajowego cukru, i z zadowoleniem można stwierdzić, że nie był to jedynie odruch chwilowego zapału, lecz wyraz stanowczej woli, rokujący nadzieję, że i inne produkuje będą mogły liczyć na ten popyt krajowy, dający zbyt a przez to poręczający możność istnienia produkcji. Równe poczucie solidarności potrzebnem jest po stronie producentów, bo bez dostatku buraków cukrownia zwoycięsko utrzymać się nie zdoła.

Dotychczasowa produkcya dozwala zaledwie na pokrycie małej części konsumcyi krajowej, jest więc miejsce na podniesienie produkcji. A prócz wszystkich powyżej wymienionych pozycyji, mających stanąć w obrachunku rentowności

buraków, winni rolnicy, mogący w ogóle myśleć o produkcji buraków, uwzględnić i tę doniosłość produkcji cukru, jako etapy ważnej w uprzemysłowieniu kraju. Bez ofiar pewnych żadnej się walki nie wygrywa; chociażby przeto produkcya buraków nie dawała komu natychmiastowych zysków pieniężnych, to sam ten fakt nie może, nie powinien działać odstrasżająco. Nie fakt ofiary, lecz skuteczność ofiary ma rozstrzygać. Złą jest polityka dojrzkowstwa, licząca się tylko z natychmiastowym, dzisiejszym, złą polityka ciasnych umysłów, licząca się tylko z własnym bezpośrednim interesem. W ubożającym kraju wszystkie psują się interesa, dorobek staje się trudnym — dźwigający się kraj podnosi wartość i ziemi i pracy i płodów, ułatwia każdemu byt i dorobek. Węzły gospodarczo-społeczne warunkują trwale dźwiganie się ekonomiczne jednostek przez ogólne dźwiganie kraju, rozumna troska o siebie dba i o kraj. W istocie związków gospodarczych tkwi pewna solidarność społeczna — potrzeba tylko, aby ona była odczuta i wcielona w czyn. Uchylenie się od niej ludzi nieraz pozorami korzyści, ale szkodząc gospodarczemu rozwojowi kraju, zaszkodzi wresze i owym krótkowidzącym rachmistrzom.

Doniosłość poparcia krajowego cukrownictwa stwierdziły już niejednokrotnie oba krajowe Towarzystwa rolnicze, zachęcając swych członków do rozszerzenia lub podjęcia uprawy buraków, zwracając się do Wydziału Krajowego z przedstawieniem co do środków poparcia tej uprawy przez kraj. W rzędzie tych środków zasługują przedewszystkiem na uwagę i przychylne załatwienie w przyszłości zakładanie w okolicach, nadających się do uprawy buraków, wzorowych plantacyj buraczanych na wielkich i małych gospodarstwach, oraz kształcenie w niższych szkołach rolniczych ukwalifikowanych dozorców buraczanych. Zwłaszcza idea wzorowych plantacyj jest bardzo słuszną, bo dałaby sposobność demonstrowania i najlepszych maszyn i narzędzi, i najlepszej uprawy, a nasze stacye doświadczalne, Towarzystwa rolnicze i ich inspektorowie rolniczy chętnie stawią się niewątpliwie do rozporządzenia Wydziału Krajowego, aby te plantacje wzorowe były i środkiem nauki i zachęty w rozszerzeniu tak ważnej produkcji.

P. S. „Profesor“, przemawiający o rzeczach praktycznych, napotyka nieraz na zarzut, że to teoria. A choć wiadomą jest rzeczą, że często ludzie tam narzekają na teorię, gdzie ich wiedza się kończy, postarałem się jednak o kilka zestawień rezultatów od praktycznych rolników, aby uprzędzić wszelkie zarzuty *teorii*. Podaję je poniżej.

1) Od lat czterech uprawiam buraki dla cukrowni w Przeworsku i w Żuczce. Gospodaruję przeszło lat 20. — Z początku byłem przeciwnym plantacyi buraków cukrowych, jako konserwatysta, obawiając się zmiany w całym systemie gospodarstwa, braku robotników, podrożenia administracyi. Jedynie poczucie obowiązku popierania przemysłu krajowego skłoniło mnie do wprowadzenia tej gałęzi produkcji, a nie wiara w korzyści materyalne.

Po latach czterech przekonałem się, że moje obawy były zupełnie nieuzasadnione, a trud, kłopoty w skutek sprawowania ludzi, podrożenie administracyi, sownie wynagradza burak cukrowy; nie tylko mnie, jako plantatorowi, daje dochód, jak żadna inna roślina, ale daje znaczny zarobek ludziom potrzebującym tegoż, gdyż żadna inna roślina, z wyjątkiem tytoniu, nie może zapłacić z morgi 80 do 100 k. za obróbkę, zostawiając 200 do 300 k. plantatorowi czy stego zysku.

Ziemia, na której gospodaruję, jest to czarnoziem przepuszczalny na podglebiu gipsowem, bujny, lecz ciężki do uprawy, łatwo zachwaszczający się — od lat wielu w dobrej kulturze, silnie nawożony obornikiem (nawozów sztucznych nieużywam).

Jak wyżej wspomniałem, wziąłem się z niedowierzeniem do plantacyi buraków cukrowych, dlatego zacząłem od bardzo małej ilości, więcej dla próby i doświadczenia, jak zysku: w pierwszym roku 5 mrg., w 2-im 10 mrg., w 3-im 15 mrg.; przekonawszy się jednak, że przecięcie z lat 3 dało mi *netto* 203 ctr. mtr. z morgi, w r. 1904 posiałem 37 mrg., z których oddałem *netto* 7864.80 klg. buraków, czyli z morgi 212.60. Z tych 37 mórg: było 8 mrg. świeżo nawiezione, już w miesiącu sierpniu 1903 r., a 29 mrg. drugie pole pszenne po nawozie — ściernisko zaraz spokładane,

w październiku druga orka do głębokości 25 cm. Na wiosnę tylko brona i wałki. Do 18 kwietnia zasiano buraki w odstępach 45 cent. mr. Buraki obrabiane były 4 razy rękami, raz plewaczami konnemi, przy sprzyjającej pogodzie, trochę za sucho.

Buraki cukrowe były posiane w trzech kawałkach, i dały następujący rezultat:

1)	3 mrg. świeży nawóz . . .	1023.00 klg.
2)	5 " " " . . .	1254 00 "
3)	29 " drugie pole po nawozie	5587.80 "
	37 mrg.	Razem 7864.80 klg.

t. j. jedna morga dała 212.60 klg.

Obróbka 37 mrg. koszt. 1152 k. 64 h. przeto 1 mrg. 31 k. 15 h.

Wykop. 37 " " 1976 k. 54 h. " 1 " 53 k. 42 h.

Obróbka i wykop. 37 mrg. 3129 k. 18 h. jedna morga 84 k. 57 h.

Cukrownia zapłaciła za 4800 klg. à 180 h. = 8640 k. — h.

" " 3064 " à 185 h. = 5669 k. 88 h.

Razem 14309 k. 88 h.

potrącono należytość za 11 worków 8 " 80 "

Zostaje . . . 14301 k. 08 h.

Gdy od tego strąci się koszt obróbki i wykop. 3129 " 18 "

Zostaje *netto* za buraki z 37 mrg. . . 11171 k. 90 h.

przeto jedna morga dała 301 k. 90 h.

Odstawy buraków nie liczę (stacya kolei jest 1¹/₂ klm. odległą od najodleglejszego lanu) gdyż, za to miałem do karmienia liście buraczane przez 6 tygodni i 2400 klg. wytlóków.

Zapewne, że mój rachunek nie jest dokładny, ale ja liczę tylko to, co gotówką wydałem. W każdym razie sędzę, że jakkolwiek kto zechce obliczać, zawsze wypadnie rachunek na korzyść plantatora i robotnika. Porównajmy np. ze zbiorem pszenicy, przy dobrym urodzaju 12 mtr. cet. z morgi, licząc po 16 k. cet. mtr., to morga da 192 k., z czego potrącając 19 k. 20 h. za zbiór, zostanie producentowi 172 k. 80 h.,

gdy morga buraków cukrowych przyniesie plantatorowi do 300 k., zapłaciwszy robotnikowi około 85 k., nie biorąc w rachunek, w jakiej kulturze zostawia burak ziemię.

Cukrownia przeworska w Żuczce, pomimo że dopiero od lat 4 jest w ruchu, podniosła ogromnie poziom gospodarstwa i jego rentowność, plantatorom dochód z ziemi, ludziom potrzebującym zarobku dała nowe źródło.

Jedna jeszcze uwaga. Nie należy się ludzi wyższymi cenami, jakie płaci za buraki cukrowe fabryka chropińska w Łużanach, gdyż to jest nieprzyjaźń konkurencyjna, która dąży do zabicia przemysłu cukrowego w kraju. Dziś już nie jest tajemnicą, że gdyby cukrownia w Żuczce została zamknięta, to i Łużany zamknęłyby cukrownię, albo dyktowałyby ceny za buraki, jakie same zechcą, a to byłoby zabójstwem dla Wschodniej Galicji.

Sądzę, że tych kilka uwag zrobionych z doświadczenia, niejednemu pesymiście, jakim sam byłem, oczy otworzy, a tem samem przyczyni się do poparcia dobrej sprawy, tak we własnym, jak i w ogólnym interesie kraju.

Okno w styczniu 1905.

Leszek Cieński.

2) Obliczenie rentowności plantacyj buraków cukrowych, na podstawie trzyletniego przecięcia z jednej morgi.

Przychód:

Przeciętny zbiór buraków z 1 morgi		
146.7 q. po przeciętnych cenach	297 k. 04 h.	
40% bezpłatnie dodanych wytlóków 58 c.	29 „ 10 „	326 k. 14 h.

Rozchód:

Dwukrotna orka z pogłębiaczem, zużyto 8 koni à 1.20 i 4 ludzi à 1 k.	13 k. 60 h.
Uprawa pokładów jesienna, 2 konie	
1 człowiek	3 „ 40 „
Uprawa wiosenna i siew, 3 konie	
i 1½ człowiek	5 „ 10 „
Sztuczne nawozy	54 „ 71 „

Nasienie buraków	15 k 98 h.	
Plewienie, przerywanie, czyszczenie i inne najmy	43 „ 74 „	
Wywożenie nawozów stajennych rozdzielone do morgi całego obszaru	4 „ 50 „	
Odstawa buraków do cukrowni, przeciętna odległość 8 klm. po cenie od 1 klm. i 100 kg. 3 h.	35 „ 20 „	
Ogólne koszty gospodarze rozdzielone na morgi	29 „ 40 „	205 k. 63 h.
Dochód z jednej morgi	120 k. 51 h.	

3) Z majątku w Zachodniej Galicyi, 10¹/₂ klm. od kolei r. 1903 zebrano z morgi *netto*, t. j. jak przyznała cukrownia:

158 ctm. po 1 k. 70 h.	268 k. 60 h.	
40% wytlóków	15 „ — „	
	<u>283 k. 60 h.</u>	283 k. 60 h.

r. 1904 (susza szkodliwa) 112 ctm.

po 1.70	190 „ 40 „	
40% wytlóków	10 „ — „	
	<u>200 k. 40 h.</u>	200 k. 40 h.
		<u>484 k. — h.</u>

przeciętny dochód *brutto*: 242 „ — „

Wydatki na morgę, oprócz sprzężaju własnego:

1) nasienie	20 k. —	
2) nawozy (150 k. superf. 18%, 300 k. kainitu, 100 k. saletry)	49 „ 23 h.	
3) robocizna (motyczenie, przecinanie, przerywanie, motyczenie głębokie, czyszczenie i 3-krotne użycie w ciągu robót konnego wypielacza), 35 — 40 ludzi na morgę po 80 h.	32 „ — „	<u>101 „ 23 „</u>
		140 k. 77 h.

Zbiór przeważnie za liście, o ile za gotówkę, to liście pozostają jako dochód; odwóz licząc jak w powyższym rachunku czyniłby 40 „ 50 „

Zostaje dochód 100 k. 27 h.

Rachunki powyższe z różnych gospodarstw, położeń i z różnych stron kraju, których nie mnożę, aby uwag tych nie obciążać, starczą niewątpliwie w każdym razie za dostateczną informację o szansach rentowności. Celem zaś wyjaśnienia agrarnej doniosłości tej sprawy, uprosiłem prof. Stefana Jentysa o poniższe uwagi.

Dr. Józef Milewski.

II.

Cukrownie w Galicyi nie prosperują a kraj ten, jakkolwiek leży w pasie klimatycznym zupełnie odpowiednim dla produkeji buraka cukrowego, nie wytwarza nawet tyle cukru, ile sam może zużyć. Oto skarga, od dawna dająca się słyszeć, a w ostatnich paru latach coraz głośniejszem odzywająca się echem.

Nie produkujemy tyle, ile powinniśmy — fakt to niezawodnie dziwny i zastanawiający, gdyż trudno przypuścić, aby koszta produkeji cukru były w Galicyi tak dalece wysokie, że kraj nie może obronić własnej produkeji przed współzawodnictwem cukru obcego, że działa tu poprostu ta *force majeure*, przeciwko której niepodobna waleczyć. Jakież więc czynniki tamują rozwój cukrownictwa? co sprawia, że produkeya buraka cukrowego się nie rozszerza, albo nawet zmniejsza, jakkolwiek już obecnie dużo cukru się sprowadza, a konsumecya bynajmniej nie doszła do kresowych granic, lecz przeciwnie daleko od tych granic stoi i niezawodnie długo jeszcze będzie się wzmagała? Oto pytania, któremi niezawodnie dla dobra kraju należy się zająć.

Sprawa to niezawodnie ważna, a jak dotychczas niezawodnie za mało nas zajmuje, jakkolwiek budzi ona już i po za granicami kraju nietylko pewien interes, ale wprost zdumienie. Niedawno stan cukrownictwa w Galicyi był przedmiotem obrad warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, a referent wśród wielu przyczyn, tamujących pomyślny rozwój, i tę wymienił, że chociaż rolnictwo w uprawie buraków cukrowych znajduje znakomitą pomoc i podporę, rolnicy nie chcą z tej pomocy korzystać.

Sąd to niezawodnie ostry, ale trudno twierdzić, że zupełnie niezasłużony, bo w istocie rozmiary produkcji buraka cukrowego są u nas zbyt skromne, a znaczne zmniejszenie się w ostatnich latach obszaru zajętego pod uprawę buraka cukrowego w niektórych okolicach niezupełnie usprawiedliwione okolicznościami, czy to ekonomicznymi, czy też naturalnymi.

Nie ulega wątpliwości, że hasło: kraj *musi* produkować tyle buraków cukrowych, ile potrzebuje na zaspokojenie krajowej konsumpcji cukru, nie miałoby zgoła widoków powodzenia, gdyby krajowe rolnictwo nie mogło podjąć produkcji bez straty. Praca pod takim hasłem, byłaby stanowczo objawem niezdrowym i nie miałaby podstaw zabezpieczających trwałość. Rolnik, który potrafi dokładnie obliczyć, co go kosztuje produkcja ziemiopłodów, wobec takiego wezwania zachowa się, choć nawet z żalem, odpornie — i słusznie postąpi. A produkcja, podjęta z nieuchronną stratą przez tych, co dobrze liczyć nie umieją i za hasłem pójdą, to akeja o bardzo krótkiej mecie, to błąd ekonomiczny, który nigdy długo nie może się przeciągać, bo stan kasy gospodarstwa nie pozwoli długo trwać produkcji ze stratą podjętej dla idei.

Nie można więc bynajmniej uznawać zasady, że nasze rolnictwo *musi* produkować w burakach tyle cukru, ile go kraj konsumuje. Ale natomiast zupełnie słusznem jest twierdzenie, że rolnicy *powinni* o tyle pokrywać krajową konsumpcję, o ile mogą produkować buraki cukrowe z zadowalającym zyskiem. Gdy jednak zapytamy, czy przekroczyliśmy już granicę możliwie największej produkcji, odpowiedź nie może wypaść inna, jak ta, że do tej granicy nam jeszcze wcale daleko.

Niezawodnie poważną przeszkodą w rozszerzaniu się uprawy buraków cukrowych jest w niektórych okolicach możliwość sprzedaży buraków pastewnych po cenie znacznie nawet wyższej od ceny, którą cukrownia może płacić (szczególnie wobec gorszych warunków sprzedaży cukru) za buraki cukrowe, jak również — korzystne spieniężanie ziemniaków w gorzelnianej przeróbce. Burak cukrowy nie da tego plonu, co pastewny, a uprawa ziemniaków jest łatwiejsza i sprawia mniej kłopotu. To prawda niewątpliwa. Ale ta

przeszkoda nie jest jeszcze tak bezwzględnie rozstrzygająca, jakby się to mogło pozornie zdawać.

Co do buraków pastewnych, to zbyt na nie jest z natury rzeczy dosyć ograniczony, przytem bardzo chwiejny, zależny od zbiorów siana i kończyny. Wobec tej niepewności zbytu niepodobna gospodarstwa na szerokiej produkcji buraka pastewnego opierać, a to tem więcej, że w miarę wzrostu zapotrzebowania uprawa buraków pastewnych rozszerzy się szybko w gospodarstwach włościańskich, a co za tem pójdzie, popyt w większej własności się zmniejszy.

Co do ziemniaków, to w gospodarstwach mających gorzelnię, lub łatwy zbyt ziemniaków do gorzelnii są one niezawodnie groźniejszym współzawodnikiem buraka cukrowego niż burak pastewny, który obok siebie pozostawia jeszcze dla uprawy buraka cukrowego szerokie pole. Ale i obok ziemniaków może się znaleźć z korzyścią miejsce dla buraków cukrowych, szczególnie tam, gdzie trudno o robotnika. Twierdzenie to może się wydać paradoksalne wobec faktu nie ulegającego wątpliwości, że burak cukrowy zużywa najwięcej ręcznej robocizny. W istocie jednak nie okaże się ono błędem, gdy zwrócimy uwagę na to, że w gospodarstwie, w którym na polach okopowizny ziemniakom towarzyszy burak cukrowy, zapotrzebowanie pracy ręcznej rozkłada się równomierniej na długi okres czasu, począwszy od wiosny aż do jesieni, dzięki czemu gospodarz, dając ciągłą pracę, albo może utrzymać we wsi najemnika skłonnego do czasowej emigracji, gdy znajduje zajęcie tylko przy obróbce ziemniaków i żniwie, albo też może sprowadzić i utrzymać sezonowego robotnika tak, jak robią buraczane gospodarstwa niemieckie.

Względy tylko co podniesione, rzecz prosta, tylko wówczas mogą decydować o wprowadzeniu uprawy buraków cukrowych, gdy ta uprawa gospodarstwa należycie się opłaca. Podniosłem już to wyżej, a tu z naciskiem powtarzam, że nikt nie śmiałyby powiedzieć rolnikowi, który może udowodnić ściśle wykonanym obrachunkiem, że uprawa buraków cukrowych mu się nie opłaca, albo też przynosi mniejsze zyski niż uprawa innych roślin, — iż nie dba o dobro kraju. Ale czy wszyscy zdają sobie dokładnie sprawę z tego, co

istotnie uprawa buraków cukrowych kosztuje i jakie przynosi zyski? A czy bardzo wielu jest takich, którzy zdają sobie dokładnie sprawę z tego, o ile większe możnaby mieć zyski, gdyby uprawa była prowadzona zupełnie racjonalnie?

Uprawa buraka cukrowego może istnieć i rozszerzać się tylko tam, gdzie klimat i gleba nie stawiają niezwalczonych przeszkód naturalnych, a koszta produkcji są o tyle niższe od uzyskanego ze sprzedaży buraków przychodu, że na niezbędną zysk znajdzie się jeszcze miejsce. To prawda niezbita. Ale tak samo nie może ulegać wątpliwości i to, że tam, gdzie klimat i gleba sprzyjają produkcji buraków cukrowych, tylko wówczas można w niej znaleźć odpowiednie zyski, gdy chęci do produkcji towarzyszy — umiejętność produkowania.

Nie sędzę, abym pomylił się, twierdząc, że u nas z dobrzei chęciami można było łatwiej się spotkać, aniżeli z umiejętnością, i że w tem właśnie tkwi źródło pewnego zrażenia się do dalszej produkcji buraków cukrowych tam, gdzie je dotąd uprawiano, lub wyraźnej niechęci do próbowania uprawy tam, gdzie jej dotąd nie wprowadzono.

Do zakresu umiejętności produkowania należy niezawodnie przedewszystkiem zdolność oceny, czy gleba, na której zamierza się uprawiać buraki cukrowe, odpowiada ich wymaganiom, a w gospodarstwach z glebą różnorodną — wybór gleby najlepszej. Zdawać by się mogło, że niema w kraju takich rolników, którzyby pod tym względem mogli popełnić błąd. A jednak zdarzają się przypadki, w których ten główny warunek powodzenia, wybór właściwej gleby, nie bywa spełniony, a przynajmniej niedawno jeszcze takie przypadki się zdarzały. Sam przed kilku laty miałem sposobność przekonać się o tem podczas zwiedzania większych dóbr, gdzie po raz pierwszy podjęto się uprawy buraków cukrowych. Oto znalazłem je bardzo marne na ciężkiej glinie z nieprzepuszczalnym ilastym podłożem, podczas gdy na innym folwarku posiadano znakomitą buraczaną glebę. Czyż po tej niudanej próbie nie mogła się rozchodzić po kraju wieść, że buraków cukrowych nie warto uprawiać, bo się w Galicyi nie udają?

Nie tu naturalnie miejsce wchodzić we wszystkie szczegóły techniki uprawy, tak u buraka cukrowego wydoskonalonej i wciąż postępującej, jak może u żadnej innej rośliny. Ale choć na główne czynniki wypada mi zwrócić uwagę w ogólnych zarysach, bo o wysokim zysku z uprawy buraków cukrowych niezawodnie nie rozstrzyga to, czy cena płacona przez cukrownię jest o 10 halerzy niższa lub wyższa, ale to, czy plon jest dostatecznie wysoki i czy swą ogólną wartością pokrywa należycie znaczne koszty produkcji.

Niegdyś wcale powszechnem było mniemanie, że nie można forsować produkcji buraka cukrowego, bo to oddziaływa ujemnie na ich cukrowość. Silną wiarę w tę *incompatibilitas* wysokiego plonu i cukrowości znać w dawniejszych umowach cukrowni z plantatorami, zastrzegających sposób nawożenia, o którym można powiedzieć śmiało, że stawiał wysokości plonów niskie granice. Dewizę: „Niech plon będzie mały, byle w buraku było dużo cukru“, przez czas długi uważano w przemyśle cukrowarskim za nieodzowny warunek powodzenia. Dziś straciła ona zupełnie znaczenie w obec spsstrzeżeń, przekonywujących, że uprawiając nowe, uszlachetnione odmiany buraków cukrowych można osiągać wysokie plony bez uszczerbku dla cukrowości. Forsowania więc uprawy cukrowni obecnie nie mają racji tamować, a plantator dbający o zysk źle robi, gdy ze swobody nie korzysta gdy nie zwraca dostatecznie uwagi na to, że zwyżka plonu o 10 cent. metr. na mordze kompensuje z okładem obniżenie ceny o 10 halerzy, podwyższenie zaś plonu o 15 lub 20 cent. metr. więcej może zaważyć w dochodzie gospodarskim, niż cena o 10 halerzy wyższa.

Mierne plony najczęściej gospodarstwo kosztują, to — pewnik niewątpliwy. Lepiej jest zatem ograniczyć obszar plantacji a mieć z niej możliwie najwyższe plony, aniżeli zadowalać się lichymi plonami na wielkim obszarze. Koszta uprawy buraka cukrowego nie wahają się w bardzo szerokich granicach i nie rosą bynajmniej znacznie w miarę wzrostu plonu. Tyczy się to szczególnie ręcznej pracy, która przedstawia w kosztach produkcji buraków cukrowych tak poważną rubrykę. Gdy zatem przez odpowiednią kulturę osiąga się plon znacznie wyższy przy tych samych prawie kosztach

produkcji, zysk czysty musi być znacznie wyższy, aniżeli przy plonach miernych.

Oprócz warunków naturalnych, nie dających się zmienić, wpływa na wysokość plonu buraków cukrowych w bardzo znacznym stopniu technika uprawy, a zatem odpowiednie przygotowanie roli pod zasiew, właściwa obróbka i racjonalne nawożenie. Pod względem uprawy, to jakkolwiek widoczny jest u nas znaczny postęp, można się jeszcze spotkać, szczególnie tam, gdzie świeżo wprowadza się uprawę buraków cukrowych, z poważnemi błędami, obniżającemi zyski. Bo u nas w rolnictwie zawsze jeszcze za wiele naśladowania, bezmyślnej rutyny, a za mało ochoty do podążania z postępem. W Królestwie Polskiem, gdzie uprawa buraków cukrowych, wcześniej wprowadzona, niezawodnie więcej się rozpowszechniła, rolnicy wysyłają do Czech i Morawy delegatów z poleceniem, aby zapoznali się tam z postęпами techniki uprawy i pouczeni na żywym przykładzie, dokładniej mogli zapoznać ogół plantatorów z tem, co można i należy dla zdobycia większego zysku naśladować. Tu o takiej dążności do wydoskonalenia się nie słyszemy, ani też nie znać usiłowań wykrycia za pomocą prób lokalnych, jakimi środkami można by zapewnić sobie pożądane podwyższenie plonu i większe zyski.

A od iluż to szczegółów, na pozór niezbyt ważnych, ten czysty zysk zależy. Wszystkich niepodobna tu podnosić, ale wypada zwrócić uwagę chociaż na znaczenie, jakie ma niezawodnie trafne, to znaczy odpowiednie dla miejscowych warunków, oznaczenie wielkości powierzchni przeznaczonej pod każdą roślinę, a zatem szerokości odstępu między rzędami i na rzędach. Ta najwięcej odpowiednia gęstość sadzenia nie jest bynajmniej wielkością stałą, lecz zmienną, zależną od gleby i klimatu, a dla jej wyznaczenia zagranicą setki prób się wykonywa. U nas, choć próba to bardzo prosta i łatwa, chyba wyjątkowo ktoś ją przedsięwzię, jakkolwiek wysokość plonu nie mało zależy od utrafitenia właściwych odległości pomiędzy burakami. Pod względem gęstości sadzenia interesa cukrowni i plantatora są sprzeczne, gdyż buraki rzadko sadzone mogą dać plon wyższy, lecz będą mniej cukrowe, gdy przeciwnie gęsto rosnące buraki odzna-

czają się wysoką zawartością cukru a plon dają niższy. Ale właśnie, wobec tej sprzeczności interesów, tem ważniejszym jest oznaczenie tych granic w odstępach, których plantator nie powinien przekroczyć bez znacznego uszczerbku dla własnej kasy z jednej strony, a bez narażenia cukrowni na znaczną stratę — z drugiej.

A kwestyą odpowiedniej do uprawy odmiany, czy rasy, czy też marki buraków, czy się zajmujemy jak należy? Wiadomo, że są odmiany mniej plenne a wysoko cukrowe, obok nich bardzo plenne, które co do cukrowości niezadowolają, a wreszcie i takie, u których wysoki plon idzie w parze z obfitą zawartością cukru. Wybór więc odpowiedniej odmiany jest rzeczą bardzo ważną, a przy wyborze obok innych czynników trzeba także uwzględniać i warunki sprzedaży. Produkcya wysoko cukrowego buraka może być rentowną tam, gdzie cukrownia płaci za cukier, albo też płacąc od wagi buraków, normuje cenę wedle cukrowości buraków i przez to bonifikuje plantatorowi niższy plon wysoko cukrowych buraków. Tam zaś, gdzie rolnicy nie mają żadnego interesu w produkcji buraków o bardzo wysokiej zawartości cukru, muszą być skłonni do wyboru odmian odznaczających się większą plennością, dążenie zaś do zwiększenia przez to zysku z uprawy może doznać ograniczenia tylko przez przymus ze strony fabryki do użycia nasienia przez fabrykę dostarczonego. Tego rodzaju przymus może jednak znających znaczenie wyboru odpowiedniej odmiany zniechęcić do uprawy buraków, lekceważących zaś nieświadomie ten czynnik naraża na straty. Z biegiem czasu zarówno z jednym jak i z drugim może stanąć cukrownia w przykrej kollizyi, której można uniknąć, jeżeli się pozna zachowanie różnych ras i odmian i wprowadzi do uprawy nasienie, dla miejscowych warunków najwięcej odpowiednie, a zatem inne może w jednej, inne w drugiej okolicy.

U nas na tak ważny czynnik, jakim jest trafny dobór odmiany, za mało doprawdy zwraca się uwagi. Posługujemy się głównie nasieniem zagranicznym, bez sprawdzenia, o ile jest ono odpowiedniem dla naszych warunków. Pracy mającej na celu poznanie, co nam dać może nasienie tej lub owej renomowanej odmiany, czy rasy pozakrajowej, zupełnie

nie widać. A cóż dopiero mówić o usiłowaniach wytworzenia ras własnych krajowych, do miejscowych warunków klimatu i gleby przystosowanych. W Galicyi Zachodniej nikt się tem nie zajmuje, jakkolwiek wytworzenie krajowej rasy buraka, odznaczającej się wyższą plennością od ras obcych, a nie ustępującej im pod względem cukrowości, to bynajmniej nie mrzonka niedościgniona, lecz skutek, który praca w tym kierunku podjęta, wytrzymała a świadoma celu, niewątpliwie by osiągnęła. Niezawodnie i krajowe cukrownie nie są bez grzechu, że idąc za utartym przykładem fabryk pozakrajowych, tą sprawą ze szkoda własną się nie zajęły, chociaż zysk z produkcji nasienia płynący należy się słusznie krajowi, który buraki cukrowe uprawia i nie jest to objaw zdrowy, że rolnictwo krajowe tego zysku jest dotąd prawie zupełnie pozbawione.

Gdy mowa o wytworzeniu ras krajowych i produkcji nasienia buraka cukrowego, niepodobna nie wspomnieć o usiłowaniach hodowców zagranicznych uzyskania przez hodowlę odmian później dojrzewających. Wprawdzie nie udało się jeszcze dojść do ustalonych rezultatów, ale cel pracy w tym kierunku podjętej trzeba uznać za trafny. O powodzeniu nie powinno się z góry powątpiewać, bo skoro udało się wyhodować wczesne i późne odmiany ziemniaków, to i u buraków cukrowych osiągnięcie tego samego celu nie jest chyba niemożliwe. A co za korzyści stąd i dla plantatora i dla cukrowni! Przedłużenie okresu sprzętu i odstawy do stacji kolejowej, zmniejszenie dla cukrowni straty cukru, uniknięcie po wyjęciu buraków z ziemi, uniknięcie nawału pracy przy odbiorze — oto skutki, o które doprawdy warto się pokusić. Tymczasem sami nietylko na tem polu czynnie nie działamy, ale nawet mało o tem wiemy, co się w krajach obcych w tym kierunku robi.

Pod względem nawożenia roli pod buraki cukrowe również mamy wiele sobie do zarzucenia. Nie wiem doprawdy, co się częściej u nas zdarza, czy to, że używamy nawozów za mało, czy też to, że dajemy ich za wiele — ale nie zbłądzą bynajmniej, twierdząc, że najrzadziej dajemy ich tyle, ile potrzeba. Skłonni do posiłkowania się szablonem i receptą, zbyt mało okazujemy chęci do sprawdzenia, czem

nawozić potrzeba i czy nawozy, które kupujemy, dostatecznie się opłacają. Rolnicy ostrożni, mniej zasobni, do obfitszego użycia kupnych nawozów pomocniczych nie objawiają ochoty. Rzutniejsi, zasobniejsi dają nieraz wszystko, o czem słyszeli, że burak cukrowy potrzebuje, bez względu na to, jaką jest zasobność gleby. Słowem brak odwagi, albo szablon zwykle się spotyka, a rzadziej zrozumienie, że stosowanie nawozów pomocniczych powinno być ściśle indywidualne, to znaczy, że te nawozy powinny być, tak co do jakości, jak i co do ilości, użyte odpowiednio do naturalnych zasobów gleby. A przecież tylko takie indywidualne nawożenie zapewnia najwyższą opłacalność kupnych nawozów. Wprawdzie naśladowanie w użyciu środków nawozowych, trzymanie się renomowanych recept i zagranicą, szczególnie w Niemczech, na dobre kwitnie. Tam jednak, wobec korzystniejszych warunków produkeyi, postępowanie takie nie pociąga jeszcze za sobą zbyt smutnych następstw. Tam przynosi ono może tylko szkodę — u nas prowadzi nieraz do zguby.

Nie lepiej niezawodnie dzieje się z zastosowaniem maszyn i narzędzi, ułatwiających i wydoskonalających uprawę oraz obniżających jej koszta, głównie przez zmniejszenie zużycia pracy ręcznej. Na tem polu tak samo wiele jeszcze mamy do zrobienia, jak i pod względem zwiększenia wydajności i poprawy pracy ręcznej tam, gdzie ona przy uprawie buraków teraz jeszcze nie da się zastąpić robotą maszyną. Praca robotnika galicyjskiego w Niemczech jest lepszą i wydawniejszą, bo tam go ucza, jak ma robić, i wiedzą, czego potrzeba koniecznie wymagać, a może i narzędzia do roboty dają odpowiednie. Również i w zaprowadzeniu pracy akkordowej za małe, jak się zdaje, robimy postępy.

Ale nie chcę już dłużej nad ujemnymi stronami naszej produkeyi buraka cukrowego się rozwodzić. Wytknięte chyba wystarczą, by zrozumieć, dlaczego przedewszystkiem obszar zajęty pod uprawę buraków cukrowych w zachodniej części kraju nie zwiększa się tak, jakby sobie tego należało życzyć. Szerzy się przekonanie, że uprawa buraków cukrowych przestała się opłacać, a zbyt mało myśli się o środkach, które mogą rentowność utrzymać na dawnym stopniu, pomimo obniżenia się ceny, płaconej za buraki. Do tego celu prowa-

dzą zwiększenie plonu i obniżenie kosztów produkcji, a zanim się kto od uprawy cofnie, powinien, dążąc w obu kierunkach, starać się zwiększyć opłacalność plantacyi. A niezawodnie w tych usiłowaniach i Towarzystwa rolnicze i zakłady doświadczalne i cukrownie i kraj powinny spieszyć z jak najwydatniejszą pomocą.

Gdy mowa o opłacalności produkcji buraków cukrowych, muszę jeszcze zwrócić uwagę na to, że chcąc obliczyć całą korzyść, jaką przynosi gospodarstwu ich uprawa, nie powinno się ograniczać do porównania przychodu i rozchodu samej tylko plantacyi. Nie ulega bowiem wątpliwości, że ta lepsza kultura, jaką burak cukrowy wnosi do gospodarstwa, odbija się korzystnie i na innych plonach, po buraku na tem samym polu uprawianych. Pewna więc część kosztów uprawy buraków znajduje w zwiększonych plonach innych ziemiopłodów pokrycie, a przez to rentowność produkcji buraków cukrowych w istocie wyższą się okazuje od wykazanej jednorocznym tylko obrachunkiem.

Gdy będziemy zwracali uwagę nietylko na dochód, jaki nam uprawa samego buraka cukrowego przynosi, ale także i na ogólny zysk, jaki zapewnia wprowadzenie uprawy tej rośliny do gospodarstwa, a przede wszystkim, gdy wypróbujemy i wyczerpiemy wszystkie środki, które prowadzą bądź do podwyższenia plonu, bądź też do obniżenia kosztów produkcji, dopiero wówczas twierdzenie, że uprawa buraka cukrowego w pewnych okolicach naszego kraju zupełnie się nie rentuje, nie spotka się z niedowierzaniem. Dopóki zaś statystyka stwierdza, że plon przeciętny buraków cukrowych z morgi jest wyższy w Czechach o 28, a na Morawie o 12 cent. metr., narzekanie na niedostateczną opłacalność powinno zmilknąć, a do poprawy produkcji — znaleźć się potrzebna energia.

Pracą tyle wdzięczną nad wydoskonaleniem uprawy należy się zająć bez wahań i zwłoki. Przyczyni się ona niezawodnie najwięcej do pomnożenia istotnie rentownych, podnoszących kulturę gospodarstwa plantacyi buraka cukrowego, a jeżeli nawet nie doprowadzi do tego, abyśmy mogli obywać się w kraju bez cukru obcego, to wyczerpawszy

wszystkie środki, nie będziemy potrzebowali się już tego wstydzić. Teraz jeszcze przed uczuciem wstydu trudno się obronić, gdyż nietylko nie mamy prawa twierdzić, że *nie możemy* produkować na roli tyle cukru, ile wymaga konsumpcya kraju, ale stoimy zupełnie bezbronni wobec zarzutu, że *nie umiemy* z własną szkodą potrzeby kraju zaspokoić.

Dr. Stefan Jentys.

Kronika literacka.

— *Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk: 1800 — 1832.*

Monografia historyczna osnuta na źródłach archiwalnych przez Aleksandra Kraushara mecenasa i t. d. Księga III. *Czas!! Królestwa Kongresowego. Ceterolecie przedostatnie.* (Kraków i Warszawa 1905, stron 501). — Zbliża się do końca monografia, której ukazanie się powitał świat naukowy z dużym zajęciem, tem bardziej, że każdy tom przynosi rzeczy niezmiernie zajmujące, choć podane w formie nieco surowej i trudnej do czytania dla czytelnika, lubiącego zwięzłość i poglądy ogólne, wydobyte z masy wydobytych faktów. Ale zamilowanie autora dla obranego przedmiotu, jest tak przemawiające do serca, chęć pokazania nam wszystkiego i niezapomnienie niczego tak miła i sympatyczna, styl tak łatwy i rymujący, że czujemy się wzruszeni jego poczciwem i szczerze po polsku czującym sercem, przejęci szacunkiem dla jego wytrwałej pracowitości i erudycji, która tyle już polskiej nauce przysporzyła nowych materiałów i odsłoniła tyle interesujących zakątków naszych dziejów i przeszłości. Z przyjemnością przeglądamy przedostatni tom jego rozległej publikacji i z wdzięcznością zamykamy jego karty z przekonaniem, że autor jest nie tylko pracowitym uczonym, ale i dobrym obywatelem kraju, który w dzieło swe wkłada prócz wiedzy także wiele z duszy poetyckiej, bardzo i gorąco odczuwającej wszystko, co w naszych dziejach było pięknego i godnego pamięci. Błyskotliwości, pozy, oschłości, pedantyzmu nie ma u niego nigdzie. Jest pogoda i równowaga człowieka, który wiele ukochał i z miłością zbiera i układa w imponującą całość poszczególne części zamierzonej budowy.

Słusznie podkreśla na wstępie autor przewagę polityki w naszym ówczesnym życiu. Im więcej odgrywa ona roli w uczuciach i myślach ogółu, tem ostrzejszą staje się też reakcja bijąca ze wszech stron o brzegi, gdzie wbrew oczekiwaniu zakwitła na czas jakiś polityczna wolność i obowiązywały gwarancje naruszone nawet przez Burbonów we Francji. Życie

Towarzystwa płynie wyżłobionem korytem, a na tle poważnej sali posiedzeń, otoczony gronem kolegów, wielbiony przez współobywateli przemawia z prezydyalnego krzesła ciągle Staszic, pochłonięty swą działalnością publiczną i studjami przyrodniczemi. Jego fundacya hrubieszowska rozwija się pomyślnie, wdzięczność ziomków otacza starca i wyraża się piękną przemową Skarbką. „Nie niosę Ci ja pochlebnych i czezych wyrazów w ofierze — mówił znakomity ekonomista. — Wieniec zasługi, który dzisiaj Koledzy Twoi na tych sędziwych złożyć chcą skroniach, uwity jest z kwiatów, przez Ciebie samego, na polu cnoty zebranych. Żadna zawiść, żadna złość ludzka, ani Ci go wydrzeć, ani zwiednienia jego zdziałać nie może. Niechaj ta myśl pocieszająca, niechaj ten głos swobodny wewnętrznego przekonania, na grodą Twoją będzie; a jeżeli kiedy zapuścisz spokojne oko w daleki zawód przyszłości, ujrzysz tam, obok Hrubieszowskich pokoleń przyszłych członków naszego Towarzystwa, na jednym ołtarzu hold wdzięczności swojej składających“.

Dyssonansem w ogólnej harmonii towarzyskiej członków, uczonego grona jest Linde, zasłużony autor słownika, ale nieco nietaktowny i krańcowy w swych poglądach politycznych; wystąpienie jego łagodzi krytyka, wypowiedziana publicznie przez generała Krasieńskiego, wprost już oburzająca i niesympatyczna. Sędziwy prezes uspakaja wzburzenie, i prace naukowe idą dalej swym torem. Uwagę zwraca wśród licznych przemów i sprawozdań członków, pochwała patriotyzmu i zasług Stanisława Łotockiego przez Staszica, który wskazał w zmarłym wzór, jak „należy poznać, jak wystrzegać się i gardzić tymi, co ubiegając się za złudnym popularnym poklaskiem, pod pozorem miłości ojczyzny, nie słuchają, tylko miłości własnej“. Wielkie słowa i niestety tak prawdziwe wtedy i dziś. Ciekawym jest spór Nowosilcowa z Gołuchowskim na tle poglądów filozoficznych tego ostatniego, humorystycznym wystąpienie Niemcewicza, który z koniecznej potrzeby obowiązuje się dostarczać płodów wierszowych klasycznemu zastępowi członków, charakterystyczna opozycja ks. biskupa Prażmowskiego przeciw metafizyce reprezentowanej przez Gołuchowskiego. Strudzony wiekiem i pracami Staszic, poczyna zwolna opuszczać silną kierującą dłoń prezesa drobiazgi wypełniając obrady, a tymczasem w społeczeństwie wytworza się rozłam głęboki i walka sprzecznych opinij politycznych rośnie z dniem każdym. Umiera sam prezes, uczczony wspaniałym pogrzebem i dawne pokolenie znika stopniowo, ustępując miejsca nowym ludziom i czasom. Co się tyczy religijnych poglądów Staszica, nie zgadzam się z sądem szanownego autora i uważne odczytanie wydanego przez niego dziennika podróży znakomitego męża, doprowadziło mnie do wprost przeciwnych wniosków. Uzasadniłem to obszernie w mem studyum przedstawionem w r. 1903 Akademji Umiejętności i mam na-

dzieję, że gdy ujrzy ono światło dzienne, postać Staszica wystąpi nie taką, jaką byśmy chcieli, ale jaką była istotnie. Dziennik i dzieła ostatnie dowodzą, że ten wielki obywatel był do śmierci polskim Encyklopedystą w słowie i czynie, w myślach i treści. Gdyby szanownemu autorowi udało się wydać jeszcze one fragmenty z dziennika wiedeńskiego Staszica, nieco zagadkowy ten okres jego życia rozjaśniłyby się niewątpliwie.

Pojawiają się nowi członkowie, zmienia się przedewszystkiem tło, na którym działa Towarzystwo i dla którego poświęca swe usiłowania. Reakcyja staje się tak gwałtowna i ograniczona, że nawet *Śpiewy historyczne* wydają się satrapie warszawskiemu rzeczą podejrzaną. Nowosilcow sroży się gorzej z dniem każdym a prezesura Niemcewicz jest kamieniem obrazy dla potężnego senatora. O Mickiewiczu milczy się na posiedzeniach, gdyż klassycy nie znajdują dla niego słów oburzenia, a romantycy wynoszą go pod niebiosą. Nie ma więc miejsca dla poety wśród grona, które odznaczało dyplomem członków nieskończenie mniejszych od niego. Natomiast pięknie umiało czczyć pamięć zmarłych, wśród których Staszic świecił najjaśniej i doczekał się też zasłużonej pochwały z ust swego następcy. Jako dowód religijności Staszica, przytoczył Niemcewicz fakt ogłoszenia przekładu poematu Racine'a, o religii zapominając widocznie, jak i szanowny autor opierający się na powadze Korzona, że przekład poematu o religii wydany jest równocześnie z przekładem utworu Voltaire'a o trzęsieniu ziemi w Lizbonie, który jest jednym z najbardziej bezbożnych poematów świata. Kwintesencya poglądów Staszica, *Ród ludzki* nie popiera też ulubionej tezy wielu naszych historyków literatury... Wyczerpującymi sprawozdaniami z posiedzeń otwiera się i kończy dzieło niezmiernie cenne w szczególności charakteryzujące nie tylko działalność Towarzystwa ale i wiele osobistości je składających. Za tę kopalnię informacji i staranność w opracowaniu całości, należy się autorowi uznanie prawdziwe. Niecierpliwie wyczekujemy końca publikacji, która przyniesie nam jeszcze całe mnóstwo rzeczy nowych i wagi pierwszorzędnej,

Dr. T. Grubowski.

— August Langmesser: *Konrad Ferdinand Meyer. Sein Leben, seine Werke und sein Nachlass.* (Berlin, 1905. Verlag von Wiegandt & Grieben). — Wśród najlepszych nowelistów, jakich niemiecka literatura wydała od pierwszej epoki świetności tego rodzaju, t. j. od romantyków, aż do doby obecnej, do Heysego — Konrad Ferdynand Meyer z Szwajcaryi rodem musi być wymienionym. Dla rodaków ma znaczenie i jako uzdolniony liryk i poeta ballad i romansów, jako twórca poważnego eposu o *Ostatnich dniach Huttena*, zagranicą jednak prze-

dewszystkiem nowelle jego czyta i ceni. Są one postawione wszystkie na tle historycznym, a czy to będą czasy nocy św. Bartłomieja (*Das Amulet*), czy Henryka II angielskiego (*Der Heilige*), czy wojny trzydziestoletniej (*Jörg Jenatsch*) lub Gustawa Adolfa (*Page Leiblŕing*), zawsze  rodowisko przedstawione jest i z historyczn prawd i z poetyck malowniczo. Mistrzem za jest K. F. Meyer w odtwarzaniu Włoch w przeszłości, zarówno w wiekach  rednich, jak to uczynił w najcelniejszej swej nowelli *Die Hochzeit des M nchs*, jak take Włoch p źniejszych z epoki Karola V, kt re pokazał w bardzo znanym utworze p. t. *Die Versuchung des Pescara*. W duszy tego poety, w Zurychu urodzonego, po Włoszech czsto podr żujcego, yła widocznie renesansowa Italia z cał bujno zycia, do kt rej daremnie dzisiejsi modernici wzdychaj. K. F. Meyer odznacza si podobn wyrazisto i plastyk w charakteryzowaniu figur, tak nielicznych fikcyjnych, jak i liczniejszych historycznych: pokazał ywym Tomasza Bekketa, potżnego kanclerza anglosaksońskiego, ze swym kr lem wspaniale walczcego; co wicej Meyer nie cofnł si nawet przed mistyczn postaci Dantego, a zuchwało i w tym wypadku nie zbldził, bo florencki wieszcz na dworze werońskiego patrycyusza Scaligera budzi w *Weselu mnicha* cze i ciekawo. Moe tu i  wdzie historyk (ale nie archeolog na szczcie) nad powieciopisarzem g ruje, moe poeta niekiedy w odtwarzaniu wiata uczu i namiętnoci jest zbyt estet, dbajcym o pikne ksztalty i poprawne linie, moe wreszcie i jednostajn wyda si nam metoda autora, kt ry niemal zawsze tre nowelli wkłda w usta jednej z jej os b, jako jej opowiadanie — mimo to wszystko K. F. Meyer zaiste wart jest bliszego poznania i przez obcych. Moe za w stopniu nie najslabszym obudzi zaciekawienie u nas, gdzie w przeciwiestwie do piknie rozrosłego romansu historycznego, nowella na tle dziejowem, szczeg lnie włoskiem, bardzo słabo jest pielęgowana.

Powana praca p. Augusta Langmessaera na tej drodze jest pewnym i przyjemnym przewodnikiem. ywo a przejrzyste opowiada naprz d o yciu poety, troskliwie omawiajc jego czste podr że po Szwajcaryi, Włoszech i Niemczech. Zanimujemy z biografii dwa szczeg ły obchodzce Polsk i Polak w. Przyjacielem ojca Konrada Ferdynanda i jego samego był znakomity historyk z Waadt, Louis Vulliemin; w jego gociennym domu w Mornex młodzienciek poznał niejedn sław literack. Sam wspominał potem o „marzyielskim Mickiewiczu, wyrafinowanym Sainte-Beuve, pobonym Montalembert, naiwnym Michelet i niejednym innym, kt rych Vulliemin ugaszczał i przeył (str. 33). W p źniejszym za wieku inny Polak był znajomym, nawet przyjacielem poety. Oto w r. 1877 kupił sobie posiadłość ziemsk pod Kilchberg w pobliu jeziora Zurychskiego. „Moim ssiadem

tutaj jest hr. Plater, którego Polacy wyznaczyli na swego przedstawiciela wobec książąt i narodów, a którego żoną jest dawna morganatyczna małżonka króla Belgów, aktorka i autorka Karona Bauer. On niby król, ona niby królowa, ja niby poeta — jakoś to pójdzie (str. 100). I poszło: stosunki sąsiedzkie były bliskie i serdeczne, a śmierć hr. Platera dotknęła bardzo staro- go już pisarza.

Bardzo szczegółową jest druga część książki, poświęcona rozpatrywaniu jego utworów. Analiza dokładna a nie nużąca serdeczna a spokojna i przedmiotowa; rozbiór nowell, od podania treści aż do oceny estetycznej, bardzo trafny, a przyda się w pierwszym rzędzie tym, którzy z dziełami Meyera mniej są obznajomieni. Szkoda natomiast, że brak zupełnie syntezy, ogólnego sądu o Meyerze, o jego stanowisku w literaturze niemieckiej i światowej, o jego sztuce nowellistycznej. Tyle tu można było powiedzieć, tyle trzeba było powiedzieć, że wskażemy tylko na wspomniany dorywczo w dwóch miejscach wpływ Prospera Mérimée, lub wcale nie uwzględniony stosunek Meyera do niemieckiego powieściopisarstwa, zwłaszcza do Szwajcara jak on Gottfrieda Kellera. Pod tym względem monografia p. Langmessa zupełnie zawodzi. Daje natomiast mniej lub więcej obojętną „Spuściznę“ poety i przepyszny jego portret pędzla Franciszka Lenbacha.

Dr. J. Flach.

— Alfredo Rolla: *Storia delle idee estetiche in Italia*. (Torino Fratelli Bocca Firenze 1905). — Krytyka włoska, którą scharakteryzowałem niezbyt dawno na tem miejscu, czyni ciągłe, a wytrwałe postępy. Poglębia się znajomość literatury, wytwarzają metody i kierunki, filozofia i socjologia dostarczają często podstawy do bardziej ścisłych i umiejętnych wywodów powstają dzieła nie lokalnej wartości tylko, ale godne zająć miejsce w krytyce europejskiej. Znać, że na tem polu pracuje się gorączkowo i z zapałem, który pragnie dorównać innym narodom w bogactwie syntez i monografij naukowych i postawi krytykę literacką włoską na poziomie godnym wielkiego narodu i wielkiej, a starej kultury. Nawet obce literatury, jak wskazuje omówione przed kilku miesiącami dzieło Mantovaniego, interesują uczonych półwyspu, w ostatnich latach powieściopisarka angielska George Eliot doczekała się o sobie wyczerpującego i świetnego studjum.

Dzieło, które streszcza historia pojęć estetycznych we Włoszech, dowodzi również wielkiej erudycji i bystrości swego autora. Poprzedza je pogląd na rozwój pojęć o pięknie za Alpami, po którym znajdujemy wyborny rozbiór estetyki św. Tomasza i innych teoretyków średniowiecznych. „W wiekach średnich — mówi autor — retoryka nie jest tylko częścią kultury, ale całą kulturą, jak scholastyka całą wiedzą; ona obejmuje wszystko, co się wie o literaturze, literatury naucza się

przez retorykę i aż do Montiego, profesor retoryki daje lekcję literatury. Retoryka jest pierwszą formą naukową sztuki słowa, ona jest estetyką wymowy, potem staje się estetyką wszystkich form sztuki słowa“. Autor dowodzi zależności tej estetyki od starożytnych, potem rozbiera estetykę Renesansu, która się streszcza w słowie naśladowania. Z estetyków przedromantycznych zatrzymuje autora dłużej genialna postać filozofa historii Vico. Poezyę uważał on za objaw wręcz przeciwny filozofii, za formę przemijającą duchowości, za język wyobraźni, ale nie rozumu. W estetyce sensualistów widzi autor, znów zasady Arystotelesa i Horacego, a samo pojęcie smaku przejęte przez estetyków włoskich od Blaire'a zbliża się do starożytnego. Takimi są Soane, Pagano, nawet estetycy przejściowi, jak Carpani, Venanzio, Sezatti. Romantyzm oświadczył się surowo przeciw wszelkiemu naśladowaniu i choć szedł różnymi drogami, czerpał z własnej duszy, z duszy współczesnej i obcej starożytnym. Estetycy romantyczni pragnęli sztuki, któraby odczuwała nieskończoność, której natura pożądana przez klasyków, jest tylko objawem, formą, odbiciem. Dla Manzonięgo klasycyzm wydaje się sztuką opartą na moralności epikurejskiej, pysznej, wyniosłej, egoistycznej i antyspołecznej. Romantyzm włoski jest nie tylko idealistycznym, ale i katolickim w wielkiej części swych objawów. Co się tyczy Leopardiego, miał on formę klasyczną, ale treść nową. Chciał sztuki szczerej, a za cel jej i treść uważał złudzenie.

Obrońcami estetyki Hegla są: Vera, Spaventa, Ceretti. Uważają oni sztukę za rodzaj objawienia, za ukazanie się wybranej istoty poety drugim istotom. Sztuka obejmuje w sobie pierwiastki religijne i filozoficzne, jest kontemplacją na tle absolutnego piękna i dobra, a nadto prawdy, której najwyższym wyrazem Bóg. Ceretti, jak Vico uważa sztukę za rzecz natchnienią, choć wśród poetów są różne jego stopnie i odcienia. De Sanctis przejął dużo pojęć od hegelianistów, choć był w krytyce zwłaszcza dojrzałego wieku realistą zupełnym. Wyraz estetyki pozytywnej widzi autor w poglądach Lombrosa i słusznie. Wedle ostatniego geniusz, to najwyższa siła natury ześrodkowana w jednym punkcie, to nadmiar, który mąci harmonię czynności, to wychylenie się z równowagi i miary. Taki nadmiar musi mieć w sobie koniecznie wady i słabości stanu dalekiego od normalnego, co streszcza się za edegium starożytnem, że *nullum magnum ingenium sine dementia*. W świetle wiedzy Leopardi Poe i inni są chorymi i badania nad nimi wchodzą w zakres psychologii chorobowej. Pięknemi uwagami o estetyce Dantego kończy się książka napisana może nieco pośpiesznie i złożona raczej mechanicznie z szeregu artykułów niż stopiona w jednolitą całość, ale ciekawa i pouczająca. Dr. T. Grabowski.

Z literatury powieściowej.

— Józef Weysenhof: *Syn marnotrawny*. (Warszawa, Gebethner i Sp., 1905, str. 446). — Autor *Życota Podfilipskiego* i *Sprawy Dołęgi* może jako psycholog być stawianym bardzo wysoko. Charaktery jego bywają subtelnie wyrzeźbione, silnie ujęte, zaokrąglone lub wyostrome; postacie naturalne i żywe. Jest dużo prawdziwej poezji, dużo uczucia w opisach natury, a pomimo to, czytanie jego utworów zostawia pewien smak goryczy, spotykany dość często u dzisiejszych pisarzy. Źródłem jej jest wybór typów przeważnie ujemnych, pochodzący z odrębnego punktu widzenia: światło rzucone jest na ludzkość nie z góry, lecz z boku. Autor patrzący z góry nabiera dużo litości dla nędzy człowieczej, zda się jakoby na tych wyżynach przenikał się tchnieniem miłosierdzia Bożego, więc wydobywa na jaw cnotę, a gromiąc zło, wskazuje drogi poprawy. Patrzący z boku zaś widzi zazwyczaj mniej dobrego, niż złego, zaczem z żalu, z samej tęsknoty za dobrem rodzi się w nim gorycz i gniew. Wtedy pisząc czyni, jak p. Weysenhof, który o cności niemal że zamleża, a wady chłoszcze biczem nieubłaganej ironii. Dużo jest jej nawet w *Sprawie Dołęgi*, najmniej satyrycznej z trzech większych powieści autora, pełno w *Podfilipskim*, najpełniej w ostatnim utworze p. t. *Syn marnotrawny*. To już satyra od początku do końca, słuszna i zbawienna, gdy ostrzega naszych rodaków przed wężem ukrytym wśród palmowych gajów „Jasnego brzegu“, przed poniżającą duchowo i wręcz rozkładową atmosferą pstrej zbieraniny ludzi koczującej co roku w Nizy i Monte Carlo, dokoła ołtarza Złotego Cielca. Tam — według autora — samo powietrze mąci zmysły i rozmiękcza wolę. Słusznie też wytyka łatwość, z jaką Polki za granicą wchodzą w stosunki z osobami nieznanej przeszłości i nawet niepewnego nazwiska. Satyra jednak nie poprzestaje na tem; staje się wręcz bolesną, gdy obok ohydy złego maluje fałsz cnoty, fałsz rodzinnej tradycyi, rodzinnej spójni, rodzinnej miłości. Że na świecie istnieją faryzeusze, a nawet całe faryzeuszowskie gniazda, nikt niestety nie wątpi. Kreśląc jednak mistrzowskiem piórem obraz takiej rodziny, należy *koniecznie* przeciwstawić jej inne, bardziej uczciwe, jeśli się nie chce w duszę czytelnika wtłoczyć wrażenie, że wszystko, co podziwiamy u innych, jest błotem powleczonem szychową blaszką, że cnoty nie ma na świecie lub przynajmniej że jej rzadkie, zabłąkane ziarenka kiełkują z zasady wyłącznie w duszach doktrynerów i solennych nudziarzy.

Dlaczego to? Czyżby autor istotnie wierzył, że cnota nie może iść w parę z uśmiechem, co więcej, że ten uśmiech łagodny i szczery jest wrodzonym objawem wewnętrznej pogody dusz uczciwych i czystych? A przecież wbrew pesywiście,

duże takie istnieją nie tylko po pustelniach, ale między nami tak pod postacią kobiet pełnych wesołości i wdzięku, jak mężczyzn dzielnych a tryskających dowcipem. Niedobrą usługę oddaje się społeczeństwu, przedstawiając cnotę gderliwą a nudną. Wiem, że bywają takowe okazy, podobnie jak się zdarzają ludziem ułomni a zdrowi — nie można przecież stąd wnosić, że garb lub krzywa noga jest zwyczajnym warunkiem zdrowia. Zresztą św. Franciszek Salezy dawno już posępną świętobliwość określili dowcipnie: *Un saint triste — c'est un triste saint.*

A teraz jedno jeszcze pytanie: czy w naszych czasach, gdzie nacisk stosunków materialnych rozprasza rodziny w pogoni za chlebem, gdzie wspólne tło kosmopolitycznego poloru ułatwia w warstwach bogatszych rozluźnienie węzłów domowych, czyż w takich czasach roztropnem jest przedstawienie nam karykatury patryarchalnego gniazda, jego tradycyi, jego zasad i spójni? W wielkim rodzie Dubieńskich, z którego wyszedł *Syn marnotrawny*, owa patryarchalność strojna w powagę głowy rodu, jest w gruncie tylko adoracją mamony, laszeniem się lub warowaniem do ręki sprawującej przemożnie i trzymającej potężnie ogromną fortunę rodzinną. Tradycye — to pod szumnemi wyrazami tylko z ojca na syna przekazywana troska nie o służbę Bogu i krajowi, ale o utrzymanie wielkości familii; zasady — to strój noszony dla olśnienia ludzi, a zwłaszcza własnego sumienia; spójnia — to „jedynie pieniądze!“ Tu nasuwa się niezbyt górna, ale praktyczna uwaga, iż kraj nasz zyskałby ogromnie, gdyby w rodzinach istniały choćby tylko pieniężne spójnie, jakie spotyka się we Francyi, więc i przeciw takim nie należałoby powstawać. Niemniej przeto stary pan Maciej Dubieński odmalowany jest znakomicie w swym majestacie cnotliwego satrapy. U wstępu widzimy go otoczonego rozmodloną do niego rodziną. Jest siostra stara panna, utrzymywana z urzędu pod siwym włosem w naiwności dziewczęcej, jest starszy syn Romuald, pełen wzniosłego namaszczenia i powagi i jedyna córka „dowcipna Terenia“, inaczej mówiąc księżka Kobryńska, faworytka ojca, wspinająca się moralnie na palcach, aby dorosnąć do wysokości zasad pana Macieja. Jej mąż „autentyczny książę“, patrzący w gruncie z pewną pogardą na nieco jaskrawą wystawność Dubieńskich, sam wiecznie grzęźnie w długach i kryje się za suknię żony, aby nie wypaść z łask złotodajnego teścia. Wszystko troje bezwiednie prawie usiłują ojca wyzyskać. Obecnie właśnie nadarza się dobra chwila, bo pan Maciej wezwał ich na radę nad sposobem uratowania „marnotrawnego syna“ Jurka, rozbijającego się po Paryżu i Riwerze w niepożądanem towarzystwie osoby, którą dla uczczenia uszu siostry, pan Maciej skromnie „towarzyszem“ nazywa. Ten syn lekkoduch i trochę poeta, wyłamujący się z ram dubieńskiej organizacji rodzinnej, zachowujący się sceptycznie wobec dubieńskich zasad,

to czarny punkt w życiu pana Macieja, dodany do starej zgryzoty sprawionej niegdyś postępowaniem brata stryjecznego Tadeusza, który po awanturniczej młodości doszedł w Turcyi do wysokich stanowisk i z zebranej na nich fortuny odgrywa dziś rolę Nababa między stolicami Anglii i Francyi. Jerzego burzliwość, jak dotąd, ma o wiele banalniejszy charakter. Radzący nad jego losem komitet ratunkowy uchwala konieczność wyjazdu na Riwierę jednego z rodziny, z czego rodzi się tajne współzawodnictwo między bratem i siostrą: oboje radziby jechać i dostać sute pieniądze na drogę. Księżna zwycięża i niebawem wraz ze swoim Władziem wyrusza w missy zerwania pętów Jerzego i sklonienia go pod grozą odcięcia subsydyjów do wyjazdu do Rzymu, gdzie sama podniosła atmosfera nawrócenia dokona. Ten początkowy obraz jest może najlepszym z całej powieści. Każdy wyraz, każdy ruch, przyczynia się do charakterystyki zebranych postaci, czytelnikowi zda się, iż oddycha sztucznie wzniosłem powietrzem dubieńskim.

A teraz scena się zmienia. Kobryńscy przybyli nad morze Śródziemne, gdzie Jerzy pozbywszy się bez niczyjej pomocy niebezpieczeństwa, nad którem rozpaczała rodzina, bawił się teraz w najlepsze. Już i fantazyę jego zaprzątnęła znów awanturnina wkręcona w świat elegancki, dzięki tytułowi i nazwisku zgranego francuskiego hrabiego, który ją za pieniądze poślubił. Obecnie znikł z horyzontu, ale jest ciągle przydatnym, piękna Fernanda bowiem w rozmowie z poważnemi damami lubi jego życzeniem lub upodobaniem tłumaczyć różne swoje czynności. Monte-Carlo i Nizza wydają się polem umyślnie dla niej stworzonym. Cel przyjazdu Kobryńskich był zupełnie chybionym, księżna miała wrażenie strzelca, któremu po długim naciąganiu cyngla spaliło na panewce. Przystosobione w drodze górnotłone kazanie trzeba było schować do kieszeni, bo Jerzy w tej chwili żył prawidłowo, na jej frazesy odpowiadał ostro i logicznie, a na podróż do Rzymu z przyjemnością się godził. Za jego pośrednictwem Kobryńscy znaleźli się wkrótce wciągnięci w eleganckie kółko jego znajomych, „Władzio“ trafił do domu gry, a nawet córka Dubieńskich uczuła, że moralna i fizyczna atmosfera „Jasnego brzegu“ potrosze ją upaja. Że p. Weyssenhof znalazł właściwą nutę, aby opisać czar i niebezpieczeństwa Riwieri, widzieliśmy już z końcowego rozdziału *Żywota Podfilipskiego*, ale był to jedynie promyk tego, co tu rozwinęło się na szerokiej przestrzeni. Według niektórych nawet przestrzeń jest zbyt szeroką, bo choć każdemu miło w pośród palm i kwiatów, to długie przebywanie w bardzo niesympatycznym, acz mistrzowsko scharakteryzowanym otoczeniu wydaje się nużącym. Nie brak tam finansisty Żyda ropuchowatej postaci, ani francuskiego snobka z wyższej szlachty, podszytego amerykańskimi milionami żony, ani polskiego *bel esprit*, niemłodego kawalera, który przyrósłszy

siłą przyzwyczajenia do tych stron i tego rodzaju towarzystwa, czyni sobie zadanie życia z kierowania pierwszemi krokami każdego nowego przybysza. Nie on jeden Polak: jest chora p. Granowska z córką i synem, są też państwo Olescy — nie mąż i żona, tylko młoda wdowa z córeczką i poważny kuzyn jej męża, Fabiusz. Ten ostatni nie pasuje wcale do towarzystwa, jestto uczony, bardzo cnotliwy, bardzo pracowity i bardzo społecznie użyteczny obywatel, oczywiście zakochany w kuzynce i — śmiertelnie nudny. Anna Oleska wydaje się zrazu rodzajem p. Emilli z *Rodziny Połanieckich*; kwiat równie wątły i śliczny fizycznie, a stokroć wåtleszy moralnie. Zaraz za pierwszym poznaniem jej w oczach Jerzego bledną wdzięki Fernandy, a równocześnie bledną w duszy Anny i szanse Fabiusza. Fernanda wszakże pozostaje punktem groźnym, w który wlepiają się wciąż niespokojne o brata oczy księżny Kobryńskiej; jej też imię podanem jest na Podole dla wiadomości ojcowskiej.

Tymczasem nadchodzi Wielkanoc, na którą całe prawie kółko znajomych przenosi się z Riwiery do Rzymu, gdzie dla Kobryńskiego klub zastępuje ruletę, a przeróżne rozrywki światowe tamują zbawczy wpływ, jaki Wieczne miasto miało wywrzeć na umyśle Jerzego. Nie pomagają nawet wycieczki do ruin przy profesorskich wykładach Fabiusza. Tylko uczucie jego dla Anny się wzmacnia, ona zaś nie broni się przed niem i myśli o powtórnem zamężeiu.

Po Rzymie znów Monte-Carlo i Nizza, tylko że nad wesołem gronem niebo zaczyna powlekać się chmurami. Fabiusz nieszczęśliwy, ale zrezygnowany na własne cierpienie, nie może znieść zaślepienia p. Granowskiej, która zawojowana przez Fernandę, dopuszcza do poufalej przyjaźni między nią a córką. Cnota każe mu przestrzedz, a ciężka niezręczność uczynić to w sposób jaskrawy, solenny, z czego wytwarza się skandal, a ze skandalu pojedynek między Fabiuszem a Francuzem, który pierwszy Fernandę w grono swego świata wprowadził. Anna w przerażeniu ucieka się o pomoc do Jerzego i w chwili wielkiego wzruszenia daje się porwać w jego objęcia.... Odtąd uważa się za jego narzeczoną i nie może pojąć dla czego Dubieński nie chce ogłosić ich związku, dla czego przewiduje trudności ze strony rodziny.

Na to przyjeżdża znów w charakterze zbawcy Romuald Dubieński w pełnym bojowym rynsztunku, aby wyrwać brata ze szponów Fernandy. Staje więc w jej salonie w czarnym odzieniu, z powagą i namaszczeniem niemieckiego pastora — a w godzinę potem wychodzi bez namaszczenia wcale, z fotografią Fernandy w kieszeni i z wiadomością w głowie, że Jerzego ratować wypada nie od amatorów pięknej pseudo Hiszpanki, ale od matrymonialnych projektów z Polką, nie przedstawiającą bardzo świetnego alliansu, ani bardzo świetnej fortuny. Przybycie star-

szego brata nie w smak jest rodzeństwu; Jerzy widzi w niem koniec swych snów pięknych, ale przelotnych, Terenia utratę pozoru dla swego pobytu w czarownym kraju. Pobyt ten jednak z natury rzeczy dobiega ku końcowi; upały rozpędzają gości, kółko znajomych rzędzie, a i bez upałów awantura Fabiusza rzuciła węć pochodnię niezgody, której blask ukazał z pod szychu niejedną brzydotę, lichosć i brud. Niestety brud był blisko, gdyż pewnego poranka przyniesiono księżnie weksle jej podpisem opatrzone przez męża. Wyjazd stał się koniecznym. Jerzy zapewniony przebaczenia ojca, a zatem i dalszej pensyi, napisał do p. Oleskiej list z pożegnaniem i złamawszy życie dwojga istot, wyjechał z lekkim sercem i lekkim sumieniem.

Ostatni akt dramatu, czy też komedyi, odbywa się znów na wsi u pana Macieja. Tu obok Kobryńskich bawią niezwykli, iście „zamorscy“ goście, bo o dziwo! Tadeusz Dubieński, mar notrawny syn ze starszego pokolenia, nad którym rodzina przestała wdychać, skoro powrócił bogaty w zaszczyty, wysokie stosunki i bardzo posażną córkę. Gdyby nie ten posąg i zapewnione dziedzictwo po ojcu, p. Maciej nie byłby na nią chciał spojrzeć, boć przecie to córka francuskiej aktorki, z którą Tadeusz po długiej znajomości zawarł był spóźnione małżeństwo. Po śmierci jej oddał dziewczynkę do pensjonatu klasztornego, z kąd wyszła w kształcie bulwarowej *ingénue* bardzo wygadana, bardzo nowomodna, choć pono w gruncie poczciwa. I rodzina, która wzdrygała się wobec cudnej, wykwintnej a swojskiej Anny Oleskiej, marzy teraz o związku Jerzego z tą cudzoziemską lalczką. Jerzy powraca nie wiedząc o niczem, więc nie śmie wprost iść do ojca, tylko posyła mu na przebłagalną ofiarę stary ryngraf z Matką Boską, znaleziony u antykwarza w Rzymie i zakupiony przez instynktowe poszanowanie dla starych pamiątek ojezystych. Wie, że nim trafi w teatralną stronę umysłu ojca i w istocie sztuka udaje się wyśmienicie. Powrócony do łask, wchodzi bez namowy, ani namysłu w przeznaczoną sobie rolę pod rozrzewnionem okiem starej ciotki i górnołotnym uśmiechem siostry, która uspokojona zapłaceniem przez ojca mężowskich weksli, może znów swobodnie na palcach się wspinać, by mieć iluzję, że buja w obłokach. Ostatni raz widzimy rodzinę Dubieńskich w cudny wieczór lipcowy: wkoło nich złote pola, nad nimi złociste niebo, odbłask na ich twarzach złoty i w sercu myśli złote — wszystko złote!

Ow nacisk na „złoto“ jest ostatnim zgrzytem satyry przykrym, bo aż przesadnym. Podobno jednak trzeba trochę przesady w każdym portrecie, aby mógł odpowiedzieć żywemu modelowi w naturze. Ale raz jeszcze smutne to były do portretowania modele. Postaci dodatnich zupełny brak — bo jedyny cnotliwy Fabiusz jest ciężki, niezgrabny i nudny, a cnota p. Oleskiej bardzo licha, skoro pryska za pierwszą pokusą, zasady

też nie tęgie, skoro sumienie odzywa się dopiero po złamaniu nadziei szczęścia. Autor stanowczo zbyt czarno patrzy na ludzi, czarniej chyba od Pana Boga, który nie dozwoliłby światu istnieć tak długo, gdyby w niem obok złego, nie mieszkała pewna ilość dobrego... O literackiej wartości książki rozwodzić się nie potrzeba. Talent p. Weyssenhofa zbyt jest znanym; można więc tylko dyskutować o etycznej stronie przedstawionego obrazu, którego tło stanowią opisy natury jak zawsze barwne, charakterystyczne i żywe.

T. Wodziecka.

— Jan Lemański: *Proza ironiczna. (Bajki. Bajeczki. Przypowieści dla dzieci. Sielanki)*. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1904). — Satyry i ironii w naszej literaturze nigdy nie było wiele. Nie zadźwięczała nigdy silniej ta struna naszej lutni poetyckiej, bo jej nie było i nie ma w naszej narodowej duszy. Jesteśmy na ogół bardziej uczuciowi niż rozumowi, bardziej poetyczni niż żartobliwi, bardziej entuzyści niż sceptycy. Wystarczy przypomnieć, że w dwóch epokach, kiedy ta gałąź piśmiennictwa na Zachodzie szczególnie się rozrosła i spotężniała: raz w czasach reformacji, z ostrym przysmakiem satyry, drugi raz w okresie oświecenia z „pikantnym“ sosem ironii, myśmy stosunkowo blade i słabo się zaznaczyli: gdzie bowiem jest nasz Fischart, lub gdzie jest nasz Voltaire? Później strumień satyryczno-ironiczny płynął sobie wolno, płytko, czasem tylko sporadycznie zakotłowało w nim żwawiej, a ostatecznie nigdy nie było trwałego dla tego nastroju i tej literatury zainteresowania. Czy teraz przyszedł na to czas? Zdaje się, że nie. Jesteśmy, po dłuższej reakcyi trzeźwego rozsądku, znowu bardzo uczuciowi, zwłaszcza w upodobaniach literackich, w których nawet najchłodniejsi z nas w życiu jednostkowym, narodowym i społecznem (a może ci właśnie przedewszystkiem) od poezyi żądają napięcia uczucia, swobody imaginacyi. Dlatego i zagraniczni sceptycy mało u nas znajdują uznania (dowodem nieznaczna popularność n. p. Anatola France) i nasi rodzimi, gdyby byli, resonansu w społeczeństwie nie budziliby. Powtóre zaś na wszelką dydaktykę — a każda satyra czy bajka tem ostatecznie być musi — nie pora dzisiaj, kiedy i zwolennicy hasła „sztuka dla sztuki“ ją odpychają i przeciwnicy jego o innym jej działaniu, nie moralizatorskiem, mówić jedynie chcą. W końcu zaś zapytajmy: czy ludzkość w ogólności, a naród polski w szczególności jest dzisiaj w zwrotnym punkcie zasadniczego poglądu na świat, na moralność jednostkową i społeczną, bo tylko takie chwile są gruntem, z którego naturalnie a nie sztucznie wyrasta literatura satyryczno-ironiczna (powołujemy się powtórnie na wspomniane dwie epoki przeszłości). Nie ma na to innej odpowiedzi, jak przecząca. Z całego syntetycznego *credo* w dzisiejszych czasach jedne chyba pojęcia estetyczne ulegają ewolucyi w szerokich massach, one zaś mimo całej teoretycznej i prakty-

cznej wagi, powszechniejszego ruchu satyryczno-ironicznego wywołać nie mogą. Zatem w ogólnej konkluzji okaże się: że jeśli dyktrynerski krytyk pragnie i żąda rozwoju literatury satyr, bajek, poważnych czy żartobliwych, to liczący się z narodowym naszym nastrojem tradycyjnym, z wyglądem także obecnej doby, musi uważać tę literaturę za niewątpliwie pożądaną, lecz bądź co bądź noszącą *a priori* znamię wyjątkowości, jeśli nie nienaturalności.

Naturalnie sądu artystycznego ten narodo - społeczny punkt widzenia nie skrzywi, bo dwa te wyroki padają przed niezależnymi od siebie trybunałami. P. Jan Lemański dał się poznać po raz pierwszy za pośrednictwem wydanych przed dwoma laty *Bajek* (Warszawa, nakładem Jana Fiszera, 1902). Położył przed niemi ów sławny cytat *Facit indignatio versum*, a poświęcił książkę Miriamowi (p. Zenonowi Przesmyckiemu). Słów łacińskiego poety wobec *Proxy ironicznej* nie możnaby powtórzyć, nie dlatego, że o prozie tu, nie o wierszach mowa, lecz przede wszystkim z uwagi na absolutne przeciwieństwo indygnacyi i ironii. Natomiast dedykacja Miriamowi byłaby uzasadnioną i przy tym tomie. Mniejsza o to, iż te utwory ukazywały się również w *Chimerze*, ale ich zasadniczą myślą jest to, co nie napisane jaśnieje przecież na sztandarze wykwintnego warszawskiego miesięcznika, przez zwolenników uwielbianego, przez przeciwników poważanego: walka z pospolitością, filisterstwem, szablonem, pustym frazesem. Może jednak nie walka, bo to znowu z ironią nie zgodziłoby się, lecz lekceważące szyderstwo, podrywianie sobie z niej, bez trwogi i dreszczu. Z tego źródła wypłynęły pierwsze ustępy książki, jak *Z pamiętnika Muchy*, *Mundus vult decipi*, *Lycoperdon giganteum*, *Sokrates i Obraxophycja*, *Rebursista*. Ich satyra słuszną jest i sprawiedliwą, ich przewodnia myśl przejrystą i jasną, zarzucić im trzeba tylko zbytne nagromadzenie szczegółów, wśród których uwaga czytelnika się rozprasza. Gdyby ironiczna satyra skupiała się bardziej, ograniczała do pewnych tylko przedmiotów, byłaby ideowo skuteczniejszą, artystycznie plastyczniejszą. Odmianą grupę stanowią *Bajeczki*. Tu p. Lemański jest mniej indywidualistą, więcej wyrazem ogólnej zmiany poglądów na pewne sytuacje życiowe. Okaże się to na przykładach, wybranych z ekonomicznych względów, nie dla szczególnej dobroci lecz krótkości. A więc n. p. *Orzeł i kruk*: „Widząc kruk, że orzeł leci w górę z baranem w szponach, rzekł: „Dobrze, że jestem krukami; przynajmniej się nie nadźwigam“. Lub *Kto raz skłamał, ten skłamał i drugi raz*: „Mały Tomasz pasał owce. Pewnego razu, chcąc zżartować ze starszych, przybiegł do wsi z krzykiem, że wilk zjada owce. Starsi, uzbrojeni w kłonicę i widły, pobiegli, a nie zastawszy wilka i widząc owce w słusznym zdrowiu, poznali, że z nich zakpiono. W skutek tego zbili małego Toma-

sza na kwaśne jabłko. Po raz wtóry bał się już żartować ze starszych. A teraz jest zupełnie poważnym, dużym Tomaszem i żartuje tylko z młodszych“. W ogóle ta grupa urywków jest w całym zbiorze najcenniejszą, chociaż i ona ma rzeczy słabe, bo pozbawione jasnej ironii. Cóż znaczy n. p. krótkka na szczęście bajeczka o *Wilku i Jagnięciu*: „Jagnię piło ze strumienia, a widząc w oddali zbliżającego się wilka, poczęło uciekać. Wilk biega szybciej od jagnięcia, to też łatwo je dopędził i pożarł“. To nie ironia, ale stwierdzenie bezlitośnej powagi życiowej. Idą potem *Przypowiadki dla dzieci* z zasadniczą ideą: ile jest konwencyonalnego fałszu w moralach, udzielanych najmłodszym, ideą oczywiście prawdziwą, lecz tutaj nieco natrętnie wykładaną, wreszcie zamykają tom *Sielanki*, z których najlepiej udała się autorowi *Kąpiel* z realistycznym obrazkiem pławiących się w rzece dzieciaków. Ironii w tem zapewne nie więcej, niż w każdym innym realistycznym szkicu scen z potocznego życia, ale mimo to witamy tę grupę szkiców z prawdziwym zadowoleniem. Bo dołączając do wszystkich, na początku wyluszczonego zastrzeżenia co do literatury satyryczno-ironicznej w dzisiejszej Polsce jedno jeszcze, wyrażamy przekonanie, iż dzisiaj bez niebezpieczeństwa nużącej jednostajności niepodobna być tylko i wyłącznie satyrykiem i ironistą. To działalność ważna, nawet pożyteczna, ale zawsze jedynie negatywna. Tymczasem nasz ogół pragnie i potrzebuje literatury afirmatywnej, przez którą broń może nie rozumiemy moralizatorskiej lub pouczającej. Dobrze, że p. Lemański ma oko zdolne spostrzeżenia wad, śmieszności, małostkowości, lecz niemniej dobrze, że umie patrzeć i na to, co jest zajmującym, chociaż małym i drobnym. I dlatego dalszych książek p. Lemańskiego z życzliwą ciekawością oczekiwać będziemy.

Dr. J. Flach.

OD REDAKCYI.

P. Tadeusz Sierzputowski prosi nas o zaznaczenie, że pracy swej o *Romantyzmie polskim* poprzednio ani w całości, ani częściami, nie drukował w języku rosyjskim. Zamieszczenie swego fotogramu tłómaczy p. Sierzputowski mylnem, jam sam przyznaje, przekonaniem o potrzebie takiego wylegitymowania się celem uzyskania stopnia doktorskiego. Reszty „Sprostowania“ nie podajemy, bo nie obala ono bynajmniej zapatrywań, wyrażonych w recenzji książki p. Sierzputowskiego (zeszyt z grudnia 1904 r.).

TEATR KRAKOWSKI.

Dalszy ciąg gościnnych występów p. Frenkla stanowił jedno pasmo nieprzerwanych tryumfów warszawskiego gościa, który prawdziwe tłumy sprowadzał do sali teatralnej, powtarzając po dwa i trzy razy nawet niektóre role przy pełnej za każdym razem widowni. Samo znakomite opanowanie tekstu nęciło krakowskich widzów, nieprzywykłych do tego; ale bo też do takiego panowania nad rolą trzeba koniecznie teatru wielkomięskiego, z repertuarem bardziej ustalonym, a nie pogrążonym w takiej bezustannej pogoni za nowościami, jak nasz i do tego przy szczupłym personalu. Widać było, że artysta miał czas obmyśleć każdą rolę i wprawić się w nią należycie; nigdzie ani śladu jakiegokolwiek wątpliwości lub wahań. Posiadała więc gra p. Frenkla wszystkie te dodatnie strony, jakie daje wirtuo-zostwo sceniczne, a że obok tego poszczycić się może tym urokiem, który roztacza prawdziwy artyzm, używało się więc w całej pełni artystycznych wrażeń. Nadzwyczajnemu opanowaniu roli towarzyszyła równość gry taka, z jaką rzadko tylko można się spotkać. Żadna scena nie była traktowaną po macoszemu, niczego artysta nie lekceważył sobie, a gdy pewne ustępy wysuwał na pierwszy plan, inne zaś jakby stłumiał, wyznaczając im stosownie do tekstu drugorzędne stanowisko w całości, czynił i to także misternie, tak, że dla bywalców teatralnych i w takich ustępach odkrywało się wdzięczne pole obserwacji. Perspektywy aktorskiej dochowuje p. Frenkel lepiej może od wszystkich innych wybitnych polskich artystów scenicznych. Nikt mu nie zrówna w umiejętności usuwania się na drugi plan, gdy tego wymaga potrzeba. Toteż gra jego wtenczas dopiero okazałaby należycie wszystkie niepospolite zalety, gdyby wszystkie a wszystkie role wykonane były równie godnie. Wiele bowiem misternych zaiste ustępów jego gry obliczonych było na zestrój, którego częstokroć, niestety, nie mógł u nas znaleźć.

Komiczne jego role sprawiają efekt niepospolity, a tajemnica powodzenia leży w tem, że komizmu swego nigdy widzom

nie narzuca; nie używa nigdy żadnych tanich zewnętrznych środków, których lubią, niestety, nadużywać aktorowie komiczni, jakby w obawie, żeby publiczność się nie pomyliła i nie uważała wygłaszanego przez nich tekstu za tragiczny. P. Frenkel odznacza się, że tak powiem, zaufaniem do autorów i pozostawia samemu tekstowi to, co ma stanowić siłę komiczną i ma w tem zupełną słusność. W życiu spotykamy się zazwyczaj z komizmem mimowolnym; tylko błazny bowiem chcą być śmiesznymi; z reguły zaś komicznymi bywają ludzie, chcący być poważnymi, a nie posiadający do tego kwalifikacyi. Najśmieszniejsi siłą się właśnie na to, ażeby się śmiesznymi nie wydać i udają powagę. Człowiek obladowany śmiesznościami bierze na seryo nietylko siebie samego, ale i do śmiesznościami swych przywiązuje poważną miarę. Tak też wykonywuje swe role p. Frenkel. Traktuje je, jak gdyby były zupełnie poważne. Zaznacza z całej siły, że przedstawiana przez niego osoba nie wie o tem, że jest śmieszna i nie przypuszcza nawet, żeby się śmieszna mogła wydać. Zupełnie poważnie zabiera się więc do oddania roli, a przeciwieństwo pomiędzy subiektywną powagą a istotnym stanem rzeczy oddziaływa właśnie najbardziej komicznie na widzów. Tak postępując, zastosowuje warszawski artysta w swej sztuce rzecz nader prostą, która powinna być powszechnie wiadomą każdemu, nawet początkującemu aktorowi, pragnącemu objąć wydział ról komicznych, a jednak, jak zwykle rzeczy najprostsze, tak też i to rzadko kiedy bywa wiadomem, a jeszcze rzadziej zastosowanem. Po większej części bywa tak, że aktor, t. zw. komiczny, zaraz przy samem wejściu na scenę nadaje sobie pewne pozory zewnętrzne, które mają mówić do publiczności: „Patrzajcie, oto idzie komik“, jakby chciał nalepić na siebie etykietę.

W roli tak komicznej, jak osoba dyrektora teatru w *Porwaniu Sabinek*, ta właśnie powaga prowadzi do największych wybuchów śmiechu w audytorjum. Krotochwila ta, powszechnie znana, bywała i u nas po wielokroć już wystawiana, toteż niepospolitą dla znakomitej gry p. Frenkla miarą jest okoliczność, że musiano ją jeszcze trzy razy wystawiać! Bo też rzeczywiście rzadko kiedy natrafiła się sposobność użyć tak dobrze lekkiej i niewinnej zabawy. Niemniej bawiono się na również „obegranej“ już *Publicznej tajemnicy*, gdy p. Frenkel objął rolę starszego Jouvanela. Na kryterjum jednakowoż dla rodzaju talentu naszego gościa nadawał się bardziej występ w *Chorym z wrojenia* Moliera. Grał p. Frenkel tę postać niezmiernie śmiało, aż zuchwale, nie cofając się przed drastycznymi nawet środkami komizmu, tak, że chwilami dochodziło to aż do szarży, (np. w owych chwilach, gdy rzekomy chory czuje się zniewolonym nagle opuszczać scenę), a jednak nie sprawiało to nigdy złego wrażenia, zapewne dlatego, że artysta nie uciekał się do tanich

efektów zewnętrznych i wszystko, cokolwiek robił, da się zawsze ściśle usprawiedliwić tekstem. Doprawdy sama „Komedia Francuzka“ nie powstydzilaby się takiego wykonawcy! Każde słowo tekstu oddane było należyście, wszystko obmyślane jak najlepiej. Pietyzm względem tekstu stanowi drugi sekret znakomych rezultatów pracy p. Frenkla. Widocznym jest, że zna nie tylko swoją rolę, ale całą rzecz gruntownie, a szczegóły swej roli obmyśla na podstawie wniosków, wysnuwanych z zastanowienia się nad tekstem.

Zaznaczono w poprzednim sprawozdaniu, że talent ten zajaśniał w całej pełni w roli *Geldhaba* i można obstawać przy tem twierdzeniu nadal, pomimo nawet niesłychanego powodzenia w *Chorym ~ wojenia*, pomimo to, że rolę francuzkiego mistrza komedii ołśnił nas artysta w całym znaczeniu tego słowa. Wykonać atoli rolę *Geldhaba* równie znakomicie, jak ową molierowską, wydaje mi się rzeczą trudniejszą i dlatego arcydziełem p. Frenkla pozostaje *Geldhab*.

Mając sposobność po powtórnym wykonaniu tej roli zastanowić się nad nią dokładniej, muszę przedewszystkiem stwierdzić usilną staranność artysty, ażeby nigdzie nie sprzeniewierzyć się tekstowi. Najwspanialsze efekty roli zawdzięcza p. Frenkel właśnie temu, że się tekstu trzymał niewolniczo, a wykonywał go po dokładnem zastanowieniu się i z najdokładniejszą konsekwencyą. Wszedłszy na scenę rozejrzał się najpierw dobrze dookoła; chwalać tapicera, przypatrywał się jego robocie. Możnaby powiedzieć, że grę swą rozpoczynał od pauz. Kiedy kamerdynerowi daje kartkę, przeznaczoną do dziennika, spojrzy na niego wymownie przy wyrazach „etc; pamiętać“. W rozmowie z komisantem chodzi po scenie; na chwilę tylko przystaje, kiedy zniecierpliwiony silniejszych dobywa akcentów. Potem na obawę kamerdynera, że wszystkie srebra nie zmieszczą się na stole, odpowiada po małym namyśle i mówiąc do niego, robi jeszcze króciuchne pauzy. Niezrównana scena niema, kiedy mu zapowiedziano księcia, należąca do najudatniejszych ustępów roli, zawdzięcza swą wartość właśnie ścisłemu trzymaniu się tekstu. Gorączkowy pośpiech przy rozkładaniu książek i kilkakrotne powracanie, usprawiedliwione jest najzupełniej tem, że książkę jest już w przedpokoju i czeka; a ten pośpiech daje pole do popisania się znamiennymi ruchami, z których żaden z osobna komicznym bynajmniej nie jest, wszystkie jednak zestawione razem, działają z nadzwyczajnym komizmem. Kiedy w końcu wyjmuje z kieszeni złotą tabakierkę i chustkę, robi to w ten sposób, że znać na nim, że sobie to w ostatniej chwili jeszcze przypomniał i raduje się z pomysłu, a boi się, żeby mu nie zabrakło czasu już na to. W czwartej scenie, kiedy wychodzi do księcia, twarz promienieje radością, głowę niesie wysoko, prosto, cały wyprężony, w ruchach nieco sztywny, znać

na nim, że pozuje. Nadaje sobie pozory osoby jak najpoważniejszej, a chcąc przez grzeczność miarkować powagę pewnym wdziękiem uprzejmości; że zaś ani jedno ani drugie nie leży w naturze Geldhaba, jedno i drugie jest nieszczerem i udaniem, można sobie wyobrazić, jaki stąd efekt komiczny powstaje na scenie. Przystępując do księcia powoli, wpatruje się w niego i z jego twarzy stara się wyczytać, jak ma się powitać z nim. Jest już blisko, bardzo blisko, a jeszcze nie wiadomo co zrobi; wtem decyduje się wycelować z księciem. Robi to jednak nieśmiało, ale gdy raz już zrobił, więc jeszcze powtarza, a uśmiecha się coraz bardziej, bo byłby rad, żeby księżę do niego nawzajem się uśmiechnął. Znać na nim, że wyczekuje osmieleni, jakiegoś poufalszego gestu. Mówiąc do Lisiewicza hardo: „witam“, ledwie jednem okiem rzucił na niego i w tej chwili znowu wpatruje się w księcia, jakby w tęczę. Na własnej twarzy ma ciągle jakby pytajnik, jakby pytał księcia, czy tak będzie dobrze? Gdzie po kilku wierszach daje autor wskazówkę: „po krótkim myśleniu“, p. Frenkel udaje rzeczywiście namyślającego się i znać tu dokładnie, że Geldhab zafrasował się, nie wie jakby nawiązać rozmowę; on naprawdę „nie czuje głowy“, zakłopotany temi odwiedzinami; spostrzega, że na nim to znać i musi się czemś wymówić, żeby się nie wydać księciu oniesmielonym jego wyższością. Wpadłszy na concept, odzyskuje równowagę i opowiada dalej śmiało. O wpływach swoich i stosunkach mówi jednak w tonie dyskretnym, nie nadając temu wcale akcentu nadymania się, lecz starając się, żeby to wyglądało skromnie, zachowując ciągle ton usprawiedliwiania się przed księciem. Jestto pomysł doprawdy znakomity. Wiersze te możnaby wygłaszać hardo, ostro, pełnym głosem wtenczas, gdyby zwrócone były do Lisiewicza, ale Geldhab ma na tyle sprytu, żeby wiedzieć, że księciu trzeba takie rzeczy podawać niejako pośrednio. Nie podaje autor, że Geldhab nie słucha całkiem słów Lisiewicza: „Szczęśliwy, komu nieba przyjaciele dały“, ale jest rzeczą zupełnie słuszną, żeby Geldhab ignorował i dalej zupełnie Lisiewicza, skoro go tak pogardliwie powitał. I aż do ostatniego wiersza przemowy Lisiewicza toczy się prowadzona po cichu rozmowa pomiędzy Geldhabem a księciem. Urządza to p. Frenkel tak, jak gdyby Geldhab nie skończył jeszcze mówić, tylko że dalej słów jego nie słyszał. Dopiero, kiedy postyszał, że „sam jeden musi myśleć i pracować“, nie może wytrzymać i odwraca się ku niemu i to odrazu ostro. W tem jest wielka siła komiczna, że Geldhab jednak nie mógł nad sobą zapanować i wypadł z roli poniekąd i dał się, jakby przytłapać. Rzucając w stronę Lisiewicza zdania, wymawiane są coraz pośpieszniej, coraz głośniejsz, aż dopiero przy ustępie: „Więc nie sam jeden“ tempo jest zwolnione, a zato wymowie nadano ton głębokiego przekonania. Geldhab przybija przeciwnika do muru!

Wyliczając, jakich „trzyma“ oficyalistów, nie deklamuje wcale jak z płatka, lecz namyśla się, przypomina sobie i liczy na palcach. A potem znowu na Lisiewicza całkiem a całkiem nie zważa. Lubomira nie może sobie przypomnieć, musi się dobrze namyślać, bo mu coś to imię przypomina, ale on sam w pierwszej chwili nie wie, ktoby to mógł być. Słowo „rotmistrz“ wymawia z wielkiem lekceważeniem. Pochwała Florki wygłoszona zupełnie innym tonem, niż chwilę przedtem pochwała samego siebie. Tutaj Geldhab szczyci się z całą otwartością; owszem, on chce, żeby wiedziano, że nietylko ma się z czego pysnić, ale rzeczywiście się pyszni. W scenie szóstej wprowadza córkę i przedstawia księciu z tą samą promieniejącą miną, jak gdy sam wychodził na księcia powitanie, ale już bez jakiegokolwiek zakłopotania, zupełnie pewny siebie, tryumfujący pod każdym względem. Geldhab nie wątpi, że córka podbije księcia. On sobie często nie ufa, ale do córki ma zupełne zaufanie; on naprawdę uznaje wyższość jej i to wielką wyższość nad samym sobą, jest nią naprawdę zachwycony. Słucha też z największym nabożeństwem, co córka do księcia mówi, a ta scena słuchania stanowi sama dla siebie arcydzieło scenicznej sztuki. Geldhab musi czemś wyrazić swój zachwyt nad własnem dzieckiem, a nie chcąc przerywać jej rozmowy z księciem, zwraca się tym razem do ignorowanego przed chwilą zupełnie Lisiewicza i ten moment wykonany jest niezrównanie. Zrazu patrzy Geldhab tylko na córkę, czasem okiem rzuci na księcia i znowu w córkę wpatrzony; znać na nim, że chciałby gestykulować, możeby ręce chciał złożyć do oklasku; wtem dostrzega Lisiewicza, więc powoli, nieznacznie, stopniowo odwraca się ku niemu, aż gdy już wytrzymać z zachwytu nie może, zwraca się ku niemu stanowczo i krótko, urywanym tonem, z wyrazem największej pewności siebie powiada półgłosem: „A co? to moja córka“. I znowu mimiczna rozmowa z Lisiewiczem. Lisiewicza mu jednak za mało i chociaż się hamuje, nie wytrzyma, aż wkońcu wprost księcia zagadnie. Gdy lokaj oznajmia, że podano do stołu, Geldhab nie wie w pierwszej sekundzie, jak się zachować; wyczekuje od księcia, że ten coś zrobi, a polecenie wydane córce, żeby podała księciu rękę, jest pomysłem ostatniej chwili. Patrzy na nich z lubością, jak przechodzą do stołowego pokoju; już weszli; on jeszcze za nimi patrzy, a nacieszywszy się tym widokiem, jeszcze musi to jakby przetrawić w sobie i nacieszyć się sam na sam, kręci się więc trochę po scenie, a spostrzegłszy Lisiewicza, zabiera prędko złotą tabakierkę ze stołu; boi się widocznie, żeby nie zginęła pod jego nieobecność. Niema więc całkiem zamiaru prosić Lisiewicza do stołu i rzeczywiście, idzie za księciem, nie troszcząc się całkiem o drugiego gościa, który chrząkaniem przypomina się. Geldhab zmierzył go od stóp do głów i zignorował. Idzie dalej; wtem uśmiecha się, jest dzi-

siaj w tak złotym humorze, że chce świadczyć ludziom dobrodziejstwa! Odwraca się i niezrównanem kiwnięciem głowy zaprasza Lisiewicza za sobą. Tego wszystkiego niema w tekście; jestto cała scena dorobiona przez aktora, ale dorobiona doskonale i pozostająca w najzupełniejszej konsekwencji z tekstem, a więc tylko dozwolona interpretacya tekstu.

W drugim akcie zaszedł właśnie ten wypadek, że połowa przynajmniej wrażenia misternego opracowania roli przez p. Frenkla szła na marne, dla braku partnera. Lubomir wyglądał bowiem przy nim, jakby wykradziony na prędee z jakiegoś amatorskiego teatrzyku. Jakżeż tu Geldhab starał się naprowadzić Lubomira na dobrą drogę, żeby umiał uszanować książęce dostojenstwo, jak on mu przemawiał do rozsądku, nie rozumiejąc, że możnaby jego nie rozumieć. Tak samo zaczyna w siódmej scenie z majorem i jest z początku pewny swego, boć przecież major starszy wiekiem i urzędem, powinienby go prędzej zrozumieć. Toteż, gdy major tupnął nogą, staje jak wryty, nietylko z przerażenia, ale też z osłupienia zarazem. Stopniowo strach bierze górę nad osłupieniem, aż przechodzi w przerażenie. Nietylko podaje majorowi krzesło, jak tekst każe, ale gdy major zirytowany biega po scenie, on nosi za nim wszędzie to krzesło i potem już do końca sceny zachowuje się biernie, jak tekst każe, byle tylko nie narazić się majorowi. Znakomite są szczegóły, gdy próbuje pisać list do komendanta, żeby mu przysłał załogę. Jest ciągle strwożony i drży ze strachu, a więc i pióro drży mu w rękę, nie może go w palcach utrzymać, pióro wykręca się i wypada. Gdy w jedenastej scenie wchodzi Lisiewicz, a Geldhab zapewnia go, że majora niema, znać, że jeszcze nie ochłonał. Niema wprawdzie majora, ale Geldhab ma głowę nabitą jego pogroźkami i ciągle się boi. Dobry to pomysł, bo w ten sposób tłumaczy się doskonale, że gdy wiatr zaszumiał, już Geldhab się boi, czy też major nie idzie. Lisiewicz biegnie ku drzwiom przeciwnym, jak zaznaczono w tekście, ale też i Geldhab myśli o ucieczce i kryć się chce, a ten pomysł nie jest weale wymysłem, owszem, z tekstem najdokładniej się zgadza. I ciągle dalej wyłazi z Geldhaba strach, aż nagle innym zupełnie przemawia tonem, gdy uwierzył Lisiewiczowi, że ten majora się nie boi. Z największą powagą proponuje mu, żeby się strzelał za wszystkich. Na końcu aktu również krótka scena, dorobiona przez aktorów. Żaden nie chce wyjść pierwszy, ceremoniują się. Geldhab tak wyniosły zawsze względem Lisiewicza, tym razem pełen wyszukanej uprzejmości, w ciągłych ukłonach prosi go, żeby wyszedł pierwszy. W końcu Lisiewicz dał się uprosić i wychodzi. Geldhab czeka chwilę; nuż w przedpokoju, a może na schodach jest major, albo jego wysłannik? Lecz nie nie słyhać; cisza, świadcząca o bezpieczeństwie. Geldhab na-

biera pewnej siebie miny, prostuje się i z poważną twarzą podniósłszy głowę, wychodzi śmiałym, rażnym krokiem.

W trzecim akcie jest ustęp, na którym można wybornie obserwować, jak efekt komiczny rośnie w miarę tego, czem poważniej aktor wygłosi coś komicznego. W rozmowie z Piórkem plecie Geldhab koszalki opalki z historii polskiej, ale on to wygłasza w najlepszej wierze, nie przypuszczając, żeby się mógł mylić, mówi jako o rzeczach powszechnie wiadomych, przypominając tylko Piórkowi. Potem przebiera w dostojnikach i wybiera sobie już to wojewodów, już to hetmanów, kancelarzy i biskupów, jako wielki pan, któremu wybierać nawet w takich sprawach wolno. W krótkim monologu czwartej sceny wygłasza przepyszny ów ustęp: „O szczęśliwy Geldhabie“ z takim przejściem się i z taką błogością, jakby modły dziękczynne wznosił. Po czwartym wierszu robi sam od siebie pauzę, a słowa: „W górę przodków mi brakło“, wygłasza tonem rozsądnego człowieka, stwierdzającego z zimną krwią pewien fakt; znowu pauza, namysł, a zato od słów: „wkrótce ich dostanę“ zaczyna się istna pieśń tryumfalna. Przy końcu rozczuła się i epinikion zamienia się na idylliczną jakąś elegję; zmienia się głos, zmienia wyraz twarzy; Geldhab omal nie płacze z radości; mówiąc o wnuczkach i wnuczętach schyla się, pokazuje gestem dłoni wzrost małych dzieciątek, dobywa z siebie rzewnych tonów; w tej chwili zupełnie szczerzy sam w obec siebie. Gdy wkrótce potem wpadnie na scenę major, kontrast zachowania się Geldhaba uderza tem bardziej. W trzech ostatnich scenach ma artysta coraz trudniejsze zadanie, bo coraz więcej trzeba grać mimiką przy skąpym tekście i tu p. Frenkel pokazał się w całej pełni znakomitym artystą. Nie przestawał być główną na scenie osobą; słucha uważnie wszystkiego, patrzy na wszystkich ciągle, na twarzy czytać można, jakie mu przechodzą myśli, krzyżujące się raz w raz wśród zmieniających się szybko okoliczności, a ustęp niemego porozumiewania się oczyma z Florką w scenie dziesiątej, jest szczytem doskonałości pod tym względem. Na zakończenie zapada Geldhab w fotel, robi kwaśną minę i... drapie się koło ucha.

Grywał p. Frenkel w rolach wykonywanych u nas przez p. Zelwerowicza i prześciga go; a jednak raz nie dorównał mu! Rolę mnicha Bentivoglia wykonywuje p. Zelwerowicz lepiej od p. Frenkla. Tak to każdy artysta dramatyczny miewa jakąś w *Odrodzeniu* rolę, do której szczególnie się nadając, może się w niej równać z najlepszymi, a czasem nawet samemu być najlepszym.

Repertuar przyniósł nam w lutym dwie nowości oryginalne. Z tych *Pozłacana głowa*, „karykatura“ w trzech aktach p. Tadeusza Konczyńskiego zeszła zaraz z repertuaru, na który zapewne nigdy już nie wróci. Autor nie okazał się zdolniejszym do komedyi, niż był do dramatu. Ciekawy temat, na którym

można rzeczywiście osnuć ciętą satyrę, jak *Porzucana głowa*, zostawszy przez protekcję zwierzchnikiem publicznej instytucji, gospodaruje w niej na wspak i z niczem nie umie sobie dać rady, niknie wśród rozmaitych epizodów, nie mających związku z głównym tematem, a na pierwszy plan wysunęło się nie to, co autor bciał, lecz osłuchany już po setki razy temat, jak żona leczy źle prowadzącego się męża tem, że obudza w nim zazdrość. Ani też niema w tym utworze tak dalece „karykatur“; prócz jednej chyba sceny, kiedy jeden z podwładnych urzędników, Kosowski, doprowadzony do pasy, robi wraz z kolegami awanturę szefowi. Rola dostała się p. Mielewskiemu, o którym już dawno stwierdzono, że posiada wielkie zdolności do przedstawiania karykatur na scenie i dzięki trafnej obsadzie ustęp ten sprawił na widzach wrażenie. Reszta utworu przeszła zupełnie obojętnie, ani też artyści nie mieli w nim pola do popisu, i poprzestawali tylko na t. zw. markowaniu ról.

Odswiętnem było zato przedstawienie *Ucxy Herodyady*, poematu dramatycznego w trzech aktach Jana Kasprowieza, poety, który ze wszystkich współczesnych najwięcej mając siły, najwięcej zarazem okazuje zrównoważenia umysłowego. Utwór nie jest wprawdzie pomysłany, jako tragedia, jest tylko dramatyzowanym poematem, ale jest w każdym razie scenicznym i stanie się niewątpliwie trwałym nabytkiem polskiego repertuaru, podnosząc znacznie jego poziom. Dzieło ukazało się w druku, a zbyt jest wybitnem, żeby miało pozostawać nieznanem czytelnikom naszego *Przeglądu*, co zwalnia sprawozdawcę od wchodzenia w szczegóły treści. Zastanowimy się więc tylko nad wrażeniem, jakie sprawia ze sceny. Wprowadzono jedną zmianę. W tekście są ustępy, charakteryzujące epokę Jana Chrzciciela i odwieczny dramat duszy ludzkiej, pozostającej na rozdrożu pomiędzy uciechą, a enotą: „dusza wygnana z raju“ i Lucyfer. Poemat zaczyna się od takiej „sceny“, od wzmianki o Golgocie, od wyznania Lucyferowi: „Niebiosa nęcą mnie tamte i płonie żądza skier innych, niżli twe“; poczem w miarę rozwoju akcji powracają te postacie na scenę, już to na początku aktów, a w jednym miejscu nawet w środku akcji. Na scenie ustępy te są dla nieznanego tekstu zupełnie niezrozumiałe. Ażeby zaznaczyć przynajmniej, że nie należą bezpośrednio do dramatu, zrobiono z nich intermedya pomiędzy aktami, dodawszy nieco ustępów z innego poematu z cyklu: *Na wzgórzu śmieci*. Uczyniwszy z nich osobne odstępny, podkreślono je przez to tem bardziej, co im się najzupełniej należało i dano widzom czas do zastanowienia się, w jakim one związku pozostają z akcją *Ucxy Herodyady*. Ale związek ten jest nawet w tekście niezupełnie ścisły; w całym utworze bowiem niema nikogo, koby pozostawał na rozdrożu. Jeden Herod Antypater tylko się waha, ale wcale nie z etycznych względów, Salome zaś niema nie

wspólnego z „duszą wygnaną z raju“, a tem mniej Herodyada. Przepiękne te ustępy idą więc luzem obok tekstu. W lekturze poprzestajemy na tem, że autor zaznacza wyższe stanowisko, z jakiego patrzeć należy na zmienne koleje doli i niedoli ludzkiej, na mieszaninę zbrodni i cnoty w historii i życiu. Na scenie jednakowoż żądać się musi bezpośredniego związku z dramatem.

Podnoszono już w tych referatach nieraz tę okoliczność, że dzieło jest scenicznem, jeżeli celuje choćby jednym tylko przymiotem dramatycznym. *Ucxa Herodyady* celuje doskonałą charakterystyką i dlatego znosi próbę scenicznego przedstawienia. Od pierwszej chwili charaktery występują jasno, a również dobrze, jak osoby, oznaczone jest ogólne tło współczesnej doby. Modlitwa Jachobody, szyderstwa córek Kaifaszowych, w krótkich scenach drugiej i trzeciej, stawiają przed widzami sprawę od razu jasno. Salome scharakteryzowana przepysnie zaraz od pierwszej chwili, a zasadniczy moment tragedji: pożądliwość Salome względem Johanana, wbija się w pamięć zaraz na wstępie. Nie potrzebny jest natomiast na scenie całkiem początek sceny piątej i dalszy jej ciąg aż do słów Salome: „Powiedzcież: cierpieniem wieczystem co jest na świecie?“ później dopiero bowiem następują nowe szczegóły do charakterystyki. I w scenie szóstej lepiej byłoby opuścić ustęp Aholiby, zaczynający się od słów: „Nie! Twojej, twojej, Salome!“ (str. 28); przyczynia się natomiast do scenicznego osadzenia rzeczy ostatni ustęp tej sceny: „Otom ja świętej kapłanka Astarty“. Przygotowanie do widoku Rabbi Jahanana w scenie ósmej wyborne, a tak trudna scena dziewiąta, spotkanie Johanana i Salome, jest prawdziwym tryumfem autora. Znakomity jest początek sceny jedenastej, kiedy Salome rzuca się na dziewczę Jahobod, chcąc jej zderzeć suknię z ramion, ale następne, w lekturze bardzo piękne ustępy, w których Salome pragnęłaby wydrzeć od Jahobod rzekomą tajemnicę ziemskiej miłości Jchanana, wymagałyby na scenie pewnego skrócenia; niepotrzebnie bowiem powraca w nich ciągle ta sama myśl. Brak jakiegokolwiek refleksji w stanowczej chwili zabójstwa i po jego dokonaniu, przyczynia się jeszcze bardziej do dosadnego scharakteryzowania Salome. Wyborny jest pomysł, że jedno nasuwa jej się tylko pytanie: „Czyje tutaj jest władztwo? Kto tu król?“ Z małemi więc zastrzeżeniami jest ten akt nawet z najściślejsz przestreganego stanowiska krytyki dramatycznej nie tylko udatnym, lecz bardzo dobrym. Równie dobrego nie ułożył nikt z współczesnych poetów polskich.

W akcie drugim wysuwa się na pierwszy plan Herod Antypater. Zaraz w pierwszym jego przemówieniu podał autor zasadniczą cechę jego charakteru: „niezwyciężony, nietajny wstręt do śmierci“. Później atoli, wśród obszernych epizodów i następnych scen, wielce dramatycznych, a więc pochłaniają-

cych tem bardziej uwagę widza, należałoby postarać się, żeby o tym głównym rysie Antypatra, którym tłumaczy się doskonale całe zachowanie się jego aż do końca utworu, słuchacze nie mieli sposobności zapomnieć. O ile w pierwszym akcie o niejednej rzeczy za długo była mowa, o tyle w drugim, a także i w trzecim, da się odczuwać brak, że niema już nigdzie mowy o tem, że Antypater przede wszystkim boi się śmierci. Powstają z tego pewne nieporozumienia; słuchacze nie orientują się należycie w myśli autora, który nie użył należycie środków scenicznych, ażeby wryć należycie w umysły to, co w królu jest właśnie najważniejszym. Stosunek wzajemny Antypatra i Herodyady przedstawiony pod względem dramatycznym bardzo dobrze, ale sprawiałby silniejsze wrażenie, gdyby ustęp Antypatra: „Żali nie słyszysz, jak wre, jak się burzy ten strumień ciżby“ (str. 58) podany był nieco wcześniej. U Antypatra odbywa się następnie walka, pomiędzy obawą śmierci, (której się boi, gdyby tknął proroka), a pożądaną zazdrością, gdy z ust Herodyady dowiaduje się, że Salome goreje namiętnością ku Johananowi. Wszystko, co następnie dzieje się, da się doskonale tem wytłumaczyć. Tekst wymagałby jednakże niejakich drobnych zmian, ażeby ten moment tragiczny występował na scenie plastyczniej.

Tu właśnie, w drugim akcie, w drugiej zaraz scenie występuje „Dusza wygnana z raju“ i Lucyfer. Ludzkość przeczuwa już Zbawiciela; już się spełniła tajemnica Betleemskiego Żłóbka, ale ludzkość jeszcze nie wyzwolona. „O bolu mój głębszy! moje niepewne kroki... nie zbawią jej katusze cierni i łez“ i tylko woła w rozpacz: „Kiedyż nastąpi kres?“ (str. 70). Dano to w intermedyum, pomiędzy pierwszym a drugim aktem. Duszę wygnaną z raju, mającą przedstawiać ludzkość całą, musiała z konieczności przedstawiać aktorka, dla tej prostej przyczyny, że skoro „dusza“ jest w gramatyce rodzaju żeńskiego, więc tekst przemawia żeńskim sposobem. I tu rozdźwięk wielki pomiędzy lekturą a scenicznym przedstawieniem! Czytając, nie mamy wcale na myśli kobiety, a gdyby kto niespodzianie zadał pytanie: kto ma przedstawiać ową „duszę wygnaną z raju“, na stu czytelników odpowiedziałyby zapewne dziewięćdziesięciu, że lepiej, żeby przedstawiał mężczyzna. A jednak było to niewykonanem ze względów, niemających żadnego związku z przewodnią ideą autora; na scenie wiodło to znów do nieporozumień, od których uchronić się mogli tylko ci, którzy poprzednio dobrze już byli obznajomieni z tekstem.

W przedstawieniu następowała tedy po scenie pierwszej bezpośrednio trzecia, z całego dzieła najmniej dramatyczna i od scenicznych wymagań najbardziej oddalona, bo najmniej wyraźna. Co ma na myśli Salome, stając na tronie swego ojczyrna i wołając: „głoszę sprawiedliwy a nieuchronny wyrok śmierci“, jest dla widzów wątpliwem. Następuje wspólny epizod pogrzebu

Jachobody, przechodzącego koło pałacu królewskiego. Czy nie lepiej jednak byłoby zmienić w przedstawieniu scenicznym porządek sceny trzeciej a czwartej, i dać ten epizod dopiero po rozmowie Herodyady z córką? W ohydny stosunku matki a córki zaznaczył autor wyraźnie główny jego moment w słowach Salome: „Twoim występkiem zawdzięczam, że wstręty nie-pohamowane okazał ten święty mej żądzy życia“ (str. 84), i znów należy zaznaczyć to samo, co poprzednio przy charakterystyce Antypatra, że niewystarcza na scenie raz coś takiego powiedzieć, a nigdy niczem następnie w akcji do słów tych już się nie odwołać. Ucierpiała przez to jasność utworu, ułożonego zupełnie jasno, lecz tylko do lektury. Przeczuwamy natomiast łatwo, co nastąpi, gdy Salome zapewnia, że „słabość była zawsze cudzą mojemu sercu“ (str. 88). Długa scena piąta: rada starszych w Izraelu wobec króla, starczy sama jedna za świadectwo autorowi *Ucztij Herodyady*, że nie tylko posiada wybitne sceniczne zdolności, ale, że postąpił w nich i to wiele od czasów Kostki Napier-skiego. Tak silne w tej scenie napięcie, a charakterystyka taka wyborna, że z tego tłumu osób, każdy, nawet najmniej przemawiający, otrzymuje wyraźną sylwetę. Ale za dużo na jeden akt dwóch epizodów, z których drugi jest stosunkowo długim, bo dłuższym od wszystkich scen zasadniczych. W scenie szóstej nowa tragiczna postać: Achisa. Motyw ten pogłębia dzieło i szkoda, że nie jest należycie wyzyskany, bo chociaż Achis wraca na scenę w stanowczej chwili trzeciego aktu, pojawienie się jego jednak nie wpływa już niczem na akcję. W drugim akcji rozkaz uwięzienia Johanana wiąże się pośrednio przynajmniej z pojawieniem się Achisa, w trzecim natomiast spada, niestety, rola Achisa do znaczenia luźnego epizodu. Niczego nie można zarzucić scenom siódmej i dziewiątej, poświęconym stosunkowi Salome do Antypatra. Charakter Salome przedstawia się coraz wyraźniej, on zaś w szale pożądlivosti zapomina na chwilę, że los jego ma być związany z losem proroka i niepoczytalny od wzburzenia zmysłów, decyduje się „dobyć miecza“. (Str. 126).

Pierwsze dwie sceny aktu trzeciego „szelst drzew, szept powiewu“ i głęboki minorowy ton „duży wygnanej z raj“ weszły w intermedyum, rozszerzone (niepotrzebnie) innymi dodatkami z *Wzgórza śmierci*. Scena pierwsza jest oczywiście zupełnie niesceniczną i na to nikt i nie poradzi. Kto nie czytał poematu, ma przed sobą w teatrze łamigłówkę, na której rozwiązanie naprózno by się nawet silił. W drugiej scenie warto zwrócić uwagę, że w tekście w tem miejscu Lucyfera całkiem już niema. Czemuż go więc wprowadzono podczas przedstawienia?

Akt trzeci, składa się już niemal wyłącznie z epizodów, i to bez proporey do zasadniczej myśli dzieła. Przygotowanie uczty dla Rzymian, powitanie rzymskich posłów, toasty, biesiada, charakterystyka stosunku Judei do Rzymu, pieśń greckiego śpie-

waka i żalozne a znamienne pienia Acholijaba, to wszystko są rzeczy piękne, bardzo piękne, a w niejednym ustępie pełne nawet siły dramatycznej, lecz skoro akcja nie posuwa się przez cały ten czas aż do dziewiątej sceny ani na krok, a więc to wszystko jest tylko epizodem. Dopiero w dziewiątej scenie zapowiada Antypater przybycie żony i córki na biesiadę, a wiemy już z drugiego aktu, że każę Salome tańczyć przed gośćmi i wiemy, jakiej ona za to zażąda nagrody. Epizodyczne jeszcze ma znaczenie następna scena, jedenasta, a nawet znaczna część dwunastej. Dopiero w drugiej jej połowie nawiązuje się tragedya. W myśl podanej poprzednio charakterystyki Antypatra tłumaczyłoby się łatwo, czemu on woła: „Rozdarto me łono!” (str. 188), gdyby nie ta fatalność, że i zmysły i umysł widzów pozostają pod wpływem długich epizodów, i to tem większym, im one piękniejsze, a pod ich wpływem zdążono już zapomnieć dlaczego-to Antypater boi się śmierci proroka? Tem bardziej szkoda, że tak mało poświęcono miejsca Achisowi w czternastej scenie. Tu była doskonała sposobność nawiązania i zrekapitulowania niejako wszystkich zasadniczych momentów tragedyi. Sama tragedia krótka; ostatnia scena, dla której napisano całe dzieło, jest taką, jaką być musiała; inną być nie mogła, jeżeli miała być wogóle dobrą. A świetną jest ona w całym znaczeniu tego wyrazu! Lecz czy dla sceny? Sam temat jest bowiem tego rodzaju, że pokazany bezpośrednio oczom widzów, przechodzi już poza granice estetycznej ich wytrzymałości, zwłaszcza, gdy misa złota wypada Salome z rąk, a głowa proroka toczy się po ziemi. Słusznie, bardzo słusznie każę autor nawet postom rzymskim, im, którzy najbardziej ze wszystkich są zapewne zahartowani i najmniej czuli, wołać na Salome, żeby przestała. Jeżeli oni wytrzymać nie mogli, jakżeż tego od nas żądać!? I tu okazują się najjaskrawiej różnice estetyczne pomiędzy pojęciem tego samego tematu w książce, a na scenie

Bądźcobądź, *Uesta Herodyady* sprawiła niepospolite wrażenie, a dzieło odniosło tryumf w całym znaczeniu tego słowa. Złożmy więc dzięki autorowi, że wzbogacił piśmiennictwo dziełem wyższej miary, godnem trwałej pamięci, godnem tłumaczeń na obce języki. *Uesta Herodyady* Kasprowieca ma większą bowiem wartość od znanej całej Europie *Salome* Oskara Wilde'a.

Miło dodać, że Dyrekcyja spełniła z największym pietyzmem wszystkie obowiązki, jakie na nią nakłada wprowadzenie na deskę pierwszorzędnego poetyckiego dzieła. Wystawa była wspaniała, a co ważniejsza, równie piękna, jak wspaniała; reżyserya nadzwyczaj staranna i gra artystów jak najsumienniejsza. W roli Salome popisywała się p. Wysocka; tragiczna „kapłanka Astarty“ nie mogła zyskać lepszej przedstawicielki. Zmysłowość posunięta do kultu, szalę przejmujący tak do głębi całą istotę, że chwilami aż się uczuciem staje, wyrażone były jak najlepiej, a zwłaszcza

budziła artystka podziw w aktach pierwszym i trzecim. W groźnej końcowej scenie odpowiedziała zupełnie godnie swemu zadaniu i widzieliśmy na nowo w osobie p. Wysockiej niepospolitą artystkę, która postąpiła tym razem znów o jeden szczebel wyżej. Obyż do tego częściej miała sposobność, bo po roli Salome budzi się na nowo nadzieja, że jednak sprawa p. Wysockiej jeszcze nie przepadła, że jeszcze możemy doczekać się po niej tego, czego z taką otuchą spodziewaliśmy się, i że scena polska otrzyma w niej nową wielką heroinę! Rola Herodyady niestosowna zupełnie dla p. Arkawinówny; z tem większem więc uznaniem należy podnieść staranność, z jaką była wykonana. Świetnie za to nadała się p. Ordonówna do roli Jachobod. Antypatra grał sam dyrektor, p. Kotarbiński, z silnym wyrazem dramatycznym. Najlepszym był podczas biesiady w trzecim akcie. W wykonaniu roli odczuło się tem dotkliwiej, jak za mało zaakcentował autor ze względu na scenę obawę śmierci w Herodzie. I drobniejsze role starannie były wykonane, a sceny zbiorowe reżyserowane znakomicie. W drugim akcie na radzie starszych żydowskich zwracali uwagę pp.: Bronicz jako Kaifasz, Frączkowski jako Mejazot i Zawierski jako Eljakim. Dobrze powiodły się role posłów rzymskich pp.: Sosnowskiemu i Zelwerowiczowi. Mniej za to udały się role śpiewaków, tak Greka, jako też Acholijaba.

Dr. Feliks Koneczny.

Muzyka w Krakowie.

Przeciągają przed nami jedna po drugiej sławy europejskiego podium, a raczej te, w które wierzyć nam nakazuje nieomylnie Berlin. Stamtąd bowiem rozsyłają na cały „Wschód“ posłanników kultury muzycznej, przyczem zbyt często, niestety, spotyka się z fałszywymi prorokami i z małym talentem, nieśluszenie naznaczonym marką pierwszej klasy. W każdym razie ciekawy to przegląd, gdyż prócz używania artystycznego daje kontrolę krytyki niemieckiej; byleby tylko ta druga, pochodna przyjemność, nie musiała zastępować pierwszej.

Omali nie znaleźliśmy się w takim położeniu, słuchając holenderskiego kwartetu. Narodził się on z holenderskiego tria, a ta augmentacya wyszła mu na jak najgorsze. Obecny pierwszy skrzypek, p. Van Veen, jest artystą tak średniej miary, iż najlepszemu triu musiałby zaszkodzić jego współdziałanie. A przyczem, rzecz szczególna, w każdym akordzie słyszano się oddzielnie te „pierwsze skrzypce“ o nieszczególnym tonie, i zbyt często trywialnej lub nic nie mówiącej frazie. Tymczasem kwartet zasadza się na tem właśnie, że każdy gra „pierwsze skrzypce“. Tak było u Czechów, których w ciągu wieczoru nieraz trzeba

było sobie przypomnieć z westchnieniem. A tu reklamy zapowiadały coś wyższego nad kwartet florentyński! Między Czechami a Florentczykami nie było ani w setnej części takiego oddalenia artystycznego, jak między owymi Holendrami a Czechami. Choćby im nawet przyznać znaczną subtelność odcieni, to jeszcze skala przedstawia się tak szczupło, że niepodobna oprzeć się wrażeniu monotonii i nudy. A to, jak wiadomo, jedyny rodzaj sztuki, wykluczony bezwarunkowo.

Jakiemże było zdziwienie, gdy w produkcjach solowych trzeba było przekonać się, iż pomawianie wszystkich czterech artystów o holenderską flegmę byłoby wyrokiem przedwczesnym! Po pierwszych tonach wiolonczeli p. Van Liera stało się widocznym, że mamy do czynienia z artystą o południowym temperamentie i zapale. Rzadko można słyszeć ton tak ciepły, kantylenę tak miłą i sposób brania się do utworu tak szczerze, tak gruntownie muzykalny. Niespodzianka tem miłsza, iż w istocie po pierwszym kwartecie (Beethoven op. 18 Nr. VI) sala była opanowana ziewającym zwątpieniem, które zapowiadało rychły szturm na garderoby. Mierne produkcje wspomnianego już skrzypka jako solisty, opróżniły istotnie salę, tak, że kwartetu Czajkowskiego (b dur) doczekano się w mniej licznym komplecie cierpliwych słuchaczy. Oby ów kwartet holenderski jak najprędzej przybrał dawne wymiary tria! I w tym razie mniej, będzie więcej!

Hektora Gandolfiego pamiętamy dobrze z czasów, kiedy w *stagione* włoskich podczas lata bywał jedyną okrasą jałowych przedstawień i najprzeciętniejszych ensembliów. Zwracał wtedy uwagę jego głos potężny, świetna postawa i gra pełna wyrazu. Był to typowy bas głęboki, i dlatego też ulegało się pewnemu zdziwieniu, czytając niemieckie recenzje o „świetnym barytoniście“ tego samego nazwiska, który rozpoczął w Niemczech karierę koncertową. W istocie rzecz się ma tak, że materiał głosowy artysty nie uległ, naturalnie, żadnej zmianie. Zmieniła się tylko po części emisja, a to dlatego zapewne, aby zbyt tubalne brzmienie kolosalnego w istocie głosu nie raziło w szczuplejszych obszarach koncertowej sali. Odrazu trzeba powiedzieć, że maskarady takie nigdy na dobre nie wychodzą. I p. Gandolfi stracił wiele w barytonowym kostymie. Głosu nie przerobił, lecz przez zbyt płaską emisję odebrał mu w znacznej części szlachetność brzmienia, to upowietrzenie, które stanowi największy skarb dobrej metody. Organ zaś sam, z natury nie ładny, aczkolwiek potężny, nabrał zadzierzystości i jakiegoś pobrzęku, zawadza często o krtań w drodze ku przestrzeniom rezonansowym, albo też całkiem je omija, słowem, daje wrażenie czegoś niekompletnego. Co gorsza ucierpiały dźwięki dolne, górne się nie wyrobiły, całość daje wrażenie jakiejś przebu-

dowy niezbyt szczęśliwej. Pozostała kantylena, piano i pianissimo wzorowe, oddech bardzo długi, koloratura nieporadna przez ciężkość materiału, ale dobra. W sumie: dobry śpiewako brzydkim głosem.

Nie pomaga to, iż p. Gandolfi istotnie interpretować umie. Przeważającym uczuciem z pieśni, jakie śpiewa, jest to, iż bierze się do nieswoich rzeczy. Potwierdzeniem tego była *Aria di Proclida* Verdiego, zaśpiewana wybornie. *Don Carlos* albo też *Salvator Rosa* wypadłby również znakomicie i poświadczylby najdobitniej, że na estradzie koncertowej inaczej trzeba śpiewać i innym głosem rozporządzać, niż w teatrze. Jako materiał do dekoratywnych celów sceny, organ ten byłby znakomitym. Weiskany w pieśniowe drobiazgi paczy się i marnieje. Szkoda artysty i głosu.

Inna rzecz, iż Niemcom podoba się to niesłuchanie. Recenzycy mówią o „pierwszym śpiewaku w świecie“, „artyście z Bożej łaski“. Jak to dobrze mieć małe wymagania. Coby dopiero powiedziano na Didura lub Navarriniego?

P. Leopold Godowski był trzecim koncertantem lutowym. Poprzedziły go fantastyczne wieści o „Paganinim fortepianu“; byliśmy przygotowani na coś fenomenalnego w zakresie techniki. Po spojrzaniu na program — pewne rozczarowanie. Program poważny, rezygnujący z czysto technicznych popisów, tylko na szarym końcu „Arabeski“ na temat walców Straussa: Schulz-Erler-Godowski. Obiecujący był zwłaszcza ten dodatek: Godowski. Gdy wirtuoz doprawia własnym conceptem cudze fantazje, można być przygotowanym na wszelakie dziwa. Nie zawiedliśmy się i tym razem.

Tylko że do tej właściwej treści programu trzeba się było przekopać przez kilkanaście numerów „poważnych“. P. Godowski chciał powiedzieć: uważają mnie za technika i tylko za technika; otóż pokażę, iż jestem wielkim pianistą w ogóle, nie tylko wielkim technikiem fortepianu. Słyszeliście o tem, że każdą ręką gram jedną *étude* Chopina i to obie naraz; że *rapsodye* Liszta są mi zabawką dzieciinną; dobrze, zaprezentuję wam — *etudy*... symfoniczne Schumanna i *rapsodye*... Brahmsa.

I tak się stało. P. Godowski pokazał, że jest istotnie muzykiem-pianistą bardzo przyzwoitym, nieco pozbawionym polotu, lecz poprawnym: *respectable*. Ale wielkość? Pierwszorzędność? Gdyby grał pod pseudonimem, niktby go nie posądził o jedno, ani drugie. Ale nadszedł koniec programu, a z nim owe „Arabeski“, suma dowcipu dwóch głów, a trzech nazwisk: Schultz-Erlera i Godowskiego. I tu trzeba było przyznać, iż fenomen nie jest za silnym wyrażeniem. — Zaczęło się to bardzo niewinnie, piano, bez efektów, lecz słuch protestował przeciw temu, co widziało oko: trudno było uwierzyć, iż przy fortepianie siedzi jeden człowiek o dziesięciu palcach. Potem było ich trzech,

potem — jak się zdawało — czterech... A wszystko odbywało się z wykwinłym spokojem salonowca. Nie można nie przyznać, że takiej gry i w tym rodzaju dotychczas Kraków nie słyszał.

Przy takich okazjach zwykła na sali koncertowej występować pewna nagminna szlachetność w pojmowaniu sztuki. Wrazem jej — pełne godności oburzenie na „sztuczki“. Zaznaczywszy raz obszernie na tem miejscu, że kwestya techniki w ogóle nie jest tak prostą, jakby się zdawało — rzeczy przedstawiają się tem prościej, im mniej się nad niemi myśli — nie będą się powtarzały. Przypomnę tylko, że rozszerzenie techniki instrumentu nie jest niczem innym, jak dodaniem nowych wyrazów i zwrotów do muzycznego wokabularza. Instrument staje się wydatniejszym, chce przemawiać bardziej kwiecisto, otwiera nowe kombinacje. Idzie tylko o to, aby je zużytkować artystycznie i twórczo. Zgoda na to, iż arabeski owej potrójnej firmy były muzycznie wcale nie ciekawe. Ale też był to rodzaj frazeologicznego słownika, rodzaj katalogu nowych efektów fortepianowych. Reszta należy do twórców.

Witold Noskowski.

Przegląd polityczny.

Kraków, 28 lutego.

„Smutne wypadki, o których codziennie nadchodzą nowe wieści z Królestwa Polskiego, nie mogą pozostać bez silnego echa po tej stronie kordonu. Cały ogół polski śledzi bacznie te przewlekłe strajki, którym wielokrotnie towarzyszą krwawe starcia z policją i wojskiem. Pamiętając przedewszystkiem, że to polska krew się leje, bolejąc nad tem i podnosząc głos oburzenia przeciw dzikiemu okrucieństwu, jakiego się dopuszczają władze rosyjskie nawet na najspokojniejszych mieszkańcach kraju — tem głębszym jesteśmy dotknięci smutkiem, że rozumiemy wszysey całą bezcelowość tego ruchu, zupełny w nim brak myśli kierowniczej.

Wszystkie żywiły społeczeństwa współczują głęboko niedoli ludu robotniczego, postawionego przez rząd rosyjski w takie warunki życia, że nawet zdobywanie elementarnej oświaty i postęp kultury obyczajowej w głównej jego masie jest zatamowany, odciętego zupełnie przez władze od innych warstw społeczeństwa, któreby mogły współdziałać z nim nad poprawą jego doli i wszechstronnem podniesieniem poziomu jego życia — ale tem surowsze potępienie spada na agitujące wśród robotników partye socyalistyczne, wskazujące im drogi działania, które samym robotnikom przynoszą szkodę, cały zaś naród wystawiają na niebezpieczeństwo.

W kołach socyalistycznych, oraz w odbierających od socyalistów natchnienia, do których wieści o wypadkach w Królestwie dochodzą w fałszywym oświeteniu, zaczęło się

rodzić błędne pojęcie, jakoby zajścia te były tylko wstępem do ruchu szerszego, do zbrojnego powstania czy rewolucyi. Pogląd ten jest tendencyjnie rozszerzany i na zewnątrz, jakkolwiek poważne organy prasy zagranicznej stanowczo stwierdziły, że stronnictwa narodowe w Polsce nie biorą udziału w ruchu.

Wszelki ruch rewolucyjny, o ileby objął szersze kola społeczeństwa, byłby najzgubniejszym w skutkach, bo spotkawszy się bez żadnej wątpliwości z surową, znaną dobrze ze swego charakteru represją rosyjską, pozostawiłby po sobie tylko ogólny upadek ducha i ubezwładnienie społeczeństwa w tak ważnej dla niego politycznej dobie.

Cała też opinia polska, świadoma swej odpowiedzialności narodowej, uważa nie tylko dążenie do podobnego ruchu, ale wiarę w jego możliwość, za sposób myślenia niedojrzały, wynikający z nieznajomości położenia politycznego naszej ojczyzny. Poczytujemy też sobie za obowiązek zaznaczyć w sposób jak najbardziej stanowczy, że żadna w tym kierunku agitacja nie wychodzi z polskich sfer politycznych, narodowym ożywionych duchem, że wszelka podobna robota, o ile istnieje, jest prowadzona wbrew ustalonym dążeniom polityki polskiej.

Kto wierzy inaczej, ten jest w błędzie, bardzo szkodliwym dla naszej publicznej sprawy. Kto zaś podnieca dziś ludność Królestwa do rozruchów, działa przeciw własnemu narodowi. Czy źródłem tego postępowania jest niesumienność, czy karygodna lekkomyślność i brak poczucia odpowiedzialności za następstwa własnych czynów — surowy o niem sąd całej poważnej opinii polskiej pozostaje niezmiennym“.

Zaczynamy nasz miesięczny przegląd od powtórzenia tej deklaracji, którą w tem samym brzmieniu, tego samego dnia, ogłosiły wszystkie pisma polskie, w Galicyi, w Wielkopolsce, i na Szlązku, z wyjątkiem *Nowej Reformy*, *Kuryera Polskiego* i *Naprzodu*. My wychodząc raz na miesiąc, nie mogliśmy zrobić tego równocześnie z innymi: robimy teraz na znak, że się z nimi łączymy, że tak samo rozumiemy i położenie i wypływający z niego obowiązek. Staliśmy zawsze, dziś stajemy tembardziej w szeregu tych, którzy sprawę narodu i jego przyszłości bronią od porywów lekko-

myślnych a daremnych, zbawczych w zamiarze, ale zgubnych w skutku, porywów, w których uczucia szlachetne są nadużyte i kierowane przez głowy i sumienia przewrotne.

Oświadczenie powyższe nie jest jedynym protestem przeciw takim robotom. Dwa Zgromadzenia publiczne, i liczne, jedno na ratuszu we Lwowie, drugie w sali Sokoła w Krakowie, odbyły się w tej samej myśli i skończyły się uchwałą tej samej treści. Wreszcie, Kolo polskie w Wiedniu, które jedno w tej chwili ma prawo przemawiać za kraj i w jego imieniu, uchwaliło jednomyślnie i podało do publicznej wiadomości deklarację podobną, jasną, wyraźną, stanowczą.

To, czego się nie zrobiło, a zrobić było powinno w roku 1862, otwarte i stanowcze sprzeciwienie się zamiarom i przygotowaniom powstania, które dobrego końca mieć nie mogło, to się stało przez rzezone trzy akta. Pokazało się i powiedziało, że jeżeli są tacy, którzy się zaślepiają samochcą, lub się zaślepić dają, na skutki marnego przedsięwzięcia, to nie wszyscy są tacy, a oni nie mogą udawać, że mówią za cały naród i całym rządem. Krok taki, taki protest i opór, był tem potrzebniejszy, że po zaburzeniach w Rossyi, i niestety po zaburzeniach w Królestwie, polityka spiskowa, niby powstańcza, podniosła głowę i korzystając z rozjątrzonego, gorączkowego stanu ludności, przyspieszonym tempem zaczęła rzucać swoje hasła i wydawać swoje rozkazy. To jej nie szkodzi, że wojsko rossyjskie będzie miało dość siły, żeby taką próbkę powstania zgnieść: i to jej nie szkodzi, że Prusy tylko czekają na jakiś pozór, jakiś cień, niby polskiego powstania, żeby do Królestwa wkroczyć: że (to nie zdaje się być bajką) mają na Szląsku gotowe kupy hałastry, które w danym razie mogą udawać polskich powstańców, i przejść granicę. Co będzie, co się stanie, to wszystko jedno, byleby dziś agitować, konspirować, organizować. Agituje się też bardzo pilnie między młodzieżą nawet gimnazyjalną, nawet w Galicyi. Tem pilniej, a niestety nie bez skutku, w Królestwie. W tem społeczeństwie, które od lat czterdziestu żyje w ciągłej krzywdzie, w ciągłej niemocy, które nie ma żadnej możności działania na umysły, i wyrobienia pojęć i przekonań, które w ostatnich miesiącach ciągłych zmian było w ciągłym naprężeniu i oczekiwaniu, a w ostatnich

tygodniach rozruchów, strzałów, nieraz okrucieństw, musiało dojść do stanu exasperacyi, zastanowienie, posiadanie siebie, moc nad sobą, rozwaga, świadoma wola, stały się prawie niepodobieństwem. Tem łatwiejszy posłuch dla obietnic złudnych, dla rozkazów kryjących w sobie niby jakąś siłę, jakąś tajemnicę urzeczywistnienia tych obietnic. Młodzi ludzie i kobiety zawsze dają się łapać na taki lep, a u nas niestety młodzi ludzie i kobiety przyznają sobie powołanie do rządzenia: nieraz i rządzą słabymi, dającymi się pociągnąć, odurzyć, czasem nawet zastraszyć.

Ten stan rzeczy wydał już jeden skutek bardzo zły: zamknięcie szkół.

Być może, że wiec pozwolony przez kuratora okręgu naukowego, był podstępem. Gdyby kurator był chciał istotnie uspokoić umysły uczniów i rodziców, byłby mówił i porozumiewał się z mniejszą liczbą ludzi, byłby wezwał kilkudziesięciu. Zebranie tysiąca czy więcej osób nie przyczyniło się jeszcze nigdy do uspokojenia umysłów, nie torowało drogi do porozumienia. Że powiedziano na tym wiecu także rzeczy rozumne i słuszne, to prawda: ale jego ostateczny rezultat był fatalny. Rządowi rosyjskiemu nie szkodzi to nie, że młodzi Polacy tracą czas, możliwość przysposobienia się do zawodu, w przyszłości możliwość stanowiska. Rząd do swojej służby znajdzie zawsze dość swoich: a im więcej młodych Polaków się zmarnuje i nie wykształci, tem dla niego lepiej, i owszem. Ale dla tych młodych Polaków, dla ich rodzin, i dla ich ojczyzny, jest źle. Dla ludzi i rodzin, naprzód jeżeli nie strata zupełna utrzymania i stanowisk na zawsze, to w każdym razie strata czasu, utrudnienie, opóźnienie: dla wielu zaś prawdopodobnie niemożność wszelkiej dalszej nauki. Brak stałego regularnego zajęcia, to dla młodego konieczne nieuniknione rozpróżniaczenie, rozpolitykowanie. Będzie mu się zdawało, że robi coś wielkiego i mądrego przez to, że chodzi na zebrania, słucha mów i mowy prawi: a na prawdę nauczy się żyć w złudzeniu, durzyć siebie samego, brać pozor za treść. Oprócz tego nauczy się zarozumiałości, będzie się miał za bohatera, będzie frazesami rozcinał węzły gordyjskie polityki: ale nie nauczy się ani prawdy, ani pracy, nie będzie rzetelnym sam z sobą, będzie sam przed sobą

fanfaronował, i (bezwiednie, w dobrej wierze) siebie samego okłamywał. Z takiego wychowania nie wyjdą ani rozumy, ani charaktery: wyjdą istoty niezupełne i niemęskie, o uczuciach szlachetnych a nerwach rozdrażnionych, bez zdolności sądu, bez zdolności woli, bez zdolności działania. Tych młodych ludzi więzionych, może pozbawionych przyszłości, żał nam z całego serca: oni byli w dobrej wierze, myśleli, że się poświęcają za ojczyznę, że jej służą. Ale ci, co ich podchwycili i nadużyli za najświętsze uczucia, co ich poświęcili nie ojczyźnie tylko swojej marnej a szkodliwej polityce, co zwarzyli w pączku ich zdolności a ich charaktery (choćby w części tylko) skrzywili, ci niech się nie skarżą na rząd rosyjski, że swoim wychowaniem ogłupia i psuje polską młodzież, bo sami swoim sposobem w swoim zakresie spełniają na niej występki podobny.

Pomagają im ci, którzy ten fakt chwają, wystawiają jako bohaterstwo. Słyszy się, czyta się w dziennikach, że to „fakt epokowy“, że „dzieci dały przykład miłości ojczyzny“, że „postawiły sobie wieczny pomnik“. Takie słowa są fałszywe i złe. Dzieci, podmówione i otumanione, zrobiły to, czego nigdy robić nie były powinny: rodzice, którzy za nimi poszli, którzy temi samemi namowami dali się pociągnąć, zrobili gorzej. Prawa języka polskiego są święte, dochodzenie tych praw jest obowiązkiem. Ale tą drogą praw się nie dojdzie, a przewraca się same podstawy społeczeństwa i jego bytu. To nie rzemieślnicy, nie służba kolejowa, wstrzymująca roboty: to nawet nie rozruchy uniwersyteckiej młodzieży w Petersburgu czy Moskwie; to gimnazyści od pierwszej do siódmej klasy, od dziesięciu do ośmnastu lat wieku, to dziewczęta ich rówieśniczki, występują i decydują o sprawach ojczyzny. Do nich należy głos, do nich inicjatywa! rodzice, i wszyscy starsi, mają za nimi iść, ich słuchać. Inicjatywa nie od nich wyszła oczywiście, byli namówieni i uwiedzeni: ale skutek i koniec był ten, że dzieci postanowiły co im wmówiono i kazano, a rodzice zrobili to, co kazały dzieci. To jest oznaka przewrotu głębsza niż rozruchy i przewroty robotnicze: to znak, że społeczeństwo samo jest bardzo wyrzucone z równowagi, i że tego samo nie czuje. Odpowiedzialność spada na tych co wywołali, i na

tych rodziców miękkich, co się nie oparli: skutki spadną na społeczeństwo całe, a mogą się dać czuć przez pokolenia.

Ale chwałą ich za to niektórzy tu w Galicyi. Jakieś stowarzyszenie kobiet uchwaliło w Krakowie votum zaufania dla bohaterskich dzieci, a podziękowanie dla patriotycznych rodziców. Wyrażono i nadzieję, że ten przykład wpłynie na system wychowania w Galicyi, który jak wiadomo „ogłupia młodzież i ją wynarodawia“.

W Rosyi dalszy ciąg tego samego, coraz gorszego zamieszania, chaosu, bezradności, i okropności. Wielki książę Sergiusz rozszarpany wybuchem bomby na ulicach Moskwy (jak niegdyś jego ojciec, jak świeżo minister Plehwe), groźba zawieszona nad dworem i rządem, bezrobocia wszędzie przychodzą, wybuchają znowu, koleje zatrzymane, zaburzenia, walki uliczne to tu, to tam, wszędzie, aż do Kaspijskiego morza, aż do Kaukazu. A na teatrze wojny te same zawsze obietnice zwycięstwa, i coraz mniej w nie wiary. Inaczej wyglądała Rosya, inna była, kiedy pięćdziesiąt lat temu, w marcu, umierał cesarz Mikołaj pierwszy, choć on wtedy umierał z goryczy, że nie zdoła zwyciężyć.

Na Węgrzech panowało dalej interregnum... Ministerstwo hr. Tiszy prowadziło prądy interymistycznie, podczas gdy cesarz szukał nowego męża stanu dla nowego stanu rzeczy. Stan był rzeczywiście zupełnie nowy, skoro po blisko 40 latach poraz pierwszy partya liberalna była w mniejszości. Do tego zaszły te wszystkie wypadki ostatnich miesięcy tak niespodziewanie, że nikt nie wiedział, co na razie począć. Na ten wynik wyborów nie liczyły ani stery rozstrzygające, ani nawet nie liczyło nań same stronnictwo Kossuta, które zaambarasowane było swoim zwycięstwem. Według formułki parlamentarnej powinno było stronnictwo, posiadające większość w izbie, objąć rządy i utworzyć ministerstwo. Któż jednakowoż posiadał właściwie większość w izbie? Samo stronnictwo Kossuta nie, samo stronnictwo liberalne także nie; najsilniejszym było stronnictwo Kossuta, które w połączeniu ze stronnictwami przeciwnymi partyi liberalnej mogło wytworzyć większość. Przy wyborach rozstrzygającym było z początku przekonanie, że hr. Tisza zgwałcił konstytucyę; nie tyle może zasady stronnictwa niepodległości jak właści-

wie opozycya przeciwko hr. Tisza i popierającemu go stronnictwu liberalnemu była powodem klęski tego stronnictwa. O jakiejś zasadzie przewodniej, jakaby wynikała z wyborów i któraby powinna była stać się hasłem, łączącym stronnictwa, nie było na razie mowy. Stronnictwa, wrogie stronnictwu liberalnemu, połączyły się wprawdzie w jedną wielką grupę, ale pytanie zachodziło, co było ich ideą łączącą, co stanowić miało podstawę dla nowego ministerstwa.

Rozchodziło się przytem głównie o stanowisko Węgier do Austrii, o to, tak dawno i tak różnorodnie omawiane pytanie, czy Węgry mają pozostać i nadal w związku z Austryą, tak, jak ten związek został określony przez ustawy zasadnicze z r. 1867, czy też mają dążyć do zerwania unii rzeczowej, a wytworzenia jedynie unii personalnej, rozchodziło się o to, czy Węgry mają stać się państwem osobnem, dla Austrii obcem i jedynie przez tę samą rządzącą dynastyę połączonem, czy też pozostać i nadal połową jakiej dualistycznej monarchii.

Wybory ostatnie odpowiedzi na to pytanie nie dały, albowiem nie pod tym hasłem były prowadzone, chociaż można być przekonanym, że, gdyby się obecnie urządziło na Węgrzech rodzaj plebiscytu, to ten wypadłby pod wrażeniem ostatnich wyborów i pod wpływem tylu już od tak dawna prowadzonych agitacyj z pewnością przeciwko dualizmowi.

Łatwem jest do pojęcia, że cesarz musiał w interesie monarchii starać się o utrzymanie dualizmu. Wszak dualizm jest podstawą potęgi monarchii na zewnątrz, wszak tylko jednolitość armii, tylko jednolitość polityki zagranicznej obu połów dozwala monarchii odgrywać w polityce europejskiej rolę pierwszorzędnego mocarstwa. Niechaj dzisiaj monarchia rozpadnie się na dwa państwa, z natury rzeczy w wielu wypadkach sobie wrogie, niechaj dzisiaj powstaną dwa wojska o różnej komendzie i różnych hasłach wojennych — a monarchia austriacko-węgierska należeć będzie do przeszłości. I to wszystko miałoby się stać właśnie w epoce, w której każde państwo dążyło do ogarnięcia jak największych terytoryów i największej liczby ludności, w której drobne jednostki znikwały wobec wielkich, w której ten tylko ważył na szali historyi, kto mógł rzucić miliony mieczów lub ka-

rabinów na szalę. Rozdział cłowy lub handlowy łatwo i Austria i Węgry mogłyby ostatecznie znieść; są nawet części i kraje, które na takim rozdziale zyskałyby materialnie, ale rozdział pod względem wojskowym i pod względem polityki zagranicznej dotykał samych korzeni monarchii dualistycznej.

Cesarz starał się w pierwszej linii poinformować co do zapatrywań, zamysłów i planów nowych stronnictw większości. Jako człowiek, który w ostatniej fazie parlamentarnej, przed wyborami, odegrał znaczną polityczną rolę i występując nagle z partii liberalnej, przyczynił się w wysokim stopniu do upadku tej partii, zdawał się hr. Juliusz Andrassy mężem, powołanym w pierwszej linii do utworzenia ministerstwa, w każdym razie jechał do poinformowania cesarza o obecnym stanie rzeczy. Hr. Juliusz Andrassy został przyjęty przez cesarza i tu jego poradą — zapewne — przyjął dalej cesarz szereg innych osobistości politycznych, między niemi Kossuta. Ta audyencya młodego Kossuta u cesarza zdawała się dla wielu prawdziwie historycznym wypadkiem. Syn tego, który ogłosił strącenie dynastji Habsburgów z tronu węgierskiego, na audyencyi u tego samego cesarza, przeciwko któremu wystąpieniu starego Kossuta było zwrócone. Młody Kossut we fraku w Burgu wiedeńskim! Chociaż umożliwiono tę audyencyę przez wypowiedzenie zasady, że syn nie może pokutować za winę ojca, to przecież jest ta audyencya jednym z nowych dowodów tej abnegacyi, tego zaparcia się, jakich daje dowód nasz cesarz przy każdej sposobności. Po blisko 60 latach zobaczył i przyjął cesarz Franciszek Józef syna starego Kossuta u siebie i konferował z nim w sposób przyjacielski o losach Węgier.

I ta konferencya nie przyniosła jednak spodziewanego wyniku. Trudność leżała może nie w oporze samego Kossuta, jak w innych stosunkach. Kossut sam o ile można sądzić, jest człowiekiem poważnym, rozważnym, i nie należy do szowinistów. Już sam fakt, że spędził całe prawie swoje życie poza granicami Węgier wśród obcych, jest przyczyną, że nie dzieli on wielu zapatrywań, rozpowszechnionych w obecnej generacyi węgierskiej. W konferencyach z Kossutem rozchodziło się w pierwszej linii zapewne o określenie dążności partji niepodległości na polu wojskowym. Kossut możeby

sam był się zgodził na powolne tempo w tych sprawach, gdyby się nie obawiał, że radykalniejsze żywioły i grupy wystąpią przeciwko niemu. Z drugiej strony znowu cesarz nie mógł się zgodzić na daleko sięgające zamiary stronnictwa niepodległości, dotyczące stworzenia osobnej armii węgierskiej i tak nie przyszło do porozumienia się.

Jako środek do wyjścia z tego niemiłego położenia zdawało się utworzenie ministerstwa prowizorycznego, coś z rodzaju ministerstwa urzędniczego w Austrii. Takie ministerstwo mogło być — tak sądzono — załatwić najważniejsze sprawy państwowe, jak ustawę o poborze rekrutów, i przygotować teren dla ministerstwa definitywnego. I ta kombinacya rozbiła się o opór, głównie Apponyiego, i wszystko pozostało *in statu quo*. Obecnie rzucono myśl utworzenia ministerstwa koalicyjnego, w którym pojedyncze grupy dawnej opozycyi i dawnej partyi liberalnej miałyby przedstawicieli. Czy ta myśl da się urzeczywistnić, trudno przewidzieć. Długo jednak ten stan trwać nie może; parlament węgierski musi w końcu wytworzyć rząd, który potrafi pogodzić dążności stronnictw większości z wymogami obecnego stanu państwa. Radykalne zmiany w obecnym ustroju monarchii zapewne nie nastąpią.

Te zajścia na Węgrzech miały dla polityki wewnętrznej austriackiej ten skutek, że wytworzyły one pewien punkt styczny dla wszystkich prawie stronnictw austriackich. Wszystkie te stronnictwa musiały choć na chwilę zapomnieć o swoich dążnościach partykularystycznych w chwili, w której się rozchodziło o zasadniczy ustrój monarchii, im wszystkim wspólnej. Tam, gdzie się podstawa chwiała, musiały stronnictwa zbierać się w samym środku, ażeby utrzymać równowagę, musiały one tam wzajemnie sobie pomagać, ażeby się nie zniszczyć. To też pomimo, że namiętności partyjne nie były zupełnie ułagodzone, przybrały stronnictwa austriackie stanowisko wyczekujące wobec zajść na Węgrzech. Nie brakło polityków, którzy chcieli już teraz przeprowadzić pewien zasadniczy kierunek, ale w końcu zwyciężyła zasada, że parlament austriacki postąpi jak najroztropniej, jeżeli będzie czekał, jaki wezmą obrót sprawy na Węgrzech i wtedy dopiero wystąpi z zasadniczym oświadczeniem, kiedy będzie widział, do czego właściwie dążą Węgry.

To wyczekujące stanowisko zajął parlament austriacki także i wobec nowego ministerstwa p. Gautscha. Jak za dotknięciem czarodziejskiej laski zmienił się cały charakter parlamentu austriackiego. Za rządów p. Koerbera, szczególnie w ostatnich czasach, panowała tam ogromna nerwowość; prezydent ministrów, który jako swoją zasadę podnosił zawsze *leiderschaftlose Beharrlichkeit* był najwięcej nerwowym człowiekiem w świecie, jego nerwowość udzielała się deputowanym, do tego nikt nigdy właściwie nie wiedział, do czego dążył p. Koerber, który co dnia chciał jakimś „genialnym” czynem olśnić świat — jednym słowem stosunki były trudne do zrozumienia i do określenia. Z ustąpieniem ministerstwa p. Koerbera nastąpił spokój; obrady prowadzą się rzeczowo, nudnie, nawet radykalne stronnictwa zachowują się spokojnie, tak udało się nowemu ministerstwu przeprowadzić uchwałę o poborze rekrutów w dwóch posiedzeniach, o refundacji milionów, potrzebnych do prowadzenia gospodarki państwowej, a nawet przeprowadzono już pierwsze czytanie budżetu, który omawiany jest w komisji budżetowej. Jeżeliby potrzeba było jeszcze dowodu, że w stosunkach austriackich główną rolę odrywają zawsze względy i sprawy osobiste, to ten fakt, że zmiana jednego ministra potrafiła spowodować taką zmianę w zapatrywaniach, i w zachowaniu się parlamentu, byłby argumentem, nie do obalenia.

Dla pesymistów, a w Austrii jest każdy prawie polityk pesymistą, nie stanowi tu dotychczasowy spokój żadnej gwarancji na przyszłość. Lada chwila burza znowu wybuchnąć może, tem łatwiej, że elektryczność, nagromadzona w chmurach, dotychczas się nie zmniejszyła. Pomiędzy Czechami a Niemcami dotąd nie nastąpiło zbliżenie i dotąd niewiadomo na jakiej drodze można ich będzie sprowadzić do spokojnych obrad nad kwestyami spornymi. Kwestye taktyki i kwestye formalne odgrywają w Austrii znakomitą rolę, jak właściwy spór o meritum jakiejś rzeczy.

Pewne wrażenie w polityce austriackiej wywarło wystąpienie hr. Gołuchowskiego przeciwko ustępowi mowy pruskiego ministra finansów, p. Rheinbarena, dotyczącemu stosunków galicyjskich. Że to wystąpienie było na miejscu, że ono było pożyteczne dla Austrii, o tem nikt nie może wąt-

pić. Nie o nas tutaj chodziło, ale chodziło o utrzymanie zasady, że cesarstwo niemieckie i jego urzędnicy nie mają prawa mięszać się w sprawy austriackie. Wiadomem jest i nie potrzebuje to z pewnością dowodu, że obecne sfery rządzące w Niemczech uważają się za powołane do wywierania wpływu na ościenne państwa. Jaki wpływ wywierają one na nasze stosunki, tego najlepszym dowodem jest historia radykalizmu niemieckiego w Austrii. To też z tem większą bezwzględnością wypada występować przeciwko każdemu widzialnemu usiłowaniu w tym kierunku, skoro niewidzialnych usiłowań i dążeń nie można niestety usunąć. W danym wypadku udało się schwycić p. Rheinbarena *in flagranti*, to też potrzeba było zmanifestować światu, że Austria jest dotąd państwem samodzielnem. Jesteśmy przekonani, że każdy minister spraw zagranicznych na miejscu p. Gołuchowskiego tak samo byłby był postąpił i że z drugiej strony p. Gołuchowski tak samo byłby był postąpił, gdyby p. Rheinbarena nie był mówił o stosunkach w Galicyi, ale o jakichkolwiek bądź stosunkach wewnątrz Austrii, np. o stosunkach w Czechach.

Że nasi „najsierdecniejsi“ skorzystają z tego, że tym razem chodziło o Polaków i że obecny minister spraw zagranicznych w Austrii jest przypadkowo Polakiem, to łatwym było do przewidzenia. Nie wpłynęło to w każdym razie ani na słuszność wystąpienia hr. Gołuchowskiego ani na niesłuszność mięszania się p. Rheinbarena w rzeczy, które go nie obchodzą i obchodzić nie powinny.

Podczas tych wszystkich zajęć toczyła się dalej walka na dalekim Wschodzie. Od czasu do czasu rozchodziła się wieść o przygotowaniach do zawarcia pokoju; nigdy jednak nie wystąpiła ona z taką pewnością i z takim pozorem prawdopodobieństwa, jak w ubiegającym miesiącu. Skąd ta wieść tak nagle powstała, trudno dokładnie osądzić; na pozór ze źródeł angielskich, w rzeczywistości jednak, o ile się zdaje, ze źródeł japońskich. Stosunki w Rosyi zdają się potwierdzać konieczność zawarcia pokoju na zewnątrz, ażeby jąć się poprawy stosunków na wewnątrz. Z drugiej znowu strony stanowi ta wojna w oczach władców rosyjskich może właśnie rodzaj wentylu dla dążeń radykalnych wewnątrz-

nych i zawarcie pokoju pod warunkami niekorzystnymi dla Rosyi, podnieciłoby tylko umysły na wewnątrz. Prócz tego istniejące jeszcze dotąd owa armia blisko półmilionowa rosyjska, która dotąd nie miała sposobności stoczyć rozstrzygającej bitwy. Władcy rosyjscy liczą pod tym względem wiele na zbliżającą się wiosnę. Czy jednak ta wiosna będzie rzeczywiście wiosną dla Rosyi? Ostatni reskrypt cesarski zapowiada wybory, system reprezentacyjny: dniem przedtem inny odpychał to stanowczo. Co tam myślą? czego chcą? Co z tych obietnic wyjdzie? A w Mandżuryi tymczasem bitwa jakaś walna, wielka, nie skończona jeszcze, ale dotąd nie wyglądająca na zwycięstwo Rosyi. Jubileusz wojny krymskiej i śmierci Mikołaja I-go, nie obchodzi się tryumfalnie.

* * *

Maksymilian Jackowski.

Wspomnienie pośmiertne.

Nazywano go w Księstwie po wsiach, miastach, miasteczkach „panem patronem“, a tym, co Poznań w ostatnich latach zwiedzali, wskazywano krzepkiego starca o marsowej twarzy, w czarnej czamarze i konfederatce. Dziwnie odbijała ta ziemiańska postać od szarzyzny bruku miejskiego i czyniła wrażenie, jakoby tylko przypadkiem się tam znalazła, jakoby jej właściwą siedzibą była zaciszna wieś polska a najodpowiedniejszym tłem — ganek starego dworu, przed którym staje w sierpniowy wieczór żniwiarska drużyna, by oznajmić wesoło: „Plon niesiemy, plon! Jegomości w dom“.

Stał przeszło pół wieku na wielkopolskim zagonie, ucząc chłopą polskiego, jak strzedz swojej ziemi i jak w niej pracować. Z tego rolnego posterunku obejmował wzrokiem wszystko, co się u nas działo i wskazywał dłonią tam, gdzie ręk było potrzeba do społecznej roboty. I był w końcu żywym choć omszałym pomnikiem półwiekowej historii Księstwa Poznańskiego.

Niedawno od nas odszedł w krainę śmierci. W owym dniu styczniowym, kiedyśmy go oddawali ziemi naszej na wieczne i ciche spoczywanie, zajaśniały przed trumną złote wieńce kłosiste z polnych zbóż uwite. Stanęła poraz ostatni przed swym ziemiańskim wodzem z owocem żniw w rękę, w krasnej pół naszych ozdobie gromada włościan wielkopolskich — zastęp rosłych i silnych postaci, co z ziemi wyszły, ziemię pługiem orzą i tak silnie nogami

tkwią w ziemi, że zdają się mówić: Oto stoimy twardo i wyprzeć się nie damy!

Syn ziemi i wierny jej sługa, urodził się Maksymilian Jackowski w r. 1815 w Słupi, powiecie pleszewskim, z rodziców Józefa i Józefy z Brzezińskich. Po ukończeniu nauk w poznańskim gimnazjum Maryi Magdaleny, zapragnął pracować na roli i uczył się gospodarstwa w Turwi pod kierownictwem jenerała Dezyderego Chłapowskiego. Zbieg okoliczności i młodzieńcza ruchliwość zawiodły po kilku latach młodego rolnika daleko poza granice Księstwa, aż nad Dniestr, za stepy podolskie. Dzierżawił tam od Teodora Mańkowskiego Jahorlik i Cebulówkę przez lat ośm. Ale choć ziemia mlekiem i miodem płynąca śmiała się do niego całym czarem swej urodzajnej gleby, nie dawała mu jednakże pokoju owa „miłość, co to nęci wiecznie duszę w kraj pa mięci“.

Czuł, że człowiek jest żywym komentarzem tej ziemi, która go wydała, że tkwi w niej całym jestestwem, że jest z nią zrosnięty węzłem tajemniczym a nierozzerwalnym jak wszystko, co płynie z głębin przyrody; że drzewa, zwierzęta, ludzie, powie „ze, które gdzieindziej mija obojętnie, są dla niego tam, na swojej ziemi, symbolem pełnym znaczenia i że wreszcie tylko tam człowiek owocnie pracować może, gdzie duch zapala się i rozjaśnia tą iskrą miłości, która biegnie z serca. Nęciły go jeszcze rozległe pola pracy społecznej i politycznej, chęć by od pługa wstępować na trybunę i znów do pługa wracać. Tęsknota, wspomnienie stron rodzinnych przyprowadziły Jackowskiego znów nad Wartę w r. 1850.

Gospodarząc z umiejętnością i zamilowaniem w swoich Pomarzanowicach, stanął równocześnie w szeregu pracowników kraju. A że był rolnikiem i żył wśród społeczeństwa rolnego, więc oddał znaczną część swej pracy, słowem, czynem i piórem — za usługi tej ziemi — żywicielowi.

Ogarnięty ruchem narodowym w 1863 r., podążył za innymi z całym zapalem swej dzielnej, gorącej duszy. Był komisarzem wojennym na powiat średzki. Tę krótką chwilę uniesień i nadziei odpokutował półtorarocznym więzieniem w Hausvogtei i Moabicie berlińskim. Oprócz wspomnień

rzewnych a bolesnych, wyniósł Maksymilian Jackowski z owych czasów przeświadczenie o bezowocności podobnych, rozpaczliwych wysiłków. Odtąd postanowił służyć swej piastowskiej ojezyźnie szeregiem prac codziennych i jawnych, których zasługa nie leży w nagłym wybuchu bohaterskich uczuć, lecz w harcie żelaznym, woli niezłomnej, w myśli stałej a roztropnej.

Było w tym człowieku coś, co ujarzmiło, nakazując szacunek i posłuszeństwo. Była stara *virtus* polskiego Rzymianina, surowość obyczaj, nieskazitelnność charakteru, prostota i panowanie nad sobą. Wymagał bardzo wiele od siebie, lecz i dla innych pobłażliwym nie był. W twarzy marsowej, w ściągnięciu brwi, w miarowych ruchach całej postaci, nawet w tym chłodnym spokoju, w którego wnętrzu ogień się zarzył, jakaś dziwna była stanowczość, była jakaś siła i moc, która uderzała w oczy i mówiła: To jest wódz urodzony! Tego słuchajcie!

A gdzież byli żołnierze? Byli i będą zawsze, jeno, że nie każdy tę buławę w sobie nosi i zastępów, które skinienia czekają — nie widzi. Nasz ziemianin rozejrzał się swoim orlim wzrokiem po szerokich polach i ugorach wielkopolskich i rozesłał do chat kmiecych wici starodawnym zwyczajem, lecz nie na wojenne harce, jeno na wiec zbożny i cichy, na żmudne prace i na mądre rady około tej świętej ziemi.

I stawili się wezwani gromadą. Były to pierwsze kółka włościańskie pod patronatem Jackowskiego.

Stał się więc cud na ziemi Piastowej — ów cud, o którym marzą poeci, czekając z utęsknieniem onej chwili, gdy na widownię społeczną wystąpi, świadom siebie i swego posłannictwa — „z szlachcią polską polski lud“.

W skromnej i szarej rzeczywistości życia traci cud blański tęczowe i anielskie, ale pięknym, zdrowym i cennym być nie przestaje. Oglądamy ten cud codziennie, znamy go doskonale i jako rzecz swojska nie budzi nawet już zachwyty. Ale chętnie pokazujemy go rodakom z pod innych zaborów i dumni z niego jesteśmy. Bo czujemy, że choć uroniliśmy w tej groźnej zawierusze niejednen klejnot szlachetny, przecież coś w zamian przynieśliśmy w dani do ubogiej skarbnicy

narodu, że lśni się tu czystym, jasnym blaskiem perła królewska, wydobyta z najgłębszych, rdzennych pokładów ziemi.

Idealnem jest dążeniem, by w każdej parafii istniał taki organ samopomocy, kultury rolnej i obywatelskiej, nazywany kółkiem włościańskim. Jest ich dzisiaj 274 i liczą członków dwanaście tysięcy. Prezesi rekrutują się częściowo ze stanu duchownego i obywatelskiego, a jedna czwarta pochodzi obecnie z pośród włościan. I te właśnie kółka odznaczają się największą żywotnością.

Dzisiaj włościanin wielkopolski jest postępowym, umiejętnym gospodarzem. Kółka włościańskie wychowały już dzielnych choć domorosłych chłopskich prelegentów, których prace często bywają drukowane nakładem patronatu; a droga od apatycznego, nawpół bezmyślnego zapatrzenia się w mówiącego prezesa do samodzielnego wystąpienia w słowie i czynie — mozolna była i długa.

Oto jasna karta naszych wewnętrznych dziejów, oto widok stworzony na pokrzepienie serca i ducha. Mówili nad trumną panowie i przedstawiciele kraju w parlamencie niemieckim, mówił też niezgorzej od innych włościanin z Szymborza, dziękując zmarłemu za miłość i trudy żywota. Stało nad tym grobem całe społeczeństwo bez różnicy stanów i kierunków politycznych. A zmarły w majestacie śmierci i chwale służby długiej a wiernej zdawał się mówić ewangelicznymi słowy: „To wam przykazuję, byście się społecznie miłowali“.

On sam obejmował myślą i czuciem wszystkie warstwy naszego kraju i wszystkie jego potrzeby. W pracy nieustraszonej, chwycił co chwila za pióro i tłumaczył, prosił, ostrzegał i zaklinał. Prawie nie było u nas pisma, w którym nie byłby w odpowiedniej chwili zabierał głos. Społeczeństwo poznańskie traci w nim dzielnego publicystę. Miał w sobie coś z Ostrorogów i Fryczów Modrzewskich i gdziekolwiek był, cokolwiek robił, zawsze myślał o *Naprawie Rzeczypospolitej* i kłopotał się, jakby ją urządzić i w ład wprowadzić i spichlerze napelnić i lud wykarmić prosty a silny, a ziemię swoją miłujący.

Powstał w ten sposób cały szereg pism, mniejszych i większych, treści ekonomicznej, społecznej i politycznej.

Już w r. 1867 opisał Jackowski przebieg narad na *Sejmiku gospodarczym w Toruniu*, witając z radością ten pierwszy wysiłek w kierunku łącznej i zgodnej pracy wewnętrznej. Stowarzyszenia uważa zmarły za doskonałą szkołę cnót obywatelskich. Wobec bujnego rozkwitu tej właśnie gałęzi życia społecznego w chwili terażniejszej, wieje pewne technienie archaizmu i odległych czasów z tych słów jego przedmowy: „Kto rozgląda się uważnie w naszej społeczności i dostrzega ten szczupły zasób dobrej woli do brania udziału w stowarzyszeniach, te nierozwinięte jeszcze pojęcia co do uznania korzyści, jakie ogółowi praca zbiorowa przynosi obecnie i zapewnia na przyszłość, ten brak chęci i wytrwałości do pracy skromnej a pożytecznej, kto wreszcie, cokolwiek dalej, jak przed siebie patrzy, ten potrafi dojrzeć i ocenić doniosłość Zjazdu w Toruniu“.

Książeczka mieszcząca *Wskazówki dla sprzedających i kupujących posiadłości ziemskie*, wydana w r. 1869, jest rodzajem katechizmu dla rolnika. Autora niepokoi „tradycjonalna nieoględność“ przy kupowaniu ziemi i ostrzega przed lekkomyślnem wyzbywaniem się tego kawałka roli, która jest dla niego nie tylko warsztatem pracy, ale mieści w sobie godność i dostojność tego, co ją uprawia. Sprzedać łatwo, ale nawet przy najkorzystniejszej sprzedaży, zysk jest wątpliwy. Bo ziemianin traci cel życia, rację swojego bytu; przenosząc siebie i swój majątek do miasta i żyjąc z dnia na dzień w półśnie beczynnym, staje się pasożytem brukowym, godnym w najlepszym razie pogardliwej litości. Autor przypomina, że gospodarowanie jest dzisiaj umiejętnością i sztuką, że czasy dyletanckiej zabawy minęły bezpowrotnie. Oprócz znajomości stosunków handlowych i zmysłu rachunkowego, powinien nadto mieć zamiłowanie swego zawodu. Niechaj posiada, obok znajomości ludzi, zalety charakteru, aby miał prawo żądać od podwładnych szacunku i posłuszeństwa. „Przy tem wszystkim nie powinien gospodarz poprzestać na tem, czego się nauczył, czego już doświadczył, ale ma do końca życia nad sobą pracować nieustannie, doświadczać trafnie, korzystać z spostrzeżeń własnych i obcych“.

Okolo r. 1880 zaczęła w Niemczech kiełkować myśl Schorlemera Alsta, tycząca majoratów chłopskich. Zmarły

ubolewał nad postępującem rozdrabnianiem własności chłopskiej w Księstwie wskutek działów rodzinnych i nad wzrostem proletaryatu wiejskiego. Myśląc nad sposobami ratunku, zwraca ś. p. patron Jackowski uwagę swoich kółek na pomysł Schorlemmera i na możność przeniesienia go na grunt miejscowy.

Leży przed nami więcej takich drobnych książeczek, których zadaniem było nieść do chat włościańskich postęp i kulturę.

Podobno jedną z kardynalnych wad polskich jest brak systematyczności i porządku. Więc ś. p. „patron“ mówi rolnikowi: *Porządek jest duszą gospodarstwa* (Poznań, r. 1896) i biorąc go za rękę, oprowadza po całym obejściu domowem i gospodarstwie polnem i wskazuje, jak powinno wyglądać w podwórzu, w szopach i stodołach, na polu, na pastwisku — i w książce rachunkowej.

Ale kształcąc włościanina ostrzegał go równocześnie przed różnemi niebezpieczeństwami nowoczesnych urządzeń finansowo-społecznych. Bał się, aby naiwność i zbytnia wiara w siebie nie okazały się jego wrogiem tam, gdzie przy ostrożności i umiarkowaniu znaleźć może pomoc i oparcie. Dlatego pisze w r. 1898 *Ostrożnie z kredytem* — a głos ten zwraca się nie tylko do włościan, lecz do całej klasy posiadzicieli ziemskich, malując dosadnie zwodniczą pokusę łatwego kredytu i zło płynące z obciążania ziemi ponad jej siłę wydajną.

W nagłych sprawach społecznych wypowiadał Jackowski swoje poglądy w mniejszych broszurach i ulotnych artykułach dziennikarskich. Objawiał swoje zdanie jasno, dobitnie a śmiało. Zdobiła go w wysokim stopniu obok innych cnót męzkich — odwaga cywilna, najrzadsza z nich i najcenniejsza. Patron Jackowski rozumiał, że „jest i in-szy nieprzyjaciel mądrości, co wy zowiecie *popularitas*, gdy kto sławę sobie i mniemanie u spóółstwa jednając, za ich nierozumny i niepożyteczny rozumieniem idzie, więcej przyjaźni u ludzi, niż prawdy szukając“. Karciał więc bezwzględnie wszelkiego rodzaju nadużycia jak zbytki, karciarstwo, bo wiedział, że „*mądrość nie mieszka na ziemi, gdzie rozkosznie żyją*“.

Rękojmię lepszej przyszłości widział w reformie wychowania młodzieży, męzkiej i żeńskiej. Ta myśl przewodnia snuje się poprzez wszystkie jego dzieła i nie daje mu spokoju nawet w ostatnich chwilach pracowitego żywota, bo oto starzec blisko 90-letni wydobywa ze skarbu długich doświadczeń i dojrzałych rozmyślań złote ziarna mądrości życiowej i kreśli drżącą ręką dzieło *O wychowaniu* — które dotąd spoczywa w rękopisie.

W czasie wojny francuzko-niemieckiej wydał Jackowski dwie książki, któremi zdaje się społeczeństwu przypominać, że jakikolwiek obrót wezmą toczące się zapasy, nie od nich przecież zależy przyszłość kraju, że możemy tylko liczyć na siebie. Pierwsza, to *Rzut oka na nasze zasady, sprawy i potrzeby*.

Autor zwraca tu uwagę na ową prawdę, że warunkiem bytu narodów jest zgoda i jedność, zdrowe zasady, rozumne prawa i silna organizacya, a dwa filary na których budowa społeczna się wspiera, to oświata i praca. Jakie są źródła z których płynąć mogą w naszym kraju te ożywcze strumienie? Oto pytanie, na które książeczka stara się o odpowiedź, dotykając kolejno różnych dziedzin życia.

„Dobro ogólne stawiam przedewszystkiem, to dobro i tutaj mam głównie na oku, warunkiem atoli jest złożenie należnego hołdu prawdzie; albowiem z prawdy tylko mogą wypłynąć rzeczywiste dla społeczeństwa wskazówki“. Czas już wyrzec się złudzeń szkodliwych, ogarnąć jasnym okiem położenie, zerwać z dawnymi majakami, do których autor zalicza niczem niewytłomaczone sympatyje dla Francyi. Umysłowość Księstwa nie świetny przedstawia obraz. Lecz winien temu przedewszystkiem wpływ kultury niemieckiej, zaniedbanie języka polskiego na korzyść obcej mowy. Tym większego znaczenia nabiera wobec tego działalność Towarzystwa naukowej pomocy dla Księstwa i Prus Zachodnich; to źrenica naszego oka, trzeba jej strzedz jako klejnotu drogiego. Narzeka dalej autor na częstą obojętność ziomków względem spraw ogółu, na bujnie się krzewiący indyferentyzm różnej natury. U jednych płynie z wygody i apatyji, u drugich z fałszywej, zranionej ambicyi, gdzieindziej rodzi się z pesymizmu i samolubstwa, częstym też jego źródłem

bywa tak zwany kosmopolityzm, wygodna osłona, pod którą się gnieździ oschłość serca.

Gdy mowa o pracy, tej drugiej dźwigni życia narodowego, ubolewa Jackowski nad brakiem oszczędności w naszym narodzie i rozmyśla nad sposobami pomnożenia bogactwa kraju.

Ten sam duch miłości i dobrej woli opromienia kartki obszernego dzieła p. t. *Ułomności nasze narodowe i społeczne oraz środki ku sprostowaniu tychże*. Jako hasło książki brzmią słowa: Brońmy naszego języka! Stójmy niewzruszenie przy naszych prawach i domagajmy się sprawiedliwości. Precz z wszelkim kompromisem i z ugodą! „W systemie rządzących leży nie zrobić kroku, któryby nie przyniósł państwu korzyści, nie uczynić nic dla ujarzmionej narodowości, co by jej nie pozbawiło coraz więcej szczepowego jej charakteru“. A więc baczność i czujność wobec tych niedźwiedzich przysług! Przedewszystkiem strzeżmy godności narodowej, nie poniżajmy się i nie płaszczmy przed wrogiem.

Jeszcze raz zastanawia się autor nad przyczyną ubóstwa kraju i przychodzi do przekonania, że winy szukać należy w całym ekonomiczno-społecznym rozwoju dawnej Polski, w nagromadzeniu władzy i fortun olbrzymich z jednej strony, a w bezprawności i ucisku ekonomicznym chłopca i mieszczanina. Trzeba więc naprawiać dawne krzywdy i budować prawie od fundamentów. Mało nam też przyniosła w spuściznie ducha obywatelskiego ta przeszłość tak świetna i błyszcząca na zewnątrz. Bo gdzież miało się to uczucie rozwijać? Nie w scholastyczno-lacińskim *trivium* i *quadrivium* lub Akademii krakowskiej, jeszcze mniej w Kollegium sięjących właśnie dyssydenckie ojców Jezuitów, których działalność autor sądzi bardzo surowo. Patryotyzm jest więc nabytkiem dopiero nowej Polski porozbiorowej, kwiatem zrodzonym z ofiary i cierpienia. Teraz usiłuje przytłumić go i zdeptać system szkolny pruski, który niszcząc język, chce przeciąć tętnicę narodowego życia ujarzmionych. A wychowanie domowe czy dorosło do tego zadania? W klasach uboższych nie ma go wcale na ogół. Ludzie rosną tam samopas i dziczają. W warstwie zamożniejszej czyni straszne spustoszenia cudzoziemszczyzna, gallomania.

„Dziecko, które uczy się mówić obcemi językami, a nie posiada gruntownej znajomości własnego, ojczystego, nietylko nie będzie mogło przejąć się duchem własnego; ale także i obce powierzchownie tylko uchwyci, stąd, nie umiając charakterów ich rozróżnić, wszystkie narody równie obojętnie uważać będzie, a wegetując między nimi wygodnie, resztki ducha narodowego wyzionie, obcego stale nie przyjmie i ostatecznie stanie się jednostką nieskrępowaną węzłami żadnej narodowości“.

Należy tępić w dzieciach lenistwo i chęć użycia, samolubstwo i tę zgubną samowolę, która w polskiej naturze tak głębokie zapuściła korzenie, że i dzisiaj nie byłyby niesprawiedliwością słowa Skargi: „Zginęła w tem królestwie karność i dyscyplina“. Pierwszą jest zasadą dobrego narodowego wychowania, by szczepić w duszach młodych zamiłowanie obowiązku i prawdy.

Śmiałem marzeniem autora z owych czasów jest tak zwana organizacya, która dzisiaj wydaje się piękną utopią. Myśl ta pokutowała po najszlachetniejszych głowach. Odbyło się nawet w Ulanowie pod Kłeckiem u ś. p. Józefa Chosłowskiego zebranie, gdzie radzono nad urzeczywistnieniem owych świetnych zamysłów — i przekonano się o niemożliwości ich wykonania. Jedynym dodatnim wynikiem tego znamienego zkadinaż zebrania, było — jak mnie zapewniono — przyjście do skutku *Oreğdownika* jako organu, mającego budzić samowiedzę społeczną i narodową w mieszczaństwie wielkopolskiem. A organizacya? W wyobraźni powstawał rodzaj areopagu narodowego, złożonego z najrozumniejszych i najlepszych. Przyszły patron Kółek włościańskich tak określa działalność owej wymarzonej instytucyi: „Ona ma być scentralizowaniem wszelkich prac organicznych, ona ma połączyć wszystkie jej kółka a równowagą ich zachwytywać jedno za drugie tak, aby w niustającym i regularnym były ruchu. Do założenia tych Kółek, do urzãdzenia ich, do nadania całej machinie ruchu potrzeba wielu, wielu ludzi, a tych, jakkolwiek mamy dosyć co do liczby, ale zamało co do rzeczy, i zbudzić otóż w ludziach ducha obywatelskiego i pracy ma być jednym z najpierwszych zadań organizacyi“.

Później, po latach niewielu, przekonał się autor, że ma-

ksymą: „Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił“, budować można gmachy wspaniałe, lecz tylko w świecie poezji, gdzie nie ma krępujących więzów czasu i przestrzeni, ani praw naturalnych. Ale życie oddaje raczej sprawiedliwość prostej a starej zasadzie: „Wedle stawu grobla“.

Dulce et decorum est pro patria mori! — kończy autor to dzieło, które jest wymownem świadectwem uczuć nie tylko piszącego, ale całej epoki i jej przedstawicieli. A krótką treścią tej książki i podobnych pism wielu jest owo zdanie Zygmunta kaznodziei: „Żaden z was, przezaconi panowie, nie jest tak prosty, aby nie baczył ciężkiej i wielkiej niemocy tego naszego królestwa i wewnętrznego a domowego jego zachwiania; albo, żeby nie uczuł mocnego nieprzyjaciela, który na głowy nasze następuje i rozbojem straszliwym sam grozi“.

Pisze więc Jackowski o *Krzywdzie wyrządzonej społeczeństwu sprzedażą ziemi komisji kolonizacyjnej*, zaklinając temi samemi słowy, które — choć nie zawsze skutecznie — bywają powtarzane tutaj aż nazbyt często.

Z okazji ścierających się z sobą prądów politycznych podnosi Jackowski *Głos prawdy w przeddzień wyborów poznańskich* na wiosnę w r. 1898. Polemizuje tutaj z tak zwanem stronnictwem ludowem. Podziwiać trzeba ciętość tej polemiki, młodzieńczą werwę, żywość dyskusyi, dobitność wyrazu — wreszcie tę nienadwątloną siłę żywotną i interes do życia u starca przeszło 80-cioletniego. „Strzeżcie się pilnie fałszywych proroków!“ — woła sędziwy polityk i jest lęk w tej przestrodze. Prawda, że z odmętu wychodzą ludzie nowi. Lecz on troska się o chwilę obecną, boi się czy te paroksyzmy i szamotanie gwałtowne nie osłabia już i tak skolatanego okrętu.

Po raz ostatni zwraca się Jackowski z drukowanym słowem do społeczeństwa, gdy się zastanawia nad *Przemową Dr. Karola Lewakowskiego do młodzieży polskiej z okazji czterdziestej rocznicy powstania 1863 r.*

Dokąd dąży to szkodliwe marzycielstwo? Jestże to „matkobójstwo czy samobójstwo?“ — pyta nasz nieodżałowany ziomek tych, co nad alpejskimi jeziorami śnią złudny poemat o wolności ludów, a nie widzą lub widzieć

nie ebcą rzeczywistych warunków życia. Jasny, trzeźwy umysł weterana zasługi i pracy przenikał nawskrós — czując ich czezość i pustkę — te mgły zwiewne, w których się światło lamie i lśni kolorami tęczy i oczy zachwyca; lecz kto się w nie zbyt długo zapatrzy, ten łatwo zapomina o tem, że po ziemi chodzi i przepaści nie dojrzy, co opodal rozwartą paszczą zieją. „Broni nam tylko dajcie i ołowiu, a my siebie i was zbawimy“ — pisał Mierosławski w r. 1846 do rządów sprzymierzonych. „Jakikolwiek będzie wynik przyszłego powstania — pomyślny czy nie — naród wypełni tylko swój obowiązek, tak jak my starzy wypełniliśmy nasz w r. 1863“ — twierdzi Dr. Lewakowski. A pierwszy patron Kółek włościańskich w Wielkopolsce na to odpowiada: „W końcu zwracam się do młodzieży, tej nadziei ojczyzny, i ofiaruję jej słowa wieszcza jako dewizę przyszłego obywatelskiego życia:

Nie tumanić szumnie, krasno,
Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać,
Wzorem służyć, myślą rwać,
Świecić czynu tarczą własną“.

(*J. Słowacki*).

Był człowiekiem czynu. Szedł przez życie drogą prostą, nie oglądając się na prawo ani lewo, brzydząc się kłamstwem i pochlebstwem, nie starając się o nieczyje względy i uznanie. Szukał dobra na szlakach prawdy, a znalazł, nie schylając się po nie, miłość i cześć i u ludzi — jakoby w nadatku.

Ruwał dąb stary pod siekierą czasu; ale stał w naszym lesie tak długo, taka w nim była moc płodności i rozrostu, tyle nasienia w kolo siebie rozrzucił, że oto u stóp złamanego olbrzyma nowy bór wyrasta i choć młody już się zieleni i serca otuchą napelnia, że nie zabraknie w tym lesie drzewa na opał, gdy zimne wiatry powieją, ani ożywczych cieniów w dni spiekoty, ani świeżych liści na wieńce chwały. I tylko patrzeć rychło las zaszumi!

Marya Zielewiczówna.

Poznań w lutym 1905.



NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi „Przeglądu Polskiego“.

Hugo Bertsch: *Rodzeństwo*. Z przedmową Adolfa Wilbrandta. Z wydania piątego na język polski przełożyła M. M. (Lwów, 1904, Polskie Towarzystwo Nakładowe, str. 225).

Dr. Wacław Sobieski: *Szkice historyczne*. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., 1904, str. 316).

Alfred Konar: *Oaxya*. Powieść. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp., 1904, str. 405).

Julian Klaczko: *Szkice i rozprawy literackie*. Z upoważnienia autora tłómaczyli St. Tarnowski, J. Jabłonowski i Ant. Potocki. Z przedmową Stanisława Tarnowskiego. (Warszawa, wydawnictwo F. Hoessicka, 1904, str. XXVII i 439).

Stanisław Smolka: *Wspomnienie o Leonie XIII*. (Kraków, G. Gebethner i Sp., 1904, str. 89).

Ślawina. Powieść z XI wieku. Napisał Julian Baczyński. (Lwów, nakładem Drukarni Ludowej, 1904, str. 196).

„Biblioteka pisarzy nowoczesnych“. Artur Schnitzler: *Lalki*. (*Der Puppenspieler*). Studium w 1 akcie. Tłómaczył Gustaw Baumfeld. (Brody, nakład Feliksa Westa, 1904, str. 48).

Sprawozdanie Dyrekcyi Muzeum Narodowego w Krakowie za rok 1903. (W Krakowie, nakład Muzeum Narodowego, 1904, str. 40).

Gustaw Manteuffel: *Wystawa heraldyczna w Mitawie*. Odbitka z „Biblioteki Warszawskiej“. Tom 253, str. 340 — 366. (Warszawa, 1904).

K. Brodziński: *O klasycyzmie i romantyzmie, tudzież o duchu poezyi polskiej*. Opracował dla użytku szkolnego Dr. Piotr Chmielowski. (Brody, 1904, nakładem i drukiem Feliksa Westa, str. 127).

Adam Mickiewicz: *Sonety. Wiersze różne*. (Wybór). Opracował dla użytku szkolnego Henryk Kopia, c. k. prof. gimnazjum. (Brody, 1904, nakładem i drukiem Feliksa Westa, str. 171).

Dr. I. Stark: *Rozkład i zmienność atomów chemicznych*. Z upoważnienia autora przełożył Dr. A. Bruner. (Warszawa, nakładem księgarni E. Wende i Sp., 1904, str. III i 67).



WYDZIAŁ KRAJOWY
M. BUDYGA
Katedra Chemii
ul. Słowackiej 63

Śląska Biblioteka Publiczna

Biblioteka Śląska w Katowicach

ID: 0030002011280



II 4501/39/3/1905

II

EC.